

SEBASTIEN DE CASTELL



Pełna wartkiej akcji... Wręcz
sama się czyta... Obficie
podlana czarnym humorem...

Joanna Kułakowska
NOWA FANTASTYKA
o Ostrzu zdrajcy

CIEŃ RYCERZA

S E B A S T I E N D E C A S T E L L

CIEN RYCERZA

przekład

JOANNA GRABAREK

 insignis

Tytuł oryginału
Knight's Shadow

First published in Great Britain in 2015 by
Jo Fletcher Books
an imprint of Quercus Editions Ltd.

Copyright © 2015 Sebastien De Castell
Mapa © 2014 Morag Hood
Zdjęcie autora © Pink Monkey Studios

All rights reserved.

Przekład
Joanna Grabarek

Redakcja
Piotr Mocniak

Redakcja i korekta
Tomasz Porębski, Julia Diduch, Marcin Piątek

Konsultacja językowa
Antonina Mocniak

Skład i układ polskiej okładki
Tomasz Brzozowski

Oryginalny projekt okładki
bürosüd° | www.buerosued.de

Copyright © for this edition
Insignis Media, Kraków 2018. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-66071-00-1



Insignis Media
ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków
tel. +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)
[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)
Snapchat: insignis_media

Dla mojego ojca, Gustave'a de Castella.

Znałem go bardziej z opowiadań niż z życia,
ale jakież to były cudowne historie...



PROLOG

Jeżeli w pewną zimową noc znajdziesz, drogi podróżniku, schronienie w jednej z gospód przy kupieckich traktach Tristii, to siedząc przy ogniu, popijając coś, co zapewne będzie rozwodnionym piwem, i starając się nie wchodzić w drogę miejscowym zawadiakom, może uda ci się dostrzec Wielkiego Płaszcz. Rozpoznasz go lub ją po długim skórzanym okryciu, poczerniałym już od zużycia, z prześwitującą miejscami ciemną czerwienią, zielenią, czasem błękitem.

Wielkie Płaszczce zrobią wszystko, by wtopić się w tłum. Są w tym naprawdę doskonali. Na przykład teraz, jeżeli spojrzysz w lewo, ujrzysz kryjącego się w cieniu drugiego z nich. Ten pierwszy, przy drzwiach, zaraz się pewnie przyłączy do swojego przyjaciela.

Jeżeli zakradniesz się do nich chyłkiem – ostrożnie, teraz! – i zaczniesz się przysłuchiwać ich rozmowie, usłyszysz strzępki opowieści o sprawach, które niegdyś rozsądiali w miastach, miasteczkach i wiejskich osadach całego kraju. Opowiedzą o tym księciu czy owym lordzie i o zbrodniach, których ci dopuścili się na

swoich podwładnych. Poznasz szczegóły każdego rozstrzygnięcia i dowiesz się, czy Wielki Płaszcz musiał stoczyć pojedynek, aby utrzymać swój wyrok w mocy.

Obserwuj ich wystarczająco długo, a zobaczysz, że co jakiś czas lustrują zajazd, oceniając pozostałych gości i wypatrując ewentualnych kłopotów. Przyjrzyj się uważniej ich okryciom, a dostrzeżesz delikatny wzór: tworzą go wszyte w podszewkę kościane płytki. Są dostatecznie twarde, aby zatrzymać strzałę, ostrze czy bełt, a mimo to peleryna jest niesamowicie lekka i miękka, zupełnie jak odzienie, które sam nosisz. Jeżeli kiedyś dane ci będzie sięgnąć pod spód tego płaszcza, znajdziesz tam dziesiątki – a niektórzy twierdzą, że nawet setkę – kieszonek wypełnionych najprzeróżniejszymi akcesoriami: użytecznymi drobiazgami i pułapkami, tajemniczymi pigułkami i proszkami stworzonymi po to, aby dodać Wielkim Płaszczom siły i animuszu do walki – czy to z jednym człowiekiem, czy z całą zgrają. A chociaż ukryte pod płaszciami rapiery nie wyglądają może na wyszukane, to są porządnie naoliwione, dobrze zaostrzone i wystarczająco szpiczaste, żeby załatwić sprawę.

Legenda głosi, że na początku Wielkie Płaszcze były specjalistami od pojedynków i najemnymi zabójcami, aż wreszcie któryś dobry król lub królowa wzięli ich na służbę monarchii, żeby pilnowały przestrzegania dawnych praw we wszystkich dziewięciu księstwach Tristii. Książęta, co zupełnie zrozumiały, odpowiedzieli na to wtrącanie się w ich rządy, obmyślając najbardziej przykre rodzaje śmierci dla tych wszystkich Wielkich Płaszcz, których rycerze zdołali pokonać w walce. Problem w tym, że na miejsce każdego zabitego pojawiał się nowy, który przejmował urząd

i kontynuował misję, wędrując po kraju jak długi i szeroki, działając na nerwy arystokracji – ponieważ egzekwował prawa, które bardzo nie pasowały rozbestwionym książętom. I tak się działo jeszcze jakieś sto lat temu, kiedy to grupa najbogatszych i najbardziej zdeteminowanych książąt wynajęła dashinich – zakon asasynów, którzy nigdy nie zawadzili w zadawaniu śmierci, nawet w miejscu tak zdeprawowanym jak Tristia. Dashini przynieśli książętom dużo lepszy sposób na zniechęcenie ich nieprzyjaciół. Nazwali go Lamentem Wielkich Płaszczy.

Nie będę cię zanudzał szczegółami, łagodny podróżniku, bo i tak nie nadają się do rozmowy między dobrze wychowanymi ludźmi. Wystarczy powiedzieć, że po tym jak dashini zakończyli Lament nad ostatnim z pochwyconych Wielkich Płaszczy, nikt więcej nie odważył się podjąć tej misji... A przynajmniej tak było nieomal przez stulecie, dopóki nazbyt idealistyczny młody król Paelis i szalony prowincjusz Falcio nie postanowili przeciwstawić się nurtowi dziejów i odnowić tradycję Wielkich Płaszczy.

Ale to już przeszłość. Król Paelis nie żyje, a Wielkie Płaszcze zostały rozwiązane pięć czy może więcej lat temu. Ci dwaj, którym się przyglądasz, ryzykują śmierć, albo jeszcze coś gorszego, za każdym razem, gdy wypełniają swoje obowiązki. Dlatego dziś po prostu dokończą picie, zapłacą karczmarzowi i odejdą w noc. Być może uda ci się uchwycić cień ich uśmiechów, gdy będą się wzajemnie pokrzepiać zapewnieniem, że Lament Wielkich Płaszczy to tylko jedna z tych historii opowiadanych przez podróżnych grzejących się przy ognisku w zimną noc. Nawet jeśli kiedyś istniał, nikt z dziś żyjących ludzi nie miałby pojęcia, jak go użyć. Jednak i oni, i ty, drogi podróżniku, jesteście w błędzie. Wiem z dobrego

źródła, że Lament Wielkich Płaszczy istnieje i jest boleśniejszy i straszniejszy niż w najbardziej przerażających historiach. Powiedziałbym ci więcej, tyle że niestety, wspomnianym „dobrym źródłem” jestem ja sam.

Nazywam się Falcio val Mond i jestem jednym z ostatnich królewskich Wielkich Płaszczy. Jeśli dobrze się wsłuchasz, może zdołasz usłyszeć mój krzyk.

ROZDZIAŁ 1

GRA NA PRZECZEKANIE

Na palcach jednej ręki potrafię policzyć chwile w moim dorosłym życiu, gdy budziłem się szczęśliwy i spokojny, bez uczucia trwogi, bez lęku przed rychłą śmiercią i bez rozdrażnienia, które wywoływało u mnie mordercze instynkty. Poranek, cztery tygodnie po tym, jak Patriana, księżna Hervoru, poczęstowała mnie trucizną, nie był jedną z tych chwil.

– Umarł.

Pomimo mgły spowijającej mój umysł i tłumiącej dźwięki w uszach, rozpoznałem głos Brastiego.

– Nie umarł – odezwał się inny, niższy głos. Ten należał do Kesta.

Początkowo lekkie łup-łup kroków Brastiego po drewnianej podłodze chałupy stało się głośniejsze.

– Normalnie powinien już z tego wychodzić. Mówię ci, tym razem nie żyje. Zobacz: ledwo oddycha – palec wbił się w moją pierś, w policzek i wreszcie w oko.

Zapewne zastanawiacie się, dlaczego zwyczajnie nie dźgnąłem Brastiego i nie wróciłem do snu. Po pierwsze, moje rapiery leżały

jakieś dziesięć stóp ode mnie, na ławie obok drzwi małej chaty, którą zajmowaliśmy. Po drugie, nie mogłem się poruszyć.

– Przestań go szturchać – powiedział Kest. – Ledwo oddycha, czyli jeszcze żyje.

– No właśnie – odparł Brasti. – Podobno neatha jest śmiertelna w skutkach – wyobraziłem sobie, jak groźnie kiwa palcem. – Cieszymy się, że przeżyłeś, Falcio, ale to wylegiwanie się każdego poranka jest bardzo kłopotliwe. Można by nawet powiedzieć, że egoistyczne.

Pomimo wielokrotnych prób moje ręce odmawiały współpracy: nie chciały się wyciągnąć w górę i zacisnąć na gardle Brastiego.

Pierwszego tygodnia po otruciu poczułem nieznaczną słabość w kończynach. Byłem powolniejszy niż zwykle. Czasem, gdy chciałem poruszyć ręką, mijała długa chwila, zanim ta posłuchała. Zamiast ulegać poprawie, mój stan się pogarszał i każdego dnia po przebudzeniu na coraz dłuższy czas stawałem się więźniem własnego ciała.

Brasti napierał na mnie, przyciskając dłoń do mojej piersi.

– Ale chyba się jednak ze mną zgodzisz, Kest, że Falcio jest wyraźnie martwy?

Zapadła cisza i wiedziałem, że Kest rozważa zagadnienie. Problem z Brastim polegał na tym, że był idiotą. Przystojnym i czarującym, w strzelaniu z łuku zdolnym prześcignąć każdego człowieka bez względu na płeć, lecz mimo wszystko idiotą. Oczywiście nie widać tego na pierwszy rzut oka; Brasti ma świetne gadane i lubi wtrącać słowa, które brzmią jak żywcem wyjęte z uczonych rozpraw. Kłopot w tym, że Brasti nie używa ich w odpowiednim kontekście ani nawet we właściwym porządku.

Z kolei problem z Kestem polega na tym, że choć jest błyskotliwy, to według niego „filozofowanie” wymaga zastanawiania się nad każdą bez wyjątku kwestią – nawet całkowicie absurdalną i wypowiedzianą przez wcześniej wspomnianego idiotę.

– Przypuszczam, że masz rację – powiedział wreszcie Kest. – Ale „jeszcze żyje” chyba brzmi lepiej – zrehabilitował się odrobinę w moich oczach.

Chwila ciszy.

Czy wspomniałem już, że ci dwaj głupcy są moimi najlepszymi przyjaciółmi, braćmi z Zakonu Wielkich Płaszczy i ludźmi, na których ochronę liczyłem w przypadku, gdyby pani Trin wybrała dokładnie ten moment na posłanie za nami swoich rycerzy?

Pewnie powinienem się przyzwyczać do nazywania jej „księżną” Trin. W końcu zabiłem jej matkę, Patrianę (owszem, tę samą, która mnie otruła). Na swoją obronę zaznaczę, że zrobiłem to, by ochronić następcę tronu. Podejrzewam, że to właśnie jest prawdziwym źródłem żalu Trin do mnie. Istnienie legalnego monarchy przeszkadza jej w planach objęcia tronu.

– Dalej się nie rusza – powiedział Brasti. – Naprawdę myślę, że tym razem może być martwy. – Poczułem, jak jego dłoń przesuwająca się po raczej intymnej części mojego ciała i zdałem sobie sprawę, że ten gałgan sprawdza mi kieszenie, szukając pieniędzy. Kolejny dowód na to, że zatrudnienie byłego kłusownika na stanowisku wędrownego trybuna niekoniecznie było najlepszym z pomysłów króla.

– Tak przy okazji, nie mamy jedzenia – ciągnął Brasti. – Myślałem, że ci cholerni wieśniacy mieli nam dostarczać żarcie.

– Ciesz się, że w ogóle pozwolili się nam tutaj schronić – powiedział łagodnie Kest. – Wykarmienie ponad stu Wielkich Płaszczy to duże obciążenie dla takiej małej wioski. Poza tym kilka minut temu przynieśli prowiant z zimowych składów w górach. Krawcowa zajmuje się podziałem.

– No to dlaczego nie słyszę biegających po wsi bachorów, wydzierających się i denerwujących nas, pytających czy mogą pożyczyć nasze miecze albo co gorsza, pobawić się moimi łukami?

– Może dotarły do nich twoje narzekania? Dzisiaj wieśniacy zostawili swoje rodziny w górach.

– No cóż, zawsze to coś.

Poczułem, jak palce Brastiego podciągają do góry moją prawą powiekę i oślepiło mnie jaskrawe światło. Potem palce odsunęły się, a wraz z nimi zniknął blask.

– Jak długo jeszcze Falcio pozostanie na wpół żywy i zupełnie bezużyteczny? Co będzie, jeśli rycerze Trin się o tym dowiedzą? Albo dashini? I w ogóle ktokolwiek? – W głosie Brastiego słysząc było coraz większą obawę. – Wymień dowolną grupę ludzi potrafiących w okrutny sposób zadawać śmierć, a ja założę się z tobą o dobre złoto, że Falcio zdołał uczynić sobie z nich wrogów. A teraz każdy z nich mógłby...

Czułem, jak moje serce coraz bardziej przyspiesza. Starałem się spowolnić oddech, ale panika zaczynała stopniowo brać nade mną górę.

– Przestań paplać, Brasti, bo od tego tylko mu się pogarsza.

– Przyjdą po niego, Kest. Wiesz dobrze, że to prawda. Może nawet już tu są. Zamierzasz zabić ich wszystkich?

– Jeżeli zajdzie taka potrzeba... – Kiedy Kest mówi takie rzeczy,

w jego głosie czuje się chłód.

– Nawet jeśli jesteś teraz Świętym od Mieczy, to jesteś tylko pojedynczym człowiekiem i nie możesz pokonać całej armii. A co, jeżeli stan Falcia się pogorszy i przestanie oddychać? Co, jeżeli nas tutaj nie będzie i...?

Usłyszałem odgłosy szamotaniny i poczułem lekkie drgnięcie łóżka, kiedy ktoś został pchnięty na ścianę.

– Zabieraj te swoje cholerne łapska, Kest! Święty czy nie...

– Ja też się o niego martwię, Brasti – powiedział Kest. –
Wszyscy się martwimy.

– Falcio... Na wszystkie draki, przez które przeszliśmy, to on powinien być tym byстрыm! Jakim cudem, na lewy cycek Świętej Lainy, pozwolił się znowu otruć?

– Żeby ją ocalić – odparł Kest. – Ocalić Aline.

Zapadła cisza i po raz pierwszy tego poranka nie potrafiłem sobie wyobrazić twarzy Kesta ani Brastiego. Zaniepokoiło mnie to i pomyślałem, że być może również słuch odmówił mi posłuszeństwa. Na szczęście milczenie jest stanem, w którym Brasti nie potrafi pozostać zbyt długo.

– A teraz kolejna sprawa – zaczął. – Skoro jest taki błyskotliwy, to dlaczego wszystko, czego trzeba, żeby naraził życie dla jakiejś obcej dziewczynki, której nigdy wcześniej nie spotkał, to dać jej imię na cześć jego zmarłej żony?

– Ta dziewczynka jest dziedziczką tronu, Brasti, a jeżeli jeszcze raz poruszysz temat żony Falcia, przekonasz się, że są rzeczy dużo gorsze niż paraliż.

– Zaryzykowałbym, gdybym tylko wiedział, że przywróci to Falcia do stanu używalności – odparł Brasti. – A niech to, Kest!

Przecież to on jest z nas najsprytniejszy. Trin ma za sobą armie, asasynów i cholernych książąt, a my nikogo. Jakim cudem mamy osadzić trzynastoletnią panienkę na tronie, kiedy Falcio jest w takim stanie?

Poczułem, że powieki zaczynają mi drgać nieco częściej, a jednolita szarość zaczęła, raz po raz, na mgnienie oka, zmieniać się w jaskrawą biel. Efekt był dość nieprzyjemny.

– W takim razie będziemy musieli próbować być nieco bystrzejsi – powiedział Kest.

– Jak mamy się do tego zabrać? Co proponujesz?

– No... a jak Falcio to robi?

Nastąpiła długa przerwa.

– On... – zaczął Brasti – zawsze wszystko rozumie, co nie? Wiesz, o czym mówię. Może się toczyć sześć różnych spraw jednocześnie i pozornie żadna z nich nie jest ważna, a tu nagle Falcio zrywa się i oznajmia, że nadciągają asasyni, że Lord Karawan przekupił miejskiego konstabla, lub coś w ten deseń.

– W takim razie my powinniśmy zrobić to samo – odparł Kest. – Zacząć wszystko rozumieć, zanim cokolwiek się wydarzy.

– Jak?

– Cóż... na przykład co się dzieje w tej chwili?

Brasti prychnął.

– Skoro już pytasz, to Trin ma po swojej stronie pięć tysięcy żołnierzy oraz poparcie co najmniej dwóch potężnych księstw. My zaś mamy około stu Wielkich Płaszczów oraz wątpliwe wsparcie zgrzybiałego ze starości księcia Pulnamu. W tej chwili Trin najprawdopodobniej raczy się pysznym śniadankiem i rozważa plany przejęcia tronu, a my przymieramy głodem w tej dziurze,

podziwiając Falcia z wdziękiem udającego trupa. Ja naprawdę jestem głodny!

Znów zapadła cisza. Usiłowałem poruszyć palcem. Nie sądzę, żeby mi się to udało, ale teraz zacząłem czuć pod opuszką szorstką wełnę pledu. To był dobry znak.

– Przynajmniej nie musisz znosić rozwrzeszczanych bachorów – powiedział Kest.

– Faktycznie.

Usłyszałem zbliżające się kroki Kesta i poczułem jego dłoń na ramieniu.

– Jak myślisz, co Falcio by z tego wywnioskował? Co to wszystko znaczy?

– To znaczy... – Brasti zamilkł na bardzo długi czas. – Nic – skonkludował wreszcie. – To tylko garść niepowiązanych ze sobą szczegółów. Żaden z nich nie ma nic do pozostałych. Nie sądzisz, że może Falcio tylko udaje tę swoją mądrość, tyle że nikt tego jeszcze nie załapał?

Chciałem się roześmiać z frustracji Brastiego i nagle poczułem lekkie drganie mięśni wokół kącików ust. Bogowie, wychodzę z tego! „Ruszaj się”, powiedziałem sobie. „Wyłaż z łóżka i pomóż Krawcowej pokonać armię Trin. Wprowadź Aline na tron i wycofaj się w końcu z politykowania i wojaczki. Wróć do rozsądzania sporów o ziemię i o to, czyja krowa pierdnęła na czyim polu oraz, czasami, do ścigania panoszących się rycerzy”.

Bolesny skurcz w dołku uświadomił mi, jak bardzo jestem głodny, i zdałem sobie sprawę, że nie tylko Brasti jest gotowy na solidne śniadanie. „Najpierw jedzenie”, pomyślałem. „Potem wymyślę, jak ocalić świat”. Byłem zadowolony, że nie będę musiał

tego robić w towarzystwie rozwrzeszczanych wiejskich bachorów, które koniecznie chciały się bawić w Wielkie Płaszcze, domagały się naszych mieczy i wystawiały naszą cierpliwość na ciężką próbę.

A swoją drogą, to było dziwne. Dlaczego wieśniacy nie przyprowadzili swoich dzieci? Wiosce raczej nic nie groziło. Krawcowa wysłała zwiadowców i żaden z nich nie przyniósł wieści o niczym więcej poza kilkoma zaledwie grupkami ludzi Trin – zbyt małymi, żeby sprawić nam kłopot. A skoro już o tym mowa, ciekawe, gdzie podziała się reszta armii Trin. Może zostali rozesłani na poszukiwania, chociaż z pewnością ściągnięto by ich tu zaraz po ustaleniu miejsca naszego pobytu. A dzieci...

– Miecze! – wrzasnąłem.

Cóż, „wrzasnąłem” było może określeniem nieco na wyrost, ponieważ język nadal stał mi kołkiem i ledwie mogłem poruszyć ustami. Udało mi się jednak rozchylić powieki, co niewątpliwie było sukcesem.

Brasti podbiegł do mnie.

– Dziewczę? O czym ty bredzisz?

– Sądzisz, że ma na myśli tę prostytutkę z Rijou? Tę, która ocaliła mu życie?

– Może i racja – Brasti niezgrabnie pogładził mnie po czole. – Nie martw się, Falcio. Znajdziemy ci jakąś inną, gdy tylko...

– Miecze, wy cholerni głupcy – wymamrotałem. – Miecze!

– Pomóż mu wstać – powiedział Brasti. – Zdaje mi się, że powiedział „siecze”. Może ktoś zamierza nas usiec?

Kest objął mnie za ramiona i pomógł mi się dźwignąć z łóżka. Stałem na chwiejnych nogach. A niech to! Ruszałem się jak starzec.

Brasti podniósł moje rapiery z ławy i mi je podał.

– Proszę. Pewnie lepiej, żebyś miał swoje miecze w gotowości, w razie gdyby wywiązała się jakaś walka, nie sądzisz?

Zabiłbym ich obu gdyby nie pewność, że ktoś inny zamierza mnie w tym wyręczyć.

ROZDZIAŁ 2

NOCNA MGŁA

Wytoczyłem się niezgrabnie z chaty, ledwie mogąc utrzymać rapiery. Słoneczny blask drażnił moje oczy i przemienił rząd zbudowanych z suszonej cegły domków w czerwono-brązową mgłę w kolorze zaschłej krwi.

– Co się dzieje, Falcio? – spytał Kest.

– Dzieci – odparłem niemal składnie.

– Nie ma ich tu, nie słyszałeś? – powiedział Brasti.

– W tym rzecz. Wieśniacy zostawili swoje dzieci w górach. Po co mieliby to robić? No chyba że by wiedzieli o jakimś niebezpieczeństwie... Zaraz zostaniemy zaatakowani.

Trafiłem stopą na mały kamień i straciłem równowagę, ale dłoń Kesta na moim ramieniu powstrzymała mnie przed upadkiem.

– Powinieneś wrócić do środka, Falcio. Pozwól Brastiemu i m...

Po lewej jakiś wieśniak dłubał w swoim małym ogródku przed chatą.

– Gdzie jest Krawcowa? – spytałem. Usta ciągle miałem lekko odrętwiałe po paraliżu i pewnie brzmiałem jak skrzyżowanie prostaka z szaleńcem.

Mężczyzna spojrzał na mnie zdezorientowany i przestraszony.

– Ten człowiek pyta cię, gdzie jest Krawcowa – przetłumaczył Kest.

Wieśniak podniósł się i wskazał drżącą dłonią na budynek znajdujący się jakieś pięćdziesiąt jardów dalej.

– Tam. Nie wychodziła stamtąd przez ostatnie dzień i noc. Jest z dziewczyną i dwoma Wielkimi Płaszczami.

– Zbierz swoich ludzi – nakazałem. – Uciekajcie stąd.

– To wy już dawno temu powinniście stąd odejść – odparł z mieszaniną urazy i strachu w głosie. Gdybym miał czas się nad tym zastanowić, tobym się zdziwił. – Będzie źle, jak się zwiędzą, że udzieliliśmy schronienia Wielkim Płaszczom.

– Gdzie są wasze dzieci? – spytałem.

– Bezpieczne.

Odepchnąłem wieśniaka i ruszyłem biegiem w kierunku chaty Krawcowej. Udało mi się zrobić trzy kroki, zanim upadłem jak długi na twarz. Kest i Brasti uklękli przy mnie, żeby mi pomóc, ale ja tylko wrzasnąłem:

– Do cholery, zostawcie mnie i idźcie do Aline!

Odebrali to dosłownie, rzucając mnie z powrotem na ziemię i pędząc dróżką prowadzącą do chaty Krawcowej. Kiedy wreszcie udało mi się stanąć na nogi, rozejrzałem się, spodziewając się widoku wroga otaczającego nas ze wszystkich stron. Zamiast tego dostrzegłem wyłącznie znanych mi wieśniaków oraz tu i ówdzie Wielkie Płaszcze Krawcowej. Czy kryli się wśród nich wrogowie? Większość mieszkańców wioski zajmowała się swoimi ogrodami, tak jak każdego dnia po powrocie z gór.

Pokuśtykałem niezgrabnie za Kestem i Brastim. Przybyłem

w samą porę, aby zobaczyć, jak Krawcowa wybiega z chaty z rozwianymi siwymi włosami. Na jej pobrużdżonej twarzy widać było wściekłość. Zupełnie nie wyglądała na matkę króla – przypuszczam, że dzięki temu właśnie udało jej się zachować ten sekret przez tak wiele lat, nawet po śmierci Paelisa.

– Na świętą Birgid Co Wypłakuje Rzeki, co ty wyprawiasz, Falcio? Planujemy wielką bitwę.

Poczułem chwilową irytację na wieść, że wykluczyła nas ze swoich narad strategicznych. Zostawiłem to jednak na później.

– Dzieci – wysapałem. – Wieśniacy nie przyprowadzili z powrotem swoich dzieci...

– I? Może mieli dość tego, że Brasti uczył je przeklinać.

– Twoi zwiadowcy – wskazałem na dwoje stojących w pobliżu Wielkich Płaszczy. – Powiedziałaś mi, że nie napotkali żadnych zbrojnych sił Trin w promieniu pięćdziesięciu mil.

Krawcowa uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

Ta mała dziwka uważa się za wilczycę, ale dobrze wie, że nie powinna nas tu atakować. Przegналиśmy ją, i deptamy jej po piętach przy każdej okazji. Nie odważy się nas zaatakować, chyba że ma ochotę zobaczyć więcej swoich ludzi zalegających pokotem na ziemi.

– Święci! Nie pojmujesz? O to właśnie chodzi. To coś innego. Wieśniacy nas zdradzili!

Krawcowa zrobiła kwaśną minę.

– Uważaj, co gadasz, chłopcze. Znam ludzi z Phan od ponad dwudziestu lat. Są po naszej stronie.

– A czy podczas owych dwudziestu lat widziałaś kiedykolwiek, żeby zostawiali dzieci w górach, gdy nie groziło im

niebezpieczeństwo?

Gniew na twarzy Krawcowej zmienił się w podejrzliwość. Rozejrzała się, a potem zawołała do jednego z mężczyzn – w średnim wieku, łysiejącego, z brązową grzywką i krótką brodą – pracującego w ogródku.

– Ty tam, Cragthen! Co robisz?

– Doglądam moich bulw – odparł.

Krawcowa ruszyła w jego kierunku, wyciągając nóż z płaszcza.

– W takim razie co tam zakopujesz w ziemi, Cragthen, kiedyśmy są tak blisko zbiorów?

Mężczyzna wstał, spoglądając to na nas, to na pozostałych wieśniaków, którzy zaczęli się gromadzić wkoło.

– Nie powinniście się tu zatrzymywać na tak długo. To nasza wioska, niech cię szlag, nie wasza! Musimy myśleć o swoich rodzinach. Księżna Trin...

Krawcowa sięgnęła lewą ręką i złapała Cragthena za koszulę.

– Co za głupotę zrobiłeś? Myślisz, że boisz się Trin? Zdradź mnie, a będziesz się bał znacznie bardziej niż tej osiemnastoletniej dziwki, która sypia z wujem dla jego armii i uważa się za królową.

Na początku Cragthen wyglądał na zaskarzonego przez Krawcową, ale potem udało mu się wyrwać.

– Mamy dzieci, niech cię szlag! – krzyknął, a potem odwrócił się i zaczął uciekać na drugi koniec wioski.

– Zatrzymać go! – wrzasnęła Krawcowa.

Dwójce jej Wielkich Płaszczy zajęło zaledwie kilka chwil, żeby zrównać się z Cragthenem.

– Puśćcie mnie! – błagał, gdy ciągnęli go z powrotem. Mówił cicho, lecz jego głos był pełen przerażenia. – Proszę, proszę, nie!

Jeżeli zobaczą, że z wami rozmawiam, zabiją ją!

Krawcowa pochyliła się, sprawdzając, co takiego Cragthen sadził. Przyłączyłem się do niej.

– Do diabła! – stęknęła, przyglądając się czarnej ziemi wymieszanej z żółtozielonym proszkiem.

– Co to? – spytałem.

– Nocna mgła. Cholerny głupiec szykował nocną mgłę!

Spojrzałem na pozostałych wieśniaków zajętych pracą w ogrodzie i dostrzegłem, że niektórzy wracali ze studni, dźwigając wiadra wypełnione po brzegi wodą, która rozlewała się przy każdym kroku.

– Nie pozwólcie im wylać wody na ziemię w ogrodzie – krzyknąłem, ale wieśniacy, gdy tylko zobaczyli zbliżających się do nich zbrojnych, czym prędzej opróżnili wiadra, wylewając wodę na świeżo skopaną ziemię.

– Za późno – westchnęła Krawcowa, gdy pierwsze krople zetknęły się z nocną mgłą. Powietrze zaczął wypełniać ciemnoszary dym, gęsty niczym bagienna woda. Nawet garstka mikstury z siarki, żółtych łupków i święci tylko wiedzą, z czego jeszcze, potrafi zasnuć setki jardów dymem tak gęstym, że człowiek nie widzi w nim dłoni tuż przed swoją twarzą. Wieśniacy użyli całych wiader.

Spoglądam na Krawcową.

– Powiedz mi, gdzie jest Aline. Szybko!

– Wybrała się do tego swojego przeklętego przerośniętego konia – wskazała palcem na drózkę. – Nie stój tak i nie trząś się, tylko biegnij!

Kest i Brasti ruszyli najpierw, a ja za nimi, słysząc ciężkie stąpanie maszerującej piechoty i głośny szcęk stali uderzającej

o stal.

Gdybyśmy odgadli, co się dzieje chociaż kilka minut wcześniej, zdołalibyśmy się jakoś przygotować. Zamiast tego strawiłem ten czas, leżąc sparalizowany w łóżku, niczym niedołączny starzec. A teraz nasi wrogowie szykowali się do ataku, który mógł mieć tylko jeden cel: uśmiercenie córki mojego króla.

Kłębiąca się czarna mgła dogoniła mnie, zanim zdołałem uczynić dziesięć kroków. Chociaż słońce nadal świeciło nade mną, a niebo pozostało błękitne i bezchmurne, ziemię pochłoneły cienie wymalowane na cieniach.

Wysunąłem rapiery przed siebie i zacząłem nimi machać niczym mrówka czułkami. Kreśliłem szybkie łuki wysoko i nisko, tak cicho, jak tylko mogłem. Musiałem odnaleźć moich nieprzyjaciół, zanim oni dostaną mnie i zanim dorwą Aline. Chciałem ją zawołać, usłyszeć jej głos, upewnić się, że żyje, i znaleźć drogę do niej, ale gdybym to zrobił, uczyniłbym ją jedynie łatwym celem dla ludzi Trin.

W wiosce panował oniryczny chaos: w jednej chwili nocna mgła przerzedzała się na tyle, że można było dostrzec sylwetki ludzi, walczących i umierających – w drugiej zaś ciemna kurtyna zamykała się nade mną, przyduszając mnie, i tylko od czasu do czasu przedzierały się przez nią błyski stali zwierających się ze sobą gdzieś mieczy. Przypominało to robaczki świętojańskie tańczące na tle czarnej zasłony nocy.

Nie cierpię magii.

– Falcio! – krzyknął Brasti.

Jego głos słychać było jakby z oddali, ale przebiegłem ledwie kilka kroków, nim zobaczyłem go walczącego z dwoma mężczyznami odzianymi w czerń. Ich twarze zasłonięte były maskami. W pierwszym odruchu zamarłem, myśląc: „Dashini! Trin wysłała po nas dashinich!”. Natychmiast wyobraziłem sobie setki mrocznych asasynów, walczących w parach i zabijających nas jednego po drugim. Ledwie przeżyłem, stając naprzeciw dwóch z nich w Rijou, więc jeśli Trin udało się...

– Może byś mi pomógł? – krzyknął Brasti, przełamując zaklęcie. Dotarłem do niego w chwili, gdy jeden z jego przeciwników wyprowadził cios swoim mieczem, tnąc brutalnie po łuku, tak że pozbawiłby Brastiego głowy, gdybym nie skrzyżował nad nią rapierów i nie zablokował ataku. Moje nadal osłabione nogi poczuły impet uderzenia. Brasti zanurkował i przetoczył się na bok, schodząc mi z drogi – niebezpieczny manewr, jeżeli trzyma się w dłoni miecz. Wyprowadził przy tym kopnięcie, trafiając w kolana jednego z mężczyzn, który padł na ziemię.

Drugi odwrócił się do mnie i przyzwał mnie żartobliwie swoim orężem.

– Dalej, trattari – jego głos w oparach mgły był gruby i donośny. – Niech rozbawią mnie te sztuczki Wielkich Płaszczy, zanim cię zabiję. Jeszcze lepiej gdybyś wskazał mi tego, który zwie się Świętym od Mieczy. Z rozkoszą odbiorę mu ten tytuł.

Taka fanfaronada była dość nietypowa dla dashinich. Zazwyczaj mówią rzeczy przyprawiające o gęsią skórkę, w stylu „jesteś zmęczony... powieki ci się zamykają... pozwól ogarnąć się spokojowi...” – tego rodzaju rzeczy. A poza tym rycerski miecz? Nie, oni walczyli raczej długimi sztyletami. „A zatem to nie dashini,

tylko ktoś inny”.

Zrobiłem krok do przodu i wykonałem szybkie pchnięcie rapierem w jego twarz. Przeciwnik nie usiłował sparować ciosu, lecz zamiast tego odepchnął ostrze na bok przedramieniem. Usłyszałem szczęk stali uderzającej o stal. „Aha. To stalowy karwasz. Pod tym swoim ciemnoszarym przebraniem nosisz zbroję”.

– Czy nie powinieneś się przedstawić, panie rycerzu? – spytałem.

W odpowiedzi zamachnął się na mnie swoim wielkim mieczem. Nadal poruszałem się zbyt wolno i ledwie udało mi się uchylić na czas. Obserwowałem ostrze miecza przepływające obok, a kiedy spróbowałem pchnięcia pod jego prawą pachę, pomyliłem się o dobry cal, trafiając w pancerz zamiast w ciało. Zdecydowanie nie udało mi się jeszcze otrząsnąć całkowicie po moim chwilowym paraliżu. Gdyby był tu Kest, przypomniałby mi o tym – na swój własny sposób – że dobry szermierz potrafi zignorować sztywność mięśni.

W walce z rycerzami problemem jest to, że zazwyczaj noszą na sobie sporo żelastwa, co oznacza, iż trzeba ich zatłuc na śmierć – a to jest dość trudne do wykonania z pomocą rapiera – albo znaleźć szczeliny w zbroi i tam właśnie celować. Ciemnoszary strój noszony przez mojego przeciwnika utrudniał znalezienie owych miejsc, a i nocna mgła również tego nie ułatwiała. Brasti i jego przeciwnik zdążyli mi już zniknąć z pola widzenia.

– A to niesportowe zachowanie – powiedziałem, prowokując rycerza. Zacząłem okrążyć go zgodnie z ruchem wskazówek zegara, licząc na to, że jego płytowa zbroja utrudni mu zgrabny obrót.

– Czy rycerze księcia nie powinni nosić tabardów i demonstrować swoich barw w walce?

– Chcesz mnie pouczać w sprawie honoru, trattari? – spytał drwiąco rycerz, jednocześnie usiłując wbić sztych miecza w mój brzuch. Przesunąłem się lekko i ostrze przeszło obok mnie po lewej. Uderzyłem głowicą rapiera w płaz ostrza, kierując jego sztych w ziemię. Rycerz odsunął się, zanim zdołałem wykorzystać ten chwilowy brak zasłony.

– Cóż, ja nie przechwalam się honorem – odparłem. – Powinienem jednak zaznaczyć, że to nie ja skradam się pod osłoną nocnej mgły po to, aby zamordować trzynastoletnią dziewczynkę. W ciemności. Jak asasyn. Jak tchórz.

Pomyślałem, że te słowa wywołają w nim wściekłość. Zazwyczaj jestem dość dobry w prowokowaniu u rycerzy żądz natychmiastowego pozbawienia mnie życia. Ten jednak tylko się roześmiał.

– Widzisz? I właśnie dlatego wy, Wielkie Płaszczce, nigdy nie zostaniecie rycerzami.

– Dlatego że nie zabijamy dzieci? – znów pchnąłem ostrzem rapiera w jego kierunku, ale on tylko odepchnął sztych na bok dłonią.

– Dlatego że sądzicie, iż honor bierze się z uczynków. To tak jakby powiedzieć, że koń, który na widok trzech jabłek stuknie trzy razy kopytami, jest uczony – zaczął mnie atakować szybkimi, bezwzględными cięciami, z każdym kolejnym uderzeniem coraz gwałtowniejszymi. Ja zaś odskakiwałem do tyłu i na boki, unikając ciosów. Zataczając się lekko, modliłem się do Świętej Werty Która Chodzi po Falach, żebym nie trafił na żaden kamień lub korzeń

drzewa i nie przewrócił się. Już dawno porzuciłem nadzieję dożycia sędziwego wieku, ale nadal aspirowałem do śmierci nieco godniejszej niż dekapitacja za pomocą rycerskiego miecza, gdy będę siedział na ziemi, z tyłkiem w błocie.

– Honor jest nam darowany przez bogów i przez panów, którym służymy – odparł rycerz, kontynuując atak, podobnie jak swój wykład. – Nie można na niego zasłużyć, ucząc się na pamięć jakiejś litanii dziecięcych rymów. To, co jest dla ciebie grzechem, dla mnie jest cnotą, trattari – jego miecz spadł pod nieoczekiwanym kątem i musiałem go związać obydwoma rapierami. Siła ciosu niemal wytrąciła je z moich dłoni. – Nic nie przyjdzie nawet z najszlachetniejszego aktu twojego krótkiego życia, ale ja zostanę pobłogosławiony przez bogów, gdy wycisnę życie z tej małej dziwki... z... tej... dzi... – przestał mówić, być może dlatego, że sztych mojego rapiera odnalazł jego otwarte usta pod maską. Napierałem ostrzem, dopóki nie przebiłem potylicy i dopóki ostrze mojej broni nie zatrzymało się na stali jego hełmu. Rycerz osunął się na kolana, a jego ciałem wstrząsnęły drgawki: jeszcze nie martwy, ale na najlepszej drodze.

Kest czasem żartuje sobie ze mnie, że zbyt dużo gadam podczas pojedynków, ale w przeciwieństwie do co poniektórych, miałem tyle doświadczenia, żeby jednocześnie utrzymywać koncentrację.

Wyciągnąłem ostrze z głowy rycerza i kiedy ten osunął się na ziemię, odetchnąłem kilka razy, żeby nieco odpocząć. Jedyne tristiański rycerz mógłby argumentować, że honor nie wymaga honorowego postępowania i że zabicie młodej dziewczyny jest uzasadnione, jeżeli żąda tego twój pan. Ale tak to jest. To właśnie kraina, w której się urodziłem i której broniłem przez większość

mojego życia. Jeżeli oznaczało to, że po drodze musiałem ukatrupić kilku rycerzy, to trudno, jakoś to przeżyję. Odetchnąłem głęboko jeszcze kilka razy, usiłując spowolnić rytm serca.

– Brasti? – krzyknąłem.

Nikt nie odpowiedział i bałem się, że mój przyjaciel został pokonany. Szedł z obnażonym mieczem, a nie był najlepszy w szermierce, nawet w bezpośredniej walce, jak ta. Musiałem dotrzeć do niego i do Kesta, a potem razem z nimi odnaleźć Aline. Zbyt dużo czasu straciłem na walkę z rycerzem...

Do licha! Nie powinniśmy w ogóle zatrzymywać się w wiosce. Wiem, że wszyscy, łącznie ze mną, mieli nadzieję, iż mi się polepszy, a nie pogorszy, ale nie trzeba być wybitnym strategiem, żeby wiedzieć, że jeśli się walczy z pięćdziesięciokrotnie liczniejszym wrogiem, nie należy pozostawać zbyt długo w jednym miejscu.

Ruszyłem biegiem przez mgłę, czując narastający gniew i frustrację. Potknąłem się o ciało leżące na ziemi. Kiedy złapałem równowagę, zerknąłem w dół i poprzez dym dostrzegłem ciągle krwawiące zwłoki młodej dziewczyny w jasnoniebieskiej sukni. Ramionami przesłoniła twarz, jakby nadal usiłowała ochronić się przed ciosem, który ją zabił.

ROZDZIAŁ 3

MARTWA DZIEWCZYNA

Chrapliwy dźwięk mojego własnego nierównego oddechu wypełnił mi uszy. Stałem nad ciałem dziewczyny, usiłując przygotować się na to, co miałem za chwilę zobaczyć. „Święty Zaghevie Co Śpiewasz o Łzy, proszę, nie, nie teraz... niech to nie będzie ona”. Przyklęknąłem i odsunąłem ramiona dziewczyny z jej twarzy.

Kiedy to zrobiłem, zobaczyłem rozszerzone strachem oczy dziecka, usta zastygłe w grymasie strachu i agonii po ciosie ostrza, które wbiło się głęboko w jej czaszkę. Sącząca się z rany krew barwiła jej rude włosy na głębszy odcień karmazynu.

Czerwone włosy.

Dzięki wszystkim świętym. Zabita dziewczyna miała kręcone rude włosy, nie zaś proste i brązowe, które Aline odziedziczyła po ojcu. Gwałtowność tej niespodziewanej ulgi szybko zmieniła się w beznadziejne, budzące odrazę poczucie winy. Ta dziewczynka, którą z taką łatwością uznałem za nieistotną, nie zrobiła nic, zupełnie nic, aby zasłużyć na taki koniec, aby zginąć w ten sposób, samotnie. Czy kiedy dosięgło ją ostrze, wzywała na pomoc matkę albo ojca?

Zdławiony krzyk dobiegł moich uszu. Odwróciłem się i zobaczyłem postać biegnącą w moją stronę. Nocna mgła kłębiła się wokół jego wyciągniętych ramion. Był to jeden z wieśniaków. Bannis? A może Baris? Pamiętałem tylko, że uprawiał jęczmień na małym poletku i warzył z niego piwo. Miejscowi je lubili.

– Celeste! – krzyknął, ignorując moje miecze i odpychając mnie na bok. Upadł na kolana i objął dziewczynkę ramionami. – Mówiłem jej, żeby została w górach! – wykrzyknął. – Mówiłem jej... Wróciłem tam, ale jej nie było. Musiała za mną pójść. Ty! To wszystko przez ciebie i twoje przekłete Wielkie Płaszczce... Ty przekłety... przekłety... trattari! – na przemian szlochał i wrzeszczał na mnie, oskarżając mnie o straszliwe przestępstwa. Mówił rzeczy, które mężczyźni zawsze mówią, kiedy ich dziecko umrze, a oni muszą obarczyć kogoś za to winą. Chciałem nawrzeszczeć na niego: że gdyby on i jego po trzykroć przekłeli kamracy nie zdradzili nas, to dziecko miałoby szansę. Nie mogłem się jednak na to zdobyć, ponieważ wieśniak miał w pewnym sensie rację: gdyby nas tu nie było, nie musiałyby nas zdradzać i być może nic z tego w ogóle by się nie wydarzyło.

Z drugiej strony to przecież Tristia.

Zacisnąłem mocno dłonie na rękojeściach moich rapierów. Rozżalenie mija szybciej, niż powinno, gdy wokół wciąż są wrogowie, a wściekłość rozjaśnia myśli. Zamierzałem odnaleźć Trin i sprawić, że zapłaci za wszystko: nie tylko za mężczyzn, kobiety i dzieci umierających w wioskach i miasteczkach księstwa Pulnamu, ponieważ chciała zmusić księcia Errisa, aby ten przysiągł jej wierność, ale też za zamordowanie lorda Tremondiego i przede wszystkim za krzywdy, które usiłowała wyrządzić Aline.

We mgle rozległ się szczełk mieczy i poczucie winy zniknęło, zastąpione strachem. „Ruszaj się”, powiedziałem sobie. „Nie siedź tu, użalając się nad sobą. Aline jest gdzieś tam zupełnie sama i czeka, żebyś ją znalazł”. Puściłem się biegiem w kierunku hałasów we mgle. „Znajdę ją”, obiecałem sobie. Aline jest sprytną dziewczyną i kiedy trzeba, potrafi być dzielna – czyż nie przetrwaliśmy razem niemal całego Tygodnia Krwi w Rijou, zanim nas pochwycono? Teraz z pewnością się ukrywa. Znalazła bezpieczne miejsce, w którym na mnie czeka, a ja odnajdę ją, zanim zrobią to ludzie Trin. Zabiorę ją, dosiędę mojego konia i uwiozę jak najszybciej daleko stąd. Córka mojego króla nie straci przeze mnie życia.

Pięćdziesiąt jardów dalej, obok jednej z dwóch wioskowych studni, odnalazłem Brastiego. Trzymał się za dłoń, siedząc na trupie swojego przeciwnika, który padł twarzą prosto w błoto.

– Ten skurwysyn mnie dostał – powiedział, pokazując mi ranę niewiele większą niż zacięcie przy goleniu.

– Przeżyjesz – odparłem. – Wstawaj.

– To moja dłoń, Falcio – zaczął utyskiwać Brasti, podnosząc się. – Jestem łucznikiem, nie szermierzem. Moja sztuka wymaga finezji i biegłości. To nie jest zwykłe machanie naokoło zaostrzonym metalowym prętem niczym potrząsanie przez zramolałego starca swoją laską.

– Przypomnij mi później, żebym wyczałował to draśnięcie, i wszystko będzie dobrze – odparłem, podciągając go za ramię.

Ruszyliśmy biegiem prosto we mgłę, mijając zalegające na ziemi

ciała wieśniaków, Wielkich Płaszczy i wojowników Trin. Nadal nigdzie nie było śladu Aline, więc pomodliłem się krótko do Świętej Birgid Co Wypłakuje Rzeki z nadzieją, że któryś z naszych ludzi znalazł dziewczynę.

– Gdzie jest Kest? – spytałem nagle.

– Nie jestem pewien. Puścił się w pogoń za jakimś niemożliwie wyrośniętym, odzianym w zbroję skurwysynem, który nader szybko rozprawił się z dwoma Wielkimi Płaszczami Krawcowej. Powiedziałem, że musimy się trzymać razem, ale on tylko zaczął świecić na czerwono i zignorował mnie. – Mina Brastiego stała się ponura. – Ciągle to robi, Falcio. On tylko...

– Wiem – odparłem.

Od kiedy Kest pokonał Caveila Co Przecina Wodę i został Świętym od Mieczy, coś się w nim zmieniło. Ilekroć pakowaliśmy się w tarapaty, natychmiast ruszał na najsilniejszego przeciwnika i tylko na niego. Zupełnie jakby wewnętrzny przymus brał u niego górę nad rozsądkiem.

– Falcio, potrzebujemy planu. Nie wiemy jak liczni są tu ludzie Trin. Równie dobrze może ich być dziesięciokrotnie więcej niż nas, a pamiętajmy przy tym, że noszą zbroje.

Było coś szokująco niepokojącego w fakcie, że Brasti Goodbow – człowiek, który nigdy w pełni nie rozumiał ani nie przyjął żadnego planu – był osobą, przypominającą mi o strategii. Miał jednak rację: dotąd trenowaliśmy pojedynki jeden na jednego, a nie walkę z całą armią, poza tym ciemnoszare maskujące stroje, które mieli na sobie rycerze Trin, w połączeniu z nocną mgłą bardzo utrudniały znalezienie słabych punktów w ich zbrojach. Potrzebowaliśmy jakiejś przewagi: fortelu, który mógłby ich zaskoczyć

w odpowiednim dla nas momencie...

– Brasti, musisz wyjąć Nieumiarkowanie i dostać się na dach.

To nie wypali. Może i na górze jest lepsza widoczność, ale w tej przeklętej mgle nie odróżnię przyjaciela od wroga. Z podobnym prawdopodobieństwem jak jednego z nich będę mógł trafić kogoś z naszych. Dlaczego nie mogą biegać po polu bitwy w swoich błyszczących zbrojach, jak robią to zwykle?

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza – jednej z licznych, skrywających narzędzia i przydatne drobiazgi – i znalazłem trzy kawałki kruchego bursztynowego blasku.

– Zostaw to mnie – powiedziałem. – Upewnij się tylko, że masz te cholernie długie strzały z żelaznego drzewa i włącz na dach.

– W porządku, ale nie wiń mnie, jeśli cię postrzelę przez pomyłkę – powiedział Brasti, odwracając się, by pobiec do centrum wioski, skąd przyszliśmy.

Ja tymczasem kontynuowałem poszukiwanie Aline i kilka chwil później, kiedy mgła się przerzedziła, dostrzegłem przed sobą jakąś postać. Kobieta miała czarne włosy i była zbyt wysoka jak na Aline. Spoglądała w bok i mogłem dostrzec jej szlachetne, zmysłowe rysy twarzy, dla których większość mężczyzn zrobiłaby wszystko.

Trin.

Nienawiść i strach zmieszały się niczym składniki nocnej mgły, wypełniając mnie kłębiącą się żądzą. Zacisnąłem dłonie na rapierach.

Nie dostrzegła mnie. Nie wyciągnęła nawet swojego miecza. Miałem ochotę zawołać ją po imieniu, usłyszeć, jak spływa ono z moich ust niczym przekleństwo. Chciałem widzieć jej twarz w chwili, gdy będę odbierał jej życie. Ale milczałem. Schwywanie

Trin dałoby nam ogromną przewagę, lecz jeśli spróbowałbym wyzwąć ją do walki lub usiłowałbym pochwycić ją żywcem, istniało duże prawdopodobieństwo, że jej ludzie, którzy pewnie byli w pobliżu, usłyszeliby mnie. Nie mogłem ryzykować starcia z tuzinem rycerzy rzucających się na mnie, zanim miałbym szansę rozprawić się z ich panią. Olśniewające brawurą wyczyny są fajne, ale kiedy wciąż jesteś częściowo sparaliżowany i przerażony, nieczysta wygrana jest równie dobra. Jeżeli po prostu ją zabiję, to chyba raczej nie będzie morderstwo, prawda? W końcu to bitwa – jesteśmy w stanie wojny. Nawet król by to zrozumiał, prawda?

Pozwoliłem ostrzu mojego rapiera znaleźć odpowiednią pozycję i zacząłem odmierzać trzy kroki dzielące mnie od Trin i od chwili, w której miałem uwolnić ten świat od niej. Wściekłość i frustracja, które odczuwałem przez ostatnich kilka tygodni, zapłonęły we mnie żywym ogniem. Jeszcze tylko kilka sekund i Trin miała dołączyć do swojej przeklętej matki, gdziekolwiek było miejsce dla tych, którzy mordują dzieci. Skórę na twarzy miałem napiętą i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że się uśmiecham.

I gdy byłem już wystarczająco blisko, żeby wyprowadzić sztych, Trin odwróciła się i zobaczyła mnie. Jej oczy zrobiły się ogromne na widok błysku ostrza mojego rapiera, ale gdy ujrzała moją twarz, strach w jej spojrzeniu natychmiast zmienił się w ulgę.

– Falcio! – zawołała.

Ledwie wstrzymałem ostrze, stając gwałtownie, tak że ledwie utrzymałem równowagę. „Valiana. To jest Valiana, ty idioto!” Obie z Trin były do siebie wystarczająco podobne, aby w tej piekielnej mgle mój głód zemsty zaćmił zmysły.

– Co ty tu robisz? – spytałem ostro. „Niech cię licho! Niech cię

licho porwie za to, że nie jesteś nią”. – Ukryj się w jednej z chałup, zanim ktoś cię zabije! – skarciłem ją dużo ostrzej, niż Valiana na to zasłużyła. Mój gniew był skierowany w niewłaściwą stronę.

– Ja... jestem teraz Wielkim Płaszczem – powiedziała na tyle wyzywająco, na ile mogła sobie pozwolić osiemnastoletnia dziewczyna, która nigdy w życiu nie stoczyła pojedynku. – Muszę odnaleźć Aline i ją chronić.

Tak naprawdę determinacja była jedyną prawdziwie jej, Valiany, cechą. Całe jej życie jako księżniczki okazało się podstępem, okrutnym żartem spreparowanym przez księżną Patrianę. Nie tylko ku własnej uciechu, z owej rozmyślnej pomysłowości, którą jedynie ludzie bardzo bogaci i bardzo zepsuci uważają za zabawną, ale również po to, aby ukryć Trin, jej prawowitą córkę, na widoku. Teraz Valiana miała w dłoni miecz, a na ramionach wielki płaszcz, uszyty specjalnie dla niej przez Krawcową w zamian za przysięgę, że osłoni Aline własnym ciałem przed ciosem każdego oręza. „I twoje nazwisko”, przypomniałem sobie. „Dałeś jej swoje nazwisko. Jest teraz Valianą val Mond i jest niczym córka, którą mógłbyś mieć”.

– Powinnaś się ukryć w jednej z chałup – powtórzyłem, tym razem łagodniej. – Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna.

– Przysięgałam bronić Aline – odparła Valiana, głosem mocniejszym i bardziej stanowczym niż zwykle. – Jeżeli umrę, wypełniając moją powinność, niech i tak będzie.

Przez chwilę rozważałem, czy nie wytrącić miecza z jej ręki i nie zaciągnąć jej w bezpieczne miejsce. Uczyła się fechtunku jak wszyscy arystokraci, bezpieczna w swoim zaciszu: pojedynki były zabawą, w której wszystkie zdobywane punkty oklaskiwała

entuzjastyczna publiczność. Tu, w prawdziwym świecie, była to recepta na szybką śmierć.

– Falcio! – wrzasnęła.

Lata służby nauczyły mnie – często w okrutny sposób – że jeśli na twarzy osoby stojącej przed tobą nagle maluje się przerażenie i gdy osoba ta w panice wykrzykuje twoje imię, oznacza to zasadniczo, iż za chwilę wydarzy się coś nieprzyjemnego. Zrobiłem unik, jednocześnie odwracając się, i zobaczyłem najeżoną kolcami żelazną kulę kiścienia przecinającą powietrze w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą była moja głowa. Uniosłem oba rapiery przed siebie dokładnie w momencie, gdy napastnik szykował się do zadania kolejnego ciosu.

Nigdy nie rozumiałem idei cepa jako broni: zawsze wydawał mi się powolny i nieporęczny (stąd uważałem, że jego nazwa jest nader stosowna). Jednak mój wróg był bardzo zdeterminowany, aby wyprowadzić mnie z błędu. Jego szybkie precyzyjne zamachy posyłały małą metalową kulę na końcu łańcucha dokładnie w moim kierunku. Tym razem był to atak znad głowy. Odskoczyłem w bok, spodziewając się, że kula uderzy w ziemię, wytrącając mojego przeciwnika z równowagi. Zamiast tego wykorzystał on pęd zamachu, aby skierować kulę w górę i znów ku mnie, tym razem w płaszczyźnie horyzontalnej. Widziałem kiedyś, jak uderzenie kolczastej kuli kiścienia kruszy żebra odzianemu w zbroję rycerzowi. Kościane płytki mojego płaszcza były wytrzymałe, ale jak do tej pory jakoś zawsze udawało mi się uniknąć konieczności sprawdzenia, czy oprą się cepowi. Nie sądziłem, żeby chwila obecna była właściwa dla takiego debiutu. Uniosłem prawy rapier tak, że jego sztych celował dokładnie w niebo, zrobiłem krok w tył

i odchyliłem się tylko tyle, żeby kula minęła mnie, ale łańcuch oplótl ostrze mojej broni. Szarpnąłem tak mocno, jak potrafiłem, pociągając przeciwnika ku mnie i jednocześnie wbijając drugi rapier w okolice jego pachy, gdzie powinna znajdować się szczelina między płytami pancerza. Chybiłem i po raz kolejny przekląłem ciemnoszary strój rycerza.

Valiana usiłowała dźgnąć go swoim mieczem, ale nie miała wystarczających umiejętności, aby poradzić sobie z zakutym w zbroję przeciwnikiem i jej atak lekką bronią jedynie go rozjuszył.

Ja z kolei z całych sił blokowałem ramię rycerza i dźgałem moim rapierem tak szybko, jak potrafiłem, usiłując znaleźć tę cholerną lukę w jego pancerzu. Nie były to może umiejętności szermiercze, które opiewano by w sagach, ale przecież większość tych pieśni i tak nie dotyczy Wielkich Płaszczy. Po trzech próbach ostrze mojego miecza znalazło wreszcie przerwę między hełmem i podbródkiem jego zbroi. Mężczyzna upuścił cep i padł na ziemię.

Zanim jednak mogłem się nacieszyć zasłużonym zwycięstwem, Valiana znów krzyknęła ostrzegawczo, a ja odwróciłem się i zobaczyłem nacierających na nas rycerzy. „Do licha!”, pomyślałem. „Gdybym był trochę szybszy, zdołalibyśmy uciec, zanim ci tutaj by nas znaleźli”.

Trzech rycerzy miało miecze, kolejnych dwóch – morgensterny. W tej chwili nie byłem w stanie poradzić sobie z dwoma przeciwnikami jednocześnie, nie wspominając o pięciu. „Kest dałby sobie radę”, pomyślałem i przekląłem swojego pecha, cholerną nocną mgłę oraz fakt, że nie było tu Kesta w chwili, gdy go potrzebowałem.

– Uciekaj! – krzyknąłem do Valiany. – Znajdź Kesta i zostań

z nim!

Nie posłuchała. Zamiast tego stanęła w zasłonie obok mnie. Wyglądałaby prześlicznie, gdyby pozowała do obrazu, który miał później zawisnąć na ścianie książęcego zamku, ale jej bojowa poza na nic by się zdała, gdyby wróg zaatakował.

– Falcio! – usłyszałem krzyk Brastiego dochodzący gdzieś z tyłu, sponad naszych głów. – Gdzie jesteś, do licha?

– Tutaj! – wrzasnąłem.

– Za cholere nic nie widzę. Czasem dostrzegam kształty, ale nie wiem, który z nich jest tobą, a które tymi przeklętymi rycerzami!

– A to szkoda – odezwał się jeden z rycerzy. Spojrzał na Valianę. – Księżna Trin wyświadczy specjalną przysługę temu, kto przyprowadzi do niej tę tutaj w łańcuchach – w jego głosie usłyszałem głód, który wypełnił mój umysł obrazami tego, co mogli zrobić Valianie, gdyby ją schwytali. „Nie”, pomyślałem. „Zostań na miejscu. Zachowaj spokój. Nie wygrasz samą wściekłością”.

Powietrze przecięła strzała, niemal trafiając mnie w ramię, zanim wbiła się w ziemię.

– Trafiłem go?

– Nie kieruj się brzmieniem ich głosów! – krzyknąłem. – Mgła zmienia sposób, w jaki słyszymy dźwięki. – Gdzieś tam na świecie mieszka sobie bóg lub święty, który wymyślił magię. Któregoś pięknego dnia zamierzam go zabić.

– W takim razie jak...?

Gdy pierwszy rycerz ruszył na nas, sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem kawałek bursztynowego blasku. Jest to lekka, łamliwa substancja, która, gdy ją skruszyć, świeci wystarczająco mocno, aby oznaczyć miejsce odnalezienia dowodów. Rzuciłem nią

w pierś rycerza. Na początku wyglądało to, jakby nic się nie wydarzyło, ale kilka sekund później na jego kostiumie pojawiła się mała plama bursztynowego światła, zupełnie jakby materiał zajął się ogniem.

Przez chwilę rycerz wyglądał na przestraszonego, ale szybko zorientował się, że jednak nie stoi w płomieniach.

– Głupie sztuczki Wielkich Płaszcy – powiedział, unosząc miecz.

– Co to jest? – krzyknął Brasti. – Falcio, czy to...?

– Celuj w blask, Brasti!

– Teraz! – ryknął rycerz. – Teraz, trattari! Śmierć nadchodzi! – I runął na nas.

– Pewnie, że nadchodzi, blaszaku! – krzyknął Brasti.

Rycerz miał jedynie ułamek sekundy, aby spojrzeć w górę, zanim usłyszał głucho łupnięcie długiej na dwie i pół stopy czarnej strzały, która przebiła jego pierś tak głęboko, że przez chwilę myślałem, iż wyjdzie po drugiej stronie.

– Tchórzostwo... – mruknął mężczyzna, osuwając się na kolana.

– To nie tchórzostwo, panie rycerzu – wyjaśniłem usłużnie. – To Nieumiarkowanie.

Podziękowałem w milczeniu Świętemu Merhanowi Co Dosiada Strzały za to, że uczynił Brastiego Wielkim Płaszczem. Niezależnie od tego, jak mocna jest zbroja rycerska, nie powstrzyma długiej na dwie i pół stopy strzały zakończonej żelaznym grotem i wypuszczonej z mierzącego sześć stóp łuku z czerwonego cisu i czarnego hickstenu, którego używa człowiek nienawidzący rycerzy bardziej niż jakiegokolwiek żywej istoty na tym świecie.

Pozostali napastnicy po tym zdarzeniu stali się ostrożniejsi

i zaczęli nas okrążać. Rzuciłem drugi kawałek bursztynowego blasku w jednego z nich, ale ten strząsnął go z siebie i zdusił stopą, zanim substancja zaczęła się jarzyć. No cóż, powinienem się przyzwyczaić, że mój fart jest zazwyczaj dość krótkotrwały.

Rycerz stojący naprzeciwko zwerbalizował moje myśli.

– Twoja sztuczka zadziałała tylko raz, trattari. Drugi raz ci się nie uda.

– Falcio, co się dzieje? – krzyknął Brasti. – Gdzie jest następny cel?

– Pracuję nad tym – odparłem.

Rycerz zaatakował z impetem. Odskokczyłem do tyłu, pozwalając ostrzu miecza śmignąć przed moją twarzą i uderzyć w ziemię. Ciąłem rycerza oboma rapierami w poprzek piersi, ale ten jedynie się roześmiał i nawet nie pofatygował się z zasłoną. Uderzenie rapiera w zbroję płytową jest mniej więcej tak groźne, jak delikatne muśnięcie jedwabiu. Ale ja nie usiłowałem rozplatać pancerza, lecz zakrywającą go tkaninę.

– Coś tam błyszczący – zawołał Brasti.

– To twój cel! Rób swoje!

Rycerz zrozumiał, co miało się wydarzyć za chwilę, i panicznie usiłował zakryć odsłonięty fragment lśniącej zbroi. Za późno. W mgnieniu oka strzała przeszła jego pierś.

– Valiano, zajmij się jednym z rycerzy zbrojonych w morgensterny – poleciłem. – Trzymaj się poza zasięgiem broni i nie próbuj go zabić. Postaraj się zrobić jak najwięcej dziur w okrywającym go stroju.

Pozostali rycerze ruszyli na nas, ale była to walka, którą spokojnie mogłem podjąć. Dwóch usiłowało mnie oskrzydlić, ale

moje rapiery były równie długie jak ich miecze, a do tego dwa razy szybsze. Poza tym nie musiałem się starać, by zadawane cięcia były precyzyjne.

– Myślę, że widzę... – dobiegł mnie głos Brastiego.

– Zaczekaj, aż będziesz pewny! – krzyknąłem z obawy, że może mylnie wziąć błysk moich mieczy za lśnienie zbroi.

Jeden z rycerzy usiłował skrócić mnie o głowę. Prześlizgnąłem się pod mieczem i pobiegłem za nim. Zaledwie dwa szybkie cięcia wystarczyły, żeby odsłonić pancerz na jego plecach. Raczej nie zdołał tego zauważyć, kiedy się odwrócił, żeby znów się ze mną zmierzyć. Słońce stojące dokładnie nad naszymi głowami zaczęło powoli przebijać się przez nocną mgłę – wystarczająco, by promienie odbiły się od zbroi rycerza. Chwilę później strzała zatopiła się w jego ciele.

Usłyszawszy świst kolejnej, odwróciłem się i zobaczyłem, jak trafia w nogę przeciwnika Valiany. „Grzeczna dziewczynka. Nie staraj się wystawić go na śmiertelny strzał – zadowol się tym, co wykonalne”. Kiedy rycerz osunął się na kolano, Valiana zaatakowała i chwilę później mężczyzna padł z gardłem przeszytym następną strzałą.

Drugi szermierz starał się trzymać blisko mnie, ale była to walka szybkości i zręczności, a tu, pomimo niedawnej niemocy, ciągle miałem przewagę. Oskoczyłem do tyłu i wykonałem trzy cięcia, odsłaniając duży fragment jego napierśnika. Chwilę później odnalazła to miejsce strzała Brastiego. Teraz musiałem już tylko rozprawić się z drugim zbrojnym w morgenstern.

Usłyszałem krzyk i odwróciłem się. Zobaczyłem Valianę, jej miecz leżący na ziemi kilka stóp dalej oraz ostatniego rycerza

szykującego się do powalenia dziewczyny morgensternem. Śmierć od takiego uderzenia byłaby natychmiastowa. Oczami wyobraźni zobaczyłem Valianę leżącą ze zmiażdżoną czaszką. Puściłem się pędem w ich kierunku, przeklinając wszystkich świętych, których potrafiłem nazwać, wiedziałem bowiem od razu, że nie dobiegnę na czas. Rycerza nadal okrywał ciemnoszary kostium, a kłębiąca się wokół mgła ciągle była zbyt gęsta, żeby Brasti zdołał dostrzec cokolwiek poza rozmytymi zarysami postaci. Valiana poślizgnęła się i upadła na ziemię. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby w tej chwili Brasti posłał strzałę, z równym prawdopodobieństwem mógłby zabić zarówno mnie, Valianę, jak i rycerza. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia.

– Brasti, strzelaj.

– Falcio, ja nie widzę...

– Strze...

Mgła rozrzedziła się nagle i z tumanu wynurzyła się postać z mieczem w ręce, biegnąca w kierunku Valiany i rycerza. Człowiek ten roztaczał wokół siebie czerwoną poświatę, jakby tuż pod powierzchnią jego skóry płonął ogień. „Demon”, pomyślałem. „Trin znalazła sposób, żeby napuścić na nas demony”. W ostatniej chwili postać dzierżąca miecz w chwycie odwrotnym, z ostrzem skierowanym w dół, wybiła się w górę, przeskakując bez wysiłku nad dziewczyną. Opadając, wbiła miecz w pierś rycerza z potworną miażdżącą siłą. Klinga przebiła zbroję i zanurzyła się głęboko w jego ciele. Świat na krótką chwilę zamarł.

– Tego jeszcze nie próbowałem – powiedział Kest, wyciągając zakrwawiony miecz z trupa.

Był spokojny i zrelaksowany, jakby przed chwilą wyszedł

z gorącej kąpieli.

– Co się dzieje? – krzyknął Brasti. – Nie mogę...

– Wszystko w porządku – odparłem, wyciągając rękę i pomagając Valianie wstać. – Święty od Mieczy wreszcie postanowił się objawić.

Kest spojrzał na mnie, unosząc brew.

– Byłem zajęty zabijaniem siedmiu rycerzy. Ilu ty pokonałeś?

– Nie aż tak wielu – przyznałem.

Z mgły wynurzył się Brasti, niosąc w jednej ręce Nieumiarkowanie, a w drugiej pół tuzina strzał.

– Ja zabiłem ośmiu – powiedział.

Byłem pewny: kłamał jak z nut.

Trudno mi opisać ulgę spowodowaną przybyciem Kesta. Był moim najlepszym przyjacielem i najgroźniejszym szermierzem, jakiego znałem. Z nim i z Brastim u boku miałem wrażenie, że mgła właśnie się podnosi. Razem mogliśmy dać radę wszystkim ludziom Trin i odnaleźć Aline.

Kolejna postać wychyłała z mgły.

– Wy! – wrzasnęła, podchodząc bliżej. Rozpoznałem w niej jednego z Wielkich Płaszcy Krawcowej. Jego twarz stała się nagle trupioblada i zorientowałem się, że każde z nas – Kest, Brasti, Valiana i ja – wymierzyło w niego swoją broń.

– Chodźcie ze mną – powiedział, opanowując się z podziwu godnym wysiłkiem. – Krawcowa chce się z wami widzieć.

– Gdzie?

– Przy koniach. Reszta rycerzy Trin uciekła. Zabrali ze sobą Aline.

ROZDZIAŁ 4

FORTEL

Dotarcie na drugi koniec wioski zajęło nam kilka minut. Do tego czasu czarno-szary opar zdążył się już rozproszyć, jakby wiedział, że jego misja została wypełniona. Pozostał jedynie rozwiewany kilkoma rzadkimi smugami dym, sprawiający, że paliło mnie w płucach, oraz chaos, który bez wyjątku nastaje po każdej bitwie.

Na wiejskich drogach leżały porozrzucane ciała. Naliczyłem cztery martwe Wielkie Płaszcz i niemal dwudziestu pięciu rycerzy Trin, ale jednych i drugich znacznie przewyższali liczebnie mieszkańcy wioski. Nasi zdrajcy zostali uwięzieni we mgle, którą sami pomogli stworzyć, zakleszczeni pomiędzy dwiema walczącymi siłami. Ziemia została usłana ich ciałami. Ci spośród nich, którzy byli ranni, wołali o pomoc, nieliczni nadal mieli wystarczająco sił, żeby pomagać poważnie okaleczonym, większość jednak umierała lub już była martwa.

Znalazłem Krawcową mniej więcej sto jardów dalej, przy koniowiazach, w otoczeniu tuzina Wielkich Płaszcz. Starucha miała na sobie własnoręcznie uszyty płaszcz, a jej zwykle potargane siwe włosy zostały związane z tyłu. Oczy Krawcowej były

promienne i jasne, wyglądała jak zaprawiony w bojach generał, a nie tajemnicza, waleczna szwaczka, którą znałem od tylu lat. Nie dostrzegłem najmniejszych oznak niepokoju na jej twarzy ani we wzroku jej ludzi. Kiedy zaś spojrzałem na konie, zauważyłem, że żaden z nich nie był osiodłany.

– Dlaczego, do licha, tu stoicie? – spytałem ostro. – Czy macie jakiegokolwiek...

– Zaczekaj – Krawcowa uniosła dłoń, żeby mnie uciszyć.

– Oszalałaś do reszty? Schwytali Aline! – zacząłem się przepychać koło niej w kierunku koni. Dwa Wielkie Płaszczce zastąpiły mi drogę, trzymając dłonie na główkach mieczy. Kest i Brasti w odpowiedzi stanęli przy mnie. Odwróciłem się do Krawcowej.

– Czy chcesz mnie powstrzymać od uwolnienia dziedziczki tronu? Twojej własnej wnuczki?

– Nie zapomniałam, kim jest Aline. – Krawcowa spojrzała na znajdujących się w pobliżu wieśniaków. – Mamy plan i będziemy się go trzymać.

Spokój w jej głosie – kompletny brak najmniejszych oznak paniki, która mną zawładnęła – znacząco utrudnił mi zachowanie spokoju. Dla Brastiego okazało się to niewykonalne.

– Mam pomysł – powiedział. – Jak zlejemy twoich ludzi do nieprzytomności, dosiędziemy naszych koni, ocalimy dziewczynę, a kiedy wrócimy, będziesz mogła nam opowiedzieć o tym swoim planie, co?

Krawcowa spojrzała na naszą trójkę z pogardą, jakiej nigdy przedtem u niej nie widziałem – jak nauczyciel, który ma już dość niańczenia niezbyt lotnego ucznia.

– Zamilknij i chodź ze mną – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Niech to wszystko lichy porwie – odparł Brasti. – Chodź, Falcio, nauczymy tych fircyków odzianych w czarne skóry, dlaczego prawdziwe Wielkie Płaszczki nigdy przed nikim nie chylą czoła.

Bardzo tego chciałem – tylko bogowie wiedzą, jak bardzo. Krawcowa musiała zrozumieć, że nawet jeśli dowodziła swoją własną małą armią mężczyzn i kobiet – którzy wyglądali jak Wielkie Płaszczki i tak siebie nazywali, mimo że zachowywali się raczej jak żołnierze i szpiecy, a nie trybuni – to nad nimi władzy nie miała. Coś jednak w jej minie sprawiło, że się powstrzymałem. Krawcowa wiedziała o czymś, czego ja nie byłem świadom.

– Pójdziemy z tobą – powiedziałem. – Lepiej jednak, żebyś powiedziała coś, co dowiedzie twojej lojalności wobec dziedziczki tronu. I to szybko.

Bez słowa odpowiedzi weszła do pobliskiej chaty. Ruszyłem za nią, dając Kestowi i Brastiemu znak, żeby mi towarzyszyli.

Przez szczeliny w ścianach do wnętrza chaty wkradały się promienie słoneczne, jednak ledwie rozświetlały panującą tu ciemność. Kiedy wszyscy trzej weszliśmy do środka, Krawcowa gestem nakazała mi zamknąć drzwi.

– Bądźcie cicho i zachowujcie się bardzo spokojnie.

Nie chciałem być cicho ani zachowywać się spokojnie. Miałem ochotę wrzeszczeć z wściekłości, ale wtedy Krawcowa wskazała odległy kąt izby.

Najpierw widziałem jedynie cienie, ponieważ moje oczy jeszcze nie doszły do siebie po przejściu z ciemności w światło i znów w ciemność. Powoli z półmroku zaczęły się wyłaniać kontury i linie,

zaś niewyraźne cienie przybrały kształt postaci siedzącej na krześle. Dziewczyny.

Chciałem wykrzyknąć jej imię, ale Brasti zasłonił mi usta dłonią. Miał lepszy wzrok niż ja i Kest, i zapewne dostrzegł ją chwilę wcześniej. Dziewczyna wstała z krzesła i podeszła bliżej. Widziałem już wyraźnie długie do ramion, rozczochrane brązowe włosy, znoszoną wyblakłą zieloną suknię i ładną twarz o rysach, które, podobnie jak u jej ojca, były nieco zbyt ostre, aby nazwać je pięknymi. „To ona, dzięki wszystkim świętym! To Aline”.

Brasti zabrał rękę z mojej twarzy. Przyklęknałem i objąłem Aline. „Bogowie, zatrzymajcie obrót ziemi”, pomyślałem z ulgą. „Pozwólcie mi być szczęśliwym jeszcze przez kilka chwil”.

– Bałam się – szepnęła mi Aline do ucha.

– Naprawdę? – spytałem drżącym głosem. – Nie mogę sobie wyobrazić, czego niby miałaś się bać.

Puściła mnie i spojrzała mi w oczy.

– Nie mogłam być tam z tobą i podawać ci noży, jak w Rijou. Bałam się, że zostaniesz ranny, a mnie tam nie będzie.

Zawsze mnie to intrygowało – jak to się dzieje, że Aline, pomimo swojego przenikliwego intelektu, brzmiała czasami dla mnie jak osoba znacznie młodsza niż trzynastolatka.

Brasti prychnął.

– Nasza dziewczynka jest bardzo sprytna, Falcio. Doskonały instynkt przetrwania. Nie mogę się doczekać, kiedy osadzimy ją na tronie.

– W porządku – wtrąciła się Krawcowa. – Wystarczy tych czułości. Dziewczyna jest bezpieczna i wszyscy znów jesteśmy przyjaciółmi. A teraz wracajmy do pozostałych i pamiętajcie, żeby

trzymać gęby na kłódkę. Niektórzy z mieszkańców wioski nadal żyją, a nie możemy im już dłużej ufać.

– Ale kogo w takim razie uwieźli z sobą rycerze? – spytałem. – Twój człowiek powiedział, że Aline.

– Widział, że zabierają z sobą dziewczynę – odparła Krawcowa. – Tę, którą znają jako Aline. To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Oddałaś im dziewczynę, którą znają jako Aline? Przecież ją zabijają!

– Kilka minut temu podważyłeś moją lojalność wobec dziedziczki tronu. Teraz twierdzisz, że robię dla niej zbyt wiele? Posłuchaj mnie, Falcio. Posłuchaj uważnie. Liczy się tylko jedno: Aline musi być chroniona, żeby mogła objąć tron. Nic nie może przeszkodzić temu zadaniu. I nic nie przeszkodzi.

Wróciłem myślą do martwej dziewczyny gdzieś tam, w wiosce, i do jej jasnych włosów, purpurowych od krwi. Czy ona również była jednym z pionków w grze Krawcowej? Czy zginęła, usiłując sprowadzić rycerzy Trin na fałszywy trop? Jak daleko król chciałby, żebyśmy się posunęli, chroniąc Aline? „Nie tak daleko”, powiedziałem sobie. Król nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

– W wiosce było dziecko – zacząłem ostrożnie. – Dziewczynka w wieku Aline. Czy ona...

– Nie miałam z nią nic wspólnego. Ten idiota Braneth wiedział, że Celeste nienawidzi zostawać sama. Powinien się upewnić, że ktoś w ich górskiej kryjówce będzie miał na nią oko. Głupiec, zbiera teraz żniwo swojej zdrady, niech zlituje się nad nim jakiś wielkoduszny święty.

Wspomnienie rozpaczy mężczyzny, który trzymał w ramionach

okaleczone martwe ciało swojego dziecka, napełniło mnie jednakowo smutkiem i zmieszaniem.

– Przygotowałaś się na ten atak – powiedziałem. – Musiałaś. Tylko jak mogłaś to wszystko zaplanować? Skąd wiedziałaś, że po nią przyjdą?

– Nie wiedziałam – odpowiedziała Krawcowa i podeszła do krzesła, które wcześniej zajmowała Aline i usiadła na nim. – Miałam jednak świadomość, że coś takiego wkrótce się stanie. – Jej spojrzenie trafiło na mały stolik. – Aline, moja droga, bardzo proszę, podaj mi kubek tego czegoś, cokolwiek tam jest w tym dzbanku – wskazała palcem.

Aline skinęła głową i wypełniła poobijany metalowy kubek czymś, co wyglądało jak piwne popłuczyny.

– Trin jest słaba – powiedziała Krawcowa, upijając łyk z kubka. – Mimo całego swojego podłego geniuszu odziedziczonego po Patrianie, nadal jest tylko osiemnastoletnią dziewczyną i, co więcej, jeszcze kilka tygodni temu wszyscy sądzili, że jest służącą Valiany.

– Trin ma za sobą armię czterokrotnie większą niż wojska księcia Pulnamu – zauważył Kest.

– Owszem, ma armię: armię mężczyzn dwa razy od niej starszych, którzy nie mają żadnego powodu do lojalności wobec niej, poza tradycją i szlachebnym urodzeniem. Kiedy Patriana władała Hervorem, robiła to umiejętnie i z ogromnym sprytem. Jej armia wygrała wszystkie bitwy, jakie toczyła przez ostatnie dwadzieścia lat, zaś samo księstwo doskonale prosperowało. Teraz jednak Patriana nie żyje, za co powinniśmy dziękować bogom.

– A teraz mają Trin – powiedziałem, podążając za tokiem

rozumowania Krawcowej. – Młodą. Niedoświadczoną...

– Nie! – przerwała mi głosem niemal radosnym. – Doświadczoną, a jakże! Niemal od miesiąca stara się zmusić księcia Pulnamu, żeby ten zgiął przed nią kark i co jej z tego przyszło? Nic poza trupami własnych żołnierzy!

Gdyby armie Hervoru pod przywództwem Trin kiedykolwiek zmierzyły się na polu bitwy z nędznymi, niewyćwiczonymi siłami Errisa, księcia Pulnamu, wątpię, żeby ten ostatni wytrwał w walce choćby jeden dzień. Jednak Wielkie Płaszczce Krawcowej przypuszczały szybkie, kąśliwe ataki na wojska Trin, zmuszając je do ciągłej defensywy. W ten sposób armia, która przez dwie dekady pozostawała niepokonana, teraz była powstrzymywana przed ostatecznym zniszczeniem swojego wroga przez marną setkę Wielkich Płaszczy.

– Musiała nas zaatakować – zgodziłem się. – Ale skoro wieśniacy nas sprzedali, dlaczego nie wysłała tu całej swojej armii?

– Nadal są zbyt daleko. – Kest wyglądał, jakby obliczał w głowie szanse. – Próby przemieszczenia tak wielu ludzi w bardzo krótkim czasie naraziłyby ich na atak ze strony wojsk Pulnamu.

Wyobraziłem sobie Trin, obnoszącą się ze swoją urodą i arogancją wobec generałów wojsk Hervoru. Kiedy trzeba, potrafiła być znakomitą aktorką, zdolną udawać niewinność i uwodzicielskość jednocześnie, jak i popełniać od niechcienia okrutne i brutalne czyny. Oszukała nas wszystkich, odgrywając nieśmiałą młodą kobietę, nawet wtedy, gdy zamordowała lorda Tremondiego i manipulowała wszystkimi dookoła. „Trin uwielbia gierki”, pomyślałem. „Musi być jakiś sposób, żeby to wykorzystać, gdy przyjdzie odpowiedni moment”.

– Musi pokazać swoim rycerzom, że jest równie przebiegła i mądra jak jej matka – powiedziała Krawcowa. – Muszą uwierzyć, że potrafi ich poprowadzić do jeszcze wspanialszych zwycięstw. Nie może tak po prostu wysłać dziesięciu tysięcy ludzi, żeby zmiażdżyć setkę. Aby zrobić odpowiednie wrażenie, musi zadać nam bolesny cios, wykorzystując zaledwie kilku swoich ludzi: musi to być zwycięstwo odniesione bardzo małym kosztem. Zamordowanie ciebie, Falcio, w jakiś pomysłowy i teatralny sposób było jednym z prawdopodobnych scenariuszy.

– Miałaś jakiś plan ochrony mojej osoby?

Dziabnęła palcem w stronę Kesta.

– Uznałam, że ten tutaj się tym zajmie.

– Zdajesz sobie sprawę, że również tu jestem? – zapytał Brasti.

Krawcowa zignorowała go.

– Jednak najwyższą stawką byłoby uprowadzenie Aline. Wyobraźcie sobie Trin, wlokącą dziedziczkę króla Paelisa przez błoto i gnój na oczach wszystkich generałów, opowiadającą o swoim sprytnym zwycięstwie przy akompaniamencie wiwatów żołnierzy, zanim oddałaby im dziewczynę.

Bogowie, ileż by się ona nacierpiała, zanim ktoś wreszcie poderżnąłby jej gardło. „Zrobią to samo z dziewczyną, którą podsunęła im Krawcowa”, zdałem sobie nagle sprawę.

– Ta dziewczyna... ta, którą przebrałaś za Aline...

– Dziewczyna, którą wysłałam, wie, jak się bronić – przerwała mi Krawcowa. – Nie powiem ci nic więcej. Zostawi dla nas trop i za godzinę pošlemy za nią Wielkie Płaszcze.

– Dlaczego nie od razu?

– Gdzieś w drodze pomiędzy nami a armią Trin znajduje się

grupa wojsk, odwód dla tych, którzy nas zaatakowali. Trin zajęła jedną z wiosek lub rozłożyła się gdzieś obozem. Chcę wiedzieć, gdzie on się znajduje. Chcę dostać jej ludzi – uśmiechnęła się i nie był to przyjemny widok. – Ta mała suka sądziła, że uda się jej wystrychnąć mnie na dudka? Niech więc stanie przed swoimi dowódcami polowymi, tłumacząc się, w jaki sposób nie tylko nie schwytała Aline, ale zdołała jeszcze przy okazji stracić setkę ludzi. Zobaczymy, czy to nie podsunie kilku generałom jakichś pomysłów w kwestii księżęcej sukcesji w Hervorze.

– A jeżeli wcześniej, zanim jeszcze powrócą do obozu, zorientują się, że nie mają Aline? Co, jeśli zechcą... rozprawić się z nią od razu?

Krawcowa wzruszyła ramionami.

– Wszyscy podejmujemy ryzyko. Poza tym żaden z rycerzy Trin nigdy nie widział Aline. Na pewno zaopiekują się nią właściwie aż do czasu dotarcia do obozu – stara kobieta wstała z krzesła i gestem nakazała Aline zająć jej miejsce. – A teraz Aline zostanie tutaj i będzie cicho. My zaś wszyscy wyjdziemy i będziemy o tym milczeć.

Rozumiałem potrzebę udawania przed wieśniakami, by fortel się udał, jednak wydało mi się okrucieństwem zataić przed pozostałymi Wielkimi Płaszczami fakt, że Aline żyje i ma się dobrze. Sam niemal postradałem zmysły, gdy myślałem, iż została porwana... Bogowie...!

– Musimy znaleźć Valianę! Ona nie zna twojego planu i nadal sądzi, że Aline została schwytana!

– W porządku. Możesz jej powiedzieć – zgodziła się Krawcowa. – Zróbcie to jednak po cichu. Żadnych okrzyków radości ani...

– Nie rozumiesz! Valiana uważa, że jej świętym obowiązkiem jest chronić Aline. A ponieważ jak dotąd tu nie wtargnęła, by dowiedzieć się czegoś o planie wyswobodzenia swojej pani, oznacza to, że sama ruszyła ją ratować!

Wybiegłem z chaty i rozejrzałem się dookoła, ale dostrzegłem jedynie Wielkie Płaszcze. Kiedy dotarłem do koni, zauważyłem, że brakuje szarej klaczy Valiany.

Poczułem dłoń na ramieniu i odwróciwszy się, zobaczyłem Krawcową.

– Falcio, nie możesz za nią pojechać. Narazisz nasze plany na niebezpieczeństwo. Valiana sama dokonała takiego wyboru...

– Bo myśli, że rycerze Trin porwali Aline, do jasnej cholery! Złapią ją... a co, jeśli Trin znajduje się w obozie?

„Święci, nie pozwólcie na to”. Nienawiść Trin do Valiany nie miała granic. To, co by jej zrobiła, sprawiłoby, że tortury, jakich doświadczyłem z rąk jej matki, byłyby niczym.

– Nie możesz jechać – powtórzyła stanowczo Krawcowa. – Nawet gdybyś to zrobił, Valiana jest już zbyt daleko. Nigdy jej nie dogonisz. Nie. Musimy się trzymać planu.

– Niech diabli porwą twoje plany! – odepchnąłem ją od siebie. Pozostała już tylko jedna rzecz, którą mogłem zrobić.

Ruszyłem biegiem w odległy rejon stajni, gdzie stał przywiązany samotny koń, trzymany z dala od pozostałych: olbrzymia, pokryta bliznami kreatura stworzona z gniewu i nienawiści. Była jednym z legendarnych wieszczych koni, przynajmniej na początku, dopóki Patriana, księżna Hervoru, nie pochwyciła jej i nie zaczęła wieloletnich tortur, usiłując zmienić klacz w narzędzie wojny. Stworzyła potężnego, złego potwora o zaostrzonych zębach i sercu

wypełnionym wściekłością równą mojej. Nazywaliśmy ją Bestią.

Odwiązałem ją i wydała z siebie coś pomiędzy rżeniem a warknięciem, co oznaczało, że dziś nie ma zamiaru nigdzie się ruszać.

Zebrałem się w sobie i wskoczyłem na jej grzbiet.

– Valiana potrzebuje naszej pomocy! – krzyknąłem klaczy do ucha. – Jest z naszego stada. Dan’he bath fallatu. „Jest z twojego stada”. Zostanie pochwycona przez Trin, źrebaka tej, która torturowała twoje młode. Trin obedrze Valianę ze skóry, jeśli razem nie pojedziemy i nie będziemy o nią walczyć.

Eksplozja wściekłości i spazm mięśni sprawiły, że niemal spadłem z grzbietu Bestii, ale wczepiłem się w nią kurczowo, gdy zaczęła rozkopywać kopytami ziemię, wzbijając tumany pyłu i piasku, i pomknęła przez spalone trawiaste równiny poza wsią w kierunku gór. Wielki koń pałał żądzą mordy.

Podobnie jak ja.

ROZDZIAŁ 5

JENIEC

Rycerze nie starali się zbytnio, żeby zatrzeć za sobą ślady. Kiedy dojeżdżali do rozstajów szerokich ubitych ścieżek, uchodzących w tej części Pulnamu za trakty, jechali w złym kierunku kilkadziesiąt jardów, a potem zawracali. Nie dałem się oszukać i sądząc po śladach Valiany, ona również. Oznaczało to, że dopadnie rycerzy, zanim ją dogonię.

Oddaliliśmy się o jakieś dziesięć mil od wioski i wtedy dostrzegłem w pewnej odległości pięć koni. Byłem pewny, że jednym z nich jest siwa klacz Valiany. To zaś oznaczało, iż ciało leżące na ziemi należało do niej samej. Jeden z rycerzy starał się przydusić ją butem, podczas gdy jego towarzysze opędzali się przed zamaszystymi ciosami młodej kobiety odzianej w żółtą niegdyś suknię, teraz powalaną brązowym pyłem. Dziewczyna walczyła mieczem mierzącym niemal tyle, ile miała wzrostu. Musiała go zatem odebrać jednemu z rycerzy. Władała nim z podziwu godnym kunsztem, pomimo jego ciężaru, lecz miała aż czterech przeciwników i wątpiłem, by dłużej potrafiła utrzymać ich na dystans. Ja zaś wciąż znajdowałem się za daleko.

– K'hey! – zawołałem do Bestii, wyciągając rapiery. „Leć”.

Ogromna klacz wydała głośnie rzenie, które przeszło przestrzeń dzielącą nas od kamieniołomu, i zobaczyłem jednego z rycerzy, odwracającego się w naszym kierunku. Dostrzegł, jak błyskawicznie pokonujemy przestrzeń. Nie miał na głowie hełmu, ja zaś znajdowałem się już na tyle blisko, żeby widzieć rozszerzone strachem oczy – efekt szarżującej Bestii. Nie powinien był jednak spuszczać z oka dziewczyny w żółtej sukni. Ta zamachnęła się i jednym ciosem miecza ścięła jego głowę.

Zeskoczyłem z grzbietu Bestii i starłem się z człowiekiem, który przyciskał Valianę do ziemi. Pchnąłem rapiерem, celując w jego twarz, zmuszając go do cofnięcia się. Valiana nie podnosiła się i zrozumiałem, że jest nieprzytomna. Rycerz uniknął mojego ciosu po to tylko, by dostać się pod kopyta Bestii. Musiałem odskoczyć na bok, gdy wielka klacz tratowała leżącego na ziemi mężczyznę.

Jeden z pozostałych rycerzy zyskiwał przewagę nad dziewczyną w żółtej sukni. Chociaż była silna, wiedziałem, że wyczerpała ją walka ciężkim mieczem. Rycerz chciał uderzyć z góry. Chwyciłem od tyłu jego ramię i pociągnąłem do siebie tak mocno, jak potrafiłem, z nadzieją, że wytrącę go z równowagi. Rycerze w zbrojach nie radzą sobie, gdy upadną na plecy. Kiedy poczuł opór mojej ręki, uderzył w tył zgiętym łokciem. Obróciłem głowę w ostatnim momencie, ale pancerny nałokietnik rycerza zetknął się z moim obojczykiem tak mocno, że mogłem tylko dziękować za kościane płytki w płaszczu.

Uderzyłem rycerza głowicą rapiera – nosił przyłbicę, ale udało mi się przyłożyć mu w łeb tak mocno, że się zatoczył. Na nieszczęście, dziewczyna w tym czasie przesunęła się za jego plecy

i gdy rycerz upadł, przygniótł ją do ziemi swoim ciężarem.

– Nie martw się o mnie, ty idioto! – krzyknęła, z wysiłkiem wyciągając spod zwalistego rycerza rękę, w której dzierżyła sztylet, jednocześnie usiłując zrzucić go z siebie. – Ten ostatni ucieka! Jeżeli mu się uda, cały plan się zawali!

Kątem oka dostrzegłem rozmazaną plamę: pozostający przy życiu rycerz porwał z ziemi Valianę i odjeżdżał na czarnym koniu w stronę pobliskich wzgórz.

Podbiegłem do Bestii. Ledwie udało mi się wskoczyć na jej grzbiet, gdy ruszyła cwałem za rycerzem na czarnym rumaku. Jego koń był szybki, ale Bestia to uosobienie prędkości i furii. Dopadliśmy ich błyskawicznie. Bestia naparła na bok rumaka, zrzucając rycerza i Valianę na ziemię, przypominając mi po raz kolejny, że zawsze płaci się jakąś cenę za wykorzystanie kreatury tak niebezpiecznej, jak oszalały wieszczy koń.

Rycerz szybko się pozbierał. Zdołał się podźwignąć na kolana i sięgał po buzdygan wiszący u pasa. Do tego czasu zdążyłem jednak już wycelować sztych mojego rapiera w jego gardło, precyzyjnie umieszczając go ponad obojczykiem zbroi i tuż pod brodą.

– Poddaj się – zażądałem.

Rycerz odsunął dłoń od maczugi.

– Poddaję się – powiedział.

Nadal trzymając go pod bronią, spojrzałem najpierw na Valianę, która wyglądała na oszołomioną, lecz przynajmniej przytomną, potem zaś na dziewczynę w żółtej sukni, zmierzającą ku nam ze sztyletem w dłoni. Jej przeciwnik leżał kilka jardów dalej wraz z innymi, najprawdopodobniej martwy.

– Musisz go zabić – powiedziała dziewczyna. – Nikt nie może się dowiedzieć, co się tu wydarzyło.

– Poddał się. Jest naszym jeńcem.

Nie zwolniła kroku. Dostrzegłem wreszcie, że nazywanie jej dzieckiem byłoby nieprecyzyjne. Owszem, była młodą, może dwudziesto-, a z pewnością nie więcej niż dwudziestopięcioletnią kobietą, dość niską, bo przy wzroście nieco ponad pięciu stóp nie przewyższała Aline. Miała młodzieńczą twarz, dzięki której mogła uchodzić za nastolatkę, ale jedno spojrzenie w jej oczy rozwiewało wszelkie wątpliwości co do tego, że nie była dzieckiem.

– Powiedziałam: zabij go...

– A ja powiedziałem, że ten człowiek jest moim jeńcem. A teraz powiedz mi, jak masz na imię i...

Dziewczyna przeszła obok mnie tak swobodnie, że byłem zdziwiony, gdy odtrąciła na bok ostrze mojego rapiera i nie zaszczycając mnie najmniejszym spojrzeniem, wbiła sztylet w gardło rycerza. Napierała powoli, lecz pewnie, wyginając ciało klęczącego do tyłu, aż wreszcie gwałtownym skrętem nadgarstka wyrwała sztylet. Z gardła umierającego wytrysnęła fontanna krwi.

Byłem wstrząśnięty obojętnością, z jaką zabiła człowieka, który przecież się poddał. Nie szukałem jednak konfrontacji.

Jeszcze nie.

– Kim jesteś? – spytałem znowu. Nie odpowiedziała, a ja nie czekałem na jej słowa. Valiana siedziała na ziemi, nadal wyraźnie oszołomiona. Przyklęknałem, żeby obejrzeć jej rany.

– Valiano, to ja, Falcio. Jesteś ranna?

– Mam na imię Darriana – odezwała się kobieta zza moich pleców. – A ta dziewczyna nie jest nawet w połowie tak poraniona,

jak będziesz ty, jeżeli jeszcze raz staniesz mi na drodze.

Valiana miała siniaka na policzku i wyglądało, jakby oberwała w głowę, mimo że nie widziałem śladów krwi.

– Jesteś o połowę za mała, żeby rzucać takie groźby – warknąłem przez ramię.

Poczułem ostrze sztyletu na karku. Ta cała Darriana była sprytna. Gdyby sięgnęła nad głowę, żeby przyłożyć mi ostrze do gardła, mógłbym ją złapać za ramię i przerzucić przez bark. W ten sposób miała pełną kontrolę.

– Nie słyszałeś, co powiadają? – spytała. – Nieważne, jak wysoki jest człowiek, tylko jak długi miecz dzierży.

– Pracujesz dla Krawcowej, zakładam więc, że jesteś jednym z jej nowych Wielkich Płaszczy. Może w takim razie powinnaś się również stosownie zachowywać?

– Wielkie Płaszcze? – usłyszałem, jak kobieta pluje. – Dlaczego miałabym chcieć zostać Wielkim Płaszczem?

Gdyby Kest był tu z nami, potrafiłby mi zasugerować z pół tuzina sposobów, w jaki można poradzić sobie ze sztyletem, informując mnie również o prawdopodobieństwie sukcesu i przypominając, że w ogóle nie powinienem odwracać się plecami do kogoś, kogo dopiero co poznałem.

Zignorowałem jego mądry – nawet jeśli tylko wyobrażony – wykład i zamiast tego pomogłem Valianie wstać. Jeżeli ta kobieta chciała mnie zabić, nie zamierzałem oponować. Byłem zmęczony, obolały i wściekły. I miałem dość bycia zmęczonym, obolałym i wściekłym.

– Zabieram Valianę z powrotem do wioski – oświadczyłem. – Możesz pomóc albo nie.

Nacisk stalowego ostrza na moim karku zelżał.

– Zbiorę pozostałe konie – powiedziała. – Postaraj się niczego więcej nie sknocić podczas mojej nieobecności.

ROZDZIAŁ 6

ZDRADA

Kilka godzin później byłem już z powrotem w mojej wiejskiej chacie, pakując rzeczy i przygotowując się do porannego wyjazdu. Krawcowa ufała, że jeśli nadal będziemy nękać oddziały Trin, zwiążemy jej ruchy przez wystarczający czas, by ksiązę Erris zdołał zmobilizować swoje wojska. Wszystko, co musieliśmy zrobić, to nie pozwolić Trin odnieść zwycięstwa tak długo, żeby jej generałowie zwątpili w nią. Wtedy być może nawet udałoby się nam ich przekonać, że naiwna trzynastolatka na tronie byłaby lepsza od psychotycznej osiemnastoletniej morderczyni z zamiłowaniem do wymyślnych tortur.

Zastanawiałem się, co się stanie z tą osadą po naszym wyjeździe. Płacze i jęki nielicznych wciąż jeszcze żywych, ale bez nadziei na ratunek, zdążyły już ucichnąć. Ich rodziny wróciły z górskich kryjówek, zastając straszliwe zniszczenia, jakie dotknęły tego miejsca, które – dopóki nie pojawiły się tu Wielkie Płaszcze – zdołało przetrwać niezliczone najazdy i spory terytorialne na przestrzeni setek lat. Kobiety i dzieci były tak wstrząśnięte i wściekłe, że obawiałem się ich natychmiastowego ataku na nas.

Ostatecznie jednak mieliśmy nad nimi przewagę zarówno liczebną, jak i w uzbrojeniu, więc po prostu zajęły się swoimi zmarłymi i konającymi, a potem ruszyły z powrotem w góry, przez cały czas nas przeklinając.

Wspomnienie ich twarzy zachwiały moją wiarą w króla, bodaj po raz pierwszy w życiu. Ileż to lat spędził na planowaniu, intrygach, obmyślaniu strategii i taktyki, aby wreszcie w jego złamanym, pełnym goryczy kraju zapanowały pokój i sprawiedliwość – i w efekcie z czym nas zostawił? Nikt, nawet ci najbliżsi królowi, nie znał jego zamiarów. Zaledwie na kilka dni przed utratą głowy i tronu na rzecz książąt Paelis obarczył każdego z nas z osobna tajemnicą oraz specjalnym rozkazem, a potem rozesłał nas w cztery strony świata. Stu czterdziestu czterech ludzi – mężczyzn i kobiet – wyruszyło w sto czterdzieści cztery kierunki i nigdy nie dowiedziało się, jaki los spotkał pozostałych.

Przez pięć lat poszukiwałem czegoś, co Paelis nazwał „królewskimi czaroitami”, chociaż nie miałem pojęcia, czym są. W moim rozumieniu czaroity były rzadkimi kamieniami szlachetnymi. W końcu odnalazłem Aline: ukrywaną córkę króla. Jego krew. Jego dziedziczkę. Najrzadszy klejnot ze wszystkich.

I co teraz miałem zrobić? Wprowadzić Aline na tron?

„Czy na tym polegał cały twój plan, ty tyczkonoga, póżywa z głodu parodio króla?” Dzieliliśmy marzenie – on i ja. Na początku byliśmy tylko my dwaj, ale stopniowo skłoniliśmy innych, żeby również w nie uwierzyli. Każdy prawdziwy Wielki Płaszcz potrafił wyrecytować królewskie prawa z pamięci: umieliśmy wyśpiewać je wystarczająco dobrze, żeby nawet pijany wieśniak po roku pamiętał nasze werdykty słowo w słowo. Ilu jeszcze Wielkich

Płaszczy nadal wierzyło w całą tę gadaninę o prawie, i sprawiedliwości i przynoszeniu pociechy w strapieniu? Jak bardzo Brasti, Kest i inni wędrowni trybuni – gdziekolwiek byli – wierzyli jeszcze w to wszystko?

I jak silna była moja wiara?

Zdjąłem płaszcz i ułożyłem go na ławie obok moich rapierów. Wiedziałem, że dzisiejszej nocy będę spał niespokojnie – moje własne pełne bólu sny napawały mnie niemal taką samą obawą, jak wizja skutków trucizny Patriany po przebudzeniu.

Delikatne pukanie w drzwi przerwało moje rozmyślenia. Co dziwniejsze, od razu wiedziałem, że to Aline. Może z powodu dni spędzonych razem w Rijou – zawsze w ciszy i w strachu, że ktoś mógł nas usłyszeć i wszcząć alarm. Otworzyłem drzwi i Aline weszła do środka, nadal ubrana w bladozieloną suknię.

– Co ty tu robisz? – spytałem, sprawdzając na zewnątrz, czy ktoś przypadkiem jej nie obserwował. – Gdyby wieśniacy...

– Wszyscy odeszli – przerwała mi. – Poza tym stało się. Trin wie, że jej ludzie ją zawiedli.

– Powinnaś spać.

– Powinnam nie żyć.

Przyklęknałem i spojrzałem jej w oczy. Była bardziej wymizierowana niż przestraszona.

– Co się stało?

– Nic.

– Więc dlaczego...?

– Nic, poza tym, że ktoś obdarzony wielką władzą wysłał swoich ludzi, żeby mnie zabili. Znowu. Tak jak zawsze to robili, robią i będą robić.

Wstałem i poszedłem nalać nam obojgu po kubku wody z dzbanka stojącego w niewielkiej kuchni.

– Ale im się nie udało – powiedziałem, wręczając jej naczynie.

Wypiła wodę. Wziąłem to za znak, że nie jest znowu tak źle, więc zrobiłem to samo.

– Dziękuję – oddała mi kubek.

– Chcesz jeszcze trochę?

Pokręciła głową.

– A może chcesz usiąść i porozmawiać?

Aline spojrzała na wciąż otwarte drzwi wejściowe.

– Czy możemy wybrać się na spacer? Chciałabym zobaczyć gwiazdy.

Krawcowej by się to nie spodobało, podobnie jak jej Wielkim Płaszczom. Byłem zmęczony i nie miałem ochoty na kolejną utarczkę, jednak Aline była dziedziczką krwi, a nie naszym więźniem, ponadto do tej pory ludzie Krawcowej na pewno zdołali już rozstawić warty.

Poza tym król zwykł przypominać mi niemal codziennie, że jestem wojownikiem.

– Oczywiście – odparłem. – Pozwól tylko, że coś zabiorę – chwyciłem swój płaszcz, rapiery oraz gruby wełniany koc, którym opatuliłem ramiona Aline.

Ruszyliśmy główną drogą, oświetlaną nikłym, migotliwym blaskiem świeczek, przedzierającym się przez szczeliny w zasłonach. Od czasu do czasu słyszeliśmy odgłosy rozmów innych Wielkich Płaszczy.

– Gdzie chcesz iść? – spytałem.

– Czy możemy wejść na to małe wzgórze tuż za wioską?

Była to dziwaczna prośba. Naprawdę nie chciałem zabierać jej poza granice obozu, chociaż prawdopodobieństwo, że zostaniemy zaatakowani ponownie, było małe. Trin podjęła swoją próbę i jej ludzie zapłacili za to wysoką cenę.

– W porządku – odparłem. – Ale tylko na chwilę.

Aline chwyciła mnie za rękę i ruszyliśmy w drogę, mijając po drodze sześciu Wielkich Płaszczy Krawcowej. Nie fatygowali się z pozdrowieniami, ale wiedziałem, że nas dostrzegli. Tak długo, jak nie będziemy się zbytnio oddalać, nie sądzę, żeby nam przeszkadzali. Zignorowałem odgłos miękkich kroków w niewielkiej odległości od nas. Słyszałem je, od kiedy wyszliśmy z chałupy.

Przecieliśmy szeroki szlak prowadzący przez dziwną formację skalną zwaną Arkadą. Za nią rozpościerała się Wschodnia Pustynia i zakręcający trakt kupiecki zwany Łukiem, wiodący z północy na południe do Rijou.

Rijou.

Wspomnienie tego miejsca nadal wywołuje u mnie dreszcz.

– Zimno ci? – spytała Aline.

– Nie. Rozmyślałem tylko.

– Mi też się to zdarza, kiedy myślę – odparła.

– Doprawdy? O czym takim myślisz, co sprawia, że drżysz?

Spojrzała w górę.

– Lubię gwiazdy – zignorowała moje pytanie. – W Rijou trochę je było widać, ale nie aż tak, jak tutaj. Wyglądają, jakby były na wyciągnięcie ręki. Chodź. Chcę się do nich zbliżyć jeszcze bardziej.

Wspięliśmy się wąską ścieżką prowadzącą na wzgórze, z wypłaszczeniem na wierzchołku. Usiedliśmy na jego skraju. Małe stworzenia hałasowały w ciemnościach, nie do końca zagłuszając

dźwięki, które towarzyszyły nam od początku.

– Chodzi za mną wszędzie – powiedziała Aline.

Zaskoczyło mnie to, że usłyszała kroki, ale w końcu była mądrą dziewczynką i nauczyła się zwracać uwagę na otaczające ją drobiazgi.

– Jest ranna – powiedziałem. – Powinna wypoczywać.

– Mógłbyś jej to powiedzieć, ale nie sądzę, żeby posłuchała. Jest zagubiona, Falcio.

Spojrzałem na nią, szukając w jej twarzy podpowiedzi, ale ona nadal spoglądała w gwiazdy.

– Co masz na myśli?

– Zabrali jej wszystko – odparła. – Całe życie spędziła jako księżniczka, a teraz jest tylko zwykłą dziewczyną. Ja spędziłam całe życie, sądząc, że jestem zwykłą dziewczyną, a teraz mówią mi, że mam zostać królową. To wydaje się niesprawiedliwe.

– Komu się takie wydaje?

Spojrzała na mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie chcę, żeby Valiana zginęła na próżno, Falcio. Czy będziesz ją chronił?

– Dlaczego mówisz „na próżno”? Ocalenie ci życia nie jest bez znaczenia.

Aline położyła się na ziemi i spojrzała w niebo.

– Czy na Wyspach Południowych też widać tyle gwiazd?

– Ja... nie wiem – odparłem. – Przypuszczam, że tak. Myślę, że to zależy przede wszystkim od tego, ile chmur jest na niebie i jak jasno jest tu, na ziemi. To wszystko sprawia, że trudniej jest dojrzeć gwiazdy.

Moja odpowiedź wydawała się ją satysfakcjonować.

– Zatem gdybyśmy nie znajdowali się w wielkim mieście i niebo nie byłoby zachmurzone, moglibyśmy zobaczyć mnóstwo gwiazd również z wyspy, tak?

– Aline, o co chodzi?

– Czy myślisz czasem o Ethalii, Falcio?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Oczywiście, że ciągle myślałem o Ethalii – każdego dnia. Całkiem niedawno uleczyła moje rany i ocaliła ostatnią, malutką część mojej duszy.

– Tak, myślę o niej – odparłem ostrożnie.

– Tego poranka, kiedy byłeś w jej pokoju i kiedy wysłała mnie na dół... nie poszłam – przyznała się. – Zostałam w pobliżu drzwi i słyszałam, co ci powiedziała.

Na moment znalazłem się z powrotem w tamtej małej izdebce, poczułem zapach czystych prześcieradeł, prostego jedzenia, porannych kwiatów i, przede wszystkim, jej zapach. „Nie uważasz w ogóle za możliwe, że jest ci pisane być szczęśliwym, podobnie jak mnie, i że to szczęście możemy znaleźć wspólnie?”

Znałem Ethalię zaledwie jedną noc i w tym krótkim czasie zdołałem się zakochać po raz drugi w życiu. Kilka minut po tym, jak wypowiedziała te słowa, zostawiłem ją samą, płaczącą.

– Dlaczego mi to mówisz, Aline?

– Sądzisz, że nadal chciałaby nas zabrać na tę wyspę, o której wspominała? Powiedziała, że ja też mogłabym pojechać, prawda?

– Ja... jestem pewny, że któregoś dnia, kiedy znuży cię bycie królową, mogłabyś... – wiedziałem, że brzmi to idiotycznie, więc nawet nie fatygowałem się, żeby dokończyć.

– Nie – odparła Aline. – Chodziło mi o teraz. Gdybyśmy wrócili tam teraz... to znaczy nie musimy jechać do Rijou. Moglibyśmy

wysłać do niej wiadomość. Ale gdybyśmy mogli tam wrócić, sądzisz, że nadal chciałyby nas zabrać na tę swoją wyspę?

– Aline, jesteś córką króla Paelisa. Zostaniesz królową całej Tristii.

Pokręciła głową, ale się nie rozplakała. Zupełnie jakby przeprowadziła już tę rozmowę w głowie i była gotowa na moje protesty.

– Wcale nie chcę być królową. Nikt nie może mnie do tego zmusić.

– Ja też nie zawsze chcę być Wielkim Płaszczem, ale i tak spełniam moją powinność. Gdzie byłabyś teraz, gdybym nagle przestał?

– Martwa – odparła po prostu. – Byłabym martwa. Zginęłabym, kiedy ludzie Shiballe’a próbowali mnie zabić albo kiedy znalazły nas te zbiry. Albo wtedy, gdy Laetha i Radger mnie zdradzili. Albo gdy pojawili się dashini. Albo dzisiaj.

Poczułem się jak głupiec. Wciąż zapominałem, jak bardzo jest młoda. Była przecież dzieckiem, a już tyle razy zdążyła stawić czoła śmierci! Niczym jakiś żołnierz.

– Ale ja cię ochronię, prawda?

– Tak, ochronięś mnie. Zabiłeś ludzi Shiballe’a i bandziorów. Zabiłeś fałszywe Wielkie Płaszcze i dashinich. A dzisiaj zabiłeś dla mnie znowu. Ilu ludzi pozbawisz życia z mojego powodu, Falcio?

Chwyciłem jej dłoń.

– Tylu, ilu będzie trzeba. Będę ich zabijał, dopóki nie przestaną cię ścigać.

Aline wyszarpnęła rękę z mojej dłoni i zerwała się na równe nogi.

– Niczego nie rozumiesz! Ja nie chcę, żebyś dla mnie zabijał! Nie chcę, żeby Valiana straciła życie, chroniąc mnie. Nie chciałam, żeby ci wieśniacy nas zdradzili i przypłacili to życiem! Mam tylko trzynaście lat, Falcio, a już spowodowałam śmierć większej liczby ludzi, niż potrafię zliczyć. Nie chcę tego!

Wstałam.

– Nie zawsze mamy...

– Nie! To nie to samo. Nie chcę być królową. A ty nie zostałeś Wielkim Płaszczem z mojego powodu, Falcio. Jesteś nim, ponieważ nie potrafisz być kimś innym – odwróciła się i odbiegła.

Oczywiście miała rację. To nie było fair. Zaslugiwała na lepszy los – na to, żeby być dzieckiem, żeby śmiać się i płakać, żeby gniewać się, uciekać w ciemność i się dąsać. Ale świat nie był dla niej dotychczas sprawiedliwy i nie dawał nadziei, by miało się to zmienić. Oznaczało to zaś, że nie mogłem jej pozwolić na samotną ucieczkę w ciemność i dąsy.

Pobiegłem więc i schwyciłem ją, zanim dotarła do ścieżki prowadzącej w dół wzgórza.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknęła.

– Przestań – mówiłem, trzymając ją za ramię. – Przestań i powiedz mi, czego tak naprawdę chcesz. Żeby cię stąd zabrał? Żeby zawiózł cię na południe, aby przekonać się, czy Ethalia nadal nas zechce? – Ramię Aline drżało. Nie. To nie ona, tylko ja drżałem, myśląc, co by było, gdyby rozkazała wywieźć się z tego miejsca. „O bogowie, powiedz tak i tym jednym słowem zerwij więzy łączące mnie z twoim ojcem. Nie dałeś mi żadnych instrukcji, mój królu. Powiedziałeś tylko, żeby ją znaleźć, i ja to zrobiłem. Jeżeli poprosi mnie, żebym ją stąd zabrał, zrobię to, do wszystkich

diabłów, jakich byś nie miał planów, którymi nigdy nie raczyłeś się ze mną podzielić”.

Ale Aline tego nie powiedziała. Zupełnie jakby wiedziała, że zabrałbym ją na południe, gdyby tylko poprosiła.

– Chcę przestać się bać – wyznała zamiast tego, nie wiedząc, że było to najśmielsze, co mogła powiedzieć w tym momencie.

– To nie to samo. Nie jestem pewien, czy to w ogóle jest możliwe.

Zaczęła płakać.

– Dlaczego muszę być królową?

– Nie musisz – odparłem. – Kraj będzie istniał i bez ciebie. Książęta mogą nadal robić to, co robią, albo Trin obejmie tron.

– Mattea, Krawcowa, powiedziała, że są jeszcze inni – jej głos był pełen irytacji. – Dlaczego nie znalazłeś któregoś z nich?

– Nie wiem. Nie miałem pojęcia o ich i twoim istnieniu. Nie sądzę jednak, żeby którykolwiek się jeszcze ostał, Aline. Patriana dostała ich wszystkich – zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Patriana miała Aline w swoich szponach. Biła ją i torturowała, ale nie zabiła, chcąc wykorzystać dziewczynę do dręczenia mnie. Przypomniałem sobie również, że raz po raz pytała: „Gdzie są inni?”. Wtedy uznałem, że pyta o resztę Wielkich Płaszczy, ale z perspektywy czasu wydawało się bardziej prawdopodobne, że szukała pozostałych królewskich dziedziców, „czaroitów”, jak zagadkowo nazywał ich sam Paelis. A co, jeśli ci inni spadkobiercy nadal żyją?

– Aline, jeżeli znalazłby się inny dziedzic tronu, czy chciałabyś, aby zajął twoje miejsce?

– Ja... – Łzy spływały powoli po jej policzkach. Chciałem ją

przytulić, ale wiedziałem, że nie chce być teraz dotykana. Staliśmy więc tak, aż w końcu spojrzała na mnie. – Musieliby się zmagać z tymi samymi problemami, prawda?

Pokiwałem głową. Nic nie powiedziałem, bo zrozumiałem, że Aline podjęła decyzję w sercu i teraz powoli zaczyna ją sobie uświadamiać.

– I... i dla nich byłoby to jeszcze gorsze, prawda? Bo nie doświadczyli tego wszystkiego, co ja. Cały ten ciężar spadłby teraz na nich.

– Myślę, że to prawdopodobne.

Stała tam milcząca, bardzo długo patrząc na gwiazdy.

– Zatem to muszę być ja, prawda? Jeżeli tego nie zrobię, obowiązek spadnie na kogoś innego i może być mu znacznie trudniej. Ten ktoś musiałby być dużo dzielniejszy ode mnie.

– Nie sądzę, żeby istniała osoba dzielniejsza od ciebie, kochanie – głos uwiązł mi w gardle.

Aline objęła się ramionami.

– Nie zawsze możemy być tym, kim chcemy, prawda?

Przez dobrą minutę nie mogłem wykrztusić z siebie słowa. Do tej pory nie rozumiałem w pełni, jak bardzo pragnąłem, żeby odrzuciła prawa przysługujące jej z urodzenia i zamiast tego powiedziała mi, bym ją zabrał daleko stąd.

Nie przyznawałem się dotąd nawet przed samym sobą, jak bardzo pragnąłem wrócić do Ethalii i prowadzić normalne życie, nie zaś dźwigać na barkach ciężar królewskich marzeń, coraz bledszych i bledszych. Pamiętam moje pierwsze spotkanie z królem Paelisem i to dzikie idealistyczne szaleństwo, jakie potem nastąpiło. Pomyślałem o Keście, Brastim i wszystkich pozostałych:

każdy z nich miał swoją historię i każdy wybrał tak samo.

– Myślę... myślę, że możemy być tym, czym świat potrzebuje, żebyśmy byli.

Aline pociągnęła jeszcze raz nosem, jakby usiłowała cofnąć wypłakane łzy.

– W takim razie to musi wystarczyć. Zostanę królową, Falcio, jeżeli to ma poprawić bieg rzeczy. Jeżeli tego chce ode mnie świat.

Staliśmy tak jeszcze przez moment, a potem Aline wzięła mnie za rękę i zaczęliśmy schodzić ze wzgórza do wioski.

Powinienem był złożyć wtedy głośną przysięgę nocy i czemukolwiek, co czekało na nas rano. Powinienem przyrzec, że zawsze będę stał u boku Aline, zawsze będę jej strzegł. Powinienem złożyć uroczystą przysięgę przed bogami i świętymi, ale nie zrobiłem tego. Aline była mądrą i poważną dziewczynką i nie lubiła, kiedy ludzie składali obietnice, których nie mogli dotrzymać.

Następnego ranka obudziłem się tak jak zwykle w ostatnich dniach – nie mogłem się poruszyć ani mówić. Za pierwszym razem trwało to jedynie kilka przerażających sekund. Teraz, gdy próbowałem liczyć w głowie kolejne minuty, paraliż wydawał się czymś spodziewanym, niemal naturalnym.

Ktoś był ze mną w pokoju. Oddychał cicho i powoli, co kilka minut wydając jęk bólu lub strachu, nie przerywając snu. „Valiana”, pomyślałem. Minęło zaledwie kilka godzin od czasu, gdy niemal pożegnała się z życiem, a mimo to była tutaj, strzegąc mnie. Domyśliłem się, że Krawcowa kazała jej trzymać się z dala od chaty Aline, więc zamiast tego Valiana postanowiła pilnować mnie. Jak

bardzo zmieniała się od czasu, gdy kilka miesięcy temu poznałem ją jako wyniosłą arystokratkę, której wszyscy usługiwali, wychowywaną, by rządzić krajem. Ciekawe, jak to jest, kiedy człowiek myśli, że jest księżniczką, i nagle odkrywa, iż w rzeczywistości jest dzieckiem bezimiennej chłopki, bez tytułu, bez nazwiska, bez rodziny? Żałowałem, że nie mogę otworzyć oczu i na nią spojrzeć. Bardzo chciałbym w tej chwili móc zobaczyć cokolwiek.

Kilka lat temu spotkałem ślepego sprzedającego owoce przy kupieckim trakcie. Prowadziła go bardzo stara kobieta, która, jak uznałem, była jego żoną. Spytałem tego człowieka, jak to jest żyć bez wzroku. „Zamknij oczy”, odpowiedział. „Pomyśl o pięknej kobiecie. To właśnie widzę w każdej minucie mojego życia”. Jego żona spojrzała na niego z miłością. Powiedział mi, że świat może stać się najpiękniejszym miejscem, o jakim można zamarzyć, pod warunkiem że twoje myśli są podsycane miłością. Chciałem mu wtedy powiedzieć, że kiedy zamykam oczy, również widzę swoją żonę, lecz widok ten napełnia mnie bólem, smutkiem i gniewem, którego nie jestem w stanie kontrolować. Obawiałem się jednak, że jeśli mu to wyznam, może to zmienić jego perspektywę. Tak więc powstrzymał mnie przed tym szczerbaty uśmiech jego starczej twarzy.

Teraz nie pamiętałem już twarzy mojej żony. Potrafiłbym ją wam opisać – jej włosy, skórę, krzywy uśmiech, kiedy droczyła się ze mną o jakąś głupotę, którą powiedziałem... Ten uśmiech. Obiecywał śmiech, pocałunki i więcej. Potrafiłbym opowiedzieć to wszystko w najdrobniejszych szczegółach, ponieważ dobrze je zapamiętałem. Byliśmy biedni, więc nie istniały żadne jej portrety

ani szkice. Straciłem na zawsze wspomnienie tego, jak wyglądała, i był tylko jeden sposób, żeby je odzyskać.

Szorstka dłoń chwyciła mnie za brodę i poczułem nieprzyjemne ciepło czyjegoś oddechu na twarzy. Usłyszałem, jak Valiana porusza się na krześle.

– Przestań!

Poczułem pierwsze fale łaskotania w koniuszkach palców. Nie byłem pewny, jak długo pozostawałem sparaliżowany tym razem, ale wydawało mi się, że dłużej niż wczoraj. Zacząłem mrugać powiekami i otworzyłem oczy. Jeżeli istniała twarz, której nie chciałem ujrzeć w tym momencie, to była nią twarz Krawcowej.

– Pobudka, pierwszy kantorze – powiedziała z sarkazmem i niecierpliwością. – Czas wstawać, przywitać się z nowym dniem.

W polu widzenia pojawiła się Valiana, bezskutecznie usiłując odepchnąć staruchę ode mnie.

– Zostało jeszcze kilka godzin do naszego wyjazdu.

– Sytuacja się zmieniła – odparła Krawcowa.

– Jak się zmieniła? – spytałem, mamrocząc niewyraźnie, ponieważ język nadal miałem sztywny jak kołek.

Krawcowa spojrzała na mnie i dopiero wtedy dostrzegłem potworny gniew w jej oczach.

– A tak, że ksiązę Pulnamu nas zdradził.

Wielkie Płaszczce na zewnątrz chaty szykowały się do opuszczenia wioski. Konie ciągnęły za sobą tragi z ciałami zabitych rycerzy, a uszkodzone podczas walki domy były teraz pospiesznie naprawiane.

– Nie ma sensu zostawiać mieszkańców ze zrujnowanymi domami i masą martwych rycerzy do pochowania – powiedziała Krawcowa, zmierzając w kierunku odległego krańca wioski krokiem nieco zbyt szybkim jak na mój obecny stan. – Zbierzemy ich i ułożymy w zgrabną stertę, żeby Trin i ten łajdak Erris, księżę Pulnamu, ją znaleźli.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Dlaczego nas zdradził? Myślałem, że mówiłaś, iż nasze wypadki zbrojne spełniają swoją rolę.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Spełniły, aż za dobrze. Trin zaoferowała księciu rozejm. Nie odbierze mu księstwa, a on w zamian za to pozwoli przejść jej armiom przez południowy Pulnam, tak żeby mogły ominąć pozycje obronne księstwa Domarisu. Pokryje również koszty przejścia jej armii.

– Jakie koszty?

– Ochrony – odparła Krawcowa. – Wygląda na to, że grasują tu Wielkie Płaszczce.

Kiedy dotarliśmy na skraj wioski, zobaczyłem Kesta i Brastiego, szykujących swoje konie.

– Nareszcie! – zawołał Brasti. – Falcio, czy możesz jej powiedzieć, żeby przestała nam rozkazywać bez żadnego wytłumaczenia?

– Co to ma znaczyć? – spytałem Krawcową.

– Jedzicie na południe.

– Gdzie?

– Do Aramoru, tam, gdzie wszystko się zaczęło.

– Święci! – Brasti wywrócił oczami. – Przypominasz sobie może,

iż jesteśmy poszukiwani w Aramorze za morderstwo?

– To Trin zabiła Lorda Tremondiego – powiedział Kest. – Księżę Isault musiał się do tej pory o tym dowiedzieć.

– To nie ma znaczenia – oświadczyła Krawcowa.

– Dlaczego? – spytał Brasti. – Bo nas trzech można poświęcić?

– Ponieważ nie mamy innego cholernego wyjścia, głupcze. Księżę Isault ma pieniądze i żołnierzy. My potrzebujemy jednego i drugiego, i to zaraz. – Starucha chwyciła leżący na drodze kijek i zaczęła nim rysować na ziemi. – Trin zamierza przejść na południe od tego miejsca – wskazała. – Prosto do księstwa Domarisu z jego bezkresnymi lasami. Hadiermo, osławiony Żelazny Księżę Domarisu jest idiotą, ale będzie z nią walczył. Wie, że księżę Perault został kochankiem Trin i że chce rozszerzyć granice swojego własnego księstwa. Jeżeli Domaris upadnie, Perault i Trin podzielą się jego ziemiami po połowie, a księżę Hadiermo zostanie na lodzie, w samych kałesonach.

– Jak długo może się bronić przed połączonymi siłami Trin i Peraulta? – spytałem.

– Kilka tygodni, może miesiąc.

Spojrzeliliśmy po sobie z Kestem i Brastim, przytłoczeni rozmiarem porażki: Hervor, Orison, Pulnam, a wreszcie Domaris – wszystkie cztery północne księstwa. Trin zajmie je siłą, a potem ruszy na południe, chyba że księstwa południowe staną razem przeciwko niej – zjednoczone, co nigdy się nie wydarzy. Nie bez króla lub królowej, którzy mogliby je poprowadzić.

– Ach, widzę, że światło dociera nawet w najciemniejsze zakątki – skomentowała ironicznie Krawcowa.

– Dlaczego księżę Aramoru miałby stanąć po stronie Aline? –

spytał Kest.

– Aramor zawsze miał szczególne układy z królami Tristii – odparła Krawcowa. – Isault nie przepadał za moim synem, ale też nie nienawidził go, jak pozostali. Poza tym jest oportunistą. Zrozumie, że z nami może zawrzeć dużo lepszy układ niż z Trin.

Nadal miałem wątpliwości. Owe „szczególne układy” nie pomogły zbyt królowi Paelisowi, kiedy Isault i pozostali książęta postanowili skrócić go o głowę.

– Powiedzmy, że uda się nam przekonać Isaulta – zacząłem.

– Zrobicie to – powiedziała Krawcowa. – Zrozumcie jedno: jeżeli Isault sprzymierzy się z Trin, to koniec. Świat będzie zbyt mały, żebyśmy wszyscy zdołali się ukryć. Musicie tam pojechać, połechtać jego próżność i obiecać mu wszystko, czego sobie zażyczy, byle zyskać jego wsparcie.

– W porządku. Zatem przekonam Isaulta. Co dalej?

Postukała kijkiem w każde księstwo na południowym wschodzie swojej prowizorycznej mapy.

– Z Aramoru udacie się z misją uzyskania wsparcia księcia Luth, a potem Pertynii. Księstwo Baernu dostosuje się do decyzji pozostałych.

– Trin będzie miała północ, a Aline południe – powiedziałem.

Krawcowa uśmiechnęła się do mnie ponuro i dziabnęła kijem w samo centrum kraju.

– A ostateczna bitwa zostanie stoczona w Rijou, gdzie twój stary przyjaciel, książę Jillard, zdecyduje o losach świata. Nadal jesteś dumny z tego, że go nie zabiłeś, kiedy miałeś po temu okazję?

– Przysiągł wesprzeć roszczenia Aline – powiedziałem. – Poza tym nawet w czasie wojny obowiązują prawa.

– Tak, ale nie wydaje się, żebyś nauczył się pierwszego z nich: to zwycięzca ustanawia prawa – zatarła mapę stopą. – Zabiorę Wielkie Płaszcze do Domarisu i zrobimy, co w naszej mocy, żeby opóźnić pochód Trin. Jeżeli sądzi, że nasze dotychczasowe rajdy były uciążliwe, to zdziwi się, jak wiele szkód możemy wyrządzić jej armii, gdy będzie maszerowała przez sto pięćdziesiąt mil lasu.

– A co z Aline? – spytałem. – Chyba nie chcesz zabierać jej ze sobą na wojnę, tak po prostu?

– A masz lepsze rozwiązanie?

– Pojedzie z nami. Wywieziemy ją w cholerę z Pulnamu i Domarisu, zabierzemy na południe, gdzie będziemy mogli znaleźć dla niej bezpieczną kryjówkę do czasu, gdy walka się skończy.

Krawcowa uśmiechnęła się.

– Doskonale. Podoba mi się twój tok myślenia, Falcio.

Wpatrzyłem się w nią, szukając oznak ironii. Nie mogłem uwierzyć, że przystałaby na plan, który wymyśliłem na poczekaniu.

– Mówisz poważnie? Pozwolisz mi ją ze sobą zabrać?

Pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie, głupcze. Liczę jednak na to, że nie jesteś jedynym człowiekiem, który uważa, że kobieta powinna chować się za plecami mężczyzny.

Zacząłem protestować, ale starucha uniosła dłoń.

– Nie zaczynaj mi opowiadać o wszystkich kobietach, które zwerbowałaś do Wielkich Płasczy. Gdyby Aline była chłopcem, powiedziałabyś, że musi zademonstrować światu, iż jest wystarczająco odważna, aby nim władać.

Na długiej liście wszystkiego, czego nienawidziłem u Krawcowej, drugą pozycję zajmowała jej arogancka pewność, że

zna wszystkie moje wady. Na pierwszym miejscu było to, że najprawdopodobniej miała rację.

– Skoro moje instynkty są tak niewłaściwe, to dlaczego...

– Ponieważ Trin również rozumuje jak mężczyzna. Uwierzy w to, że wysyłamy Aline na południe, i będzie przekonana, iż to ty ją tam zawieszysz. Doprawdy jesteś bardzo przewidywalny, Falcio.

Brasti prychnął.

– Jej szpiedzy dość szybko się zorientują, że nie ma z nami Aline. Co niby? Mamy kazać Kestowi nosić letnie sukienki?

– Nie jedzicie sami – odparła Krawcowa i w tym samym momencie zza jednego ze słupów do wiązania koni wyłoniła się Darriana w wielkim płaszczu. – Ach, tu jesteś, Darri.

– Ostrzegałam cię już, żebyś mnie tak nie nazywała.

– Może jeszcze kilka takich gróźb i w końcu zaczniesz mnie to gównem obchodzić – Krawcowa spojrzała na mnie. – Pojedzie z wami.

– Wydaje się trochę za mała na walkę – Brasti zlustrował Darriana od stóp do głów. – I w ogóle, do czegokolwiek.

Darriana poświęciła Brastiemu najbardziej przelotne ze spojrzeń i prychnęła lekceważąco. Potem odwróciła się, obdarzając Kesta dużo bardziej przychylnym wejrzeniem.

– A więc to ty jesteś Świętym od Mieczy, co? – jej wzrok spoczął na jego twarzy, a potem powędrował w dół, na ręce, stopy, i z powrotem. – Jakoś nie jestem pod wrażeniem.

– Cztery ruchy – powiedział Kest.

– Słucham?

– Zastanawiasz się, jak by ci poszło w walce ze mną. Załatwiłbym cię w czterech ruchach.

– Cóż – uśmiechnęła się niewinnie i wyciągnęła dłoń, dotykając

torsu Kesta. – A jeśli zaskoczę cię w czasie snu?

– Wziąłem to już pod uwagę. Czy chciałabyś wiedzieć, jak długo zdołałabyś wytrzymać, gdyby nie udało ci się mnie zaskoczyć?

– O wielcy bogowie, zachowajcie mnie od tego szleństwa pojedynków – jęknęła Krawcowa. – Czy możecie porównywać długość swoich mieczy gdzie indziej? Czas już na was.

– To wszystko? – spytałem. – Pozwól mi przynajmniej pożegnać się z Aline i Valianą.

– Aline jest już w ukryciu z moimi ludźmi – odparła Krawcowa. – Pożegnaliście się wczoraj w nocy, nawet jeśli nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Co do Valiany, możesz ją ze sobą zabrać na południe, jeśli tylko chcesz. O, właśnie nadchodzi.

Dwóch Wielkich Płaszcy Krawcowej wlokło między sobą za ramiona próbującą się uwolnić Valianę.

– Przestań! – krzyknęła Krawcowa i w pierwszej chwili pomyślałem, że każe jednemu ze swoich ludzi powstrzymać się od wyłamywania rąk Valianie. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że trzymam w dłoni rapier. – Valianie nie stała się żadna krzywda – powiedziała.

– Czego nie możemy powiedzieć o sobie – mruknął jeden z Wielkich Płaszcy, gdy porzucili Valianę przed nami. – Gówniara rozcięła mi policzek, zanim udało się nam odebrać jej miecz.

Krawcowa podeszła do niego i bez ostrzeżenia wymierzyła mu siarczasty policzek. Mężczyzna spojrzał na nią gniewnie.

– Za co? – spytał. – Poleciałś, żebyśmy ją przyprowadzili...

– Cały ten wasz tajemny trening, wszystkie te zabójcze sztuczki i mimo to wariatka, która ledwie potrafi wyciągnąć swój własny miecz bez skaleczenia się, niemal wykłuła ci oko?

– Straci dużo więcej, jeżeli jeszcze raz mnie dotknie – powiedziała Valiana, podnosząc się gwałtownie i wyrywając mi z ręki rapier.

Wielki Płaszcz sięgnął po broń, ale Darriana położyła dłoń na ramieniu Valiany.

– Spokojnie, śliczna ptaszyno. Może najpierw nauczę cię, jak władać tym twoim różnem, a potem możemy zabić kilku ludzi i zrobić to jak należy, co?

Krawcowa odwróciła się od swoich żołnierzy i spojrzała na nas.

– Skończyliśmy już z zabawami? Czas ucieka, a ja mam ważniejsze rzeczy na głowie niż wasze humory.

– Przysięgałam chronić Aline za cenę własnego życia – powiedziała Valiana. – Nie opuszczę jej.

– I jeśli szczęście nam będzie sprzyjać, Trin pomyśli dokładnie to samo.

– Ale...

– Pragniesz zostać bohaterką tak bardzo jak ci głupcy? – Krawcowa wskazała na Kesta, Brastiego i mnie. – Chcesz umrzeć z myślą, że ocaliłaś Aline; że twoje życie więcej było warte pod jego koniec niż na początku? W porządku. Zrób, co mówię, i jedź z nimi. Jedź, daj się zabić i miej świadomość, że w jakiejś drobnej części pomogłaś chronić Aline. Miejmy nadzieję, że nienawiść popchnie Trin do zmarnowania części sił w pościgu za tobą. Tu nie zdasz się na nic i będziesz tylko zawadą dla tych, którzy są na tyle mocni i mają wystarczające umiejętności, żeby dbać o jej bezpieczeństwo.

Gniew znikł z twarzy Valiany, podobnie jak duma. Uczepiła się kurczowo przysięgi, którą złożyła Aline, ponieważ musiała uwierzyć, że znaczy coś, cokolwiek; że jej życie ma jakiś sens. Była

dokładnie taka, jak ja lata temu, kiedy poznałem króla. Paelis uwierzył we mnie i sprawił, że ja również uwierzyłem w samego siebie. Nasz król był idealistą, romantykiem i marzycielem. Krawcowa zaś nie uosabiała żadnej z tych cech.

– Zrobię, o co prosisz – powiedziała wreszcie Valiana. Odwróciła się i ruszyła w stronę koni.

Bezdušność słów Krawcowej, sposób, w jaki zlekceważyła cierpienie i smutek Valiany – cierpienie, jakiego każdy z nas doświadczył w życiu – wypaliło w moim sercu głęboką ranę. Musiałem jej uzmysłować, jak bardzo nienawidziłem całej tej sytuacji: jej chłodnych, wyrachowanych strategii, jej planów i intryg. Pod tym względem nie bardzo różniła się od książąt, którymi tak wszyscy pogardzaliśmy.

Pozostali czekali na moją reakcję. A ja nie chciałem zachować się jak rozzłoszczone, marudne dziecko. Chciałem być szlachetny i dzielny. Chciałem być wszystkim tym, do czego dążyłem od dnia, gdy król wyciągnął mnie z mojego szaleństwa. Ale nie potrafiłem. Po prostu nie miałem tego w sobie.

– Jesteś pieprzoną suką! – powiedziałem.

Krawcowa uśmiechnęła się.

– Owszem, jestem. Jestem dokładnie taka, jakiej potrzebuje mnie świat. Jakiej potrzebuje mnie wnuczka. A teraz jedź i bądź człowiekiem, jakiego potrzebuje Aline. Zdobądź dla mnie wsparcie książąt z południa, żebyśmy mogli wygrać tę przeklętą wojnę, zanim dziewczyna, którą oboje przysięgaliśmy chronić, zostanie zabita.

ROZDZIAŁ 7

MASKA

Aby opuścić Pulnam, wykorzystaliśmy pradawny trakt kupiecki znany jako Łuk. Kiedy handel miał się dobrze, tak jak za panowania króla Paelisa, każdego roku tym długim na trzysta mil gościńcem wędrowały setki zaprzężonych w konie wozów i karawan. Przydrożne gospody i oberże nieźle zarabiały na sukcesie i uderzającym do głowy optymizmie podróżnych kupców oraz ludzi pragnących zdobyć fortunę we wschodnich księstwach. Teraz, pięć lat po śmierci króla, ułożony przed setkami lat bruk pokrył się piaskiem i ziemią. Twarde pustynne zarośla w kolorze sepii powoli zarastały pobocza, wdzierając się coraz głębiej między kamienie. Na drodze częściej spotykało się zbójców niż uczciwych kupców, a nawet ci nieliczni mieli problemy, by związać koniec z końcem.

Przez pierwszy tydzień parliśmy mocno do przodu. Uznaliśmy bowiem, że szybko przemieszczający się cel jest trudniejszy do ustrzelenia niż powolny. Okazało się to prawdą i dziękowałem świętemu Ganowi Który się Śmieje Grając w Kości za szczęście, dzięki któremu udało się nam przeżyć te pierwsze kilka

szaleńczych godzin po opuszczeniu wioski. Kiedy już niemal dotarliśmy do Łuku, zaskoczyli nas zwiadowcy Trin. Sześciu uzbrojonych w kusze żołnierzy czaiło się w zaroślach. Nie mieliśmy wyboru, jak tylko uprzędzić ich atak, zamiast pozwolić się dopaść na trawiasto-piaszczystej przestrzeni. Wiedzieliśmy, że mają wypoczęte konie, gotowe ruszyć za nami w pościg, gdybyśmy jakimś cudem zdołali jednak umknąć bełtom ich kusz. Dlatego w chwili, gdy przestali do nas strzelać, zaatakowaliśmy.

Dołączenie nowego wojownika do drużyny jest niebezpiecznym posunięciem. Kest, Brasti i ja mieliśmy swój własny rytm, system, który pozwalał przewidywać wzajemnie nasze posunięcia. Mieliśmy szczęście, że Darriana wpasowała się w naszą grupę tak szybko i tak dobrze: Kest od razu rozpoznawał i atakował przeciwnika, podczas gdy Brasti celnymi strzałami likwidował tych, którzy chcieli nas okrążyć, Darriana zaś przekradała się bokiem, podryzując gardła i rozpruwając brzuchy, zanim wróg mógł się zorientować, że w ogóle była w pobliżu. Ta trójka potrzebowała zaledwie kilku chwil, by poradzić sobie z eliminacją wszystkich sześciu zwiadowców. Jeśli chodzi o mnie, całą walkę – i wszystkie, które miały się wydarzyć w nadchodzących dniach – spędziłem, starając się powstrzymać Valianę, by nie dała się zabić.

– Trzymaj się z tyłu – mówiłem za każdym razem. – Masz się nie angażować w walkę z wrogiem, rozumiano? Dopóki nie będziesz dobrze wytrenowana i gotowa.

– A kiedy to będzie? – pytała niezmiennie.

– Jakiś czas po tym, jak umrę spokojnie w łóżku ze starości.

W ciągu pierwszego tygodnia zostaliśmy zaatakowani jeszcze dwukrotnie i stało się jasne, że wybieg Krawcowej zadziałał: Trin

uwierzyła, że Aline jest z nami, gdyż zwiadowcy rzeczywiście uznali małą Darrianę za dziedziczkę tronu. Jej ulubioną taktyką na początku każdego ataku była udawana ucieczka pełna przerażenia i wrzasku. Zazwyczaj jeden z napastników puszczał się za nią w pogoń, a wtedy Darriana nagle odwracała się i z uśmiechem wbijała ostrze miecza w jego szyję. Brasti zaczął ją nazywać Darri Niosącą Śmierć, ona zaś za każdym razem, kiedy usłyszała ten przydomek, w odpowiedzi obiecywała Brastiemu, że wypruje z niego flaki.

Niezmacona radość Darriany z każdej walki wytrącała mnie z równowagi, ale prawdziwym przerażeniem napawała mnie lekkomyślność Valiany. W trakcie jednego z pojedynków ostatni z naszych przeciwników, widząc, jak Darriana zabija dwóch mężczyzn, uznał, że w żaden sposób nie może to być Aline, ruszył więc za Valianą. Ta mogła uciec albo zwyczajnie się wycofać i pozwolić mi rozprawić się z wrogiem. Zamiast tego zaatakowała go wściekle, wchodząc mi w paradę, wywijając swoim długim, smukłym ostrzem i usiłując zadać ostateczny cios. Nie zawracała sobie głowy jakimiś tam głupimi zasłonami, gdy mężczyzna ją atakował. Walczyła, jakby występowała w konkursie fechtunku, gdzie ostrza mieczy były stępione i w najgorszym razie człowiek mógł się nabawić paskudnego siniaka.

Zwiadowca Trin nie był szczególnie szybki, ale za to zwinny i zamarkował kilka ciosów, żeby zmylić Valianę i wyprowadzić ją z równowagi. Dziewczyna zatoczyła się do tyłu, opuszczając broń. Dzięki temu wreszcie usunęła mi się z drogi i mogłem przeprowadzić atak. Lewym rapierem ciąłem przeciwnika w jego wysunięte ramię z mieczem, zaś drugi rapier wbiłem mu w bok.

Kiedy osuwał się na ziemię, wyciągnąłem ostrze i przygotowałem się, na wypadek, gdyby została w nim jeszcze jakaś wola walki. On jednak padł na ziemię nieprzytomny, rozpoczynając nieuchronny proces umierania. Krew nieprzerwanie wyciekała mu z rany.

– Sama potrafię się bronić – rzuciła gniewnie Valiana.

– Nie. Wcale nie potrafisz. I nie będziesz, dopóki... – zacząłem, nadal patrząc na umierającego żołnierza, ale potem kątem oka dostrzegłem, że Valiana przykłada dłoń do piersi. – Jasna cholera! – przekląłem i schowałem rapiery, żeby móc się zająć raną dziewczyny.

– To ledwie draśnięcie – odsunęła się ode mnie, zanim zdołałem obejrzeć ranę. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że stając do walki, nie zapięła płaszcza.

– Zapomniałaś zapiąć swój cholerny płaszcz – powiedziałem. – Codziennie godzinami ćwiczysz fechtunek, a nie pamiętasz o czynności, która może uratować ci życie!

Kest i Brasti dobrze wiedzieli, że w takim momencie nie powinni się wtrącać, ale Darriana podeszła bliżej i odepchnęła mnie na bok, po czym obejrzała ranę Valiany.

– Nie jest tak źle. Zostanie ładna niewielka blizna, którą będziesz się mogła przechwalać.

Wyciągnąłem z kieszeni mojego płaszcza czarny słoiczek i wręczyłem go Valianie.

– Posmaruj ją balsamem – powiedziałem. – Nawet w płytkie skaleczenie może się wdać infekcja.

– Masz go niewiele – odparła gniewnie Valiana. – Co, jeśli któryś z was zostanie ranny? Aline potrzebuje was wszystkich żywych.

– Przypuszczam, że cieszyłaby się również, gdybyś ty pozostała przy życiu – powiedziałem.

– Nie ma znaczenia, co się ze mną stanie.

W głębi duszy wiedziałem, że powinienem się rozprawić z tym jej poczuciem braku wartości, podstępem nakłonić ją do rozmowy i znaleźć sposób, aby zmieniła nastawienie. Nie byłem jednak uzdrowicielem. Do licha! Moje jedyne kwalifikacje do poruszania tematów chorób umysłu wynikały tylko z tego, że sam przez wiele lat byłem szalony.

– Jeżeli tego nie zrobisz, siłą ściągnę z ciebie tę koszulę i sam cię wysmaruję – powiedziałem.

Valiana odebrała mi czarny słoiczek i odeszła kilka jardów w kierunku zarośli na poboczu traktu.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko, wolałabym nie paradować bez koszuli przed waszymi oczami.

„Niech to szlag”, pomyślałem. „Powinienem jej zabronić tego wyjazdu i niech licho porwie rozkazy Krawcowej”.

– Potrzebuję treningu – powiedziała Darriana. – I to teraz, a nie w jakiejś wyimaginowanej przyszłości, w której w końcu dasz sobie spokój z tym twoim asekurancstwem.

– Ja ją będę uczył – zaoferował się Kest, przyklękając, aby wytrzeć swój miecz z krwi w skąpych zaroślach na poboczu.

– Ty? – roześmiała się Darriana.

– Kest jest Świętym od Mieczy – powiedział Brasti. Nie to, żeby którykolwiek z nas, łącznie z nim samym, wiedział, co to tak naprawdę oznacza.

– Jest również dwa razy większy od niej i prawdopodobnie trzy razy silniejszy – odparła Darri. – Jaka korzyść przyjdzie jej z jego

metod? – podeszła do Valiany, która przywdziewała już z powrotem płaszcz. – Chodź śliczna ptaszyno, pokażę ci, jak się zabija człowieka. Musisz nauczyć się oceniać swoich przeciwników i odnajdywać ich słabe punkty. A przede wszystkim musisz wiedzieć, jak od czasu do czasu trzymać się z dala od kłopotów.

Na początku Valiana wyglądała na nieprzekonaną – jakby nie była pewna, czy ta kobieta się z niej przypadkiem nie naigrawa. Valiana nosiła płaszcz, na który nie zasłużyła, i miecz, którym nie umiała władać. Wiedziała, że wszyscy inni również mogą to zobaczyć. Nie pomagała jej też świadomość, że najbardziej wpływowa kobieta na świecie pragnęła jej śmierci.

– Naucz mnie tylko, jak walczyć – powiedziała. – Do całej reszty sama dojdę.

Darriana poprowadziła Valianę głębiej na pustynię.

– Z jakiegoś powodu perspektywa uczenia jej walki przez Darri Niosącą Śmierć wcale mnie nie uspokaja – powiedziałem do Kesta.

– Myślisz, że ją skrzywdzi?

– Nie wiem. Nie sędzę. Darriana doskonale wie, jak walczyć. Problem w tym, że jest taka popędliwa w czasie bitwy. Nie wiem, jak to dokładnie określić. Zupełnie, jakby była...

– Jakimś cholernym szaleńcem? – podsunął uprzejmie Brasti.

– Coś w tym stylu.

– Cóż, może pocieszy cię fakt, iż Valiana dużo więcej zyska, ucząc się pod okiem Darri, niż przy jej ostatnim nauczycielu. Traktowała tego człowieka, jakby był świętym, a on tymczasem kompletnie ją ignorował.

– Któż to był? – spytałem.

Brasti poklepał mnie po ramieniu.

– Ty.

Następny dzień, już dziesiąty od chwili gdy opuściliśmy Krawcową i jej Wielkie Płaszcze, rozpoczął się spokojnie. Mimo że bogowie i święci obdarzyli mnie łaską wcześniejszego ostrzeżenia, pozwoliłem sobie mieć nadzieję, że udało się nam uniknąć spotkania z ostatnimi zwiadowcami Trin. Im dalej na południe, tym więcej pojawiało się bocznych dróg i ścieżek prowadzących do pobliskich wiosek. Dawało nam to coraz więcej możliwości dotarcia do Aramoru bez konieczności podróżowania głównym traktem kupieckim.

Szukałem właśnie odpowiedniego miejsca, w którym moglibyśmy zjechać z gościńca i rozłożyć się obozem, kiedy dostrzegłem na poboczu zapłakaną dziewczynę w bladożółtej sukience.

Kłęczała w dziwnej pozycji na ziemi jakieś sto jardów od nas, chowając twarz w dłoniach. Za jej plecami znajdował się mały budynek otoczony kamiennym kręgiem. Uznałem, że to jakaś stara świątynia. Zatrzymałem wszystkich gestem.

– Widzisz kogoś poza dziewczyną? – spytałem Brastiego.

Zmrużył oczy, wpatrując się w dal.

– Nie, nikogo.

– Ile twoim zdaniem ma lat?

– Mierzy nie więcej niż pięć stóp. Może mieć dwanaście, trzynaście? – spojrzał przez ramię na Darrianę. – Chyba że jest skarłala – dodał.

Kobieta milczała, wpatrując się w drogę przed nami.

– Jakież ślady zastawionej pułapki? – spytałem.

– Niczego nie widzę – odparł Brasti. – Żadnych odcisków końskich kopyt czy stóp prowadzących za pobliskie drzewa. Mogła oczywiście je zatrzeć, ale wtedy zostałyby również jakieś tego ślady. Ściany tej starej świątyni ledwie się trzymają, prawie nie ma między nimi spoiny. Gdyby ukrywało się tam kilku ludzi, zobaczyłbym ich stąd.

Kest spojrział na drogę za nami.

– Nie słyszę, żeby ktoś nadchodził z tyłu.

– Nie ma żadnych oznak niebezpieczeństwa – powiedział Brasti. Poluzowałem rapiery.

– Czyli zdecydowanie pułapka.

– Och, absolutnie – odparł Brasti i gestem zaprosił mnie do ruszenia przodem. – Przypuszczam, że zechcesz w nią wpaść?

– Pójdę z tobą – powiedziała Valiana.

– Nie, zostań tutaj. Brasti, daj Valianie swój kołczan.

Brasti odwiązał go i podał mojej podopiecznej.

– Twoim zadaniem będzie podawać mu strzały tak szybko, jak szybko będzie je wypuszczał. Może wydaje ci się to prostym ćwiczeniem, ale musisz za nim nadążyć. Jeżeli gdzieś tu w pobliżu czai się horda zbirów Trin, Brasti musi zabić jak najwięcej z nich.

– A co ze mną? – spytała Darriana.

– Ty też tu zostań.

– I co mam robić?

– Sprawiaj wrażenie bezradnej. Masz udawać Aline. Jeżeli to rzeczywiście jest zasadzka, nie chcę, żeby ktokolwiek dowiedział się, że jej ze sobą nie mamy.

– Zobaczyła nas – Kest spojrział w kierunku obcej dziewczyny.

Podążyłem za jego wzrokiem. Jej długie brązowe włosy zwisały w potarganych strąkach. Znajdowała się zbyt daleko, abym mógł dostrzec rysy i wyraz jej twarzy, ale teraz, kiedy klęczała zwrócona ku nam, zauważyłem coś w rodzaju owalnej obręczy okalającej jej twarz od podbródka do czubka głowy.

– Co ona ma na głowie? – spytałem.

– Nie wiem – odparł Brasti. – Wygląda niemal jak rama owalnego lustra. Niezbyt to ładne, ale być może pracuje dla lokalnego kapłana i ubiera się wedle najnowszej mody świątynnej? Z religijnymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

Dziewczyna uniosła rękę i pomachała do mnie. Kiedy nie odpowiedziałem, odwróciła się i wbiegła do małej kamiennej budowli.

– Mogła tam ukryć kuszę albo nawet pistolet – ostrzegł Kest.

– A może jest niewinną dziewczyną, którą ktoś zaatakował i która teraz obawia się o życie – wyraziłem wątpliwość.

Darriana prychnęła.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie. Jestem przekonany, że to pułapka.

– Więc dlaczego w nią wchodzimy?

– Żebym mógł się dowiedzieć...

– Bo Falcio zawsze tak postępuje – wtrącił się Brasti. – Pyta sam siebie, jakie posunięcie byłoby w danej sytuacji najgłupsze z możliwych, i właśnie to robi.

– Ruszajmy – powiedziałem do Kesta.

Wyciągnął swój miecz i podążył za mną. Pozostawiłem rapiery w pochwach i wyciągnąłem jedynie nóż z płaszcza. Fatalnie mi idzie z łukiem, ale w rzucaniu nożami od czasu do czasu mi się

poszcęści, a jeśli dziewczyna jakimś cudem uzbrojona była w pistolet, chciałem mieć na podorędziu broń, która zdołałaby pokonać dzielący nas dystans, zanim dziewczyna pośle we mnie kulkę.

Kiedy zbliżyliśmy się do wejścia do świątyni, Kest położył mi dłoń na ramieniu.

– Coś tu jest nie w porządku.

– Co?

– Nie wiem – jego czoło lśniło od potu.

– W takim razie...

– Nie mogę podejść bliżej – oświadczył.

Miał rozszerzone oczy i zaciśniętą szczękę, jakby usiłował przełknąć coś, co stało mu ością w gardle. W całym moim życiu nigdy nie widziałem, żeby Kest bał się o siebie.

– Co się z tobą dzieje?

– Nie wiem... Ja... Nie mogę tam wejść.

Spojrzałem jeszcze raz na małą kamienną świątynię. Nie było w niej nic szczególnego – wzdłuż Łuku stały tuziny podobnych kapliczek. Kiedy popatrzyłem na ziemię, gdzie leżało kilka kamieni, które odpadły ze ścian, zauważyłem, że szeroki kamienny krąg wokół budowli był nienaruszony.

– To tylko jakaś stara zniszczona świątynia – powiedziałem. – Chyba nie zrobiłeś się nagle religijny, co?

– Ja... chyba jestem... – spróbował uczynić krok w kierunku budowli i zobaczyłem, jak trzęsie mu się noga. Z ogromnym wysiłkiem postawił wreszcie stopę na ziemi, lecz zaraz potem osunął się na kolana i zwiesił głowę.

– Kest, wstawaj – powiedziałem.

– Nie mogę.

– On mówi prawdę – oznajmił kobiecie głos z wnętrza świątyni.

Spojrzałem w tamtym kierunku i dostrzegłam dziewczynę w żółtej sukni stojącą w wejściu. Brasti miał rację: miała jakieś pięć stóp wzrostu, a jej niedożywione ciało nie mogło widzieć więcej niż trzynaście wiosen. Twarz dziewczyny była jednak dużo doroślejsza, należała raczej do młodej kobiety niż do nastolatki. Wielkie ciemne oczy spoglądały na mnie spod gęstych rzęs. Miała prosty delikatny nos i kości policzkowe wyrzeźbione niczym w posągu Bogini Miłości. Skóra jej twarzy miała złotawy odcień, który zupełnie nie pasował do bladych ramion i nóg. Pełne czerwone usta zdobiły twarz odrobinę zbyt szeroką, a jednak w jakiś sposób doskonałą. Rysy jej twarzy miały w sobie zmysłowość, o której śpiewają trubadurzy.

„Trin”.

Zdażyłem już się zamachnąć, gotowy rzucić nożem w gardło kobiety, kiedy Kest złapał mnie za kostkę.

– Nie, Falcio, to nie może być ona. Trin jest wzrostu Valiany. To ktoś inny.

– Mam na imię Cantissa – powiedziała dziewczyna drżącym głosem, składając ręce, jakby chciała nas błagać o litość. – Mieszkam w pobliskiej wiosce z rodzicami.

– Przestań udawać – odparłem. – Widziałem lepszych aktorów odgrywających za grosze monodramy przed drugorzędnymi burdelami – dziewczyna była teraz na tyle blisko, że mogłem wyraźnie zobaczyć dziwną owalną ramę okalającą jej twarz. Była wykonana z ciemnego drewna, w miejscu utrzymywały ją grube żelazne śruby z krótkimi drewnianymi uchwytami do dokręcania.

Efekt był niepokojący i obsceniczny – nie było to ani lustro, ani maska, ale czymkolwiek była ta rama, zmieniała twarz dziewczyny w oblicze Trin.

„Magia”, pomyślałem. „Święci! Jak ja nie cierpię magii”.

Przez chwilę usta dziewczyny drżały, jakbym uraził jej uczucia, a potem kąciki jej ust zaczęły unosić się w szerokim uśmiechu.

– Ach, moja ty urocza obdarta peleryno, nigdy nie umiałam cię oszukać, prawda? To znaczy, poza tym jednym razem, gdy praktycznie na twoich oczach zabiłam Lorda Tremondiego. Och, i jeszcze przez wszystkie te tygodnie, które spędziliśmy razem w podróży, gdy odgrywałam rolę służącej. Tak przy okazji, gdzie jest Valiana? Czy to ona stała tam z tobą i z resztą twojej bandy? Z chęcią bym się z nią zobaczyła.

– Przyprowadziłbym Valianę, żeby się z tobą przywitała, ale obawiam się, że zabiłaby cię, zanim zorientowałaby się, że tak naprawdę cię tu nie ma.

– Och, no proszę, czyżby wreszcie urusł jej kręgosłup? Za czasów, gdy ją znałam, nie potrafiła bez mojej pomocy nawet uczesać włosów. Powiedz mi, przespałeś się już z nią? Kiedy ją zostawiłam, była jeszcze dziewicą. To koszmarne stan dla tak atrakcyjnej młodej kobiety.

– Doprawdy? Słyszałem, że ksiązę Perault, twój wuj, jakiś czas temu rozwiązał taki sam problem w twoim życiu.

– Och, nie bądź zazdrosny, Falcio. Przecież najpierw zaofiarowałam się tobie, nie pamiętasz? – Jej dłonie zaczęły drżeć, jakby dziewczyna usiłowała się opierać, ale po chwili rozluźniły się i przesunęły do szyi, a potem zaczęły wędrować w dół ciała. Zapewne miało to być uwodzicielskie. – Być może z tym ciałem

uznałbyś mnie za bardziej pociągającą? Jest mniej więcej w tym samym wieku, co Aline – przekręciła głowę i wyjrzała z progu. – Czy to ją masz tam ze sobą? – spytała, spoglądając na drogę. – Te trakty są potwornie niebezpieczne dla młodej dziewczyny. Jestem pewna, że Cantissa by się ze mną zgodziła... gdyby mogła coś powiedzieć.

– Cantissa może pocieszyć się wiedzą, że nigdy nie położysz swoich łapsk na Aline. I że Aline obejmie tron, i zostanie królową, a ty staniesz się dla tego świata jedynie złym wspomnieniem.

Przez bardzo krótką chwilę dłonie dziewczyny drżały i wiedziałem, że Cantissa jest tam nadal, świadoma – i że walczy. Spojrzałem ponownie na śruby scalające ramę, na ich małe drewniane uchwyty. Gdybym je usunął, czy złamałbym tym samym zaklęcie? Uczyniłem ostrożnie krok w stronę dziewczyny.

– No, no, no! – zaprotestowała Trin. – Nie sądzę, żebyś chciał podejść, by mnie pocałować, moja obdarta peleryno, więc trzymaj się w bezpiecznej odległości, albo każę Cantissie wydłubać sobie własne oczy.

Wycofałem się. Trin obserwowała mnie, a potem teatralnie zmarszczyła brwi.

– Doprawdy? Nie chcesz zaryzykować życia głupiej, nieważnej wieśniaczki? A co, jeśli zabicie jej, gdy wciąż w niej jestem, mogłoby pozbawić życia również mnie, Falcio?

Nie odpowiedziałem, czekając na jakąkolwiek oznakę, że to, co powiedziała, mogło być prawdą. Czy rzeczywiście mógłbym tego dokonać? Ilu ludziom ocaliłbym życie, gdybym zabił Trin tu i teraz? Czy Cantissa by zrozumiała? Może nawet sama błagałaby mnie, abym to zrobił – gdyby mogła.

– Kiedy nie siedzisz przywiązany do krzesła w lochach więziennych, nie jesteś ani trochę zabawny, Falcio. Będziemy musieli wkrótce to naprawić.

Nie widziałem żadnego sensu w dalszym udziale w grze Trin. Jaki miała cel? Opóźnić nas? Może właśnie w tym momencie instruowała swoich ludzi, gdzie się znajdujemy, i wysłała ich tu wystarczająco wielu, żeby pozabawić nas życia.

– Co się stało Kestowi? – spytałem.

Zerknęła na mojego klęczącego przyjaciela.

– To dość oczywiste, nie sądzisz? Nie może wejść do uświęconego przybytku – pochyliła się nieco. – Nie powinieneś być zabijać Caveila Co Przecina Wodę – powiedziała głośno, jakby starała się wyjaśnić coś przygłuchemu idiotcie. – To było bardzo nieładne. Zdenerwowałeś tym kogoś, kogo bardzo lubię.

– Dlaczego nie może wchodzić do świętych miejsc? Kest sam jest teraz Świętym od Mieczy – powiedziałem.

– To prawda. Sądzę jednak, że tytuł „świętego” jest pewnym nieporozumieniem. Tak naprawdę święci są raczej przeklętymi. Biedny stary Caveil błąkał się po świecie, szukając przeciwnika godnego swojej stali. Podobno kiedyś niemal zabił własną żonę i syna.

– Dlaczego święty miałby być przeklęty?

– Bogom nie podoba się, gdy istoty ludzkie wynoszą się ponad swoje pozycje, Falcio. Nie pojąłeś tego jeszcze? Takie są odwieczne prawa natury. Wszystko na tym świecie ma swoje miejsce i przeznaczenie. Sprzeciwianie się temu porządkowi ma swoją cenę.

Spojrzałem na Kesta, który cały dygotał, jako że kontynuował swoje wysiłki, by się poruszyć. Tkwił jednak w miejscu, niczym

przykuty kajdanami. Przyszedł czas, aby wykorzystać moją szansę. Ukryłem nóż z powrotem w płaszczu, chwyciłem go pod pachy i szarpnąłem do tyłu. Kiedy odciągnąłem go mniej więcej na stopę, uniósł dłoń.

– Mogę się znów poruszyć – powiedział.

– To świetnie. Idziemy.

Kest zawahał się, spoglądając na dziewczynę.

– Nie będę pionkiem w jej grze – oświadczyłem.

Trin zachichotała.

– Głupcze, jeśli nie zagrasz ze mną, znajdę po prostu kogoś innego – przytknęła dłonie do ust. – Valiana?! – zawołała. – Chodźże tu, kochana! Chodź, pobaw się ze swoją ukochaną Trin!

Jasna cholera! Powinienem był się tego spodziewać.

– Zostań na miejscu – krzyknąłem, ale nadaremno. Brzmienie głosu Trin, kobiety, która odebrała Valianie wszystko, podziałało niczym smagnięcie biczem. Valiana pognała w stronę świątyni.

Kiedy dostrzegła twarz Trin u biednej dziewczyny, rzuciła się na nią, nie wyciągając nawet miecza.

– Przestań! – chwyciłem ją za poły płaszcza i przyciągnąłem do siebie. – To nie jest Trin. To fortel.

– Ja po prostu chciałam znów zobaczyć moją piękną Valianę – powiedziała Trin z udawaną przykrością. – Poza tym kim ty jesteś, żeby mówić o fortelach, Falcio? Ty, który udajesz, że masz ze sobą Aline, abym wysłała za tobą w pościg wszystkich tych ludzi? Teraz, gdy wreszcie schwytałam małą Aline, muszę poinstruować moich ludzi, żeby obeszlą się z nią szczególnie brutalnie.

Serce ścisnęło mi się boleśnie w piersi. Jak to się stało, że Krawcowa uległa tak szybko? Jeżeli Trin schwytała Aline,

oznaczało to, że starucha i jej Wielkie Płaszczce najprawdopodobniej polegli. Z drugiej strony jednak, jeżeli Trin rzeczywiście odniosła zwycięstwo, po co zadawała sobie trud całym tym przedstawieniem?

Trin przyłożyła dłoń do ucha, jakby nasłuchując czegoś w oddali.

– Słyszysz? Myślę, że twoja mała Aline właśnie stała się kobietą.

Bałem się, że zawładnie mną gniew, ale mądrzejsza, rozsądniejsza część mnie wiedziała, że coś jest nie tak. Nie wątpiłem, że Trin rozkazałaby swoim ludziom zrobić coś podobnego, ale wiedziałem, że chciałyby przy tym być. „Podstęp. To podstęp”. Zbyt późno pojąłem, dlaczego przywołała Valianę.

– Nie ważcie się jej tknąć! – wrzasnęła Valiana, jakby jej głos mógł jakimś cudem dotrzeć przez drewnianą ramę do ludzi Trin. – Nie dotykajcie jej! Słyszycie mnie? Nie ważcie się jej tknąć!

Trin uśmiechnęła się.

– Widzisz? Czy to było takie trudne?

Valiana spojrzała na mnie zdezorientowana. Pokręciłem głową.

– Ona nie ma Aline – powiedziałem. – Chciała tylko wiedzieć, czy my ją mamy.

– Och, nie gniewaj się na Valianę. I tak ostatecznie bym się dowiedziała. Poza tym nie trzeba być mistrzem strategii, by się domyślić, że starucha wysłała cię po wsparcie książąt z południa. Jeden z nich prędzej czy później powiadomiłby mnie, że nie ma z wami Aline – przerwała na chwilę. – Którego księcia zamierzaliście zwerbować najpierw? Roset w Luth ma największą armię, ale Isault ma więcej pieniędzy. A może postawiliście na

zrzędlivego starego Meillarda z Pertynii? To może mieć sens: rozpocząć od rodzinnego księstwa, nieprawdaż?

– Obawiam się, że nie jesteś aż tak sprytna, za jaką się uważasz – odparłem.

– Ach, to nie ma znaczenia. Żaden z nich nie zaufa Wielkim Płaszczom, a jeśli ty miałbyś odrobinę bystrości, to również byś im nie ufał. To bardzo okrutny świat, Falcio.

– Okrutniejszy przez twoją obecność – odparłem. – Na szczęście jest to problem, z którym Krawcowa wkrótce się upora, jeśli twoi generałowie jej w tym nie wyręczą.

– No, no, nie bądź niemiły, kochanie. Zadałam sobie wiele trudu, żeby tu z tobą być – spojrzała na ziemię i uśmiechnęła się kokietyjnie, niczym młoda dziewczyna zapraszająca chłopca do tańca. – Mam dla ciebie upominek, Falcio.

Dłonie dziewczyny otworzyły się po raz pierwszy, ukazując coś, co wyglądało jak mały biało-żółty kawałek kamienia, wielkości może paznokcia. Wyciągnęła go w moim kierunku.

– Kazałam go oszlifować, specjalnie dla ciebie. Kiedy go znaleźliśmy, był brązowy i brzydki. Podejdz. Weź go – powiedziała, kiedy nie ruszyłem się z miejsca. – Zdobycie go kosztowało mnie wiele zachodu i pieniędzy. To od twojej żony Aline.

Poczułem, że powietrze w moich płucach nagle lodowacieje. Trin wiedziała. Wiedziała o Aline i o tym, że król nazwał swoją dziedziczkę na cześć mojej żony. Byłem głupcem, sądząc, że Trin lub któryś z jej ludzi nie dowiedzą się w końcu o mojej przeszłości. Ryzykując, wyciągnąłem mały kawałek czarnego materiału, którego używałem do czyszczenia broni i za jego pomocą ująłem w palce kamień.

Kiedy spojrzałem na niego z bliska, zrozumiałem, że mam przed sobą ząb. Trin ofiarowała mi jeden z zębów mojej żony.

– Z tego, co słyszałam, znaleziono go w karczmie, w której leżał przez... Ojej! Przypuszczam, że to już piętnaście lat. Pomyślałam o przerobieniu go na prosty naszyjnik, ale wydało mi się to staromodne.

Zacisnąłem dłoń wokół materiału tak mocno, że pomyślałem, iż albo popękają mi kości palców, albo ząb skruszy się na pył. Dłoń Kesta spoczęła na moim ramieniu. Wiedział, jak bliski byłem wyciągnięcia broni i przeszycia gardła Trin. Oczywiście tak naprawdę jej tam nie było i cała moja wściekłość i frustracja posłużyłyby wyłącznie do zabicia nieszczęsnej dziewczyny, którą wykorzystwała Trin.

Bardzo powoli i bardzo ostrożnie rozluźniłem dłoń i wysupłałem ząb spomiędzy fałd materiału, a potem odwróciłem się i rzuciłem go w stronę pustyni tak daleko, jak tylko mogłem.

Trin cmoknęła z udawanym niezadowoleniem.

– To tak się teraz traktuje podarunki, a zwłaszcza takie wyjątkowe? Nieważne, mam jeszcze jeden. Przechowam go dla ciebie na odpowiednią chwilę.

Zacząłem mówić, ale w tym momencie zauważyłem, że coś zaczyna się dziać. Skóra na twarzy dziewczyny zaczęła blednąć, a jej oczy zaszły mgłą. Po policzku Trin potoczyła się łza.

– Och, przestań, ty płakso, już niemal skończyłam – westchnęła. – Wygląda na to, że mojej małej Cantissie nie zostało zbyt wiele czasu. Magia czyni spustoszenia w tak delikatnym młodym ciele.

– Dobra, powiedziałaś już swoje, a teraz uwolnij tę dziewczynę.

– Powiedziałam swoje, Falcio? Nie jestem przekonana, a to bardzo ważne, abyś zrozumiał. Cantissa jest niczym Tristia: naiwna, niedożywiona i żyje wyłącznie po to, aby zginąć w służbie lepszym od niej. Taki jest świat, w którym żyjemy, Falcio. To miejsce, w którym niewinna dziewczyna nie ma szans na życie wolne od machinacji książąt, rycerzy i świętych. Naprawdę, dlaczego w ogóle chcesz walczyć o tak koszmarne miejsce? Lepiej zostawić je za sobą. Zostawić je mnie. Ja mam armie, wpływy i więcej pieniędzy, niż zdołasz sobie wyobrazić.

– Skoro masz aż tak wielką władzę, dlaczego tak bardzo przejmujesz się mną?

– Głupcze, nie chodzi o ciebie. Nigdy nie chodziło. Rzecz w tym, co inni ludzie zrobią z twojego powodu. Inspirujesz innych do szalonych uczynków, Falcio. Uczynków, które mogłyby stać się dość niewygodne dla nowej królowej.

– Jedyne miejsce, na którym zasiądziesz, jest najniższym z możliwych siedzisk w najgłębszym, najczarniejszym piekle, jakie będę w stanie dla ciebie znaleźć.

Ręka dziewczyny oparła się na biodrze, jakby chciała mnie zbesztać.

– No cóż, jeśli zamierzasz zachowywać się w ten sposób, moja obdarta peleryna, w takim razie po prostu się pożegnam! – Trin uśmiechnęła się szerzej i sięgnęła ku drewnianym uchwytnym śrub ściskających skronie dziewczyny. Zanim zdołałem zareagować, przekręciła je o jeden pełny obrót.

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem. Wraz z Valianą rzuciliśmy się w kierunku dziewczyny, ale zanim którekolwiek z nas zdołało do niej dotrzeć, Cantissa zatoczyła się do tyłu, skrywając się wewnątrz

świątyni. Dostrzegłem jeszcze, że przekręca śruby dwukrotnie. Upadła na ziemię i chwyciły ją drgawki.

Usłyszałem, że ktoś biegnie w naszym kierunku: Brasti był tuż za mną, z łukiem w pogotowiu.

– Co się dzieje? – spytał. – Co się stało tej dziewczynie? Kim ona jest?

– Daj spokój – zawołał Kest z zewnątrz, ale ja i tak wszedłem do kościoła. Twarz dziewczyny należała z powrotem do niej samej. Cantissa miała toporne rysy córki farmera: małe okrągłe oczy i lekko spłaszczony nos. Jej oczy były teraz wytrzeszczone i pełne przerażenia. Z ran na skroniach, gdzie wcześniej wbijały się w jej czaszkę śruby, sączyła się krew. Całe ciało dziewczyny podrygiwało w spazmach. Przyklęknałem, przytuliłem ją do piersi i starałem się uspokoić jej drgawki, do czasu aż Cantissa wreszcie opuściła ten świat.

ROZDZIAŁ 8

DROGA

W następnym tygodniu, gdy stopniowo przemieszczaliśmy się dalej od południowego krańca Pulnamu w stronę północnej części Aramoru, krajobraz stawał się coraz bardziej zielony. Pustynia na wschodzie nie spuszczała z nas oka, nawet kiedy jej brązowe zarośla i piasek, wdzierające się na szeroki gościniec, stopniowo były zastępowane polami bujnego jęczmienia – znakiem odwiecznej prosperity Aramoru.

Każdego poranka budziłem się sparaliżowany, oniemiały i ślepy, i każdego poranka mówiłem sobie, że czas, który spędzam w tym stanie, przestał się wydłużać – że to jak gorączka, która sama z siebie wkrótce minie.

Przez pierwsze dni wyobrażałem sobie, że była tu ze mną Cantissa. Sięgała, lecz nigdy nie dotykała drewnianych uchwytów żelaznych śrub, które powoli wkręcały się w jej czaszkę. Czasem wyobrażałem sobie, że twarz dziewczyny zmienia się w twarz Aline.

Nie mogłem w tej chwili nic zrobić dla córki mojego króla. Musiałem ufać, że Krawcowa i jej Wielkie Płaszczki trzymają ją w bezpiecznej kryjówce. Ja musiałem skoncentrować się na

Aramorze i księciu Isaulcie. Jedynie zdobywając jego poparcie, będę w stanie dać Aline szansę, której potrzebowała, aby zostać królową. Wciąż słyszałem słowa Krawcowej: „Aline musi być chroniona, aby mogła objąć tron. Nic nie może stanąć na drodze temu zadaniu. Nic nie stanie”.

Kiedy wreszcie przekroczyliśmy północną granicę księstwa Aramoru, zatrzymałem pochód.

– Powinniśmy napić konie – przełożyłem nogę nad siodłem i zeskoczyłem na ziemię.

– Nie obchodzi mnie, co powiesz, Falcio – Brasti zsiadł ze swojego wierzchowca i podszedł do mnie. – Dzisiejszą noc zamierzam spędzić w gospodzie. Mam już dość lodowatego pustynnego wiatru odmrażającego mi klejnoty.

– Twoim klejnotom przydałoby się schłodzenie – skomentowała Darriana, nadal siedząc na koniu.

Brasti spojrział na nią z odrazą.

– Nie obawiaj się, moja droga Darri. Już sama twoja obecność wystarczająco je mrozi.

Jego słowa zabrzmiały nader nieszczerze. Darriana była na swój sposób ładna, chociaż ja nigdy nie mógłbym jej nazwać atrakcyjną. Za bardzo przypominała mi Krawcową. Brasti z kolei miał o wiele bardziej... cóż, powiedzmy, że „kosmopolityczny” gust, jeśli chodziło o partnerów seksualnych. Podczas naszej podróży składał Darrianie coraz częstsze i bardziej skomplikowane propozycje. Zazwyczaj polegały na recytowaniu listy wszystkich jego zalet, które – gdyby rzeczywiście były prawdziwe – naginałyby wszystkie naturalne prawa. Darriana ze swej strony najwyraźniej uważała go za odrażającego typa i przypominała mu o tym przy każdej

sposobności. Moim zdaniem był to bodaj jej najbardziej ujmujący atrybut.

– Ktoś nadciąga – Brasti wskazał na drogę.

– Gdzie? – spytałem.

– Mniej więcej dwieście jardów stąd.

Valiana dołączyła do nas, z dłonią spoczywającą na rękojeści miecza.

– Nic nie widzę.

– Posłuchaj.

Po kilku sekundach do pozostałych dotarły wreszcie odgłosy wozu konnego toczącego się po wyboistym gościńcu.

– Chowamy się, walczymy czy uciekamy? – spytał Kest.

Spojrzałem na Brastiego.

– Są tam jeszcze jakieś inne konie?

– Nie. Wątpię, żeby był tam ktoś poza kupcem.

– Trzymaj się blisko koni – poleciłem.

Minutę później podjechał do nas starszy mężczyzna, siedzący na wozie ciągniętym przez dwa muły w iście oplakany stanie.

– Wielkie Płaszcze, co? – zatrzymał się przy naszej grupie.

Skinąłem głową.

– Mam szkarłatkę – powiedział. – Dobra na ból dziąseł – przyglądał się nam, jakby chciał zajrzeć w nasze zęby.

– Dziękuję, ale jesteśmy zdrowi – odparłem.

– Mam dużo innych różności. Łodygi lwizębu, które pomagają na ból stawów i na dodatek jeszcze dodadzą wam animuszu w kontaktach z kobietami, a przynajmniej tak twierdzą moi klienci.

– Jeszcze raz dziękuję, ale nie skorzystam.

Mężczyzna puścił lejce i ściągnął koc przykrywający wóz.

Zobaczyliśmy tuziny słoików i pudełek.

– Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że zupełnie niczego nie potrzebujecie do leczenia – powiedział. – Panowie tacy jak wy? Pewnikiem wdajecie się w rozmaite przepychanki. A może kosztował? Świetnie działa na siniaki.

– Ja... – nagle przyszło mi coś do głowy. – Czy masz coś na zatrucie neathą? – spytałem.

– Neathą? Jesteś pewien, że to właściwa nazwa?

– Tak, neatha.

Stary człowiek pokręcił głową.

– Możesz równie dobrze zapytać mnie, czy mam lekarstwo na deszcz. Trzymaj się z daleka od tego świństwa. Oto twoje lekarstwo. Neatha jest zabójcza, synu. Raz się zaciągniesz i już nie żyjesz. Nie najgorszy to sposób śmierci, a przynajmniej tak powiadają. Chociaż nie wiem, skąd mieliby to wiedzieć.

– W porządku. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby ktoś budził się sparaliżowany nad ranem, po tym jak spał przez kilka godzin?

– Jak długo trwa paraliż? – spytał starzec.

– Kilka minut. Może godzinę. A potem ręce i nogi robią się bardzo sztywne.

– Wedle mnie nazywa się to starością, synu.

– To nie to, tylko...

– Tak czy owak, nie ma to znaczenia – przerwał mi. – Neatha jest śmiertelną trucizną. Człowiek, który jej skosztował, umrze. To proste.

– Ja jej skosztowałem – odparłem. – I nadal się ruszam.

Stary człowiek chwycił lejce swojego zaprzęgu.

– Jeżeli zażyłeś neathę, jesteś już martwy, synu. Po prostu

twoje ciało potrzebuje jeszcze czasu, żeby to zrozumieć. To wszystko.

– Optymistyczny stary dureń – skomentował Brasti, spoglądając na chylące się ku zachodowi słońce. – Muszę się napić. Hej, starcze – zawołał. – Czy gdzieś w pobliżu jest jakieś miasto z gospodą?

– Shaliard – odkrzyknął handlarz. – Trzy godziny drogi w kierunku, w którym zmierzaliście. Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej nie pospadacie z koni ku własnej śmierci.

Brasti wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Cóż, sądzę, że przynajmniej niektórzy z nas zdołają tam dotrzeć, nieprawdaż?

Tę noc spędziliśmy w małej gospodzie Pod Złotym Dzwonem. Następnego poranka obudziłem się, widząc mojego króla, co było niezwykle, zważywszy, iż nie żył już od ponad pięciu lat. Jego sylwetka była niewyraźna i pociemniała, co oczywiście miało sens, jako że oczy nadal miałem zamknięte. Nie mogłem dostrzec rysów jego twarzy ani szczegółów odzienia, ale było coś charakterystycznego w tym chudym, kościstym ciele i niezgrabnej sylwetce, która zawsze wywoływała we mnie myśl, że król za chwilę opowie jakiś nieprzyzwoity dowcip.

Białe światło zaczęło bardzo powoli wypełniać mi pole widzenia i zrozumiałem, że prawdopodobnie moje oczy zaczęły się otwierać. Wychodziłem z paraliżu. Co dziwne, zjawa stała się wyraźniejsza i przez krótką chwilę widziałem króla Paelisa tak dobrze, jakby stał zaledwie kilka cali ode mnie. Wyglądał dokładnie tak, jak przy

naszym ostatnim spotkaniu w ponurej wieży nad zamkiem Aramor, gdzie spędził swoje ostatnie chwile. Byłem zaskoczony, że tak wyraźnie słyszę jego głos. Powiedział tylko dwa słowa, zanim moje oczy otworzyły się całkowicie.

– Zdradzisz ją.

Ostre promienie porannego słońca oślepiły mnie i twarz króla zmieniła się w oblicze Kesta.

– Możesz się już ruszać? – spytał.

– Chyba tak – odparłem.

– Odpocznij sobie jeszcze chwilkę.

Dobra rada.

– Co robią inni?

– Brasti wybrał się na polowanie. Twierdzi, że w tych okolicach występuje pewien gatunek dzikiego bażanta, niezwykle ceniony przez arystokrację Pulnamu. Myślę, że tęskni za kłusownictwem.

– Co z Valianą?

– To samo, co zwykle. Trenuje. Darriana jest dobrą nauczycielką, pomimo jej dziwaczного stylu szermierczego. Nadal nie mogę zgadnąć, gdzie się tego nauczyła.

– Kolejna tajemnica, która czeka na rozwiązanie – wsparłem się na łokciu, a potem niezgrabnie wstałem z łóżka.

Kest pomógł mi, a kiedy już stałem niepewnie na nogach, spojrzał na mnie uważnie.

– Tym razem zajęło to dwanaście minut.

– O czym ty mówisz? – znałem odpowiedź, ale nie chciałem teraz o tym myśleć. Za pierwszym razem, gdy się obudziłem uwięziony we własnym ciele, paraliż trwał zaledwie kilka sekund. Potem całą minutę. Teraz dwanaście.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Kest.

– Nic. Udamy się do pałacu księcia Aramoru i zapukamy bardzo cicho i uprzejmie do bramy. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, uzyskamy wsparcie Isaulta, a potem udamy się do Luth, Pertynii i gdziekolwiek jeszcze będziemy musieli, żeby wprowadzić na tron królewską dziedziczkę.

– A potem?

– Potem mnie wyleczymy i znajdziemy sobie inny powód zmartwienia – uśmiechnąłem się szeroko.

Kest wzruszył ramionami i pomógł mi zwinąć posłanie. Wyobraziłem sobie wyspę, o której słyszałem, tuż przy wybrzeżu Baernu, pośrodku ciepłego południowego morza, oraz kobietę o ciemnych włosach, pięknej twarzy i delikatnych zmarszczkach wokół kącików oczu – kobietę, która dała mi chwilę wytchnienia, kiedy najbardziej tego potrzebowałem. „Pozwólcie mi zobaczyć Ethalię jeszcze raz, zanim nastąpi mój koniec”, pomyślałem. To wszystko, o co proszę.

– Chodźmy – powiedziałem. – Aramor czeka. Z łaską świętych wypełnimy misję bez sprowadzenia zguby na cały świat.

Na wypadek gdybym jeszcze o tym nie wspominał, w Tristii święci wysłuchują próśb jedynie bardzo bogatych i wpływowych ludzi lub tych, których pobłogosławili bogowie. Mnie nie było dane ani jedno, ani drugie.

ROZDZIAŁ 9

KSIAŻĘ

W południe dotarliśmy wreszcie do pałacu księcia Aramoru. Zapukaliśmy uprzejmie do bramy i przekazaliśmy strażnikom dokumenty, które miały zapewnić naszą nietykalność podczas spotkania z księciem Isaultem. To tyle, jeśli chodzi o uprzejmości: zanim mieliśmy szansę rozejrzeć się po pałacu, otoczyły nas dwa tuziny rycerzy w pełnych zbrojach, z mieczami wyciągniętymi w sposób, który nijak się miał do miłego powitania.

– Brasti, następnym razem, kiedy będziesz czuł potrzebę umieszczenia strzały w piersi rycerza, postaraj się tego nie robić w obecności dwudziestu jego kolegów – powiedziałem tak spokojnie, jak potrafiłem w tej sytuacji.

– A przynajmniej zabij więcej niż jednego – zasugerowała Darriana.

Cała nasza piątka stała zwrócona do siebie plecami w ciasnym kręgu, pośrodku ogromnego kamiennego dziedzińca, otoczona z całą pewnością oddziałem rycerzy księcia. Unieśli swoje dwuręczne miecze i krok po kroku zaczęli się do nas zbliżać. Czasem zatrzymywali się, jakby czekając na komendę kapitana,

a potem jeden z nich rzucał jakąś groźbę w naszym kierunku i posuwał się minimalnie do przodu. Inni podążali za nim. Z góry zapewne wyglądali na trupę tancerzy, jeszcze niepewnych co do tego, kiedy rozpocząć przedstawienie.

– Tak na marginesie, Falcio, tej konkretnej rady najlepiej udzielać z wyprzedzeniem, przed popełnieniem danego czynu. Poza tym ten człowiek był bliski zabicia cię.

– Nie wiesz tego na pewno.

– Trzymał w dłoni miecz i celował nim w twoją szyję.

– Może po prostu chciał mi coś pokazać – odparłem.

– Owszem, mianowicie to, że głowa człowieka rzeczywiście może zostać odseparowana od reszty ciała za pomocą pojedynczego cięcia.

Oczywiście Brasti miał rację: rycerz, który trzymał mnie pod swym mieczem, nie wykazywał żadnych skłonności do rozmowy, poza nieustannym powtarzaniem słów „szumowina” i „trattari”. Na jego obronę trzeba powiedzieć, że stał w palącym słońcu przez cały poranek i wyglądał, jakby dosłownie gotował się w swoim pancerzu. Nie miałem czasu dobyć rapierów, więc Brasti zrobił to, co uznał za słuszne. Nie była to najgorsza decyzja, z wyjątkiem tego, że teraz z jej powodu mieliśmy za chwilę umrzeć. Rycerze trzymali nas w potrzasku, oczekując na rozkaz kapitana, żeby nas zmasakrować.

– Musicie dobrze przemyśleć swój kolejny ruch – ostrzegłem rycerzy przed nami. – Nikt inny nie musi dzisiaj umierać.

– Czy wy, Wielkie Płaszcze, zawsze tyle gadacie, zamiast walczyć? – spytała Darri.

– Zawsze – odparli zgodnym chórem Kest i Brasti.

– Zaczynam rozumieć, jakim sposobem książętom tak łatwo udało się zabić króla – w jej głosie nie było słyhać nawet cienia

strachu. Lewą dłoń opierała na ramieniu Valiany. Nie byłem pewien, czy to w celu pokrzepienia dziewczyny, czy też po to, aby powstrzymać ją przed rzuceniem się na wariata ku własnej niechybnej śmierci.

Przyjrzałem się tabardom otaczających nas rycerzy. Wszyscy nosili wizerunek srebrnego wołu na zielonym polu. Jeden z rycerzy miał dodatkowo trzy gwiazdy nad wołem.

– Kapitanie – zawołałem do niego. – Przybyliśmy tu w dobrej wierze, aby spotkać się z księciem Isaultem...

– A jaką to wartość ma wiara trattari? – zapytał zza stalowej przyłbicy.

– W dzisiejszych czasach najwyraźniej większą niż księcia – odparł Brasti.

– Nie pomagasz – mruknąłem.

Rycerze znów zaczęli zacieśniać krąg wokół nas, ale dlaczego nie atakowali? Odwróciłem się do Kesta.

– Jakie są nasze szanse na zwycięstwo?

Kest powiódł wzrokiem po otaczających nas dwudziestu rycerzach, spojrzał na dziedziniec, na wielką bramę, którą zamknięto po naszym wejściu, a potem na wysokie mury wewnętrzne, prawdopodobnie szukając miejsca, gdzie moglibyśmy się wspiąć, gdyby udało się nam wyrwać z okrążenia.

– Absolutnie żadne – zawyrokował.

– Naprawdę? – spodziewałem się złych wieści, ale niczego aż tak ostatecznego.

– Dwadzieścia do pięciu, że noszą pełną zbroję. Musieliśmy pojawić się w trakcie ich ćwiczeń lub przeglądu – ciągnął Kest. – Prawdopodobnie później planują paradę. Czy w Aramorze jest teraz

jakieś święto?

– Doskonale – powiedział Brasti. – Za chwilę mamy umrzeć, a tymczasem nasz Święty od Mieczy zajmuje się niezwykle istotną sprawą, a mianowicie, czy będzie później jakaś biesiada.

– No dobra, a jeśli przedrzemy się przez ich szyki? – spytałem.

– Spójrz na mury – powiedział Kest.

Byłem tak zdeterminowany, żeby nas tu wprowadzić i uniknąć rozlewu krwi, iż nie zwróciłem uwagi na licznych kuszników na koronie muru.

– O cholera!

Kapitan rycerzy dostrzegł moją reakcję.

– Macie tylko jedną drogę, by się stąd wydostać, trattari, i wiedzie ona przez rzekę waszej krwi. Chodźcie, poddajcie się losowi, na który zasłużyliście po tysiąckroć.

– Łamiesz dobrą wiarę, prawa i tradycje Aramoru! Przynosisz hańbę swojemu księciu! – krzyknęła Valiana, wyciągając miecz.

Kapitan się zaśmiał.

– A co ty możesz wiedzieć o honorze księcia, dziwko?

– Ja...

– Nic – wtrąciłem się. – Ona nic nie wie o takich sprawach, panie rycerzu. Pozwól jej i tej drugiej kobiecie odejść. To tylko podróżniczki, które chciały się dostać do Aramoru. Nie mają z tym wszystkim nic wspólnego.

– To dlaczego noszą wielkie płaszcze? – spytał rycerz.

Darriana prychnęła za moimi plecami.

– Czy on zawsze jest takim genialnym strategiem?

Kapitan roześmiał się znowu.

– Pozostawię wam pierwszy ruch, trattari.

Zerknąłem na Kesta, a potem na Brastiego. Obaj skinęli głowami. Wiedzieliśmy, co miało nastąpić. Każdy pojedynkujący się człowiek pewnego dnia natyka się na przeciwnika lepszego od siebie. Dzień, w którym rozpoczyna naukę szermierki, jest jednocześnie dniem, w którym zaczyna się przygotowywać na tę chwilę, gdy ostrze miecza przeszyje jego brzuch. Valiana nie należała do Wielkich Płaszczy, a przynajmniej nie w mojej opinii. Była niewinną młodą kobietą, która nigdy nie miała szansy, żeby przygotować się na podobną śmierć. Zasługiwała na coś lepszego.

– Gdy rozpocznie się walka, spróbujemy przedrzeć się przez ich okrążenie – szepnąłem do Darriany. – Kiedy się to uda, chwycić Valianę i biegnijcie w kierunku wartowni przy bramie. Jest tam tylko jeden człowiek. Będziecie mogły użyć drzwi strażnicy, żeby wydostać się za bramę.

Spojrzała na mnie z kpiącym uśmiechem.

– Usiłujesz ocalić moje życie czy moją duszę? Sądzisz, że nie jestem gotowa na walkę z tymi draniami? Uważasz, że się boję?

– Darriana, moim zdaniem jesteś kompletnie szalona. Chętna, jeśli nie zdesperowana, aby umrzeć podczas walki. Ale Valiana nie jest taka jak my. Nie jest...

– Śliczna z niej ptaszyna, ale ma serce lwa, pierwszy kantorze. Zawstydzasz ją tylko, traktując jak dziecko.

– Trudno. Może mnie za to nienawidzić później. Teraz rób to, co mówię.

Spojrzała na mnie pytająco, a potem szybko skinęła głową. Mądra dziewczyna. Wiedziała, kiedy nie można wygrać.

Odwróciłem się do pozostałych.

– A zatem to koniec? – spytał Brasti.

– To koniec – zdziwił mnie niezwykle spokoj, który mnie ogarnął. To pogodzenie się z losem, gdy wiesz, że pozostała już tylko jedna rzecz, o którą chcesz walczyć.

– W porządku – powiedział Brasti. – Skoro dzisiaj jest ten dzień, to nie ma sprawy. Jeżeli jednak muszę zginąć, to zabiorę ze sobą kilku tych pieprzonych rycerzy.

– Których powinniśmy zabić? – spytał Kest. – Możemy wziąć sześciu... nie. Masz swoją szybką kuszę, prawda? W takim razie ośmiu.

Rycerze znów powoli przysunęli się do przodu. Znajdowali się teraz niespełna dziesięć stóp od nas. Jeszcze krok i zaatakują.

– Przepraszam najuprzejmiej – zawołał Brasti. – Mamy tu swego rodzaju dylemat.

– I owszem, trattari – roześmiał się jeden z rycerzy. Brasti zignorował go.

– Widzicie, nasz przyjaciel jest Świętym od Mieczy. Uważa, że zdołamy zabić ośmiu z was, zanim wy zabijecie nas. Osobiście jestem pewien, że niektórzy z was są bardzo miłymi ludźmi, chociaż dlaczego miły człowiek miałby kiedykolwiek wybrać karierę rycerza, ale wszyscy popełniają błędy. Pewnego razu sam nawet...

– Przejdź do sedna, Brasti – powiedziałem.

– No tak. W każdym razie, jeżeli którykolwiek z was znęca się nad żoną, jest dzieciobójcą lub może mordercą staruszków, czy mógłby w takim razie podnieść rękę do góry albo skinąć głową? Znacznie ułatwi nam to całą sprawę.

– Brasti, to idio...

Ku mojemu absolutnemu zdziwieniu jeden z rycerzy zaczął podnosić rękę, tylko przez chwilę, zanim jego kolega na niego nie

spojrzał. Cóż, nikt nigdy nie twierdził, iż trzeba być inteligentnym, żeby nosić zbroję.

– W porządku – powiedział Brasti. – A co dokładnie to było? Znęcanie się nad żoną, dzieciobójstwo? Czy... Ach, przypuszczam, że to nie ma wielkiego znaczenia – wyciągnął strzałę z kołczanu i strzelił. Strzała przeszła obojczyk zbroi i trafiony rycerz padł na ziemię. Z jego szyi tryskała fontanna krwi. – W porządku, kto następny? Może ktoś lubi się znęcać nad zwierzętami?

Rycerze ryknęli jednym głosem i ruszyli, szybko pokonując dzielącą nas odległość. Nie jestem tak dobry jak Kest w przewidywaniu wyników walki, ale zgadywałem, że mamy mniej niż minutę, zanim zostaniemy zmiażdżeni przez oddział pancernych.

– Teraz! – wrzasnąłem do Darri i skoncentrowałem się na naszych wrogach. Gdy ma się do czynienia z przeważającym liczebnie przeciwnikiem, kluczowe jest zepsucie mu szyku tak, aby sam stawał sobie na drodze. Najlepszym zaś sposobem na to jest zbliżenie się do wroga, co oczywiście sprawia, że człowiek wystawia plecy na jego atak. Inną metodą jest sprawienie, że przeciwnik tak bardzo będzie chciał własnoręcznie pozbawić cię życia, że dosłownie zmiecie wszystko, co stoi mu na drodze. Wbrew pozorom to łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać. Mamy nawet specjalną pieśń służącą temu celowi.

Wyciągnąłem rapiery.

– Każdy rycerz, którego spotykam, to odrażający gbur – zaśpiewałem.

– Tchórzliwy, próżny... istny potwór – przyłączył się Kest.

– Z rozkoszą zgwałciłby własną matkę – zaśpiewał Brasti.

– Siostrę, brata, a nawet babkę – dodał w radosnej harmonii Kest.

– Choć na co dzień zadawała go własny muł!

Rycerze natarli na nas z mocą. Okazało się to dość pomocne, jako że utrudniło kusznikom na murach strzelanie. Dostrzegłem opadający na moją głowę dwuręczny miecz. Zablokowałem go prawym rapierem, kierując ostrze w dół i pozwalając kłindze ześlizgnąć się w deszczu iskier. Kolejny rycerz zamachnął się mieczem w płaszczyźnie horyzontalnej, więc prześlizgnąłem się obok pierwszego przeciwnika, który przyjął cios prosto w brzuch. Lepiej w takich okolicznościach mieć pełną zbroję niż tylko płaszcz. Zerknąłem w bok i dostrzegłem, że dziewczęta nadal są z nami. Przekląłem świętych, ale nie miałem czasu zająć się tą sprawą.

Staraliśmy się pozostać w głównej masie rycerzy, aby utrudnić kusznikom celny strzał. Nasze płaszcze są w stanie wytrzymać uderzenie jednego, może nawet dwóch bełtów, ale sama siła ciosu wystarczyłaby, żeby na chwilę nas zdekoncentrować, zaś najmniejszy moment nieuwagi byłby szansą dla kogoś, aby wbić w nas coś ostrego. Zerknąłem na kuszników nad nami i, ku swojemu zdziwieniu, dostrzegłem, że stoją nieruchomo, oczekując rozkazu dowódcy, który trzymał prawą dłoń wysoko w górze, najwyraźniej powstrzymując swoich ludzi. Coś tu było nie tak. Dlaczego jedna grupa rycerzy usiłowała nas zabić, podczas gdy druga wręcz przeciwnie?

Brasti wodził swoim łukiem po szerokim horyzontalnym półokręgu, trzymając atakujących na dystans, ale była to krótkotrwała taktyka. Kest walczył już z trzema rycerzami, podczas gdy dwóch innych próbowało go zająć od tyłu. Nadszedł

nasz koniec. „Tak szybko?”, pomyślałem. Nie sądzę, żeby czas zwalniał, gdy nadciąga śmierć: już raczej nasze umysły, zdając sobie sprawę z tego, iż pozostało im zaledwie kilka chwil życia, zaczynają pracować szybciej. Brasti zdąży jeszcze wypuścić dwie strzały, zanim opadną go rycerze. Kest zdoła utrzymać swoich przeciwników na dystans po to tylko, aby był kuszy wystrzelony z muru przedziurawił mu głowę. A ja? Cóż, miałem przed sobą rosnącego mężczyznę dzierżącego bardzo ostrą broń, która wyglądała jak coś, co w niedalekiej przyszłości znajdzie się w moim lewym oku.

Chaos i wrzawę przeciął donośny dźwięk rogu, niczym setka krzyczących orłów.

Większość rycerzy odstąpiła niemal natychmiast. Mężczyzna, który właśnie zamierzył się, aby wbić swój miecz w moją twarz, nie zdołał zatrzymać pchnięcia na czas. Sygnał rozproszył go jednak na tyle, że byłem w stanie sparować cios.

Róg zabrzmiał ponownie, tym razem w trzech krótkich sygnałach. Rycerze wycofali się z walki i stanęli w szyku. Dwóch ludzi, których zabiliśmy jeszcze przed walką, nadal leżało na ziemi. W czasie bitwy dołączyła do nich kolejna piątka.

Przez chwilę zapanowała cisza. Kurz powoli opadał na kamienny dziedziniec.

– Kapitanie Heridos, raport – rozległ się nagle rozkaz.

Jeden z rycerzy z pierwszego rzędu wysunął się na dwa kroki do przodu, jakby chciał porozmawiać z Kestem, Brastim i mną.

– Komandorze – rzucił usłużnie.

Usłyszałem kroki za plecami.

Zbliżał się ku nam wysoki mężczyzna. Jego zbroja lśniła

w promieniach słońca. Wół Aramoru na jego tabardzie miał nad głową cztery gwiazdy. Mężczyzna zatrzymał się przed stojącymi w szyku rycerzami, po czym odwrócił się twarzą do nas, jakby chciał pokazać, że nie musi patrzeć na swoich ludzi, aby wykonywali jego rozkazy.

– Powiedziałem, raport.

– My... – zaczął Brasti.

Dźgnąłem go łokciem w żebra.

– On nie mówi do nas.

– Sir Shuranie, ci trattari nas zaatakowali...

– Doprawdy? – powiedział potężny rycerz, nadal nie patrząc na swojego kapitana. – Czy jeden z nich był przebrany za sir Kee? Ponieważ obserwowałem wszystko z góry i wyglądało na to, że sir Kee usiłował obciąć głowę temu człowiekowi, zanim ten zdołał wyciągnąć broń.

– Mówiłem ci – szepnął Brasti.

Heridos przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– Sir...

– Jakie instrukcje wydałem wam dziś rano, kapitanie Heridos?

– Tak, sir, ale...

– Instrukcje, kapitanie. Jakież one były?

Heridos spojrzał na komandora z wyraźną pogardą w przymrużonych oczach.

– Sir Shuranie, poinstruował nas pan, żebyśmy oczekiwali na pojawienie się trzech wysłanników Pretendentki.

– I?

– Wedle instrukcji mieliśmy się nie angażować w walkę z rzeczonymi wysłannikami, bez względu na ewentualną

provokację.

Shuran zdjął hełm. Miał kwadratową szczękę, a jego głowę pokrywały krótko przycięte czarne włosy. Wyglądał na czterdziestolatka, choć niełatwo to było stwierdzić, ponieważ lewą połowę jego twarzy pokrywała faktura skóry i poważne blizny po ciężkich oparzeniach.

– Kapitanie Heridos, z doświadczenia wiem, że odpowiedź na provokację może prowadzić do nieprzyjemnych konsekwencji.

Kapitan zawahał się przez chwilę.

– Ale sir, nawet po tym, jak sir Kee poległ, i zanim zaatakowaliśmy, ten łucznik zabił sir Retarisa. Poza tym pięciu z nas leży teraz martwych na dziedzińcu.

Shuran podszedł do trupa Retarisa, którego zastrzelił Brasti, i pchnął jego ciało czubkiem buta.

– Więc co takiego zrobił, jak sądzicie?

– Sir?

– Bił żonę, był dzieciobójcą czy mordował starych ludzi? Do której z tych zbrodni, twoim zdaniem, chciał się przyznać?

Zaczynałem lubić sir Shurana. Potem jednak przypomniałem sobie, że jest rycerzem, i tym samym problem sam się rozwiązał.

– Sir Shuranie, nazywam się Falcio val...

Dowódca uniósł opancerzoną dłoń.

– Chwileczkę, proszę. Nie skończyłem jeszcze z moimi ludźmi. Kapitanie Heridos, pozwoliłeś, aby sir Kee zaatakował ludzi, z którymi wyraźnie poleciłem nie wdawać się w walkę. Potem otoczyłeś ich i dałeś im jasno do zrozumienia, że zamierzasz ich pojmać lub zabić – rosły rycerz osłonił oczy przed słońcem i spojrzał na blanki. – Zauważ, że sir Nemeth trzymał swych ludzi na górze

pod kontrolą, zgodnie z moim rozkazem. Wreszcie muszę zauważyć, że mając do dyspozycji dwudziestu najznamienitszych rycerzy Aramoru, udało ci się pokonać, licząc precyzyjnie, zero wrogów, podczas gdy oni odebrali życie ośmiu ludziom.

– Sir? – powiedział kapitan pytająco.

– Tak?

– Oni zabili tylko siedmiu naszych.

Shuran porzucił trupa i stanął naprzeciwko kapitana rycerzy.

– Dziękuję za przypomnienie. Uklęknij teraz i zdejmij swój hełm, sir Heridosie.

Kapitan rozejrzał się na prawo i lewo, jakby miał nadzieję, że ktoś przemówi w jego obronie. Potem uklęknął i ściągnął hełm, odsłaniając młodą twarz okoloną długimi jasnymi włosami.

Shuran wyciągnął miecz – prostej budowy, bez zdobień czy inskrypcji na klindze. Zauważyłem jednak, że był idealnej długości dla mężczyzny takiego wzrostu, chociaż z pewnością podobnych wielkoludów nie było zbyt wielu. Jego klinga była szersza niż w zwykłych mieczach, jakby została wykuta z myślą o tym osiłku. Była to broń zrobiona na zamówienie, znakomicie wykonana i kosztowna, pomimo pozornej prostoty. Człowiek ten wyraźnie cenił swój miecz, a przy tym nie był na tyle prózny, aby go ozdobić.

Shuran chwycił broń w obie dłonie i przystawił ją do szyi kapitana.

– Jesteś gotowy, kapitanie Heridosie?

– Tak, komandorze.

– Czy pragniesz najpierw pomodlić się do bogów lub wydać instrukcje swoim ludziom co do przekazania rzeczy osobistych bliskim?

– Nie, komandorze. Jestem gotowy na śmierć.

– Tutaj, w tyle dziedzińca? Bez żadnego innego powodu, prócz tego, że jej zażądałem?

– Tak, komandorze.

– Zatem dobrze – odparł Shuran. – Głupota kosztowała cię własne życie, kapitanie. Byłoby stosowne, by twoje posłuszeństwo wykupiło cię od śmierci – wsunął miecz z powrotem do pochwy. – Pozostaniesz w tym miejscu, póki słońce nie zajdzie i nie wszędzie ponownie – pozostawił klęczącego rycerza i podszedł do mnie. – Jestem Shuran, dowódca rycerzy i lojalny sługa Isaulta, księcia Aramoru – zdjął rękawicę i wyciągnął do mnie dłoń.

Stałem jak wryty przez pełną minutę. Swego czasu spotkałem więcej niż setkę rycerzy, ale żaden z nich nigdy nie chciał uścisnąć dłoni ani mnie, ani żadnemu z nas.

– Falcio val Mond – odparłem, potrząsając niepewnie jego dłonią. – Pierwszy kantor królewskich Wielkich Płaszczy.

– Proszę wybaczyć pytanie, ale jak możecie być „królewskimi” Wielkimi Płaszczami, skoro rzeczony król nie żyje?

– To nazwa honorowa – odrzekł Brasti. Radośnie wyciągnął dłoń na przywitanie, czekając na to, aby rycerz odmówił jej przyjęcia. – Brasti Goodbow.

Ku jego zdziwieniu Shuran przywitał się również z nim. Rosły rycerz spojrzął nad moim ramieniem.

– Drogie panie, przepraszam za nieuprzejmość moich ludzi.

Odwróciłem się i ujrzałem stojące za mną Darri i Valianę.

– Drzwi były zamknięte na klucz – powiedziała ta pierwsza.

– A ty? – Shuran spojrzął na Kesta. – Czy się nie mylę, sądząc, że jesteś Wielkim Płaszczem zwanym Kestem Murrowsonem?

– Jestem nim – odparł.

– Krąży o tobie plotka, jakobyś twierdził, że jesteś najlepszym szermierzem na świecie.

– Rzadko kiedy muszę to mówić – odparł Kest.

– Jest świętym – wtrącił Brasti. – Ale nie świętym od skromności.

Shuran uśmiechnął się.

– Zastanawiam się, sir, czy nie zechciałbyś zaszczyścić mnie małą rundką, jeżeli będzie po temu czas?

Kest przyjrzał się rycerzowi uważnie, a potem spojrzął za niego, na ślady jego stóp na dziedzińcu.

– Masz mocną postawę zakroczną z lewej nogi – powiedział. – Ustawiasz się prawą stroną do przeciwnika, być może aby chronić poparzoną stronę twarzy przed atakiem?

– Być może – odparł Shuran.

– A może dlatego, że twoje lewe oko doznało uszkodzeń i nie widzisz na nie tak dobrze, jak powinienes?

Rycerz uśmiechnął się.

– To również jest możliwe.

– Wytrzymałbyś dziesięć złożeń, może dwanaście, jeżeli miałbym słońce w oczy.

– W takim razie nie ma sensu się próbować, skoro wszystko wyliczyłeś...

– Zrobiłem to.

– Mimo to, jeśli nadarzy się po temu okazja, chciałbym się o tym przekonać. Czy zdołasz mnie pokonać, nie zabijając przy tym?

Kest zastanowił się przez chwilę.

– Czternaście złożeń – odparł.

– Sir Shuranie – wtrąciłem się. – Zdaję sobie sprawę, że bycie pokonanym przez Kesta może być dla niektórych ludzi wysoce atrakcyjną ideą, ale mamy...

– Wybacz, masz oczywiście rację – odparł Shuran. – W głębi duszy kocham rywalizację, ale nie po to tu przecież przybyliście. Pozwólcie, że zabiorę was do księcia. Nie może się doczekać tego spotkania.

Kiedy przemierzaliśmy dziedziniec w kierunku głównego pałacu, usiłowałem zrozumieć tego rycerza, który zdawał się nie żywić najmniejszej antypatii w stosunku do mnie czy ogólnie do Wielkich Płaszczy. Oczywiście nigdzie nie było napisane, że rycerze powinni nas nienawidzić – a przynajmniej nie widziałem takiego prawa na własne oczy. Mimo to coś mnie niepokoiło.

– Kazałeś swoim ludziom oczekiwać naszego przybycia – powiedziałem, gdy wspinaliśmy się po szerokich kamiennych schodach.

– Owszem.

– Skąd wiedziałeś, że się dzisiaj pojawimy?

– Nie wiedziałem. Wydałem rozkaz, kiedy otrzymaliśmy wiadomość o waszej wizycie.

– Jak dawno ją dostaliście?

– Sześć dni temu.

Zatrzymałem się na szczycie schodów.

– Zatem chcesz mi powiedzieć, że rozkazałeś dwudziestu rycerzom i dwudziestu kusznikom sterczeć od rana do nocy w tej spiekocie przez cały tydzień i czekać na trzech Wielkich Płaszczy?

– Jakiś problem, pierwszy kantorze? Zabroniłem im również was atakować.

– Tak, tak, zabroniłeś im nas atakować, ale wiedziałeś, że i tak to zrobią, prawda? Nawet w najlepszy dzień, z sakiewką pełną złota, dzbanem zacnego wina i po przeleceniu samej Świętej Lainy Co Daje Dupy Bogom, rycerz nadal znalazłby powód do zaatakowania Wielkiego Płaszcz. Ci ludzie...

Shuran wznowił marsz, więc podążyliśmy za nim przez długi korytarz ozdobiony czerwonymi i zielonymi kobiercami.

– Ci ludzie powinni zastosować się do rozkazów. Nade wszystko rycerz musi się charakteryzować dyscypliną. Jednak przez większość czasu słuchanie rozkazów jest bardzo łatwe, ponieważ żądamy od rycerzy wykonywania czynności, których się spodziewają. Rzeczy, które może nawet lubią robić.

– Dlatego pomyślałeś, że wykorzystasz nadarżającą się sposobność, aby przekonać się, jak dobrze wyćwiczeni są twoi ludzie?

– Owszem – odparł Shuran. – I się przekonałem.

– A jeśli udałoby im się nas zabić przed twoją interwencją? Czy twój książę nie uznałby tego za pewien problem?

– Pierwszy kantorze, z tego, co rozumiem, jesteście trzema najlepszymi Wielkimi Płaszczami króla Paelisa – uśmiechnął się do Darri i Valiany. – Bez obrazy, drogie panie. Zapewne jesteście doskonałymi wojowniczkami, ale jeśli wierzyć historiom, Falcio uciekł z książęcego więzienia, oswoił wieszczego konia, pokonał asasynów dashini, co podobno jest niewykonalne, a także zabił księcia Rijou.

– Co jest za ledwie w połowie tak imponujące jak fakt, że przywołał go z powrotem do życia – wtrącił Brasti.

– To prawda. Dlatego też, pierwszy kantorze, mogę jedynie

powiedzieć z przekonaniem, że gdyby moi ludzie zabili was, zanim zdołałbym zainterweniować, księżę Isault nie miałby z was żadnego pożytku.

Dotarliśmy do końca korytarza, który był na tyle szeroki, że mógłby pomieścić całą karawanę. Przed imponującymi drzwiami stali dwaj strażnicy, którzy zaszalutowali Shuranowi i otworzyli podwoje. Za drzwiami znajdowała się ogromna komnata z tronem na przeciwległym końcu. Shuran wskazał w jego kierunku.

– Idźcie – powiedział. – Księżę spotka się z wami, kiedy będzie gotowy.

Kolejną godzinę cała nasza piątka spędziła, stojąc niczym posągi w sali tronowej książąt Aramoru.

– Co my tu robimy, Falcio? – spytał Brasti po raz trzeci.

– Zamknij się – odparłem po raz czwarty. Pierwszy był nieudaną próbą zapobieżenia pozostałym.

Pomieszczenie wyglądało w zasadzie jak wszystkie inne książęce sale tronowe, w których bywałem w ciągu mojego życia – czyli dokładnie tak, jak powinna wyglądać królewska sala tronowa. Arrasy na ścianach przedstawiały liczne bitwy (zapewne nie było wśród nich żadnej, którą Aramor przegrał). Ciągące się przez całą długość sali graniaste kolumny ozdobione były panopliami oraz herbem książęcym – każdy wykonany wystarczająco szczegółowo, aby można było rozpoznać kolejnych członków rodziny Isaulta. Sala lśniła złotem i srebrem w takim stopniu, żeby osiągnąć niemal królewski przepych.

Trudno musiało się tu mieszkać człowiekowi takiemu jak

Isault – wiedział, że zamek Aramor znajduje się ledwie trzydzieści mil stąd i jest zarówno okazalszy niż jego pałac, jak i kompletnie opuszczony od czasu detronizacji i stracenia króla Paelisa. Przebywanie tak blisko siedziby władcy Tristii i jednoczesna niemożność przekroczenia jej wrót bez wszczęcia wojny z pozostałymi książętami musiała potwornie denerwować Isaulta.

Wreszcie te same podwoje, przez które tu weszliśmy, otworzyły się i do środka wkroczył stary człowiek w towarzystwie czterech paziów niosących ciężkie srebrne tace. Po obu stronach tronu ustawiono stoły, który zastawiono jedzeniem i winem. Następnie służba opuściła salę, a stary człowiek zajął miejsce przy drzwiach. Zastanawiałem się czy jedzenie przyniesiono po to, aby sprawdzić, czy zjemy je przed pojawieniem się księcia.

– Zdajesz sobie sprawę, że zadajesz Falciovi to pytanie nader często? – powiedział Kest.

– Słucham? – nie zrozumiał Brasti.

– „Co my tu robimy?”. Zadajesz mu to samo pytanie, gdziekolwiek się nie udajemy.

– I co w związku z tym?

– Do tej pory powinienes już zrozumieć, że Falcio nie ma odpowiedzi.

Dzięki, Kest. Spojrzałem na drzwi, przez które weszliśmy do sali. Stał w nich Shuran. Skinął mi, a ja odpowiedziałem mu tym samym. Stary szambelan stał obok rycerza. Nie zaszczyił mnie spojrzeniem. Może poczułbym się nawet urażony, ale nie byłem do końca pewien czy starzec nie śpi.

– Trzymajcie język za zębami – powiedziałem pozostałym. – Shuran był jak do tej pory dużo bardziej uprzejmy niż moglibyśmy

mieć nadzieję, a ja nie chcę nikogo obrazić.

– Oni nas próbowali zabić, Falcio – zaprotestował Brasti.

– Rycerze zawsze próbują nas zabić. Ci tutaj przynajmniej są kulturalni. W królestwie jest dziewięć księstw. Musi być chociaż jedno, w którym ludzie nas szanują.

– Ach, to oni – zza tronu dobiegł nas głęboki, dudniący głos. – Kurwie syny króla Paelisa, z językami wciąż brązowymi od wyschniętych okruchów jego gówna.

Nigdy przedtem nie spotkałem Isaulta, więc obserwowałem go uważnie, gdy wkroczył do środka przez drzwi ukryte w alkowie znajdującej się kilka stóp za tronem. Był to człowiek przeciętnego wzrostu, w średnim wieku i z dość okazałym brzuchem. Jego zielone i złote szaty zostały uszyte z jedwabiu lub czegoś podobnego. Nie dodawały księciu urody, podobnie jak drewniana korona ze złotą inkrustacją i ogromnym zielonym klejnotem na środku. Tylko w Tristii księżętom wolno było nosić korony.

– Wasza Łaskawość – przywitałem się bez ukłonu.

– Gównojad – odparł, pokonując niewielką odległość dzielącą go od tronu i ciężko opadając na niego. – Macie jedzenie, jeśli chcecie, ale korzystajcie z tamtego stołu – wskazał na mebel po naszej prawej stronie. – Ten drugi jest dla mnie.

No tak, oczywiście. Bo spożycie jedzenia, które zostało przygotowane wyłącznie dla ciebie, gdy ten drugi człowiek ma swoje własne, nigdy nie skończyłoby się kłopotami.

– Dziękujemy, Wasza Łaskawość, jedliśmy już wcześniej.

Księżę sięgnął ręką w kierunku stołu, niemal ssuwając się przy tym z tronu. Korona spadła mu z głowy i z łoskotem potoczyła się po podłodze. Księżę wydawał się tym nie przejmować. Chwycił udo

należące kiedyś do jakiegoś dużego zwierzęcia.

– Tchórz – powiedział, wgrzyzając się w mięso. Nie byłem pewny do czego lub kogo odnosił się ten komentarz. – Widzę, że przywieźliście ze sobą dziwki. Która z nich jest dla mnie?

– Ja, Wasza Łaskawość – odparła Darriana.

Isault dostrzegł niepokojący uśmiech na jej twarzy i zwrócił się w moim kierunku.

– Dlaczego mam wrażenie, że ta paskudna mała kreatura ma na myśli coś zupełnie innego niż sprawienie mi rozkoszy? Być może spodobałoby się jej bardziej, gdybym związał jej ręce i nogi?

Mina Darriany natychmiast się zmieniła.

– Z rozkoszą podziwiałabym twoje działania, Wasza Łaskawość.

Położyłem dłoń na jej ramieniu. Spojrzała na nią, a potem na mnie. Wyglądała, jakby była bardziej wściekła na mnie niż na księcia.

– Niewychowana dziewczka. Widzę, że ona również nosi wielki płaszcz, co by wyjaśniało jej postawę. Problem z wami, Wielkimi Płaszczami, jest taki... A niech to! Beshard! – wrzasnął na starego człowieka stojącego po drugiej stronie komnaty. – Co to ja mówiłem na temat problemu z Wielkimi Płaszczami? Pamiętasz? Kilka dni temu.

– Że są zarozumiali, Wasza Łaskawość.

– Dokładnie! To prawda. Zarozumiali. Tacy właśnie jesteście – jego ekscelencja nachylił się ku nam. – Beshard to stary pomarszczony pederasta, który marzy, by przelecieć mnie w czasie snu, ale jest wierny jak pies – Isault rzucił udko z powrotem na talerz. Nie trafił. – Naprawdę. Powinieneś spróbować mnie zaatakować. Przysięgam, że stary Beshard znalazłby się przy mnie

przed Shuranem.

– Książę... – zacząłem.

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego was tutaj wezwałem – ciągnął Isault.

– Eee... nie wezwałeś nas, Wasza Łaskawość. Przybyliśmy pod rozkazem od Krawcowej, w imieniu Aline, córki...

– Tak, tak... Aline, czyjaś córka, władczyni czegoś tam, dziedziczka tronu gdzieś tam. To wszystko tak naprawdę gównie warte, nie?

– Obawiam się, że nie nadążam, Wasza Łaskawość.

– Powiedziałem, że to gównie warte.

– Tak, Wasza Łaskawość, słyszałem te słowa wychodzące z twoich ust. Po prostu ich nie rozumiem.

Książę Isault znów sięgnął po coś ze stołu. Tym razem złapał skrzydełko jakiegoś ptaka.

– Kogo obchodzi, kto jest kim? Nie znasz mnie. Równie dobrze mógłbym być synem świniarza, którego jakaś praczka pomyliła z prawdziwym synem księcia. Może w tej chwili prawowity książę Aramoru wlewa świniom do koryta pomyje.

Spoglądając na umazaną tłuszczem twarz Isaulta, uznałem, że jego teoria jest coraz bardziej prawdopodobna.

Książę wytarł usta rękawem.

– Nadanie tytułów szlacheckich, Próby Serca, mędrzy... to wszystko sranie w banię. Ale ty masz swoje rapiery, prawda? – spytał retorycznie. – I one akurat się liczą. To, że stu Wielkich Płaszczy skopało dupy pięciuset ludziom Jillarda? To się liczy. Oczywiście sztuczka nie podziała więcej niż kilka razy. W końcu stanie przed wami trzydziestotysięczna armia. Wiesz, że właśnie to

was czeka, co?

– Co takiego, Wasza Łaskawość? Nadal jestem jeszcze przy kwestii praczki.

Książę się roześmiał.

– Ha! To właśnie w was lubię, Wielkie Płaszcze. Macie... a niech to! Co to ja powiedziałem na temat Wielkich Płaszczy, Beshard?

– Jaja, Wasza Łaskawość – odkrzyknął usłużnie Beshard z drugiego końca sali. – Powiedziałeś, panie, że mają... jaja.

– Jaja! Mają wielkie, potężne jaja – Isault zachichotał i wyciągnął obie dłonie, demonstrując, o jakim rozmiarze wyżej wspomnianych imponderabiliów myśli. – Przede wszystkim jesteście wszyscy na wpół szaleni z tym swoim „prawo mówi to” i „prawo mówi tamto”. Dodać do tego małą wojenkę i zaraz wszyscy rzucicie się do walki, niezależnie od wielkości armii przeciwnika – pogroził mi palcem. – Trzydzieści tysięcy ludzi, chłopcze. Tyle mogliby przeciwko wam wystawić książęta, gdyby połączyli siły. Trzydzieści tysięcy. Sądzisz, że ty i twoja setka Wielkich Płaszczy dacie radę stawić czoła takiej armii?

– Nie, Wasza Łaskawość. Nie udałoby się nam pokonać trzydziestu tysięcy żołnierzy – odrzekłem, próbując jak najrozważniej dobrać kolejne słowa. – Ale nigdy nie będziemy musieli tego robić.

– Doprawdy? – zdziwił się Isault. – A dlaczegóż to?

– Ponieważ książęta sobie nie ufają – odparłem. – Wciąż mówicie o starciu z powierzchnią ziemi tego lub owego, ale w ostateczności bardziej niż czegokolwiek w życiu boicie się umocnienia władzy któregoś z was. Twój podrzutek świniarza zasiądzie na twoim tronie dużo prędzej niż mityczna

armia, którą opisałeś, zobaczy pole walki.

Isault zaczął się śmiać głośno i od serca.

– Ha! A to kolejna rzecz, którą sobie myślę o Wielkich Płaszczach. Pamiętasz, Beshard, co powiedziałem tamtego dnia?

Szambelan zaczął odpowiadać, ale uniosłem dłoń, uciszając go.

– Nasze poczucie humoru, Wasza Łaskawość – odpowiedziałem za niego. Proszę wybaczyć moją impertynencję, ale czy moglibyśmy przejść do zasadniczej kwestii?

Książę spoważniał.

– Do zasadniczej kwestii? Wiedziałbyś wszystko o tym, gdybyś nie był tak pewny siebie, nie miał gigantycznych stalowych jaj i poczucia humoru, którym zasłaniasz się jak tarczą. Zasadniczą kwestią jest to, że książęta nigdy nie będą w stanie się połączyć.

– W takim razie...

– Chyba że dobrze ich nastraszysz. Już raz się zjednoczyliśmy, czyż nie, Falciu val Mondzie, pierwszy kantorze Wielkich Płaszczy?

– Owszem, zrobiliście to – odpowiedziałem zimno.

– Oooh, Shuran, lepiej się tu zbliż z tym swoim wielkim mieczem. Ten chłopak spogląda na mnie niezbyt przyjaźnie. Ojej! – książę zaczął ruszać palcami.

Nie było sensu odpowiadać, więc milczałem.

Isault przyglądał mi się przez chwilę.

– Dobrze. Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. A tak przy okazji, kto zaprojektował te płaszcze, co? Wyglądacie jak... no, nieważne. Rzecz w tym, że król sprawił, iż baliśmy się go bardziej niż samych siebie, a to był gruby błąd. Zjednoczył nas. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko go usunąć. Po prostu musiał odejść.

Znów poczułem, jak wzbiera we mnie mroczny żar. Książę Isault popatrzył mi w oczy, a potem wstał z tronu i zrobiwszy dwa kroki, stanął przede mną.

– Spójrz na mnie w ten sposób jeszcze raz, chłopcze, a chwyć swój własny miecz i sprawię ci lanie, na jakie zasługujesz. Sądziś, że nie byłbym w stanie?

– Wytrzymałbyś dwa złożenia – wyręczył mnie usłudnie Kest. – Falcio pozwoliłby twojemu pierwszemu ciosowi przeciąć powietrze, a potem...

– Pytanie było teoretyczne – szepnął Brasti tak głośno, że usłyszeli go prawdopodobnie również zmarli przodkowie Isaulta.

– Chciałeś chyba powiedzieć „retoryczne” – odparł Kest.

Uniosłem dłoń.

– Zostaw to.

– Sprytnie – pochwalił Isault. – A teraz zachowaj ów rozsądek. Jeżeli chcesz osadzić swoją małą dziewczynkę na tronie, lepiej znajdź sposób na to, aby książęta nie przestali ze sobą walczyć, jednocząc się zamiast tego w celu pokonania ciebie i twojej wędrownego trupy szaleńców.

– Wasza Łaskawość, wydajesz się być zdeterminowany, by pomóc nam znaleźć sposób na pokonanie książąt, mimo że sam jesteś jednym z nich.

Isault podszedł do stołu po prawej – tego, z którego kazał nam się pożywić – i chwycił kolejne udko.

– Ano przypuszczam, że tak.

– Czy wolno mi spytać dlaczego?

– Mam po temu swoje własne powody, ale najważniejszy jest ten, że potrzebujemy króla. Albo królowej. Zresztą jak dla mnie

może być to nawet pieprzona koza. Do licha! Jedna z twoich dziewczek też by się zdała. Tak czy owak, potrzebujemy władcy na tronie w zamku Aramor. Potrzebujemy królewskich praw – uniósł palec. – Nie za wielu. Na pewno nie aż tylu, ile chciał wprowadzić Paelis, ale kilku owszem. Wystarczającej liczby. Człowiek powinien być w stanie uprawiać ziemię, wychowywać dzieci i nie obawiać się, że jakiś gówniany lordzik pojawi się z wizytą, żeby zgwałcić mu córki i ukraść wszystkie pieniądze. Na takich zabawach cierpi cała ekonomia, wiesz o tym, prawda?

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym z tej perspektywy, ale...

– Tak, Wasza Łaskawość. Wiem.

– A co się stanie, jeśli te barbarzyńskie moczopije z Averagesu pewnego dnia przekroczą góry? Rozedrą nas na strzępy. Trzydzieści tysięcy ludzi, mówiłem ci już, prawda? To wszystko, co książęta mogliby wystawić wspólnie przeciwko nim. Tymczasem, mój chłopcze, Averages jest w stanie wysłać na wojnę stutysięczną armię, gdyby zaistniała potrzeba – wgryzł się w udko.

Słowa Isaulta miały sens. Jego ocena stanu państwa była celna i chociaż nie byłem pewien poprawności jego szacunków dotyczących armii Averagesu, nie zdziwiłaby mnie aż taka jej siła. Z drugiej strony wciąż pamiętałem dzień, kiedy armia książąt najechała zamek Aramor. Choć niezbyt liczna, tworzyły ją jednak oddziały ze wszystkich księstw, włączając w to Aramor.

– Dlaczego więc nie poparłeś króla, kiedy miałeś taką szansę? Dlaczego nie sprzeciwiłeś się reszcie?

– Sprzeciwić się reszcie? – rzucił we mnie niedojedzonym udkiem, które odbiło się od mojego płaszcza, pozostawiając na nim tłustą plamę. – Nie nazywaj mnie tchórzem, chłopcze.

Powiedziałem ci już, twój przeklęty król Paelis naciskał za mocno i za szybko. Ta suka Patriana zmobilizowała nas wszystkich, twierdząc, że Wielkie Płaszcze zaczną po kolei przejmować księstwa. Paelis najpierw zająłby się księciem Jillardem w Rijou, to mus. A zgadnijmy, co siedzi pomiędzy pachą Hervoru i dupą Rijou? – Isault wycelował palcem w siebie. – Aramor, ot co.

– Król nigdy nie planował przejęcia księstw – odparłem. – Żadnego z nich. Nie wydał żadnego dekretu czy rozkazu na ten temat. Po prostu chciał uczynić życie prostego ludu znośniejszym.

Isault prychnął.

– Naprawdę? Takim kłamstwem cię uraczył?

Usłyszałem dźwięk miecza wysuwanego z pochwy w odległej części komnaty.

– Co...?

Poczułem dłoń Kesta na moim ramieniu.

– Ty pierwszy dobyłeś broni, Falcio – wyjaśnił, trzymając prawą dłoń na rękojeści swojego rapiera. Spojrzałem w dół i przekonałem się, że to prawda. Mój miecz był wyciągnięty do połowy.

– Proszę mi wybaczyć, Wasza Łaskawość – powiedziałem. – Straciłem głowę.

– Faktycznie, prawie ją straciłeś, chłopcze. Nie twierdzę, że król był złym człowiekiem. Mówię tylko, że również wiedział o niebezpieczeństwie grożącym nam ze strony Averagesu. Wiedział, że musimy stać się bogatszym państwem, jeśli kiedykolwiek mamy zyskać szansę na wystawienie armii, która zdołałaby obronić Tristię przed najeźdźcami – uniósł rękę. – Z twojej miny wnioskuję, że nie dojdziemy do porozumienia w tej sprawie, więc pozostawmy ją na razie. Pozwólmy Paelisowi pozostać w twoich oczach

bohaterem zwykłych ludzi, zaś w moich sprytnym i egocentrycznym strategiem. Być może obaj mamy rację. Tristia nie może być silna bez władcy na tronie.

– Zatem Wasza Łaskawość udzieli poparcia Aline?

Isault odetchnął przez nos i spojrzał mi głęboko w oczy.

– Czy ona jest naprawdę najlepszym wyborem, jaki mamy?

– Nie pojmuję, Wasza Łaskawość.

– Trzynastoletnia dziewczyna bez pojęcia o rządzeniu: czy to nasza jedyna nadzieja?

– Jest królewską dziedziczką.

– A inni?

Zachowałem na tyle obojętną minę, na ile potrafiłem, usiłując zdecydować, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Ach – powiedział książę. – Więc nie masz pojęcia, czy inni przeżyli. Cóż, w takim razie może pewnego dnia obaj zostaniemy zaskoczeni.

– Ale w tej chwili? – spytałem. – Udzielisz poparcia Aline jako królowej Tristii?

– Owszem, udzielę.

Obręcz zaciskająca się na mojej piersi zniknęła. Aramor nie był księstwem o wielkiej sile, lecz posiadał bogactwa i duże zapasy żywności, a to był naprawdę dobry początek. To ważny argument, by inni rozważyli swoje poparcie dla nas. Moglibyśmy...

– Za pewną cenę.

– Przepraszam, co takiego, Wasza Łaskawość?

Isault chwycił ze stołu talerz wypełniony mięsiwem i zabrał go ze sobą, rozsiadając się na tronie.

– Przestań grać przede mną głupca, chłopcze. Ta stara wiedźma

nie wysłała cię do mnie z pustymi rękami, prawda?

– Nie, Wasza Łaskawość. W zamian za twoje poparcie Aline ma...

– Masz na myśli Krawcową, prawda?

– Ja...

– Aline nie ma nic do zaoferowania, chłopcze. Jest dziewczyną i prawdopodobnie nie byłaby w stanie odczytać prawa podatkowego nawet w asyście dwóch skrybów i ogromnej lupy. To starucha pociąga za sznurki, a my mamy cholerne szczęście, że sama nie jest w bezpośredniej linii dziedziczenia. Nie chciałbym żyć w świecie, który miałby tę wiedźmę za królową.

– Aline – zaakcentowałem jej imię – jest skłonna obniżyć podatki królewskie o dziesięć procent wobec tych, które ustanowił król Paelis. Obieca również utrzymać je na tym samym poziomie przez dziesięć lat.

– Cóż, w tej chwili i tak płacę tyle, co nic, więc nie jest to dla mnie zbyt atrakcyjna oferta.

– To niezupełnie prawda, Wasza Łaskawość – wtrąciła się Valiana.

– Co? – zlustrował ją od stóp do głów. – To ona umie mówić? Rozkoszne! Co jeszcze potrafi robić za pomocą ust?

Valiana zignorowała komentarz księcia.

– Większość podatków płaconych koronie wracała w postaci utrzymywania szlaków i zapewnienia ciągłości handlu, który jest tak istotny dla gospodarki twojego księstwa. Jaka część pieniędzy, które płacisz obecnie, wraca do Aramoru, Wasza Łaskawość?

– Chyba podobałaś mi się bardziej, kiedy milczałaś i mogłem sobie wyobrazić, jak...

– Wyobrażaj sobie, co tylko zapragniesz – przerwała mu Valiana. Uśmiechnęła się i przez krótką chwilę dostrzegłem w niej wyniosłą szlachciankę, za którą kiedyś uchodziła. – Tymczasem inni książęta wyeksploatują tereny na północy i zaczną spoglądać na południe, w kierunku stad i pól Aramoru. Jak sądzisz, co oni będą sobie wyobrażać, Wasza Łaskawość?

Na samą myśl o tym Isault wyglądał na wyjątkowo nieszczęśliwego. Wziąłem to za dobry znak.

– Aline upewni się, że granice i szlaki handlowe twojego księstwa będą bezpieczne. Wymusi również na Lordach Karawan obniżenie stawek i kursów walutowych wzdłuż całego Łuku i Włóczni.

– Doprawdy? – zdziwił się Isault. – A w jaki sposób zamierza to osiągnąć?

– Wykorzysta część podatków na naprawienie dróg i umieści posterunki straży wzdłuż traktów.

– Sprytne – powiedział Isault. – Może nawet wypali, ale to nie wystarczy.

– Zgodzi się również na wstrzymanie nakładania nowych praw na księstwa przez pięć lat.

– Czyli da sobie wystarczająco dużo czasu, żeby dorosnąć i nauczyć się obecnych praw, tak? W porządku, ale nadal nie wystarczy.

– Wybacz, Wasza Łaskawość, ale czego jeszcze pragniesz?

Isault podał mi talerz pełny mięsiwa. Nie wiedziałem, co zrobić, więc wziąłem go i odłożyłem na stół.

– Widzisz to, chłopcze? – spytał. – Dziesięć minut temu za żadne skarby nie wziąłbyś ode mnie tego talerza. Teraz, kiedy wyczuwasz

nosem ugode, jesteś bardziej niż skłonny poniżyć się wobec mnie.

– To nie...

– Och, nie mówię tego, by cię krytykować. Wręcz przeciwnie, cieszę się, że masz w sobie odrobinę zdrowego rozsądku, ponieważ twoja mała dziewczynka nie może dać mi tego, czego chcę.

– A czegoż to Wasza Łaskawość pragnie?

Wycelował we mnie palec.

– Tego.

– Mnie?

– Was, Wielkie Płaszczce. Podobno macie egzekwować prawo, czyż nie?

– Owszem, Wasza Łaskawość.

– A ksiązę ma prawo opodatkować ludzi żyjących w jego wsiach, prawda?

– Owszem, pod warunkiem że podatek...

– Pod warunkiem że podatek nie jest tak wygórowany, by nie można go było uczciwie zapłacić. Kara zaś nie może być zbyt surowa, i takie tam rzygi, i sranie w banie... Nieważne. Chodzi o to, że jeśli nie przegnę, będą musieli zapłacić, tak? W takim razie chcę, żebyś wraz ze swoimi chłopcami pojechał do wioski Carefal, mniej więcej trzy dni drogi stąd w kierunku zachodniej granicy księstwa.

– Wasza Łaskawość, nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że pragniesz, abyśmy odwiedzili ową wioskę, ponieważ ktoś odmawia zapłaty podatku?

– Niezupełnie – odparł Isault. – Chcę, żebyście się tam udali, ponieważ cała wioska Carefal odmawia opłacenia podatku. Pojedziecie tam, odtańczycie swoje wielkopłaszczowe płasy,

zaśpiewacie im pioseneczkę o prawie i zmusicie, żeby wypełnili swój obowiązek.

– Czy nie masz do tego...? – obejrzałem się na Shurana.

– Nie zamierzam wysyłać rycerzy i żołnierzy, żeby gnębili jakąś małą wioskę. Stracę wtedy albo swoich ludzi, albo podatników. O nie, chłopcze. Chcesz wprowadzić swoją dziewczynkę na tron? Chcesz być prawem naszych ziem? W porządku. W takim razie dowiedz mi, że potrafisz wyegzekwować przepisy od każdego człowieka.

– A jeśli to zrobimy?

Isault wstał z tronu, zszedł po schodkach i wyciągnął do mnie dłoń.

– Wtedy poprę twoją małą dziewczynkę całą potęgą Aramoru. Może nie posiadam ogromnej armii, ale moi rycerze są jednymi z najskuteczniejszych zabójców w kraju. Wyślę Shurana, żeby stanął przed żołnierzami Trin, i założę się, że połowa z miejsca ucieknie.

– Ja... – spojrzałem na pozostałych. Kest wyglądał na niezainteresowanego. Przyglądał się ze skupieniem tarczom i mieczom zdobiącym komnatę. Valiana spoglądała na mnie rozczarowana, zaś Darri uśmiechała się ironicznie, jakby właśnie wygrała pojedynek na słowa. Brasti wyglądał na zwyczajnie zaniepokojonego. Wiedziałem, jak się czuje, ponieważ ja też się martwiłem. Nie widziałem jednak innego wyjścia. Nie zdołalibyśmy osadzić Aline na tronie bez poparcia przynajmniej części książąt, nie przypuszczałem zaś, aby którykolwiek z nich miał okazać się bardziej pomocny niż Isault.

– W porządku. Pojadę do Carefal. Jeżeli mieszkańcy wioski

rzeczywiście odmawiają zapłaty podatków, jak mówisz, wydam werdykt na twoją korzyść.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na zgodę.

– W takim razie jedź – zarządził książę. – Shuran i kilku jego ludzi będzie ci towarzyszyć i chronić przed śmiercią, jeśli zajdzie potrzeba.

Kiedy nasza piątka ruszyła do wyjścia, Isault zawołał za nami:

– Ta dziewczyna? – zatrzymałem się i odwróciłem, żeby na niego spojrzeć. – Powiedziałem, że pomogę ci ją osadzić na tronie, i zrobię to. Ale nie utrzyma się tam zbyt długo, Falcio. Trzydzieści lat? Straci życie tydzień po koronacji.

ROZDZIAŁ 10

TRUBADURZY

Aby dotrzeć z pałacu książęcego w Aramorze do wioski Carefal, trzeba pokonać sto mil. To przyjemna dwudniowa wycieczka, jeśli człowiek lubi wsłuchiwać się w parskanie koni pokonujących pofałdowaną drogę wśród wzgórz i co jakiś czas zsuwać się po szarych łupkach złuszczających się z wąskich gór niczym strupy z ran na ramionach trędowatego.

– Waszym drogom dobrze by zrobił remont, sir Shuranie – zawołałem do rycerza jadącego ze swoimi ludźmi tuż za mną. Komandor zadał sobie trud, aby przedstawić mnie wszystkim dziewięciu towarzyszom, ale ponieważ żaden nie miał ochoty uścisnąć mi dłoni, postanowiłem odwdzińczyć się im, natychmiast zapominając ich imiona.

– Stan dróg w Aramorze nie leży w gestii rycerzy – odparł Shuran. – Czy Wielkie Płaszczki zwykły zamiatać schody i myć posadzki w zamku króla?

– Kwestia czasu – skomentował Brasti, odłączając się od Kesta i podjeżdżając do mnie. – Kiedy Falcio już się upora z całą brudną robotą dla twojego księcia, na pewno się za to zabierze.

– Zamknij się, Brasti – powiedział Kest, bardziej z nawyku niż z przeświadczenia, że jego upomnienia działają.

Jeżeli stumilowa konna podróż, gdy człowiek jednocześnie zмага się z mdłościami, zdaje się mijać zbyt szybko, jednym z rozwiązań jest zabranie ze sobą człowieka, który – przynajmniej nominalnie – jest twoim podwładnym, i pozwolenie mu na to, aby przez całą drogę utyskiwał niczym jędzowaty babsztyl.

Miałem nadzieję, że Darriana ocali mnie jednym ze swych skomplikowanych wywodów na temat jakości męskości Brastiego. Na nieszczęście razem z Valianą postanowiły jechać za nami i z ich strony dochodziły mnie jedynie wybuchy śmiechu. Nie powinno mnie martwić to, że się zaprzyjaźniły, ale zdecydowanie się tym przejmowałem. Darri okazała się skuteczną nauczycielką fechtunku i może nawet była na swój sposób sympatyczna (choć zwykle wiązało się to z rozmowami na temat okaleczania ludzi), ale pod jej niefrasobliwym sposobem bycia chowała się krwawa zabójczyni, która mordowała swoich wrogów bez chwili zastanowienia.

Mój koń poślizgnął się i niemal zrzucił mnie z grzbietu, przypominając mi tym samym, że powinienem bardziej uważać na drogę.

Jeden z ludzi Shurana powiedział coś, czego nie dosłyszałem. W odpowiedzi dobiegł mnie głośny wybuch śmiechu. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że rycerze nadal są rozbawieni ciętą uwagą Brastiego. Najwyraźniej czerpali ogromną radość ze słuchania, jak Wielkie Płaszcze obrażają siebie nawzajem. Podejrzewam, że obserwacja, jak łoimy się wzajemnie na śmierć, również by ich ubawiła – a prawdopodobieństwo takiej sytuacji

wydawało mi się coraz większe.

Shuran spojrział na mnie, jakby miał zamiar poruszyć delikatny temat.

– Przyznaję, pierwszy kantorze, że chyba nie do końca rozumiem waszą hierarchię. Gdyby którykolwiek z moich rycerzy przemówił do mnie w podobny sposób, spotkałby się z surową reprimendą.

– Zajmę się tym, kiedy będę miał czas.

– Może po prostu powinieneś wstrzymać jego zapłatę? – zasugerował pomocnie Shuran.

Brasti wybuchnął tak głośnym śmiechem i w tak wysokiej tonacji, że brzmiał on niemal jak dziewczęcy chichot.

– Najpierw musiałbym ją dostawać.

Shuran wydawał się zdziwiony.

– Nie płacisz swoim ludziom?

– Czy ja wyglądam na króla? – spytałem. – A ty? Ty sam płacisz swoim ludziom?

Shuran spojrział na rycerza, który roześmiał się chwilę wcześniej.

– Sir Elleth, kto płaci twój tygodniowy żołd?

– Ty, komandorze.

– A w sytuacji, gdybyś został ranny, kto opłaci uzdrowiciela?

– Ty, komandorze.

– Jeżeli polegiesz w walce, kto wypłaci odszkodowanie twojej rodzinie?

– Ty...

– Zaraz, chwileczkę – przerwałem. – Czy sir Elleth nie pracuje dla księcia?

– Służę księciu – odparł Shuran. – Wszyscy służymy, ale to dowódca jest odpowiedzialny za wynagrodzenie swoich ludzi – jego ton stał się wyraźnie świętoszkowaty. – To lord jest obowiązany płacić nam rekompensatę pieniężną, a żądanie jej od księcia skalałoby święte zobowiązania naszej służby dla niego. To jakby prosić bogów, aby wypłacali nam pensję za to, że będziemy wiedli nasze życie dobrze.

– Wreszcie! Oto doktryna religijna, którą mógłbym wesprzeć – Brasti trzymał wodze między dłońmi złożonymi jak do modlitwy. – O, wielka Bogini Miłości, przemierzę długie, odludne drogi tego kraju, niosąc twoją naukę o miłosierdziu każdemu, kto jej potrzebuje. Pochylę mą głowę przed każdą oznaką piękna i będę cię wychwalał rano, w południe i w nocy – spojrzał na nas z łobuzerskim uśmieszkiem. – W zamian za to chciałbym otrzymywać uposażenie w wysokości dwunastu srebrnych jelonków ze specjalnym dodatkiem dwóch jelonków w dni targowe. Chciałbym również mały domek, nic wielkiego, rozumiesz, tylko...

– Zamknij się, Brasti – powiedzieliśmy z Kestem zgodnym chórem.

Rycerze przednio się bawili całą tą sytuacją, zaś Brastiemu to nie przeszkadzało. Lubił znajdować się w centrum uwagi, nawet jeśli była to uwaga książęcych rycerzy, którymi pogardzał z zasady i bez wyjątku.

Pomysł, by to dowódca płacił swoim ludziom z własnej kieszeni, wydał mi się dziwaczny i dość kosztowny.

– Zaraz, chwileczkę. Jeżeli musisz płacić żołąd wszystkim książęcyim rycerzom pod twoją komendą, to kto płaci tobie?

– Oczywiście książę – powiedział Brasti.

– Ale czy to nie splamiłoby służby, którą pełni dla księcia? – Kest wreszcie zainteresował się konwersacją. Oprócz tego, że był najlepszym szermierzem na świecie, posiadał również nienaturalną fascynację biurokracją.

– Zaiste, splamiłoby to moją służbę – odparł Shuran. – Ostatecznie jesteśmy pobożnymi ludźmi.

Brasti chciał powiedzieć coś niegrzecznego, ale Kest szybko mu przerwał.

– Czy słusznie zakładam, że jeśli księżę od czasu do czasu obdarzyłby cię podarunkiem, z podziwu dla twego szlachetnego charakteru, to taki dar nie umniejszyłby twojej służby dla niego?

Shuran uśmiechnął się lekko.

– Taki upominek byłby potwierdzeniem tego, że spełniłem wolę bogów.

– A gdyby okazywanie podziwu przez księcia następowało z pewnego rodzaju regularnością...?

– Cóż, staram się być szlachetny w tygodniowych odstępach – Shuran uśmiechnął się szerzej. – Jestem znany ze szczególnej szlachetności w środy.

Usiłowałem wyliczyć, jaki to prezent był potrzebny, aby zapewnić wypłacenie żołdu tysiącowi rycerzy, ale rachowanie nigdy nie było moją mocną stroną, dlatego po chwili machnąłem na to ręką.

– Zatem płacisz swoim ludziom z książęcych „prezentów”? – spytałem.

– Częściowo, chociaż to pokryłoby jedynie podstawowy żołd i wydatki moich ludzi.

– W takim razie skąd bierze się pozostała część?

Shuran zasygnalizował reszcie, żeby zwolnili, i ściągnął cugle.

– To akurat temat wymagający dłuższej rozmowy.

Valiana zrównała się z nami.

– Dlaczego zwalniamy?

Shuran wskazał na drewniany piętrowy budynek około sto jardów przed nami, niemal niewidoczny wśród drzew.

– Gospoda. Nie mają wprawdzie pokoi gościnnych, ale możemy dostać jedzenie, picie i rozłożyć się w pobliżu obozem.

– Podróżowałam już kiedyś tą drogą z moją matką... – Valiana potrząsnęła głową, jakby chciała oczyścić myśli. – To znaczy z niegdysiejszą księżną Hervoru – w jej głosie pobrzmiwała smutna nuta. Minęło ledwie kilka miesięcy od chwili, gdy w nader nieprzyjemny sposób dowiedziała się, że nie jest córką księżnej. – W każdym razie jestem niemal pewna, że dziesięć mil stąd jest dużo lepsza gospoda, w której znajdą się dla nas pokoje.

– Wybacz mi, moja pani – odparł Shuran. – Robi się już późno, a ja wolałbym nie forsować koni. Zatrzymamy się tu na noc i z rana wyruszymy do Carefal.

– Skoro nie mają dla nas pokoi, to jaki to ma sens? – spytał Brasti.

– Znajdziemy tu jedzenie dla nas i dla koni. Poza tym gospoda słynie z rozrywek, które, jak sądzę, możesz docenić.

– I młot księcia opadł – powiedział gawędziarz. Pomimo młodego wyglądu miał głęboki, donośny głos, jakby przemawiał przez niego sam Święty Anlas Co Pamięta Świat. Ogień w kominku rzucał cienie w dużej izbie, oświetlając przystojną twarz barda, jakby był stworzeniem zrodzonym z magii. Proste ciemne włosy sięgały mu do ramion. Nosił również krótko przystrzyżone wąsy

i bródkę w stylu bardzo popularnym wśród trubadurów – zapewne sądzili, że ten wygląd przydaje im mądrości. Albo urody. W zasadzie to nie mam pojęcia, dlaczego tak się nosili. Mężczyzna miał na sobie niebieską koszulę pod czarną kamizelką, która pasowała do jego spodni. Zauważyłem, iż te ostatnie były miejscami połatane.

Kobieta siedząca na taborecie obok brzdąkała cicho na krótkiej podróźnej gitarze, akompaniując opowieści. Ona również nosiła się na niebiesko i czarno, ale poza tym była kompletnym przeciwieństwem gawędziarza. Miała włosy w kolorze piasku, otaczające okrągłą, przeciętną twarz osadzoną na tęgim ciele nieposiadającym ani kragłości, ani zmysłowości. Jednak muzyka, którą wydobywała ze swego instrumentu, głównie proste, lecz wprawnie wykonane arpeggia sprawiały, że w gruncie rzeczy banalny występ trubadura stawał się fascynujący.

– Ale czy nasz bohater zląkł się władzy księcia? – zapytał gawędziarz publiczności. – Czy odsunął się choćby o krok, kiedy przybyli po niego książęcy żołnierze?

Trzydziestu lub czterdziestu farmerów i kupców zajmujących wszystkie stoły w gospodzie Na Końcu Świata siedziało w absolutnym milczeniu – być może za sprawą opowieści, a może za sprawą ilości wypitego alkoholu – co trubadur przyjął za pozwolenie na kontynuowanie historii. Zamachał rękami, odpędzając od siebie kłęby dymu dobywające się z fajek gości.

– Nie obawiał się, przyjaciele, gdyż jego ramię zbrojne w miecz było silne, o tak, ale jego głos... jego słowa, och, te były zaiste potężne. Można by powiedzieć, że był niczym trubadur!

Jego komentarz został nagrodzony śmiechem, głównie

w wykonaniu Brastiego.

– Czego sobie życzycie, trattari? – spytał cicho szynkarz, najwyraźniej nie chcąc przeszkadzać siedzącemu po drugiej stronie sali gawędziarzowi w opowiadaniu jego historii. – Mamy piwo po trzy czarne grosze dzban albo przyzwoite wino po pięć. Do jedzenia jest wołowina i to tylko za jednego srebrnego wołu.

Puściłem mimo uszu słowo „trattari”. Połowa ludzi mieszkających poza miastem nie wie nawet, że oznacza to obdartą pelerynę, i że jest określeniem obraźliwym. A może wie, ale niewiele ją to obchodzi.

– Nieczęsto mamy tu wołowinę – ciągnął szynkarz, nachylając się do nas, jakby dzielił się z nami jakąś tajemnicą. – To niemal taka rzadkość jak baranina.

– Być może dlatego, że znajdujemy się „Na Końcu Świata”? – zainteresował się uprzejmie Kest.

– Uhm, no tak, możliwe.

– Tak naprawdę wcale nie jesteśmy na końcu świata – wtrącił się Brasti. – To znaczy z całą pewnością znajdujemy się dość daleko na południe, ale nie jest to w żaden sposób kraniec świata. A gdyby był, to niemal każda gospoda od Baernu po Pertynię musiałaby się zwać „Na Końcu Świata” – rozejrzał się dookoła. – Kiedy się nad tym zastanowić, to właściwie nie jest gospoda, ale karczma, prawda?

– Ma pokój – odparł urażony barman. – Znaczy, że gospoda.

– A gdzie jest ten pokój? – spytał Brasti.

Barman wskazał na zewnątrz.

– Tam. Ma łóżko i w ogóle.

– Czy to nie jest przypadkiem stodoła? – spytał Kest.

– Nie ma w niej zwierząt – odparł barman.

– To fakt, ale mimo wszystko nie jest to tak naprawdę...

– Posłuchajcie, trattari – przerwał mu barman. – Jeżeli ty i wasza kompania nie chcecie pokoju, nie musicie za niego płacić. Jeżeli macie ochotę zwać to miejsce karczmą, a nie gospodą, to proszę bardzo. A teraz, co zamawiacie? Piwo za pięć groszy, wino za siedem czy wołowinę za srebrnika i trzy grosze?

– Chwileczkę, powiedziałeś...

– To były ceny w gospodzie. Te są cenami z karczmy. Zadowolony?

Sięgnąłem do jednej z kieszeni płaszcza po pięć srebrników, wyczuwając pod palcami te, które miały wytłoczonego wołu Aramoru. Położyłem je na ladzie jeden po drugim.

– Weźmiemy pięć porcji wołowiny – powiedziałem. – A do tego dorzucisz pięć piw.

– Co takiego? To nie wystarczy. Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie okraść, trattari?

Wskazałem na niektórych obszarpanych klientów gospody jedzących obiad.

– Ci ludzie nie przyszli tu ze srebrem, a mimo to jedzą i piją jakby nigdy nic. Ani wołowina, ani baranina nie są w tych rejonach rzadkością, być może dlatego, że Aramor jest znany z hodowli bydła – dźgnąłem palcem w wołu wytłoczonego na srebrnej aramorskiej monecie. – I ostatnia sprawa: jeżeli następne zdanie, jakie wyjdzie z twoich ust, będzie zawierało słowo „trattari”, zapłacę ci dodatkowe trzy czarne grosze, ale będziesz je musiał wysrać nad ranem wraz ze swoimi przednimi zębami.

Gospodarz wyglądał bardziej na osłupiałego niż wkurzonego.

- Dobrze już, dobrze. Pięć obiadów za pięć srebrnych wołów.
- I dziesięć piw – przypomniał mu Brasti.
- Tak, i pięć piw. Podam je w dziesięciu kubkach, jeśli to pana zadowoli.

Odwrócił się do nas plecami i wymamrotał:

- Może jesteście Wielkimi Płaszczami, ale nie jesteście Falsiami. To mogę wam powiedzieć gratis.

„Falsiami?”

Brasti pociągnął mnie za ramię w stronę ostatniego wolnego stołu, gdzie czekały już nasze dziewczęta. Stół znajdował się w głębi pomieszczenia, z dala od pozostałych gości, skryty głęboko w cieniu, co jak najbardziej nam odpowiadało. Shuran wziął jedzenie (za które podobno rycerze również nie musieli płacić) z gospody i wyniósł je do obozu, który jego ludzie rozłożyli na noc. Podobno oferowana tu rozrywka nie wydała im się wystarczająco interesująca.

Trubadurka trącała struny swej gitary tak płynnie, że niemal nie można było powiedzieć, kiedy jeden akord przechodził w następny. Drobne palce wygrywały melodię towarzyszącą pieśni jej partnera.

- Jest niesamowita – powiedziała Valiana, obserwując dłonie muzykantki.

Darriana wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej nie fałszuje, czego nie można powiedzieć o pieśniarzu.

– Nie, nie rozumiesz. Kiedy mieszkałam w Hervorze, często gościliśmy trubadurów raczących nas występami w pałacu. Wszyscy byli utalentowani, inaczej moja mat... księżna nigdy nie

pozwoliłaby im dla siebie zagrać. Ta kobieta jest niesamowita... jej palce są niczym woda prześlizgująca się po kamieniach na dnie strumienia.

– Cóż, nie mam ucha do takich niuansów – odparła Darriana, a potem skrzywiła się. – Chociaż po namyśle może będę musiała zabić jej partnera, jeżeli jeszcze raz zafałszuje.

Skoncentrowałem się ponownie na występie, wsłuchując się zarówno w mistrzowską grę na gitarze, jak i nierówny śpiew.

Spójrz: światłość przebiła się przez ciemność nocy
wilcza pieśń zrównała się z pieśnią skowronka
jego słowa zawsze pozostaną w mocy
i po znękanym kraju będą się błąkać.

Pieśniarz zamilkł, lecz kobieta cicho grała dalej, powoli doprowadzając występ do finału.

– I tak oto kończy się moja historia, przyjaciele i rodacy. Niech ogrzeje wam serca i doda odwagi, gdy zawiśnie nad nami najczarniejsza z nocy. Jeżeli zaś taka wola, ofiarujcie monetę lub kilka trubadurowi, co od dawna nie widział swego domu i nie ogrzał się w nim.

– Pieniądze? Za historyjkę? – krzyknął jeden z gości. – Za całą odwagę wystarczy nam to piwo!

– Tak jest! – poparł go inny. – Zabieraj się z tymi swoimi dziewczęcymi piosneczkami.

Mężczyzna siedzący obok uderzył go w ramię.

– Daj spokój, Jost. Nic złego w wysłuchaniu opowieści od czasu do czasu. Nie ma znaczenia, czy prawdziwa, czy nie.

– Ach – odezwał się gawędziarz gładkim głosem. – Moi przyjaciele, jam jest jednym z bardattich – rozejrzał się, jakby to

oświadczenie miało wywołać jakąś reakcję wśród publiczności. Rozczarował się jednak. – Opowieści, jakie przynoszę ludziom, są prawdziwsze niż księżyc na niebie i szersze niż najstarsze drzewa w lesie.

Jost wstał.

– Chcesz mi powiedzieć, że cała ta historyjka jest prawdą? Jakiemuś dupkowi udało się wkurzyć samego księcia, co? A ludziska tak se po prostu wzięli i uratowali tę dziewczynę, bo tak im powiedział? – Wychylił resztkę piwa i spojrzał na kubek, jakby zastanawiał się nad rzuceniem nim w barda.

– Nie zaczynaj rozróby, Jost – ostrzegł szynkarz, stawiając przed nami talerze z jedzeniem. Zauważyłem, że porcja wołowiny w potrawie była dużo mniejsza niż „dodatek” w postaci ziemniaków i cebuli. Smukła rudowłosa młoda kobieta przyniosła piwo i obdarzyła Brastiego uśmiechem. Brasti odwzajemnił go i właśnie zamierzał coś powiedzieć, ale dźgnąłem go łokciem w zębra.

Jost uniósł ręce do góry.

– Ach, zostawże mnie w spokoju, Berret! Nie robię przecież nic złego. Zwyczajnie nie lubię ludzi, co kłamią, a potem jeszcze chcą za to pieniędzy, to wszystko.

– W takim razie przyszedłeś do złej karczmy! – wtrącił się ktoś.

– Gospody! – sprostował gniewnie Berret i spojrzał na mnie. – Widzisz, coś zaczął?

– Przyjaciele! Przyjaciele! – powiedział gawędziarz, wstając. Był zdenerwowany, spostrzegł, że szansa na zarobienie pieniędzy wymyka mu się z rąk. Kobieta siedząca przy nim nie zwracała uwagi na zamieszanie i nadal grała słodką melodię w niskich tonach. – Zapłaćcie mi lub nie, to wasz wybór. Nie kwestionujcie

jednak słów prawdziwego bardattiego – zaczął mówić głębszym, niższym głosem, jakby chciał nastraszyć publikę, aby była skłonna dać mu pieniądze. – Zły to omen oczernianie sługi Świętego Anlasy Co Pamięta Świat. Powiadam wam, że ta historia jest prawdziwa i tylko ja znam ją tak dobrze, albowiem byłem tam owego dnia – postawił jedną stopę na stołku i wyciągnął rękę w stronę południa, jakby był kapitanem statku. – O tak, byłem w Rijou tamtego poranka. Widziałem, jak przemówił. Byłem jednym z jego dwunastu. A oto dowód, jeśli jeszcze jakiegoś potrzebujecie – uniósł dłoń i między jego palcami zabłysła moneta. Była złota i miała wytłoczony królewski symbol – koronę z siedmioma fleuronami, a za nią miecz. Zaszło mi w ustach. Była to moneta Wielkich Płaszczy, ta, którą wręczamy przysięgłym.

Wśród gawiedzi rozległo się westchnienie.

– Czyli to prawda... – powiedział Jost, a jego ręka bezwiednie wyciągnęła się w kierunku monety.

Trubadur sprawił, że złoty krążek zniknął.

– Każde słowo.

– W takim razie – odezwał się inny mężczyzna, wstając i orientując się, na jak wielkie poparcie może liczyć – wydaje mi się, że człowieka posiadającego złoto stać na postawienie wszystkim kolejki, co?

– Nie – odparł gawędziarz. – Prawdziwy przysięgły nigdy nie rozstałby się z tą monetą. Prędzej sprzedam własną duszę, niż oddam to, co dał mi sam Wielki Płaszcz.

– W takim razie gdzie on jest, ten twój bohater? Pewnie mieszka w jakimś zamku z dwunastoma żonami, co?

Bard spojrzał w naszym kierunku i przez chwilę myślałem, że

wskaże nas tłumowi palcem, ale kobieta z gitarą zagrała lekko fałszywie brzmiąca melodię i mężczyzna zwrócił się do tłumu.

– Tego nie wiem, moi przyjaciele. Nikt tego nie wie. Gdziekolwiek jednak się znajduje tej nocy, modłę się, żeby Falsio chronił się w ciepłym pomieszczeniu, jedząc przyzwoity posiłek i smakując dobre piwo – trubadur wznosił swój kubek wysoko w górę. – Za Falsia Dal Vonda! – zawołał.

Tłum wznosił swoje kubki.

– Za Falsia Dal Vonda! – odkrzyknęli unisono.

Spojrzałem na Brastiego, który wpatrywał się we mnie z idiotycznym uśmiechem na twarzy.

– Odstaw swój kubek, kretynie – poleciłem.

– Ale dlaczego? Jesteśmy sławni! I to nie z powodu zwykłych rzeczy, jak, no wiesz, morderstwo, tchórzostwo i zdrada – Brasti rozejrzał się po izbie, prawdopodobnie szukając rudowłosej kelnerki.

– Nie jestem pewien, w jaki sposób sława Falcia miałyby się rozciągać na nas – powiedział Kest.

– Nie pamiętasz? Byliśmy tam razem z nim. Dwudziestu... nie, pięćdziesięciu księżących gwardzistów rzuciło się na niego, kiedy pojawiliśmy się i uratowaliśmy Falcia za pomocą mojego łuku. Zabiłem piętnastu z nich w ciągu pierwszych kilku minut.

– A ilu ja zabiłem? – zainteresował się Kest.

Brasti ściągnął usta i wbił wzrok w sufit, jakby obliczał coś w głowie.

– Dwóch – odparł wreszcie. – Może trzech.

– To...

– Wystarczy – dokończyłem.

– Chwileczkę – zaprotestował Brasti. – Nie musisz być taki...

– Zamknij się – odtworzyłem w myślach szczegóły opowieści barda, żałując, że nie słuchałem uważniej od samego początku. Nie wiedziałem, czy rzeczywiście był w Rijou, czy nie, ale na pewno nie był jednym z przysięgłych. Zapamiętałbym go. Najbardziej jednak bolało mnie to, że Brasti miał rację. Minęło dziesięć lat, od kiedy którykolwiek z nas słyszał opowieść o Wielkich Płaszczach bez oskarżeń o tchórzostwo i zdradę. Zdziwiłem się, że trubadur w ogóle odważył się publicznie powiedzieć o nas coś dobrego, a mimo to słuchacze nagrodzili go aplauzem. Najwyraźniej chcieli wierzyć, że byłem kimś na kształt bohatera, skoro wystąpiłem przeciw książętom. Nie wyobrażałem sobie, aby taka historia znalazła uznanie w oczach człowieka pokroju Isaulta. – O, do licha!

– O co chodzi? – spytał Kest.

– Wiem, dlaczego Isault wysłał nas, byśmy się zajęli zbuntowaną wioską.

– Ze względu na trubadura? To tylko jedna historia, Falcio.

– Ale musi być znana wszędzie – powiedziała Valiana. – Skoro ta historia dotarła do takiej dziury jak ta tutaj, z pewnością jest opowiadana w całym kraju. Falcio ma rację. Rozeszły się wieści, że Wielkie Płaszcze powróciły, i Isault obawia się, że prości ludzie znów zaczną was podziwiać.

Zaczną „was” podziwiać. Słyszałem to w jej głosie i widziałem w jej oczach – ten smutek, który powiedział mi, iż postrzega siebie jako obcą. Rozwahałem, czy czegoś nie powiedzieć, ale w tej chwili miałem dużo pilniejsze sprawy do załatwienia niż zajmowanie się uczuciami Valiany. Siedząca za jej plecami Darriana spojrzała na mnie i bezgłośnie powiedziała „idiota”.

– Podziwiać nas – powiedziałem i poklepałem Valianę po ramieniu. – Nie myśl sobie, że uda ci się wywinąć z tego bałaganu. Wszyscy tkwimy w tym po uszy.

Uśmiechnęła się nieśmiało, a Darriana znów bezgłośnie powiedziała „lepiej”.

– W porządku – Brasti nadal usiłował zwrócić na siebie uwagę ładnej kelnerki. – Wszyscy mamy ogromne, straszne kłopoty. Ludzie tacy jak my. Znowu. Co teraz zrobimy?

– Nie rozumiesz – odparłem. – To właśnie dlatego Isault nas tutaj wysłał. Nie po to, żeby udowodnić, iż można nam zaufać w kwestii pilnowania praw. Chciał, żebyśmy stłumili bunt w wiosce, a potem zamierza się upewnić, iż cały świat o tym usłyszy. Doprowadzi do tego, że sami zniszczymy swoją reputację.

Brasti machnął na rudowłosą kelnerkę, która stała w pobliżu drzwi. Kiedy dziewczyna się do niego uśmiechnęła, wstał od stołu.

– No cóż, martw się tym wszystkim, jeśli chcesz, Falcio, ale niech ci to nie zabierze zbyt dużo czasu. W końcu to tylko historia.

Brasti nigdy nie rozumiał prawdziwej potęgi opowieści.

ROZDZIAŁ 11

WIOSKA

– Czy istnieje jakiś sposób, abyśmy wrócili do wdychania proszku dashinich? – spytał Brasti. – Bo chociaż przez to człowiek bał się jak cholera i mamrotał coś jak szaleniec, szczając i srając po nogach z przerażenia, daję słowo, że to jest gorsze.

– Co? O czym ty mówisz? – spytałem. Kiedy z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk, zrozumiałem, że nastał poranek i znów mam halucynacje od paraliżu. „Jak długo będzie mnie trzymało tym razem?”, zastanawiałem się.

Mimo że miałem zamknięte oczy, widziałem przed sobą duży pokój. Jasne kamienne ściany kontrastowały z purpurowymi i srebrnymi arrasami. Oczywiście widziałem wszystko jak przez mgłę, jak to w halucynacjach, ale mimo wszystko czułem się, jakbym rzeczywiście tam był, wraz z dwoma tuzinami Wielkich Płaszczy, mężczyznami i kobietami, których nie widziałem od wielu lat. Siedziałem na podłodze obok Kesta i Brastiego. Byliśmy z powrotem w zamku Aramor, trenując sztukę walki, której nigdy nie spodziewaliśmy się poznać.

Salima, trubadurka, którą król wynajął, aby nauczyła nas

śpiewać, zagrała gniewny akord na gitarze. Daje słowo, że zawsze kiedy to robiła, moją potylicę przeszywał ostry ból.

– Jeżeli jeszcze raz otworzysz gębę, a ja nie usłyszę wypływającej zeń melodii, zagram ci taką piosenkę, że rzucisz się w przepaść na spotkanie swojemu przeznaczeniu.

Brasti wyglądał na zaniepokojonego, ale tylko przez chwilę. Potem uśmiechnął się i otworzył usta.

– Jeżeli nadal będziesz zmuszała mnie do śpiewu, rzucę się w przepaść bez dodatkowej zachęty – powiedział śpiewnie.

Salima zaczęła szarpać struny gitary, wygrywając szybkie i wściekłe nuty, które nawet nie udawały melodii. Każda brzmiała lekko fałszywie, chociaż zaledwie chwilę temu nastroiła instrument. Dźwięki stawały się coraz szybsze i szybsze, a mój umysł coraz bardziej męczył się szukaniem w nich sensu. W końcu poddałem się i to, co z początku było zaledwie lekką irytacją, zmieniło się w napad paniki, który groził, że owładnie mną całym. Nagle przyszło mi do głowy, że stare opowieści o tym, że bardatti potrafią doprowadzić człowieka do szaleństwa swymi pieśniami, są prawdziwe. Poprzez mgłę bólu i niepewności zacząłem bardzo powoli wyciągać miecz z pochwy.

– Święci, czy ktoś nas atakuje? – głos króla przerwał czar w jednej chwili. A może po prostu jego pojawienie się w sali sprawiło, że Salima przestała grać. – Trubadurko, czy tego wieczora postanowiłaś wypróbować na nas eksperymentalne melodie?

Kobieta uśmiechnęła się do niego z podłogi, gdzie siedziała po turecku. Bardatti nigdy nie obawiali się zbytnio tego, że mogliby obrazić arystokrację.

– Karciłam ich po prostu, Wasza Królewska Mość. Te twoje Wielkie Płaszczce nie mają za grosz dyscypliny.

– Jest to problem, który muszę kiedyś rozwiązać – król zdawał się z nią zgadzać. – Mimo to znajduję twoje podejście równie bolesnym dla mnie, chociaż zapewniam cię, że nie mam problemów z własną dyscypliną.

– Wasza Królewska Mość – Brasti podniósł się z podłogi. – Czy nie przerwiesz tego procederu? Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób pieśnią miałbym wykręcić się od pojedynku lub sprawić moim głosem, że jakiś książę zaakceptuje wyrok, który mu się nie podoba.

– To nie jest ani dla książąt, Brasti, ani dla ciebie.

– W takim razie wybacz mi, Najjaśniejszy Panie, ale jestem zagubiony co do sensu tej nauki. Nie sędzę, żebym rozpoczął karierę, śpiewając dla wieśniaków i kowali w gospodach i karczmach, prawda? Dlaczego więc zmuszasz nas do tego wszystkiego?

Król nie odpowiedział. Miał w zwyczaju obarczać nas różnymi zadaniami, nie tłumacząc przyczyny. Jego argumentem było to, że człowiek najlepiej uczył się tego, co sam wydedukował, a nie tego, co podano mu na talerzu. Król zawsze miał nadmiernie ambitne wyobrażenie o naszych zdolnościach jako studentów.

– Chodzi o melodie, prawda? – spytał Kest. Jego spojrzenie było zamyślane, jakby usiłował rachować w głowie. – Musimy sprawić, aby ludzie w miasteczkach i wioskach zapamiętali nasze wyroki, ale większość z nich nie potrafi czytać, a żaden nie zapamięta naszych słów.

– Ale każdy człowiek zapamięta dobrą piosenkę, prawda, Brasti?

Brasti uśmiechnął się szeroko.

– Znam ich sporo, Wasza Królewska Mość. Czy opowiadałem ci kiedyś tę, w której panienka budzi się i znajduje diamenty w...

– Zamknij się, Brasti – powiedziałem.

– Diamenty dziewczęcia – powiedziała Salima. – Na melodię Trzeciego aktu podróżnika. To ta sama, na którą śpiewa się Miedziaki i piwo oraz Zgryźliwość starca.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Słyszałem Zgryźliwość starca kilka razy, zaś Miedziaki i piwo wyśpiewywano w połowie knajp Tristii.

– Masz rację – powiedziałem. – Nigdy tego nie zauważyłem.

– A czy pamiętacie słowa tych piosenek? – spytał król.

Pokiwałem głową, tak jak wszyscy pozostali.

– Doskonale – odparł Paelis. – W takim razie nauczycie się Trzeciego aktu podróżnika. Pierwszego i drugiego też, i czwartego, i ilu jeszcze będzie trzeba. A potem nauczycie się układać do nich swoje wyroki. W ten sposób...

– W ten sposób każdy gospodarz i kowal zapamięta wyrok, który wydamy – powiedziałem. – Zapamiętają go na długo po naszym odejściu. Cholera! Podejrzewam, że będą je wyśpiewywali za każdym razem, gdy się upiją.

Król uśmiechnął się. Czasem był bardzo sprytnym człowiekiem. Kiedy zauważył, że się w niego wpatruję, spowaźniał.

– A potem ją zdradzisz, Falcio – powiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

– Co takiego? Nie! – usiłowałem podnieść się z podłogi, ale nie mogłem. Uczucie paraliżu sprawiło, że ocknąłem się z powrotem w moim ciele i na twardej ziemi, na której spałem.

– Spokojnie – usłyszałem kogoś i poczułem lekki ucisk na ramieniu.

Otworzyłem niepewnie oczy, wpuszczając nieco porannego blasku. Kest obserwował mnie uważnie.

– Teraz już się obudziłeś – oznajmił.

Chciałem powiedzieć coś mądrego, ale nie byłem jeszcze w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Pozostali szykują się już do drogi. – Kest wstał i wyciągnął rękę, by pomóc mi wstać. – Tym razem minęła niemal godzina.

Tego dnia podróżowaliśmy w milczeniu. Nawet Brasti zdawał sobie sprawę, że nie powinien próbować rozniewać mnie bardziej, niż już byłem. Jeśli nie zdołam spełnić obietnicy danej księciu, ten nigdy nie udzieli wsparcia Aline. Jeżeli misja się uda, książę ciągle może złamać obietnicę i Wielkie Płaszczce po raz kolejny wyjdą na zdradców ludu Tristii. „Zdradzisz ją”.

– Wkrótce będziemy w Carefal – Shuran zrównał swojego konia z moim.

Nie odpowiedziałem. Nie byłem dziś w nastroju na pogawędki z dowódcą rycerzy Aramoru.

– Może jeszcze mila – powiedział po chwili niezręcznego milczenia.

– A kiedy już dojedziemy? Co wtedy? – spytałem wreszcie.

– Spotkamy się z człowiekiem o imieniu Tespet. Jest księżęcym poborcą podatkowym w tym regionie. On i jego skryba przekażą nam informacje o obecnym stanie rzeczy w wiosce.

– W porządku.

– Jesteś dziś bardzo milczący, Falcio.

– Wiedziałeś o tym? – spytałem, kiedy stało się jasne, że nie zamierza zostawić mnie w spokoju.

– Co wiedziałem?

– O historii, która krąży po kraju? O mnie i o tym, co wydarzyło się w Rijou? I o tym, że Isault zawarł ze mną umowę, by Wielkie Płaszczce znów straciły zaufanie wśród prostego ludu?

– Księżę Isault radzi się mnie w wielu sprawach, Falcio, ale rzadko bywa to polityka.

– Ale mimo to w jakiś sposób wiedziałeś – odparłem.

– Doprawdy? Dlaczego tak uważasz?

– Owa „rozrywka”, o której wspomniałeś wczoraj... Czy chciałeś, żebyśmy zatrzymali się w tamtej gospodzie po to, żeby usłyszeć piosenkę? Wiedziałeś, co o mnie powiadają trubadurzy?

Shuran spojrzał na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

– Jestem rycerzem, Falcio. Nie mam czasu na historie i pieśni. Rzadko kiedy służą one moim celom – szarpnął wodze i jego koń wysforował się do przodu.

Brasti stanął w strzemionach i spojrzał przed siebie. Miał najlepszy wzrok z nas wszystkich – podejrzewam, że w zawodzie łuczника jest to niejako niezbędne.

– Wioska znajduje się pół mili stąd – osłonił oczy przed słońcem. – A przed nią jest coś jeszcze. W zasadzie to dwie rzeczy.

– Mianowicie?

– Wyglądają jak dwie klatki.

– Klatki? Czy dostrzegasz, co w nich jest?

Brasti usiadł na koniu.

– Nie jestem pewny, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym,

że ludzie.

– Nie żyją? – spytał Shuran.

Klatki zostały wykonane z młodych gałęzi. W każdej kucał mężczyzna.

Zsiadłem z konia i wyciągnąłem rękę, żeby sprawdzić puls jednego z nich, ale zatrzymałem się, widząc, jak pierś mężczyzny powoli unosi się i opada.

– Nie, są tylko nieprzytomni – spojrzałem na potężnego rycerza. – Jeżeli się okaże, że to poborca Tespet wsadził tu tych ludzi, będziemy mieli duży problem.

– Tespet tego nie zrobił – odparł Shuran.

– Jak możesz być tego taki pewny? – spytała Darriana, podchodząc bliżej.

Shuran wskazał na więźnia po prawej.

– Ponieważ to jest Tespet. Ten drugi to jego skryba.

Poczułem woń oddechu Tespeta. Podeszedłem i przyklęknąłem przy drugiej klatce. Obaj mężczyźni byli pijani.

– Falcio – rzucił ostrzegawczo Kest. – Mamy towarzystwo.

Wstając, zauważyłem bez mała czterdziestu ludzi, mężczyzn i kobiet, wyłaniających się zza przydrożnych drzew. Niektórzy mieli łuki, inni trzymali w dłoniach toporne maczugi. Jeszcze inni dzierżyli miecze i zastanawiałem się, w jaki sposób zdobyli prawdziwą broń.

Ludzie Shurana wyciągnęli broń.

– Na kolana! – zawołał jeden z nich.

– To wy klękajcie – odparł kobiecy głos.

– Niech wszyscy się uspokoją – uniosłem dłoń w pokojowym geście. – Nie przyjechaliśmy tu szukać kłopotów.

Kobieta podeszła bliżej.

– Nie sprawicie nam kłopotu, wędrowcy, jeśli odwrócić się i odjedziecie tam, skąd zeście przybyli.

Miała krótkie brązowe włosy i krzepką budowę ciała. Mogła mieć równie dobrze czterdzieści, co dwadzieścia lat. Życie wiejskie w Tristii nie było łatwe. Kobieta wskazała mieczem na Shurana.

– Rycerze zostaną z nami jako zakładnicy.

– Nie sądzę, aby było to możliwe – odparł Shuran. – Jestem niemal pewny, że jednym z moich rozkazów jest nie dać się pochwycić.

Kobieta zignorowała go i przyjrzała się mi uważnie.

– Czy ty i twoi towarzysze macie na sobie wielkie płaszcze?

– Dlaczego ludzie zawsze zakładają, że to on jest przywódcą? – spytał Kesta Brasti.

– Zamknij się – odparł tamten.

– To są wielkie płaszcze – powiedziałem.

Kobieta skrzywiła się.

– W takim razie wy również zostanieie. Nie lubimy tu ludzi, którzy kradną wielkie płaszcze.

Valiana uczyniła pochopny krok w kierunku kobiety.

– Nie odbierzecie nam tego, co jest nasze wedle prawa – powiedziała. – Dlaczego sądzisz, że nie jesteśmy Wielkimi Płaszczami?

Jeden z mężczyzn, starszy człowiek, trzymał w pogotowiu długi łuk. Jego ramiona drżały od napinania cięciwy i obawiałem się, że za chwilę zabije któregoś z nas wyłącznie dlatego, że zmęczenie dopadło jego ramię.

– Kto to słyszał, żeby Wielkie Płaszcze zadawały się

z rycerzami? – powiedział.

Brasti spojrział na mnie, jakby słowa starca w jakiś sposób udowadniały jego rację.

– Mam na imię Falcio – zwróciłem się do kobiety. – Jestem pierwszym kantorem królewskich Wielkich Płaszczy. Ci tutaj to Kest, Brasti, Darri i Valiana. Rycerze, którzy z nami podróżują, to...

Przerwał mi jej śmiech. Spojrzała na swoich ludzi.

– Spójrzcie no tylko, chłopcy. Książę Isault zdecydował się zrobić wielkie przedstawienie. Wysłał do nas aktorów, aby wystawili sztukę pod tytułem Bohater Rijou i Zabójca Świętego Caveila!

– A to dopiero – jeden z mężczyzn zamachał w powietrzu widłami. – Falsio we własnej osobie przyjechał, aby nas oswobodzić! Dalej, Vera, przestań się zabawiać. Zabijmy ich i tyle.

– Zaraz – powiedział Brasti. – A co ze mną?

– A co miałyby być? – spytała Vera.

– Jestem Brasti Goodbow. Nie słyszeliście o mnie?

– Obawiam się, że nie.

– Ale nie martw się – dodał wieśniak z widłami. – Zabijemy cię tak, jakbyś był sławny.

Shuran położył dłoń na głowicy swojego miecza.

– Myślę, że będzie wam trudno nas zamordować.

– Jesteśmy od was liczniejsi – powiedział chłop z widłami, wskazując na pozostałych wieśniaków. Niewielu z nich wyglądało na zdolnych do walki. Większość była zwykłymi rolnikami i handlarzami. Młoda dziewczyna z nożem w dłoni machnęła nim wojowniczo i przez chwilę wziąłem ją za Aline. „Święci, nie pozwólcie, żebym miał halucynacje na jawie”.

Kilku rycerzy Shurana roześmiało się głośno. Vera przyjrzała im się zmrużonymi złowrogo oczami.

– Śmiecie się, ile chcecie, panowie rycerze, ale niektórym z nas już się ten wasz śmiech przejadł – skinęła na jednego ze swoich ludzi po drugiej stronie i oboje pociągnęli za liny, które, jak dopiero teraz zauważyłem, były zaczepione na gałęziach dwóch drzew stojących po obu stronach drogi. Z ziemi podniosła się zaporą z grubo ciosanych pik, związanych młodymi gałązkami. W tym samym czasie na drodze pojawiło się kolejnych dwudziestu mieszkańców wsi, wszyscy uzbrojeni w łuki, proce, miecze czy choćby nawet w kilka kamieni.

Spojrzałem na Kesta, który pokręcił głową. Zgodziłem się z nim. Nie było prostego wyjścia z tej sytuacji. Kiedy usiłowałibyśmy przedrzeć się przez zaporę, aby dopaść przeciwnika, tubylcy mogliby nas okryć gradem strzał i kamieni.

– Co się stało, panowie rycerze? Już wam nie do śmiechu?

– Popelniacie błąd – powiedziałem.

– Doprawdy? Bo mnie się wydaje, że pojmanie ludzi wysłanych tu po to, żeby nas zabić, i uwięzienie ich jako zakładników raczej nie może być pomyłką.

– Gdybyśmy przybyli tu, aby was zabić, przywiedlibyśmy trzydziestu rycerzy i już dawno leżelibyście martwi – odezwał się Shuran. – Jestem Shuran, dowódca rycerzy Aramoru. Książę Isault przysłał nas tu w dobrej wierze, aby rozsądzić wasze skargi.

Wieśniacy byli sceptyczni. Życie pod jarzmem chciwej arystokracji nie mogło napawać ufnością.

Vera spojrzała na mnie.

– Powiadasz, że jesteś Wielkim Płaszczem. Udowodnij to.

– Jak mam to zrobić?

– Wyrecytuj siódme prawo własności.

Już zamierzałem się odezwać, kiedy wyręczyła mnie Valiana.

– Nie ma żadnego siódmego prawa własności.

Vera usiłowała zgromić ją wzrokiem. Przyglądając się obu kobietom, zdałem sobie sprawę, że wcale nie dzieli ich tak wielka różnica wieku, jak podejrzewałem. Po prostu Valiana, w przeciwieństwie do Very, spędziła osiemnaście lat otoczona bezpieczeństwem i luksusem.

– W porządku. W takim razie jakie jest szóste prawo?

– Wysokość podatku od danego produktu nigdy nie może być wyższa niż ćwierć wartości jego plonu.

Nie powinienem się dziwić, że umie cytować z pamięci królewskie prawa. To miało sens – w końcu większość życia spędziła przygotowując się do roli królowej. Niewątpliwie nauczyła się wszystkich praw Tristii, nawet tych, których księżęta nigdy nie pozwoliliby jej wprowadzić w życie.

Vera przyjrzała się podejrzliwie Valianie.

– Każdy, kto umie przeczytać Księgę praw królewskich, może to wiedzieć.

Valiana zmarszczyła brwi. Kiedy chciała, naprawdę wyglądała jak uosobienie aroganckiej arystokratki.

– W takim razie po co w ogóle pytasz?

– Bo gdybyś nie znała odpowiedzi, zaoszczędziłabyś mi czasu – odparła.

Spojrzałem na mieszkańców wioski, gotowych do walki. Wątpiłem, aby którykolwiek z nich znał królewskie prawa własności lub jakiegokolwiek inne prawa, jeśli o to chodzi.

– Cóż, najwyraźniej się nie udało – powiedziałem. – Czy wiesz, dlaczego król spisał szóste prawo własności?

– Po to, żeby książęta nie mogli pozbawić nas tego, co zdobyliśmy ciężką pracą.

– Po części – zgodziłem się.

– To jedyna część, która się liczy.

– Nie dla monarchy – powiedziała Valiana. – Jeżeli książę nakłada zbyt duże podatki na swoich ziemiach, stwarza tym samym niedobór dostaw żywności, tarcicy i innych towarów. To z kolei prowadzi do niedostatku innych dóbr i w efekcie cały system się rozpada. Główną rolą praw jest zapobieganie ekonomicznej zapaści.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytała Vera.

– Żebyś wiedziała, że król chciał, abyście płacili swoje cholerne podatki – odparłem.

Vera zaśmiała się szyderczo.

– Zabawny jesteś. Kiedy już zdechniesz, nadzieję twoją głowę na pikę i może ten widok pomoże mi się uśmiechnąć po ciężkim dniu pracy w polu.

– On wcale nie jest zabawny, kiedy umiera – powiedział Brasti. – Robi się wtedy strasznie moralizatorski.

Usłyszałem furkot strzały i poczułem ruch powietrza tuż przy moim lewym policzku. Strzała wbiła się w drzewo za moimi plecami. Ramię starego człowieka wreszcie nie wytrzymało. Zanim zdążyłem zareagować, jeden z ludzi Shurana wyciągnął miecz i zrobił krok do przodu.

– Karą za atak na książęcych wysłanników jest śmierć, starcze.

– Stój! – krzyknąłem, wyciągając z pochwy lewy rapier.

– Trattari nas zdradzili! – powiedział inny rycerz i zmienił pozycję, gotowy mnie zaatakować.

Chwilę później dziesięciu rycerzy stało przed naszą piątką, dwóch z nich z napiętymi kuszami. My zaś mieliśmy za plecami ustawione na sztorc drewniane piki, które przygotowali na nasze powitanie wieśniacy.

– Falcio... – zaczął Kest.

– Wiem, jakie są szanse, niech to szlag! Schowajcie miecze – zwróciłem się do rycerzy. – Nie po to tutaj przyjechaliśmy, Shuranie.

Komandor nie wyciągnął broni.

– Zgadzam się. Dlatego to właśnie ty, twoi ludzie i wszyscy wieśniacy musicie natychmiast złożyć broń. Nie mogę pozwolić, aby poddani grozili bronią rycerzom ich księcia.

Vera uśmiechnęła się szyderczo.

– No tak, bo pokusa, by nas wszystkich zabić, byłaby zdecydowanie większa, gdybyśmy nie mieli broni.

– Odłóżcie oręż – powtórzył Shuran. – Albo nie będę miał wyjścia i nakazę swoim ludziom przejść do ataku.

– Jeśli wydasz taki rozkaz, ja każę Brastiemu zabić cię jako pierwszego – odparłem.

Staruszek, który rozpętał to wszystko, oparł się ciężko o swój łuk, najwyraźniej niezbyt przejęty rozwojem sytuacji.

– I to właśnie jest coś, czego mógłbym się spodziewać po rycerzach i Wielkich Płaszczach.

Jeden z wieśniaków puścił w ruch procę.

– Brasti, miej baczenie na tego człowieka. Vera, trzymaj swoich ludzi w ryzach.

– Falcio? – rzucił pytająco Brasti.

– Jestem zajęty.

– Po prostu byłoby mi łatwiej, gdybyś powiedział, kogo mam w tej chwili zabić.

– Nadal nad tym pracuję.

Od strony lasu dobiegł nas głośny łomot, przez co wszyscy niemal rzuciliśmy się do walki. Ze ściany zieleni wyłonił się chudy, dziwacznie wyglądający młody mężczyzna, zasapany, z rapierem w dłoni. Niewielu ludzi poza mną nosi rapier. Tego już kiedyś poznałem.

– Cairn? – spytałem z niedowierzaniem.

Szczere brązowe oczy wzierające spod brązowej czupryny spojrzały na mnie.

– Falcio? – podbiegł do mnie i padł na kolana. – Pierwszy kantorze! Nie mogę uwierzyć, że to ty! Tutaj, w Carefal! Czy przybyłeś, żeby mnie odnaleźć?

– Wstań – poleciłem. Ostatni raz widziałem Cairna w Rijou. Dowiódł wtedy, że jest równie chętny, by zostać Wielkim Płaszczem, co kompletnie nieprzystosowany do tej roli. Najwyraźniej od tamtego czasu niewiele się zmieniło.

– Ja tylko...

– Po pierwsze, nie jesteś Wielkim Płaszczem, więc nie jesteś mi winien żadnych hołdów. Po drugie, Wielkie Płaszcze nikomu się nie kłaniają.

Brasti pochylił się i oznajmił teatralnym szeptem:

– Z wyjątkiem książąt, jak się okazuje. Ale tylko wtedy, kiedy chcemy, żeby nasze usta z większą łatwością sięgnęły ich tyłków.

– Zamknij się, Brasti.

– Cairn, czy to prawda? – spytała Vera. – Czy ten człowiek rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje?

Cairn podniósł się z kolan.

– Nie wiem, za kogo się podaje, ale znam go jako Falcia val Monda, pierwszego kantora Wielkich Płaszczy – chłopak sięgnął do kieszeni i wyciągnął złotą monetę. – Dał mi to. Byłem jednym z jego dwunastu przysięgłych, kiedy ogłosił koniec Ganath Kalila. To bohater Rijou, człowiek, który był inspiracją naszej rebelii!

Skrzywiłem się. W głosie Cairna słyszeć było dumę pomieszaną z niemal religijnym uniesieniem. Według mnie gadał niczym półgłówek, który właśnie odkrył twarz świętego na gomółce białego sera. Kiedy jednak rozejrzałem się po twarzach tubylców, zobaczyłem, że ich miny właśnie nieco się zmieniają, i zrozumiałem, jak bardzo chcieli wierzyć, że gdzieś tam istnieją bohaterowie, którzy przyjadą tu, aby ich ocalić. Po raz pierwszy od długiego czasu wyglądało na to, że tymi bohaterami mogą być Wielkie Płaszcze.

Vera podeszła bliżej, zatrzymując się nie dalej niż stopę ode mnie i spojrzała mi w twarz, jakby badała monetę, sprawdzając, z jakiego kruszcu jest wykonana.

– Cóż, w takim razie powiedz mi, „bohaterze Rijou”, czy przybyłeś tu, aby nas ocalić, czy aby nas zdradzić?

ROZDZIAŁ 12

ROZPRAWA

Carefal było dużą wsią, zamieszkałą przez dwie setki ludzi żyjących tu na tyle komfortowo, na ile mogli pozwolić sobie farmerzy. Przez osadę biegła długa główna ulica, i choć nie wybrukowana, to utrzymywana w takim stanie, że mógł nią przejechać wóz konny, nie łamiąc koła. Kryte strzechą domy wyglądały skromnie, ale stanowiły wystarczającą ochronę przed zmiennymi czynnikami atmosferycznymi. Zauważyłem też nie jedną, lecz dwie świątynie, jedną Monety, zwanej w Aramorze Argentusem, a drugą Miłości, którą nazywali tu Phenią. Dwie boginie, które najlepiej reprezentowały proste pragnienia ludu. Jednak tym, co najbardziej mnie uderzyło, były twarze ludzi stojących przy drodze. Mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci obserwowali nasz przejazd, jakby byli na paradzie – z tym że nikt się nie uśmiechał ani nie machał chorągwiami.

Kiedy dotarliśmy do głównego placu, Cairn stanął na kamiennym cokole figury niemal tak wysokiej, jak jeden ze stojących za nią domów. Pomnik przedstawiał tłustą postać zupełnie nienadającą się do wojaczki, mimo że dźrzyła w dłoni

bitewny topór i była niewiarygodnie dobrze odziana. Założyłem, że jest to prawdopodobnie księżę Isault lub któryś z jego poprzedników.

– Przyjaciele z Carefal! – krzyknął Cairn. – Wiecie, że nie jestem gadatliwym mężczyzną.

Wachlarz reakcji tłumu był szeroki, od wrzasków w stylu „w takim razie zamknij gębę!”, przez „i wszystkim świętym za to dziękować”, po „a od kiedy to jesteś mężczyzną?”. Najwyraźniej Cairn był szanowany w Carefal mniej więcej tak, jak kiedyś w Rijou. Gwoli sprawiedliwości, zignorował docinki.

– Tu oto, przyjaciele – wskazał na mnie. – Tu oto stoi Falcio val Mond, pierwszy kantor Wielkich Płaszczy. Tu oto stoi bohater Rijou!

Tłum zamilkł na chwilę, a potem mały chłopiec zapytał:

– Myślałem, że nazywał się Falsio?

I wtedy wszyscy oszaleli.

Mieszkańcy Carefal stłoczyli się wokół mnie. Gdyby rycerze Shurana mieli nawet cień wątpliwości co do mojego bezpieczeństwa, zaatakowaliby na pewno, ale komandor trzymał ich z dala od tłumu. Dotykały mnie dziesiątki dłoni, nie zawsze w miejscach, które nazwałbym całkiem przyzwoitymi. Ludzie wykrzykiwali moje imię. Niektórzy zadawali mi pytania, na które nie byłem w stanie odpowiedzieć, ponieważ byłem zbyt zajęty opieraniem się tym, którzy próbowali mnie gdzieś ciągnąć. Wreszcie jednak mieszanina głosów zbiła się w jedno równe skandowanie: „Falsio! Falsio! Wolność dla Carefal! Wolność dla Carefal!”.

Vera i jej ludzie zaczęli rozpychać gawieź na bok.

– Wystarczy! – wrzasnęła. – Poszaleliście? Nie widzicie, że są tu rycerze księcia? Nie rozumiecie, że ten człowiek, ten „Falsio” czy „Falcio” albo jak się tam zwie, przyjechał tu wraz z nimi? Chcecie się przymilać do tego tresowanego psa, podczas gdy księżę zajmie naszą wioskę?

Kilku wieśniaków nadal wykrzykiwało moje imię, jakby było ono odpowiedzią na pytania kobiety, ale i oni wreszcie się uciszeli. Poczulem dłoń na ramieniu i odwróciłem się, spoglądając w oczy Kestowi.

– O co chodzi? – spytałem.

– Pomyślałem sobie, że może chciałbyś wiedzieć: to jest ten moment, kiedy uspokajasz tłum, zanim wybuchną zamieszki i dojdzie do masakry.

Spojrzałem na mieszkańców wioski. Święci! Kest miał rację: w ich spojrzeniu widziałem tłącą się potrzebę. Minęło już pięć lat od śmierci króla: pięć lat powolnego rozkładu, stałej, codziennej utraty wiary w swojego władcę, w swój kraj i ostatecznie – w samego siebie. Kto nie chciałby pójść za pierwszym mocnym głosem, którego słowa miały sens? A jeśli jedynym wyborem, aby nie stracić poczucia własnej wartości, było rzucenie się w wir szalonej i skazanej na niepowodzenie rebelii, to cóż, przynajmniej było to coś, prawda?

– Nazywam się Falcio val Mond – powiedziałem, powstrzymując się od dodania, iż moje imię wymawia się Fal-ki-o. – I owszem, jestem pierwszym kantorem królewskich Wielkich Płaszczy. To prawda, byłem w Rijou – przerwałem, bo tłum gniewnie ryknął zgodnym chórem. – Podobnie jak większość opowiadanych historii, moje czyny urosły znacząco i stały się bardziej heroiczne

i szlachetne w opowieściach, niż były w rzeczywistości – tymi słowami zapracowałem z kolei na śmiech, dzięki wszystkim świętym. – Nie przybyłem tu, by rozpocząć wojnę, lecz aby ją powstrzymać. Obecni tu rycerze nie noszą zbroi dla ozdoby. Jeżeli ich zaatakujecie, odpowiedzą siłą. Jeżeli zdołacie ich pokonać, przyjdą inni i zabiją was wszystkich. A wtedy jedyna bohaterska rzecz, jaką ja i towarzyszące mi Wielkie Płaszczki będziemy mogli zrobić, to umrzeć, stojąc u waszego boku. Spójrzcie na swoje rodziny. Przyjrzyjcie się swoim dzieciom. Nie ma nic szlachetnego w byciu zdeptanym przez pancerne buciory armii, która pozostawi po sobie trupy waszego potomstwa.

Tłum zaczął się powoli uspokajać, chociaż spojrzenia pełne nadziei i podziwu szybko zmieniły się w rozpacz i odrazę.

– Jestem ciekawa – wtrąciła Darriana – czy w Rijou wygłosiłeś tę samą przemowę? Bo jeśli tak, to muszę powiedzieć, że tamten trubadur opowiedział ją znacznie lepiej.

– Falcio ma rację – Valiana zwróciła się do zgromadzonych. – Jeżeli się teraz nie wycofacie, zostaniecie zabici. Każdy mężczyzna i każda kobieta w wiosce umrze, i z jakiego powodu?

– Oni też umrą – Vera wskazała palcem na rycerzy. – A kiedy kilku arystokratów zgłodnieje, ponieważ nie będzie komu zbierać plonów... Cóż, powiedzmy to otwarcie, wtedy Isault przedłoży swój pusty brzuch nad dumę! – jej ostatnie słowa wywołały sporo radosnych okrzyków.

– Mylisz się – odparła Valiana. – Wiem coś o sposobie rozumowania książąt. Nigdy nie pozwolą na rebelię w granicach swoich księstw. Ich pozycja jest zbyt niepewna.

– Ale to chyba dobrze, nie? – spytał stary łucznik.

– Nie. To wcale nie jest dobrze. Kruchość książęcej władzy oznacza, że nigdy nie pozwolą sobie na okazanie słabości przed resztą świata. Woleliby już raczej puścić z dymem całe księstwo, niż stracić twarz przed swoimi rywalami.

– W takim razie co nam pozostaje poza znoszeniem losu i karmieniem ich ego?

Niektórzy z wieśniaków spojrzeli na mnie, jakbym miał zaprzeczyć słowom Valiany. W głębi duszy chciałem to zrobić: kiedy drzewo jest martwe do korzenia, cóż innego pozostaje, jak tylko je wyciąć?

– Prawo – oznajmiłem. – Zostaje wam Prawo.

– Zatem co chcesz, żebyśmy zrobili? – spytała Vera. – Mamy odłożyć broń i umrzeć z głodu? Czy to właśnie nakazuje nam twoje Prawo?

– Czy mieliście złe plony tego roku? – spytałem.

Vera warknęła gniewnie:

– Mieliśmy jeden z najlepszych zbiorów w dziesięcioleciu – odparła.

– W takim razie co...

– Opodatkowują nas na śmierć! – odburknęła. – Twój zbrojny przyjaciele i te ich tłuste książęta chcą, żebyśmy zdechli z głodu.

Shuran ruszył do przodu i przez chwilę Vera wyglądała, jakby szykowała się do ataku. Na szczęście zwałisty rycerz uniósł tylko rękę w górę.

– Czy mogę?

Vera skinęła w milczeniu głową, ale nie cofnęła się ani o krok. Musiałem ją podziwiać za odwagę.

– Ufam, że ten spór ma wiele wspólnego z położeniem tej

miejsowości.

– Masz na myśli położenie geograficzne czy polityczne? – spytałem.

– Jak się okazuje, jedno i drugie. Carefal leży na granicy Aramoru i Luth. I istnieje pewna... różnica zdań, do którego księstwa należy.

– Innymi słowy, oba księstwa pobierają od nas podatek! – wyjaśniła Vera.

Cairn wysunął się naprzód, jakby chciał przemówić w imieniu mieszkańców wioski, ale Vera pchnęła go z powrotem do tyłu. Najwyraźniej blask mojej reputacji nie rozciągał się na niego.

Valiana spojrzała na Shurana z oburzeniem.

– Chcesz powiedzieć, że ci ludzie płacą podwójny podatek? W prawach książęcych nie ma takiego precedensu.

– Nie – poprawił ją Shuran. – Chcę powiedzieć, że po kilku granicznych potyczkach książe Aramoru i Luth doszli do porozumienia: pierwszy pobiera podatki w lata parzyste, zaś drugi w nieparzyste.

– I obaj zabierają nam więcej, niż nakazuje sprawiedliwość – dodała Vera.

– Tak się składa, że zarówno Aramor, jak i Luth stosują stawki podatkowe ustalone przez starego króla na ćwierć plonu.

– Dlatego pytałaś mnie o królewskie szóste prawo własności – zwróciłem się do Very.

– Owszem. Ale ćwierć plonu to było mało. Poborca Tespet zażądał tego roku połowy plonów.

– Czy to prawda? – spytałem Shurana.

Rycerz wyglądał na skonfundowanego.

– W czasie wojny istnieją legalne odstępstwa. Książę Isault zastosował jedno z nich w tym roku.

– Wojny? Jakiej wojny?

– Tej, która wprowadzie jeszcze się nie zaczęła, ale w związku z niektórymi radykalnymi zmianami w krajobrazie politycznym doradcy księcia są przekonani, że wkrótce się rozpocznie.

– Jakie „zmiany w krajobrazie politycznym”? – spytałem.

– Cóż, po pierwsze, zabiłeś księżną Hervoru. Zwróciłeś mieszkańców Rijou przeciwko ich księciu i zniósłeś Ganath Kalila – spojrzał na Valianę. – Pokrzyżowałeś również plan Rady Książąt, mający na celu osadzenie na tronie córki Patriany, co...

– Czy książę Isault chce, aby Trin zasiadła na królewskim tronie? – spytała Valiana.

– W tamtym czasie książę nie był do końca świadomy jej prawdziwej natury – mówił spokojnie rycerz. – Podobnie jak pozostali książęta sądził, że to ty, moja pani, jesteś prawowitą córką księżnej Patriany z Hervoru i księcia Jillarda z Rijou. Prawdziwa głębia tego spisku była ukryta przed oczami niemal wszystkich.

– Trin nigdy nie zasiądzie na tronie – oświadczyła Valiana, kładąc dłoń na rękojeści miecza. – Królową zostanie Aline.

Shuran popatrzył na mnie.

– Ty sam przybyłeś, aby prosić o wsparcie Aramoru przeciwko księstwom północy. Czy nie oznacza to, że wkrótce rozpocznie się wojna, a idąc za tą logiką, czy książę nie ma prawa zgromadzić zapasów niezbędnych na czas owego konfliktu?

Brasti spojrzał na Kesta i wyszeptał tak głośno, że usłyszała go cała wioska:

– Czy tylko mi się tak wydaje, czy wygląda na to, że Falcio niemal całkowicie rozwalił kraj?

Kest wyglądał na zakłopotanego.

– Ja... po prawdzie, Falcio, rzeczywiście tak to wygląda. Trochę – spojrzał na Shurana. – Chociaż warto w tym momencie zaznaczyć, że decyzja księcia o podwójnym opodatkowaniu niemal na pewno stałaby się przyczyną wojny, nawet gdyby nie groziła nam inna.

– Słuszna uwaga – odparł Shuran. – Niemniej sytuacja musi zostać rozwiązana. Mieszkańcy Carefal nie mogą tak po prostu odmówić zapłaty podatków.

– Zmuscie nas, jeśli potraficie – odezwała się Vera, co tłum przyjął wiwatami. Ludzie mieli już dość stania i marnowania czasu na czcze pogaduszki. Byli gotowi na opór. Jak to zwykle w wypadku dużych grup bywa, przeceniali bojową wartość tłumu.

Kest i Brasti spoglądali na mnie. „Niech to szlag! Dlaczego zawsze muszę sobie zarzucić pętlę na szyję?”

– W porządku – odezwałem się w końcu. – Księżę poprosił mnie o rozsądzenie tej sytuacji i tak też zamierzam zrobić – uniosłem dłoń i spojrzałem na Verę. – Spokojnie i bez szarpaniny wybierz osobę, która będzie przemawiać w waszej obronie – zwróciłem się do Shurana. – Czy Tespet będzie reprezentował stanowisko księcia?

– Podejrzewam, że nadal jest zbyt pijany. Mogę się podjąć tej roli, choć nie obiecuję, że przystanę na twój werdykt. Jesteś tu jako przedstawiciel księcia, a nie arbiter prawa.

– Jestem tu po to, żeby do minimum ograniczyć rozlew krwi. Zobaczmy, gdzie nas to wszystko zaprowadzi, ale tymczasem

sugeruję, abyś to sobie zapamiętał.

Shuran rozłożył ręce.

– Tak jak powiedziałeś, zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

W karierze Wielkiego Płaszcz przewodziłem setkom rozpraw. Słuchałem sporów dotyczących wypasu owiec, kontraktów małżeńskich i deklaracji wojny między księstwami. Musiałem narzucać wyroki, powołując przysięgłych spośród zwykłych mieszkańców miast, grożąc lokalnym władcom odwetem ze strony króla, a także, częściej niż mógłbym zliczyć, pojedynkując się ze stronnikiem księcia. Nigdy przedtem jednak nie pragnąłem tak bardzo poderżnąć sobie gardła.

Mieszkańcy wioski znaleźli dla mnie duże i zaskakująco niewygodne drewniane krzesło. Vera i Shuran stanęli przede mną i powtórzyli te same argumenty, które padały z ich ust przez ostatnie trzy godziny. Wszystko sprowadzało się do tego samego pytania: czy książę miał prawo nałożyć podatek wojenny, jeśli nie trwała faktyczna wojna? Bo skoro tak, to co w takim razie miałoby powstrzymać Luth przed nałożeniem podatku wojennego ze swej strony? W zasadzie mogło to się skończyć tak, że mieszkańcy Carefal będą płacić podatek zarówno Aramorowi, jak i Luth, podczas gdy oba księstwa będą prowadziły ze sobą wojnę.

Nie oznacza to, że rozwiązanie Very było dużo lepsze. Z jej perspektywy książę w ogóle stracił prawo do poboru jakichkolwiek podatków. Niebezpiecznie zbliżyła się do żądania, by książę zwrócił im cały podatek, który pobrał w minionych latach.

– Wystarczy – powiedziałem wreszcie. – Potrzebuję kilku minut,

aby skonsultować się z moimi braćmi, Wielkimi Płaszczami. – Wstałem z krzesła. Bolały mnie plecy i miałem koszmarną migrenę, nie tylko z powodu nieustającej wrogości prezentowanej przez każdą ze stron, ale przede wszystkim dlatego, że ten gorzki spór ilustrował fatalny stan kraju – Tristia dosłownie się rozpadała. Nawet gdyby udało mi się osadzić Aline na tronie, jakim cudem miałyby uleczyć to chore państwo? Słowa księcia Isaulta dźwięczały mi w głowie raz po raz: „Tydzień po koronacji nie będzie już żyć”.

Brasti wyczuł moją niepewność.

– Nie zamierzamy im chyba pozwolić, żeby zagłodzili tych ludzi na śmierć, co?

– Nie, ale... potrzebujemy wsparcia Isaulta. Bez niego nie uda nam się wprowadzić Aline na tron. Sami nie osiągniemy niczego, dopóki na tronie nie zasiądzie władca i...

– Nie zaczynaj mi tu z polityką, Falcio. Pozwoliłeś Krawcowej całymi tygodniami wodzić się za nos i do niczego nas to nie doprowadziło. Książę Pulnamu nas zdradził, książę Aramoru wysługuje się nami, a teraz chcesz, żebyśmy odwrócili się plecami do tych ludzi, ponieważ tak desperacko pragniesz wprowadzić trzynastoletnią dziewczynę na tron, iż zapomniałeś, że całym sednem prawa jest poprawa jakości życia zwykłych ludzi. Lubię Aline, Falcio, i naprawdę uważam, że fakt, iż przetrwała Tydzień Krwi, był cudem wykraczającym poza wszystkie historie i pieśni, jakie słyszałem. Ale ona nie jest moją królową. Jeszcze nie.

– Przysięgałeś wierność królowi Paelisowi – zacząłem.

– Owszem: przysięgałem stać na straży praw Tristii.

– Prawo powiada, że ci ludzie muszą zapłacić swoje cholerne

podatki.

– Nie wtedy, gdy oznacza to, że umrą z głodu – Darriana założyła ręce na piersi i oparła się o słup. Z jej miny wnioskowałem, że niewiele obchodzi ją ostateczny wynik, ale nie zamierzała stracić szansy na wytknięcie mi mojej hipokryzji. – Co się stanie, jeśli jutro pojawią się tu rycerze z Luth i również zażądają podatku na wojnę?

Zacząłem odpowiadać, ale Kest mnie powstrzymał.

– Falcio, czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może właśnie to król miał na myśli?

– To? – spytałem, wskazując na tłum. – Uzbrojonych wieśniaków deklarujących niepodległość i rozpoczynających wojnę, której nie mogą wygrać?

– Może jednak mogą – odparł Kest. – Nie teraz, nie dzisiaj, ale w przyszłości. Może to początek.

Jego słowa wytrąciły mnie z równowagi. „Może to początek”. Król nie przepadał za ustrojem książęcym. Całe życie strawił na próbach znalezienia sposobu podporządkowania sobie arystokracji, tak aby przeciętni ludzie mogli żyć w miarę wolni. Jeżeli jednak chciał zapoczątkować chaos i wojnę domową, mógł to zrobić wtedy, gdy Wielkie Płaszcze przeżywały swój rozkwit. Król jednak tego nie zrobił. Pozwolił książętom, aby go zdetronizowali, chociaż mógł nas posłać do walki z nimi.

– Nie – powiedziałem. – Król chciał na tronie swojego dziedzica. Aline...

– Nie możesz pozwolić, aby ten fakt wpłynął na twój osąd – powiedziała Valiana.

– Doprawdy? A od kiedy to nie obchodzi cię przyszłość Aline? –

spytałem.

– Nie o to chodzi. Aline jest królewską dziedziczką i oddam życie, by została koronowana. Niemniej królewskie prawo jest ważne jedynie wtedy, kiedy stosuje się je bez żadnych warunków. Nie możesz wyrokować za lub przeciw tylko i wyłącznie dla twojej wygody.

Nie mogłem znieść faktu, że Valiana postanowiła mnie pouczyć, jak powinienem wypełniać ideały Wielkich Płaszcy, ale miała rację.

Spojrzałem na tłum wieśniaków, stojący sto jardów dalej, a potem na rycerzy Shurana, ulokowanych znacznie bliżej. Jeżeli orzeknę na korzyść księcia, ci ludzie tutaj albo umrą z głodu, albo będą się dalej buntować, i poniosą rychłą śmierć. Jeżeli orzeknę na korzyść wioski, jakim sposobem mam utrzymać werdykt w mocy? Wróciłem myślą do rozmowy, jaką pewnej nocy odbyłem z królem, gdy debatowaliśmy nad szczegółami któregoś niejasnego zapisu prawa, odnalezionego w starych księgach.

– Kiedy nie istnieje właściwa droga, bogowie wymagają, abyśmy postępowali zgodnie z literą prawa – powiedział Paelis.

Spytałem go, czy bogowie uśmiechną się do nas, jeżeli będziemy tak postępować.

– Czy się do nas uśmiechną? Nie, Falcio. Jestem przekonany, że za postępowanie zgodne z literą prawa spotka cię kara szybciej i bardziej bolesna niż za jego złamanie.

– Słucham? – spytał Brasti.

– Hmm? – wyraziłem zdziwienie.

– Zachichotałeś. Może zakaszlałeś. A może miałeś zamiar kichnąć. Podjąłeś decyzję? Orzekamy na rzecz Isaulta czy

wieśniaków?

– Prawo – odparłem. – Trzymamy się litery prawa.

„Chodźcie, bogowie”, pomyślałem. „Spróbujcie mnie dostać”.

Moje orzeczenie miało dokładnie jedną zaletę: nikomu się nie spodobało. Rycerze Shurana zwyzywali mnie od zdrajców i tchórzy za to, że nie spełniłem obietnicy danej księciu (co wedle nich oznaczało najwyraźniej, że powinienem przystać na zamknięcie ust wieśniakom i powrót do zamku na kolację). Mieszkańcy Carefal zwyzywali mnie od zdrajców i tchórzy (na ich usprawiedliwienie powiem, że wedle ich toku myślenia wszystko, oprócz zamordowania rycerzy gołymi rękami, było z mojej strony zdradą).

– Prawo mówi, że jesteście winni księciu ćwierć swoich plonów – powtórzyłem po raz trzeci. – Nie ma żadnej oficjalnej deklaracji wojny, zatem specjalne podatki wojenne nie mogą być nakładane. Nie ma również powodu do wszczynania buntu, który zresztą, jak pozwolę sobie zauważyć, oznacza dużo większy głód niż wypłacenie należnej daniny. Podatki zebrane dotychczas przez książęcego poborcę, który notabene, musi zostać uwolniony, gdy tylko wytrzeźwieje, będą się liczyły na poczet tego roku.

Wysłuchałem licznych argumentów, kontrargumentów i wreszcie zwyczajnych obelg, których większość skierowana była do mnie. Kiedy miałem dość, oświadczyłem, że zamierzam opuścić to miejsce i będą się mogli bez przeszkód wzajemnie pozabijać, jeśli tego właśnie pragną. Wieśniacy przyjęli to z niechęcią, ale ostatecznie Vera przystała na moje orzeczenie.

– Zgoda – powiedziała.

Pomyślałem, że rycerze zechcą sprawić mi kłopot, ale Shuran uciszył ich i powiedział:

– Zgoda.

– Naprawdę? – spytałem prawie z niedowierzaniem.

– Nie jest to idealne rozwiązanie – odparł. – Ale nie żyjemy w idealnym świecie.

– Komandorze – zawołał jeden z jego ludzi. Był młody, miał może dwadzieścia lat, czarne włosy i rzadką bródkę, która wyglądała na nieco zbyt ambitną dla niego.

– Tak, sir Wallandzie?

– Ci ludzie muszą oddać nam swoją broń, sir.

Shuran zmarszczył brwi.

– Nie pytałem o twoją opinię, sir Wallandzie.

Walland cały zeszywniał.

– Proszę o wybaczenie, sir, ale to jedno z najstarszych książeńych praw: człowiek ma prawo posiadać wykutą z żelaza broń tylko wtedy, gdy pozostaje w bezpośredniej służbie księcia, sir.

Shuran spojrzał z niezadowoleniem na nadgorliwego młodzieńca, ale po chwili westchnął ciężko.

– Ma rację – spojrzał na mnie. – Ci ludzie muszą złożyć broń. Cały żelazny rynsztunek musi wrócić z nami do zamku.

Wiedziałem o tym od samego początku, ale rycerze często ignorują szczegóły praw, nawet jeśli zostały ustalone przez ich własnych panów. Ja zaś miałem nadzieję, że tak będzie i w tym przypadku. Niestety, okazało się, że Walland był znacznie pilniejszym studentem książeńych praw niż pozostali. Spojrzałem na Valianę, na wypadek gdyby pamiętała o jakimś wyjątku, który mógłbym zastosować. Ona jednak tylko pokręciła głową.

– Ma rację – oświadczyła. – Każde księstwo w naszym kraju ma podobne prawo.

– Dlaczego? – spytał Brasti. – Co was to obchodzi, skoro płacą podatki?

Shuran wyładował na nim swoje niezadowolenie.

– Dlatego że nie możemy sobie pozwolić na uzbrojonych wieśniaków, gotowych do zaatakowania wysłannika księcia za każdym razem, kiedy uznają, że nie podobają im się książęce prawa.

Darriana zarechotała.

– Moim zdaniem uzbrojeni wieśniacy są dokładnie tym, czego potrzebuje książę, aby upewnić się, że jego ludzie zachowują się zgodnie z prawem.

– W tej sprawie będziemy musieli się nie zgodzić – odparł Shuran pozornie lekkim tonem, ale nie miałem wątpliwości, że nie zamierzał tolerować więcej żadnych niesnasek.

Przygarbiony mężczyzna uniósł miecz.

– A co, jeśli wasze zdanie, panie rycerzu, nas nie obchodzi?

– W takim przypadku będziemy musieli znaleźć inny sposób na rozwiązanie tego problemu – Shuran położył dłoń na głowicy miecza.

– Jaki kompromis jesteście w stanie zaakceptować? – zapytałem.

– Każdy, który sprawi, że mieszkańcy tej wioski podporządkują się książęcym prawom i nie będą mogli bezkarnie zaatakować księcia lub jego urzędników.

– Jaką gwarancję możecie dać, że ci ludzie nie zostaną ukarani po naszym odjeździe?

– Jak długo nie chwycą ponownie za broń, tak długo nikt ich nie skrzywdzi. Masz na to moje słowo honoru.

Kobieta przy kości, z siwymi kosmykami włosów wyszła przed tłum i splunęła na ziemię między nami.

– Słowo rycerza. „Honor” rycerza – uniosła ręce, ukazując wierzch dłoni pokrytych stwardniałą, zbrązowiałą skórą, poprzecinaną licznymi bliznami. – Dziesięć lat temu mój mąż zginął, próbując walczyć z rycerzami z Luth, gdy przyjechali tu, twierdząc, że jesteśmy im winni podatek. Zabrali wszystko, co mieliśmy. Kiedy tydzień później pojawił się w towarzystwie dwóch rycerzy poborca podatkowy z Aramoru i usłyszał moją opowieść, powiedział, że tak czy siak im również jesteśmy winni podatek, a jeśli mój mąż nie potrafił obronić swojej ziemi, w takim razie nie zasługiwaliśmy na nią w ogóle. Spoliczkowałam tego drania raz, tylko raz. Zaciągnęli mnie do kuźni i przytrzymali moje dłonie nad paleniskiem. Przypalili ich wierzch rozgrzanym kamieniem, widzicie? Chcieli mieć pewność, że nadal będę w stanie pracować na polu, które książę przywłaszczył sobie w ramach spłaty mojego długu. Niech was piekło pochłonie z rycerskim słowem i honorem!

Shuran zrobił krok w jej kierunku, ale w tym samym momencie Brasti umieścił strzałę w łuku, ja zaś wyciągnąłem rapier. Zwalisty rycerz jednak uniósł tylko dłoń.

– Wstrzymajcie się – zdjął hełm, ukazując poparzoną, zabliznioną lewą połowę twarzy. – Nie zawsze byłem rycerzem. Nie urodziłem się w szlacheckiej rodzinie. Mój ojciec nie był rycerzem, tak samo, jak wy nimi nie jesteście.

Chłopka wpatrywała się zaskoczona w twarz Shurana. Rycerz chwycił jej dłoń, po czym delikatnie przyłożył sobie do twarzy.

– Nie różnimy się od siebie tak bardzo – powiedział.

Kobieta cofnęła dłoń.

– Z tą różnicą, że ja walczę o to, żeby życie było lepsze, a ty o to, żeby pozostało bez zmian.

Podziwiałem Shurana za próbę nawiązania jakiegokolwiek porozumienia z wieśniakami. Był urodzonym przywódcą – lepszym niż większość tych, których znałem, z wyjątkiem króla Paelisa. Podziwiałem również wieśniaczkę i to, że ani groźby, ani pochlebstwa nie mogły wpłynąć na jej rozumienia tego, co dobre i złe. Tak czy owak, nawet największa odwaga na nic się zdała wobec faktu, że chłopom nie wolno było posiadać prawdziwej broni, chyba że służyli w armii książęcej.

– Broń wykuta w żelazie pojedzie z nami – powiedziałem. Kilku rycerzy zaczęło się uśmiechać. – Ale wy, panowie, musicie ją odkupić.

Jeden z ludzi Shurana niemal wyciągnął miecz, ale komandor powstrzymał go gestem dłoni.

– Ile? – spytał.

– Dziesięć... nie, dwadzieścia jelonków za sztukę – zasugerowała Vera.

– Zgoda – odparł Shuran.

Kobieta była wyraźnie zaskoczona jego uległością.

– A co z naszymi narzędziami? – spytał widłownik.

Shuran uśmiechnął się.

– Narzędzia możecie zatrzymać. Nie możemy przecież pobierać podatku, jeśli nie będziecie w stanie pracować na polu.

– Łuki służą do polowań – powiedział nagle Brasti. – Ci ludzie potrzebują ich do łowów na jelenia, żeby przetrwać zimę.

Przez chwilę sądziłem, że Shuran zacznie się o nie wyklócać, ale zamiast tego tylko skinął głową.

– W porządku. Łuki rzeczywiście są potrzebne do polowania, a poza tym to nie jest wszak prawdziwa broń – spojrzał na tłum. – Widziałem jednak kusze i te zamierzamy zabrać.

Rozległy się nieliczne jęki i narzekania oraz nastąpiły próby ukrycia broni, ale ostatecznie wszyscy wypełnili swoją powinność. Nie można powiedzieć, że rycerze i wieśniacy rozstali się w przyjaźni, ale przynajmniej nikt nie stracił życia.

Godzinę później opuściliśmy wioskę. Popędziłem swojego konia i zrównałem się z Shuranem.

– Czy księżę będzie zły? – spytałem.

Shuran spojrzał na mnie pytająco.

– A jaki miałby mieć po temu powód?

– Taki, że teraz wioska będzie płaciła mniejszy podatek niż przedtem. A poza tym wracacie do pałacu ze zdecydowanie lżejszą sakiewką.

Rycerz wybuchnął śmiechem.

– Cóż tak cię rozbawiło?

– Wybacz – odparł. – Nie chciałem cię obrazić, po prostu...

– Co takiego?

– Cóż, ustanowiłeś wysokość podatku na ćwierć rocznego plonu.

– I?

– Księżę upoważnił mnie do zgody na jedną piątą, byle tylko ugasić tę rebelię. A te miecze? Gdybym polecił wykuć je kowalom w Aramorze, kosztowałyby mnie pięćdziesiąt jelonków za sztukę,

więc gdy następnym razem przyjdzie do wymiany broni,
zaoszczędzę niezłą sumkę.

Do kroćset!

Shuran poklepał mnie po ramieniu.

– Jesteś doskonałym negocjatorem – powiedział. – Powinieneś
poprosić księcia o posadę.

GORĄCZKA ŚWIĘTEGO

Znaleźliśmy nocleg w małej gospodzie dwadzieścia mil od Carefal. Większość spędziła wieczór w izbie gościnnej na dole, ale ja nie miałem ochoty na towarzystwo. Dlatego pierwszą osobą, z którą przyszło mi rozmawiać po wyjeździe z Carefal, okazał się mój martwy król.

Czerwona, zdobiona brokatem szata, którą tym razem miał na sobie, została mu ofiarowana przez wysłanników jednego z małych, zubożałych kraików za Wschodnią Pustynią. Toga była za długa dla człowieka tak przeciętnej postury, jak król, zaś jej ozdoby zbyt wymyślne, jak na jego niepozorny wygląd. Paelis nosił ją za życia tylko wtedy, gdy czuł potrzebę zirytowania jakiegoś arystokraty, który zażądał od niego prywatnej audiencji.

– Zawsze ich to rozprasza – powiedział Paelis, a raczej to ja wyobraziłem sobie, że tak mówi.

– Nikogo nie rozprasza – wyobraziłem sobie, jak odpowiadam. – Po prostu ten widok sprawia, że zaczynają cię uważać za półgłówka.

– A jaka to różnica? – uśmiechnął się szeroko.

Zbiło mnie to na chwilę z pantałyku. Król zawsze to robił: skierowane pod jego adresem zniewagi odwracał w dowód własnej inteligencji. Na swoją obronę powiem, że oprócz paraliżu mojego ciała neatha prawdopodobnie zatrzymała mi umysł.

– Może powinieneś mieć ją na sobie, kiedy książęta przybyli, aby cię zabić? – powiedziałem wreszcie.

– To nie była część planu. Ja... – król rozkaszłał się, co często mu się zdarzało, gdyż był podatny na przeziębienia i febry.

Wykorzystałem jego chwilową niedyspozycję.

– Doprawdy? Utrata życia nie była częścią twojego planu, co? A to, co nastąpiło po twojej śmierci? Czy to była część planu? Wysłanie mnie na tułaczkę, żebym odnalazł twojego dziedzica, chociaż nawet nie raczyłeś mi powiedzieć, że go posiadasz? Co, gdybym nigdy nie znalazł Aline?

Król wciąż kaszłał. Odczekałem chwilę, ale nie przestał. Z jakiegoś powodu bardzo mnie to zdenerwowało.

– Co, jeśli bym jej nie znalazł? – powtórzyłem. – Co, jeśli Patrianie udałoby się zamordować wszystkie te twoje tak zwane czaroity? I w ogóle kto przy zdrowych zmysłach nazywa swoje bękarty „czaroitami”? Czy aż tak istotne było, żebym nie miał zielonego pojęcia, na czym polega moja misja? A co z pozostałymi Wielkimi Płaszczami? Czy nadal wędrują po kraju, usiłując zrozumieć ostatni rozkaz, który wydałeś każdemu z nich?

Król uśmiechał się, nie przestając kaszleć. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni czerwoną chustkę i otarł sobie usta. Kiedy wkładał ją z powrotem, nie potrafiłem powiedzieć, czy widzę na niej krew, czy to plwocina sprawiła, że materiał pociemniał. Paelis nadal kaszłał.

– I co ja teraz mam zrobić? – narzekałem dalej. – Spójrz tylko na mnie!

A ponieważ król nie zwracał na mnie uwagi, zacząłem krzyczeć:

– Spójrz na mnie! Jestem sparaliżowany! Kilka minut wte czy wewte, co za różnica? Czy sądzisz, że jestem głupcem?! Uważasz, że nie widzę, co się dzieje? Pogarsza mi się z każdym dniem! Neatha nie opuszcza mojego ciała. Umrę!

Król kaszlał teraz jeszcze głośniejsze, wypełniając moje uszy i umysł, zagłuszając moje słowa.

– A jeśli nie będę w stanie umieścić Aline na tronie, zanim się to stanie? Wtedy co? Co chcesz, żebym zrobił?

Gardło miałem obolałe od wrzasku, co było dziwne, zważywszy, że wszystko to tylko sobie wyobrażałem.

Wreszcie król przestał kaszleć.

– Myślałem, że już ci to powiedziałem – odparł. Z lewego kącika jego ust zaczęła się sączyć krew. Sięgnął znów po chusteczkę, żeby wytrzeć twarz, ale potem zatrzymał się i zamiast tego starannie złożył chustkę w zgrabny kwadrat i wetknął ją z powrotem do kieszeni. Wyprostował się i spojrzał mi w oczy.

– Zdradzisz ją, Falcio.

– Dlaczego ciągle mi to powtarzasz? Z jakiego powodu miałbym ją zdradzić? – usiłowałem walnąć w coś pięścią, ale nie mogłem. Rzeczywistość powoli wdzierała się w moje omamy.

Sylwetka Paelisa zaczęła się rozmazywać, gdy moje oczy zamrugały pomiędzy światłem i ciemnością. Nawet jako halucynacja Paelis nie posiadał kultury osobistej właściwej porządnym władcom.

– Znów zadajesz niewłaściwe pytanie, Falcio.

– W takim razie jakie jest to właściwe, do cholery?

Uśmiechnął się i wycelował we mnie palcem.

– Właściwe pytanie brzmi: „Dlaczego mam nóż przy szyi?”.

Zamrugalem oczami w samą porę, aby dostrzec sztylet odsuwający się od mojej szyi.

– Ach, zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie pomoże – powiedziała Darriana.

Nie połknąłem przynęty, ale tylko dlatego, że język nadal miałem zeszywniały i nie chciałem zrobić z siebie jeszcze większego idioty. Widok pochylonej nade mną Darriany był niepokojący. Jak długo tu była? I co ważniejsze, dlaczego Kest i Brasti pozwolili komuś, kogo ledwie znaleźliśmy, na pozostanie ze mną sam na sam, gdy leżałem sparaliżowany?

– Prawdopodobnie chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem – stwierdziła. Wstała z łóżka i podeszła do małego okienka będącego jedynym atutem malutkiego pokoju w gospodzie, który dzieliliśmy wraz z Kestem i Brastim. – Shuran miał gościa.

– Kogo? – wychrypiałem.

– Rycerza. Cóż, w każdym razie kogoś w zbroi. Przybył wcześniej rano i zażądał widzenia z komandorem. Ludzie Shurana chyba go nie znali. Shuran wyszedł z pokoju i odbył z nim rozmowę w cztery oczy. Potem ten człowiek wyszedł i odjechał głównym traktem. Czy chciałbyś wiedzieć, w jakim kierunku?

– Po...

– W stronę pałacu Isaulta.

Potrząsnąłem głową, usiłując odpędzić wypełniającą ją mgłę. Dlaczego Shuran miałby wysłać kogoś przodem, skoro wracaliśmy do pałacu? Wypełniliśmy naszą część umowy... chyba że Isault

nigdy nie wierzył, iż zdołamy ugasić rebelię. Czyżby Shuran szykował się, by nas zdradzić?

Rozejrzałem się, szukając czegoś, co pomogłoby mi dźwignąć się z łóżka. Ponieważ nie znalazłem niczego użytecznego, stoczyłem się na podłogę (przynajmniej odrętwienie uśmierzyło nieco ból), a potem przeczołgałem się do stóp łóżka, używając wieńczącej go deski, żeby dźwignąć się na nogi. Przez cały czas przeklinałem wszystkich świętych i to nie tylko z powodu mojej niezgrabności. Byłem na tyle głupi, że zeszłej nocy się rozebrałem i teraz musiałem kuśtykać nago i ubierać się niezdarnie na oczach Darri.

– Tamten rycerz odjechał godzinę temu – ciągnęła. – Kest i Brasti poszli porozmawiać z Shuranem i dowiedzieć się, o co chodzi, ponieważ ty podobno potrzebujesz spać przez cały poranek. Rzeczywiście, przez większość czasu wydajesz się dość bezradny i nie wiem, dlaczego z was trzech akurat to ty jesteś dowódcą, „pierwszy kantorze”.

– Fart – zacząłem od jednego słowa, badając, jak blisko byłem powrotu do jako takiej normalności. Ucieszyły mnie wyniki, co świadczyło dobitnie o tym, jak niewielkie miałem ostatnio oczekiwania. Bardzo ostrożnie i niezgrabnie sięgnąłem po spodnie i koszulę, leżące na podłodze. W trakcie zdałem sobie sprawę, że jeśli się nie zatrzymam, znów skończę na ziemi.

Darriana odwróciła się i spojrzała na mnie. Po raz pierwszy zauważyłem, że miała piękne brązowe oczy. Nie podobał mi się jednak jej uśmiech.

– Naprawdę? – spytała. – Słyszałam, że podobno ojciec cię porzucił, twoja żona została zamordowana, król stracony jako tyran, a Wielkie Płaszczce, rozesłane po całym kraju, są w tej chwili

albo martwe, albo parają się rozbójnictwem. Kraj jest skorumpowaną czarną dziurą i jedynym powodem, dla którego zło całkowicie nim nie zawładnęło, jest najprawdopodobniej to, że nawet demony znajdują to miejsce nader nieprzyjemnym. Byłeś torturowany, zostałeś pobity, otruty, a teraz leżysz na wpół martwy. Mogłabym cię zabić w czasie snu i wątpię, aby ktokolwiek miał coś przeciw temu. Więc co dokładnie sprawia, że nadal chcesz żyć?

Jeszcze raz spróbowałem sięgnąć po spodnie, tym razem opierając się plecami o ścianę, żeby uchronić się przed upadkiem. Zapewne nie był to zbyt imponujący widok – zataczałem się bowiem i od czasu do czasu panicznie chwytałem się brzegu łóżka, żeby uniknąć upadku.

– Zapominasz o czymś – powiedziałem z nadzieją, że Darri większą uwagę zwróci na moje słowa, jako że w zasadzie odzyskałem już zdolność normalnego wypowiedania się, niż na brak równowagi.

– Tak? A o czym mianowicie?

– Ludzie, którzy to zrobili: Yered, księżę Pertynii, Patriana, księżna Hervoru, tuzin przekupnych miejskich konstabli, wystarczająca liczba sadystów bijących żony, dzieciobójców, gwałcicieli i oprychów, aby wypełnić zamek, dwóch asasynów dashini i ponad pięćdziesięciu książęcych rycerzy...

– Rozumiem, że są to ludzie, których zabiłeś?

– Tak.

– W porządku, zatem zabiłeś ich wszystkich. Koniec. Nie żyją. Jaki jest teraz twój cel?

– Zostało jeszcze kilku, z którymi muszę się rozprawić. Już.

Darriana uśmiechnęła się, podeszła do mnie i pocałowała mnie w policzek.

– Widzisz? To właśnie jest coś, co rozumiem i popieram – sięgnęła w dół, podniosła moje ubrania i podała mi je. – Powinieneś się odziać. Jeżeli mamy walczyć z Shuranem i jego ludźmi, nie chciałbyś pewnie tego robić półnagi.

– Dlaczego mielibyśmy walczyć z Shuranem? – spytałem. – Czy on...

– Nie, jeszcze nic nie zrobił. Po prostu mu nie ufam.

– A czy ty ufasz komukolwiek?

– Raczej nie. Twój prawdziwy problem polega jednak na tym, że Święty od Mieczy również mu nie ufa. Wygląda na to, że Shuran szykuje się do odjazdu przed nami. Kest twierdzi, że ma to coś wspólnego z Isaultem, który zamierza zdradzić Aline. Podejrzewam, że zrobi w związku z tym coś lekkomyślnego.

Roześmiałem się na samą myśl. Kest to najmniej lekkomyślna osoba, jaką znałem. Zawsze był rozsądny, ostrożny i cierpliwy. Przypuszczałem, że postanowił przekonać Shurana, by ten nie wyruszał w drogę do czasu, aż odzyskam władzę w ciele. Na pewno jednak nie zaczęłyby z tego powodu wojny.

– Kest znajdzie sposób na utrzymanie pokoju – powiedziałem. – Gdzie on teraz jest?

– Kiedy widziałam go ostatnio, Święty od Mieczy szedł na dziedziniec, aby zmierzyć się z komandorem Aramoru. Powiedz mi, czy jego skóra zawsze świeci na czerwono, kiedy pracuje nad utrzymaniem pokoju?

– Dlaczego, do cholery, tak długo czekałaś z informacją o przygotowaniach Kesta i Shurana do walki? – zapytałem

Darrianę z irytacją, kiedy kulejąc, zmierzałem w stronę dziedzińca gospody. Poranne słońce oślepiło mnie, pogarszając jeszcze mój wzrok, nadal przesłonięty mgłą.

– Kto powiedział, że chcę, abys ich powstrzymał?

Po jednej stronie podwórza stali rycerze Shurana z bronią przyszykowaną do walki, po drugiej Brasti z krótkim łukiem przygotowanym do strzału i Valiana, z mieczem w dłoni, chociaż jego sztych skierowany był w dół, aby nie sprowokować ataku. Byłaby to okrutnie nierówna potyczka, jednak ani rycerze, ani Wielkie Płaszczce nie wyglądali na zaniepokojonych tym faktem.

Pośrodku stał Shuran w pełnej zbroi z hełmem i ciężkim mieczem uniesionym nad głową w wysokiej zasłonie – pozycji doskonałej do zadania szybkiego i zabójczego pierwszego ciosu. Shuran był w tej chwili uosobieniem rycerskiego ideału: mocny, zdeterminowany, niezachwiany – mimo że trudno było stać długo w jednej pozycji, gdy miało się na sobie ciężki pancerz. Naprzeciw niego czekał niecierpliwie Kest odziany jedynie w spodnie i koszulę. Jego wielki płaszcz leżał na ziemi. Nie był to Kest, którego znałem od dzieciństwa – człowiek spokojny niczym woda w jeziorze skutym lodem. Kest, którego znałem, nie krążył jak rozdrażniony wilk, czekający na moment, w którym mógłby przypuścić atak: człowiek, z którym stałem ramię w ramię podczas setek walk, gdy wyciągał swój miecz, był cichy niczym nocne powietrze. Człowiek, którego znałem, nie wykrzykiwał nieskładnych gróźb i nie szydził głośno ze swojego przeciwnika. Człowiek, którego znałem, nie miał skóry, która płonęła czerwoną poświatą na tle porannej mgły.

– Dalej, ty tchórze! – krzyczał Kest napiętym, lecz pełnym szyderstwa głosem, niczym szaleniec, który usiłuje powstrzymać

własny śmiech. – Śmiesz wyciągnąć miecz w mojej obecności? Przed samym Świętym od Mieczy?

– Nie szukam wyzwania, Kest – głos Shurana był spokojny, ugodowy, a słowa pełne rozsądku. – To ty pierwszy wyciągnąłeś broń. Ja działałem jedynie w swojej obronie. Nie ma powodu do zwady. Powinniśmy obaj się wycofać i przedyskutować sprawę, zanim poleje się krew.

Gdybym już wcześniej nie czuł, że coś jest grubo nie w porządku, całkowity brak reakcji Kesta na słowa Shurana dałby mi to wyraźnie do zrozumienia. Nawet jeżeli Kest miał prawdziwy powód do pojedynku, natychmiast powinien przystać na rokowania, a przynajmniej zaoferować przeciwnikowi warunki ugody. Zamiast tego powściągliwość Shurana jedynie bardziej go rozwścieczyła.

– Rozmawiać? Po co? Żebyś zyskał możliwość poderżnięcia mi potem we śnie gardła? Sądzisz, że w ten sposób mi to odbierzesz?

Shuran pokręcił głową.

– Niczego nie chcę ci odebrać.

Kest wybuchnął śmiechem.

– Doprawdy? Myślisz, że nie widzę, jak bardzo pragniesz zostać Świętym od Mieczy, Shuranie? Kiedy spoglądasz na mnie, głód masz wypisany na twarzy!

– Nawet gdybym tego pragnął, to nie jest odpowiedni moment. Obaj, i ty i ja, mamy ważniejsze sprawy do załatwienia niż rozwiązanie sporu, który z nas jest lepszym szermierzem.

– Ty głupcze – wykrzyknął Kest, potrząsając mieczem w powietrzu. – To jedyna rzecz, która się liczy. Ostrze przecinające powietrze; dźwięk hartowanej stali tnącej skórę, kości i mięśnie, jakby były z papieru; krew zraszająca ziemię niczym deszcz. To

wszystko, co ma znaczenie!

– Co tu, do jasnej cholery, się dzieje? – spytałem Brastiego.

Odwrócił się na dźwięk mojego głosu.

– Falcio! Dzięki tym nielicznym bogom, którzy jeszcze trzymają naszą stronę! Musisz powstrzymać Kesta! Stracił rozum.

– Co się stało?

– Shuran powiedział, że otrzymał od Isaulta rozkaz natychmiastowego powrotu i zaczął się szykować do wyjazdu. Kiedy Kest się o tym dowiedział, wpadł w szał. Zaczął się droczyć i obrażać Shurana, a potem wyzwiał go na pojedynek. W zasadzie nie jestem pewien, czy mnie również nie wyzwiał.

– Cholera! Dlaczego go nie uspokoiłeś?

– Próbowałem, ale jakimś cudem mój urok osobisty go nie przekonał – Brasti wskazał na coś, co wyglądało jak leżące na ziemi dwie deseczki połączone linką. Był to jeden z jego łuków, przecięty starannie na pół.

– Kest! – krzyknąłem, robiąc kilka kroków w jego kierunku. Powietrze załśniło przede mną i poczułem na szyi coś delikatnego niczym oddech dziecka. Kiedy spojrzałem na Kesta, stał już z powrotem w pozycji do ataku, ze wzrokiem wbitym w Shurana. „Cholera”, pomyślałem. „Prawie pozbawił mnie głowy i nawet nie pofatygował się, żeby na mnie spojrzeć”.

– Kest, wycofaj się. Natychmiast!

– Zamknij się, Falcio! Twoja kolej przyjdzie już wkrótce.

– Postradałeś rozum? Jestem twoim przyjacielem!

Tym razem zaszczyił mnie spojrzeniem, bardzo krótkim, ale wszystko, co zobaczyłem, to purpura gniewu i szyderstwo.

– Nie trać na mnie słów, Falcio. Wiem, że uważasz się za

lepszego ode mnie. I grubo się mylisz.

– Kest, ja nie...

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, Kest runął na Shurana, pokonując dzielącą ich odległość w mgnieniu oka i wymierzając morderczy cios w napierśnik rycerza. Shuran opuścił miecz w szybkiej zasłonie, która miała wytrącić Kestowi oręż z ręki. Nie zadziało. Miecz Kesta poruszał się niczym woda, wyslizgując się spod parady i ponownie mierząc w cel. Jedyne, co uratowało Shuranowi życie, to fakt, że ogromny mężczyzna zatoczył się do tyłu, o włos unikając broni Kesta.

– Powiedziałem ci, że za bardzo obciążasz zakroczną – wyszczerzył się w uśmiechu Kest.

Shuran odzyskał równowagę.

– Znów chcę zaznaczyć, iż w tej chwili nie podważam twojej wyższości we władaniu bronią, Święty od Mieczy.

Zanim zdołał unieść miecz w zasłonie, Kest zaatakował ponownie, wywijając ostrzem tak, że co raz to schodził, to powracał na linię ataku, niczym wąż. Sztych jego miecza uderzył raz, drugi i trzeci, sięgając do nadgarstków, kolan i łokci rycerza, wypełniając dziedziniec szyderyczym zgrzytem stali.

„Cholera, jak ktokolwiek, włączając w to Kesta, mógł być aż tak szybki?”

Pomimo swoich rozmiarów Shuran poruszał się płynnie i z zabójczą siłą. Jako szermierz, obserwując pojedynek, podświadomie zastanawiałem się, czy dałbym radę któremukolwiek z walczących. Sądząc po sposobie poruszania się, wątpię, że potrafiłbym pokonać Shurana w uczciwej walce. Mimo to wyraźnie widziałem, że jego postawa z przeciążoną nogą zakroczną

ograniczała mu ruchy. Cokolwiek było przyczyną poparzeń na ciele rycerza, jednocześnie nie pozwalało mu osiągnąć mistrzostwa zbliżonego do poziomu Kesta i ten o tym wiedział. Wykorzystał słabe punkty Shurana, przez cały czas śmiejąc się i bezlitośnie zmuszając zwalistego rycerza do wyprowadzania coraz mocniejszych zasłon, aby obronić się przed ostrzem Kesta. Miałem wrażenie, że z każdym natarciem mija kolejna godzina, chociaż obaj walczyli zaledwie od kilku chwil. Wiedziałem, że ten pojedynek nie potrwa o wiele dłużej.

– Powiedziałem ci przy pierwszym spotkaniu, że pokonam cię w dwunastu złożeniach, komandorze – przypomniał Kest. – Zostało ci jeszcze pięć.

– Mam wrażenie, że zgodziliśmy się na czternaście – odparł Shuran, oddychając ciężko.

– Tylko gdybym nie planował cię zabić!

– Kest, dość! – krzyknąłem. – To pieprzony rozkaz!

Ale Kest zignorował mnie, koncentrując się na Shuranie. Sposób, w jaki młócił komandora, wywoływał mdłości. Wykorzystywał swoją niesamowitą szybkość i umiejętności związania ruchów Shurana. Przypominał mi człowieka, który za pomocą igły i nici zaszywa całun wokół ciągle poruszającego się ciała. Kest zamierzał zabić dowódcę rycerzy Aramoru na oczach jego ludzi, a tym samym zniszczyć wszelkie nadzieje na przymierze. Shuran zatoczył się do tyłu i opadł na kolano.

– Wstawaj – powiedział Kest. – Wstań po raz ostatni albo poddaj się, a ja wielkodusznie oddzielę twoją głowę od ramion.

Shuran wyciągnął miecz przed siebie, z trudem usiłując wstać.

– Pomyśl, człowieku! Czy naprawdę tego chcesz? Wywołać wojnę

między księciem Aramoru i dziewczyną, którą chcesz uczynić królową?

Kest nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się nieprzyjemnie i gestem nakazał Shuranowi się podnieść. Nie było mowy, nawet przy pomocy sił piekielnych, żeby komandor przetrwał następny atak. „Święci, wybaczcie mi”, pomyślałem i wyciągnąłem nóż do rzucania z kieszeni płaszcza.

– Na lewy cycek Świętej Lainy, co ty robisz? – syknął Brasti, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Zapobiegam wojnie – wziąłem zamach i rzuciłem, celując w ramię Kesta.

Ten jakby od niechcienia odwrócił się, machając mieczem, i odbił nóż. Znałem jednak Kesta lepiej niż ktokolwiek na świecie i wiedziałem, co potrafi zrobić swoim mieczem. Dlatego też wyciągnąłem drugi nóż i rzuciłem nim zaraz po tym, jak pierwszy wyfrunął z mojej dłoni. Rozległo się głuchoe plaśnięcie i mój nóż wbił się w udo Kesta.

Gdyby miał na sobie płaszcz, byłby bezpieczny. „Czyżby zdjął go specjalnie? Czy w głębi duszy chciał, żebym go powstrzymał?”

– Sprytnie – powiedział i uśmiechając się, sięgnął w dół, żeby wyciągnąć nóż z nogi.

„O cholera...”

Postawiłem kołnierz, odwróciłem się i przykucnąłem w samą porę, żeby poczuć, jak ostrze uderza w kościane płytki wszyte w podbicie mojego płaszcza. Cios nie był bolesny, a jednak głęboko mnie zranił. Czy Kest miał absolutną pewność, że zdążę się zasłonić na czas? A może tak się zatracił w swoim szaleństwie, że naprawdę był gotów mnie zabić?

Odwróciłem się do pojedynkujących i zobaczyłem, jak Shuran usiłuje wykorzystać ranę przeciwnika, aby zyskać przewagę. Było jednak na to za późno – zwałisty rycerz został trafiony przez Kesta tyle razy, że aż dziw, iż był w stanie nadal utrzymać swój miecz. Ryknął donośnie i spróbował ostatniego zamachu, ale Kest sparował cios, blokując go jelcem i skręcając je mocnym ruchem w kierunku przeciwnym do biegu wskazówek zegara, wytrącił miecz z dłoni Shurana.

– Pozostało tylko jedno złożenie, panie rycerzu – uśmiechnął się szeroko.

Shuran opadł na kolana, z dłońmi zwieszonymi po bokach. Jego rycerze wyglądali, jakby byli gotowi zaatakować Kesta, ale komandor uniósł dłoń.

– Nie! Jesteśmy książęcymi rycerzami, ludźmi honoru. Kiedy będzie po wszystkim, uciekajcie, wszyscy. Jedźcie różnymi drogami i który z was dotrze pierwszy do księcia, niech powie mu, że Wielkie Płaszcze zdradziły.

– Kest! – wrzasnąłem znowu. – Wstrzymaj się! Na miłość do króla, musisz przestać!

Odwrócił się do mnie i przez chwilę wyglądał jak dawny Kest, zupełnie jakby zwycięstwo wyciszyło ogarniające go szaleństwo. Nie trwało to jednak zbyt długo.

– Zaraz się tobą zajmę, Falcio – odparł i zwrócił się do Shurana.

Kest był dla mnie kimś więcej niż bratem. Znałem go od dziecka i od tamtej pory nie przestałem go kochać. Nie mogłem jednak pozwolić mu zniszczyć marzenia króla. Zsunąłem z ramion płaszczy i wyciągnąłem rapiery. Spojrzałem na Brastiego.

– Jeżeli to nie zadziała, musisz go zastrzelić.

– Chcesz, żebym wypuścił strzałę w Kesta?

– Nie jedną, ale tyle, ile będzie trzeba. Strzelaj, dopóki nie przestanie się ruszać.

– Kest potrafi zbijać strzały.

– Tak, wiem – ruszyłem w kierunku Kesta. – Dlatego strzelaj, dopóki nie przestanie się ruszać.

Kest mierzył mieczem w Shurana. Spojrzał na mnie.

– Dlaczego zdjąłeś płaszcz, Falcio?

– Jeżeli zabijesz Shurana, ja będę następny. Oddaj mi miecz, Kest, albo walcz ze mną.

Kest zmrużył oczy.

– Sądzisz, że jesteś w stanie mnie pokonać? Bez ochrony, bez płaszcza? Falcio, myślę, że chyba lekko ci odbiło.

– Przekonajmy się.

Wyraz jego twarzy nieco się zmienił, jakby nagle przestał rozumieć, kim właściwie jest. Był bliski powrotu do nas, ale nie byłem pewien, czy wystarczająco bliski. Podszedłem jeszcze o krok.

– Falcio, zatrzymaj się... Nie chcę cię zabić – dodał.

– Niemniej masz taki wybór – byliśmy już niemal w zasięgu swoich ciosów. Niech mnie licho! Wyobrażałem sobie wiele rodzajów własnej śmierci, a wierście mi, choć mam bujną wyobraźnię, nie była to jedna z nich.

Kest spojrział na mnie, a potem na Shurana. Poruszał ustami, jakby rozmawiał sam ze sobą, i dostrzegłem, że wypowiada raz po raz słowo „nie”. Nagle uniósł miecz wysoko w górę i skierował sztych w pierś Shurana. Kąt natarcia pozwoliłby mu użyć jego niezwykłej siły do przebicia pancerza.

– Nie! – krzyknąłem i, przeklinając w duchu, rzuciłem się ku

niemu w długim wypadzie.

Kest bez wysiłku odbił mój rapier i podrzucił swój własny miecz do góry, obracając go tak, aby mógł chwycić go za ostrze, celując głowicą w Shurana. Opuścił broń w dół niczym rolnik wbijający tyczkę w ziemię. Na dziedzińcu rozległ się dźwięczny odgłos, jakby dzwonu kościelnego. Kiedy spojrzałem na walczących, Shuran nadal klęczał, niemal zgięty wpół od ciosu. Po lewej stronie napierśnika widniało małe okrągłe wgłębienie rozmiaru głowicy miecza Kesta, dokładnie znacząc miejsce, gdzie uderzyłby jego sztych: prosto w serce rycerza.

Mój przyjaciel popatrzył na mnie niepewnie, z drżącymi ustami, a potem spojrzał na dowódcę rycerzy Aramoru.

– Poddaję się! – powiedział, po czym padł na ziemię bez przytomności.

Chwilę później pograżyliśmy się w chaosie. Gdy nieprzytomny Kest padł na ziemię, ludzie Shurana otoczyli walczących. Pięciu z nich chroniło Shurana, podczas gdy pozostali stanęli nad Kestem. Podbiegłem do niego, ale rycerze dali mi jasno do zrozumienia, że nie pójdę dalej. Brasti, Valiana i Darriana dołączyli do mnie i tak oto stanęliśmy naprzeciw uzbrojonych rycerzy.

– Stop – Shuran oddychał tak ciężko, że ledwie udało mu się wykrztusić to jedno słowo. Zdjął hełm i widziałem, że pot ścieka mu strumieniami po czole, nadając poparzonej części twarzy nienaturalny połysk. – Sprawa skończona. Nikt nie zginął i nikt nie musi zginąć.

– Odsuńcie się i pozwólcie nam zobaczyć naszego człowieka –

zażądałem.

Rycerze zacieśnili krąg.

– Ten wasz wściekły pies jest teraz naszym jeńcem – powiedział jeden z nich. – Usiłował zamordować dowódcę rycerzy Aramoru.

– Coś z nim jest nie w porządku – zacząłem. – Nigdy przedtem...

Shuran uciszył mnie gestem dłoni.

– To był uczciwy pojedynek – powiedział do swoich ludzi.

– Ale komandorze, ten człowiek... – zaczął jeden z nich.

– Pierwsza pozycja! Za mną! – warknął Shuran i rycerze, poruszając się w zgodnym tempie, sformowali szereg cztery stopy za Shuranem. Komandor odsunął się, robiąc dla mnie miejsce. Przyklęknąłem obok Kesta. Kiedy wyczułem uderzenia jego serca, okazały się bardzo powolne, dużo wolniejsze niż mojego. Ale czy dla Kesta było to teraz normalne? Nie miałem pojęcia. Nigdy przedtem nie miałem świętego za przyjaciela. Wyglądał nieziemsko: czerwona poświata bijąca z jego skóry nie tyle zniknęła, co schowała się pod powierzchnią. Wyglądał, jakby stał na słońcu przez kilka dni z rzędu. Jego skóra była sucha, niemal spalona.

– Co, do cholery, mu się stało? – spytałem.

Nie oczekiwałem wprawdzie odpowiedzi, ale ku mojemu zaskoczeniu otrzymałem ją od Shurana.

– To gorączka świętych, jak sądzę.

Brasti przyłączył się do mnie.

– Co to, jakiś żart? Gorączka świętych to tylko różyczka, dziecięca przypadłość!

– Rodzice nazywają to w ten sposób ze względu na podobieństwo objawów, ale gorączka świętych naprawdę istnieje i została tak

nazwana nie bez przyczyny. Istnieje niewiele źródeł mówiących o prawdziwej naturze świętych, ale czytałem coś o różnych rodzajach dolegliwości, na jakie cierpią. Ile czasu minęło, od kiedy Kest po raz ostatni ofiarował się w sanktuarium?

– Ja... nie jestem pewien, że w ogóle rozumiem, o czym mówisz – przyznałem. Nie mieliśmy w zasadzie czasu i możliwości na zgłębianie nowego stanu Kesta, od kiedy przejął od Świętego Caveila obowiązki.

Shuran spojrział na mnie, jakby wątpił w moje słowa.

– Chcesz mi powiedzieć, że w ogóle się nie ofiarował? Ani razu od kiedy zamordował poprzedniego Świętego od Mieczy?

– To nie było morderstwo, tylko uczciwie stoczony pojedynek – zauważyłem dobitnie. – Caveil usiłował nas zamordować.

– Tak czy owak, dlaczego Kest nie...

Brasti wystąpił naprzód.

– Chcieliśmy ci w ten sposób przekazać, blaszaku, że nie mamy bladego pojęcia, o czym gadasz.

Komandor spojrział na Kesta wielkimi oczami.

– Bogowie! Nie dziwne, że ogarnęło go szaleństwo. Nie mogę uwierzyć, że potrafił je poskromić przez tak długi czas...

– O co chodzi z tym sanktuarium, o którym wspomniałeś? – spytałem.

– O świątynię, jakąkolwiek. Musi spędzić w niej trzy dni, dopóki...

– Kest nie może wejść do świątyni – odparłem. Jeszcze długo nie zapomnę naszego ostatniego spotkania z Trin. – Nie był w stanie przekroczyć kamiennego kręgu.

– Właśnie w taki sposób to działa – wyjaśnił Shuran. Trzeba iść

do świątyni, poprosić kapłana, żeby ten usunął jeden z kamieni. Wtedy Kest będzie mógł wejść do środka. Następnie kapłan powinien zamknąć kamienny krąg i ponownie go poświęcić...

– Ale czy to nie uwięzi Kesta w świątyni? – spytał Brasti.

Dość istotne pytanie, pomyślałem.

– W tym rzecz: będzie uwięziony wewnątrz sanktuarium. Siła, która w nim płonie, musi zostać poskromiona. Święty musi zostać upokorzony przez moc świątyni, aby został ocalony. Jeżeli historie, które słyszałem, są prawdziwe, po trzech dniach kapłan może ponownie usunąć kamień i święty będzie mógł wyjść na świat, znów władny kontrolować swoje boskie szaleństwo.

– Cholernie dużo wiesz o świętych – zauważyłem.

– Każdy człowiek, który aspiruje do wyższych rzeczy, powinien to wiedzieć.

Jego wzgardliwa odpowiedź wcale mi się nie spodobała, ale szybkie spojrzenie na twarz Kesta przypomniało mi, że mamy chwilowo ważniejsze sprawy na głowie. Jego skóra powoli odzyskiwała normalny kolor, ale wydawał się wyczerpany i dziwnie osłabiony.

– Co mam teraz zrobić? – mruknąłem, niemal sam do siebie.

– Nic – Shuran odsunął się od nas i schował miecz do pochwy. – Nie jestem ekspertem, ale z tego, co czytałem, powinien przez jakiś czas być normalny. Kiedy gorączka ogarnia świętego, jest dość... wyrazista, ale kiedy minie, Kest będzie w stanie kontrolować się przez jakiś czas. Doradzałbym jednak, abyście po zakończeniu układów z księciem Isaultem znaleźli Kestowi jakieś sanktuarium.

– Cholera – przeklął Brasti. – Wygląda na to, że bycie świętym nie jest tematem na opowieści.

– To prawda – uśmiechnął się Shuran. – Chociaż wyobrażam sobie, że niewielu powołanych oparło się pokusie.

Wróciłem myślą do chwili z początku pojedynku Kesta z Shuranem, kiedy mój przyjaciel wykrzyknął: „Kiedy spoglądasz na mnie, głód masz wypisany na twarzy!”.

– A ty, sir Shuranie? Czy czujesz powołanie, aby zostać Świętym od Mieczy?

– W tej chwili jedynym powołaniem, jakiemu się oddaje, jest to, które nakazuje mi powrót do mojego księcia – odparł Shuran. – Sir Lorandes, jeśli łaska?

Jeden z rycerzy wystąpił z szeregu i ruszył w kierunku koni. Bez słowa chwycił uzdę rumaka Shurana i go przyprowadził.

– Reszta podąży do książęcego pałacu w jednej grupie – powiedział Shuran. – Zobaczymy się po waszym przyjeździe, jutro albo pojutrze – spojrzał na swoich ludzi. – Na mój honor, żaden z nich nie będzie próbował wyrządzić krzywdy Kestowi ani wam.

– Ale dlaczego to takie ważne, żebyś wyruszył już teraz? – spytałem. – Dlaczego musisz jechać sam?

– Ponieważ zostałem wezwany przez mojego pana i poinstruowany, aby wypełnić rozkaz bez zwłoki. Podróżując samotnie, zdołałem dotrzeć do pałacu znacznie szybciej. Wykonuję polecenia księcia, Falcio. Tak to działa.

Stałem blisko tego człowieka przewyższającego mnie wzrostem i nie spuszczałem wzroku z jego oczu.

– A co, jeśli książę postanowi nas zdradzić?

Trzeba przyznać, że Shuran nawet nie mrugnął.

– Książę Isault jest władcą Aramoru. Jeżeli postanowi zerwać waszą umowę, to nie będę mógł na to nic poradzić.

– A zatem zdradzisz nas, jeśli tego zażąda?

– Naprawdę nie rozumiesz idei rycerstwa, co, Falcio? Jeżeli księżę czegoś żąda, nie będzie to zdrada.

Naprawdę podziwiałem Shurana i w innym życiu, kto wie, może nawet zostalibyśmy przyjaciółmi. W tym momencie jednak myślałem tylko o jednym: „Święci, jak ja nie cierpię rycerzy”.

– Więc spodziewasz się, że pojawimy się jakby nigdy nic w pałacu z nadzieją, że nie zastawiono na nas pułapki? Jeżeli Isault planuje sprzedać nas Trin, co miałoby go powstrzymać przed pochwyceniem nas, a nawet zabiciem, by przypieczętować umowę?

– Księżę Isault nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego – powiedział Shuran z przekonaniem. – Jeżeli zmieni zdanie i postanowi wesprzeć księżną Trin, a nie królową Aline, powie ci to w twarz i odeśle cię z powrotem. Nie rozkaże mi was aresztować, chyba że zaatakujecie go pierwsi.

Spojrzałem na ludzi Shurana. Było nas pięcioro, a ich dziesięciu, mieliśmy więc niezłe szanse. Mogliśmy ich pokonać, gdyby zaistniała taka potrzeba – oczywiście zakładając, że Kest przebudzi się ze swojego gorączkowego snu.

– Mogę ci przysiąc tyle – ciągnął Shuran – że jeżeli przybędziecie do pałacu, osobiście zagwarantuję wam bezpieczeństwo.

– A co, jeśli Isault rozkaże ci nas zaatakować? Co wtedy? Odmówisz?

Pytanie było dla mnie dość oczywiste, ale Shuran wyraźnie się zaambarasował.

– Wtedy zrzeknę się mojego stanu rycerskiego i zrobię to, co

trzeba, aby upewnić się, że moja obietnica względem was została spełniona – odparł wreszcie.

– W takim razie co z twoim cennym honorem?

Shuran wsadził stopę w strzemię i dosiadł konia.

– Jeżeli księżę poleci mi zaatakować tych, których przysiągłem potraktować sprawiedliwie, mój honor nie będzie wart już nawet czarnego grosza.

Dał koniowi ostrogę i pozostawił mnie stojącego na podwórzu gospody. Czułem się jednocześnie zdradzony i nikczemny – a to nie lada wyczyn.

ROZDZIAŁ 14

ZDRADA

Kilka godzin później cała nasza piątka znalazła się znów na szlaku, podróżując w śmiertelnej ciszy w towarzystwie rycerzy Shurana. Byliśmy w połowie konstruowania noszy dla Kesta – wszystkie Wielkie Płaszcze znają mnóstwo użytecznych węzłów na takie okazje – kiedy obudził się ze swej gorączki. Czerwona poświata zupełnie zniknęła, zastąpiła ją chorobliwa szarość – być może z wyczerpania, ale nie przestawałem się martwić, że to coś znacznie bardziej zabójczego. Kest siedział okrakiem na koniu – bo nie można było tego nazwać jazdą – i wpatrywał się w ziemię pod kopytami niczym człowiek na ciężkim kacu, rozważający, ile to pieniędzy stracił, grając po pijaku w kości.

Czasem zwalniałem, żeby Kest się ze mną zrównał, za każdym razem z nadzieją, że ze mną porozmawia, pomoże mi zrozumieć, co się z nim dzieło. On jednak tylko unosił dłoń i mamrotał:

– Jeszcze nie.

Tak więc kontynuowaliśmy naszą podróż.

Lunał deszcz, rozmiękczejąc drogi zaniedbane od śmierci króla. Zrobiło się ślisko i niebezpiecznie, więc ostatecznie musieliśmy

zwolnić jeszcze bardziej, jako że nie mogliśmy narażać naszych koni.

Mozół powolnej podróży wpływał na nas w różny sposób. Ja byłem wdzięczny za to, że Darriana czujnie obserwowała jadących przodem rycerzy, chociaż żaden z nich na razie nie zdecydował się sprzeciwić rozkazom Shurana. Brasti popadł w mroczny nastrój, nadal przeżywając to, co osobiście wciąż uważał za zdradę wobec mieszkańców Carefal.

Tylko Valiana uznała za stosowne ze mną porozmawiać.

– Postąpiliśmy właściwie – zaczęła, zrównując konia z moim. – W wiosce.

– Prawo jest prawem – odparłem, chociaż moje słowa brzmiały bardziej jak drwina niż pociecha.

Valiana położyła dłoń na moim ramieniu.

– Ludzie uwierzą w prawo tylko wtedy, gdy zobaczą je wprowadzane w życie.

– Właśnie narzuciliśmy prawo grupie dzielnych kobiet i mężczyzn, którzy pragnęli jedynie sprawiedliwego traktowania ze strony ich księcia.

– I w tym rzecz – odparła. – Książęta nie mieli racji, podobnie jak mieszkańcy wioski. Zachowywali się, jakby tak było, ponieważ nie mieli innego wyjścia. To właśnie jest problem tego kraju, Falcio. Ludzie nie widzą innego wyboru, jak tylko zagarnąć tyle władzy, ile zdołają, i wykorzystać ją dla siebie.

– Słowa z ust dziewczyny, która szykowała się do objęcia królewskiego tronu.

Natychmiast pożałowałem tego, co powiedziałem. Valiana robiła to, do czego została wychowana i przysposobiona. Nic z tego nie

było jej winą. Właśnie zamierzałem przeprosić, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie była aż tak urażona, jak sądziłem.

– Gdybym została królową, znalazłabym sposób, aby ponownie wprowadzić rządy prawa w Tristii. To właśnie powinien uczynić monarcha i tak postępował król Paelis, prawda?

– Owszem, dopóki nie zabili go książęta.

– I co im to dało? Kraj jest uboższy, drogi stały się bardziej niebezpieczne. Książęta nie wzbogacili się zbyt, ale teraz tę część swojej fortuny, której nie tracą przez zbójców, wydają na wzajemne szpiegowanie się i na werbunek większej liczby rycerzy do swoich armii, jednocześnie płacąc swoim ludziom coraz mniej.

– Rycerzom się nie płaci, pamiętasz? Służą dla honoru.

Valiana zignorowała mój sarkazm.

– Spójrz na ludzi Shurana, a potem pomyśl o tych, których widzieliśmy w pałacu. Czy zauważyłeś, że kilku z nich ma siwe włosy i dawno już zostawiło za sobą najlepsze lata? Rycerze zwykli otrzymywać podarki w postaci ziem za ich lata służby, by mogli złożyć broń na stare lata i dożyć sędziwego wieku w spokoju i dostatku. Ale Isault tego nie robi, prawda? Pozostali książęta również. Nie teraz. Wszyscy powiększają liczbę rycerzy w swoich barwach, zapominając o nagradzaniu tych, którzy służą im od dawna.

Nie zastanawiałem się nad tym dotychczas, ale Valiana miała rację. Pomimo wszystkich historii o rycerzach, ich honorze i dzielnych uczynkach, dla nas, Wielkich Płaszcy, były to wyłącznie najemne łobuzy z pretensjami do szlachetności. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby pomyśleć o nich jako o ludziach, którzy również mieli marzenia i nadzieje na życie poza więzieniem

ich własnej zbroi. Przypuszczam, że tak było łatwiej, zważywszy na to, jak często musiałem z nimi walczyć. Potrząsnąłem głową, żeby pozbyć się owej myśli.

– Jeżeli chcesz, żebym zaczął uważać się nad książęcymi rycerzami...

– Powinieneś współczuć każdemu cierpiącemu człowiekowi – odparła. – W Rijou powiedziałeś mi, że nie ma nic gorszego, niż siedzieć beczynnie i pozwalać kwitnąć złu. Czy nie powinieneś współczuć również i tym ludziom?

Pomyślałem o Aline i o tym, jak niemożliwym zadaniem będzie osadzenie jej na tronie, o Trin, która gdzieś tam radośnie wprowadzała chaos w naszym świecie. Pomyślałem o reszcie ze stu czterdziestu czterech królewskich Wielkich Płaszczy, rozsianych po całym kraju, samotnych lub martwych, albo gorzej – trudniących się zbójctwem. Pomyślałem o Keście, cierpiącym teraz z powodu swojej świętości, która okazała się przekleństwem gigantycznych rozmiarów. Wreszcie pomyślałem o tym, że gdy dziś w nocy położę głowę na poduszce przed snem, nie będę miał pewności, czy kiedykolwiek znów wstanę.

Spojrzałem na książęcych rycerzy przed nami. Każdy z nich z radością zwróciłby się przeciwko nam i poderżnął nasze gardła tylko dlatego, że byliśmy Wielkimi Płaszczami. Powstrzymał ich wyłącznie rozkaz jednego człowieka.

– Pieprzyć rycerzy – odparłem.

Po trzech kolejnych dniach i deszczach tak gwałtownych, że byłem przekonany, iż wszyscy bogowie Tristii wykorzystali tę sposobność,

żeby naszczać mi na głowę, pojawiliśmy się wreszcie z powrotem na dziedzińcu książęcego pałacu. Przemoczeni do suchej nitki, oczekiwaliśmy w niekończącej się ulewie na to, aby jeden ze strażników odszukał Shurana.

– Dotarliście bezpiecznie – powiedział wielki rycerz, wychodząc nam na przywitanie przez szerokie, zwieńczone łukiem drzwi wiodące do pałacu. Jego świeżo wypolerowana zbroja lśniła, kontrastując z naszymi przemoczonymi, uświnionymi płaszczami. – Rozumiem, że po drodze nie wydarzył się żaden incydent?

Zauważyłem, że Shuranowi towarzyszyła zwyczajowa asysta uzbrojonych po zęby mężczyzn, którzy stanęli teraz wokół niego z obnażoną bronią. Kest wystąpił do przodu, wyciągając obie dłonie dla zademonstrowania, że nie trzyma w nich miecza.

– Sir Shuranie, zachowałem się... niewłaściwie. Czyny te były wyłącznie moje i nikt inny nie wiedział, że zrobiłbym...

– Co? Że nazwałbyś mnie tchórzem i zdrajcą? Że wyzwalałbyś mnie na pojedynek bez żadnego szczególnego powodu, a potem bardzo się starał, aby wbić miecz w moje serce? – postukał palcem w miejscu wgłębienia w napierśniku. Wypolerował zbroję tak, że można się w niej było przejrzeć, ale nie pofatygował się z wyklepaniem wgłębienia. – Z ogromną precyzją zaznaczyłeś, gdzie należy celować, tak żeby moi wrogowie się nie pomylili, Święty od Mieczy.

Kest skinął głową.

– Zaakceptuję każdą karę, jaką uznasz za właściwą, pod warunkiem że moi przyjaciele...

– Wystarczy – przerwał mu Shuran. – Może i jestem zafascynowany świętymi, ale mam bardzo niski próg tolerancji dla

męczenników. W tamtej chwili byłeś ogarnięty gorączką świętych, a poza tym, technicznie rzecz biorąc, ja przyjąłem twoje wyzwanie.

– Mimo wszystko... chciałbym ci to zrekompensować.

Shuran uśmiechnął się szeroko.

– Doskonale. W takim razie niech moją ceną będzie to, że pewnego dnia, kiedy nie będę zajęty próbą przeżycia, wykonując rozkazy księcia, zaś ty nie będziesz w mocy gorączki krwawego szaleństwa, zmierzymy się jeszcze raz.

Kest skinął głową i wydawało się, że sprawa została załatwiona, przynajmniej na razie.

Shuran spojrzał na mnie.

– Ktoś zaprowadzi was do pokojów. Księżę wie o tym, co się stało w Carefal. Jestem pewien, że będzie się chciał z tobą spotkać nad ranem.

Myśl o spędzeniu tu nocy wywołała u mnie lekki niepokój. Nie miałem wątpliwości, że rycerze Shurana właśnie opowiadali reszcie załogi historię o tym, jak to Wielkie Płaszczki niemal zabiły ich wodza.

– Nie – odparłem. – Muszę sfinalizować sprawę dziś wieczorem. Nie zostaniemy w pałacu na nocleg.

– Dzisiejszy wieczór nie jest dobrym momentem – powiedział Shuran. – Księżę jest zajęty.

Na północnej części nieba pojawiła się błyskawica i chwilę później dotarł do nas grzmot. Woda skapywała mi z włosów do oczu i myślałem tylko o tłustym aroganckim księciu, siedzącym na swoim tronie i zabawiającym się czym tam w tej chwili się zabawiał. Nie szukałem kłopotów, ale miałem już dość siedzenia pod pantoflem Isaulta.

– Nie obchodzi mnie to. Powiedz mu, że spotkamy się z nim dziś wieczór.

– Obawiam się, Falcio, że to nie działa w ten sposób – Shuran ściszył głos, jakby nie chciał, aby jego ludzie go usłyszeli. – To ksiązę decyduje, kiedy będzie chciał się z tobą spotkać, a nie odwrotnie.

– W takim razie powiedz mu, że tak czy owak, z jego poparciem lub bez, Aline zostanie królową i to ona będzie podejmowała wszelkie decyzje o podatkach i prawach oraz granicach między księstwami. Powiedz mu, że ja ocaliłem jej życie, nawet kilka razy, i jest teraz duża szansa, że wykorzystam ten fakt w celu ukarania tych ludzi, którzy przez wiele lat irytowali mnie ponad miarę.

Shuran spojrział na mnie, jakby chciał się przekonać, czy mówię poważnie.

– W porządku, Falcio – odpowiedział po chwili. – Powiem mu. To, co się stanie potem, jest na twojej głowie.

Pół godziny później stałem w książęcej sali tronowej, tym razem sam – tak jak nalegał Isault. Zapewne chciał mnie w ten sposób przestraszyć.

– Wasza Łaskawość – przechyliłem głowę, pozwalając wodzie ścieknąć z włosów na posadzkę.

– Gównojadzie – odpowiedział – krąży historia o tym, że ty... Beshard, co też takiego Shuran powiedział mi wcześniej? Że ten gównojad tutaj...

– Zażądał widzenia się z tobą, Wasza Łaskawość.

– Właśnie – potwierdził Isault. – Podobno zażądałeś audiencji.

Było też jednak coś jeszcze. Przypomnij mi, Beshard? Co było tą drugą rzeczą, którą zrobił gównojad?

– Zagroził ci, Wasza Łaskawość – odpowiedział usłużnie szambelan.

Isault złożył dłonie z klaśnięciem.

– No właśnie. Wielki Płaszcz mi groził. Taaak, Shuran jest znany jako wielki obrzydliwy kłamca, prawda, Beshard?

– Nie, Wasza Łaskawość. Najmocniej przepraszam, ale nigdy nie słyszałem, aby ktoś tak określił sir Shurana.

– Nie? Och, w takim razie to prawda, czyż nie, Falcium val Mondzie?

– Przypuszczam, że moje słowa rzeczywiście mogły zostać zinterpretowane jako groźba – przystałem.

Isault uśmiechnął się i pociągnął spory łyk ze stojącego na podłokietniku tronu pucharu, który w każdej chwili mógł upaść. Książę otarł usta rękawem szaty z zielonego jedwabiu.

– Doskonale. Kazałem przygotować dla was komnaty. W lochach. Bardzo przytulne miejsce, chociaż oczywiście masz znacznie więcej doświadczenia w byciu skutym łańcuchami oraz torturach, więc będę musiał cię prosić o opinię na temat tego miejsca. Obawiałem się tylko, że informacja, którą otrzymałem, jest niewłaściwa i moje, faktycznie dość pospieszne, przygotowania pójdą na marne.

Włożyłem dłonie do kieszeni płaszcza, żeby książę nie zobaczył, jak się trzęsą. Nie minęło tak dużo czasu, od kiedy przez kilka dni byłem torturowany w lochach Rijou, i mimo że bardzo się starałem, nadal czułem ucisk kajdan na nadgarstkach i ból w ramionach po tym, jak moje stawy rozciągały się od wiszenia na haku za ręce

przez wiele dni. Ledwie przeżyłem jedno takie doświadczenie i myśl o powtórce z rozrywki mnie przerażała.

– Nie chciałbym, abyś zadał sobie jakikolwiek trud – powiedziałem pozornie beztroskim tonem.

– Och, zapewniam cię, że to żaden kłopot.

– Mimo wszystko sądzę, że istnieje znacznie lepsze rozwiązanie, Wasza Łaskawość.

– Doprawdy? Cóż, my w Aramorze wszyscy lubimy lepsze rozwiązania. Jakie jest twoje?

– Wydaj dekret, który mi obiecałeś, przysięgając wesprzeć Aline, a ja czym prędzej wyjadę i nigdy więcej nie będziemy musieli się spotkać.

Spodziewałem się jakiejś obrazy lub groźby, ale zamiast tego ksiązę po prostu podrapał się po brodzie.

– I uważasz, że na to zasłużyłeś, tak?

– Zrobiłem to, o co prosiłeś – odparłem. – Stłumiłem bunt.

– No cóż, zapewne to prawda, czyż nie? – ksiązę zachichotał i spojrzał tęsknie na pusty puchar. Najwyraźniej nie był to jego pierwszy kieliszek wina tego wieczoru. – Szkoda, że mnie przy tym nie było: wielki Falcio val Mond, pierwszy kantor królewskich Wielkich Płaszczy, bohater Rijou. Zrobiłeś dokładnie to, czego chciałem – jego głos złagodniał. Nie słyszałem już w nim drwiny, lecz raczej... rozczarowanie?

– Przyjmujesz rozkazy zaskakująco dobrze, Falcio – ciągnął dalej. – Byłby dobrym Beshardem, nieprawdaż, Beshard? – krzyknął do szambelana.

– Jeżeli Wasza Łaskawość tak twierdzi – odparł tamten.

– Owszem, tak twierdzę – ksiązę skoncentrował się ponownie

na mnie. – Może w sekrecie ty też chcesz mnie przelecieć, tak jak stary Beshard? – uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać wszelkie moje ewentualne stanowcze protesty. – Albo i nie, nie jak Beshard. Może po prostu tak bardzo chcesz pozostać lojalny wobec martwego króla, że zrobisz wszystko, by dowieść swojej wierności. Może powinniśmy zrobić z ciebie rycerza, co? Takiego jak Shuran. Chciałbyś zostać rycerzem, gównojadzie? Bez obrazy, rozumiesz, po prostu jestem ciekaw.

– Wolałbym raczej zawrzeć małżeństwo z jednym z twoich katów i spędzić miesiąc miodowy w najciemniejszej celi w twoich lochach, niż stać się jednym z twoich rycerzy – odparłem. – Bez obrazy.

Isault roześmiał się. Nie z tego, co powiedziałem, ale z czegoś innego, jakby z jakiegoś dyskretnego żartu między nim i jego drugim ja – obaj wyglądali na niezwykle zadowolonych.

– Chcesz usłyszeć coś zabawnego? – spytał.

– Chciał...

– Często myślę o twoim nieżyjącym królu Paelisie.

– Był również twoim królem – zauważyłem.

Isault zatrzepotał palcami w powietrzu.

– Szczegóły. Typowy sędzia pokoju: skupia się na szczegółach i nie widzi całości.

Beshard, reagując na znak, którego nie zauważyłem, podszedł do tronu, niosąc srebrny dzban. Napełnił puchar księcia, a potem uklonił się i poczłapał z powrotem na swoje miejsce po drugiej stronie komnaty. Księżę niemal natychmiast wychylił cały kielich i zastukał w niego palcem. Chwilę później szambelan ponownie rozpoczął wędrówkę w kierunku tronu.

– Może byłoby bardziej racjonalnie, gdyby Beshard pozostał tutaj wraz z winem? – zasugerowałem.

– Nie, nie. To mój ostatni dzisiaj. Na czym to stanąłem? Ach, tak, czasem myślę o królu Paelisie. W zasadzie to nawet lubię go mieć tu przed sobą. Rozmawiamy o różnych rzeczach. Czy ty wyobrażasz sobie, że rozmawiasz z królem?

– Staram się ograniczać liczbę konwersacji z martwymi osobami, Wasza Łaskawość.

– Ach, widzisz, i tutaj się mylisz. To całkowicie rozsądna aktywność. Rozmawiam z królem Paelisem na temat prawa i kraju; o zabezpieczaniu granic państwa i o negocjowaniu porozumień z pozostałymi książętami.

– Czy król odpowiada?

– Nie, i to jest najlepsza sprawa. Za życia ciągle gadał, ale po śmierci jest litościwie dobrym słuchaczem. Zadaję mu czasem pytania, ale oczywiście nie odpowiada na nie. Po prostu stoi tu, z tym swoim głupawym krzywym uśmiechem. Nienawidziłem tej jego miny, kiedy jeszcze żył. Zawsze miałem ochotę go spoliczkować. Teraz jednak, co dziwne, jego uśmiezek sprawia jedynie, że zaczynam zastanawiać się jeszcze głębiej, i wiesz co? Najczęściej sam znajduję odpowiedź. Tak, nasz Paelis jest znacznie lepszym królem po śmierci, niż był nim za życia. W zasadzie najbardziej zadowoliliby mnie posiadanie wyłącznie martwych monarchów.

– Cieszę się, że wreszcie nawiązałeś efektywną więź z królem.

Isault pogroził mi palcem.

– Jest jednak pewna sprawa, o którą czasem pytam Paelisa, a wtedy oczywiście on tylko głupio się uśmiecha. Problem w tym, że

nie jestem w stanie sam znaleźć odpowiedzi.

Isault upił mały łyk ze swojego pucharu, nie spuszczać ze mnie wzroku choćby na chwilę. Ponieważ było oczywiste, że chciał, abym zapytał, zrobiłem to.

– A cóż to za pytanie, Wasza Łaskawość?

Książę rzucił we mnie pucharem – było to tak niespodziewane, że naczynie uderzyło mnie w policzek i oblało czerwonym winem.

– Na czym, do stu kurew, polegał twój plan? – wrzasnął. Wstał z tronu i przez moment sądziłem, że może mnie zaatakować. On jednak tylko stał, wrzeszcząc na całą salę. – Uczyniłeś państwu te swoje wszystkie przeklęte obietnice i dałeś nam te swoje przeklęte, bezużyteczne Wielkie Płaszczce! A kiedy przybyliśmy, żeby wypruć ci flaki, siedziałeś jak owieczka oczekująca na strzyżenie! Przez cały czas sądziłem, że zaplanowałaś coś genialnego, jakiś inspirujący koncept, który zmieni świat, ale minęło pięć pieprzonych lat, a ja nadal nie wiem, na czym polegał twój plan! Czy chodziło tylko o to, żebyśmy postradali zmysły, oczekując na objawienie? Tego chciałeś? To tylko świetny żart pośród innych żartów, które sobie z nas stroiłeś?

Książę powoli dostawał hysterii, ale kiedy spojrzałem na Besharda na drugim końcu komnaty, zauważyłem, że stary szambelan nie reaguje. Może to dlatego, że widział już taki atak przedtem, a może rzeczywiście był dobry w cichym trwaniu i nieokazywaniu żadnej reakcji?

– Wasza Łaskawość – zacząłem, ale zaraz przerwałem, ponieważ naprawdę nie byłem pewny, co powiedzieć. Na szczęście nie musiałem, ponieważ Isault opadł ciężko na tron.

– Wystarczy. To wystarczy – powiedział. – Idź spać, pierwszy

kantorze Wielkich Płaszczy. Wypełniłeś swoją obietnicę i ja uczynię podobnie. Rano przygotujemy niewielką ceremonię, podczas której podpiszę dekret.

Zapadł się bardziej w swoim wielkim, niewygodnym siedzisku, a ja poczułem się, jakbym zakłócał prywatną żałobę tego człowieka.

Beshard uprzejmie kaszlnął za moimi plecami, sygnalizując, że czas audiencji dobiegł końca.

– Bardzo mi przykro, Wasza Łaskawość, ale nie mogę odejść, dopóki nie dasz mi dekretu – przeprosiłem.

– Już ci powiedziałem, gównojadzie. Jutro rano, podczas ceremonii. Podamy ciasta.

– Jestem przekonany, że będą mi bardzo smakowały, Wasza Łaskawość, ale naprawdę potrzebuję waszego dekretu już teraz.

Książę spojrzał na mnie, walcząc z ciężkością powiek.

– Kwestionujesz mój honor, Falcium val Mondzie?

Wiedziałem, że stąпам po kruchym lodzie, ale nie mogłem ryzykować, że kapryśny książę zmieni zdanie.

– Zawarliśmy umowę, Wasza Łaskawość, i wydaje mi się, że rozwianie wszelkich wątpliwości dotyczących twojego honoru pozostaje w twojej gestii.

Książę poczerwieniał i sądziłem, że za chwilę rzuci się na mnie i będzie próbował mnie udusić, jednak chwilę później odpłynął z niego cały gniew. Isault sięgnął między fałdy jedwabnej zielonej szaty i wyciągnął zrolowany kawałek pergaminu. Rzucił mi go pod nogi.

– Oto zapłata za twoje grzechy, Falcium val Mondzie.

Przyklęknałem i podniosłem z posadzki dokument, niepewny, czy mogę się ośmielić na rozwiązanie zielonej jedwabnej tasiemki,

która zabezpieczała pergamin.

– Dalej, zrób to – rzucił Isault. – Nie sądzę, żebyś mógł mnie obrazić jeszcze bardziej.

Ostrożnie rozwiązałem jedwabną wstążkę i przeczytałem dekret. Był to najprostszy i najbardziej przejrzysty dokument, jaki kiedykolwiek widziałem. Nie było tam żadnych uników i dwuznaczności: Isault po prostu uznawał, że Aline jest prawowitą królową Tristii i potwierdzał, że Aramor wypełni wobec niej wszystkie tradycyjne obowiązki. Na samym dole widniał podpis księcia.

– Dziękuję, Wasza Łaskawość – powiedziałem. – Żałuję, że nie będę mógł skosztować ciast podczas porannej ceremonii, ale musimy wyruszyć jeszcze dziś w nocy.

Isault prychnął.

– Nie, nie sądzę, żebyście dzisiaj wyjechali.

Rozejrzałem się szybko wokół, spodziewając się rycerzy, którzy przyszedli mnie zaaresztować, ale Beshard był nadal jedyną – poza księciem i mną – osobą obecną w sali tronowej. Stał przy drzwiach pokornie, jak zwykle.

– Oczekuję jakiegoś drobnego pożytku z twojej ogólnie bezwartościowej obecności tutaj – powiedział książę. – Zademonstrowanie moim lordom i baronom, że zawarłem przymierze, które nadaje Aramorowi uprzywilejowany status, pomaga trzymać ich w ryzach.

– Wasza Łaskawość...

Isault wyciągnął z szaty drugi dokument.

– Jeżeli nie będzie cię tutaj nad ranem, pierwszy kantorze, podpiszę ten drugi dekret, anulujący pierwszy.

Spojrzałem na pergamin, nadal w mojej dłoni.

– Jaką wartość mają twoje dekryty, książę Isaulcie, skoro można je w prosty sposób anulować, podpisując kolejne? I jaką wartość ma twoje słowo, jeżeli potrafisz zmieniać je tak szybko?

Isault spojrzał na szambelana.

– Widzisz, Beshard? Ten gównojad nie jest aż taki głupi, na jakiego wygląda.

Beshard poprowadził mnie schodami na górę i długim korytarzem do mojej komnaty, po drodze wskazując pokoje przygotowane dla Kesta, Brastiego, Valiany i Darri.

– Wrócę po ciebie nad ranem – powiedział starzec, otwierając drzwi kluczem.

– Jak długo służysz księciu?

– Służyłem jego ojcu, a przez krótki czas również ojcu jego ojca.

– Czy powiedziałbyś, że książę jest honorowym człowiekiem? – spytałem, oczekując gniewnej odpowiedzi ze strony staruszka. Cholera, myślę, że powiedziałem to głównie w tym celu.

– Na swój własny sposób – odparł Beshard spokojnie. – Żyjemy w niehonorowych czasach i w skorumpowanym kraju. Przypuszczam, że można by rzec, iż książę jest na tyle honorowy, na ile pozwala mu na to świat.

Jego wypowiedź była tak szczerą i logiczną, że nie umiałem tego skomentować. Okazało się jednak, że nie było to konieczne. Szambelan położył dłoń na moim ramieniu w dziwnie intymnym geście. Szybko jednak zorientowałem się, że między palcami trzyma miniaturowe srebrne ostrze, które dotykało mojej szyi.

– Mówię, że opiekowałem się księciem Isaultem od dnia jego narodzin. Pokochałem go od chwili, gdy otworzył oczy i pierdnął. Jeżeli po porannej rozmowie z nim spróbujesz zrobić mu krzywdę, pamiętaj, że wkrótce potem będziesz leżał ze wzrokiem utkwionym w suficie, czując, jak życie wypływa z twego ciała wraz z krwią przez ranę w gardle, gdzie ostrze tego starego człowieka przecięło ci tętnicę – odsunął dłoń i uśmiechnął się krzywo. – Wyobrażam sobie, że byłoby to raczej żenujące dla tak uzdolnionego młodego człowieka, jak ty.

Wręczył mi klucz do drzwi komnaty.

– Śpij dobrze, trattari – powiedział na odchodne.

Kolejne kilka minut spędziłem na uspokajaniu rozedrganego ciała. Po groźbach Isaulta, z miniaturowym ostrzem Besharda w finale, mocno się zdenerwowałem. „Zaskoczony jak amator przez starego człowieka, ledwie mogącego unieść tacę”. Potrafiłbym pokonać szambelana na sto sposobów, a mimo to pozwoliłem mu zbliżyć się na tyle, że mógłby poderznąć mi gardło bez najmniejszego wysiłku. Cały mój trening i doświadczenie zdały się absolutnie na nic w tej jednej chwili nieuwagi.

Kiedy wreszcie byłem pewny, że jestem w stanie mówić bez szcękania zębami, zapukałem cicho do pokojów pozostałych i zebrałem całą drużynę w swojej komnacie. Wyjaśniłem im sytuację z Isaultem i pokazałem dekret. Wreszcie wyłuszczyłem im swój plan.

– Mam pytanie – powiedziała Darriana, gdy skończyłem. Siedziała po turecku na moim łóżku, zupełnie nie przejmując się

tym, że brud z jej butów w szybkim tempie przenosił się na moją pościel.

– Jakże? – spytałem.

– Czy masz może jakieś plany, które nie wymagają, abyśmy razem z Valianą musiały uciekać i chować się gdzieś, podczas gdy ty...

– Podczas gdy on będzie starał się pozabawić życia Kesta i mnie – skończył za nią Brasti. – Nie. To w zasadzie sedno wszystkich genialnych strategii Falcia, więc zacznij się do tego przyzwyczajać.

– To nie to, co sobie myślisz – wręczyłem zwój Darrianie. Jedno spojrzenie dało mi nader wyraźnie do zrozumienia, co Valiana sądzi na temat mojej strategii. – Posłuchaj, musimy dostarczyć dekret do rąk Krawcowej. Nawet jeżeli Isault podpisze drugi, może będziemy w stanie wykorzystać ten tu dokument dla dobra Aline. Darriana, tylko ty znasz plany Krawcowej i wiesz, gdzie teraz może się znajdować. Jeżeli więc nie chcesz podzielić się z nami swoją wiedzą na ten temat...

– Nie chcę.

– W porządku. W takim razie musisz opuścić pałac dziś w nocy. Zaczekaj na nas w gospodzie, którą mijaliśmy dwa dni temu... cholera, jak ona się nazywała?

– Pod Czerwonym Młotem – odpowiedział Kest.

– Dobrze, to ta. Znajduje się nieopodal Włóczni, a to najszybsza droga na północ, do Domarisu. Jeżeli nie pojawimy się w gospodzie w ciągu trzech dni, wyruszysz sama, odnajdziesz Krawcową i powiesz jej, że się nam nie udało.

– Brzmi całkiem logicznie – powiedziała Darriana.

– To dobrze. W takim...

– Więc dlaczego wysyłasz ze mną Valianę? Sama będę w stanie podróżować o wiele szybciej.

Spoglądałem na nią tak długo, aż wreszcie spojrzała mi w oczy.

– Ponieważ ci nie ufam, ot co.

Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Widzisz? Teraz to ma sens.

– To świetnie. Na końcu korytarza jest okno. Jeżeli zaczekasz do...

– Proszę, nie zaczynaj mnie pouczać, jak włamywać się i wydostawać z budynków. Tylko się skompromitujesz.

– Masz duże doświadczenie w zakradaniu się i wykradaniu z książęcych pałaców, co? – spytał Brasti.

– Miałam znakomitych nauczycieli – odparła.

– To wyśmienie – podsumowałem. – A teraz wszyscy wynocha z mojego pokoju. Jeśli dobrze pójdzie, książę dotrzyma słowa i najgorsze, co się wydarzy, to że Kest, Brasti i ja będziemy zmuszeni do wysłuchania jeszcze kilku jego zniewag, jedząc jego ciasta i pijąc jego wino.

Właśnie zamierzałem opaść na łóżko, kiedy zdałem sobie sprawę, że Brasti trzyma rękę w górze.

– Czy masz jakieś pytanie?

– Nie – odparł. – Chciałem po prostu zamówić pierwszy cios w księcia Isaulta.

– Co masz przez to na myśli?

– No... to, że kiedy pojawimy się w komnacie tronowej i Isault nas zdradzi, Shuran i jego rycerze nas otoczą, a Falcio zacznie podskakiwać i wygłaszać przemówienia na temat prawa, dotrzymywania słowa i takie tam inne banały, które zawsze

serwuje w podobnych okolicznościach, ja ugodzę Isaulta jako pierwszy.

- Czy zawsze jesteś takim pesymistą? – spytała Darriana.
- Wbrew pozorom kiedyś byłem dość wesołym człowiekiem.
- Co się stało, że zmieniłeś się w cynika?
- Przyłączył się do Wielkich Płaszcz – wyjaśnił Kest.

Cała czwórka wreszcie wyszła z mojego pokoju. Zdjąłem płaszcz i wierzchnie okrycie i przez chwilę stałem, drżąc, na kamiennej zimnej podłodze. Spojrzałem na ciepłą pościel, marząc o śnie, a jednocześnie wiedząc, że mnie na niego nie stać. Dni spędzone w siodle sprawiły, że wszystkie mięśnie mi zeszywniały i musiałem się rozciągnąć. Należało również się upewnić, że moja broń była naoliwiona i naostrzona. Przede wszystkim zaś nie mogłem ryzykować zaśnięcia, ponieważ jeśli Brasti miał jednak rację i księżę Isault szykował na nas nad ranem zasadzkę, nie mogłem sobie pozwolić na przebudzenie się sparalizowanym, a potem powolnym i półprzytomnym.

„Zabieraj się do pracy”, powiedziałem sobie, sięgając po rapiery i szmatkę. „Odpoczniesz, kiedy Aline zasiądzie już na tronie, a Trin będzie leżała w głębokim grobie”.

Dwie godziny później pukanie do drzwi uświadomiło mi, że Brasti całkiem się pomylił.

– Obawiam się, że jest zbyt późno na wizyty – zawołałem, stając obok drzwi, na wypadek gdyby mój gość po drugiej stronie miał pistolet gotowy do strzału. Kest, Brasti i ja mamy inny sposób pukania, które wykorzystujemy do porozumiewania się w wielu

sprawach: kto jest na zewnątrz, co się dzieje, dlaczego tu jesteśmy... mamy nawet specjalne pukanie na owe rzadkie okazje, gdy któryś z nas ma nóż na gardle i jest zmuszony do wciągnięcia pozostałych w pułapkę.

To pukanie nie było żadnym ze znanych mi kodów, więc trzymałem rapier w pogotowiu i czekałem.

– To ja, komandor Shuran. Otwórz drzwi. I radziłbym trzymać miecz skierowany w dół – dodał po krótkiej chwili.

Fakt, że użył pełnego tytułu, podpowiedział mi, że był w towarzystwie innych, zaś sugestia dotycząca miecza – że oczekiwał oporu.

– Ostrzegam cię, Shuran. Jeżeli księżę postanowił wycofać się z danego słowa, uczynię tę decyzję bardzo kosztowną dla wszystkich – oznajmiłem.

– Otwórz drzwi, pierwszy kantorze. To najmniej odpowiedni moment na groźby.

– Gdzie są Kest i Brasti?

– Przyszedłem najpierw do ciebie.

Zastanowiłem się nad tym. Jeśli Shuran przyszedł do mnie pierwszego, to musiał sądzić, że Kest i Brasti zaatakują go bez zwłoki. On zaś chciał, abym powstrzymał ich przed rozróbą. Ponieważ nie widziałem lepszego wyjścia, otworzyłem drzwi.

– Dziękuję – odparł Shuran.

Widziałem za jego plecami pół tuzina rycerzy zakutych w zbroje.

– Co się stało? – spytałem.

– Księżę Isault został zamordowany – odparł.

NIEELEGANCKI TRUP

Isault, księżę Aramoru, był bardzo nieeleganckim trupem. Nawet pod zielonym jedwabnym prześcieradłem, którym go przykryto, kopuła jego ogromnego brzucha sprawiała, że bardziej wyglądał jak sterta ziemi niż jak człowiek.

Ciało leżało na środku pokoju, otoczone przez dwunastu zakutych w zbroje rycerzy z obnażonymi mieczami w rękach. Kiedy sięgnąłem w dół, aby zdjąć materiał przykrywający księcia, dwanaście mieczy skierowało sztychy w moją stronę.

– Pierwsza pozycja – zakomenderował Shuran. W jego głosie nie słyszałem ani gniewu, ani strachu, jedynie absolutną pewność, że rozkaz zostanie natychmiast wykonany.

Jego pewność siebie była uzasadniona: rycerze poruszali się niczym dobrze naoliwiona maszyna, natychmiast wracając do poprzedniej pozycji, z mieczami wycelowanymi w górę i opartymi o ramiona, w pełnej gotowości do ataku.

Odchyliłem nieco prześcieradło zakrywające Isaulta. Jego twarz zastygła w gniewnym grymasie, przypominając wściekły pysk martwego niedźwiedzia, wiszącego na ścianie jako trofeum. Gdy

całkowicie zdjąłem tkaninę z ciała księcia, zauważyłem, że jego ramiona, złożone teraz na piersi, były pokryte licznymi ranami ciętymi. Isault bronił się, przyjmując ciosy noża na przedramiona, usiłując osłaniać nimi ciało. Dopiero gdy rozłożyłem jego rękę, dostrzegłem małą ranę po ciosie, który przeszył serce i zakończył życie księcia.

– Precyzyjne pchnięcie – powiedział Kest, stając obok mnie. – Asasyn mógłby go unieszkodliwić znacznie szybciej, gdyby nie był aż tak zdeterminowany, aby zabić księcia jednym ciosem.

Odgłosy ciężkich buciorów poniosły się echem w komnacie i podszedł do nas rycerz o długich jasnych włosach. Był to kapitan Heridos – to on rozkazał zaatakować nas podczas naszej pierwszej wizyty w Aramorze, w zeszłym tygodniu.

Zignorował całkowicie Shurana, przemawiając bezpośrednio do otaczających nas rycerzy.

– Aresztujcie tych ludzi – rozkazał.

– Zignorujcie ten rozkaz – polecił Shuran.

– Pozwolisz tym mordercom zbezczścić ciało księcia? – spytał kapitan. – Czy pomogłeś im w tym dziele?

Shuran wyprowadził cios odzianą w żelazną rękawicę dłonią i kapitan upadł na plecy.

– Zachowuj się rozsądnie, sir Heridosie, albo stracisz głowę, którą ostatnio uratowało ci twoje posłuszeństwo. Nadal jestem dowódcą rycerzy Aramoru.

Heridos nie wyglądał na przekonanego ani przestraszonego.

– Zdrajca nie może pełnić funkcji dowódcy rycerzy.

Shuran postąpił krok w jego stronę.

– Wspomnij, sir Heridosie, najbardziej niebezpieczną chwilę

w całym swoim życiu: tę, w której myślałeś, że zaraz stracisz życie jak głupiec, którym jesteś. Zapewniam cię, że w tej chwili jesteś dużo bliższy śmierci niż wtedy.

– Ci ludzie są zabójcami! – zawołał Heridos.

– Nasi ludzie przez całą noc pełnili straż przed drzwiami ich komnat. Jak mogli popełnić morderstwa?

„Morderstwa?” Widziałem wprawdzie dwóch martwych strażników przed salą tronową, kiedy tu szliśmy, ale z jakiegoś powodu wątpiłem, że Shuran mówił o nich.

– W takim razie są współnikami morderców! – upierał się Heridos. Uniósł w górę zwój pergaminu. – Spójrz tutaj. Księżę wydał dekret odwołujący jego ugodę z trattari. Gdyby go podpisał, wszystkie ich plany by się posypały.

– Co nie zmienia faktu, że pilnowaliśmy ich przez całą noc.

– A co z tymi dwiema kobietami? – spytał kapitan. – A może nie wiedziałeś, że uciekły z pałacu pod osłoną nocy?

– Owszem, wiem o tym, sir Heridosie, i posłałem za nimi ludzi – spojrzał na mnie. – Żadna z kobiet nie została skrzywdzona. Moi ludzie jechali za nimi przez kilka godzin, dopóki obie nie przekroczyły granicy naszego księstwa. Dopiero wtedy wrócili tutaj. Żadna z tych kobiet nie miałaby czasu na powrót i zamordowanie księcia.

– A inni? – spytał Heridos.

„Jacy inni?” Shuran spojrzał na mnie, a potem na kapitana.

Kest trącił mnie łokciem.

– Falcio, coś jest nie w porządku.

– To znaczy?

– Wiedzą, że nie mogliśmy tego zrobić, więc dlaczego sir Heridos

za wszelką cenę chce wierzyć, iż to ktoś z nas?

– Dlatego że są rycerzami, a my jesteśmy Wielkimi Płaszczami – odparł Brasti. – I taka jest kolej rzeczy.

– Kto zyskuje na śmierci księcia? – spytałem Shurana.

– Jego wrogowie – wyręczył komandora Heridos. – A kto nienawidzi książąt bardziej niż trattari? Wazeliniarze tyrana, zobowiązani do zemsty na tych, którzy pięć lat temu przywrócili honor krajowi!

Pomyślałem o wszystkich tych chwilach w ciągu ostatnich kilku lat, gdy stałem pod osłoną cienia przed siedzibą księcia, w chłodzie i deszczu, gdy krew w moich żyłach wrzała i drażniła mnie tak bardzo, iż z całej siły musiałem powstrzymać się od zderzenia sobie skóry, gdy zastanawiałem się jednocześnie, czy morderstwo nadal jest morderstwem, jeśli ofiary co roku świętują dzień, w którym ich armia zabiła mojego króla. Mimo to Paelis kazał nam przysiąc, że nie będziemy szukać zemsty. Zamiast tego włóczyliśmy się po całym kraju, desperacko starając się wypełnić jego ostatnie, zagadkowe rozkazy. Nie wiedziałem ilu z nas – poza Kestem, Brastim i mną – pozostało jeszcze na tym świecie.

– Zamknij gębę – powiedział Shuran i spojrzał na mnie. – Odpowiadając na twoje pytanie, książę był nader lubiany przez mieszkańców Aramoru. Buntownicy z Carefal byli jedynymi, którzy sprawiali kłopoty. Roset, książę Luth, nie był zbyt serdeczny ze względu na konflikt graniczny, podobnie jak Jillard, książę Rijou. Mimo to atak na innego księcia postawiłby każdego z nich w niebezpiecznym położeniu ze względu na książęcy konkordat.

– Kto przejmie władanie nad Aramorem po Isaulcie?

– Następny w linii dziedziczenia jest jego szesnastoletni syn

Lucan. Po nim Patrin, który ma dwanaście wiosen i jest za młody, aby rządzić, tak więc żona księcia, Yenelle, musiałaby zostać regentką. Wreszcie mamy córkę, Avette, która ma sześć lat. Zabójca nie był jednak członkiem rodziny księcia ani nikim, kto liczyłby na wdzięczność z ich strony.

– Dlaczego nie? – spytałem.

Shuran wpatrywał mi się w oczy przez długą chwilę.

Wie o czymś i chce się przekonać, czy ja również to wiem.

Po chwili Shuran odwrócił się do Heridosa.

– Przeprowadź ich – rozkazał.

– Kapłani...

– Wydałem ci rozkaz – uciał.

Kapitan ruszył w kierunku wyjścia z sali tronowej i otworzył drzwi. Gestem zaprosił stojących przed nimi rycerzy do wejścia. Każdy z nich niósł coś dużego owiniętego w zieloną tkaninę. Wszyscy ostrożnie umieścili swoje ciężary obok księcia.

Shuran zdjął jedwabne nakrycie z każdego po kolei. Pierwszym okazała się kobieta w średnim wieku, z kręconymi rudoblond włosami.

– Jej Łaskawość księżna Yenelle – powiedział i ściągnął kolejną jedwabną płachtę, pod którą był nastoletni chłopiec, dość wysoki jak na swój wiek.

– Jej syn, Lucan.

Pod następnym kawałkiem tkaniny znajdował się mniejszy chłopiec o twarzy usmarowanej krwią.

– Jej drugi syn, Patrin.

Sięgnął po jedwabny całun okrywający ostatnie ciało – małej dziewczynki z jasnymi lokami. Jej twarz byłaby ładna, gdyby nie

zastygła w wyrazie przerażenia. Miała na sobie żółtą suknię, zbroczoną krwią od kołnierza w dół. Ktoś poderznął jej gardło i pozwolił krwi spłynąć w dół.

– Avette – powiedział Shuran. – Lubiła malować wizerunki psów. Myślała, że jeśli wykona choć jeden wystarczająco piękny, przekona ojca, aby podarował jej szczeniaka na urodziny.

Shuran spoglądał na mnie, oceniając moją reakcję. Nie poinformował nas o innych morderstwach, żeby zobaczyć, co już wiemy. Czegokolwiek szukał, nie sędzę, aby to znalazł.

– Asasyn – zwrócił się do Heridosa. – Pokaż go nam.

– Schwytaliście zabójcę? – spytałem.

– Tak, ale nie sędzę, żeby wiele to pomogło – odparł Shuran.

– Ale w takim razie dlaczego jesteśmy...

– Łatwiej będzie, jeżeli wam pokażemy – dowódca skinął ponownie na Heridosa. Kapitan odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia z takim impetem, że dopiero po chwili zorientowałem się, iż chciał, abyśmy za nim podążyli.

Poprowadził nas do małego pokoiku, który okazał się prywatną biblioteką, z półkami pełnymi książek i biurkiem, które zajmowały całą ścianę.

– Tutaj – Heridos wskazał na ciało leżące obok zakrwawionego miecza. – Oto asasyn, którego wysłaliście, aby zaszlachtował księcia Aramoru i jego rodzinę.

Te zwłoki nie były okryte prześcieradłem. Zabójca leżał twarzą do dołu i miał na sobie wielki skórzany płaszcz.

Shuran przyklęknął i odwrócił trupa. Naszym oczom ukazała się wysoka kobieta o jasnobrązowych włosach, szeroko otwartych błękitnych oczach i ostrych rysach twarzy, zastygłej w gniewnym

uśmiechu.

– Jak zginęła? – spytałem Heridosa. – Zabili ją wasi ludzie?

– Nie, sam księżę dostał ją, zanim umarł. Wbił sztylet prosto w jej czarne serce.

– Znasz tę kobietę? – spytał Shuran.

Była piękna, na swój sposób: szalona, wyszczekana i zawsze szukająca okazji do bitki. Na jej czole dostrzegłem zmarszczki, których nie pamiętałem, ale też od naszego ostatniego spotkania upłynęło kilka lat.

Spojrzałem na Kesta i Brastiego, upewniając się, że oczy mnie nie mylą. Brasti zaklął. Kest przyjrzał się bliżej kobiecie, jakby sprawdzając każdy szczegół, każdy rys jej twarzy. Potem spojrzał na mnie i skinął głową.

– Owszem, znam ją – odparłem, wspominając, jak wiele lat temu, podobnie jak ja, otrzymała swój wielki płaszcz. Spojrzała wtedy na króla i uśmiechnęła się. Po jej twarzy spływały łzy, podobnie jak po twarzach nas wszystkich. Nigdy nie widziałem jej płaczącej ani przed tym szczególnym dniem, ani po nim. – Miała na imię Winnow – odparłem. – Była nazywana Pięścią Króla, czwartym kantorem królewskich Wielkich Płaszczy.

Kiedy spojrzałem na innych, dostrzegłem, że Heridos wreszcie znalazł coś, co sprawiło, że się uśmiechnął.

Obserwowanie, jak Shuran przez godzinę kłóci się ze swoimi rycerzami, było dziwnie niepokojące. Nie chodziło jedynie o fakt, że Heridos nalegał na naszą grupową egzekucję; tego akurat się spodziewałem, zważywszy na okoliczności. O wiele bardziej

martwiło mnie to, że Shuran, który był najpotężniejszym dowódcą, jakiego kiedykolwiek spotkałem, wydawał się nie chcieć lub nie być w stanie uciszyć swoich podwładnych. Za każdym razem, gdy Heridos się odzywał, Shuran zerkał na rycerzy i kapłanów zgromadzonych w sali tronowej, zupełnie jakby byli ławą sędziowską, mającą wydać wyrok, a nie żołnierzami, którzy powinni bezzwłocznie wykonać wszelkie jego rozkazy. Byłem przekonany, że Heridosowi udało się zdobyć na wyłączność lojalność rycerzy pilnujących wejścia do pokoju.

– Morderstwo księcia Isaulta woła o sprawiedliwość! – wykrzyknął Heridos i podszedł do ciał krewnych księcia. – Jego żona zasługuje na sprawiedliwość! Jego dzieci wołają sprawiedliwości! Poza tym dwaj nasi bracia, sir Ursan i sir Walland, również nie żyją, bez wątpienia zabici przez dziwkę trattari. Ich dusze także krzyczą o pomstę, chociaż być może ich błagalne głosy obce są twoim uszom, sir Shuranie.

– Doprawdy? Słyszysz ich głosy, sir Heridosie? – zapytał Shuran.

– Owszem! Słyszę ich krzyk zza zasłony śmierci – Heridos rozłożył szeroko ramiona. – Podobnie jak każdy człowiek tutaj, który kochał księcia.

Energia w pomieszczeniu zdawała się płynąć w kierunku Heridososa. Ranga Shurana, jego reputacja i władza nad ludźmi zmieniły się we wspomnienia z odległych czasów. Sposób, w jaki Heridos używał słowa „obcy” w odniesieniu do Shurana, wyraźnie trafiał do niektórych, jeśli nie wszystkich rycerzy. Zaczynałem się zastanawiać, jak szybko Shuran znajdzie się w kajdanach. Stawka była zwyczajnie zbyt wielka, aby obstawać przy lojalności. Władza,

uprzednio tak mocno scentralizowana i kontrolowana, teraz rozlewała się po całym księstwie Aramoru.

„I oto jest”, pomyślałem, „kruchość Tristii; naga przed naszymi oczami”. Skoro księżę wraz ze swoją rodziną byli martwi, kto teraz rządził Aramorem? Czy któryś z baronów albo lordów przejmie władzę i zainicjuje nową dynastię? Co, jeśli to jeden z nich właśnie w tym celu zlecił morderstwo? Ale nie, książęcy rycerze nie dopuściliby do takiej sytuacji, co oznaczało, że to oni będą musieli przejąć kontrolę nad księstwem, dopóki nie zbierze się Rada Książąt, bo inaczej kraj pogrążyłby się w chaosie i krwi. A zatem sir Shuran, dowódca rycerzy Aramoru, będzie miał w tej chwili władzę, ale tylko wtedy, jeżeli rycerze pozostaną mu wierni. Tydzień temu wyglądali na niezwykle lojalnych i zdyscyplinowanych, ale potem Shuran pojechał z nami do Carefal, a księżę został zamordowany. Teraz zaś komandor bronił Wielkich Płaszczy – tych samych drani, którzy wedle większości tu zgromadzonych zabili ich księcia. W pewnym sensie Aramor był w stanie wojny, a polityka poważnie się chwiała.

– Kapłan! – zawołał wreszcie Shuran.

W sali stało kilku mężczyzn w zielonych szatach, ale żaden nie wystąpił naprzód. Wzrok Shurana padł na jednego z nich, młodego człowieka z przerzedzającymi się czarnymi włosami.

– Komandorze? – wymamrotał.

– Do kogo modlił się księżę?

– Słucham?

– To proste pytanie. Do którego z bogów modlił się księżę Isault? Byłeś jego osobistym opiekunem duchowym, czyż nie?

– To prawda, sir Shuranie.

– Czy zatem nie zwierzył ci się, któremu z bogów oddawał hołd? Zastanawiam się, jak mogłeś dostarczać mu porad duchowych, jeżeli nie wiesz, czy modlił się do Wojny czy do Miłości.

Przez chwilę słyhać było stłumiony śmiech, ale szybko się urwał.

– Do Argentusa, Boga Monety, komandorze – odparł wreszcie szczurowaty człowieczek. – Wszyscy książęta Aramoru podążali za naukami Argentusa.

– A rodzina księcia? Czy oni również modlili się do Argentusa?

– Oczywiście – odparł kapłan.

– Doskonale – powiedział Shuran. – Wreszcie do czegoś dochodzimy.

– Nie rozumiem do czego – mruknął Heridos, ale Shuran go zignorował.

– A kiedy pokorny sługa Monety umiera, gdzie się udaje?

– Oczywiście na łono samego Argentusa – odparł duchowny. – Aby świętować z nim i spacerować w radości po niebiańskim dworze, który stworzył za pomocą swego ziemskiego bogactwa.

– Co takiego? – spytał Shuran. – Chcesz powiedzieć, że wierny sługa Argentusa nie spędza czasu po śmierci, krzycząc w bólu i udręce z powodu tego, jak umarł?

– Oczywiście, że nie, komandorze. Jedynie człowiek wiarołomny cierpiałby takie... – kapłan złowił spojrzenie Heridososa i zamilkł.

– Wystarczy – oznajmił kapitan.

– Czy nadal słyszysz głos naszego księcia, kapitanie?

– To nie jest czas na...

– Zadałem ci pytanie, sir Heridosie. Czy słyszysz krzyki naszego księcia?

Heridos rozejrzał się po sali, ale nie dostrzegł zdecydowanego poparcia.

– Miałem na myśli, komandorze, że mieszkańcy Aramoru zasługują na pomszczenie tego, co się tu zdarzyło, zaś naszym obowiązkiem jest im w tym służyć.

– Ach – Shuran pokiwał głową. – To akurat jest coś, w czym możemy się zgodzić.

– Doskonale, w takim...

– Ale nie w kwestii zemsty, sir Heridosie. Lud Aramoru nie dba o zemstę. A jeśli nawet jej pragnie, wkrótce przeważą nad nią inne problemy.

Heridos wyglądał, jakby Shuran nagle rzucił mu sakwę pełną złotych monet.

– A jakież to problem mógłby okazać się ważniejszy niż ukaranie morderców?

– Odnalezienie ich byłoby dobrym początkiem – odparł Shuran.

– Mordercy księcia stoją tutaj – powiedział Heridos.

Nie mogłem go nawet zbyt winić. Winnow była jedną z nas – najprawdziwszym Wielkim Płaszczem, chociaż nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób kantor miałby stać się asasynem. Winnow nie pałała miłością do książąt, podobnie jak ja, Kest, Brasti i cała reszta naszych, ale przestrzegała królewskich praw z należytą starannością. Co mogło sprawić, że tak się zmieniła? Wróciłem myślami do dni spędzonych w lochach Rijou z Patrianą, księżną Hervoru, rozradowaną, bo nadzorowała moje tortury. Zwijiała się ze śmiechu, zwłaszcza wtedy, kiedy powiedziała mi, że połowa Wielkich Płaszczy jest już w jej rękach, a pozostali zajmują się rozbójnictwem. Wspomnienie długich godzin, które spędziłem

skrepowany i powieszony za nadgarstki, wywołało u mnie dreszcz. Nadal pamiętałem o nacięciach na mojej skórze i specjalnych maściach, które sprawiały, że całe ciało paliło żywym ogniem.

Potrząsnąłem głową.

„Jesteś martwa, ty stara zmijo. Trzymaj się z dala od mojej duszy”.

– Z największą rozkoszą sam obetnę im głowy, jeżeli mamy dowody na ich zaangażowanie w sprawę – odparł Shuran. – Ponieważ jednak byli pod naszą strażą, kiedy wszystko się wydarzyło, obawiam się, że trudno będzie ich skazać.

– Czyli uważasz, że to zbieg okoliczności? To, że przyjechali tutaj, a sześć dni później księżę i jego rodzina zostają zamordowani? – wykrzyknął Heridos. – Chcą osadzić na tronie tę ich małą sukę!

– Co byłoby dużo łatwiejsze, gdyby księżę żył i udzielił nam wsparcia, które obiecał w swoim dekrete – skomentowałem.

– Milcz, trattari – odezwał się Heridos. – Wielka szkoda, że moi ludzie nie zabili was zaraz po przyjeździe.

Shuran podszedł bliżej do Heridososa.

– Gdyby to zrobili, kapitanie, tym samym sprzeciwiłoby się bezpośrednim rozkazom twojego przełożonego. Czy muszę ci przypominać o karze, jaka grozi za niewykonanie rozkazu dowódcy rycerzy?

Heridos nie dał się zastraszyć.

– Czy jest taka sama, jak kara za zdradę stanu? Nie urodziłeś się w Aramorze, prawda, sir Shuranie? Dziwna to sprawa, zważywszy, że wszyscy inni urodzili się i wychowali w księstwie. Jak na człowieka, który jest tu od kilku zaledwie lat, wspiąłeś się

szybko w hierarchii.

Dotarliśmy wreszcie do sedna sprawy: Heridos usiłował przekonać resztę rycerzy i zgromadzonych kapłanów, że Shuran był zdrajcą. Przypominał im wciąż o obcym pochodzeniu komandora i czekał, do czego to doprowadzi.

– Awansowałem, sir Heridosie, gdyż tego życzył sobie sam ksiązę.

– Ksiązę był bardzo hojnym człowiekiem – odparł Heridos.

Shuran uśmiechnął się.

– Tak, to prawda. W zasadzie nie pamiętam już, dlaczego awansowałem do rangi sierżanta – rozejrzał się dookoła. – Czy ktoś pamięta powód? Ja zupełnie zapomniałem.

Zapadła niewygodna cisza.

– Ach, wiem już – ciągnął Shuran. – To musiał być dzień moich urodzin – podszedł do jednego z rycerzy, starszego człowieka z szerokimi ramionami i łysiną, okoloną wianuszkami brązowych włosów. Shuran stanął kilka cali przed jego twarzą. – Czy o to chodziło, sir Karlenie? Czy otrzymałem rangę sierżanta rycerzy w prezencie urodzinowym?

Przyglądałem się temu przedstawieniu z podziwem. Shuran wiedział, jak kontrolować tłum.

– Nie – odparł Karlen.

– Nie, sir Karlenie? – upewnił się Shuran. – A w takim razie dlaczego, jak przypuszczasz? Może ze względu na moją urodę? – gestem wskazał na spaloną część swojej twarzy.

– Była to nagroda za bitwę pod wzgórzem Brantle – odparł Karlen.

– Jaką bitwę? Jesteś pewny, sir Karlenie?

– Tak, komandorze. Tamtego dnia ocaliłeś życie księciu.

Shuran odwrócił się i spojrzał na pozostałych rycerzy.

– Doprawdy? Cóż za dziwaczne zachowanie ze strony obcego – podszedł do innego rycerza, niemal tak wysokiego, jak on sam, lecz dużo młodszego.

– A dlaczego księżę mianował mnie kapitanem rycerzy, sir Belletrisie?

– Z powodu zbójców – odparł młodzieniec. – Natknęliśmy się na nich, gdy rodzina księcia wracała z Hervoru na północy. Uratowałeś ich wtedy... uratowałeś nas wszystkich.

Wydawało mi się, że dosłyszałem coś w rodzaju uwielbienia w głosie młodego rycerzyka.

– Naprawdę? Jakże to niezwykle z mojej strony. W takim razie na pewno mój awans na komandora rycerzy musiał być jakimś żartem. Nasz księżę uwielbiał dobre żarty, nieprawdaż, sir Heridosie? – Shuran podszedł do kapitana i stanął naprzeciwko niego.

– Powiedziałaś już swoje – odparł tamten.

– Nie, nie sędzę. Dlaczego awansowałem do rangi komandora, sir Heridosie?

– Z powodu zeszłorocznego ataku ze strony Luth.

– Ataku skąd, przepraszam?

– Luth. Ludzie księcia Roseta zaatakowali nas na granicy. Byli od nas trzykrotnie liczniejsi, a ty poprowadziłeś atak, dzięki któremu wygraliśmy batalię.

Shuran wyglądał na zamyślnego.

– Wiesz, teraz, kiedy o tym wspomniesz, przypominam sobie coś niecoś na temat tamtego dnia. Ale ty również tam byłeś,

nieprawdaż, sir Heridosie? Obaj byliśmy wtedy równi rangą. Przypomnij mi, dlaczego to nie ty dowodziłeś szarżą?

Heridos wymamrotał coś pod nosem.

– Że co, proszę? Wybacz mi, sir Heridosie, ale jestem nieco przygłuchy. Czy mógłbyś to powtórzyć?

– Byłem chwilowo unieruchomiony.

Któryś z rycerzy zaśmiał się cicho.

– Tak – odparł Shuran. – Rzeczywiście, bardzo trudno jest szarżować, kiedy człowiek najpierw upuści miecz, a potem poślizgnie się i leży jak karaluch na grzbiecie.

Śmiech ogarnął całą grupę rycerzy, którzy najwyraźniej pamiętali to zdarzenie. Shuran odwrócił się do nich plecami, spoglądając na Kesta, Brastiego i mnie. Przez chwilę sądziłem, że zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale on tylko stał w milczeniu, pozwalając śmiechowi wypełnić całą salę.

„Rusz się, głupcze!”, pomyślałem. „Stanowisz idealny cel dla Heridosa!”

– Nie będę służył pod buciorem obcego zdrajcy! – wykrzyknął Heridos. Ale nawet wtedy Shuran ani drgnął. Kapitan ruszył na niego z mieczem w dłoni, więc chciałem dobyć rapiera, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie zdążę. Niektórzy z rycerzy to widzieli, ale żaden z nich się nie ruszył. Dlaczego? To był niehonorowy atak, tchórzliwa zagrywka. Ale czy ktoś by się przejął, gdyby Shuran zginął? Obserwowałem, jak broń Heridosa unosi się w przygotowaniu do ciosu, który zmiażdżyłby czaszkę Shurana. Kiedy jednak miecz zaczął opadać, Shuran, ku mojemu osłupieniu i zachwytowi, obrócił się jednym płynnym, wręcz idealnym ruchem, wyciągając swój miecz i wykorzystując rozpęd do przecięcia gardła

sir Heridososa.

Głowa kapitana pofrunęła w powietrze, a potem spadła na posadzkę, odbijając się od niej raz, drugi i trzeci, zanim wreszcie potoczyła się w stronę drzwi prowadzących na zewnątrz sali tronowej. Zatrzymała się w połowie drogi.

– Cholera – zaklął Brasti.

Kest odetchnął głośno obok mnie. Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Mrugał szybko powiekami, jakby oglądał ten atak raz po raz, od nowa.

– Jest lepszy, niż się wydaje – powiedział wreszcie. – Zajmie mi dziewiętnaście złożeń.

– Tylko wtedy, jeżeli będziesz musiał znów z nim walczyć – powiedziałem. – Miejmy nadzieję, że nie będzie to konieczne.

Shuran wsunął miecz z powrotem do pochwy.

– Czy ktoś jeszcze pragnie mojej śmierci? – spytał zgromadzonych rycerzy niezwykle cichym głosem.

Nikt nie odpowiedział.

– Pytałem, czy jest ktoś, kto chciałby mnie wyzwać na pojedynek – walnął opancerzoną pięścią w jeden z filarów. – Jestem dowódcą rycerzy Aramoru – jego głos zmienił się nagle nie do poznania. Był głośny, zdecydowany, władczy. – Jeżeli pragniecie, abym ustąpił, przemówcie teraz. Macie jedną jedyną szansę. Złóżę mój miecz tu i teraz. Możecie mnie nawet zakuć w kajdany. Jeżeli sądzicie, że ktoś inny poradzi sobie lepiej i poprowadzi nas przez ciemne dni, które zawisną nad księstwem, powiedzcie to.

Nikt się nie odezwał.

– Zastanówcie się dobrze – ciągnął. – Jeżeli pozostanę dowódcą rycerzy Aramoru, to zważcie, że był to ostatni raz, bez wyjątku, gdy

pozwoliłem komukolwiek na takie idiotyzmy. Następnego, który zakwestionuje mój honor, podważy moją rangę lub spróbuje mnie zaatakować, osobiście rozerwę na części i roześlę je na krańce świata.

Podszedł do długiego szeregu rycerzy i kapłanów.

– No więc? Czekam na waszą odpowiedź. Czy jestem dowódcą rycerzy Aramoru?

– Tak, komandorze – odpowiedzieli zgodnym chórem.

Wydawało mi się, że wyrazili się bardzo głośno, ale Shuranowi to nie wystarczało.

– Pytałem, czy jestem waszym dowódcą?

– Tak, komandorze! – huknęli.

– Tak jak powiedziałem sir Heridosowi, jestem nieco przygłuchy. Powtórzcie to głośniej, jeżeli chcecie, żebym usłyszał.

– Tak, komandorze! – wrzasnęli tak głośno, że aż zadźwięczały panoplia na kolumnach. Rycerze wykrzykiwali tytuł Shurana, a ja miałem wrażenie, jakby w salę tronową raz po raz uderzał piorun. Shuran opanował sytuację tak, że ludzie, którzy dwie minuty wcześniej byli gotowi go zdradzić, teraz wydawali się dwakroć bardziej lojalni wobec niego niż kiedykolwiek przedtem. Shuran nie był zwykłym dowódcą rycerzy Aramoru, lecz ich władcą!

Spojrzał na kapłanów.

– Przygotujcie listy do baronów i lordów. Nie wysyłajcie jednak żadnego, dopóki ich nie przeczytam. Rycerze, przygotujcie strażę i resztę zamkowych ludzi. Nikt nie opuści pałacu bez mojej zgody. Nie chcę, żeby choć jedno słowo wydostało się poza mury tego pałacu, zanim nie będę gotowy. Ach, i niech ktoś pochowa sir Heridosa ze wszystkimi honorami.

– Ale sir – zaprotestował jeden z duchownych. – Co z księciem i jego rodziną? Musimy przygotować ich do pochówku.

– Nie – odparł Shuran. – Możecie czynić niezbędne przygotowania, ale ciała zostaną tutaj. Potrzebuję jednego dnia, żeby przemyśleć, co rzeczywiście się wydarzyło.

– A co z nimi? – spytał kapłan, wskazując na Kesta, Brastiego i mnie.

– Wielkie Płaszczce? – Shuran spojrzał na mnie. – Mają doświadczenie w tego typu sprawach. Pomogą mi wyjaśnić całe to zajście. Jeżeli dadzą mi to, czego potrzebuję, w zamian spotka ich wdzięczność Aramoru – spojrzał surowo na każdego z nas po kolei. – A jeśli nie, własnoręcznie ich zabiję.

DOCHODZENIE

– Dziewczynka umarła pierwsza – powiedziałem do Kesta, który klęczał obok mnie przy ciałach. Brasti wyglądał przez okno wychodzące na wschód. Nie miał upodobania do takich zadań. Przemoc, a zwłaszcza morderstwo, przynosi ze sobą chaos, który opiera się wszelkiemu rozsądkowi i przytłacza duszę. Musiałem co chwila odwracać wzrok od twarzy Avette. Była młodsza od Aline, miała łagodniejsze rysy, ale oczami umysłu w dziewczynce leżącej na zimnej posadzce sali tronowej wciąż widziałem Aline. „Popatrz na nią”, powiedziałem sobie. „Nie pomożesz Avette, udając, że nadal żyje”.

Wielki Płaszcz musi umieć rozpoznać naturę ran zadanych ciału, jak również wszelkie uszkodzenia ubrań oraz inne pozostawione ślady. Nie można sprawiedliwie wyrokować, jeżeli nie wiadomo, co tak naprawdę się stało.

– Skąd wiesz? – spytał Shuran. Jego głos odbił się echem w niemal pustym pomieszczeniu. Zakuci w zbroje rycerze i odziani w jedwab kapłani odeszli wydać rozkazy zdezorientowanym i zmęczonym oczekiwaniem sługom. W sali tronowej zostaliśmy

tylko my trzej oraz komandor. No i oczywiście martwi.

– Popatrz tutaj, jak poderżnięto jej gardło. Rana jest najgłębsza po tej stronie, widzisz? Ma również małe siniaki po tej stronie twarzy – ułożyłem palce mniej więcej w tej samej pozycji, tak aby Shuran zrozumiał, o co mi chodzi. – Zostały zrobione ręką mężczyzny. Czy Avette dzieliła pokój z kimś innym?

– Ze swoją matką. Czasem miewała koszmary... – zamilkł.

– Morderca prawdopodobnie trzymał ją w ten sposób – Kest wyciągnął lewe ramię, udając, że obejmuje nim głowę dziewczynki.

– Spójrz na księżnę Yenelle: zadano jej cios nożem w kark. Ktoś kazał jej uklęknąć, a potem zaciągnął dziewczynę za plecy jej matki, poderżnął jej gardło, a następnie pchnął ją nożem prosto w kark.

– A co z chłopcami? – spytał Shuran.

Przesunąłem się do Lucana, młodszego syna księcia.

– Zobacz, ma rany na ramionach. Te po zewnętrznej stronie świadczą o tym, że chronił twarz przed uderzeniami noża. – uniosłem lewe ramię chłopca, ukazując dwa głębokie cięcia. – Usiłował walczyć.

– Chłopcy mogli zginąć jako pierwsi – powiedział Shuran.

– Spójrz, jak głębokie i poszarpane są te rany – zauważyłem. – Czy Lucan był porywczym chłopcem?

– Nie. Zawsze był bardzo posłuszny i rozsądny.

– Aby skończyć z tak licznymi i tak głębokimi ranami, musiał rzucić się na napastnika niczym szaleniec. Prawdopodobnie zobaczył ciała matki i siostry, jeżeli nie był świadkiem ich śmierci.

Shuran spojrzał na Kesta i na mnie oczami wielkimi z podziwu. Widziałem to spojrzenie już wiele razy, zwłaszcza u rycerzy.

Większość ludzi postrzega świat w prostych kategoriach: honor i hańba, dobro i zło, żywy lub martwy. Są zaskoczeni, kiedy zaczynają nagle widzieć różne rzeczy tak, jak my – gdy odtwarzamy historię ze strzępów cichej melodii przeszłości.

W głębi duszy miałem ochotę poprzestać na tym, pomimo palącej potrzeby udowodnienia, że Wielki Płaszcz nie był mordercą. Widok zabitego dziecka to jedno, ale zmuszanie się do dokładnego odtworzenia okoliczności jego śmierci, to coś zupełnie innego. Czuję, że to niewłaściwe, okrutne, wręcz perwersyjne.

Powiedziałem to kiedyś królowi podczas jednego z wielu wieczorów, gdy zmuszał nas do badania zwłok mężczyzn, kobiet i dzieci, o naturze śmierci których wiedzieliśmy już od świadków.

– Są martwi – powiedziałem. – Pozwól im odpocząć.

Król odwrócił się i spojrzał na mnie wnikliwie, zupełnie, jakby mnie również poddawał badaniu.

– Zamordowany człowiek nie może zaznać spoczynku, Falcio. Albo przysłuży się żyjącym, wskazując swojego mordercę, albo też przysłuży się mordercy, ukrywając jego tożsamość. Co ty byś wolał?

– Falcio? Czy możemy kontynuować? – pytanie Shurana wyrwało mnie z zamyślenia.

Spojrzałem mu w oczy i dostrzegłem w nich niezdrową fascynację. Podszedł do mniejszego z chłopców.

– Opowiedz mi o Patrinie.

– Sądzę, że zginął ostatni.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Morderca zacząłby od najgroźniejszego przeciwnika. Lucan był starszy i wyższy, dlatego poszedł na pierwszy ogień. Myślę... – musiałem przerwać, bo koszmarna logika tego morderstwa

wywoływała u mnie mdłości. – Myślę, że Patrin widział, jak jego matka i starszy brat umierają.

– Skąd to wiesz?

– Nie wiem – odparłem. – Nie mogę być tego pewny, ale spójrz tutaj: ma tylko jedną ranę, cios prosto w serce, podobnie jak jego ojciec – odchyliłem zielony materiał i ściągnąłem go do kolan chłopca. Na jego pizamie na wysokości pachwiny widniała ciemna plama.

– Zsikał się – powiedział Shuran, bez wzdargy, ale też bez współczucia.

– Biedny chłopak, pewnie był przerażony – uznałem za słuszne stanąć w jego obronie.

Komandor wstał i podszedł do księcia Isaulta.

– Jesteś pewny, że księżę umarł na samym końcu? Jak możesz być tego pewny?

– Z dwóch powodów – zakryłem Patrina z powrotem i podszedłem do Shurana. – Po pierwsze, zabójca wyraźnie chciał zlikwidować całą rodzinę. Księżę byłby najpilniej strzeżony, więc istniało największe prawdopodobieństwo, iż jego ciało zostanie dość szybko odkryte i ktoś uderzy na alarm.

– A drugi powód?

– Spójrz na jego twarz.

Obserwowałem Shurana wpatrującego się w twarz człowieka, od którego otrzymał wszystko.

– Był wściekły – powiedział i tym razem w jego głosie brzmiał głęboki smutek. – Jego oczy... są niemal szalone.

„Czasem nieżyjący przemawiają do nas w języku tak prostym, że nie potrzebne są żadne słowa”, pomyślałem.

– To twarz człowieka, który właśnie dowiedział się, iż cała jego rodzina została zabita.

Shuran podszedł do tronu i patrzył na niego, jakby spodziewał się, że lada chwila pojawi się na nim książę.

– Czy możesz mi powiedzieć, jak to się mogło stać? Dlaczego ta wasza kobieta, Winnow, to zrobiła?

– Moim zdaniem to nie jej robota – odparłem. Była to część, którą zostawiliśmy na sam koniec. W jakiś sposób wydawało się dość istotne, aby opowiedzieć najpierw historię pozostałych zmarłych: tych, o których świat miał zapomnieć, gdy tylko rozpocznie się walka o władzę w Aramorze.

– Rozumiem, że nie chcesz źle myśleć o jednym ze swoich Wielkich Płaszczy, ale Winnow jest tutaj, a jej ostrze odebrało życie księciu.

To jedno akurat było prawdą: Winnow zawsze walczyła mieczem, którego klinga rozszerzała się lekko przed końcem. Rana Isaulta została zadana takim właśnie orężem.

– Rodzina księcia mogła zginąć od ciosów zadanych inną bronią – zaczął Kest.

– Oni również zostali zabici szerokim mieczem – powiedział Shuran.

– Tak, ale nie wiemy, czy była to ta sama broń. Mogli zostać zabici jakimkolwiek innym szerokim mieczem.

– Włączając w to jej własny – upierał się Shuran.

Kest skinął głową.

– W takim razie wybaczcie, ale wygląda na to, że wiemy, kto jest zabójcą.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi do sali tronowej otworzyły

się gwałtownie i do środka wszedł rycerz o czarnych, przetykanych siwizną włosach, ciągnąc za sobą starą kobietę ze związanymi z tyłu włosami, odzianą w brudny fartuch.

– Co to ma znaczyć, sir Chandisie? – spytał Shuran.

Chandis przyciągnął kobietę do ciała Winnow.

– Czy to ona?

Staruszka spojrzała na sześć trupów i zamknęła oczy.

– Czy to ona? – Chandis potrząsnął nią.

– Tak, to ona – rozplakała się kobieta. – To ona.

– O co tu chodzi? – spytałem. – Kim jesteś?

– Jestem Wirrina, komandorze – staruszka spojrzała na Shurana, zupełnie mnie ignorując. – Pierwsza kucharka.

– Oczywiście, pamiętam cię, Wirrino – odpowiedział uprzejmie Shuran. – Co masz nam do powiedzenia o śmierci księcia?

– Och, nic, panie. Nic o tym nie wiem, tylko... ta kobieta? Tessa?

– Kto?

– Ma na myśli zabójczynię – wyjaśnił Chandis. – Wirrina powiedziała jednemu ze strażników, że zaginęła jedna ze służących, która pasowała wyglądem do opisu Wielkiego Płaszczka, więc przyprowadziłem ją, żeby przyjrzała się ciału.

Wirrina złożyła dłonie i zaczęła potrząsać głową.

– To ona, komandorze. Przysięgam, chociaż nigdy przedtem nie widziałam jej tak odzianej.

– Czy znała księcia? – spytał Shuran.

– Wszyscy znamy księcia, sir, boć przecie... och, masz panie na myśli, czy znała go lepiej niż inni?

– Tak Wirrino, to właśnie mam na myśli.

Stara kobieta spojrzała na martwą Winnow i przygryzła wargę. Pokręciła głową jeszcze raz, jakby spierała się sama ze sobą.

– Mówże, kobieto. Znajdujesz się w obecności dowódcy rycerzy Aramoru – ponaglił Chandis.

– Przypuszczam, że Wirrina dobrze to wie, sir Chandisie – odparł łagodnie Shuran. – Wirrino, bardzo by nam pomogło, gdybyś opowiedziała wszystko, co wiesz.

– Cóż, panie... nie chcę mieć przez to kłopotów. Nie przez coś, czego nie mogłam...

– Wszystko będzie dobrze, pod warunkiem że powiesz nam prawdę.

– Ona... cóż, księżę przysyłał od czasu do czasu po nią chłopaka. Myślę, że... – wbiła wzrok w podłogę.

– Sądziś, że księcia i tę kobietę coś łączyło? – spytał Shuran.

– Na pewno to nie mogę powiedzieć, ale czasem po nią posyłał.

W sali zapadła cisza, kiedy wszyscy usiłowaliśmy zrozumieć następstwa tego prostego oświadczenia. „Czasem po nią posyłał”. Winnow, którą znałem, raczej nie zaoferowałaby zbyt łatwo swojego ciała, a już na pewno nie mężczyźnie takiemu jak Isault. Jej mąż został zamordowany na krótko przed tym, jak dołączyła do Wielkich Płaszcz. To jego śmierć oraz fakt, że jej księżę nie ukarał sprawcy, przywiodły ją do nas. Co takiego robiła, kiedy Isault po nią posyłał?

– Beshard – powiedziałem tknięty myślą. – Gdzie jest Beshard?

Jeżeli był ktoś, kto wiedział o wszystkich sekretach księcia, to z pewnością był to Beshard. Cholera! Isault na pewno kazał staremu szambelanowi mieć oko na wszystko, co dzieje się w pałacu.

– Beshard nie żyje – powiedział Chandis.

– Co... kiedy? – spytał Shuran.

– Właśnie znaleźliśmy go w jego komnacie, w łóżku, z otwartym gardłem. – Chandis obserwował zachowanie Shurana. – Komandorze, czy to nie oczywiste? Ci ludzie zabili szambelana, żeby zatuszować tajemnicę tej dziwki trattari. Podstępem dostała się do pałacowych kuchni na służbę, wpadła księciu w oko, a kiedy przyszedł właściwy moment, zrobiła to, po co tu została przysłana – wycelował w nas palcem. – Przez to dziecko, Aline, które oni usiłują osadzić na tronie.

Shuran uniósł brew.

– Potrafię uwierzyć, że ta kobieta, Tessa czy Winnow, lub jakkolwiek się zwała, popełniła te zbrodnie, ale nie sądzę, aby ów misterny plan został uknuty przez trzynastoletnią dziewczynkę, sir Chandisie.

– Trzynastoletnią? – wtrąciła się Wirrina. – Och, myślę, że to niemożliwe, sir.

– Ty też bawisz się w śledczego, starucho? – skrzywił się drwiąco rycerz.

– O nie, sir, absolutnie nie. Po prostu chodzi mi o to, że... ta cała Aline, kimkolwiek jest, musiałaby uknuć plan, kiedy miała osiem lat. Tessa była tu z nami od prawie pięciu lat.

Pięć lat? Winnow ukrywała się jako pomywaczka przez pięć lat? I co takiego robiła przez cały ten czas? Sypiała z księciem Aramoru?

– To zupełnie nie ma sensu – mruknąłem.

Shuran spojrzał na mnie, a potem znów na kucharkę.

– Dziękuję ci, Wirrino. Sir Chandis odprowadzi cię teraz do

kuchni. Nie musisz się obawiać o los swój i swoich ludzi. Masz moje słowo. Wkrótce będę musiał porozmawiać z tobą jeszcze raz, a tymczasem sir Chandis będzie odpowiedzialny za twoje pełne bezpieczeństwo.

Chandis wyglądał na utemperowanego. Zasalutował i odszedł, ciągnąc za sobą kobietę.

– To zdecydowanie wygląda na spisek, pierwszy kantorze – powiedział Shuran.

– To prawda – skomentował Kest. – Ale niezbyt udany.

– A dlaczego to? Zadziałał nad wyraz dobrze – w głosie komandora zaczęły pojawiać się pierwsze nutki irytacji.

– Asasyn wkrada się do komnat rodziny książęcej, unieszkodliwiając strażę, lecz nie zabijając ich, i morduje żonę księcia oraz dzieci. Następnie udaje się do pokoju Besharda i zabija również jego. Wreszcie przychodzi tutaj, zabija dwóch strażników, uznaje za stosowne tracić czas na to, aby poinformować księcia o tym, że cała jego rodzina leży martwa, a w końcu zabija również i jego. Razem osiem trupów.

– Wybacz mi, Święty od Mieczy, ale brzmi to dość logicznie – powiedział Shuran.

– Ale dlaczego asasyn nie zabił pozostałych strażników? – spytał Brasti. – Tych, którzy pilnowali komnat rodziny książęcej? Dlaczego tylko pozbawił ich przytomności? To zwiększa ryzyko.

– Sznyt? – zaproponował Shuran. – Być może ta wasza Winnow chciała zabić wyłącznie arystokratów, a oszczędzić prostych strażników, którzy w końcu wykonywali tylko swoją pracę? A kiedy dotarła tutaj, zrozumiała, że tym razem nie ma wyjścia, jak tylko zabić gwardzistów Isaulta...

– A co z Beshardem? – spytałem. – On nie był arystokratą, a jednak został zabity we własnym łóżku.

– Musiałaby zabić Besharda, gdyby wiedział o jej intymnej znajomości z księciem – Shuran rozłożył ręce, wskazując na wachlarz ciał na podłodze. – Zdaję sobie sprawę, że może trudno ci w to uwierzyć, Falcio, ale najprostsze i najbardziej logiczne rozwiązanie wskazuje na waszą kobietę, Winnow, jako na morderczynię księcia i jego rodziny.

– Ale dlaczego? – spytałem.

– Może dla zemsty za udział księcia w mordzie króla? – Shuran wzruszył ramionami.

– Pięć lat później? – spytał Kest.

– A może za jakieś niedawne przewiny. Jeżeli byli kochankami, być może książe wreszcie się nią znużył. A może ona odkryła, że Isault nie zamierzał ci wydać dekretu popierającego Aline i zamiast tego zdecydował się wesprzeć Trin?

– A zamierzał?

– Nie wiem – odparł Shuran. – Kiedy ubiegłego wieczoru rozmawiałem z księciem, był dość pijany. Zmieniał zdanie co pięć minut, najpierw przysięgając, że poprze Aline, a potem przeklinając imię króla i deklarując wsparcie dla Trin. Kiedy usiłowałem wydobyć od niego ostateczną decyzję, po prostu mnie odesłał.

– A którą decyzję chciałeś od niego wydobyć?

Shuran uśmiechnął się, zmęczony.

– Poprosiłem go jedynie, żeby powiedział mi, co zdecydował, żebym mógł przygotować swoich ludzi na to, co miało nastąpić.

Chciał przez to powiedzieć tak naprawdę: Gdyby Isault

zdecydował się was zdradzić, musiałbym przygotować swoich ludzi, żeby was aresztowali lub zabili. Zastanawiałem się, czy gdyby się dowiedział, poszedłby za głosem obowiązku wobec księcia czy za głosem sumienia, wywiązując się ze swej obietnicy względem mnie. Czasami honor jest do dupy.

Staliśmy w milczeniu przez kilka chwil, usiłując zrozumieć, co naprawdę się stało.

– Jest cała pokiereszowana – powiedział wreszcie Brasti. Milczał przez cały ten czas i nagła smutna, miękka nuta w jego głosie zaskoczyła nas wszystkich.

– I co w związku z tym?

– Zobaczcie – wskazał na ranę na jej udzie. – Zauważcie, jak poszarpane są jej brzegi. Zupełnie jakby księżę pchnął ją trzy lub cztery razy w to samo miejsce.

– Księżę działał w szale – powiedział Kest.

– Oczywiście. Tylko dlaczego w takim razie rana na jej piersi jest taka czysta? Pojedyncze pchnięcie. Widzieliście kiedyś człowieka oszalałego z gniewu, który dźga kogoś raz po raz w udo, a następnie wyprowadza czysty cios w serce? Dlaczego jej nie zaszlachtował?

– Prawdopodobnie dlatego, że umierał – odparł Shuran. – Mocowali się przez chwilę, kobieta zadała mu śmiertelny cios, a on jeszcze, zanim wyzionął ducha, zdołał wbić sztylet w jej serce.

Brasti prychnął.

– Zupełnie jak w starych opowieściach.

– Jest w tym swego rodzaju ponura prawda.

– Z takim wyjątkiem, że człowiek z ostrzem tkwiącym w sercu zwykle nie ma siły, aby zrobić to, co sugerujesz, że zrobił Isault.

Falcio, ktoś inny zabił Winnow.

Spojrzałem na Kesta.

– O dziwo, Brasti ma rację – odparł. – Prawdopodobieństwo, że wszystko to było sprawką jednej kobiety, nawet jeśli byłaby nią Winnow, jest niemal zerowe. A do tego jeszcze miałyby zostać na koniec zabita przez tłustego, pijanego i oszalałego mężczyznę? Nawet poważnie ranna, Winnow bardzo szybko by sobie z nim poradziła.

– Zgadza się. Musi być inny zabójca – powiedziałem. – Cokolwiek jeszcze się tu wydarzyło, nie była to walka między Winnow i księciem Isaultem. Shuranie, musisz nam pozwolić odnaleźć tego człowieka. Kest, Brasti i ja mamy doświadczenie w takich sprawach. Nieraz już tropiliśmy morderców.

– Nie mogę tego zrobić, Falcio. Wiesz, że nie mogę. Wypuszczenie was byłoby oznaką mojej słabości dla arystokratów i kapłanów, którzy będą rywalizować ze sobą o przejęcie władzy.

– Kto zasiądzie na tronie? – spytałem.

– Nikt. Dawno nie było takiego przypadku, żeby cała książęca rodzina została zamordowana... nie, w zasadzie to nigdy nie było takiego przypadku. Muszę wraz z moimi rycerzami przejąć kontrolę nad gwardzistami, dopóki nie zostanie zwołana Rada Książąt.

– Czyli chcesz powiedzieć, że osiem osób zdecyduje o tym, kto przejmie władzę, ale ty do nich nie należysz?

Skinął głową.

– A tymczasem? Kto na tym zyskuje?

Shuran milczał przez chwilę.

– Przypuszczam, że ja, przez jakiś czas. Ale nie sądzę, żeby inni

książęta chcieli tak wysoko awansować rycerza.

– A co z wrogami Isaulta?

– Książę Roset może próbować wykorzystać tę sytuację do rozszerzenia kontroli nad pograniczem Aramoru i Luth. Wyobrażam sobie, że Carefal i sąsiednie wioski znajdują się ostatecznie pod panowaniem Roseta.

– A co z Trin? – spytał Brasti. – Bez Isaulta, który miał poprzeć Aline, czy nie ułatwi jej to sprawy?

– Niekoniecznie – powiedział Shuran. – Jeżeli padnie na nią podejrzenie, wtedy niemal na pewno książęta Pertynii, Luth, Baernu, a nawet Rijou sprzymierzą się. Zabójstwo księcia nie jest uznawane za odpowiednie zachowanie przyszłego monarchy.

– W takim razie doskonale – odparł Brasti. – Musimy tylko znaleźć dowody na to, że Trin jest odpowiedzialna za całą sytuację i będziemy mogli zakończyć tę koszmarną sprawę.

Shuran zrobił krok naprzód i oparł dłoń na głowicy miecza.

– Powiedziałem już, że nie mogę pozwolić wam stąd wyjechać. Wiem, że nie ponosicie winy za te wszystkie zabójstwa, ale będę miał wystarczająco dużo kłopotów z utrzymaniem ładu, aby mieć jeszcze na głowie oskarżenie, że pozwoliłem, aby morderstwo uszło Wielkim Płaszczom na sucho.

Kest stanął naprzeciwko niego. Nie fatygował się z wyciąganiem broni, podobnie jak Shuran.

– Raz już walczyliśmy, sir Shuranie. Nawet w najlepszej kondycji, czy sądzisz, że byś ze mną wygrał?

Shuran uśmiechnął się krzywo.

– Nie wiem – puścił miecz, który gładko wsunął się do pochwy. – Z pewnością to nie jest mój najlepszy dzień – spojrzał na mnie. –

Chcesz, bym próbował przejąć kontrolę nad Aramorem z reputacją człowieka pozwalającego uciec Wielkim Płaszczom?

– Albo to, albo staniesz się kimś, kto pozwolił mordercy uciec przed sprawiedliwością. Wątpię, żeby cokolwiek ucieszyło tego człowieka bardziej niż twoja decyzja o zatrzymaniu nas tutaj. Musisz zdecydować, jak najlepiej służyć księciu Isaultowi.

Shuran spojrział na nas, jakby miał nadzieję dostrzec w naszych twarzach znak, że może nam zaufać – a może cień winy? Szukał czegoś, co ułatwiłoby mu decyzję. Przysunąłem dłoń bliżej rapiera. Nie sądziłem, aby pozwolił nam odejść.

Shuran przyklęknął przy księciu.

– Isault był wobec mnie życzliwy. Myślę, iż podobał się mu fakt, że byłem cudzoziemcem, że byłem niezwykajny. Zwykł naśmiewać się z moich blizn. Wszyscy inni udają, że ich nie widzą, ale księżę... on zawsze mówił prawdę, tak jak ją widział – rosły rycerz wstał. – Jedźcie – powiedział, nadal patrząc na ciało. – Jeżeli był tu inny asasyn, musiał wykorzystać przejście za drzwiami w pobliżu tronu. Korytarz prowadzi poza pałac. Jeżeli mówicie prawdę, jesteście moją jedyną nadzieją na odnalezienie tej osoby. Jeżeli kłamiecie, to mam nadzieję, zdajecie sobie sprawę, że ja również potrafię odszukać ludzi, jeśli muszę.

Tajny tunel, który zaczynał się za tronem Isaulta, wił się poprzez wewnętrzne mury pałacu. Przypominał mi ślad pozostawiony przez węża, który przebijał się przez kamień, pożerając go po drodze. Prowadził tuż przy zewnętrznych murach, a potem zagłębiał się w samo serce pałacu.

– Święci – powiedział wreszcie Brasti. – Co za pijany architekt zaprojektował to wariactwo?

– Widzę w tym pewien wzór – Kest wskazał na jedne z wąskich drzwi, jakie od czasu do czasu mijaliśmy. – Główny korytarz obiega cały pałac, podczas gdy te odnogi pozwalają księciu dotrzeć do niemal każdego pokoju w budowlu.

– Żeby mógł szpiegować swoich ludzi?

– Pewnie lepiej tak niż odwrotnie – odparł Kest.

Znów dostrzegłem smugę krwi na ścianie.

– Zabójca poszedł w tę stronę – wskazałem w kierunku odległego końca tunelu. – Dlaczego ci cholerni gwardziści nie poszli za jego tropem?

– Może byli zbyt zajęci myśleniem, że to my zabiliśmy księcia? – zasugerował Kest.

– Nie – Brasti przyklęknął i przyjrzał się śladom pozostawionym na zakurzonej podłodze. Jego dawne życie, łowcy i kłusownika, obdarzyło go wzrokiem, dzięki któremu mógł podążać wszelkimi tropami, niewidocznymi dla mnie i Kesta. – Zobaczcie, tutaj widać, przechodzili tędy jacyś gwardziści.

– Istnieje szansa, że złapali asasyna? – spytałem.

– Nie. Widzicie to, tutaj? Trop wygląda, jakby prowadził do wewnętrznego tunelu, ale tylko dlatego, że morderca chciał, byśmy tak myśleli. Usiłował zatrzeć swoje ślady w kurzu, ale stąpa mocniej lewą nogą. Tak naprawdę poszedł prosto do wyjścia, żeby opuścić pałac.

– Skąd wiesz?

Brasti ostrożnie odgarnął kurz. Najpierw nie dostrzegłem niczego specjalnego, ale po bliższym przyjrzeniu się zobaczyłem

ledwie widoczne kropelki krwi na ziemi.

– Maskował krople krwi, zacierając je kurzem, a potem zostawiając ślady na ścianach, żeby pościg poszedł w przeciwnym kierunku. Tymczasem cofał się do zewnętrznego przejścia. Zobacz, jak mocno stawiał jedną nogę.

– Winnow zawsze lubiła zadać pierwszy cios w nogę – powiedział Kest.

Była to niezła taktyka, która zresztą służyła jej nader dobrze w przeszłości. Kiedy jest skuteczna, wytrąca przeciwnika z równowagi i spowalnia go, dając czas fehmistrzowi do skoncentrowania się na decydującym pchnięciu.

– Szkoda, że ktoś przechytrzył ją w jej własnej grze – odparłem. – Chodźmy.

Ruszyliśmy korytarzem, jednocześnie bacząc na nadgorliwych gwardzistów, którzy mogli chcieć prowadzić dalsze śledztwo samodzielnie. Tunel wił się wokół pałacu, czasem wspinając się w górę pod nedorzecznie ostrym kątem, by innym znów razem opadać w dół niebezpiecznie stromymi schodami. Wreszcie, pomimo starań, zgubiliśmy trop.

– Jak dawno zdołał nas zwieść? – spytałem Brastiego.

– Myślę, że dość dawno – odparł naburmuszony. – A niech to! Powinienem to zauważyć. Jeżeli teraz zawrócimy...

– ...najpewniej natkniemy się na strażników.

Cholera. Ktokolwiek zabił księcia i jego rodzinę, był znacznie lepszy w przekradaniu się niż my w tropieniu.

– I co teraz? – spytał Kest.

– Tu jest wyjście – Brasti wskazał na krąg białego światła po naszej prawej.

W miarę jak zbliżaliśmy się do wyjścia, dno tunelu stawało się coraz bardziej nierówne. Na zewnątrz trafiliśmy na urwisty klif, opuszczający się sto stóp do skalistego łożyska rzeki. Po bliższym przyjrzeniu się dostrzeżliśmy jednak niewyraźny trop, oddalając się od pałacu.

– To niezła droga ucieczki, zwłaszcza jeśli idzie się nią w nocy – powiedział Brasti. – Wątpię, żeby Isault skorzystał z niej bez problemu, gdyby kiedykolwiek jej potrzebował.

– Asasynowi się udało – powiedziałem. – Jestem tego pewny. Prowadził nas labiryntem tuneli pod całym przeklętym pałacem, ale założę się, że sam uciekł tędy już wiele godzin temu.

– W takim razie jak znalazły się tutaj te ślady? – spytał Kest.

– Pewnie umieścił je wczoraj w nocy – odparł Brasti. – Morderca wiedział, że to jego najlepsza droga ucieczki. Musiał więc zostawić fałszywy ślad na długo, zanim popełnił zbrodnię.

Kest nie wyglądał na przekonanego.

– To byłoby dość duże ryzyko jak na człowieka, którego życie zależy od tego, czy pozostanie niezauważonym.

– Niekoniecznie – odparłem. – Założę się, że Isault nie pozwalał zbyt wielu osobom korzystać z tych tuneli. Jaki byłby użytek z systemu szpiegowania, gdyby wszyscy o nim wiedzieli? Jeżeli morderca wiedział, jak się tu dostać, prawdopodobnie był w tunelach sam.

– To ma sens – powiedział Kest. – Ale ciągle coś mnie niepokoi.

– Coś poza oczywistym faktem, że mamy przesrane? – spytał Brasti.

– Tak. Chodzi o czas popełnienia morderstw. Dlaczego zabił najpierw rodzinę księcia?

– Dlatego że ksiązę był lepiej strzeżony? – zasugerował Brasti.

– Problem w tym, że nie był. Dwóch gwardzistów? Dużo więcej ludzi znajdowało się w skrzydle domowym, strzegąc jego żony i dzieci.

– Prawdopodobnie chciał, aby jego znajomość z Winnow, jakakolwiek była, pozostała tajemnicą – powiedziałem.

– No dobrze – rzekł Brasti. – Załóżmy, że pieprzył Winnow, co notabene kompletnie mi nie gra. Ta kobieta nigdy nie śmiała się z moich żartów. Ale pomijając to, logiczniej byłoby najpierw zabić Isaulta. Jeżeli ktoś zobaczyłby mordercę wchodzącego, a potem wychodzącego z pokojów dziennych, na pewno wszcząłby alarm i zabójca nigdy nie dotarłby do księcia. Nie, musiało ich być przynajmniej dwóch: jeden zabił Isaulta, a drugi jego rodzinę.

– Nie zmienia to faktu, że Winnow mogła być jednym z asasynów i zabić księcia, podczas gdy jej wspólnik zamordował resztę – powiedział Kest.

– Niemożliwe – w głosie Brastiego słychać było absolutną pewność.

– Zatem zgadzasz się z Falcem? – Kest wydawał się zaskoczony.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Falcio to idealistyczny idiota, jeśli chodzi o Winnow i pozostałych Wielkich Płaszcy, podobnie jak o króla. Zapomniał, że Winnow jest pieprzoną wariatką.

– W takim razie...

– W tym rzecz. Jeżeli chciała zamordować Isaulta, nie czekałaby z tym pięć lat. A poza tym nie zabiłaby go jakimś poetyckim pchnięciem w serce. Pamiętasz, jak walczyła? Do diabła, jeśli Winnow postanowiłaby zabić Isaulta, zdekapitowałaby jego

i wszystkich strażników, a potem kolejną godzinę spędziła, rozstawiając po całej sali piki z głowami zatkniętymi na ich grotach. A przed samym wyjściem wypiłaby jeszcze całe pozostawione wino. Nie ma mowy, żeby Winnow była morderczynią i zrobiła to dla jakiejś osobistej zemsty.

– Istnieje jeszcze jedna możliwość – Kest spojrzał na mnie. – Ale tobie się ona nie spodoba, Falcio.

– Co mianowicie?

– Może powinniśmy stąd najpierw wyjść. Czeka nas długi spacer tą rynną, a potem będziemy musieli dotrzeć do jakiejś wioski, żeby kupić nowe konie i ekwipunek.

– Powiedz mi.

Kest zamilkł na chwilę.

– Przez cały czas mówiłeś, że król musiał mieć jakiś plan. Nie pozostawiłby wszystkiego zwykłemu przypadkowi. Co, jeżeli to właśnie był jego plan? Co, jeśli...

– Nie – przerwałem. – Nie wierzę, żeby król usankcjonował morderstwo. Nawet jeżeli...

– Wysłuchaj mnie. Prawo dziedziczenia Aline dopiero co zostało ujawnione. Po kraju rozchodzą się wieści, że będzie próbowała zasiąść na tronie. Isault mógł planować zdradzenie nas, i co? Nagle zginął?

– To nie...

– Kest ma rację – powiedział Brasti. – Posłuchaj, Falcio. Wiem, jak bardzo kochałeś króla. Większość z nas go kochała, ale tu chodzi o wojnę i politykę, a nie o popijanie wina w bibliotece zamku Aramor i przeglądanie starych ksiąg o filozofii stoickiej. Tu chodzi o Aline, rodzoną córkę króla. Gdybyś ty miał dziecko i gdybyś

wiedział, co się z nim stanie po twojej śmierci, czy nie zrobiłbyś wszystkiego, żeby je ochronić? A jeżeli zdawałbyś sobie sprawę, że nie będzie cię na świecie wystarczająco długo, aby samemu tego dopilnować, to czy coś takiego nie miałoby dla ciebie sensu? Wysłać Wielkie Płaszczce, gotowe zabić księżąt, kiedy nadejdzie czas. Uderzyć, zanim oni zaatakują?

– W twojej teorii jest błąd – powiedziałem.

– Tak, wiem, że ci się nie podoba.

Kest wyglądał, jakby ciągle zastanawiał się nad ową teorią.

– Jaki błąd? – spytał wreszcie.

– Nasza trójka nadawałaby się najlepiej do tego rodzaju misji – powiedziałem. – Jednak król niczego takiego nam nie rozkazał, prawda?

Obaj spojrzeli na mnie z niedowierzaniem. Przyszło mi do głowy, bodaj po raz pierwszy, że żaden z nich nigdy nie zwierzył mi się z rozkazów, jakie wydał im król przed śmiercią.

– Wszyscy święci, Falcio – powiedział Brasti. – Naprawdę tego nie widzisz, co?

– Czego?

To Kest udzielił mi odpowiedzi, cichszym i łagodniejszym głosem niż zazwyczaj.

– Król za bardzo cię kochał, aby rozkazać ci popełnienie morderstwa. Wiedział, że coś takiego by cię zabiło, Falcio.

Oparłem dłoń o skałę klifu. Piers ścisnęło mi boleśnie i z trudem oddychałem. W głębi duszy czułem, że Brasti i Kest mają rację. Król i ja zawsze byliśmy sobie bliscy i wierzyłem, że dzieliliśmy te same ideały. Jednak w jego najczarniejszej godzinie, gdy księżęta maszerowali na czele armii w stronę zamku, pragnąc pozabawić

króla głowy... czy Paelis mógł odstąpić od swoich ideałów? Czy dla dobra własnej córki naprawdę poleciłby moim braciom, Wielkim Płaszczom, popełnienie morderstwa? Poczulem, jak moje nogi robią się miękkie, zupełnie jakby znów złapał mnie paraliż od neathy. W myślach król Paelis powtarzał w kółko: „Zdradzisz ją”.

KRAWCOWA

Zanim zdążyliśmy opuścić pałac, chaos zaczął obejmować całe księstwo Isaulta. Konstable krążyli po ulicach miast z obnażoną bronią, chociaż nie mieli zielonego pojęcia, kogo i czego szukają. Niewielkie oddziały rycerzy Shurana patrolowały rozstaje dróg w znacznie bardziej zdyscyplinowany sposób, choć i to wyglądało bardziej jak pokaz siły niż działanie w określonym celu. Unikaliśmy jednych i drugich. Nasza przeprawa byłaby łatwiejsza, gdyby Shuran dał nam dokumenty podrózne, ale rozumiałem, dlaczego wolał pozostawić na później decyzję o tym, czy puścić nas wolno, czy mu uciekliśmy.

Przemykaliśmy więc bocznymi drogami Aramoru, zamieniając szerokie, uczęszczane trakty na błotniste ścieżki i zarośnięte leśne dróżki. Wieści o zamordowaniu księcia rozchodziły się bardzo powoli poza stolicę i większość spotykanych ludzi najczęściej po prostu nas ignorowała i zajmowała się własnymi sprawami.

Pomimo zapewnień Shurana chciałem sam się upewnić, że Valianie i Darri nie stała się żadna krzywda, jednak kiedy pod koniec drugiego dnia wreszcie dotarliśmy do gospody Pod

Czerwonym Młotem, one zdążyły już odjechać.

Właściciel gospody, młody człowiek o rudawozłotych włosach, nazywany Tyne, był bardzo zajęty uzupełnianiem księgi gości i podejrzewałem, że sprawuje swoją funkcję od niedawna. Po wielokrotnym przeczuciu jej kart, która to czynność opatrzona była niezrozumiałym mamrotaniem, powiedział wreszcie:

– Wyjechały dwa dni temu.

– Dwa dni? – spytałem. – To zaledwie dzień po przyjeździe.

Sprawdź jeszcze raz swoje zapisy.

Zrobił to, autentycznie przestraszony, że popełnił jakiś błąd.

– Dwa dni – powiedział wreszcie.

– Jesteś pewny, że nie pomyliłeś „wyjazdu” z „przyjazdem”?

Tyne zachichotał nerwowo.

– Nie, proszę bardzo, tutaj jest zapisana data, w kolumnie przyjazdów. „Dwie piękne kobiety” i dzień przybycia. A tutaj – przeczucił kartkę i dziabnął w nią palcem. – O tutaj, pod „wyjazdami”, znów stoi: „Dwie piękne kobiety” i data. Proste, prawda?

– Dlaczego „dwie piękne kobiety”? – spytał Kest. – Czemu nie zapisałeś ich imion?

Właściciel gospody wzruszył ramionami.

– Nie jestem dobry w imionach. Poza tym nikt nie zostaje tu na dłużej. Prościej jest napisać „trzech krzepkich żołnierzy” albo „głupi staruch”.

– Zdajesz sobie sprawę, że wedle książęcego prawa Aramoru jesteś zobowiązany do prowadzenia rejestru imion gości, prawda?

Tyne wyglądał, jakby połknął coś zbyt dużego jak na jego gardło.

– Proszę, panowie... nie wiedziałem! Ja nie... to znaczy, nadal jestem nowy w tej robocie. Mój wuj kupił to miejsce ledwie miesiąc temu. Powiedział mi, że mam je prowadzić, a potem wyniósł się z powrotem do Pertynii.

– Twój wuj jest właścicielem wielu gospód, co? – spytałem.

– Nie. Jest rycerzem. Zajmuje się głównie naparzaniem z innymi rycerzami w wojnach o granice. Głupi zawód, naprawdę.

– A jednak zarabia tyle, że stać go na zakup gospody? – spytał Kest.

Tyne wzruszył ponownie ramionami.

– Przypuszczam, że jego dowódca nagroził go za służbę. Nie to, że wujaszek Eduarte był kiedykolwiek wiarygodny, jak mawia moja mama... Powiedzcie, nie ukarżecie mnie chyba, co? Bo wiecie, ja tu tylko pracuję i nie...

Wykorzystałem jego panikę i odebrałem mu księgę. Rzeczywiście, przyjazd i wyjazd dziewcząt dzielił zaledwie jeden dzień.

– Dlaczego przyjechały jednego dnia, a wyjechały następnego, nie czekając na nas? – wręczyłem rejestr z powrotem gospodarzowi. – Czy zostawiły jakąś wiadomość?

– A kim wy jesteście?

– Falcio – odparłem. – Falcio val Mond.

Właściciel gospody uśmiechnął się promiennie.

– A to zabawne. Czy ktoś ci kiedyś mówił, że twoje imię brzmi zupełnie jak Fal...

– Sprawdź, czy nie ma wiadomości, dobrze?!

– Nie muszę – wskazał na drewniane pudełko stojące na ladzie za jego plecami. – Niczego nie ma w skrzynce.

– W takim razie dlaczego spytałeś, jak się nazywam?

Gospodarz zmarszczył brwi.

– Czy nie powiedziałeś przed chwilą, że powinienem prowadzić rejestr imion?

Kest wskazał palcem na najnowszy wpis do rejestru.

– Falcio, spójrz tylko. Podejrzewam, że to tłumaczy, dlaczego ich tu nie ma.

Zerknąłem na kartkę. Cena, jaką zapłaciła nowo przybyła osoba, była o połowę niższa niż ta, którą podał nam gospodarz, ale kiedy przeczytałem opis, wybaczyłem mu.

– Cholera – zaklął Brasti, czytając mi przez ramię.

– Czy wiesz, gdzie teraz jest ta „gniewna stara kobieta”? – spytałem młodzieńca.

– W swoich pokojach. Nie wyszła z nich od przyjazdu, o ile mi wiadomo. Są na górze, ostatnie drzwi po prawej. Zazwyczaj rezerwujemy ten pokój dla wysoko urodzonych, ale... cóż... ona jakby... a ja nie chciałem...

– Rozumiem – uśmiechnąłem się do niego ze współczuciem.

Wszyscy trzej wyprostowaliśmy się i otrzepaliśmy płaszcze z kurzu, a potem weszliśmy na górę i ruszyliśmy korytarzem do końca. Ostatnie drzwi po prawej wykonane były z grubych dębowych klepek, dobrze spasowanych, i udekorowane okuciami z brązu. Miały także kołatkę. Zamierzałem właśnie jej użyć, kiedy dobiegło nas z wewnątrz ponure warknięcie.

– Wchodźcie, głupcy!

Otworzyłem drzwi i weszliśmy do najbardziej okazałych komnat w gospodzie. Oznaczało to, że przedpokój był nieco większy, a w głębi znajdowała się osobna sypialnia za zamkniętymi

drzwiami. Krawcowa siedziała na krześle przy oknie, z igłą i nitką, szyjąc coś, co wyglądało jak duża chusteczka.

– Skąd wiedziałaś, że to my? – spytał Brasti.

– Wiem, gdzie jest każda nić i dokąd zmierza – odparła Krawcowa, nie podnosząc wzroku znad materiału. – Poza tym słyszałam wasze tupanie w korytarzu. Wszyscy chodzą niczym skrzyżowanie pijanego trzynogiego konia ze stadem kaczek.

Usiadłem na końcu szerokiej ławy niedaleko niej. Szybkie uniesienie brwi powiedziało mi, że to ją zirytowało, ale uznałem to za małą zaliczkę za wszystkie problemy, jakich prawdopodobnie planowała mi przysporzyć.

– Dlaczego odesłałaś Valianę i Darri? – spytałem.

– Musiały coś dla mnie zrobić.

– Czy usłyszę jakieś szczegóły?

– Jeśli chcesz. Musiały dla mnie zrobić coś ważnego.

Siedziałem w milczeniu przez moment, nie dając się wciągnąć w jej gierkę. Zawsze lubiła zaczynać każdą rozmowę, zaznaczając, że wie znacznie więcej niż ja, ma ode mnie więcej władzy i że ona zdecyduje, o czym będziemy, a o czym nie będziemy rozmawiać.

– Co ty robisz? – spytała.

Myślałem, że mówi do mnie, ale jej wzrok koncentrował się na czymś ponad moim ramieniem. Odwróciłem się i zobaczyłem Brastiego, w połowie drogi do wyjścia.

– Idę poszukać czegoś do jedzenia – odparł. – Wrócę za godzinę, dwie. Może wtedy Falcio skończy z tym pozwalaniem ci na robienie z siebie rogacza.

– Nie sędzę, żeby „rogacz” było właściwym słowem – zauważył Kest.

Krawcowa zachichotała.

– Chociaż Brasti zasadniczo ma rację – ciągnął Kest. – Księżę Isault nie żyje, a Wielkie Płaszczce zostały oskarżone o udział w morderstwie. Prawdziwy asasyn, albo przynajmniej jeden z nich, jest na wolności, a my nie mamy pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. To nie czas na gierki.

– Cóż, w takim razie, skoro nic nie wiecie, może powinniście się zamknąć i posłuchać, podczas gdy ja powiem wam to, co musicie wiedzieć.

– Podczas gdy ty powiesz nam to, co twoim zdaniem musimy wiedzieć – poprawiłem ją, mruczając pod nosem.

– A co to za różnica?

Brasti oparł się o framugę drzwi i założył ręce na piersi.

– Wiesz, co sobie ostatnio myślałem, starucho? Myślałem, że może nadal nie przebolełaś tego, że kiedyś byłaś żoną króla, miałaś sługi, pieniądze, tytuły, ukłony i takie tam. Myślę, że za tym tęsknisz. Myślę, że w tej chwili możesz się zbliżyć do odczuć z tamtego czasu tylko wtedy, gdy traktujesz nas jak lokajów. A Falcio ci na to pozwala – ton Brastiego był swobodny, lekki, niemal niefrasobliwy, ale w jego spojrzeniu dostrzegłem większą wzgardę i niechęć niż kiedykolwiek.

– Daj spokój – powiedziałem. – Wszyscy jesteśmy sprzymierzeńcami i...

– To właśnie sobie „myślisz”, tak? – spytała Krawcowa, nie podnosząc wzroku znad robótki. – Idea, że były kłusownik o mózgu nie większym od ziarna grochu uważa, jakoby to, co myśli, miało jakiegokolwiek znaczenie dla tego świata, jest niezmiernie interesująca. Jesteś zaś tylko krnąbrnym łajdakiem, Brasti

Goodbowie. Podczepiasz się pod towarzystwo lepszych od siebie z nadzieją, że staniesz się trochę ważniejszy przy tych dwóch głupcach.

– Dość! – krzyknąłem. – Brasti jest Wielkim Płaszczem. Jest jednym z nas i będziesz się do niego zwracała z należnym szacunkiem.

Krawcowa przerwała szycie i spojrzała na mnie, jakbym był niegrzecznym szczeniakiem, który zaczął na nią ujadać.

– Myślałam, że ludzie, którzy tak wiele razy otarli się o śmierć, będą unikali podobnych sytuacji.

– Myliłaś się – odparł Kest.

Przerwało nam skrzypnięcie drzwi i głośny szept dochodzący z sypialni.

– Co się dzieje? – w szczelinie między drzwiami i framugą pojawiła się twarz Aline.

– Falcio – słyszałem w jej stłumionym głosie podniecenie. Otworzyła drzwi na oścież i podbiegła do mnie niezgrabnie. – Spałam – powiedziała, obejmując mnie.

– Bardzo mi przykro, że cię obudziłem. – Przyklęknąłem, aby mocno ją przytulić. – Bawiliśmy się w pewną grę.

Aline odsunęła się ode mnie na pół kroku.

– Nie macie nic ważniejszego na głowie, jak tylko się zabawiać? Spojrzałem w oczy Krawcowej.

– Wiesz co? Masz absolutną rację. Nie mamy czasu na głupie gry.

Starucha zachichotała cicho.

Spojrzałem na Aline, starając się nie okazać rosnącego na jej widok przerażenia.

Była blada, niemal poszarzała i nie wyglądała, jakby właśnie się obudziła – raczej jakby od tygodni nie spała. Była jeszcze chudsza, niż ją zapamiętałem, miała zapadnięte, podkrążone oczy. Nie tak powinna wyglądać trzynastoletnia dziewczynka. Bawiła się włosami, które wyglądały na cienkie i kruche. Widziałem też, że miała obgryzione paznokcie.

– Na co tak patrzysz? – spytała z lekkim oburzeniem.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Na bardzo zaniedbaną młodą kobietę, która odziedziczyła po ojcu patykowate kończyny i której nos jest bardziej wąski i kościsty, niż przystoi królowej.

– Cóż, ty też nie wyglądasz jak przyzwoity Wielki Płaszcz – odparła, sięgając zawstydzona do nosa.

– To prawda – przytuliłem ją jeszcze raz. – Ale tak się składa, że świat ma tylko nas, więc przypuszczam, że musimy po prostu jak najlepiej się starać, prawda?

Uścisnęła mnie mocno przez chwilę, a potem znów się odsunęła.

– Cieszę się, że cię widzę, Falcio, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę się położyć jeszcze na trochę. Jestem dzisiaj bardzo zmęczona.

– Oczywiście, słońce.

– Obudzisz mnie, zanim wyjdiesz, prawda?

Znów nieświadomie szarpała za kosmyki włosów. Chwyciłem Aline za rękę, odsuwając ją od jej fryzury.

– Zobaczymy się przed moim odejściem, a teraz idź odpocząć.

Jej uśmiech wyglądał, jakby odpłynęła z niej cała energia. Odwróciła się i ruszyła zmęczonym krokiem do komnaty, zamykając za sobą dębowe drzwi.

Spojrzałem na pozostałych i miałem wrażenie, że wszyscy mamy podobne miny.

– Jest pod wpływem leków – powiedział Kest spokojnie, lecz nadal z cieniem oskarżenia w głosie.

– Tylko po to, żeby zasnęła – odparła Krawcowa. – A przynajmniej, żeby spróbowała zasnąć.

Brasti wyglądał na bliskiego wybuchu.

– Co do jasnej cholery się tu...

– Ciszej – przerwała mu Krawcowa. – Nie pogarszaj sprawy.

Brasti zacisnął dłonie w pięści i w jakiś sposób pozwoliło mu to się opanować. Jego głos zmienił się w szept, cichszy, choć nie mniej ognisty.

– Na Świętego Zagheva Co Śpiewa o Łzy, co się stało z Aline?!

Podzielałem jego strach i frustrację, ale znałem odpowiedź na to pytanie.

– Wojna – spojrzałem na Krawcową. – Batalia w Domaris nie idzie najlepiej, prawda? Dlatego tu jesteś?

Krawcowa skinęła głową.

– Jak długo? – spytał Kest.

– Księżę Hadiermo ze swoimi siłami jest już w drodze. Moje Wielkie Płaszczce atakują żołnierzy Trin, kiedy tylko nadarzy się okazja, ale teraz możemy ich już tylko spowolnić, a nie pokonać. Domaris wytrzyma jeszcze przez tydzień, najwyżej dwa. Potem Trin przesunie swoje armie na południe, pod granicę Rijou.

– Co to wszystko ma wspólnego z Aline? Czy została ranna? – spytał Brasti.

– Nie za sprawą ostrza.

– W takim razie co się z nią dzieje? Mówi jak siedmioletnie

dziecko, a nie przysłała królowa, która wkracza w wiek kobiecy.

– To wyczerpanie, ty głupcze! – odparła Krawcowa. Jej głos był tak gniewny i łamiący się, że nagle zdałem sobie sprawę z ciężaru poczucia winy, jaki dźwigała, sądząc, że zawiodła Aline. – To tylko trzynastoletnia dziewczynka.

– Ale przecież minęło ledwie kilka tygodni! – powiedział Brasti niemal błagalnie, jakby chciał wyprosić lepszą odpowiedź.

– Nie – odparłem cicho. – Dla niej to jakby minęły całe miesiące. Wszystko zaczęło się w Rijou, gdzie niemal spłonęła żywcem wraz z rodziną Tiarenów, którą uważała za swoją własną. Potem odnaleźliśmy ją i natychmiast staliśmy się uciekinierami. Polował na nas każdy zabójca w mieście, dopóki Tydzień Krwi nie dobiegł końca. A bądźmy szczerzy, w Rijou nigdy nie brakowało morderców, prawda?

– A na koniec musieliśmy uciekać przed rycerzami księcia Peraulta – dodał Kest, wpatrzony w przestrzeń. – Uciekać aż do Pulnamu.

Przypomniałem sobie moje jedyne spotkanie z Peraultem, księciem Orisonu, i jego ledwie skrywaną radość na myśl o wykorzystaniu Aline i Valiany do swoich własnych chorych celów.

Krawcowa zachichotała.

– Jeżeli masz się przez to poczuć lepiej, Falcio, to wiedz, że Perault okazał się niewystarczająco zabawny dla Trin. Kazała swojemu nowemu kochankowi zabić go podczas ostatniej „przejażdżki” z nią.

– To wcale nie pomaga Aline – powiedział Kest.

Krawcowa wróciła do szycia.

– I nic nie pomoże. To dobra dziewczyna, nasza Aline. Dzielna

dziewczyna. Ale ma tylko trzynaście lat i jej umysł może objąć jedynie część tego, co się dzieje, zanim...

Poczułem gulę w żołądku i gardle.

– Aline zaczyna tracić rozum z przerażenia.

Krawcowa nie podniosła wzroku znad robótki, ale ściągnęła na chwilę usta.

– Owszem, to w gruncie rzeczy prawda.

– Ale w takim razie co my zrobimy? – zapytał stanowczo Brasti. Palce jego prawej dłoni drgały, jakby chciał sięgnąć po strzałę. – Tracimy czas na tę całą wojnę i politykowanie, a dziewczyna, którą mieliśmy ocalić, powoli zmienia się w cień człowieka! Jak ma zasiąść na tronie w takim stanie?

Dłonie Krawcowej przewlekały igłę przez tkaninę tam i z powrotem. Milczała. Żadnych gniewnych ripost, żadnych zmyślnych przepychanek słownych, tylko rozpaczliwy bezruch pola bitwy po zakończonej walce.

– Krawcowo, więc mówisz, że już po wszystkim? – spytałem. Nie ma żadnej nadziei na osadzenie Aline na tronie?

Nikt nie odpowiedział. Kest rozejrzał się po pokoju, spoglądając na ściany, jakby usiłował odnaleźć odpowiedź w słojach drewna. Oczy Brastiego były pełne łez bezsilności i smutku. Podejrzewałem, że moje również.

– To już koniec – powiedziała wreszcie Krawcowa. Odłożyła robótkę na parapet i wstała z krzesła. – W odpowiedzi na twoje wcześniejsze pytanie, dziewczęta powinny wrócić dziś wieczór. Tuzin zbirów Trin wpadło na nasz trop w Domarisie i jechało za nami przez cały czas do granic Rijou. Darri i Valiana odciągają ich teraz od nas.

– Dlaczego nie posłała nikogo więcej? – spytał Kest. – Dlaczego nie setkę czy tysiąc żołnierzy, żeby dopaść cię raz na zawsze?

– Jillard wyraził się jasno, że nie pozwoli siłom Trin przejść przez swoje księstwo. Dlatego Trin może wysłać tylko niewielkie oddziały, żeby próbowały się przekraść przez granicę.

– Czyli on wywiązuje się ze swojej części umowy? – spytałem nieco zdumiony. – Książę Rijou honoruje umowę z Aline?

Krawcowa prychnęła.

– Powinieneś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że używanie słowa „honor” w tym samym zdaniu co „Rijou” jest niczym wręczenie wełny owcy i poproszenie jej, by zrobiła dla ciebie płaszcz na drutach. Książę robi to samo, co reszta z nich: wstrzymuje się do czasu, aż Trin nie zaoferuje mu ugody, z której będzie zadowolony.

– A kiedy to zrobi? – spytał Kest.

Mina Krawcowej nie zmieniła się, ale wszyscy widzieliśmy wściekłość i frustrację, które się w niej gotowały.

– Wtedy niech każdy książę Tristii znajdzie się w swoim własnym piekle – odparła. – To wszystko, o co w tej chwili proszę bogów.

– Mamy dekret – powiedział Brasti. – Czy nie możemy go wykorzystać do...

– Do czego? – spytałem. – Gdyby zginął wyłącznie Isault, jego najstarszy potomek objąłby tron i tym samym byłby zobowiązany do wypełnienia przyrzeczenia ojca, ale...

Krawcowa zmrużyła oczy.

– O czym wy mówicie? Ktoś zabił Isaulta i Lucana?

Nie mogłem się powstrzymać od poczucia lekkiego triumfu w związku z tym, że chociaż raz Krawcowa nie o wszystkim

wiedziała.

– Nie tylko Isaulta, ale całą jego rodzinę.

– Przeklęty kraj – Krawcowa spojrzała na każdego z nas po kolei, jakby chciała się przekonać, czy nie kłamiemy. – Jak to możliwe? Czy byli razem z księciem?

– Nie – odparł Kest. – Znajdowali się w swoich komnatach i tam dopadli ich mordercy.

– Święta Laino Co Dajesz Dupy Bogom, co za bałagan! – Krawcowa spojrzała na mnie. – Słyszałam jakieś bzdurne opowieści o tym, że Wielki Płaszcz został znaleziony w sali tronowej Isaulta, gdzie ten jakoby został zabity. Więc to jednak prawda?

Skinąłem głową.

– Winnow.

Krawcowa zamyśliła się.

– Dlaczego, do licha, Winnow była w pałacu?

Było to pytanie, które dręczyło mnie od chwili naszego przyjazdu, ale nie byłem pewien, czy jestem gotowy na odpowiedź.

„Cholera jasna”, pomyślałem, „czy pewność naprawdę pogorszy sprawę?”

– Czy rozmawiałaś kiedykolwiek z królem o planach, by Wielkie Płaszcze zabiły książąt?

– Paelis nigdy by do czegoś takiego nie dopuścił. Wiesz o tym.

– I co teraz? – spytał Kest. – Jeżeli nie możemy wygrać wojny z Trin, jaki będzie nasz następny ruch?

Krawcowa otworzyła torbę, która leżała na parapecie obok jej robótki, i wyciągnęła z niej trzy mieszki. Wręczyła je każdemu z nas.

Otworzyłem swój i ujrzałem drobne złote monety – więcej niż

trzydzieści, jak oceniłem na pierwszy rzut oka.

– Co niby mamy z tym zrobić?

– Przejść na emeryturę – odparła.

– Nie rozumiem.

– Jedź do Merisaw. To pod stolicą Rijou.

– Wiem, gdzie jest Merisaw, ale... dlaczego miałbym tam jechać?

– Ponieważ ona tam jest – głos Krawcowej złagodniał. – Czeka na ciebie.

Brasti uniósł ręce w górę, niemal upuszczając swój miecz.

– Czy któreś z was powie mi, o czym mowa? Proszę?

Przed oczami pojawiła mi się twarz kobiety: blada cera w oprawie ciemnych włosów, niebieskie oczy z drobnymi zmarszczkami po obu stronach, widocznymi tylko wtedy, gdy znajdowałeś się na tyle blisko, aby ją pocałować. Uśmiech, który obiecywał gwiazdy.

– Ethalia – odpowiedziałem. – Ethalia tam jest.

Krawcowa uśmiechnęła się.

– Spójrzcie tylko na tę idiotyczną minę. Falcio, daję słowo, że w lepszym świecie uznałabym to za wzruszające. Jedź bocznymi drogami. W Merisaw możesz przyłączyć się do jednej z karawan zmierzających na południe. Kiedy dotrzesz do Baernu, znajdź sobie łódź. Spędź resztę swoich dni na Wyspach Południowych. Trin nie jest nimi zainteresowana.

– A co z nami? – spytał Brasti.

– Ty? Weź swoją zapłatę i zacznij żyć. Wystarczy jej, by nurzać się w rozpuście i opilstwie, dopóki nie upijesz się tak, że postrzelisz się z własnego łuku.

– Ja nie lubię ani dziwek, ani piwa – powiedział Kest.

Krawcowa podeszła do niego i dotknęła jego policzka.

– Ach, Keście. Twoja miłość jest bodaj najszlachetniejszą rzeczą, jakiej doświadczyłam w tym życiu, i z pewnością najbardziej żalną.

Zanim spytałem, o czym mówi, przyszło mi do głowy znacznie ważniejsze pytanie:

– A co z Aline? Co się z nią stanie?

– Aline zostanie ze mną – odparła. – Ukryję ją. Trin zajmie cały kraj i doprowadzi do chaosu i wojny domowej. Tak chyba zresztą będzie najlepiej.

Zacząłem protestować, ale starucha uniosła dłoń.

– Tristii nie da się uratować. Nie w obecnym stanie i nie teraz, kiedy Aline jest wciąż zbyt młoda, aby utrzymać się na tronie. Nie. Trin obejmie władzę i zniszczy wszystko do końca. Wkrótce jej głowa też skończy zatknięta na włócznie. Księżęta najprawdopodobniej upadną wraz z nią i kraj będzie gotowy na zdrowego na umyśle monarchę. Do tego czasu Aline musi być chroniona.

Wróciłem myślą do naszej rozmowy z Aline, na szczycie małego wzgórza, tuż za wioską Phan.

– Aline pojedzie ze mną – powiedziałem.

Oczy Krawcowej wyglądały jak dwa obojętne, twarde kawałki czarnej skały.

– Nie. Nie pojedzie z tobą.

– Ochroniłem ją wtedy w Rijou. Tak jest łatwiej. Mogę...

– Wtedy w Rijou jeszcze nie umierałeś – powiedziała cicho.

– O czym ty mówisz? – spytał Brasti.

– Nie powiedziałaś im?

Kest i Brasti spojrzeli na mnie. Może podejrzewali, ale nadal nie mieli pewności. Wiedzieli, że cierpię z powodu zatrucia neathą, ale to, do czego prowadził paraliż, zatrzymałem dla siebie. Nadal miałem głupią nadzieję, że istnieje jakieś lekarstwo. W tej chwili jednak myślałem tylko o liczbie dni, jaką zajmie mi podróż z Pertynii do Merisaw, a stamtąd na Wyspy Południowe.

– Ile mam jeszcze czasu? – spytałem.

Mina Krawcowej wyrażała smutek i współczucie, ale jej wzrok był jak zwykle twardy.

– Jeżeli wyjedziesz natychmiast, może zdążysz jeszcze zobaczyć zachód słońca na wyspach.

– Czyli to już koniec? Tak po prostu? – spytał Brasti. – Wszystko, co zrobiliśmy, wszystko, o czym mówił król... to koniec? Nie będziemy już uciekać, walczyć ani sądzić, tylko zwyczajnie...

– Dla was to koniec, i tyle. Świat się nie skończy. Aline przeżyje, już ja się o to postaram. Ale wy trzej zrobiliście już wystarczająco dużo. Idźcie i przeżyjcie resztę swoich dni w jakiegokolwiek radości, którą będziecie w stanie znaleźć w tym fałszywym, zepsutym świecie – położyła dłoń na piersi Brastiego delikatnym gestem, który nie miał dla mnie sensu. Nie w przypadku Krawcowej. – To nigdy nie była ziemia bohaterów. W wojnie, która nadchodzi, nie będzie dla was miejsca.

Wstałem i podszedłem do Kesta i Brastiego. W jakiś sposób wszystko kończyło się na nas trzech. Nawet gdy podróżowaliśmy osobno, wiedzieliśmy, że ostatecznie znów się zejdziemy. Przez niemal piętnaście lat byliśmy strzałą, ostrzem i sercem królewskich marzeń, a teraz Krawcowa twierdziła, że jesteśmy skończeni, że

wszystko, o co walczyliśmy, umiera, że droga Wielkich Płaszczy była tylko snem, który wkrótce zostanie zapomniany. Otrzymaliśmy rozkaz, aby nie uczestniczyć w walce.

Spojrzeliliśmy po sobie bez słowa i po chwili każdy z nas skinął głową. Przez krótką chwilę nasze umysły stały się jednym i razem zrozumieliśmy nieuniknioną prawdę. Nie ścisnęliśmy sobie dłoni ani nie objęliśmy się na pożegnanie. Nie powiedzieliśmy ani nie zrobiliśmy niczego. Tak naprawdę jakikolwiek gest z naszej strony mógłby zostać odebrany jako teatralne przedstawienie.

– No dobrze. W porządku – Krawcowa podeszła do drzwi sypialni i zanim weszła, otworzyła je po cichu. Usłyszałem, jak łagodnie budzi Aline ze snu i zbiera jej rzeczy. Kiedy obie pojawiły się w głównym pokoju, przyklęknąłem niezgrabnie obok ławy, aby królewska córka mogła oprzeć głowę na moim ramieniu.

– Krawcowa mówi, że musimy się zbierać, ale ty nie możesz z nami jechać. Otrzymałeś kolejną misję?

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że nigdy nie okłamałem Aline.

– Tak – odparłem. – To bardzo ważna misja. Opowiedziałbym ci o niej, ale to tajemnica i nikt poza mną, Kestem i Brastim nie może o tym wiedzieć.

Aline zachichotała.

– Jesteś strasznie kiepskim kłamcą, Falcio.

– I dlatego właśnie nigdy cię nie okłamuję – odparłem. – Poza tym gdybym to zrobił, Bestia odgryzłaby mi dłonie.

Spojrzenie Aline złagodniało i jej oczy szybko wypełniły się łzami.

– Musiałam odesłać Bestię, Falcio. Zaczęła coraz bardziej szaleć.

Usiłowała mnie nawet ugryźć. Nie ma jej.

– Ja... przykro mi to słyszeć – przytuliłem córkę mojego króla i ponad jej ramieniem spojrzałem w oczy Krawcowej. Jej wzrok potwierdził to, co podejrzewałem: Bestia próbowałaby zabić każdego, kto krzywdził Aline. Ale jakim cudem wieszczy koń mógł walczyć z czymś tak podstępym, jak to, co działo się w tej chwili z tą dziewczyną?

„Nie modlę się zbyt często, ty szalony potworze, ale teraz proszę, abyś znalazła spokój dla siebie. Dan’ha bath fallatu, Bestio. Jestem z twojego stada”.

Krawcowa położyła dłoń na ramieniu Aline i delikatnie odciągnęła ją ode mnie.

– Już czas, cukiereczku.

Aline spojrzała na mnie przez chwilę.

– Zamierzam się teraz uśmiechnąć – powiedziała. – Proszę cię, żebyś ty również się uśmiechnął. A potem oboje zamkniemy oczy i otworzymy je dopiero wtedy, kiedy już stąd odjadę. W ten sposób będziemy zawsze pamiętać swoje uśmiechy.

– Ja... dobrze, Aline. Zrobimy, jak mówisz.

Uśmiechnęła się do mnie i miałem wrażenie, że w tym momencie cały świat nagle pojaśniał. Potem ja również się uśmiechnąłem i zamknąłem szybko oczy, bojąc się, że nasze miny zrzedną, zanim zdążymy opuścić powieki. Trzymałem oczy zamknięte i chwilę później usłyszałem lekkie kroki Aline obok kroków Krawcowej. Zostałem na miejscu, opierając się o ławę i wsłuchując w ich coraz cichsze stąpania. Oddalały się korytarzem, potem w dół po schodach, a wreszcie, bardzo cichutko, przez drzwi gospody na zewnątrz, znikając z mojego życia.

Wreszcie poczułem obejmujące mnie ramię Kesta, który pomógł mi wstać.

Spojrzeliśmy na siebie i żaden z nas nie był pewny, czy coś powiedzieć.

Brasti złamał się pierwszy.

– No dobra – powiedział. – Sądzicie, że Krawcowa to kupiła?

OSTATNI TOAST

Kest i ja zajęliśmy stół przy drzwiach gospody Pod Czerwonym Młotem. Główna izba była zadziwiająco duża. Centralnie umieszczony kominek oświetlał mały podest przeznaczony do występów i oferował ciepło dwóm tuzinom kobiet i mężczyzn, którzy zajmowali ledwie czwartą część dostępnych stołów i ław rozstawionych w pomieszczeniu.

Brasti wrócił z zamówieniem w postaci trzech kufla piwa. Sprawdził każde uważnie, upewniając się, że największa porcja przypadnie mnie.

– Przykro mi, że umierasz, Falcio.

– Dzięki – sięgnąłem po piwo dziwnie wzruszony jego gestem.

– Zapewne nie będziesz potrzebował wszystkich pieniędzy, które dostałeś, prawda? – dodał. – Skoro rzeczy mają się tak, jak się mają?

Kesti uniósł brwi.

– Naprawdę masz zamiar wykorzystać przypadłość Falcia do wyciągnięcia od niego kasy?

– Zaraz, zaraz, ja tylko...

Zachichotałem.

– W końcu dał mi największy kufel, Kest.

– To prawda, zrobiłem to – powiedział Brasti.

Pociągnąłem spory łyk. Piwo było smaczne, a izbia ciepła. Siedziałem z dwoma mężczyznami, których kochałem najbardziej na świecie, i w tym momencie nikt nie usiłował mnie zabić. Czułem się wręcz absurdalnie szczęśliwy.

Brasti zaczął coś mówić, ale Kest, nie spuszczając ze mnie wzroku, uciszył go gestem dłoni. Brasti odchylił się na oparcie krzesła i zajął się swoim piwem. Siedzieliśmy tak w milczeniu, a ja poczułem lekkie ukłucie winy na myśl, że Aline wierzyła, iż zostawiam ją na zawsze. „Przynajmniej jej nie okłamałem”, pomyślałem sobie. Nie okłamałem również Krawcowej – a przynajmniej niezupełnie.

Rozumiałem, dlaczego starucha chciała się nas pozbyć. Tak było lepiej dla niej, dla Aline i prawdopodobnie dla wszystkich pozostałych. Zamierzali się gdzieś zaszyć i obserwować ze swojej kryjówki, jak świat się rozpada pod rządami Trin. Nie pomogłoby im towarzystwo moje, Kesta i Brastiego, zwłaszcza że najpewniej usiłowałibyśmy opóźnić rozkład monarchii. Pojmowałem to jej rozumowanie i logikę, ale nic mnie to nie obchodziło.

Kiedyś żył pewien człowiek, który był genialny i jednocześnie naiwny. Widział mrok spowijający jego kraj i marzył o czymś jaśniejszym, o blasku. I nawet gdy został zabity, a jego niedokończone dzieło rozpadło się w drobny mak, okruchy jego marzeń utkwily na zawsze w sercach Kesta, Brastiego i moim. Stały się czymś, co wszyscy trzej dzieliliśmy, choć każdy z nas na swój własny, niekiedy bardzo odmienny sposób.

Mieliśmy jednak jeszcze jedną wspólną cechę: wiarę, że z pewnych rzeczy nie można się wycofać, niezależnie od kosztów. Dlatego właśnie w momencie, gdy Krawcowa ofiarowała nam wytchnienie i zwolniła nas z naszych obowiązków, wiedziałem, że żaden z nas nie przyjmie tego daru. Staliśmy razem w tamtym pokoju i po jednym spojrzeniu wszystko było jasne. Nie musieliśmy nic mówić. Złożyliśmy sobie niemą obietnicę, że jeśli świat ma się rozpaść, my zginiemy wraz z nim – walcząc.

Dlatego właśnie, siedząc w pustawej świetlicy brudnej gospody usytuowanej na granicy trzech księstw, poczułem chwilową, lecz nieopisanie wielką radość.

Kapłani uczą nas, że duma jest czymś złym: słabością, próżnością, która sprawia, że ludzie zapominają o ich naturalnej skromności. Twierdzą, że jedynie akceptacja swojego miejsca jako sługi sił wyższych pomoże światu osiągnąć szczęśliwość. Duma, jak powiadają, jest bramą, która odgradza nas od bogów.

„Pieprzyć kapłanów”, pomyślałem. „Zatrzymam całą dumę, jaką mam, tak długo, jak będę mógł”.

Opróżniłem kufel do dna i odstawiłem go na stół. Brasti spojrzał na mnie, a potem na Kesta, zupełnie jakby prosił o pozwolenie, by mógł przemówić. Kest wywrócił oczami i Brasti obdarzył go ciężkim spojrzeniem. Potem odwrócił się do mnie.

– Więc jaki mamy teraz plan? – spytał.

– Luth – odparłem. – Zostaniemy tu na noc, a rano wyruszymy do Luth.

– Luth? A co takiego jest w Luth?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, pomimo opinii Krawcowej, nadal istnieje możliwość, że księżę Roset zgodzi się wesprzeć Aline po to,

aby zapobiec przejęciu tronu przez Trin.

– Tyle że Aline nie chce już być królową.

– Roset o tym nie wie – podpowiedział Kest.

Brasti uśmiechnął się szeroko.

– Cóż, podoba mi się idea oszukania księcia dla zasady. A druga rzecz?

– Roset i Isault często byli wrogami – przypomniałem sobie to, co Shuran powiedział mi w Carefal, a potem znów w książęcym pałacu. – Aramor i Luth nie żyły ostatnio w przyjaźni, na co wskazują wszystkie te ich małe spory graniczne.

Kest spojrzał na mnie nieufnie.

– Naprawdę sądzisz, że księżę Roset posunąłby się aż tak daleko i wysłał asasynów, by zamordowali Isaulta i jego rodzinę?

– Może tak – odparłem. – A może nie. W każdym razie na pewno będzie wiedział, kto był wrogiem Isaulta. Tak czy owak, jeżeli Rada Książąt uzna, że istnieje wystarczająco dobry powód, aby podejrzewać go o zlecenie zabójstwa innego księcia i jego rodziny, sprawy nie skończą się dla niego zbyt dobrze.

– Uważasz, że będziesz w stanie skłonić go do udzielenia wsparcia Aline? A co, jeśli uzna, że w obliczu rychłego nadejścia Trin nie ma co przejmować się Radą Książąt, i zmusi cię do pokazania kart?

Uniosłem kufel, usiłując wytrząsnąć z niego do gardła ostatnią kroplę piwa.

– Wówczas będziemy musieli się ewakuować. I to szybko.

Brasti roześmiał się.

– Czyli nasza strategia ma polegać na tym, że udamy się do Luth i zaszantażujemy księcia, a jeśli to nie wypali, uciekniemy

czym prędzej, gdzie pieprz rośnie – spojrzał na Kesta. – A ludzie nadal uważają, że Falcio jest tym najbystrzejszym z nas, wiesz?

Kest nie odpowiedział. Wpatrywał się w coś za nami, ale nie widziałem w co, ponieważ siedziałem plecami do wyjścia. Poczułem tylko powiew chłodnego powietrza, a potem usłyszałem kroki wchodzących do izby.

– To dziwne – powiedział Kest.

Obejrzałem się, spoglądając na nowych klientów. Mężczyzna był młody i przystojny, z ciemnymi włosami i krótką bródką. Kobieta, przeciętna i przysadzista, niosła w ręku futerał na gitarę.

– Na Świętego Gana Co Śmieje Się Grając w Kości – powiedział Brasti. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że pojawią się akurat tutaj i akurat w tym momencie?

Mężczyzna dostrzegł, że mu się przyglądamy. Uśmiechnął się do nas niezobowiązująco i skinął głową jak ktoś, kto nie bardzo pamięta, czy widział nas już wcześniej. Przypomniałem sobie, że nasze miejsca w gospodzie Na Końcu Świata były ukryte w cieniu, więc występujący tam trubadur zapewne nas nie zauważył.

Mężczyzna podszedł do podestu, tymczasem kobieta położyła futerał na pustym krześle i otworzyła go ostrożnie. Następnie przysunęła krzesło bliżej ognia, by się ogrzać.

Kelnerka przyniosła dla nas trzy miski potrawki.

– Jelonek za porcję – powiedziała. – Chcecie więcej piwa?

– Nie zamawialiśmy jedzenia – powiedział Kest.

– Jeżeli zostajecie na występie, musicie coś zjeść.

Sięgnąłem do kieszeni i pomacałem jej zawartość uważnie, nie chcąc wyjmować złotej monety na środku publicznej świetlicy. Dałem jej cztery srebrniki.

– To za posiłek i kolejne dwa piwa dla każdego z nas.

Kiedy dziewczyna sięgnęła po pieniądze, położyłem na nich dłoń.

– Jak często ci dwoje tu występują? – spytałem.

– Oni? Och, co miesiąc albo dwa. Przemierzają ten sam szlak wokół południowych księstw, jak większość trubadurów.

– Kiedy byli tu po raz ostatni? – spytał Kest.

Dziewczyna spojrzała na sufit, jakby znajdowała się tam odpowiedź.

– Chyba... jakieś kilka tygodni temu, tak myślę.

– A jak się zwa?

– A skąd mam to wiedzieć? To tylko trubadurzy. Przychodzą, grają, mężczyzna dużo pije i usiłuje się ze mną przespać, a potem odchodzą – zsunęła moją dłoń z pieniędzy i zabrała je.

– Jak często mu się udaje? – spytał Brasti.

Kelnerka rzuciła mu chytry uśmiezek.

– Chciałbyś wiedzieć, co?

Brasti odwzajemnił jej uśmiech i dziewczyna odeszła w stronę szynkwasu. Poczułem się dziwnie nieprzyjemnie z powodu tego ich bezpośredniego, choć prawdopodobnie bardzo przelotnego, intymnego kontaktu. Ethalia była w Merisaw, nie dalej niż pięć dni jazdy stąd. Czy czekała na mnie? Czy budziła się co rano, zastanawiając się, czy to właśnie dziś się pojawię i oboje...? Nie, lepiej o tym nie myśleć. Jeżeli była na tym świecie jakaś sprawiedliwość, Ethalia już dawno ze mnie zrezygnowała.

– Zaraz zaczną – powiedział Kest. Spojrzałem na scenę dokładnie w chwili, gdy gitarzystka zaczęła grać. I znów zachwyciłem się sposobem, w jaki wygrywała melodię, przeplatając

ją dzwicznymi akordami i subtelnie zmieniając rytm. Klienci gospody nadal byli skupieni głównie na jedzeniu i piciu. Bard przechadzał się po podwyższeniu, rozciągając ramiona i szyję, jakby szykował się do walki bokserskiej.

Ponownie poczułem lekki powiew chłodnego powietrza, kiedy ktoś otworzył drzwi. Chwilę później usłyszałem kobiecy głos:

– A niech to! Powiedźcie mi, że nie spędziłam ostatnich trzech dni, biegając po polach bez jednego ciepłego posiłku tylko po to, żeby wrócić tu i być zmuszoną do wysłuchiwania tego idioty i jego kretyńskich bają.

Odwróciłem się i zobaczyłem stojącą za mną Darrianę.

– A skoro mowa o idiotach... – uśmiechnęła się.

– Przestań blokować wejście, Darri. Zaczynam marznąć – powiedział ktoś i Valiana przepchnęła się obok Darriany.

Obie wyglądały na zmęczone. Miały ubrudzone twarze, płaszcze pokryte kurzem z drogi. Włosy Valiany były potargane, mimo że spięła je z tyłu. Luźne kosmyki sterczały wokół jej twarzy. Krótsze rudobrazowe włosy Darriany wyglądały, jakby zaplątał się w nie wiatr.

Obie przysunęły krzesła do naszego stołu. Kiedy zdjęły płaszcze, dostrzegłem, że ich ubrania są wygniecione, zaś koszula Darriany rozdarta od szyi do połowy dekoltu.

– Dobrze się przyjrzałeś? – spytała, obserwując Brastiego.

– Sprawdzam tylko, czy nie jesteś ranna – odparł.

Trubadur zaczął znów opowiadać swoją przekłętą historię, nadal przekręcając moje imię, co było najmniejszą ze wszystkich nieściskości. Valiana usiadła między Kestem i mną. Pod wpływem jakiegoś impulsu nachyliłem się i uściskałem ją. Poczuję się od

razu jak kretyn.

– Ach, widzisz? – skomentowała cierpko Darriana. – Tata Falcio się za tobą stęsknił.

Valiana uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

Trubadur kontynuował opowieść, a gitarzystka robiła, co w jej mocy, aby swoją muzyką wesprzeć jego kiepski głos.

– Teee – Darriana dźgnęła Brastiego palcem w ramię. – Piwo poproszę.

Brasti wyglądał na nieco wkurzonego, ale kiedy spojrzała na niego, uznał, że nie ma sensu się stawiać – albo, co bardziej prawdopodobne, zdał sobie sprawę, że sam też jest spragniony. Wstał i ruszył w stronę szynkwasu.

– Gdzie byliście? – spytał Kest.

– Gdzie my nie byliśmy – odparła Darri, puszczając oczko do Valiany. – W ciągu ostatnich dwóch dni widziałyśmy granicę Aramoru, Pertynii i Rijou. Robiłyśmy kółka tyle razy, że ludzie Trin pewnie podostawali choroby morskiej.

– I? – spytał Kest.

– Ci, których nie udało się nam zgubić, zostali oczywiście zabici. Spojrzałem na uśmiechającą się promiennie Valianę.

– Darri była niesamowita! Nabrała ich, myśleli, że się rozjechałyśmy, a kiedy sami się rozdzielili, udało się jej wciągnąć jedną grupę do długiego na siedemdziesiąt stóp żlebu! A potem...

– Nie zdradzaj im wszystkich moich sztuczek, śliczna ptaszyno – powiedziała Darriana. Brasti wrócił właśnie z piwem. Wzięła jeden z kufli i piła łapczywie, nie spuszczając z Brastiego oczu.

– Co znowu? – spytał.

– Wiesz, może to brak snu albo porządnego posiłku, ale nie wyglądasz tak odrażająco, jak pamiętam. Może przyszedł czas, żebym cię wypróbowała? Otarcie się o śmierć zawsze sprawia, że robię się...

– Masz chyba krew na brodzie – Brasti wyglądał, jakby zaczęły go męczyć mdłości. – I jeszcze coś... eee, mięsistego, o tutaj, na szyi.

Darriana wytarła się wierzchem dłoni, a potem spojrzała na nią.

– Hmm, ciekawe kto to był? Och, cóż, jestem pewna, że już tego nie potrzebuje.

Spodziewałem się, że zobaczę na twarzy Valiany szok i odrazę, lecz zamiast tego znalazłem rodzaj ponurej satysfakcji.

– Co? – spytała. – W końcu przybyli tu z nadzieją zabicia Aline.

Darri wyciągnęła rękę i poklepała Valianę po ramieniu.

– Ta śliczna ptaszyna zabiła trzech z nich, zupełnie bez pomocy. Oczywiście nie jednocześnie.

– Poprawię się – Valiana uniosła dumnie brodę i wyprostowała plecy. Jej wzrok złagodniał, gdy spojrzała na mnie. – Krawcowa powiedziała nam, że... powiedziała nam wszystko.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie byłem pewny, czy postawić na szczerłość, czy na pozory.

Na szczęście Brasti wyręczył mnie w odpowiedzi, wybierając „pozory”.

– Wcale nie jest jeszcze tak bardzo źle. Ucieszysz się na wieść, że Trin porzuciła swojego kochanka, księcia Peraulta, który stracił życie. Widzicie więc same, ostateczny bilans wychodzi na zero.

Valiana nie wyglądała na rozbawioną, wbrew temu, na co liczył Brasti, ani też nie dostrzegłem w jej spojrzeniu ulgi, której się spodziewałem. Zmrużyła oczy, jakby sądziła, że ją okłamujemy.

– Dlaczego zakończyła swój romans z księciem Peraultem?

– Znudziła się? – zasugerował Kest.

– A kogo to obchodzi? – odparł Brasti. – Kto może wiedzieć, dlaczego ta wariatka coś robi ?

– Trin nie jest szalona – powiedziała Valiana. – Wbrew temu, co sobie myślisz, nie jest również próżna i małostkowa – spojrzała na każdego z nas po kolei. – Wszyscy mówicie o niej, jakby była szaloną wszetecznicą, ale to nieprawda. Trin jest nikczemna, zła i wyrachowana, ale nie jest głupia. Od Patriany nauczyła się traktować każdą znajomość i każdy związek jako narzędzie, sposób umocnienia pozycji w świecie. Trin pozwoliła Peraultowi ze sobą sypiać, ponieważ chciała jego armii. A teraz, kiedy umarł? Z pewnością skomplikuje to jej relacje z generałami.

– W takim razie dlaczego to zrobiła? – spytała Darriana.

Valiana wydawała się zaniepokojona.

– Nie wiem. Jeżeli jednak wzięła sobie kolejnego kochanka, to dlatego, że miał coś, czego pragnęła. Coś znacznie bardziej użytecznego niż armia Peraulta.

Brasti zajrzał do swojego kufla.

– Cóż, niewątpliwie udało ci się zepsuć nastrój tego dotychczas sympatycznego wieczoru.

– To sprawa na inny dzień – powiedziałem. „Święci, tylko tego mi brakowało”, pomyślałem. „Więcej sekretów i podstępów...”

Muzyka w gospodzie ucichła i zauważyłem, że trubadur kończył właśnie swoją historię, znów pokazując wszystkim monetę przysięgłego. „Skąd on ją wziął?” Odwróciłem się do Valiany i Darri i zacząłem relacjonować naszą historię. Chciałem powiedzieć tylko tyle, by uwierzyły, że zaakceptowaliśmy instrukcje Krawcowej.

Potem jednak przerwałem, odchyliłem się na krzesło i spojrzałem na te dwie umęczone kobiety. Były dzielne, utalentowane i żadna z nich nie dała mi powodu do zwątpienia. Ile to razy narzekałem na Krawcową za jej wszystkie uniki i oszustwa? Miałem już dość kłamstw i manipulacji, zaś niebezpieczeństwa, na jakie mieliśmy się narazić, łatwiej było pokonać w piątkę niż w trójkę.

Spojrzałem na Kesta, a potem na Brastiego i obaj skinęli na zgodę. „Święta Olario Co Nosisz Chmury, my trzej staliśmy się jak stare dobre małżeństwo”, pomyślałem. „Niedługo będziemy za siebie kończyć zdania”.

– Krawcowa sądzi, że wojna się skończyła – powiedziałem. – Twierdzi, że dalsza walka i próby ocalenia kraju przed popadnięciem w chaos wojny domowej nie mają sensu. Razem z Kestem i Brastim chcemy udowodnić jej, że się myli.

Darriana postawiła kufel na stole.

– Chcecie sprzeciwić się rozkazom Krawcowej?

Nie wiedziałem, co tak naprawdę łączy ją z Krawcową i jak bardzo jest wobec niej lojalna. „W zasadzie to naprawdę nie wiem nic o tej kobiecie”, pomyślałem. „Mogłaby być kimkolwiek. Mogłaby być córką Krawcowej, a ja nie miałbym o tym pojęcia”. Kelnerka podeszła do nas, niosąc piwo, za które zapłaciłem wcześniej.

– Tak, zamierzam sprzeciwić się rozkazom Krawcowej – odparłem, kiedy już odeszła. – I chcę, żebyście wy również to zrobiły.

Zapadło milczenie, a potem Valiana sięgnęła po jeden z wypełnionych po brzegi kufli.

– Ja podążam za pierwszym kantorem – powiedziała. – Za Wielkie Płaszcze.

Kest chwycił kufel i uniósł go w toaście.

– Za Wielkie Płaszcze.

Brasti zrobił to samo, a Darriana prychnęła.

– Do diabła z waszymi Wielkimi Płaszczami – powiedziała, ale też wzięła kufel i uniosła go do góry. – Wygląda na to, że wasza decyzja wiąże się z dużą dawką chaosu i walk. Wchodzę w to.

„Cóż, to będzie musiało wystarczyć”, pomyślałem.

W tej właśnie chwili ktoś kopniakiem potraktował drzwi do gospody i otwarły się wszystkie możliwe bramy piekła.

Pierwszą oznaką, że mamy kłopoty, było spojrzenie Brastiego. Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki, kiedy spojrzał nad moim ramieniem w kierunku wejścia. Zacząłem się odwracać, żeby również rzucić okiem na przybyłych, ale zanim zdołałem cokolwiek zrobić, Brasti sięgnął przez stół, chwycił mnie za włosy i pociągnął mi głowę w dół. Odwróciłem się tuż przed tym, jak moja twarz zderzyła się z drewnianą powierzchnią stołu, przyjmując uderzenie na lewy policzek. Widziałem jedynie Kesta, który zerwał się z krzesła, równocześnie wyciągając miecz, oraz ostrze mknące gładkim łukiem w moim kierunku. Poczułem nagły podmuch powietrza, kiedy miecz ledwie o cal minął mój policzek i zderzył się z czymś metalowym. Brasti puścił moją głowę i obiema rękami chwycił mnie z tyłu za płaszcz, przeciągając po blacie. Obaj zwaliliśmy się na podłogę po drugiej stronie stołu, Brasti przyciśnięty moim ciężarem.

– Przyjmuję twoje szczerze podziękowanie za uratowanie życia – powiedział pośród tupotu ciężkich buciorów i szczęku mieczy

zmieszanych z krzykami i piskami klientów gospody. Zdziwiło mnie niezmiernie, że gitarzystka nie przerwała gry.

– Nie mogłeś mnie chociaż ostrzec?

Brasti spojrział gdzieś ponad mną.

– Nie było czasu – powiedział i pchnął mnie tak mocno, że poleciałem w prawo. W miejscu, gdzie przed chwilą znajdowały się nasze szyje, pojawił się topór, wbijając się głęboko w deski podłogi. Brasti zdążył już wstać i wyciągał właśnie miecz. Ja wciąż gramoliłem się na kolana.

– Hej, nie siedź tak – powiedział, jednocześnie przeskakując przewrócony stolik i rzucając się w wir walki.

Świetlica gospody nagle się zatłoczyła, wypełniona teraz ponad tuzinem ludzi w lśniących zbrojach. Większość miała miecze, zaś niektórzy, tak jak mężczyzna, który przed chwilą usiłował mnie zabić, trzymali w dłoniach topory. Rycerz zaatakował najpierw mnie, czy zatem byłem ich celem? Niemożliwe. Nie widział przecież mojej twarzy z miejsca, w którym stał. Prawdopodobnie po prostu chciał zabić któregokolwiek z nas, zanim zorientujemy się, co się tu wyprawia.

– Czekamy, Falcio! – krzyknął Brasti. Wyciągnąłem rapiery i rozejrzałem się, sprawdzając, kto najpilniej potrzebował mojej pomocy. Valiana i Darri walczyły ramię w ramię, tnąc i zadając pchnięcia w skomplikowanym synkopowanym rytmie, który trzymał napastników na dystans uniemożliwiający atak. Podziękowałem w myślach Darrianie za tak dobre wyszkolenie swojej uczennicy. Kest precyzyjnie się w sam środek zamieszania, wykorzystując w walce styl, który Brasti kiedyś nazwał sorendito. To staropertyńskie słowo oznaczające bardzo nieprzyzwoity akt

płciowy, za który w większości burdeli płaci się dodatkowo, a który wymaga udziału trzech partnerów oraz... nieważne. Kest zadawał ciosy na przemian to w przód, to do tyłu, najpierw wbijając sztych swego miecza w brzuch przeciwnika, a następnie wyciągając go gwałtownie i uderzając głowicą rękojeści w twarz człowieka na tyle głupiego, by usiłować zająć Kesta od tyłu. Brasti uwijał się jak szalony, machając na oślep rapierami i usiłując powstrzymać swoich przeciwników z długimi mieczami, by ci nie przygwoździli go do ściany.

Dostrzegłem szczelinę w zbroi i prawym rapierem wyprowadziłem pchnięcie głęboko w mięsień i kość za kolanem. Rycerz wrzasnął, a kiedy się odwrócił, jego usta były nader zachęcająco otwarte, więc poczułem, że nie mam wyboru, jak tylko wbić lewy rapier w jego podniebienie. Innemu udało się chwycić broń Brastiego pancerną rękawicą. Nie wypuszczał ostrza z ręki, chociaż jednocześnie zamachnął się mieczem, celując w moją głowę. Mógł to być zasadniczo dobry pomysł, ale Brasti puścił rapier, prześlizgnął się za plecy przeciwnika i pociągnął mocno za jego hełm, tak że rycerz stracił równowagę i przewrócił się, padając na plecy. Brasti uniósł nogę i z całej siły wbił obcas w twarz mężczyzny z satysfakcjonująco obrzydliwym chrzęstem.

Brasti sięgnął po swój miecz.

– Miałem wszystko pod kontrolą – powiedział.

– Piętnaście lat, a ty nadal wymachujesz rapierem jak gałęzią i dźgasz nim powietrze niczym amator.

– To pieprzony rapier, Falcio. Co innego miałbym robić poza machaniem i dźganiem?

Wskazał na drugą stronę izby, gdzie na haku obok otwartych

drzwi prowadzących ze świetlicy do właściwej części gospody wisiały jego krótki łuk i kołczan. Na drodze stało nam kilku napastników, czekających jak idioci na szansę dorwania Kesta, Valiany i Darri, walczących teraz ramie w ramie.

– Idę po łuk – oświadczył Brasti. – Zaraz wracam.

– Świetlica jest za duża – zauważyłem. – To im daje przewagę – ruszyłem w kierunku wejścia do głównej części gospody, z Brastim za plecami. Kiedy udało się nam przedrzeć przez trzech rycerzy blokujących drzwi, eleganckim sposobem z mojej strony i dużo mniej elegancko ze strony Brastiego, krzyknąłem ile sił w płucach:

– Hej, Płaszcz! Tutaj!

Kest skinął mi lekko głową, zerkając na mnie zaledwie przez ułamek sekundy, dopóki jego dwaj przeciwnicy nie padli na ziemię, wijąc się z bólu. Zgarnął Darri i Valianę i cała trójka zaczęła przeciskać się między połamanymi meblami, dopóki wszyscy nie znaleźliśmy się po tej samej stronie izby.

– Przez drzwi! – wykrzyknęliśmy zgodnie z Brastim, a potem cała nasza piątka zadziałała jak jeden mąż.

Plan był dość prosty: jeżeli znajdziemy się po jednej stronie solidnych drewnianych drzwi, a nasi wrogowie po drugiej, będą mogli z nami walczyć wyłącznie jeden na jednego. W takiej sytuacji mogłem spokojnie zostawić Kesta na posterunku, podczas gdy reszta z nas miała okazję odsapnąć, może nawet się zdrzemnąć, jeśli byśmy chcieli. Właśnie docieraliśmy do wyjścia, kiedy objawił się pewien drobny szkopuł: młody gospodarz, Tyne, zatrzasnął drzwi od zewnątrz i kiedy usiłowałem je otworzyć, spuścił grubą dębową belkę, ryglując przejście. Najprawdopodobniej używał jej do zabezpieczenia świetlicy na noc. Nie było sposobu, aby przedostać

się do głównej części gospody.

Zostaliśmy uwięzieni, a z zewnątrz nadciągał właśnie kolejny tuzin lub więcej wojowników. Pokonaliśmy ich już kilku; niektórzy byli martwi, inni nieprzytomni. Zliczyłem jednak kolejnych siedemnastu stojących przed nami. Część z nich miała na sobie ubrania podróżne, ale dostrzegłem pod nimi błysk zbroi. Rycerze nigdy nie potrafili się powstrzymać od polerowania swoich cholernych pancerzy, dopóki nie świeciły się jak słońce. Mogło to zapewne zaimponować jakiejś dzierlatce, ale było do niczego, kiedy człowiek miał udawać kogoś innego. Reszta naszych przeciwników nosiła srebrno-zółte tabardy Luth. Większość z nich była zwykłymi żołnierzami, ale dostrzegłem pomiędzy nimi czterech rycerzy, z których jeden miał podwójną gwiazdę na swoim tabardzie, tak więc był kapitanem.

– Złóżcie swoją broń na ziemi – zażądał wysokim delikatnym tenorem, który sprawił, że natychmiast pomyślałem, iż mógłby być znacznie lepszym śpiewakiem niż trubadur, który stał teraz na drugim końcu izby, z całych sił usiłując przewrócić ścianę plecami. Kilku klientów, którym nie udało się wymknąć przez tylne drzwi, ukrywało się pod stołami. Gitarzystka nadal siedziała na krześle na podeście i teraz, gdy szczęk broni i wrzaski bojowe zaczynały cichnąć, dotarło do mnie, że nie przestała grać.

– Myślę, że możesz już sobie darować – krzyknął Brasti w jej kierunku. Zauważyłem, że zdołał chwycić swój łuk i przewiesić przez ramię kołczan.

– Nudzę się, a nie ma tu nic innego do roboty – odkrzyknęła niewiasta.

Świat czasem jest bardzo, ale to bardzo głupim miejscem.

Kapitan rycerzy zbliżył się do nas o krok.

– Z polecenia Roseta, księcia Luth, rozkazuję wam złożyć broń i poddać się.

– Zdajecie sobie sprawę, że znajdujemy się w Aramorze, prawda? – spytałem uprzejmie.

– Mamy prawo ścigać kryminalistów w odległości dziesięciu mil od granicy.

– Jak blisko jesteśmy? – spytał Brasti.

– Bliżej niż dziesięć mil.

– Na podstawie jakiego oskarżenia chcecie nas aresztować? – spytałem.

– Rozmówimy się na ten temat w Luth – odparł kapitan.

Wreszcie zrozumiałem, co mnie niepokoiło w tym konkretnym scenariuszu: nawykliśmy wprawdzie do bycia ściganymi przez książęcych rycerzy, ale w Luth jeszcze przecież nie byliśmy. Potem zobaczyłem, jak jeden z mężczyzn, ukrywający pancerz pod brązową szatą, szepce coś na ucho kapitanowi, wskazując na nas, a raczej konkretnie na Darri i Valianę.

– Darriana? – spojrzałem na nią.

Odwzajemniła spojrzenie z lekkim zainteresowaniem.

– Tak, pierwszy kantorze?

– Czy to możliwe, że nie zgubiłaś wszystkich ludzi, których Trin posłała za tobą?

– Cóż, kiedy teraz o tym myślę, nigdy nie fatygowałam się, żeby ich wszystkich policzyć. Sądziś, że powinnam?

– Jest to coś, co być może powinnaś rozważyć w przyszłości, owszem.

Trzech luthańskich żołnierzy ściągnęło z pleców kusze i właśnie

je naciągało.

– Nie powinniście tego robić – ostrzegł Brasti.

– Nie zwracaj się do moich ludzi, trattari – odezwał się kapitan rycerzy. – Czy poddacie się bez walki, czy mam im rozkazać, aby przypościli atak?

– Dlaczego żołnierze z Luth słuchają przebranych rycerzy wysłanych tu przez księżną Hervoru? – spytałem. – Czy wasz książę zdaje sobie sprawę, że scedowaliście władzę nad jego ziemiami na rzecz pretendenci, która uzurpuje sobie prawo do królewskiego tronu Tristii?

Twarz kapitana ściągnęła się w gniewnym grymasie.

– Nie ma nic niehonorowego w tym, że książęcy rycerze wspierają się w ściganiu przestępców.

– Z tym drobnym wyjątkiem, że my nie popełniliśmy żadnego przestępstwa – odparłem.

– Moi przyjaciele rycerze mówią mi, że ta mała wiedźma popełniła kilka morderstw.

– Falcio? – odezwał się cicho Kest.

– Słucham?

Westchnął ciężko. Rozpoznałem ten dźwięk.

– Ach. Znów gadam, podczas gdy powinniśmy podjąć walkę, tak?

Kest pokiwał głową.

– Pozwól, że ja to załatwię – powiedział Brasti. Spojrzał na kapitana rycerzy i powiedział donośnym, władcym głosem: – W porządku. Poddajemy się.

Rycerz wyglądał na zdziwionego.

– Naprawdę?

– Absolutnie.

– Zatem opuść swój łuk, trattari.

Brasti rzucił łuk tak, że opadł na jego lewą stopę. Podniósł obie dłonie w górę.

– Widzisz? Nie ma powodu do dalszej przemocy.

Wraz z Kestem wpatrywałem się w niego. Żaden z nas nie był całkowicie pewny, czy Brasti przypadkiem nie postradał właśnie zmysłów.

– No co? – spytał. – Nigdy przedtem nie próbowaliśmy się poddać. Chciałem tylko zobaczyć, jak to jest.

Rycerz uśmiechnął się i był to naprawdę nieprzyjemny uśmiech jak na tak przystojną twarz.

– Ach, widzisz, panie – powiedział Brasti, nadal z rękami w górze. – Ta akurat mina nie daje mi absolutnie żadnej pewności co do honoru księcia.

Darriana dźgnęła Brastiego łokciem w zebra.

– Jeżeli chciałeś mi zaimponować swoim intelektem, Brasti, to właśnie zblądniłeś się w wielkim stylu.

Brasti spojrzał na rycerza, na Darrianę i na mnie.

– Widzisz, co się dzieje, kiedy próbuję zrobić coś mądrego? Zawsze powiadasz mi, że jestem zbyt nierozważny, ale kiedy... och, w porządku. W takim razie pieprzyć to wszystko – uniósł szybko lewą stopę w górę tak, że jego łuk wzleciał w powietrze. Brasti jednym płynnym ruchem chwycił łuczysko lewą dłonią, sięgając jednocześnie prawą do kołczanu, założył strzałę i naciągnął cięciwę tak szybko, że wyglądało to, jakby w ogóle się nie poruszył.

– Widzę tu siedemnaście kaczuszek – powiedział głośno. – Siedemnaście ślicznych żółciutkich kaczuszek, ustawionych

pysznie w równy rząd, specjalnie dla mnie. Ile muszę ustrzelić, żeby dostać nagrodę?

– Nadal macie szansę na rozwiązanie, które nie będzie wymagało rozlewu krwi, panie rycerzu – powiedziałem. – Wycofaj swoich ludzi i przysięgnij mi, że zostawisz nas w spokoju. Wtedy możesz bezpiecznie powrócić do Luth.

– Ci trzech zostają – Valiana wskazała na ludzi Trin. – Przybyli tu, żeby zamordować prawowitą dziedziczkę tronu.

„Fantastycznie. Tego mi właśnie było trzeba – żeby Valiana przejęła po Darri jej krwiożercze zapędy”.

Jeden ze wskazanych mężczyzn wystąpił z szeregu i zwrócił się do mnie:

– Mam dla was lepszą propozycję, trattari. Oddaj nam te dwie dziwki, które podstępem i oszustwem zabiły szlachetnych rycerzy. Zrobimy z nimi to, co uważamy za stosowne, a reszta z was może tymczasem zwiać stąd z podkulonymi ogonami. Odwrócił się w stronę przeciwległego końca izby. – Ty tam! Bajarzu!

Młody trubadur uczynił mały, strachliwy krok do przodu.

– Ja? – spytał.

Kobieta z gitarą wywróciła oczami.

– Tak, ty. Zawrzyjmy umowę, ty i ja. Jak szybko potrafisz napisać jedną ze swoich historii?

– Ja... cóż, to zależy od tema...

– Nieważne. Zrobię to za ciebie. Będzie to opowieść o sir Elwynie Arnotcie. Zapamiętaj dobrze moje imię, jeżeli wiesz, co dla ciebie dobre.

– Nie ma na to szansy – mruknąłem.

– Opowiesz ludziom, co się tu wydarzyło: jak to sir Elwyn stawił

czoła zdradzieckim trattari i sprawił, że uciekli jak niepyszni, pozostawiając swoje dziwki na placu boju.

– Ja... opowieści to coś więcej niż... – przerwał, kiedy gitarzystka dźgnęła go gryfem swojego instrumentu.

Sir Elwyn odwrócił się do nas i wyszczerzył w uśmiechu.

– Dalej, trattari. Nie macie absolutnie żadnej szansy, na tym świecie i w jakimkolwiek piekle, które bogowie dla was zgotowali. W ten sposób przynajmniej ocalisz życie sobie i swoim przyjaciółom.

– To się zaczyna robić nudne – powiedziała Darriana swobodnie. – Obiecałeś mi chaos i walki!

Nie spuszczałem oczu z rycerzy.

– Szanse? – szepnąłem do Kesta.

Kiedy nie odpowiedział, spojrzałem na niego. Otaczała go czerwona poświata i przez chwilę miałem nadzieję, że to jedynie gra światła wywołana przez blask bijący z piecyka stojącego przy drzwiach, ale nie; naprawdę emanowała z jego skóry. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się szeroko. Była to jedna z najstraszniejszych rzeczy, jaką widziałem w życiu.

– Za chaos i walki – powiedział i rzucił się w kierunku zbrojnych. Miecz rozpoczął taniec nad jego głową, kiedy szykował się do uderzenia.

– Cholera! Brasti, teraz! – powiedziałem, ale nie musiałem się fatygować. Jeden z kuszników właśnie padł ze strzałą sterczącą mu z piersi. Kątem oka widziałem, że Brasti założył na cięciwę kolejną strzałę. Reszta z nas puściła się biegiem przez izbę, przyłączając się do Kesta. Pięciu na siedemnastu, w większości zakutych w zbroje. Mieliśmy jednak Brastiego, jego łuk i kołczan pełen strzał oraz płonącego ogniem Świętego od Mieczy, który pragnął krwi.

„Za chaos i walki”, pomyślałem.

BARDATTI

Cała nasza piątka walczyła jak jeden mąż, ze śmiertelną skutecznością. Część z tego to była konieczność, część zaś to łut szczęścia. Wyobrażam sobie, że dla postronnego widza musiało to wyglądać jak ucieleśnienie chaosu. Stalowa klinga Kesta odbijała czerwoną poświatę jego skóry, którą czynił jeszcze bardziej czerwoną krwią swoich przeciwników. Brasti był równie groźny. Cięciwa łuku śpiewała bez przerwy, a każda wypuszczona strzała niechybnie trafiała w cel. Kiedy spojrzałem na jego twarz, dostrzegłem w niej tyle samo gniewu i szaleństwa, co w twarzy Kesta, i przypomniałem sobie, że mimo swojej pogodnej natury Brasti ponad wszystko nienawidził rycerzy.

Darriana walczyła niczym koliber, czyniąc szybkie wypadki i pchnięcia w stronę wrogów i równie szybko odskakując poza zasięg ich broni.

Ale najbardziej przerażała mnie Valiana. Jej umiejętności były naprawdę zadziwiające i dawała sobie dzielnie radę, walcząc z ludźmi, którzy mieli za sobą lata doświadczeń w żołnierce. Przynajmniej część jej śmiertelnej siły wynikała z tego, że

rzucała się w wir walki bez wahania. Przysięgam, że widziałem ją pędzącą prosto na miecz jednego z napastników, aż ten wycofał go, wiedziony wyłącznie odruchem. Po wszystkim na jej twarzy wypisana była ponura satysfakcja.

– Zostaw ją w spokoju – powiedziała Darriana cicho. – Niczego nie polepszysz, więc przynajmniej nie pogarszaj sprawy.

– Walczy jak ktoś, kto chce zginąć – mruknąłem.

– Oczywiście. Walczy tak jak ty.

– Co takiego? Oszalałaś? Ja wcale...

Zanim jednak zdążyłem dokończyć, oddaliła się ode mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, upewniając się, że żaden z martwych lub umierających nie zamierza nagle powstać i spróbować szczęścia jeszcze raz. Skrzywienie zawiasów sprawiło, że spojrzałem w stronę, z której dobiegał dźwięk, i dostrzegłem, że drzwi między świetlicą i resztą pomieszczeń gospody uchylają się ostrożnie.

– Święci! – powiedział Tyne, a potem dostrzegł moje spojrzenie i czym prędzej zatrzaskał drzwi z powrotem.

– Ze względu na samo twoje zachowanie nie zapłacimy za nasze pokoje – wrzasnął Brasti i spojrzał na mnie. – Tylko mi tu znowu nie wyjeżdżaj z tym, że Wielkie Płaszcze nie kradną. Jeżeli chciał pieniędzy, to nie powinien nas zamykać w izbie z siedemnastoma żołnierzami usiłującymi nas zabić.

– W porządku – rozejrzałem się dookoła, sprawdzając, czy nadal gdzieś chowają się tu klienci, ranni lub nie. Wyglądało na to, że wszystkim udało się stąd wydostać. Miałem nadzieję, że siedzieli teraz bezpiecznie w swoich domach. Potem zdałem sobie sprawę, że brakuje tu kogoś jeszcze.

– Na cholerną Świętą Olarię Co Nosi Chmury – powiedziałem.

– O co chodzi? – spytał łagodnie Kest. Wycierał właśnie miecz z krwi i wyglądał znów całkiem normalnie, spokojny niczym cicha woda.

– Trubadurzy. Chciałem z nimi porozmawiać.

– Wymknęli się tuż przed końcem walki – powiedział Brasti. – Myślę, że poszli w stronę stodoły. Dlaczego tyle gospód w Tristii ma stodoły?

– Bo większość z nich była kiedyś gospodarstwami rolnymi – odparł Kest. – Czytałem w trzecim spisie ludności króla Ugrida, że...

– Chodźmy – powiedziałem. – Chcę porozmawiać z tym bardem. Pozostali podążyli za mną na zewnątrz, w ciemną noc.

– O co chodzi? – spytał Brasti, gdy przemierzaliśmy brukowane podwórze. – Masz jakiś problem? Nie zdążyłem nawet zamówić dzbana piwa. Chyba nie jesteś wciąż zły za to, że przekreślił twoje imię.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparłem. – Jednak przed całym tym ambarasem znów pokazywał ludziom moją cholerną monetę. Chcę się dowiedzieć, skąd ją wziął.

Kradzież monety przysięgłych była niegdyś poważnym przestępstwem, w czasach, gdy ludzie przejmowali się jeszcze zdaniem Wielkich Płaszczy. Moneta owa reprezentowała obietnicę wypełnienia wyroku; była niejako odznaką honorową. Przede wszystkim jednak stanowiła zapłatę dla rodziny mężczyzny lub kobiety, którzy ryzykowali śmiercią i pozostawieniem swych najbliższych bez środków do życia. Złota moneta – taka jak ta – mogła wyżywić całą rodzinę przez rok i nie podobało mi się to, że

została odebrana komuś, kto otrzymał ją od Wielkiego Płaszczaka.

Kiedy zbliżaliśmy się do wejścia do stodoły, usłyszeliśmy czyjś głos. Spojrzałem w górę i zobaczyłem trubadura z łukiem w dłoni, wychylonego z okna na pierwszym piętrze. Strzała była wycelowana we mnie.

– Jeżeli przyszedłeś tu szukać kłopotów, to ostrzegam cię, że jestem równie utalentowanym łucznikiem, jak twój człowiek. Ustrzelę was wszystkich, zanim krew pierwszego zacznie przesączać się przez jego ubranie. Staniecie przed swoimi bogami z wnętrznościami zwisającymi wam z brzuchów, niczym węże ratujące się ucieczką z płonącego statku.

– Niezła przemowa – powiedział Brasti.

– Ujdzie w tłoku – odparł Kest. – Ale zabicie kogoś z łuku, zanim ten ktoś będzie miał szansę wejść do stodoły i dostać się na górę, nie jest zbyt chwalebne, kiedy tak o tym pomyśleć.

– Tu nie chodzi o fizykę, tylko o liryczną jakość wypowiedzi. W końcu on jest trubadurem, pamiętasz? Powinien być poetycki. – Skończyliście już? – spytał bard.

– Myślę, że powinieneś tu zejść i z nami porozmawiać – powiedziałem.

– Podaj mi trzy powody – odparł trubadur. – W ten sposób, jeśli nie spodoba mi się dwa pierwsze, będziesz miał jeszcze jedną szansę na przeżycie.

– Widzisz? – powiedział Brasti. – A jednak jest poetą.

– W porządku – odparłem. – Po pierwsze, wygląda na to, że pęknięty majdan twojego łuku zaraz się złamie. Pewnie znalazłeś go wiszącego na ścianie, co oznacza, że był tam narażony na deszcz i zimno, tylko święci wiedzą jak długo. Poza tym sposób,

w jaki go trzymasz, każe mi wierzyć, że jedyny sposób, w jaki mógłbyś ustrzelić w tej chwili ścianę stodoły, to wypuszczenie strzały z ręki.

– Och, to było niezłe – pochwalił mnie Brasti.

– Być może Falcio również mógłby zostać poetą? – zasugerował Kest.

– Założę się, że mój łuk wytrzyma wystarczająco długo, aby wbić strzałę w twoją pierś – odparł trubadur.

– Prawdopodobnie się mylisz – odparłem. – Choćby udało ci się wystrzelić, choćby łuk się nie złamał i choćby wiatr zrobił poprawkę twojego słabego celowania, przekonasz się, że nasze płaszcze trudno przebić, nawet strzałą.

– Potrzebowałbyś większego łuku – odpowiedział usłużnie Brasti. – Długi pewnie by wystarczył. Sześciostopowy byłby idealny. Jeżeli będziesz miał wybór, zdecyduj się na cisowy.

Spojrzałem na niego groźnie.

– No co? – spytał. – Nie chcę nikogo zrażać do nauki łucznictwa.

– Nie jestem przekonany – powiedział trubadur. – Każdy człowiek może sprawić sobie okrycie, które wygląda jak wielki płaszcz, jeśli tylko ma pieniądze.

– Wydaje mi się to kiepskim wykorzystaniem funduszy – powiedział Kest. – Ponieważ stałoby się to powodem, dla którego tenże człowiek najprawdopodobniej straciłby życie.

– Nigdy nie twierdziłem, że jesteście mądrzy. Podaj mi trzeci powód albo odejdźcie i ocalcie swoje życie.

– W porządku – powiedziałem. – Trzecim powodem jest to, że nazywam się Falcio val Mond. Tak właśnie. Fal-ki-o. Nie Fal-si-o. „Val” oznacza w staropertyńskim czyjegoś potomka, podczas gdy

„dal” w ogóle nie jest słowem. Nie kłopotałbym się całą resztą, z wyjątkiem tego, że jestem pierwszym kantorem Wielkich Płaszczy, a ty jesteś w posiadaniu monety przysięgłego i jeżeli nie podasz mi naprawdę dobrego powodu, dla którego tak jest, zamierzam pobić cię prawie na śmierć tą gałęzią, którą trzymasz w ręce. A na koniec wepchnę ci ją w tyłek. I co, podoba ci się mój powód? – Wydobyłem rapier. – A skoro już się nad tym zastanawiasz, powiedz swojej przyjaciółce, która czai się w krzakach za stodołą, że jeśli chce zachować palce, aby nadal móc grać na gitarze, niech lepiej rzuci na ziemię sztylet, który dzierży w dłoni.

Trubadur wyglądał na przerażonego.

– Ja... Twoje argumenty są bardzo przekonujące. Zaraz... naprawdę jesteś Falsiem z opowieści?

– Dość tego – ruszyłem w stronę stodoły. – Zabiję go.

Brasti położył dłoń na moim ramieniu.

– Owszem, jest. Oto wielki Falsio Bal Jond. Dlatego zejdź tu i powiedz nam, skąd wzięłeś tę monetę, a potem wszyscy będziemy mogli spokojnie wrócić do naszych szynkarek... to znaczy do łózek.

Kobieta wychynęła zza krzaków, trzymając przed sobą sztylet.

– Byłam za potrzebą – powiedziała tonem, który brzmiał, jakby chciała, abym się z nią nie zgodził.

Chwilę później bard był już na dziedzińcu wraz z nami. Nadal trzymał łuk, a na jego twarzy malowało się coś między wstydem a przerażeniem.

– Czy to naprawdę ty? – spytał.

Skinąłem głową.

– Myślałem... w opowiadaniach wydawałeś się wyższy.

– To by było tyle o bardattich – skomentował Kest.

– To bardziej artystyczny przekaz – powiedział mężczyzna.

Zauważyłem, że słysząc jego słowa, kobieta zmrużyła oczy.

– Widzisz? – powiedział Brasti. – Mówiłem ci, że to poeta.

– Jak masz na imię, gawędziarzu? – spytałem.

– Colwyn – wyciągnął do mnie rękę. – A ta cudowna kobieta to lady Nehra.

– Po prostu Nehra – poprawiła go.

Uścisnąłem dłonie im obojgu, pomimo moich zastrzeżeń. Byłem ciekaw, co łączy tych dwoje, ale trzymałem się głównego tematu.

– Cóż, Colwynie, zobaczmy ją.

– Co takiego?

– Monetę, niech to szlag!

– Ach – sięgnął do kieszeni spodni i wręczył mi ją. – Możesz ją zatrzymać, jeśli chcesz. Za wszystkie swoje kłopoty.

– Oddałbyś tak po prostu złotą monetę Wielkich Płaszczy? – Kest po raz pierwszy wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Ach, nie, to miedziana jaskółka z Hervoru. Jeżeli zostawicie ją na noc w soku z miechunki, nabiera złotego koloru. Trzeba ją tylko trochę poskrobać, widzicie? Wygląda to prawie jak korona z przebijającym ją mieczem, jeżeli człowiek nie przygląda się zbyt uważnie – trubadur sięgnął znów do kieszeni. – Posłuchajcie, mogę dać każdemu z was po jednej, jeśli chcecie. Potrafię zrobić dziesięć takich naraz. Potrzebuję tylko więcej miedzianych jaskółek.

– A po co ci więcej niż jedna? – spytał Kest.

Colwyn uniósł monetę w górę i uśmiechnął się.

– Ze względu na kobiety, rozumiesz? Bierzesz taką do łóżka i obiecujesz, że po nią wrócisz. Prosisz ją, aby tymczasem

przechowała twoją monetę przysięgłego. To sprawia, że czują się kimś niezwykłym.

Brasti chwycił jedną z monet, spojrział na nią, a potem pokazał ją Kestowi i mnie.

– Zdajecie sobie sprawę, co moglibyśmy zrobić za pomocą kilku z nich? – spojrział na trubadura i uściskał go. – Zaiste jesteś prawdziwym bardattim.

– A co z historią? Co ze mną? – spytałem. – Dlaczego ją przekreśliłeś?

– Ach, to. Cóż, przepraszam, jeżeli cię tym uraziłem, ale... cóż, stara opowieść była bardzo heroiczna, ale ta jest z kolei zabawna, zaś więcej śmiechu oznacza większą zapłatę. Może mógłbyś mi powiedzieć, w których momentach się mylę? Trudno jest zgromadzić wszystkie fakty, a prawda zawsze brzmi bardziej... no wiesz...

– Prawdziwie? – podpowiedział Kest.

– No właśnie.

– Ale skąd znasz tę historię? – spytałem. – Chodzi mi o oryginał, z Rijou. Jeżeli cię tam wtedy nie było, gdzie o tym usłyszałeś.

– Historię o Falsiu na Skale?

– Falciu – poprawiłem. – Fal-ki-u.

– Ach, no tak, przepraszam. Cóż, krąży już od tygodni. Nieczęsto w tych czasach słyszymy dobre opowieści o Wielkich Płaszczach. Niektórzy z wioskowych kmiotów lubią tego typu historie. Trzeba tylko być ostrożnym, żeby nie wpadły w ucho niewłaściwym osobom: rycerzom, ludziom księcia i takim tam. – Poklepał mnie po ramieniu. – Powinieneś być z siebie dumny! Za to, czego tam dokonałeś, czegokolwiek tam dokonałeś tak

naprawdę. Opowieści podróżują szybciej niż złodziej na dobrym koniu. Niedługo staniesz się sławny!

– A konkretnie Falsio stanie się sławny – Brasti uśmiechnął się z przekąsem.

– Jaki jest morał tej historii? – spytałem.

– O co ci chodzi? To po prostu dobra opowieść i tyle – odparł Colwyn.

– No tak, ale jaki jest...? Chodzi o to, co ludzie wynoszą z tej opowieści.

– Ach, to zależy od gawiedzi. Przypuszczam, iż większość uznaje, że kiedyś pojawisz się w ich stronach, walcząc o sprawiedliwość, i no wiesz, zabijesz wszystkich diabelskich książąt i takie tam.

– Zabiję książąt?

– Cóż, w końcu zabiłeś księcia Rijou, nieprawdaż? Obciąłeś mu głowę tym swoim szerokim mieczem.

– Rapierem – skorygował Kest. – Falcio walczy rapierami.

Trubadur wydawał się zdezorientowany.

– Nie wiem, jakim cudem mógłbyś uciąć komukolwiek głowę rapierem. Jest chyba za lekki na takie rzeczy, prawda?

Chwyciłem go za ramiona.

– Powiadasz mi, że jeździsz po całym kraju, opowiadając ludziom, że zabiłem Jillarda, księcia Rijou?

– Nie tylko ja. Wszyscy trubadurzy w tej chwili opowiadają tę historię. Oczywiście nie w miastach, ale na wsiach owszem. Kmiotkowie czują się przez to dużo lepiej.

– Ale Jillard żyje! – powiedziałem.

– A kogo to obchodzi? Jak uważasz, kiedy ostatnio księżę Rijou

udał się na spacer po wiosce w sercu Aramoru? Cholera, nawet sam książę Isault nie bywał tu całymi latami, chociaż to jego ziemie. Zabiłem wielu lordów i książąt. Kiedyś nawet zabiłem samego króla, raz czy drugi. Ludzie lubią dobre historie o arystokratach, którzy zostają zamordowani i takie tam.

– Ale arystokraci ich nie lubią – odparłem.

– Nie przejmuj się Falsiem – Brasti uśmiechnął się do mnie krzywo. – Chodź, znajdziemy sobie dzban tego przedniego piwa i opowiesz mi więcej o kobietach, które kochają monety Wielkich Płaszczy.

Colwyn uśmiechnął się do niego porozumiewawczo i przez chwilę miałem wrażenie, że jestem świadkiem spotkania braci, których życie rzuciło na krańce świata. Ruszyli w kierunku gospody.

– Będę miał na niego baczenie – powiedział Kest i poszedł za nimi.

Darriana ziewnęła.

– Cholera. Trzy dni bez wypoczynku, ale przypuszczam, że nie możemy się tu zatrzymać na noc. Chodź, śliczna ptaszyno – powiedziała do Valiany. – Lepiej zbierzmy rzeczy i szykujmy konie.

Z tymi słowy one również udały się do gospody, zostawiając mnie sam na sam z kobietą zwaną Nehrą.

– Jesteś głupcem, Falcium val Mondzie, wiesz o tym?

– Owszem, wiem – odparłem. – Ale dlaczego konkretnie w tej chwili? Mieliśmy pozwolić się zabić tym ludziom?

– Nie chodzi o to, tylko o Carefal – odparła. – Wykonałeś brudną robotę dla Isaulta... jak możesz być taki głupi?

– Wiesz, zaczynam rozumieć, dlaczego Colwyn wypowiada się

podczas występów za was oboje.

– Colwyn również jest głupcem – odparła wzgardliwie. – Jednak w przeciwieństwie do ciebie jest nieszkodliwy. Nie inicjuje wojen domowych.

– Usiłowałem powstrzymać jedną z nich.

Nehra prychnęła.

– W takim razie...

– Przestań nazywać mnie głupcem i powiedz mi to, co przyszłaś mi powiedzieć. Na wszystkich świętych! Sądziłem, że bardatti mają opowiadać historie, a nie obrzucać ludzi obelgami.

Uniosła jedną brew.

– Po raz drugi okazujesz swoją ignorancję. Proszę, zrób to po raz trzeci. Bogowie lubią trójce.

– W porządku. Widzę jedną z bardattich jeżdżącą po kraju z fałszującym niemiłosiernie trubadurem, opowiadającą historie, a przy okazji, jak zaczynam uważać, śledzącą mnie i moje ruchy.

– Hmm... – powiedziała. – To nie wystarczy. Wygląda na to, że jednak masz odrobinę rozumu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Bardatti opowiadają historie, to prawda, a ty zbyt je lekceważysz. To opowieści, które inspirują ludzi do przemiany, które sprawiają, że ci zaczynają wierzyć w lepsze życie. Jednocześnie bardatti również kolekcjonują historie. Nasza praca polega na przemierzaniu kraju i zapisywaniu wszelkich poważnych zmian w słowie, podobnie jak wy, trattari, wprowadzaliście prawo w życie.

– Nie nazywaj nas trattari – ostrzegłem.

– Widzisz? Wy, Wielkie Płaszczce, nie znacie nawet swojej

własnej historii. Słowo „trattari” nie jest obraźliwe. To dawna nazwa jednego z wyższych zakonów. Tak jak bardatti, rangieri albo...

– Trattari oznacza poszarpaną pelerynę.

– Dokładnie tak samo jak „bardatti” oznacza złamany głos. To nasza honorowa odznaka. Podróżujemy tak długo i śpiewamy z taką pasją, że nasze głosy wreszcie łamią się z przeczerpania.

„A Wielkie Płaszczce walczą w imieniu prawa, dopóki ich płaszcze nie podrą się na strzępy”. Nigdy nie słyszałem tego wyjaśnienia, ale brzmiało rozsądnie.

– Zostałaś tu więc, żeby udzielić mi lekcji historii? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie, tylko ostrzeżenia. Zostałeś podstępem wciągnięty w stłumienie tamtego buntu.

– Wiem o tym.

– Corwyn zaczął zmieniać twoją opowieść nie bez powodu, wiesz? Historie rozprzestrzeniają się bardzo szybko i wkrótce ludzie zaczną opowiadać sobie o tym, jak to Falcio val Mond popiera książąt i rycerzy zamiast prosty lud. I nie martw się, tym razem nie przekręcą twojego imienia.

Przez chwilę zastanowiłem się nad jej słowami. Prawdopodobnie miała rację, ale to nie miało znaczenia.

– Ten sam prosty lud opuścił nas, gdy król umarł, a za jego życia też ledwie nas wspierali. Jaką to zrobi nam różnicę?

Nehra zaśmiała się.

– Ach, widzisz, i tu jest ten trzeci dowód na głupotę, który mi obiecałeś. Ludzie potrzebują w coś wierzyć, Falcio. Król nie żyje, książęta są tyranami, a ostatnia idea, w której mogli pokładać

jeszcze nadzieję, czyli Wielkie Płaszcze, również okazuje się bezużyteczna. Jak wiele czasu, twoim zdaniem, upłynie, zanim zaczną domagać się, aby ktoś, ktokolwiek, przejął władzę? Nawet Trin. Może ktoś dużo gorszy.

– Nie ma nikogo gorszego od Trin – powiedziałem z żarem.

Nehra potrząsnęła głową i westchnęła.

– I na tym polega problem z wami, trattari. Nie znacie swojej własnej historii. Zawsze istnieje ktoś gorszy, Falcio, i zazwyczaj jest to ostatnia osoba, po której byś się tego spodziewał.

ROZDZIAŁ 20

KSIAŻĘ LUTH

– Szkoda, że go zabiłeś, Wasza Królewska Mość – powiedziałem do drżącego króla Paelisa, gdy spojrzeliśmy w dół na martwego człowieka leżącego na podłodze, odzianego w purpurowy, lamowany srebrem tabard królewskich gwardzistów. Nieżyjący był mniej więcej w moim wieku. Jego jasne włosy otaczała aureola krwi wypływającej z rany.

Była to pierwsza próba zamordowania króla. To znaczy, technicznie rzecz biorąc, druga, ponieważ ja próbowałem go zabić jako pierwszy. Paelis zasiadł na tronie zaledwie kilka miesięcy temu.

– Wolałbyś, żeby on zabił mnie? – Paelis nadal trzymał w dłoni stołowy nóż, którym dźgnął królobójcę w gardło, gdy ten go zaatakował.

– Wolałbym, żeby był ranny, lecz nadal żył. W ten sposób moglibyśmy go przesłuchać.

– Masz na myśli torturować?

– Bardzo stanowczo go wypytać – odparłem.

Nie podobała mi się idea tortur, a poza tym Paelis natychmiast

ich zabronił, kiedy został królem. Kiedykolwiek ktoś poruszał ów temat, zawsze wyciągał pewną książkę, którą zawsze miał przy sobie, a która twierdziła – nader skutecznie, moim zdaniem – że człowiek poddany torturom powie wszystko, byle tylko oszczędzić sobie bólu. Wszystko poza prawdą.

– Musimy się dowiedzieć, kto go tu przysłał, Wasza Królewska Mość.

– Kto go przysłał? A kogo to obchodzi? – król rzucił nóż na ziemię. – Książę Jillard albo książę Perault, a może księżna Patriana? Wątpię, żeby dobra Bogini Miłości przejmowała się takimi drobiazgami, kiedy pojawię się, stukając do jej drzwi.

Zdziwiła mnie jego nonszalancka postawa.

– Nie sądzisz, że to ma znaczenie?

– Oczywiście, że ma, Falcio, ale i tak dowiemy się wkrótce.

Pomyślałem o śledztwie, jakie musiałbym podjąć, żeby znaleźć zleceniodawcę asasyna. Musiałbym dowiedzieć się, kto rozmawiał z tym człowiekiem, skąd pochodził, na jakim koniu przyjechał. Potem, kiedy już prześledziłbym wszystkie jego ruchy, mógłbym zacząć pracować nad tym, kto go zatrudnił, a później... wszystko to zajęłoby mi całe miesiące.

– Ha! – król roześmiał się, widząc moją minę. – Spójrz na siebie, Falcio. Zupełnie jakby tylko Wielkie Płaszczce potrafiły załatwiać różne sprawy. Kto by pomyślał, że jesteś tak zarozumiały?

– Jeżeli nie my, w takim razie kto?

Król podszedł do okna.

– Szpiedzy – odparł. – Dostanę raport, i to wkrótce, na temat tego, który książę, lord czy baron wysłał tego człowieka.

To mnie zaskoczyło.

– Musiałbyś mieć do tego bardzo wielu szpiegów.

Król odwrócił się i poklepał mnie po ramieniu.

– Falcio, mam pięciokrotnie więcej szpiegów niż Wielkich Płaszczy w każdym książęcym pałacu, w każdej lordowskiej rezydencji... mam szpiegów wszędzie!

– A książęta? – spytałem. – Czy mają tutaj swoich szpiegów?

– Oczywiście. Pulnam, Domaris, Orison, nawet twoje rodzinne księstwo Pertynii – wszyscy tu są. Przysięgam, że szpiegostwo to nasz narodowy produkt.

– W porządku. Zatem dowiedzmy się, kto chciał cię zabić, a potem będziemy mogli...

– Będziecie mogli co? – król znów odwrócił się od okna i spojrzał na mnie.

– Pojadę razem z Kestem i zabijemy tego drania.

Król potrząsnął głową.

– Nie, nie zrobicie tego.

– Mówisz poważnie? Nie pozwolisz nam ukarać księcia lub lorda stojącego za próbą królobójstwa?

– Księcia. To musiał być któryś z nich. Większość lordów mnie nienawidzi, ale książąt nie cierpią niemal równie mocno.

Poczułem, jak wzbiera we mnie gniew.

– Zatem stawiasz książąt ponad prawem?

– Oczywiście. Książęta są ponad prawem, Falcio. Podobnie jak ja. Uważasz, że mógłbyś mnie aresztować?

– Jeżeli popełniłbyś morderstwo, kradzież lub gwałt, to owszem, tak, do diabła! Zaresztowałbym cię.

Król rozłożył ręce.

– Jeśli któryś z książąt popełniłby morderstwo, kradzież lub

gwałt, mógłbyś pojechać i postawić go przed sądem. Ale nie możesz zaaresztować ich za żaden akt wykonany zgodnie z wytycznymi ich urzędu.

– To nie ma sensu.

– Właśnie że ma. Jeżeli natkniesz się kiedyś na księcia lub księżną, którzy usiłują mnie zamordować z własnej nikczemności, pozwalam ci ich zaaresztować. Jeżeli jednak chcą mnie zabić, ponieważ piastując książęcą godność, uznali za konieczne pozbycie się mnie, dla dobra ich księstwa, wtedy nie możesz ich aresztować.

Czułem się wypruty z energii. Jaki jest sens we wszystkich naszych dyskusjach o odtworzeniu instytucji Wielkich Płaszczy – nowego zakonu wędrownych trybunów, którzy nieśliby sprawiedliwość do wszystkich miast i wiosek Tristii – skoro nie mogliśmy tknąć samych książąt?

– Sprawiedliwość musi stać się rzeką, Falcio – powiedział król, jakby wyczuwając moje rozczarowanie. – Zawsze w ruchu, nieustannie pokonującą kamienie i inne przeszkody stojące jej na drodze. Nie może być jak miecz, który roztrzaska się, kiedy uderzysz nim w kamień.

– W takim razie może powinniśmy zaopatrzyć Wielkie Płaszcze w łódki, a nie w miecze.

Król zignorował mnie, co było nieco dziwne, ponieważ zazwyczaj szybko ripostował, zawsze będąc zwolennikiem humoru w ogóle rzecz biorąc, a swojego własnego w szczególności.

– Boisz się książąt – powiedziałem po chwili.

– Boję się? Nie, Falcio, nie boję się. Ja jestem nimi przerażony. Arystokracja, nad którą mam władzę, chociaż to zabawna idea, jest nieodpowiedzialna, despotyczna i bezwzględna.

– Obawiasz się, że nie podołasz? Nie sądzisz, że bylibyśmy w stanie ukarać księcia, który powążył się wysłać tego człowieka? Czy to dlatego nie chcesz z nimi walczyć?

Król spojrział na mnie i wybuchnął śmiechem.

– Tak właśnie myślisz? Że nie wierzę w to, aby udało mi się zabić któregokolwiek z nich, gdybym chciał? – Podeszedł do mnie i położył dłoń na moim ramieniu. – Falcio, mógłbym zabić ich wszystkich w ciągu tygodnia. Cholera! Mógłbym nawet doprowadzić do tego, że każdy z nich skonałby w swojej własnej sali tronowej w tej chwili, w której wydałbym taki rozkaz. Mógłbym ich całkowicie wyeliminować, Falcio: i nie tylko każdego księcia, lorda, barona, ale również ich żony, dzieci i cały ród. Wymazać ich z historii na zawsze. Muszę tylko o to poprosić.

Nagle Paelis przestał być królem, z którym się przyjaźniłem – człowiekiem, z którym marzyłem o innej, lepszej przyszłości dla naszego kraju. Zmienił się w chudego, przerażonego chłopca, wystraszonego i rozgniewanego poza wszelką granicę. W ciągu miesięcy naszej znajomości oczarowały mnie jego intelekt, dobry humor i głębia ideałów. Nigdy nie bałem się króla Paelisa – aż do tej chwili.

Dziwna to rzecz, gdy dzień przechodzi w noc. Byliśmy w podróży od północy, uznawszy, że najlepiej będzie oddalić się z miejsca walki jak najszybciej. W ciemnościach mogliśmy sobie pozwolić na luksus dość częstego zatrzymywania się, żeby zacierać nasze ślady, ale po bitwie zawsze nachodzi człowieka zmęczenie i ostatecznie ciało musi się poddać. Na krótko przed świtaniem dotarliśmy do lasu

rosnącego po południowej stronie jednej z bocznych dróg. Planowaliśmy przespać większość dnia i znów podróżować przez całą noc, aż dotrzemy do stolicy Luth.

Budziliśmy się od czasu do czasu podczas pierwszych godzin po wschodzie słońca. Słyszałem, jak inni wstają co jakiś czas, zmieniając się na czatach lub odchodząc na bok, aby sobie ulżyć. Bardzo możliwe, że słyszałem również Brastiego i Darrianę uprawiających seks, chociaż miałem nadzieję, że był to tylko koszmar senny. W którymś momencie koło południa obudziłem się na dobre i znów nie mogłem się ruszyć. Przez pierwsze kilka minut byłem spokojny, ale kiedy paraliż nie mijał, zacząłem panikować. Starłem się z całych sił otworzyć oczy, wydać z siebie jakiś dźwięk, ale zyskałem jedynie tyle, że mój oddech gwałtownie przyspieszył i zaczęła mnie ogarniać histeria. Każdy mógł się teraz do mnie podkraść i poderżnąć mi gardło, albo gorzej – ludzie Trin nie musieliby się nawet specjalnie zakradać do naszego obozu. Kiedy wreszcie zjechaliśmy z drogi, Valiana była wyczerpana. Nie przywykła do takiego stylu życia.

„Niech cię licho, Brasti. Niech cię pochłoną wszystkie te piekła, na które zasługujesz, jeżeli zaniedbałeś pilnowanie obozu. Niech licho porwie Darrianę, jej gierki i sekrety. Podobnie jak moją własną słabość. Strach zmienił się w panikę, zaś panika w szaleństwo, które pochłonie mnie w całości. Nie jestem pewien, co by się ze mną stało, gdybym nie poczuł ciepłej dłoni na piersi i nie usłyszał głosu Kesta.

– Jesteś bezpieczny – powiedział. – Jestem tutaj.

Przez chwilę wstrząsały mną drgawki, jednak stały nacisk jego dłoni powoli, ale skutecznie uspokoił mnie.

– Leżysz tak od prawie dwóch godzin, jeżeli się zastanawiałeś. Nie sądzę, żeby miało to potrwać dłużej.

Dwie godziny. Ostatnim razem, kiedy Kest trzymał przy mnie straż, byłem sparalizowany tylko przez godzinę. Ile czasu dała mi Krawcowa? „Jeżeli wyjedziesz natychmiast, może zdążysz jeszcze zobaczyć zachód słońca na wyspach”. Poczułem, że znów panikuję, ale Kest, zawsze doskonały taktyk, zaczął opowiadać mi o wszystkim i o niczym. Opisał mi drzewa w lesie, wyjaśnił swoją teorię, dlaczego były bardziej szare niż w Pulnamie, mimo że Pulnam było znacznie bardziej suche i leżało bliżej pustyni. Opowiedział mi o wszystkich zwierzętach i robakach, które pojawiły się w zasięgu wzroku podczas naszego postoju.

– Aha, a poza tym jestem niemal pewny, że Brasti i Darriana uprawiali seks, kiedy on miał stać na czatach. Chociaż przypuszczam, że być może Darriana chciała się tylko upewnić, że Brasti nie zaśnie.

Dobiegło mnie ciche chichotanie, które brzmiało zadziwiająco podobnie do mojego głosu, a przynajmniej tak sobie wyobrażałem mój głos, gdy będę starym człowiekiem, chociaż to oczywiście nigdy nie nastąpi. Białe światło przedzierające się przez szarozielone listowie dotarło do moich oczu.

– Zaczynasz wracać do siebie – powiedział Kest. – Nie próbuj się jeszcze poruszać.

Rozpłakałem się, sięgając pozbawioną czucia dłonią, i pociągnąłem go za ramię. Chciałem wyrazić wdzięczność, powiedzieć mu, jak wiele znaczy dla mnie jego przyjaźń, ale gdzieś pomiędzy tym pierwszym wysiłkiem, do którego zmusiłem mięśnie, i chwilą, w której pochylił się nade mną, żeby lepiej mnie usłyszeć,

cały ciężar tego świata zwałił się na mnie jak lawina.

– Chcę ich zabić, Kest. Chcę zamordować każdego drania, który usiłuje zabić Aline.

– To może być całkiem spora grupa – powiedział łagodnie.

– W takim razie zacznę od pieprzonego księcia Luth i zobaczę, dokąd mnie to zaprowadzi.

Kest wsunął ostrożnie dłonie pod moje ramiona i pomógł mi się podnieść. Oparł mnie o drzewo i otrzepał moje ubranie z ziemi i liści.

– Czy tego właśnie chciałby król? – spytał.

– Nie wiem już – odparłem. – Nie jestem nawet pewny, czy nadal mnie to obchodzi.

Kest wstał.

– Przyniosę ci coś do jedzenia – powiedział. – Jest wczesne popołudnie i mamy jeszcze mnóstwo czasu, zanim zapadnie zmrok. Dzieli nas zaledwie kilka godzin jazdy od pałacu Roseta. Zanim tam dojedziemy, musisz zdecydować o tym, jakiego rodzaju ludźmi chcesz, żebyśmy się stali.

Niepokojące słowa Kesta sprawiły, że zacząłem rozmyślać o Rosecie, księciu Luth. Czy rzeczywiście pozwolił swoim ludziom, aby pomogli asasynom Trin? Czy Krawcowa miała rację i świat zmierzał nieodwracalnie ku temu, by tron objęła szalona kobieta, która pograży cały kraj w ruinie i chaosie?

„Zapomnij o tym”, powiedziałem sobie i oparłem głowę o chropowatą korę pnia. Bez względu na to, czy książę Roset nakazał swoim ludziom wesprzeć Trin, czy też zwyczajnie był na tyle słaby, że oni sami zdecydowali się na taki krok, jego rycerze usiłowali zabić córkę mojego króla. Wkrótce dotrzemy do

książęcego pałacu w Luth i ten drań będzie się musiał przede mną wytłumaczyć. Po raz pierwszy nie zastanawiałem się nad tym, czy będzie chciał ze mną rozmawiać. Umierałem. Mój kraj umierał. Dziewczyna, którą przysięgałem chronić, rozpadała się na tysiąc kawałków, a ja sam czułem, że resztki mojej zdolności rozpoznawania dobra i zła rozlażyły się niczym sfatygowany szew. Od wyjazdu z książęcego pałacu w Aramorze bezustannie zadawałem sobie pytanie, czy to możliwe, że Winnow, jedna z Wielkich Płaszczy, mogła zostać nakłoniona do popełnienia morderstwa. Teraz przestałem.

Sześć godzin później zaczęliśmy wspinaczkę po stromiźnie południowej ściany pałacu Luth. Chociaż żaden ze mnie uzdrowiciel, jestem pewny, że gdyby takowy był wśród nas, odradzałby tego typu aktywności mężczyźnie w moim stanie.

– Nie spadnij – szepnął Brasti, czekając aż do niego dotrę. Siedział na kamiennym kroksztynie i machał nogami. – Chociaż mógłbyś się trochę pospieszyć. Nie mamy całej nocy.

„Święta Marto Która Potrząsas Lwem, dodaj mi tyle sił, żebym zdołał pokonać jeszcze tych kilka cali, złapać Brastiego za nogę i pociągnąć go za sobą na pewną śmierć. Chyba nie proszę o zbyt wiele?”

Sięgnąłem kolejnej szczeliny między kamieniami. Uchwyty (jeden z bardziej użytecznych wynalazków króla), które na szczęście miałem w płaszczu, sprawiały, że moja wspinaczka, w innym przypadku samobójcza, była w tej chwili zadaniem zaledwie ryzykownym i trudnym. W mroku widziałem ciemniejsze

kszały pozostałych, wspinające się mozolnie na szczyt muru. Kest poruszał się powoli, ale z wrodzoną gracją, która sprawiała, że moje niezgrabne ruchy wydawały się szczególnie niezdarne.

Spodziewałem się, że wyprzedzi mnie Kest, ale to Darriana była na czele naszej grupy. Wspinała się z zadziwiającą łatwością, często przeskakując z podparcia jedną stopą, chwytając się w przelocie jakiejś szczeliny między kamieniami po to, by rozbujać się na jednej ręce, drugą wyciągając do kolejnego występu – a wszystko to z szybkością, która sprawiała, że Kest wyglądał przy niej niczym amator. Spędziłbym z ochotą więcej czasu, zachwycając się jej umiejętnościami, gdyby nie fakt, że moje własne palce zaczęły drętwieć i obawiałem się ześlizgnięcia.

– Nie, zaczekaj! – szepnął Kest.

Spojrzałem w górę w samą porę, aby ujrzeć, jak Valiana usiłuje powtórzyć skok Darriany. Lekkomysłny manewr sprawił, że straciła podparcie i chwyt. „Święci, przecież ona zaraz spadnie!” Valiana zaczęła się zsuwać po pochyłości w moim kierunku. Ćwiekowanymi uchwytami drapała kamienie. Zacisnąłem rozpaczliwie swoje własne z nadzieją, że okażą się wystarczająco silny, aby utrzymać Valianę, kiedy jej stopy trafią wreszcie na moje barki. Kestowi udało się przesunąć w samą porę, by chwycić ją lewą ręką za płaszcz na grzbiecie, stabilizując Valianę wystarczająco, aby zdołała sama odnaleźć punkt zaczepienia na kamiennej ścianie. Kilka sekund później skinęła głową do Kesta i zaczęła się znów wspinać.

„Przeklęta idiotka!” Gotowałem się w środku, teraz gdy bezpośrednio niebezpieczeństwo już jej nie zagrażało. „Przestań naśladować tę cholerną Darriane!”

Strach i zmęczenie sprawiły, że mój oddech stał się chrapliwy i urywany. Skoncentrowałem się: musiałem dotrzeć na górę w jednym kawałku. Kamień po kamieniu, mozolnie pięłem się w górę, docierając do krawędzi jednego z krenelaży. Zostałem tam całą resztę.

– Zamierzasz się w końcu kiedyś do nas przyłączyć? – spytała Darriana szeptem.

– Rozkoszuję się po prostu nocnym powietrzem – odparłem, sięgając zupełnie już zdrętwiałą prawą ręką szczytu ściany. Kiedy nie zdołałem się go uchwycić, Kest sięgnął w dół i złapał mnie za nadgarstki, pomagając mi wciągnąć się na górę.

– Coś jest nie tak – powiedział, gdy tylko dołączyłem do reszty.

– Wszystko ze mną w porządku – odparłem. – Przestań być takim...

– Nie chodzi o to. Byliśmy zbyt powolni.

Rozejrzałem się, spodziewając się widoku tuzina zbrojnych biegnących w naszym kierunku. Nie dostrzegłem nikogo. Brasti prychnął.

– Święty od Mieczy jest niezadowolony, ponieważ jeszcze nie zostaliśmy zaatakowani przez oddział strażników.

Kest pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. Wspinaczka zajęła nam zbyt dużo czasu. Wartownicy powinni już do tej pory wrócić z obchodu.

Miał rację. Prawie pół godziny wspinaliśmy się na szczyt muru, a z wcześniejszych obserwacji wiedzieliśmy, że strażnicy przechodzili tędy co dwadzieścia minut. „Więc gdzie oni są?”

– Później możesz to zgłosić ich przełożonym – powiedział Brasti. – Przestań narzekać za każdym razem, kiedy uda się nam

uniknąć śmierci i innych przykrości.

– Brasti ma rację – zawyrokowałem. Księżę Luth później będzie się martwił kiepską służbą swoich ludzi. My powinniśmy być wdzięczni za te dodatkowe dziesięć minut. – Chodźmy. Zróbmy to, po co przyszliliśmy.

Ruszyliśmy wzdłuż parapetu. Dom księcia Roseta przypominał bardziej fortecę niż pałac, wskazując zarówno na militarne pretensje księcia, jak i jego troskę o własne bezpieczeństwo. „Cóż, nie mogę cię za to winić, Wasza Łaskawość, zważywszy, że zamierzamy właśnie temu zagrozić”.

Dotarliśmy właśnie do schodów prowadzących w dół, na najwyższe piętro pałacu, kiedy Valiana chwyciła mnie za ramię. Odwróciłem się i dostrzegłem na jej twarzy wyraz potwornego wstydu.

– Przepraszam, Falcio. Mogli nas złapać przeze mnie.

Część mnie chciała ją złajac i wypomnieć, że jest niedoświadczona i lekkomyślna. Chociaż była to prawda, uderzyło mnie coś poważniejszego.

– Nie krzyczałaś – powiedziałem.

– Ja... Ja nie rozumiem.

– Kiedy zaczęłaś się ześlizgiwać w dół, nie krzyknęłaś. Większość ludzi, bez względu na to, jak bardzo są doświadczeni, krzyknęłoby chociaż raz, gdyby poczuli, że spadają. Ty tego nie zrobiłaś.

Uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością i odwróciła się w stronę schodów.

Znów zamyśliłem się nad odwagą i determinacją tej dziewczyny. „Święci”, pomyślałem, „pewnego dnia może zostać

najznamienitszym z nas Wielkim Płaszczem”. Oczywiście ja z dużym prawdopodobieństwem nie dożyję tej chwili.

W ciągu kolejnych trzydziestu minut przemykaliśmy się szybko i cicho przez pałac, aż dotarliśmy do skrzydła, w którym znajdowały się prywatne pokoje księcia Roseta. Udało nam się zostawić za sobą strażników zbyt leniwych lub niezbyt dobrze wyćwiczonych, aby wyglądać kogoś, kto wiedział, jak bezszelestnie poruszać się pod osłoną cienia. Wielkie Płaszcze lwiał część swojego życia spędzały, przemykając się do i z przeróżnych warowni, dworów, więzień i równie dobrze strzeżonych budynków. Taka już nasza praca. Luth miało całą armię służących, strażników i gwardzistów, pasowanych na rycerzy i nie, ale okazało się, że żaden z nich ani nie przeszedł takiego treningu jak my, ani też nie miał wystarczającego doświadczenia. Żaden z nich nie widział, kiedy weszliśmy do prywatnego skrzydła Roseta. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy przedostać się do najgłębiej położonych korytarzy pałacu, prowadzących wprost do sypialni księcia Luth i wbić mu nóż w serce. Wszystko to było zbyt proste.

– Coś jest nie w porządku – powiedziałem.

– Co masz na myśli? – spytał Brasti.

– Kest miał rację. Nikt nie jest na swoim miejscu. Widzę jednego gwardzistę pilnującego drzwi, kiedy powinno ich być dwóch. Po drodze zauważyłem kilku dworzan biegnących korytarzami jak kot z pęcherzem. Rycerze chodzą w sześciuosobowych patrolach. Szukają kogoś, ale niezbyt skutecznie. Są przestraszeni.

Stało się oczywiste, że chaos powoli zaczął ogarniać cały pałac. Poruszaliśmy się bezszelestnie przez kolejne korytarze i puste pokoje, trzymając się z daleka od gwardzistów, aż wreszcie zatrzymaliśmy się w małej izdebce służącego, która wyglądała na rzadko używaną. Brasti przyłożył ucho do drzwi, nasłuchując.

– Co się dzieje? – spytałem.

Uniósł palec, uciszając mnie, i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że zza drzwi dobiegają czyjeś głosy. Rapier trzymałem już dawno w pogotowiu, ale teraz wyciągnąłem jeszcze nóż, gotowy rzucić nim w pierwszą osobę, która wejdzie do środka. Po kilku minutach głosy przycichły i usłyszeliśmy oddalające się kroki.

Brasti odwrócił się do nas.

– Chyba wiem, dlaczego wszystko wydaje się tak chaotyczne.

– Dlaczego mianowicie? – spytała Valiana.

– Wygląda na to, że przybyliśmy za późno. Księżę Roset już nie żyje.

RAMIĘ KRÓLA

Darriana weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, ostrożnie poruszając się pomiędzy stosami naczyń i obrusów i unikając wpadnięcia na coś, co mogłoby ściągnąć na nas uwagę mimo harmidru panującego na korytarzach pałacu Luth.

– To, co się tam dzieje, to szaleństwo – powiedziała niemal z radością. – Przypuszczam, że rozumiecie, dlaczego tak łatwo przyszło nam się tutaj włamać.

– Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że poszło nam łatwo – Valiana nadal masowała sobie dłonie. – Myślałam, że spadnę i umrę.

– I tak właśnie smakuje życie, śliczna ptaszyno – Darri uśmiechnęła się szeroko.

– Wydostanie się stąd będzie problemem – powiedział Kest. – Powinniśmy zniknąć. Przemknięcie obok gwardzistów nie będzie w tej chwili wcale takie łatwe.

– Nie – powiedziałem, uważnie zawiązując sakiewkę z talkiem do wspinaczki i wsadzając ją do wewnętrznej kieszeni. – Musimy się najpierw dowiedzieć, co stało się z Rosetem.

– Usiłujesz nas zabić? – spytał Brasti, chwytając mnie za poły płaszcza. – Książę Luth zginął, a cała nasza piątka zostanie schwyтана w pałacu? Naprawdę sądzisz, że znajdzie się kolejny miły komandor, taki jak Shuran, który postanowi wziąć naszą stronę?

– Pomyśl o tym – odepchnąłem jego dłonie. – Książęta Aramoru i Luth byli wrogami, więc osobą, która najchętniej zamordowałaby któregoś z nich, był ten drugi. A teraz obaj nie żyją? Coś w tym wszystkim jest nie tak.

Brasti prychnął.

– Tylko ty, Falcio, mógłbyś pomyśleć, że w śmierci książąt jest coś złego. Niech się pozabijają. I co z tego, jeżeli wszyscy książęta tego kraju umrą już jutro? Kto za nimi będzie tęsknił?

Zadawałem sobie dokładnie to samo pytanie podczas naszej podróży z Aramoru do Luth: kto tęskniłby za książętami? Jeżeli kraj naprawdę się rozpadał, czy nie byłoby lepiej, aby po okresie chaosu odbudować go bez udziału zdeprawowanych książąt? Im bliżej jednak byliśmy zamku, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że nie potrafiłbym dokonać jawnego zabójstwa politycznego. Kiedy zamykałem oczy, mogłem niemal zobaczyć króla Paelisa z tym jego krzywym uśmiechem. „Ale byłeś blisko, czyż nie, Falcio?” Zawsze uwielbiał obserwować, jak zmagam się z własnym sumieniem.

Kest wyjrzał za drzwi.

– Gwardziści i rycerze biegają po całym pałacu bez logiki i porządku. Zupełnie jakby potracili głowy.

Zamieniłem się z nim miejscami i sam przyjrzałem się dworzanom i zbrojnym, którzy pędzili po korytarzach, zderzając się na zakrętach. W pałacu panowało potworne zamieszanie. Księstwa

zawsze były trzymane w ryzach żelazną ręką książąt. Bez nich nikt nie wiedział, co robić. Rycerze w płytowych zbrojach i żółtych tabardach usiłowali przywrócić jako taki porządek, ale czyich rozkazów mieli słuchać, kiedy już opadnie kurz po tej aferze?

To, co obserwowałem, było głównym powodem, dla którego król Paelis, gdy jeszcze żył, nigdy nie chciał siłą odsunąć książąt od władzy. Zamknąłem drzwi i spojrzałem na Brastiego.

– To, co się dzieje w tym pałacu jest tylko kroplą w morzu chaosu, który pochłonie cały kraj, jeśli stracimy wszystkich książąt: Tristia na wiele lat pograży się w wojnie domowej.

– Być może ktoś właśnie tego pragnie – odparł Kest. Chciał dodać coś jeszcze, ale przerwał. – Słyszę kroki. Nadchodzą strażnicy.

– Przejdą obok, tak jak inni – powiedział Brasti z przekonaniem.

– A potem co? – spytała Darriana. – Kimkolwiek jest zabójca, nigdy nie będziesz go w stanie pochwycić, gdy ta banda głupców stanie ci na drodze.

Valiana spojrzała na mnie.

– Falcio, a co z rodziną? Powiedziałaś, że Isault nie był jedyną zamordowaną osobą. Zginęli również jego spadkobiercy.

– Masz rację. Jeżeli był jeden asasyn, mogli również być inni. My zaś nie wiemy, kto jest ich kolejnym celem.

Darriana prychnęła.

– Kilka godzin temu wydawałeś się gotowy zabić księcia Roseta własnoręcznie.

– Daj spokój – uciszył ją Kest. Zawsze wiedział, dokąd zmierzam, nawet na długo przede mną. Darriana jednak go

zignorowała.

– Pomyśl, pierwszy kantorze: co możemy zyskać? Jak ma to pomóc Aline?

– Wszyscy się zamknijcie – szepnął Brasti. – Zdążają w naszym kierunku – zajął pozycję, która pozwalała celować z łuku w każdego, kto wkroczy do pokoju. Darriana wyciągnęła z płaszcza długi sztylet i przesunęła się, stając obok drzwi.

Cała nasza piątka czekała w milczeniu. Słyszeliśmy głosy kilku mężczyzn, wyraźnie kłócących się na korytarzu.

– Sprawdźcie wszystkie pokoje – powiedział jeden z nich.

– Nikt tam nie wchodzi. Poza tym nie ma stamtąd wyjścia. Tylko idiota by się tam schował. Na wszystkich świętych, człowieku, jesteś ranny! Idź do uzdrowiciela, zanim wykrwawisz się na śmierć.

– Jeszcze nie. Musimy...

– W porządku, jak sobie chcesz, sierżancie. Jeśli masz ochotę, możesz się przyglądać, jak twoja krew plami posadzki, ale ja zamierzam zebrać pozostałych i przejąć kontrolę nad poszukiwaniami.

Kilka chwil później klamka przekręciła się i do środka wszedł zakuty w zbroję mężczyzna z szerokim mieczem. Mnie zobaczył pierwszego.

– Ty! To ty! Niech mnie...

Kest chwycił rycerza za kark, wciągając go do środka i zamykając za nim drzwi.

– Mów ciszej, panie rycerzu – poprosiła Darriana, przykładając sztych do gardła mężczyzny.

Rycerz spoglądał to na ostrze miecza, to na nas i niemal widać

było, jak wyteęza umysł, próbując znaleźć sposób, aby powstrzymać nas na tyle długo, żeby zdążyła nadejść pomoc. Brasti również to zauważył i wycelował w brzuch mężczyzny.

– Jeden ruch, blaszaku, jeden najcichszy dźwięk, a pośle strzałę prosto w twoje... – nachylił się i po chwili rozluźnił cięciwę. – Falcio, myślę, że ktoś już załatwił tego gościa.

Miał rację. W dolnej części napierśnika rycerza widniała mała dziurka, z której sączyła się krew.

– Ty! – powtórzył rycerz, zataczając się do tyłu i wpadając na drzwi. – Wiedziałem, że to ty. Wiedziałem...

– Niczego nie...

Rycerz rzucił swój miecz i ściągnął hełm. Długie do ramion włosy rozsypały się, okalając twarz o łagodnych rysach, z krótką brodą.

– Wiedziałem, że skądś pamiętam ten głos, Falcio.

– Kim jesteś? – spytał Kest, kiedy rycerz padł na kolana.

Rycerz spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Nie poznajesz mnie? To...

– Nile – wyręczyłem go. – Kest, to jest Nile.

Nile był synem rybaka, który chwycił za miecz, aby walczyć po stronie księstwa Pertynii w krótkiej wojnie z najeźdźcami z Awares, a gdy powrócił, zastał całą swoją rodzinę martwą. Wałęsał się bez celu, dopóki nie znaleźliśmy go broniącego rannego staruszka przed skopaniem na śmierć przez bratanka jakiegoś lorda. Nile Padgeman. Ósmy kantor Wielkich Płaszczy, zwany Ramieniem Króla.

– Święci! Nile, co się stało? – spytałem.

Nile potrząsnął głową i skrzywił się. Jakby w odpowiedzi krew

zaczęła płynąć żwawiej z rany w brzuchu.

– Dostał mnie, Falcio. Ten drań naprawdę mnie załatwił.

Udało się nam posadzić Nile'a, opierając go plecami o drzwi.

– Na wszystkich świętych, Nile, co ty tu robisz, na kościstą dupę Świętego Zagheva?

Nazywaliśmy Nile'a Ramieniem Króla, ponieważ choć nie był specjalnie masywny, charakteryzował się niepospolitą siłą i potrafił pokonać w składaniu się na ręce ludzi dwukrotnie większych od siebie. Król zwykł żartować, że gdybyśmy mogli wprowadzić takie zapasy jako formę pojedynku do tristiańskiej kultury, Nile zdołałby sam jeden zaprowadzić królewski pokój na wieki.

– O, witaj, Brasti – odparł Nile słabym głosem, a z ust pociekła mu struzka krwi wymieszana ze śliną. – Wyglądasz... starzej. Nie rozpoznałbym żadnego z was, gdybym nie słyszał, że zamierzacie tu przybyć.

– Wcale nie jestem... – zaczął Brasti, sięgając dłonią do włosów. Kest walnął go w ramię.

– Skoncentruj się – spojrzał na Nile'a. – Jak się dowiedziałeś, że się tu pojawimy?

– Jakiś cholerny rycerz powiedział, że wszyscy trzej możecie się tu zjawić. Ucieszysz się na wieść, że wedle jego słów istnieje spore prawdopodobieństwo, że nie braliście udziału w morderstwie księcia Isaulta.

Nile usiłował sięgnąć do jednej z metalowych klamer w górnej części napierśnika. Przyklęknałem i pomogłem mu ją rozpiąć.

– Ach, dzięki – powiedział. – Te cholerne zbroje. Pięć lat i nadal

nie mogę ich znieść. Tęsknię za swoim płaszczem. Powinienem go zatrzymać, ale nie mogłem ryzykować, że ktoś go znajdzie. Wiesz, że musiałem zakopać go w ziemi trzy mile stąd? Przy jeziorze... zastanawiam się, czy nadal jest w dobrym stanie. Może powinienem go spalić, ale jakoś nie mogłem tego zrobić. – Jego spojrzenie powoli się rozmywało. A potem zobaczył Valianę. – Oooo, witaj, moja piękna. Jak masz na imię?

– Valiana.

– Jesteś Wielkim Płaszczem?

– Ja... – zawahała się, a potem spojrzała na mnie, szukając przyzwolenia.

– Jednym z najznamienitszych – powiedział Brasti i przez chwilę byłem zły za tę jego błyskawiczną odpowiedź, ponieważ mogło to wyglądać, jakbym ja sam nie wierzył w Valianę.

Nile uśmiechnął się i dotknął jej ramienia dłonią w rękawicy.

– Nie bądź taka wystraszona, moja pani. Umieram od rany w brzuchu, a nie od grypy.

Valiana przyklękła przy nim i chwyciła jego dłonie.

– Cóż, mam nadzieję, że to nie zaraźliwe.

Nile roześmiał się.

– Ach. Hmm. Daję słowo, że widziałem gdzieś twój portret. Jarmarczne dzieło wysłane przez Sukę Której Imienia Nie Powinno się Wypowiadać. Czy ta stara parszywa kobieta w ogóle o mnie wspomniała? Raz czy drugi załazłem jej za skórę.

Valiana zawahała się na chwilę.

– Mówiła o tobie wiele razy. Powiedziała, że byłeś jednym z nielicznych Wielkich Płaszczów, których się obawiała, i gdyby mogła sprawić, że zginiesz z jej ręki, zakończyłaby swe dni jako

szczęśliwa kobieta.

Nile zachichotał.

– O, podoba mi się, Falcio. Wie, jak kłamać bez zmrużenia oka. Powinna być dwórką. Teraz, kiedy tak sobie o tym myślę, czy nie miałaś w którymś momencie zostać królową? Tyle przeklętych kobiet w dzisiejszych czasach chce zostać królową. A co z tobą? – spojrzał na Darrianę. – Ty też chcesz być królową?

Prychnęła w odpowiedzi.

– Jeszcze by tego brakowało.

– Mądra dziewczyna. Z tego, co rozumiem, to okropny zawód. Król zdawał się go nie cierpieć. – Nile wysunął głowę do przodu. – Wiesz, wyglądasz trochę jak córka Shanilli. Pamiętasz Shanillę, Falcio?

Pamiętałem. Shanilla była Wielkim Płaszczem, jednym z tych, których najbardziej podziwiałem. Znała prawa królewskie i umiała walczyć, ale zawsze starała się utrzymać pokój, jeśli tylko mogła. Razem z Winnow były niczym siostry. Jednak nie pamiętałem, żeby miała córkę. Czy był to sekret Darriany? „Skoncentruj się”, powiedziałem do siebie w myślach.

– Co ty tu robisz, Nile? I daruj sobie komentarze na temat tego, że się postarzałem. Byłem torturowany, otruty i umarłem przynajmniej raz.

Nile roześmiał się i niemal natychmiast zakaszłał. Wyciągnąłem z jednej z kieszeni kawałek płótna i otarłem krwawą ślinę z jego ust.

– Dzięki. Macie wodę?

Rozejrzeliśmy się po pokoju. Dostrzegłem dzban stojący na kredensie. Kest podskoczył i zaraz go przyniósł.

– Wino, jak sądzę – stwierdził po tym, jak zajrzał do środka i powąchał.

– Jeszcze lepiej – odparł Nile. – Dawaj go tu.

Razem z Brastim podtrzymaliśmy go, podczas gdy Kest wlał mu małą porcję do gardła.

– Daj spokój, Kest – skrzywił się. – Zawsze byłeś oszczędny. Ja tu przecież umieram.

Kest dał mu jeszcze trochę, ale kiedy Nile usiłował sięgnąć po dzban, odsunął się.

– Przykro mi, Nile, ale potrzebujemy informacji, a twoje upojenie nam nie pomoże.

– Ale mi pomoże...

– Nile – przerwałem. – Ktokolwiek to zrobił, nadal jest na wolności. Musimy go odnaleźć, póki jeszcze możemy.

– Już dawno stąd zniknął, Falcio – odparł Nile. – Nie znajdziecie go, chyba że on sam będzie tego chciał. Nie sądzę też, żebyście byli w stanie go złapać.

– Zostaw tę sprawę mnie. Najpierw powiedz, co tu, na wszystkich świętych, robiłeś?

Nile spojrzał na mnie z ukosa.

– Byłem tu przez króla, oczywiście.

– Co znaczy przez króla? – spytał Brasti.

– To był jego ostatni rozkaz... tamtego dnia w zamku Aramor, kiedy spotkał się z każdym z nas. Powiedział mi, żebym tu przyjechał i pilnował księcia.

– Jak?

Nile wzruszył ramionami.

– Mówimy o królu Paelisie, Falcio. Czy kiedykolwiek dał nam

wystarczająco dużo informacji? Po prostu powiedział, że mam tu przyjechać i pilnować księcia tak długo, jak będę w stanie.

– Więc dlatego przyłączyłeś się do książęcych rycerzy? – spytał Brasti.

Nile uśmiechnął się szeroko.

– Było łatwiej, niż mogłoby się wydawać. Sprawilem sobie kilka fałszywych nadań szlachectwa... Pamiętacie Pimara? Tego dzieciaka, który usługiwał królowi? Okazuje się, że był świetnym fałszerzem. Przysięgał, że król sam znalazł dla niego nauczyciela i kazał mu się wyszkolić w tej sztuce. Bogowie, nasz król Paelis był dziwnym człowiekiem. Dlaczego właściwie mu służyliśmy?

– Bo wszyscy inni byli dużo gorsi – odparł Kest.

– Ach, no tak. Wiedziałem, że był jakiś powód. W każdym razie bycie rycerzem jest dużo łatwiejsze, niż powiadają, nawet z tymi wszystkimi ich zasadami, kodeksami i tytułami. Musisz po prostu pochodzić z arystokratycznej rodziny...

– Albo mieć dobrego fałszerza dokumentów – dodał Brasti.

– Faktycznie, to albo to. Nikt właściwie tego nie sprawdza, ponieważ z punktu widzenia książąt rycerze to jedynie nieco bardziej skuteczni żołnierze. W każdym razie kiedy już wejdiesz do stanu rycerskiego, ranga praktycznie się nie liczy, z wyjątkiem turniejów i takich tam. Kiedy wreszcie poradziłem sobie z kopyą i przywykłem do noszenia tego cholernego żelastwa, nie było tak trudno.

– Więc zostałeś sierżantem? – spytałem.

– Mógłbym awansować nawet na kapitana, gdybym chciał, ale to by oznaczało więcej wypraw, podczas gdy sierżanci zazwyczaj dowodzą gwardzistami księcia.

– A ty robiłeś to przez ostatnie pięć lat.

Nile uśmiechnął się.

– Najłatwiejsza robota, jaką miałem w życiu, Falcio. Jedzenie jest dobre, zapłata... cóż, znacznie większa niż w pieprzonych Wielkich Płaszczach, to mogę ci powiedzieć. Kobiety praktycznie same się na ciebie rzucają i w dodatku nikt nie oczekuje, że się ożenisz – Nile spojrzął na Brastiego. – Dziwię się, że ty się nie przyłączyłeś.

– Zrobiłbym to, gdyby nie byli tacy przeczuleni na punkcie łucznictwa – odparł Brasti.

– No tak, rozumiem – Nile zamknął oczy.

– Pomóż mi wydostać go z tej puszkii – poprosiłem Kesta, wskazując na napierśnik.

Nile chwycił mnie opancerzoną dłonią za ramię.

– Jeśli to zrobisz, wykrwawię się. Ten kawał blachy trzyma na miejscu moje wnętrzności – usiłowałem spojrzeć na małą dziurkę w płycie. – Uwierzysz, że temu draniowi udało się przebić ją mizerykordią? Cholerna wążutka broń, wyglądała, jakby miała się zaraz złamać. Nawet gdybym był wystarczająco szybki, nie jestem pewny, czy pokusiłbym się o sparowanie takiego żądełka. A tu proszę...

– Co możemy dla ciebie zrobić? – spytałem.

– Nic. Podejrzewam, że zostało mi około dziesięciu minut, zanim stracę przytomność, i może kolejne trzydzieści, zanim wyruszę, by odnaleźć Paelisa, w którymkolwiek piekle się smaży, i zbić go na kwaśne jabłko. – Nile spojrzął na mnie i roześmiał się. – Ha! Powinieneś zobaczyć swoją minę, Falcio. Nigdy nie byłeś w stanie znieść, gdy ktoś powiedział coś złego o królu, prawda?

– Zabójca, Nile. Jaki był?

– Był asasynem, Falcio. A oni nie pomagają ci w identyfikacji. W pokoju było ciemno choć oko wykol, ale myślę, że... no wiesz, miał na twarzy maskę i ciemne ubranie. Podejrzewam, że to upraszcza sprawę.

– Ile razy ktoś próbował zabić księcia?

– Przez ostatnie pięć lat? Poza tym jednym razem?

Pokiwałem głową.

– Zero – odparł Nile.

– Zero? Nikt nigdy nie próbował pozbawić księcia życia?

– A kto miałby to niby zrobić? Chłopi i mieszczenie żyją pod jego buciorem od pokoleń, a żaden z arystokratów nigdy by się na to nie odważył.

– Co z pozostałymi książętami? – spytałem.

Nile pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Hej, wiesz, co odkryłem w ciągu ostatnich pięciu lat? Głównym produktem Tristii są szpiedzy. I to nie ci, którzy pracują przeciwko obcym państwom, ale ci, którzy całe życie spędzają w Tristii. Powiadam ci, Falcio, każdy pałac w naszym kraju pęka w szwach od szpiegów. Jeżeli jeden książę kiedykolwiek postanowiłby zabić drugiego, zostałyby to prawdopodobnie odkryte, zanim jeszcze skończyłby pisać tajny rozkaz – Nile zakaszłał, tym razem wypluwając dużo więcej krwi. Wiedziałem, że nie zostało mu już wiele czasu.

– W takim razie kto to zrobił? Kto mógł...

– Nie. Powiedz mi, jak się poruszał – Kest spojrzał w oczy Nile'owi.

– Daj spokój.

– Nie, muszę to wiedzieć.

Nile spojrział na ścianę po przeciwnej stronie pokoju.

– Płynął niczym rzeka. – Machał ręką przed sobą, malując dłonią małe ósemki. – Zupełnie jakbyś chciał przechytrzyć węża. Śliski jak piskorz. Szybki.

Tylko raz spotkałem się z ludźmi, którzy poruszali się w ten sposób.

– Nile, chcesz mi powiedzieć, że asasyn był jednym z dashinich?

– Wiesz, na początku myślałem, że może tak, ale nie napluł na mnie tym ich cholernym proszkiem, no wiesz, tym paskudztwem, które sprawia, że sikasz w gacie, kiedy cię zabijają. Ale kiedy teraz tak o tym myślę, poruszał się dokładnie tak, jak opowiadają. Powiedz, czy to prawda, że walczyłeś z jednym z nich w Rijou?

– Tak – odparłem.

– Wiesz, ludzie gadają, że tak naprawdę było ich dwóch. Nie sądzę, żeby mówili prawdę, co?

Pokiwałem głową.

– Święci! – powiedział. – Zabiłeś dwóch dashinich? Jak, na wszystkie kręgi piekła, tego dokonałeś?

– Powiedziałem kilka rzeczy, które zaskoczyły ich na wystarczająco długo, żeby...

– Ha! – roześmiał się Nile. Krew spływała teraz stróżką z jego ust. – Czy to nie ironia? Zawsze zagadywałeś ludzi na śmierć, Falcio.

Valiana sięgnęła, żeby otrzeć mu usta z krwi, ale Nile chwycił jej dłoń i przyłożył sobie do serca. A potem, tak po prostu, po cichu, Nile Padgeman umarł. Valiana trzymała go za rękę. Chociaż ledwie go знаła, nie puściła go, dopóki nie była pewna, że jego

dusza rzeczywiście odeszła. Wtedy dopiero puściła jego dłoń, a po policzkach spłynęły jej łzy. Kochałem ją za te łzy.

ŻONA KSIĘCIA

– Falcio, musimy się stąd zabierać – powiedział Brasti.

– Chwileczkę – delikatnie zamknąłem powieki Nile’a. – Powinniśmy go ze sobą zabrać.

Kest spojrzał na mnie z góry.

– Nie możemy. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że będziemy musieli walczyć, żeby się stąd wydostać.

– Nie możemy go tu tak zostawić – odparłem. Nile zasługiwał na coś więcej niż porzucenie go, leżącego w kałuży własnej krwi na podłodze służbówki. Powinien zostać godnie pochowany, i to we własnym płaszczu, a nie w tej przeklętej zbroi. – Gdzie Nile ukrył swój płaszcz? W pobliżu jeziora? Możemy go tam zabrać i...

Kest przyklęknął naprzeciwko mnie.

– Nie możemy, Falcio, i dobrze o tym wiesz. Oni myślą, że jest rycerzem. Pogrzebią go ze wszystkimi rycerskimi honorami.

Nile’owi zdecydowanie by się to nie spodobało.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego król wysłał go tu po to, żeby pilnował przeklętego księcia? Czy wysłał również Winnow? Czy dlatego była w Aramorze? – poczułem mdłości. „Czy kazał jej zostać

kochanką Isaulta?”

Kest ujął moją twarz w dłonie. Był to dziwny gest: zarezerwowany tylko na szczególne okazje, kiedy sądził, że traciłem rozum.

– Winnow nie żyje. Nile nie żyje. Król nie żyje. Falcio, musisz zdecydować, czy chcesz, żebyśmy i my zginęli, bo wkrótce...

– Za późno – powiedziała Darriana, przyskakując do drzwi i szykując swoje ostrze.

– Ilu? – spytał Kest.

– Więcej, niż trzeba – odparł ktoś głębokim barytonem. Drzwi otworzyły się i ujrzeliśmy mężczyznę w zbroi, z insygniami kapitana na tabardzie. Brasti wycelował łuk prosto w jego głowę, ale rycerz uniósł rękę. – Wypuść tę strzałę, trattari, a ruszy na ciebie cały szwadron książęcych gwardzistów.

– A co się stanie, jeśli tego nie zrobię? – spytał Brasti.

– Ty – rycerz wskazał na mnie. – Lady Beytina chce się z tobą widzieć.

– A kim niby jest ta Beytina?

– Lady Beytina jest żoną księcia Roseta i od mniej więcej trzech godzin nową władczynią Luth. Jest również jedyną osobą, która jeszcze powstrzymuje mnie przed skruceniem sznura i powieszeniem was wszystkich w korytarzu.

– Dlaczego chce się z nami widzieć? – spytał Brasti.

Rycerz prychnął.

– Nie chce się widzieć z wami – wskazał na mnie dłonią odzianą w rękawicę. – Wzywa ciebie, Falcio val Mondzie, pierwszy coś tam obdartych peleryn.

Mój rapier z cichym świstem wysunął się z pochwy. Strażnicy

stojący na zewnątrz zwarli szereg, ale rycerz ich powstrzymał.

– Zostawcie ich – powiedział.

– Skąd mogła wiedzieć, że tu jestem? – spytałem.

Kapitan obejrzał się na swoich ludzi.

– Widzicie, o czym mówiłem? Ci wszyscy trattari myślą, że są tacy cholernie mądrzy – spojrzał znów na mnie. – Nasi szpiedzy donieśli nam kilka dni temu o tym, co wydarzyło się w Aramorze. Książę Roset wiedział, że tu przyjedziecie, grożąc pięściami i żądając jakiegoś prawnego zadośćuczynienia za jego wyimaginowane zbrodnie.

Rozważyłem nasze możliwości: drzwi były wąskie, co utrudniłoby rycerzom atak na nas inaczej niż pojedynczo. Z drugiej strony oznacza to, że nie możemy się stąd wydostać. Na korytarzu stali kusznicy, którzy mogli nas łatwo ustrzelić, celując nad ramieniem swojego kapitana. Stłoczeni w małej izbie, byliśmy nader łatwym celem.

– Jakie mogę mieć gwarancje co do intencji lady Beytyny? – spytałem wreszcie.

– Księżna pragnie z tobą porozmawiać na osobności. O innych sprawach nie potrzebuję wiedzieć, podobnie jak ty.

– Nie boisz się, że spróbuję ją zabić?

– Niezbyt – odparł rycerz. – Asasyn już ją dopadł – wskazał na Nile'a. – Sierżant usiłował ją chronić, ale ostrze zabójcy przebiło jej płuco. Księżna umiera.

Usłyszałem rżenie lady Beytyny już przed progiem jej komnaty.

– Płyn w płucach – powiedział Kest. Potrafił bezbłędnie

rozpoznać wszystkie choroby i kontuzje, które prowadziły do bolesnej śmierci.

Przed wejściem stali dwaj gwardziści w żółtych tabardach, robiący wszystko, aby nie okazywać zdenerwowania, co oczywiście sprawiało jedynie, że wyglądali na jeszcze bardziej przerażonych.

– Wstęp wzbroniony, trattari – warknął starszy z nich.

– Wpuście ich, Rasten – odezwał się delikatny, zbolący głos. – To nie ludzie, którzy to zrobili, a poza tym w tej chwili i tak bardziej nie mogą mi zaszkodzić.

Strażnicy rozstąpili się i zostaliśmy wpuszczeni do sypialni księżnej. Było to piękne, obszerne pomieszczenie, urządzone w błękitie i srebrze rozjaśniających ciemne dębowe boazerie. Dostrzegłem też przynajmniej trzy lustra: dwa na ścianach i jedno – bardzo zdobne, w drewnianej pozłacanej ramie, rzeźbionej w skomplikowane wzory kwiatowe – stojące niemal pośrodku pokoju. Niewielkie drzwi prowadziły do garderoby. Dostrzegłem w niej kilka szaf i stojaków z sukniami.

Przypomniałem sobie, co słyszałem o lady Beytinie. Wyszła za mąż za trzydzieści lat od niej starszego księcia Roseta całkiem niedawno. Dopiero co skończyła dwadzieścia lat. Była bardzo ładną, pełną wdzięku dziewczyną, z pewnością przyzwyczajoną do luksusu, bogactwa i władzy.

– Tutaj – zarzęziła. – Proszę, podejdź tu, trattari.

Zostawiłem pozostałych przy drzwiach i zbliżyłem się do niej. Przy łóżku księżnej klęczały dwie młode kobiety trzymające ją za ręce, podczas gdy matrona z kręconymi siwymi włosami zdejmowała z czoła Beytyny biały ręcznik wyłożony żółtymi płatkami kwiatów i bladozielonymi źdźbłami trawy. Zastąpiła go

świeżym, identycznym kompresem.

– Nazywa się to „przedśmiertelnikiem” – rzekła. – Powiedzieli mi, że wkrótce mnie wyleczy.

Była bardzo ładna: nawet teraz wyglądała olśniewająco. Miała długie złote włosy, które powinny być polepione i wilgotne od potu i gorączki. Tymczasem zostały pięknie uczesane i ułożone na poduszkach tak, że wdzięcznie okalały twarz bladą i zboląłą, lecz raczej alabastrową niż z cieniem szarości, zwiastującym nadchodzącą śmierć. Beytina miała na szyi wianek z małych niebieskich kwiatów, które odcieniem pasowały do koloru jej oczu. Wyglądała jak jeden z malunków Świętej Werty Która Chodzi po Falach, często zdobiących wnętrza kabin na statkach bogatych kapitanów.

Cała ta scena wydała mi się żałosna.

Tak właśnie kończą swoje życie bogacze – nie z odwagą ani z tchórzostwem, ale zawsze malowniczo. Próżność Beytyny była tak wielka, że nawet gdy nieuchronnie zbliżała się ku śmierci, nalegała na to, aby wyglądać jakby w każdej chwili miała wstać z łóżka i poprowadzić tłum lordów i dam do tańca. Chciałem jej powiedzieć, że w zasadzie już jest martwa; że szalenciec zakradł się do jej pałacu i zabił ją, nie bacząc na urodę, wdzięk czy maniery; że niewątpliwie istniało wiele rajów oczekujących na zmarłych, ale żaden z nich raczej nie otworzy dla niej swych podwojów.

– Krążą legendy o twej urodzie, moja pani – powiedziałem, podchodząc do jej łóżka. – Żadna z nich nie oddaje jednak sprawiedliwości twojemu pięknu.

Uśmiechnęła się do mnie i dostrzegłem lekkie zamglenie oczu, zwiastujące rychły napływ łez. Zamrugowała, powstrzymując je.

– Dziękuję ci, trattari.

Strząsnęła dłonie dziewcząt, które dotrzymywały jej towarzystwa, i odesłała je gestem wraz z uzdrowicielką. Spojrzałem na stojących przy wejściu Kesta i Brastiego. Oni również wyszli. Strażnicy zamknęli za nimi drzwi.

– Chciałaś się ze mną zobaczyć, moja pani – zacząłem. – Czy jest coś, co mogę zrobić dla twojej większej wygody?

Roześmiała się cicho i natychmiast potwornie zakaszłała, niszcząc elegancką aranżację włosów i sprawiając, że okład zsunął się z jej czoła.

– Proszę, bez żartów.

Zacząłem poprawiać okład z ziołami.

– Nie, zdejmij ze mnie to cholerstwo.

Uniosłem ręcznik, a potem pomyślałem, jak mogłoby to wyglądać, kiedy wrócą inni.

– Jesteś pewna, pani? Czy nie miało to przypadkiem...

– Nie bądź idiotą. Nie można zatrzymać krwotoku wewnętrznego okładem z chwastów i płatków kwiatów – powiedziała.

– Chcesz, abym powiedział twoim ludziom, żeby znaleźli innego uzdrowiciela?

– Nie ma tu nikogo lepszego od tej kretynki, którą właśnie odesłałam – odparła. – Stara wariatka zaserwuje ci całą moc słodko zaprawionych syropów i przyjemnie pachnących balsamów, ale nie miałyby pojęcia, jak przygotować wywar z ruty, nawet gdyby rosła między palcami jej stóp.

– Znasz się na medycynie, pani?

– Pobierałam nauki, aby zostać uzdrowicielką – odparła

Beytina. – Byłam na ostatnim roku, kiedy ksiązę mnie przypadkiem spotkał i odmienił moje życie. – Usiłowała usiąść na łóżku, ale bez powodzenia. Spojrzała na mnie.

Pomogłem jej usiąść, starając się nie sprawić przy tym niepotrzebnego bólu.

– Chcesz usłyszeć coś zabawnego, Wielki Płaszczu? – spytała, gdy ją podnosiłem. – Uzdrowiciele, którzy pochodzą z małych miasteczek i wiosek, którzy uczą się od swoich matek i babek, którzy przygotowują obrzydliwe w smaku napoje lecznicze i śmierdzące balsamy... czasem udaje im się kogoś uzdrowić. Ci zaś, którzy zabiegają, by pracować w książęcych domach, którzy terminują u wielkich mistrzów, są zazwyczaj beznadziejni. O tak, potrafią przyrządzić różnorakie specyfiki o bardzo mądrze brzmiących nazwach, ale tak naprawdę nie umieją leczyć.

– Dziw bierze, że niektórzy z arystokratów potrafią przetrwać przeziębienie – powiedziałem.

Beytina uśmiechnęła się słabo.

– Oni... my odżywiamy się dobrze i trzymamy się z dala od chorób. Nieczęsto bywamy ranni i nigdy nie dokuczają nam głód ani pragnienie. Jednak kiedy zachorujemy, nie mamy ani lekarstw, które potrafiłyby wyleczyć naszą przypadłość, ani odporności, która pomogłaby nam ją przeczłonyć. Jesteśmy niczym bardzo piękne, delikatne kryształowe wazony. Starczy rzucić małym kamieniem, a rozpryskujemy się na kawałeczki. – Rozpostarła ramiona w świątobliwej pozie. – Jesteśmy pełni bezużytecznego piękna.

Zaskoczył mnie fakt, że księżna była tak świadoma własnego stanu. Arystokraci zbudowali swój świat tak, aby utrzymywać motłoch z daleka, i nigdy nie zaufaliby wiejskiemu znachorowi ani

wiedźmie. Byli, jak to słusznie powiedziała lady Beytina, nieprawdopodobnie delikatni.

– A mimo wszystko wydajesz się pani dość zdeterminowana, aby przejść na drugą stronę świata, wyglądając...

Uśmiechnęła się, chociaż tylko jednym kącikiem ust.

– Uroda, jakkolwiek pozbawiona rzeczywistej wartości, jest jedynym bogactwem, na które mogłam liczyć w całym moim życiu. Dzięki niej dostałam się do szkoły, mimo że nie miałam pieniędzy; dzięki niej stałam się żoną księcia, chociaż nie miałam szlacheckiego tytułu. Jestem skłonna przypuszczać, że bogowie są równie powierzchowni, co my. Powiedz mi, jak sądzisz: powinnam się modlić do Orrosa czy do Lepheys, zanim umrę?

– Do kogo, Wasza Łaskawość?

– Orros to odpowiednik Monety w księstwie Luth. Lepheys to Miłość, chociaż czasem jest zazdrosnym bóstwem, jak twierdzą nasi duchowni. Purgeize, bóg wojny nie jest dużo lepszy, ale myślę, że powinien mi być nieco przychylny, jeżeli umrę tak piękna, jak byłam za życia?

– Obawiam się, że mam niewielkie doświadczenie z bogami, moja pani.

Pokiwała głową, jakbym wygłosił jakąś mądrość.

– Prawda. Bogowie nie objawiają się prostemu ludowi, prawda? Mój mąż powiedział mi kiedyś, że Orros przemówił do niego, ale nie jestem pewna, czy przypadkiem nie stroił sobie ze mnie żartów – zamknęła na chwilę oczy. – Przypuszczam, że nie ma to znaczenia. Uzdrawiacze arystokratów są przynajmniej dobrzy w jednym: w dawkowaniu opiatów. Nie czuję żadnego bólu.

Pomimo gładkości jej słów, zauważyłem, że jej oczy wypełniają

się znów łzami. Lady Beytina potrafiła stwarzać pozory w rozmowie, ale widziałem, że nie tyle jest wystraszona, co przerażona i poczułem wstyd za to, że na początku tak ją zlekceważyłem. Bez względu na czyny jej męża, była młodą kobietą, która miała wkrótce umrzeć z tej jednej przyczyny, iż zaakceptowała ofertę małżeństwa, której raczej nie mogłaby odrzucić.

– Jeżeli chcesz znać moją opinię, pani, to pójdę szybko poszukać lepszego uzdrowiciela. Niedaleko stąd jest wioska. Mógłbym obrócić w ciągu jednego dnia.

Spoglądała na mnie przez chwilę.

– Podaj mi rękę.

Wyciągnąłem rękę, myśląc, że chce, abym pomógł jej się podnieść. Zamiast tego wzięła ją w swoje dłonie, przybliżyła do ust i pocałowała.

– Podoba mi się fakt, że próbowałeś mnie ocalić, chociaż każdego innego dnia z całą pewnością chętnie widziałbyś mnie martwą. Sądzisz, że to moja żalosna sytuacja zmieniła twoje spojrzenie? A może te piękne kwiatki w moich włosach?

– Ani jedno, ani drugie, moja pani.

– Proszę, powiedz mi, że to nie wynika z twojego poczucia obowiązku ani honoru. Jestem bowiem pewna, że nigdy bym ci nie uwierzyła.

– Nie, moja pani. Ja... – nie miałem żadnego powodu, by ją pocieszać, a już na pewno, by być z nią szczery, ale Beytina była przerażona i cierpiała, a cierpienie zasługuje na szacunek. – Kiedyś byłem żonaty.

– Czy ona była tak ładna jak ja?

Dziwne pytanie.

– Nie była w połowie tak ładna jak ty, moja pani, ale dwakroć piękniejsza.

Księżna roześmiała się cicho.

– Dobra odpowiedź. Jeżeli spotkam twoją żonę w zaświatach, na pewno opowiem jej zarówno o twojej życzliwości, jak i wierności. Ale proszę, opowiedz mi coś o tej swojej żonie. Czy była szczególnie świątobliwa?

Pomyślałem o mojej żonie Aline, jej łobuzerskich uśmiechach i sprośnych kawałach, o tym, jak potrafiła wiercić dziurę w brzuchu sprzedawcom na rynku, aż w końcu ci, kręcąc głowami z politowaniem dla siebie samych, pozwalali jej kupić swoje najlepsze towary za śmieszłą cenę – a potem wracała do tych samych ludzi z upieczonym w prezencie ciastem. Przypomniałem sobie czasy, kiedy odmawiała oddania kapłanom nawet jednego czarnego grosza i raz nawet ukradła pieniądze ze świątyni po to tylko, żeby kupić posiłek dla czekających na zewnątrz dzieci. Przypomniałem sobie, jak pewnego dnia nazwała mnie tchórzem, kiedy wycofałem się z awantury z naszymi bardziej agresywnymi sąsiadami, tylko po to, aby później błagać mnie, żebym nie walczył, kiedy...

– Była rozsądna – odparłem. – Nie lubiła skąpstwa i marnotrawstwa.

– I?

– I kiedy patrzę na ciebie, pani, zadaję sobie pytanie, co Aline poradziłaby mi zrobić. Myślę, że powiedziałałaby...

Beytina cicho prychnęła.

– Mężu, sprowadź tej nadętej bogatej kobiecie dobrego

wioskowego uzdrowiciela!

– Coś w tym stylu.

– I jak byś jej odpowiedział?

– Wytłumaczyłbym jej, że dzień, a nawet połowa, to zbyt długo – odparłem na tyle łagodnie, na ile potrafiłem. – Powiedziałbym, że masz płyn w płucach i musisz się przygotować na nadejście końca.

Księżna sięgnęła znów po moją dłoń. Nie chciałem jej dotykać, ale czułem, że powinienem. „To tylko ręka”, powiedziałaaby Aline. „Przecież ranami kłutymi nie można się zarazić”. Podałem jej dłoń, a kiedy ją ścisnęła, odwzajemniłem gest.

– Czy mógłbyś posiedzieć ze mną jeszcze trochę? – spytała.

– Ja...

Gdzieś tam był asasyn, może nawet kilku, wciąż spiskujących i niebezpiecznych, zaś ja nie miałem pojęcia gdzie ich szukać. Jeżeli to rzeczywiście byli dashini, zabijający każdego księcia, który miałby wesprzeć dziedziczkę króla w objęciu tronu, to w zasadzie już przegraliśmy.

– Zostanę jeszcze przez chwilę – odparłem wreszcie.

– Nawet mimo to, że jestem żoną twojego wroga?

– Nawet mimo to – odparłem.

– Obiecasz, że zostaniesz ze mną przez godzinę, nawet jeśli będę musiała powiedzieć ci wiele okropnych, bolesnych rzeczy?

Spojrzałem na jej szczerą twarz.

– Moja pani?

Odetchnęła głęboko, powoli, ze świstem, który zdawał się trwać wiecznie.

– Mój mąż zawarł bardzo złą umowę. Ludzie nie powinni podpisywać paktów ze strachu – spojrzała mi w oczy. – Wiem, kim

jesteś, Falcio val Mondzie. Jesteś pierwszym kantorem Wielkich Płaszczy i faworytem króla tyrana.

Zauważyłem, że ściskam jej dłoń zbyt mocno.

– Moja pani, byłoby najlepiej, gdybyśmy nie rozmawiali o królu.

– Wybacz mi – odpowiedziała. – Nie chciałam... cóż, przypuszczam, że już za późno na tłumaczenie, iż nie chciałam cię obrazić. Bez względu na to pragnę powiedzieć, że jeśli wierzyć trubadurom, przetrwałeś tortury, pokonałeś asasynów i niezliczoną liczbę wrogów, aby ocalić królewską dziedziczkę.

– Trubadurzy twierdzą również, że pozbawiłem głowy Jillarda, księcia Rijou, chociaż przypuszczam, że znalazłabyś go w jego zamku z głową ciągle przytwierdzoną do szyi. Trubadurzy mają skłonność do koloryzowania.

– Czy podkoloryzowali również opowieść o tym, jak przemówiłeś na Skale? Jak przebudziłeś lud Rijou z ich niespokojnego snu? Czy wymyślili sobie to, iż powstrzymałeś księcia przed przedłużeniem Ganath Kalila?

– Ja... Przypuszczam, że nie, ale ja tylko...

– Ty tylko chciałeś ocalić dziewczynę – księżna pokręciła głową. – Jakimże rodzajem głupca jesteś?

– Pani?

– Rozmawialiśmy o tym, jak delikatni są arystokraci, jak dobrze chronieni przed normalnością, a jednocześnie jak bardzo wrażliwi. Falcio, pojechałeś do Rijou i dotarłeś do Skały! Czy wiesz, że bunt tamtejszego ludu trwał jeszcze przez dziesięć dni po twoim wystąpieniu? Wiedziałeś, że wiele rodzin nie tylko odmówiło zapłaty podwyższonych czynszów, ale też nie zapłaciło wymaganych prawem podatków?

Powróciłem myślami do tamtego dnia... Ile to już czasu minęło? Dwa miesiące? Straciłem poczucie czasu i teraz wszystko wydawało się niezbyt wyraźne. Pamiętałem tłumy ludzi i to, jak pod koniec skandowali: „Nikt nie skruszy skały!”. Myślałem, że wszystko ucichnie po jednej nocy dobrego picia.

– Bunt zaczął się rozszerzać – powiedziała Beytina, wrywając mnie z zamyślenia. – Oczywiście miasta mają wystarczającą liczbę strażników i rycerzy, żeby opanować rebelię, ale w odległych miastach i wioskach, poza zasięgiem sił księcia? Poddani słyszą coraz więcej historii o twoich wyczynach i zastanawiają się, czy rzeczywiście ciągle powinni dźwigać jarzmo arystokracji. Dotarła do nas wiadomość, że zaledwie wczoraj w jednej z odległych wiosek zamordowano poborcę podatkowego.

„Carefal”, pomyślałem. „Księżna mówi o Carefal”. Czy naprawdę to wszystko przeze mnie, z powodu jednej głupiej przemowy, ogłoszonej w desperacji, gdy rozpaczliwie szukałem sposobu, aby jakimś cudem ochronić Aline przed utratą życia?

– Moja pani, co chciałaś mi powiedzieć?

– Już mówiłam, Falciu z Wielkich Płaszczy, że arystokracja... jesteśmy znacznie mniej pewni swego, niż się wydaje. Co ma zrobić słaby człowiek z mieczem, kiedy otaczający go ludzie zaczynają kwestionować jego siłę? Słabeusz z mieczem musi zabić błyskawicznie, bez litości, inaczej bardzo szybko ktoś postanowi odebrać mu broń. Mój mąż zawarł umowę, Falcio. Potworną umowę. Musiał odzyskać kontrolę i pozwolił dowódcy rycerzy zdecydować, jak to zrobić. Carefal jest graniczną wioską. Jeżeli jej mieszkańcy otrzymaliby przyzwolenie na lekceważenie książęcych praw, inni poszliby w ich ślady i księstwo ogarnąłby chaos. Ci

ludzie mają broń, żelazną broń. Książę Roset nie miał wyboru, Falcio. Nie zostawiłeś mi żadnego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałem zaniepokojony.

– Komandor wysłał swoich ludzi do Carefal – powiedziała.

Nagle jakby bielmo zeszło mi z oczu i zrozumiałem, co księżna chciała mi powiedzieć.

– Nie...

– Nie musisz się spieszyć – ciągnęła. – Jest już o wiele za późno.

Wyobrażam sobie, że Carefal dawno już stanęło w płomieniach.

Puściłem jej dłoń i odsunąłem się o krok.

Beytina spojrzała na swoją rękę.

– Cokolwiek by nie powiedzieć o tej siwej starej gadule, przyrządza naprawdę świetne napary przeciwbólowe – wyciągnęła do mnie rękę. – Jestem przekonana, że złamałeś mi rękę, Falcio.

Byłem przerażony i poruszony krzywdą, którą jej wyrządziłem.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego mi to mówisz?

– Przykro mi. Wydajesz się naprawdę dobrym człowiekiem i byłeś dla mnie nader uprzejmy, przynajmniej do tej pory.

– Więc dlaczego? – zażądałem odpowiedzi.

Beytina westchnęła z lekkim smutkiem.

– Ponieważ poślubiłam księcia i mimo wszystko jestem lojalną żoną. Mojego męża rozgniewało to, co musiał uczynić, i wiem, że chciałby, abym przekazała ci to jedno: każde martwe ciało, które odnajdziesz w tamtej wiosce, wszystkie kolejne śmierci po tym, jak książęta zostaną zmuszeni do stłumienia buntów za pomocą stali i rozlewu krwi... każda śmierć jest na twojej głowie, Falcio val Mondzie. Zmusiłeś nas do morderstwa.

Zaczęła znów kaszleć i rzezić, a ja – mimo złożonej obietnicy –

uciekłem z jej komnaty.

CAREFAL

Dym i fetor zniszczonej wioski były wyczuwalne na długo przed tym, zanim zobaczyliśmy pierwsze ciała. Im bliżej, tym bardziej opierały się nasze konie i w końcu ostatecznie sto jardów pokonaliśmy na piechotę. Musieliśmy się przekonać na własne oczy, co się stało z mieszkańcami Carefal.

– Uważajcie – powiedział Kest do Valiany i Darri. – Ktokolwiek to zrobił, mógł tu zostawić mały oddział, na wszelki wypadek.

– Czego szukamy? – spytała Valiana.

– Rycerzy – odparłem.

– Możemy znaleźć jakieś dzieci – powiedział Brasti cicho, jakby na poły drzemał. – Czasem dzieci chodzą na jagody.

Był to głupi komentarz. Wszyscy trzej pochodziliśmy z wiosek nie większych niż Carefal i dobrze wiedzieliśmy, że sezon zbiorów zakończył się całe tygodnie temu i żadne dzieci nie mogły być poza wioską. Jednak sztywność szczęki Brastiego i drzenie w jego głosie powstrzymały mnie od wypowiedzenia tego na głos.

Pierwszym widocznym znakiem tego, co miało miejsce, był wjazd do wioski, przy którym z gałęzi drzew zwisało siedem

trupów, poczerniałych od dymu i ognia wygasłych już teraz ognisk. Lekki podmuch wiatru obracał ciałami powoli, jakby jakaś niewidzialna ręka kręciła różnem.

„Po co ich palili, skoro przedtem ich powiesili?”, zadałem sobie pytanie.

Stojąca obok mnie Darriana chyba podsłuchiwała moje myśli.

– Spójrz na węzły – wskazała nad nasze głowy. – To są węzły samozaciskające. Zadzierzgną się, dopiero gdy za nie pociągniesz. Wygląda więc na to, że ktoś ich powiesił, a następnie rozpalił ogień, czekając, aż zaczną się miotać na sznurach od gorąca i dymu.

Okropnie chciało mi się rzygać. Musiałem się oprzeć o drzewo, żeby nie opaść na kolana. Ci ludzie umarli przerażeni, w bólu i niewyobrażalnie powoli.

– Dlaczego? – Brasti stał z łukiem w dłoni i strzałą założoną na cięciwę. – Jaki to ma sens?

„Taki, że Darriana nie jest jedyną osobą, która potrafi rozpoznać ten węzeł”, pomyślałem. „Inni, którzy się tu pojawiają, zobaczą, co się stało z tymi ludźmi. Historia Carefal rozniesie się po całym kraju i ludzie dowiedzą się, jaka jest cena za bunt przeciw książętom”. Wiedziałem to, ale nie mogłem się zmusić do wypowiedzenia tego na głos.

W wiosce pogrom nie był tak dobrze wyreżyserowany, lecz jeszcze potworniejszy. Mężczyźni, kobiety i dzieci, najmłodszy i najstarsi – wszyscy leżeli razem, zrzućeni na bezładne sterty. Niektórzy umarli od ciosów miecza w brzuch, inni stracili głowy. Kilka ciał wyglądało, jakby zostały stratowane. Wszystkie bez wyjątku nosiły ślady ognia. Słomiane dachy zostały zrzućone na błotniste ścieżki między domami i podpalone. Ciała następnie

wrzucano na te stosy. Widziałem, że były nadpalone nierówno, część kończyn zwęglona, inne fragmenty ciał nietknięte. Wyobraziłem sobie morderców z bronią, zmuszających wieśniaków do ściągnięcia dachów z ich własnych domostw tylko po to, żeby na końcu ich zabić, kiedy już zbudowali swój ciałopalny stos.

– Ilu? – spytałem Kesta.

– Mieszkańców wioski? – spojrzał na stosy trupów. – Blisko dwie setki.

– Nie. Ilu było napastników?

Kest rozejrzał się po wiosce.

– Widzę ślady kopyt i butów. Pracowali metodycznie, przeczesując wszystkie zaułki i zakamarki, jednocześnie blokując drogi ucieczki. Powiedziałbym, że trzydziestu lub czterdziestu.

– Czy byli rycerzami? – w głębi duszy pragnąłem, aby okazało się to sprawką jakichś bandytów. Zmarłym nie zrobiłoby to żadnej różnicy, ale dzięki temu nagroda za moją duszę mogłaby być nieco mniejsza.

Kest zazwyczaj niepotrzebnie nie gada, więc nie pofatygował się nawet z odpowiedzią. Ślady buciorów były głębokie, a więc najeźdźcy ewidentnie nosili zbroje. Każdy widział, że zabójcami byli rycerze. Przekląłem ponownie księcia Roseta, tak jak robiłem to co milę podczas drogi z pałacu do wsi. Usłyszałem za plecami szlochanie i przez chwilę miałem nadzieję, że ktoś jednak pozostał przy życiu – ktoś, kto mógłby nam opowiedzieć, co się zdarzyło. Była to jednak Valiana. Łzy płynęły strumieniami po jej policzkach, chociaż raz po raz wycierała oczy. Przez krótką haniebną chwilę chciałem na nią nakrzyczeć za jej daremny płacz. Potem jednak zdałem sobie z czegoś sprawę. „Ona nie odwraca wzroku. Po prostu

patrzy na nich”.

– Nie musisz...

– Oczywiście, że musi – przerwała Darriana beznamiętnym głosem. Stała w cieniu wisielców. Jej oczy były czarne jak węgiel. – To właśnie jest świat, w którym żyjemy.

– Nie wierzę w to. Nie mogę uwierzyć...

– Falcio – Kest położył dłoń na moim ramieniu. – Musisz porozmawiać z Brastim.

– O czym ty...

Wskazał w kierunku końca alejki, gdzie Brasti ściągał ciała z jednego ze stosów. Zanim do niego dotarłem, klęczał na ziemi i kopał w niej dół własnymi dłońmi, tuż obok wielkiej sterty trupów.

– Planujesz przekopać się do Imperium Shan? – spytałem na tyle łagodnie, na ile potrafiłem.

– Po prostu chcę ich pochować – odparł. – Nie zajmie mi to wiele czasu. Wiem, że nie możemy tu zostać.

W „jego” stosie było trzydzieści, może czterdzieści splątanych ciał, o skórze miejscami nadpalonej, a miejscami całkiem zwęglonej. W wiosce było kilka takich stosów.

– Brasti, nie dasz rady pochować ich wszystkich. Nawet gdybyśmy mieli łopaty, zabrałoby to nam kilka dni, może nawet tygodni – powiedziałem łagodnie. – Nie możemy tu zostać.

– Wiem – nie przerywał kopania.

Przyklęknałem obok niego i położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Brasti, tak się nie da. Nie możesz wykopać grobu własnymi dłońmi.

– Oczywiście, że mogę. Sam zobaczysz.

Wiatr zmienił kierunek i smród trupów uderzył we mnie z całą mocą. Rozległ się cichy szelest i spojrzałem w górę, obawiając się, że za chwilę spadnie na nas jeden z trupów. Twarze zmarłych zahipnotyzowały mnie. Niektóre z głów były odwrócone, jakby ich właściciele byli skonfundowani obecnością żywych tutaj; inni obserwowali wysiłki Brastiego z niemym przerażeniem, wytrzeszczając oczy i rozwierając szeroko usta. Twarz jednej z kobiet zaskoczyła mnie, taki malował się na niej gniew i oburzenie. „Vera”, pomyślałem. Chłopka, która przewodziła buntowi. Koniec końców została wrzucona do jednego wora wraz z innymi.

Spojrzałem na Brastiego i zauważyłem, że jego palce już zaczynają krwawić.

– Przestań.

– To nie zajmie wiele czasu, Falcio. Pozwól mi tylko...

– Przestań. Musisz przestać – chwyciłem go za nadgarstki i siłą podetknąłem mu dłonie pod nos. Zdarł sobie skórę na każdym z koniuszków palców, które teraz broczyły krwią. – Zobacz, co robisz!

Brasti usiłował je wyszarpnąć.

– To nie boli, Falcio. Po prostu daj mi trochę czasu. Zdołam to zrobić.

Pomyślałem, że może Brasti traci zmysły, ale ani jego spojrzenie, ani głos nie zdradzały obłądzenia. Wydawało się, że jego czyny są wynikiem spokojnego, chłodnego rozumowania.

– Zedrzesz sobie palce do kości, Brasti.

– Nie potrzebuję ich – powiedział, wyrywając mi się.

– Jesteś łucznikiem, ty głupcze! Nie będziesz mógł naciągnąć

cięciwy, jeśli zniszczysz sobie palce – mówiłem pozornie lekko, przygotowując podłoże do jakiejś ciętej riposty z jego strony, na przykład jak to może strzelać za pomocą palców u stóp, jeśli będzie chciał. Brasti uwielbia mieć ostatnie słowo w każdej dyskusji, gdy tylko to możliwe.

Ale on tymczasem wrócił do rycia w ziemi. Potem wymruczał coś pod nosem, ale nie mogłem zrozumieć co.

– Co takiego powiedziałaś? – spytałem.

– Powiedziałem, że „strzała osiąga celu tylko wtedy, gdy jest wymierzona we właściwym kierunku”.

– Nie rozumiem, Brasti. Przestań kopać. Przestań albo zawołam Kesta i zwiążemy cię do czasu, aż zaczniesz znów zachowywać się rozsądnie.

Przestał kopać i zastygł bez ruchu, niczym stary obraz człowieka płaczącego nad grobem swej żony. Potem zauważyłem, że jego oddech stawał się coraz szybszy. Słyszałem świst powietrza wciąganego do środka i wydychanego na zewnątrz. Zacząłem się obawiać, że Brasti za chwilę straci przytomność, więc wyciągnąłem znów rękę, żeby go dotknąć. Zanim jednak zdążyłem to zrobić, Brasti odwrócił się na kolanach w moim kierunku i chwycił zakrwawionymi dłońmi za poły mojego płaszcza.

– Jakie to ma znaczenie, że jestem łucznikiem? Jaką to robi różnicę, że potrafię trafić w cel, skoro nigdy nie mierzę we właściwym kierunku? Kto by się przejął, gdybym obciął sobie dłonie, tu i teraz?

– Brasti, uspokój się. Chodźmy stąd i porozmawiajmy...

– Rozmowy! – krzyknął. – Gadanina! To właśnie robisz, Falcio! Gadasz i gadasz, i gadasz, ale nigdy nic nie mówisz. Kazesz nam

latać po całym kraju, usiłując odnaleźć odpowiedzi na pytania, na których nie zależy nikomu poza tobą! Uważasz, że którekolwiek z nas naprawdę chce wiedzieć, kto zabił pieprzonego księcia Isaulta? Albo czy ci sami ludzie zamordowali również pierdolonego księcia Roseta? Albo czy ktoś chce rozpocząć wojnę między arystokratami?

– Król by się tym przejmował. Chciałby...

Brasti pchnął mnie tak mocno, że upadłem na stos ciał. Nogi i ręce trupów opadły mi na twarz i ramiona, jakby usiłowały mnie wciągnąć do środka.

– Może król chciał, żeby wszystko odbyło się w ten sposób, Falcio! Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałeś? Winnow była w sali tronowej Isaulta, a przecież nienawidziła książąt, Falcio, i dobrze o tym wiesz. Dlatego wreszcie zabiła sobie jednego. To takie cholernie proste. Ale ty? O nie, ty musisz wierzyć, że jest jakiś tajemny powód. Dlaczego wszyscy sądzą, że jesteś taki cholernie mądry, skoro wszystko, co robisz, to naginanie faktów do swoich własnych przekonań.

Odepchnąłem się i wstałem, nadal czując na skórze dotyk martwych kończyn.

– Winnow nie była tam po to, żeby zabić księcia – powiedziałem, starając się mu to uzmysłwić. – Nile powiedział, że został wysłany przez króla. Był tam po to, aby...

Brasti zaczął się histerycznie śmiać.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może Nile kłamał? Może król zaplanował to wszystko już dawno temu. Powiedział innym, żeby zaczekali, aż objawi się jeden z jego dziedziców, i dopiero wtedy zabili książąt, oczyszczając drogę do tronu. I wiesz

co? Założę się z tobą, że powiedział wszystkim Wielkim Płaszczom: „tylko nie mówcie o tym Falciovi. Nie zrozumiałyby. Falcio to wrażliwy chłopiec, który chce ocalić świat”.

Czułem, że zaczynam się powoli gotować od środka.

– Myślę, że znałem króla lepiej niż ty, Brasti...

– Doprawdy? Tak właśnie sądzisz? A ponieważ ja myślę, że niemal wszyscy w tym przeklętym kraju znali króla lepiej niż ty.

– Wystarczy – uciałem. – Jesteś wściekły i rozumiem cię. To, co się tu wydarzyło, jest... nigdy nie widzieliśmy niczego podobnego. Ale teraz musimy pomyśleć. Musimy mieć jakiś plan – nawet mi moje własne słowa wydały się banalne.

Brasti machnął lekceważąco ręką.

– Plan? Do diabła z twoimi planami, Falcio. Ja mam teraz swój własny plan. Zamierzam zabić wszystkich rycerzy, którzy stąpają po tej ziemi. Nie obchodzi mnie, czy są tak prości, jak zwykli zbójcy, czy tak szlachetni, jak twój pieprzony przyjaciel Shuran.

– Brasti, jeżeli nie będziemy przestrzegać prawa, to co...

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

– Chcesz praw? Oto prawo: żaden człowiek nie będzie nosił zbroi. Nigdy. Istnieje tylko jedna przyczyna, dla której człowiek chowa się w metalowym pancerzu, Falcio: ponieważ oznacza to, że może pobić, zgwałcić i zabić każdego człowieka zbyt ubogiego, aby stać go było na własną zbroję – wskazał na ciała leżące na ziemi. – Spójrz na tych biednych wieśniaków! Niektórzy z nich mieli nawet miecze i co im to pomogło, kiedy stanęli naprzeciwko człowieka odzianego w zbroję, taką, jak noszą książęcy rycerze? Nie można się przez nią przebić, chyba że człowiek spędzi całe życie, ćwicząc wyłącznie w tym celu. Cóż, mam dla ciebie wiadomość: posiadam

na to lekarstwo. Nazywa się Nieumiarkowanie i potrafi posłać strzałę z żelaznego drzewa prosto w najgrubsze stalowe płyty pancerza. Mogę przysposobić tyle strzał, ile będę potrzebował, i nie przestanę, dopóki pozostanie choćby jeden żywy człowiek na tyle odważny, aby przywdziać zbroję – Brasti splunął na ziemię między nami. – Chcesz praw? Oto Prawo Brastiego.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, aby skontrolować zarówno jego logikę, jak i gniew. Nie mogłem znaleźć słów, ponieważ Brasti miał rację, w pewnym sensie. Spojrzałem na ciała wieśniaków. Skóra na dłoniach tych, którzy wciąż ściskali miecze, była pokryta bąblami od żaru, który przewodziła rozgrzana w ogniu stal.

Kest podszedł do nas, z Darri i Valianą tuż za plecami.

– Daj Brastiemu czas – mruknął. – To... to nie jest coś, z czym sobie potrafi poradzić.

Miał rację. Brasti cenił prostotę w życiu – zwłaszcza wszystkie te zwykłe rzeczy, które wynikały z przebywania z innymi ludźmi. Kest pragnął zostać mistrzem szermierzy, a ja? Mną powodowało coś innego. Brasti w głębi serca chciał po prostu spędzać czas w towarzystwie innych ludzi. Z jakiegoś jednak powodu w tym właśnie momencie mnie to rozgniewało. Ja też pragnąłem spędzić czas w towarzystwie pewnych osób. Większość z nich nie żyła, a pozostałych prawdopodobnie nie zobaczę, zanim neatha wreszcie dokończy swoje dzieło zniszczenia. Do diabłów z Brastim i jego gniewem.

Smród trupów był nieznośny. „Do diabła z wami wszystkimi”, pomyślałem. „Dlaczego ludzie, którzy nie mieli nawet podstawowego wykształcenia, porywają się z mieczami na rycerzy w pełnej zbroi?” Spojrzałem ponownie na ciała.

Święta Deneph Która Oszukujesz Bogów. „Dlaczego” nie było właściwym pytaniem. „Dlaczego” w ogóle się nie liczyło. Prawdziwym pytaniem było „jak”.

– O co chodzi? – spytała Valiana.

– Miecze – odparłem. – Zabraliśmy ich miecze, pamiętasz? Shuran zapłacił za nie i odesłał je do pałacu Isaulta, aby mieć pewność, że nigdy nie zostaną użyte przeciwko nim.

– Sądzisz, że kupili nowe? – spytał Kest. – Za pieniądze, które wypłacił im Shuran?

– Nie. Pamiętasz, co powiedział? Że każdy miecz kosztowałoby dwukrotnie więcej, gdyby musiano go kupić jako nowy. W jaki sposób tych ludzi byłoby stać na miecze? A jeśli nabyli je drogą kupna, to dlaczego wcześniej nie znali prawdziwej ceny kutego miecza?

– Ktoś dostarczył wieśniakom broń – domyśliła się Darriana. – Ale dlaczego? Z dobroci serca?

– Nie – Valiana wyglądała na zamyśloną. – Nie. To coś, co zrobiłaby Patriana: uzbroiłaby chłopów i doprowadziłaby do wybuchu buntu, a potem zmusiłaby książąt, aby ci zaangażowali swoje siły do jego stłumienia. Utrzymanie pokoju i ujarzmienie poddanych we własnym księstwie wymaga trzykrotnie większej liczby żołnierzy niż cywili. A to z kolei sprawia, że łatwiej jest pokonać armię podczas bitwy.

– Tylko że książęta nie chcą pokoju. Nie tym razem – odparłem.

– Nie mogą. Ta kobieta, żona księcia Roseta? Miała rację, Falcio. Rycerze musieli wywołać strach tak ogromny, że kiedy słowo o ich czynach rozniesie się po kraju, żaden szary człowiek nawet nie pomyśli o buncie przeciwko swojemu lordowi. Inaczej

w jaki sposób książęta byliby w stanie powstrzymać armie Trin, kiedy już nadciągną?

Słowa Beytyny zadźwięczały mi w głowie. „Co ma zrobić słaby człowiek z mieczem, kiedy otaczający go ludzie zaczynają kwestionować jego siłę?” Odwróciłem się i spojrzałem na dróżkę, którą powoli wędrował Brasti, przyglądając się uważnie każdemu trupowi, niczym malarz planujący stworzyć portret każdego z nich.

– Kest, zgarnij go.

Kest spojrzał na mnie niepewnie.

– Falcio, nie jestem przekonany, czy Brasti...

– W tej chwili – przerwałem. – Brasti może stracić rozum później, ale teraz go potrzebuję, jego łuku i jego gniewu. Chce zabić rycerzy? Mam dla niego całe tuziny.

Kest potruchtał w dół ścieżki.

Valiana przyklękła przy chłopcu nie mającym więcej niż dwanaście lat, którego twarz została rozplątana jednym uderzeniem. W dłoniach dzierżył stalowy miecz, który prawdopodobnie był dla niego zbyt ciężki. Valiana ostrożnie rozprostowała palce chłopca i wyciągnęła broń spomiędzy nich. Wyjęła swój własny miecz i włożyła go w dłoń dziecka.

– Ten jest dużo cięższy niż twój – zauważyła Darriana.

– Teraz jestem silniejsza, a jeśli mamy walczyć z ludźmi w zbrojach, będę potrzebowała czegoś cięższego.

– No cóż. – Na ustach Darri błąkał się uśmiezek. – Cieszę się, że wreszcie odkryłaś prawdziwe zalety zemsty.

– Nie chodzi o zemstę – odparła Valiana. – Jeżeli książęta południa chcą upewnić się, że ich poddani przestaną rozważać możliwość buntu, nie poprzestaną na zmasakrowaniu jednej

wioski.

– Dlaczego mieliby przestać? – spytał Brasti, opierając się ciężko na Keście, jakby jego własne nogi odmawiały mu posłuszeństwa. – Dlaczego którykolwiek z nich miałby przestać? Zabili naszego króla, a my nie zrobiliśmy nic. Przejęli kraj, a my nie zrobiliśmy nic. – Strząsnął z siebie ramię Kesta i przyklęknął obok ciała chłopca. Sięgnął dłonią, przyglądając włosy dziecka. – A teraz... Teraz zrobili to. Dlaczego mieliby przestać, skoro nigdy nie muszą płacić za swoje czyny?

Spojrzałem na Kesta, najbardziej licząc właśnie na jego wsparcie, ale nawet on nie był w stanie spojrzeć mi w oczy.

– Jest ich zbyt wielu, Falcio. Trin, książęta, rycerze, nawet dashini... nie wiemy już, kim są wszyscy nasi wrogowie. To jest po prostu... co chcesz, żebyśmy zrobili?

Wszyscy stali, wpatrując się we mnie zimnym wzrokiem, niczym trupy zmarłych mieszkańców Carefal. Jak mógłbym od nich tego wymagać w tej chwili? Valiana była świeżo przyuczona do walki i miała miecz zbyt ciężki dla niej. Darriana była bezwzględna wojowniczką, podobnie jak nasi wrogowie, i prawdopodobnie równie godną zaufania. Kest, Święty od Mieczy, mógł w każdej chwili znów się zatracić w swoim szale. Brasti, nasz roześmiany łobuz: jego umysł rozpadał się na tysiące kawałków, gdy płakał nad spalonymi zwłokami mieszkańców wioski. I ja: umierający głupiec, jeszcze walczący z wrogiem, którego nie widział, nie wspominając o możliwości pokonania go. Byliśmy pięcioosobową armią straceńców, usiłujących posklejać rozsypany kraj. Ale zostaliśmy już tylko my.

– Macie rację – odparłem. – Jest ich zbyt wielu, a nas za mało.

Spisek na spisku, asasyni atakujący nas ze wszech stron, ale wiecie co? Nic mnie to już nie obchodzi. Powiadacie, że nie wiemy, kim są nasi wrogowie. Ja mówię, że to oni nie wiedzą, kim jesteśmy my. Może to skazana na porażkę walka – spojrzałem na Kesta i Brastiego i pomimo ich obojętnych min uśmiechnąłem się. – Ale tak się składa, że straceńcze walki są naszą specjalnością.

Przez bardzo długą chwilę nie działo się nic. Czuliśmy tylko delikatny, cichy powiew wiatru, niosący smród zwęglonych domów.

Brasti odezwał się jako pierwszy.

– Gdzie w ogóle mielibyśmy zacząć? – spytał cynicznie, lekceważąco, a jednak ta mała iskierka nadziei była pierwszym okrucichem ciepła, które poczułem od długiego czasu.

– Będziemy ich ścigać – odparłem.

– Kogo? – spytała Valiana. – Rycerzy?

– Rycerzy, Trin, dashinich. Będziemy ścigać ich wszystkich.

Darriana prychnęła.

– A kiedy ich dopadniemy, to co wtedy?

Uśmiechnąłem się, może dlatego, że byłem pewny, iż ją tym rozzłoszczę, a może dlatego, że niezależnie od stopnia załamania tych ludzi, kochałem ich. Może zresztą zrobiłem to dlatego, że uśmiechanie się w obliczu śmierci jest czymś, co człowiek wybiera, gdy nie zostało mu już nic innego.

– To akurat bardzo proste – odparłem. – Nauczymy ich pierwszej reguły miecza.

ANTRAKT

W samym sercu zamku Aramor znajduje się prywatna biblioteka znana jako Królewskie Ateneum (albo, jak to Brasti zwykł je nazywać, „ta śmieszna mała rotundka, gdzie król lubił zabierać arystokratów i demonstrować im swoją mądrość”). Niedługo po tym, jak książęta ścięli królowi głowę, rozkradli większość z jego książek, prawdopodobnie również chcieli zaimponować komuś szlachetnie urodzonemu swoją błyskotliwością. Jeżeli jednak człowiek poszukałby uważnie pomiędzy resztkami kolekcji, którą książęta pozostawili po sobie, ścierając kurz i odgarniając grube pajęczyny, mógłby się natknąć na niezbyt imponującą z wyglądu księgę zatytułowaną O cnotach rycerskich.

Możecie przypuszczać, że taka książka jest jedną z pierwszych, którą każdy zadufany w sobie książęcy dupek chciałby umieścić dumnie na honorowym miejscu nad kominkiem. W końcu który arystokrata nie lubi z samouwielbieniem i dość rozwlekle rozwodzić się na temat honoru i lojalności swoich rycerzy (nie wspominając o wysokości wydawanych na nich kwot)? Z pewnością tom zatytułowany tak obiecująco powinien być pożądanym i rozchwytywanym przez książąt.

Niestety, okładka tej szczególnej księgi jest raczej zniszczona i powycierana, jej kolor dawno wyblakł, a przebarwione stronic

przesycone są niezbyt apetycznym zapachem spleśniałej skóry zmieszany z zapaszkiem gnijącego papieru.

Gdyby jednak którykolwiek z książąt zdecydował się na ową pozycję, mógłby zapewne zauważyć, że jej autorem jest człowiek zwany Arlanem Hemensisem, zaś nawet najkrótszy czas poświęcony tej osobie wykazałby, iż Arlan był niegdyś sekretarzem w majątku pomniejszej arystokratycznej rodziny i spędził wiele lat w więzieniu w następstwie konfliktu z pewnym rycerzem. Rycerz ów czuł się pokrzywdzony z powodu upartej odmowy starego Arlana, aby zapłacić mu za wymianę tabardu po tym, jak zbrukała go na zawsze krew Verena Hemensisa, jedyne syna Arlana. Stało się to podczas rycerskiego pojedynku z młodym Verenem... i zupełnie nie liczyło się, że ów chłopiec, który miał jedynie siedem i pół roku, myślał, że wyzywając rycerza na pojedynek, robi to dla zabawy. Ale ostatecznie pojedynkowanie się jest jednym ze świętych obowiązków rycerzy.

Kiedy w wieku sześćdziesięciu trzech lat Arlan został wreszcie uwolniony z lochów, żył jeszcze na tyle długo, aby stworzyć swe dzieło.

Z pozoru jego książka wychwala honor i zalety stanu rycerskiego, lecz uważniejsza lektura może sprawić, że w umyśle co bardziej cynicznego czytelnika pojawi się kilka pytań. Moim ulubionym ustępem jest ten ostatni, głoszący, co poniżej:

Tak wspaniały jest prawdziwy rycerz, że nawet gdyby poległ podczas bitwy z pancerzem przeszytym, powiedzmy, że tuzinem strzał i hełmem uszkodzonym na skutek tak mocnego uderzenia, że stal, która niegdyś chroniła czaszkę rzonego rycerza, teraz zmiażdżyła ją, wyciskając zeń całą materię mózgu... nawet wtedy,

drogi czytelniku, jego rozbite ciało pada na ziemię z głośnym szczękiem zbroi, tak dumnym i szlachetnym w tonie, że człowiek chciałby usłyszeć go znowu i znowu, wiele razy.

Trzeba również dodać, że chociaż śmierć tysiąca poddanych może pozostać niezauważona dla historii, to gdy ci perfidni nędznicy ośmielą się atakować lepszych od siebie i przez jakiś dziwny przypadek udaje im się zabić rycerza, jego zakute w zbroję ciało rzuca zaiste bardzo długi cień.

ŚWIĘTA OD MIŁOSIERDZIA

Cała nasza piątka bardzo zmęczonych, zdesperowanych Wielkich Płaszczy jechała w ponurej ciszy na północ w stronę Luth, ścigając książęcych rycerzy. Kest wywnioskował, że wyprzedzają nas o cały dzień, mimo wielkiego ciężaru zbroi, które mieli na sobie. Kiedy czułem, że sen chce przejąć nade mną władanie, wyobrażałem sobie ściganych przez nas ludzi jako śmiejących się wrednie szakali, radośnie rozdzierających niewinnych wieśniaków na strzępy. W rzeczywistości jatka została przeprowadzona bardzo metodycznie i bez emocji. W końcu mieliśmy do czynienia z książęcymi rycerzami: ludźmi, którzy jedynie wypełniali rozkazy... no i oczywiście nakazy rycerskiego kodeksu. Planowałem zabić każdego z nich, bez wyjątku.

Nasi wrogowie nie fatygowali się z zacieraniem swoich śladów: każdy odcisk kopyta wyglądał niczym uśmiech wdeptany w ziemię i zapraszający do podążania za nim. Gdy oglądałem się za siebie, niemal widziałem ciągnących za nami zmarłych mieszkańców Carefal – mężczyzn, kobiety i dzieci wpatrujących się we mnie pustymi, pozbawionymi emocji oczami. Wyobrażałem sobie, jak

bezglóśnie powtarzają „tchórz” i „zdrajca” – i tak w kółko, jakby sądzili, że mogą mnie w ten sposób zmusić do większego pośpiechu. A jechaliśmy już i tak najszybciej, jak tylko pozwalały na to kondycja koni i stan dróg. Zmienialiśmy tempo między marszem i galopem, inaczej ryzykowalibyśmy, że nasze zwierzęta padną z wycieńczenia.

Darriana i Kest wymieniali się na czele pochodu, nieustannie tropiąc ślady rycerzy i upewniając się, że nie zboczyli z obranej drogi na północ. Pierwszego dnia podróży Brasti nie odezwał się ani słowem i nie chciał spojrzeć nikomu z nas w oczy. To Valiana wreszcie go złamała. Zrównała się z nim i jechała obok, ignorując jego milczenie. Sama nie powiedziała ani słowa, po prostu oferując swoje towarzystwo. Następnego dnia zrobiła to samo i po kilku godzinach wydało mi się, że słyszę, jak Brasti coś mamrocze. Nie byłem w stanie zrozumieć, co mówił, ale Valiana tak czy siak nie zareagowała. Utrzymywałem dystans, ale za jakiś czas usłyszałem, jak Brasti coś mówi, potem pomstuje i wreszcie szlocha. Przez cały ten czas Valiana nie powiedziała ani słowa. Słuchała go tylko. Kiedy wreszcie Brasti zamilkł, nie próbowała rozwiązać jego problemów ani prostować jego wyводу, mówiąc mu, że jest głupcem.

– Mów dalej – zachęciła.

Chciałem się do nich przyłączyć, powiedzieć coś mądrego albo zabawnego, co sprawiłoby, choćby w ramach odruchu, że nasz Brasti wróciłby do nas. Chciałem znów zobaczyć tego roześmianego, aroganckiego łobuza, który zazwyczaj swym dowcipem powstrzymywał nas przed popadnięciem w kompletne szaleństwo. Byłem jednak pewien, że cokolwiek wyszłoby z moich ust,

pogorszyłoby jedynie sprawę. Wbiłem więc wzrok w drogę przed nami i skoncentrowałem się na najbardziej prozaicznych problemach.

Ktoś mordował mój kraj.

„Nie może chodzić tylko i wyłącznie o utrzymanie porządku”, myślałem. „Zabójstwo książąt Isaulta i Roseta oraz ich rodzin musi być jakoś powiązane z buntami w wioskach”.

Łatwo byłoby zrzucić całą winę na Trin: wszyscy wiedzieliśmy, że była wystarczająco zdeprawowana, aby wydać podobny rozkaz, i z całą pewnością upoiłyby ją rezultaty. Jeżeli jednak miała aż tak silne wpływy w całym regionie, to dlaczego w takim razie nie przejęła jeszcze władzy nad całym krajem? A jeśli rzeczywiście przywiodła Tristię na skraj chaosu wojny domowej, to nad czym będzie sprawować rządy?

Przekląłem wszystkich świętych po kolei.

Potrzebowałem więcej informacji. Musiałem to z kimś omówić, zmienić obrazy i myśli w słowa i wypowiedzieć je głośno, aby przekonać się, jak one brzmią dla kogoś innego. Valiana całe swoje życie spędziła w towarzystwie Trin. Wiedziała o niej i jej sposobie rozumowania więcej niż ktokolwiek inny, jednak w tej chwili skupiła swoją uwagę na Brastim. Wiedziałem, że będę go potrzebował w nadchodzącej bitwie, więc zostawiłem ich w spokoju.

– Chciałam ją znienawidzić, wiesz?

Odwróciłem się, by zobaczyć Darrianę jadącą obok mnie.

– Oczywiście słyszałam o niej – ciągnęła. – Mówiono, że jest nadętą suką: szlachetnie urodzoną i wpływową córką Krwawej Księżnej, dziewczyną, która przez całe życie wierzyła, że Patriana uczyni z niej królową. A kiedy prawda o Trin została ujawniona,

czekałam na to, żeby Valiana odmalowała siebie jako skrzywdzoną świętą. Ale nie zrobiła tego.

– To prawda – odparłem. – Nie zrobiła.

– Dostała miecz do ręki, wielki płaszcz i tak po prostu... Wiesz, że ona nie jest nawet zła? Oczywiście chce śmierci Trin, ale przede wszystkim dlatego, że ta usiłuje zabić Aline – spojrzała przez ramię na Valianę. – I co ty o tym sądzisz? Wszystkie te pułapki szlchetnego urodzenia, cała ta władza została jej w jednej chwili odebrana, a ona nabrała...

– Szlchetności?

Darriana prychnęła.

– Przypuszczam, że można to tak określić – zamilkła na chwilę. – Powinna kipieć gniewem! Powinna pragnąć zabić wszystkich, którzy kiedykolwiek... – znów zamilkła i przez kilka dobrych minut jechaliśmy w ciszy.

– To prawda, mam rację? – spytałem wreszcie. – To co powiedział Nile? Jesteś córką Shanilli, Kompasów Króla?

Darriana zmrużyła złowieszczo oczy.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Spotkałem ją tylko kilka razy – przypominałem sobie drobną rudowłosą kobietę z oczami w kolorze głębokiej zieleni. – Król mianował ją Wielkim Płaszczem, gdy ja rozsądzałem sprawę w Domarisie, więc nie byliśmy sobie bliscy. Znałem ją jednak wystarczająco, aby ją szanować.

– Widzisz we mnie dużo jej cech? – spytała Darriana.

– Ja...

Shanilla była jednym z naszych najlepszych trybunów. Jej mistrzowskie rozumienie dziwactw królewskich praw było

niezwykłe. Nawet Kest nie potrafił jej w tym dorównać. Dobrze potrafiła posługiwać się mieczem, choć może nie była to jej najmocniejsza strona.

– Masz podobne oczy, ale poza tym nie. Nie mogę sobie wyobrazić dwóch bardziej różnych osób.

– To dobrze – Darriana uśmiechnęła się ponuro.

W sposobie, w jaki zacisnęła zęby, była swoista kruchość i poczułem chęć nawiązania z nią jakiegoś kontaktu. Shanilla nigdy nie próbowała szukać sobie wrogów. Starła się unikać konfliktów. Mimo to jakiś książę lub baron, wściekły za to, jak rozsądziła sprawę lub jak udało jej się pokonać jego przedstawiciela i tym samym uprawomocnić wyrok, znenawidził Shanillę na tyle, żeby wysłać asasynów dashini, by ci pewnej nocy zabili ją, nie dalej niż milę od bezpiecznego zamku Aramor.

– Byłaś dzieckiem, kiedy zginęła, prawda?

Darriana pokiwała głową.

– Ile miałaś lat? Czternaście? Piętnaście?

I znów tylko skinęła głową, unikając dokładnej odpowiedzi.

Pomyślałem o Valianie i o tym, jak udało się jej przebić przez pancerz Brastiego. Może ja będę w stanie zrobić to samo dla Darri?

– Możesz o tym ze mną porozmawiać – powiedziałem tak łagodnie, jak tylko potrafiłem.

– Czy mogę cię o coś zapytać, Falcio?

– Oczywiście.

– Twoja żona zmarła mniej więcej piętnaście lat temu, prawda?

– Tak.

– Czy mógłbyś opisać każdy szczegół dnia, w którym zginęła? I może jeszcze kilku dni potem? Czy kiedy ją zabijano,

wykrzykiwała twoje imię?

Zacisnąłem palce na wodzach.

– Dlaczego chcesz...

– Została również zgwałcona, prawda? – Darriana nachyliła się bliżej. – Czy wyobrażałeś sobie, co jej zrobili? Widziałeś oczami umysłu każde upokorzenie i ból jej ciała? Wyobrażałeś sobie twarze tych mężczyzn, kiedy każdy...

– Zamilknij! – krzyknąłem. – Co, do cholery, jest z tobą nie tak?

– Przepraszam – odparła. – Przypuszczam, że wspomnienia przywołują jedynie ból.

– Przywołują ból każdego dnia, niech cię szlag!

Darriana nachyliła się ku mnie tak bardzo, że niemal stykaliśmy się twarzami.

– To dobrze. Jeżeli masz ochotę rozdrapać stare rany, myśl o swojej żonie i zostaw mnie w spokoju, do kurwy nędzy! – spięła konia i pogalopowała naprzód.

Kilka minut później zrównał się ze mną Kest.

– Ona chyba cię nie lubi – powiedział.

– Rozmawialiśmy tylko – odparłem.

– Nie, nie rozumiesz. Kiedy na ciebie patrzy, widzę w jej oczach potworny gniew, może nawet nienawiść. I to nie po raz pierwszy.

– Sądysz, że chce mnie skrzywdzić? – spytałem.

– Nie wiem, ale na twoim miejscu miałbym na nią baczenie.

Wróciłem myślą do wszystkich walk, które odbyliśmy razem, od odparcia ataku ludzi Trin w Pulnamie do utarczki z luthańskimi rycerzami w gospodzie Pod Czerwonym Młotem zaledwie kilka dni temu.

– Miała wiele okazji, żeby mnie zabić bez przeszkód, gdyby tylko

chciała – zauważyłem. Nie zapomniałem także o tamtym poranku, kiedy obudziłem się z mojego paraliżu, czując ostrze jej noża na gardle. – Mogła to również zrobić, kiedy byliśmy sami.

– To prawda – odezwał się Kest. – Ale mimo to...

– Wiem. Nienawidzi mnie. Wiele się dzieje w tych dniach. Jestem pewny, że wszyscy zaczną myśleć o mnie dużo ciepłej, kiedy umrę.

Normalna osoba, przed udzieleniem swego komentarza, mogłaby pozostawić to stwierdzenie zawieszony w próżni, ale Kest nigdy nie lubił tracić czasu.

– Jak się czujesz? – spytał, wpatrując się we mnie, jakby chciał się przewiercić do środka przez moją skórę.

– Chyba dobrze. Jestem powolniejszy niż zazwyczaj i częściej się zamyślam. Przede wszystkim jednak budzę się tak przerażony, że mógłbym się zeszczuć w gacie, z wyjątkiem chwil, kiedy mój instrument również jest sparaliżowany.

Kest pokiwał głową.

– Czyli... nie najgorzej, tak?

Zachichotałem cicho.

– Cóż, wszystko ma swoją dobrą stronę, nawet śmierć z powodu paraliżu. Na przykład nie będę musiał się martwić o to, że będę stary i pomarszczony.

Kest zlustrował mnie od stóp do głów, znakomicie udając bardzo poważne oględziny.

– Moim zdaniem będziesz bardzo przystojny jako trup, Falcio.

– I to właśnie jest plus paraliżu: ostatnio zażywam odpowiedniej dawki snu.

– Słyszałem, że bezsenność i somnambulizm są niezwykle

powszechnymi przypadłościami.

– Dla mnie nie są – uniosłem niewidoczny kielich w toaście. –
Za księżną Patrianę i wiele nieoczekiwanych zalet zatrucia neathą.

Kest wzniósł swój własny wyobrażony toast.

– Nie wspominając o tym, że sama zginęła od niej jako pierwsza.

Roześmialiśmy się obaj, ignorując dziwne uczucie, że przemierzamy się od przemocy do przemocy, z jednej masakry w kolejną bitwę, zażywając przy tym jedynie krótkiej chwili wytchnienia we własnym towarzystwie. Kiedy te drobne iskierki radości przebijają się przez mrok, człowiek stara się zrobić wszystko, żeby nie zniszczyć tak pięknej chwili. Dlatego odczekałem chwilę, zanim zadałem pytanie, którego unikałem od wielu dni.

– Ile czasu jeszcze mi zostało? Jak myślisz?

Zerknął na mnie, a potem wpatrzył się w drogę przed nami.

– Nie jestem uzdrowicielem, Falcio. Nie mam pojęcia...

– Daj spokój. Całe życie spędziłeś na obliczaniu, ile więcej czasu zajmuje wyciągnięcie miecza podczas deszczu niż w czasie suszy. Wystarczy, żeby ktoś spojrzał na nas w niewłaściwy sposób, a ty jesteś w stanie obliczyć jego szanse przeżycia. Chcesz mi powiedzieć, że nie wykalkulowałeś sobie, kiedy neatha mnie zabije?

– To... nie znam wszystkich czynników. Z całą pewnością twój paraliż trwa za każdym razem dłużej, a im dłużej jesteś w nim pogrążony, tym płycej oddychasz i czasem gardło zaciska ci się, jakby nie potrafiło się otworzyć wystarczająco, żeby...

– Ile?

Kest spojrzał na mnie i westchnął ciężko, głęboko, zupełnie jakby myślenie o moich objawach źle wpływało na jego własny

oddech.

– Moim zdaniem sześć dni. Może siedem – odwrócił głowę. Zawsze to robił, kiedy nie do końca wierzył w to, co mówił. – Poza tym niewykluczone, że dostaniemy jakieś leki, które poprawią twoją sytuację. Albo też twoje ciało zacznie wreszcie wydalać truciznę. Może poczujesz się lepiej, jeśli...

– Nie ma sprawy – odparłem. – Sześć dni.

– Może siedem.

– Może siedem. W takim razie muszę do tej pory dowiedzieć się, kto zabił Isaulta, Roseta i ich rodziny oraz dlaczego dwustu mieszkańców Carefal leży martwych.

– To może wcale nie mieć ze sobą związku, wiesz? – zauważył Kest. – Nile myślał, że to dashini go zabili. Kimkolwiek są ci zabójcy, wątpię, żeby to byli dashini.

– Ale mogą pracować dla tych samych osób – moje słowa zabrzmiały fałszywie. – Nie. Z jakiegoś powodu to nie ma sensu.

– Dlaczego nie?

– Dashini są precyzyjni: szybcy i skuteczni niczym ostrze sztyletu. Są narzędziem, które działa najlepiej, gdy niezbędna jest dyskrecja. Są niczym szept w ciemności.

Kest uśmiechnął się z zastanowieniem.

– Szept w ciemności? Czyżbyś w wolnym czasie zaczął parać się poezją?

– To ci cholerni bardatti tak na mnie wpłynęli! – jęknąłem. – Ale pomyśl o tym: rycerze są toporną siłą i wściekłym uderzeniem, maczugą w mocnej dłoni. Użycie ich jest otwartym pokazem siły, czymś, co rozgłasza się wszem i wobec.

– Zatem wieśniacy są uwięzieni między ostrzem dashinich

a ciężkim młotem rycerzy.

– I kto tu para się poezją? – rzuciłem ironicznie. – Chodzi jednak o coś więcej. Ktoś dostarczył broń wieśniakom, i to aż dwukrotnie. Za pierwszym razem stało się to, zanim nawet usłyszeliśmy o istnieniu Carefal. A potem, niech mnie licho, ci ludzie uzbroili się znów, gdy tylko skonfiskowaliśmy ich całą żelazną broń.

– Ktoś naprawdę chce doprowadzić kraj do wojny domowej – powiedział Kest.

– Nie. Już ku niej zmierzamy, od wielu lat. Ktoś usiłuje ją jedynie przyspieszyć.

– Trin nadal jest najbardziej oczywistą kandydatką.

– Ale po co? Ona chce władać Tristią, a nie po prostu siedzieć sobie na zdobnym tronie i patrzeć, jak królestwo się rozpada.

– Cóż, jest przecież szalona.

– To prawda, ale nie głupia – spojrzałem na drogę, skupiając się na śladach, po których szliśmy. – Kest, ktoś celowo prowadzi ten kraj w chaos. Ktoś chce zobaczyć, jak Tristia płonie.

Przez następne dwa dni każda godzina podróży stawała się swego rodzaju trucizną. Robiłem się coraz bardziej zmęczony i nieuważny. Tyle czasu poświęcałem na powstrzymywanie się od zaśnięcia, że nie zauważałem dziur i wybojów na drodze. Zbudziłem się nagle z dziwnego półsnu, rozpaczliwie łapiąc konia za szyję, żeby nie spaść. Czas stał się elastyczny: najpierw kurczył się do tego stopnia, że pół dnia zdawało się mijać w mgnieniu oka, by innym razem znów wlec się okrutnie, kiedy mój umysł wyczarowywał

obrazy okropieństw, jakich mogły się spodziewać następne cele rycerzy, którzy zmasakrowali Carefal.

– Ktoś jest przed nami – powiedział Brasti, wytrącając mnie z zamyślenia.

Ściągnęliśmy cugle i uniosłem dłoń, osłaniając oczy przed słońcem.

– Ilu? – spytałem.

– Tylko jedna osoba. Kobieta – odparł.

– Czy jest uzbrojona? – wyciągnąłem jeden z rapierów i zmrużyłem oczy, wpatrując się w to, co wskazywał Brasti. Zawsze zazdrościłem mu tego sokolego wzroku, chociaż pewnie tak właśnie powinno być; nie spotkałem jeszcze łucznika krótkowidza, który z sukcesem walczyłby w bitwie.

– Jak ty sobie w ogóle dajesz radę z takim beznadziejnym wzrokiem?

– Nadziewając na sztych ludzi, którzy poruszają ten temat. Odpowiedz na pytanie.

Brasti nachylił się nad szyją konia i wbił wzrok przed siebie.

– Nie widzę żadnej broni. Po prostu stoi tam. Ma jasne, niemal białe włosy i bladą suknię, która... nie wiem... porusza się wokół niej niczym zasłony falujące za sprawą wieczornej bryzy.

– Święci, czy wszyscy zamierzają zmienić się w bardattich? – nagle wróciłem myślami do małej kapliczki przy trakcie z Pulnamu, gdzie Trin wykorzystwała niewinną dziewczynkę jako instrument tortur po to tylko, by nam dokuczyć. – Brasti, czy ma coś...

Ale on już się domyślił. Pokręcił głową i rzekł:

– Nie ma nic przymocowanego do głowy.

Popędziłem konia, by ruszył powoli do przodu. Nie ma sensu tworzyć problemu bez potrzeby. W ciągu kilku chwil sam byłem w stanie zobaczyć dziewczynę. Z dala jej białe włosy mogły sprawiać wrażenie, że jest starsza, ale teraz widziałam, że jest młodsza od nas, może dwudziesto-, dwudziestopięcioletnia.

– Zatrzymajcie się – polecił Kest.

Brasti i ja ściągnęliśmy cugle.

– O co chodzi? Co tam widzisz? – spytałem.

Darriana uczyniła znak ochronny w powietrzu.

– Czy to wiedźma?

– Nie – Kest zsiadł z konia.

– W takim razie o co chodzi?

– Nie przybyła tu z twojego powodu – odparł Kest i ruszył w kierunku kobiety powoli, niemal z obawą. – Ona jest tu dla mnie.

– Co Kest ma na myśli? – spytała Valiana, gdy był w połowie drogi.

– Nie wiem – spojrzałem na Brastiego. – Szykuj łuk.

Brasti zsiadł z konia i wyciągnął Nieumiarkowanie, najdłuższy z jego trzech łuków. Postawił kołczan na ziemi, opierając go sobie o nogę. Wyciągnął garść strzał i wręczył po kilka każdemu z nas.

– Zawołam was po imieniu, jeśli będę potrzebował strzały. Umieście ją w mojej otwartej dłoni, lotkami w moim kierunku, z czarnymi piórami po lewej.

– Coś jeszcze, mistrzu? – spytała Darriana.

– Tak. Nie wchodźcie mi w pole rażenia.

Kest już był obok kobiety i rozmawiał z nią. Z tej odległości nie słyszałem o czym, ale sposób, w jaki oboje stali, miał w sobie coś... znajomego, niemal intymnego.

– Czy to możliwe, że Kest ją zna?

Brasti prychnął.

– Kobietę? A jak miałyby to pomóc w szermierce?

Kobieta pokręciła głową i wydawało się, że Kest się ożywił. Zaczął poruszać rękami jak człowiek, który usiłuje wytłumaczyć plan bitwy lub ataku. Kobieta się nie ruszała, stała spokojnie, jakby przyglądała się falom rozbijającym się o brzeg.

Po kilku minutach Kest przestał i kobieta przemówiła. Nie słyszałem ani słowa, ale była to długa przemowa. Po jakimś czasie Kest zaczął dygotać.

– Co ona robi? – spytałem, wyciągając drugi rapier. – Brasti, poślij jej strzałę w nogę, dobrze? Z Kestem dzieje się coś niedobrego.

Ruszyłem w ich kierunku, ale Brasti mnie powstrzymał.

– Zaczekaj – powiedział. – Nie sądzę, żeby robiła mu krzywdę.

– W takim razie co się z nim dzieje?

– Płacze.

– Kest? Płacze? – nie pamiętałem, czy widziałem płaczącego Kesta, od kiedy skończyliśmy dziesięć lat, a nawet wtedy płakał z powodu rzeczy, które smuca dziesięciolatków: wpadnięcie do rzeki, pobicie przez kogoś starszego i mocniejszego. Żadna z nich nie zdarzyła się od bardzo wielu lat.

– Wraca – powiedział Brasti.

Kest szedł w naszym kierunku powoli, dziwacznie, jakby nie był pewny terenu.

– Co się stało? – zapytałem, chwytając go za ramiona. – Czy ta kobieta ci coś zrobiła?

– Nie, nic – odparł. Miał zaczerwienione i zamglone oczy, ale nie

pofatygował się nawet, żeby wytrzeć łzy. – Chce z tobą rozmawiać.

– Z kim? – spytała Darriana.

– Z Falcim. Twierdzi, że musi porozmawiać z Falcim.

Miałem już ruszyć w jej kierunku, ponieważ naprawdę chciałem wiedzieć, co się tu odbywa, kiedy Kest chwycił mnie za nadgarstek.

– Zostaw rapiery.

– Dlaczego?

Kest wyciągnął ręce w oczekiwaniu, a ja z jakiegoś powodu poczułem, że nie jestem zdolny mu odmówić.

– Dlaczego? – spytałem raz jeszcze, umieszczając broń w jego rękach.

– Dlatego że czasem wpadasz w gniew, Falcio, a ja nie chcę, żebyś zrobił jakieś głupstwo.

– W porządku – odparłem, choć poczułem się dziwnie skrzywdzony jego słowami.

Kobieta nie patrzyła na mnie, lecz jakby przeze mnie. Być może nadal obserwowała Kesta.

– Witaj – powiedziałem, podchodząc do niej.

Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła, a ja niemal padłem na kolana przed jej urodą.

„Wielkie Płaszczki przed nikim nie padają na kolana”, przypomniałem sobie.

– Witaj, Falcio – kobieta wyciągnęła rękę, z dłonią skierowaną ku dołowi. Chwyciłem ją i pochyliłem się, aby ją ucałować.

– Dziękuję, że zostawiłeś swoje rapiery z przyjaciółmi – powiedziała. – Wiem, jak bardzo nie lubisz się z nimi rozstawać.

Puściłem jej dłoń.

– Człowiek wykonujący mój zawód zazwyczaj natrafia na zbyt

wiele okazji, w których mógłby pożałować ich nieobecności.

– Być może – odparła. – Jednak człowiek, który wszędzie nosi broń, sam ma w zwyczaju prowokować takowe sytuacje.

„Doskonale”, pomyślałem. „Zupełnie jakbym nie miał wystarczająco wielu problemów z poetami, to teraz jeszcze muszę się użerać z filozofką”.

– Nie przyszedłem tu, aby z tobą tańczyć, moja pani. Czy dlatego chciałaś mnie widzieć?

Spojrzała na mnie z niezwykłą łagodnością.

– Tamtego dnia wcale by ci nie pomogły, wiesz? Nawet gdybyś miał je przy sobie, kiedy pojawili się ci ludzie. Nawet gdybyś miał wszelką broń i umiejętności, jakie posiadasz teraz, Aline umarłaby mimo wszystko, i ty również.

– Powiedz...

– Nie musisz mi grozić, Falcio val Mondzie.

– Nie zamierzałem...

Uniosła dłoń.

– „Powiedz jej imię jeszcze raz”. To chciałeś powiedzieć. „Wypowiedz je dwa razy i zobaczysz, co się z tobą stanie”. Zbyt często grozisz ludziom, Falcio, i niemal nigdy nie trafiasz w sedno.

– Wydaje się, że znasz mnie nader dobrze, moja pani.

– Za to ty znasz mnie niedostatecznie – tym razem w jej głosie zabrzmiała stalowa nuta.

Wpatrzyłem się znów w jej twarz, starając się zignorować jej urodę, która powoli mnie obezwładniała. Ocenilem linię nosa i kształt ust. Kobieta może się przebrać, ufarbować włosy, ale nie może zmienić swojej twarzy. Im dłużej przyglądałem się tej dziewczynie w białej sukni, tym większą miałem pewność, że nigdy

jej nie widziałem.

– Nie spotkaliśmy się jeszcze – powiedziałem wreszcie.

– Masz rację – odparła. – Chociaż wołałam cię wiele, wiele razy.

– Kiedy? A jeżeli się nie spotkaliśmy, na jaką odpowiedź z mojej strony liczyłaś?

Zamknęła oczy i potarła opuszki palców. Nagle kobieta i droga zniknęły, a moim oczom ukazały się bitwy i pojedynki. Rozpoznałem wszystkich moich przeciwników. Byli to ludzie, których zabiłem.

– W samym środku walki wołałam do ciebie, zawsze wtedy, gdy już odniosłeś zwycięstwo, lecz zanim zadałeś ostateczny cios – powiedziała.

Poczułem ostatnie pchnięcie ostrza mojego rapiera w brzuch wroga, stal rozcinającą szyję.

– Dlaczego pokazujesz mi to wszystko? – spytałem.

– Powiedziałeś, że mnie nie znasz. Chciałam ci pokazać dlaczego.

– Ponieważ wygrywam moje walki? – byłem zdezorientowany i ogarniała mnie coraz większa irytacja. Wiedziałem jednak, że to wszystko, cokolwiek to było, miało ogromne znaczenie.

Kobieta otworzyła oczy i nie znalazłem w nich ani krzty gniewu.

– Dlatego że ignorujesz moje wołanie.

– Ja... – chciałem powiedzieć, że mam już dość tej gry. Widziałem już przedtem magię i nie cierpiałem jej. Wiedziałem, że kobieta chciała, bym ją spytał, wręcz błagał, aby powiedziała mi, kim jest. Takiej zaś sytuacji nie znoszę jeszcze bardziej niż magii.

– Nie przybyła tu z twojego powodu – powiedział Kest. – Ona jest tu dla mnie.

Zatem kto taki pojawiłby się tu dla Kesta, ale nie dla mnie? To była pierwsza wskazówka. „Wiem, czym jesteś, pani; teraz muszę się tylko dowiedzieć, kim jesteś”.

– Chcesz, abym litował się nad ludźmi, którzy bardzo, ale to bardzo się starali mnie zabić?

– Koniec końców sam będziesz potrzebował odrobiny litości.

– A może miłosierdzia? – zasugerowałem.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Zawsze uważałam, że miłosierdzie jest dużo praktyczniejsze od litości.

– W takim razie znam cię, pani – odparłem.

– Doprawdy? Jak mam na imię?

– Birgid, moja pani.

Kobieta dygnęła.

– To prawda, jestem Birgid. To pospolite imię, lecz gratuluję odgadnięcia. Imponujące. Czy masz w zanadrzu również inne sztuczki, Falcu?

– Druga część twojego imienia jest znacznie mniej pospolita, pani.

– W takim razie wypowiedz je i pokaż światu swoją mądrość.

– Święta Birgid Co Wypłakuje Rzeki. Jesteś Świętą od Miłosierdzia, jak powiadają niektórzy.

Roześmiała się.

– Ach, więc to prawda, co o tobie słyszałam. Zaiste jesteś mądrym człowiekiem, Falcu, pierwszy kantorze Wielkich Płaszczy.

Poczułem w piersi coś dziwnego, jakby nagle moje serce przepełniło się śmiechem, smutkiem, oczekiwaniem i żalem.

– Przestań – warknąłem gniewnie.

– Nie mogę nic na to poradzić, że cię wzruszam, Falcu. Męstwo zawsze rodzi się ze współczucia, które wypływa z twojego rozpoznania mnie – przytknęła dłoń do mojego policzka. – Żałuję, że nie mogę cię przekonać, kiedy najbardziej cię potrzebuję.

– A dlaczego sądzisz, że powinnaś mnie przekonać?

Zignorowała moje pytanie.

– Czy wiesz, gdzie się teraz znajdujemy?

Staliśmy na rozstajach: główny trakt wiódł na północ, zaś boczne drogi odbijały na wschód i zachód.

– W tej chwili powinniśmy być już w księstwie Rijou.

– Jesteśmy w nim – wskazała na wschód. – Czy wiesz, co znajduje się mniej więcej sześćdziesiąt mil stąd wzdłuż tej drogi?

– Nic ważnego – odparłem. – Zważywszy, że ślady ludzi, których ścigamy, wiodą na północ.

– Jest tam miasteczko; małe, lecz urodziwe. O ile wiem, początkowo był to obóz kupców oczekujących na pozwolenie wjazdu do miasta Rijou – spojrzała na mnie tymi swoimi oczami, tak młodymi, a jednocześnie pełnymi wiekowej mądrości. – Podobno to piękne miejsce do odwiedzenia.

Nagle przed oczami mojej wyobraźni pojawiła się twarz: czarne włosy i czerwone usta stworzone do uśmiechu. Ethalia.

– Miasto zwie się Merisaw – odparłem. – Mówisz o Merisaw.

Skinęła głową.

– Czy to dlatego tu jesteś?

– Przybyłam tu z powodu Kesta, nie dla ciebie. A mimo to nie sądzisz, że to dziwne? Twoje polowanie przywiodło cię na te, a nie inne rozstaje dróg. Jak myślisz, czy to przypadkiem nie bogowie przemawiają do ciebie w ten sposób?

– Nie – odparłem. – Bogowie odzywają się tylko do świętych lub bogatych.

Kobieta uśmiechnęła się oszczędnie.

– A święci?

– Nie mam w tym względzie wielkiego doświadczenia, pani, ale mój instynkt podpowiada mi, że święci funkcjonują na bardzo podobnych zasadach, jak bogowie, chociaż może za mniejszą cenę.

– Uważasz, że próbuję cię nakłonić do spotkania z Ethalią? Nie martw się o to, Falcu. Wolałabym, żebyś trzymał się od niej z daleka.

– Znasz ją? – spytałem.

– To dziecko współczucia – odparła Birgid. – Poza tym kocha cię. Współczucie jednak zawsze ulega wobec przemocy.

– Jak na Świętą od Miłosierdzia to dość cyniczne spojrzenie na świat – zauważyłem.

– To opinia kobiety, która usiłowała bezskutecznie połączyć przemoc z miłosierdziem. Dzieckiem narodzonym z tego związku jest jeszcze większa przemoc.

Wbrew sobie czułem się nią zauroczony. Była piękna niczym wspomnienie idealnego pocałunku. Kiedy przemawiała, odzywały się we mnie najlepsze instynkty. Z doświadczenia jednak wiedziałem, że nie zawsze mogę na nich polegać.

– Doceniam fakt, że poświęciłaś swój czas, aby powiedzieć mi, jaki jestem beznadziejny, Święta Birgid. W tej chwili jednak usiłuję powstrzymać wybuch wojny, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, czy mogłabyś mi powiedzieć to, co masz do powiedzenia, i usunąć mi się z drogi?

– Już ci powiedziałam, że nie przybyłam tutaj dla ciebie –

dotknęła mojego policzka. – Jednak nawet mnie samą przyciąga męstwo. Chciałam więc poznać cię osobiście.

– Przybyłaś tutaj dla Kesta – zmieniłem temat na taki, który mniej mnie krępował. – Dlaczego?

Odsunęła się ode mnie.

– Nie musisz się mnie obawiać, Falcu.

– Rzadko kiedy taka argumentacja mnie uspokaja. Odpowiedz na pytanie, jeśli wola.

Przez jej twarz przemknął cień irytacji – nie dlatego, że byłem nieuprzejmy, lecz dlatego, że Birgid zdawała sobie sprawę, iż moja nieuprzejmość wynika z chęci naruszenia jej świątobliwej postawy.

– Przybyłam do Kesta, ponieważ jest świętym nowicjuszem i są pewne rzeczy, które musi wiedzieć; których każdy święty musi się nauczyć. Caveil powinien mu to powiedzieć, ale ich znajomość z konieczności była niezbyt długa. Jest pewne miejsce, ustronie w pobliżu Aramoru. Tamtejszym kapłanom można zaufać. Kest ma szansę znaleźć tam wytchnienie od swoich pragnień.

– Przez „jego pragnienia” masz na myśli gorączkę świętych, cokolwiek to jest, prawda? Kest nie potrzebuje żadnego sanktuarium. W pełni kontroluje swoją przypadłość.

– To nieprawda. Kiedy tłumi w sobie gorączkę, czerwony ogień wypala go od wewnątrz. Kiedy pozwala mu wreszcie ujść, gorączka jedynie się nasila. Czerwień pochłonie Kesta żywcem – ruszyła drogą wiodącą na zachód. – Chodź ze mną. To, co mam ci do powiedzenia, zajmie jedynie chwilę.

Przyłączyłem się do niej, ale milczałem, nadal zdeterminowany, żeby nie błagać jej o odpowiedzi. Miałem dosyć proszenia ludzi o wyjaśnienia.

Najwyraźniej Birgid wyczuła moją powściągliwość.

– No dobrze, Falciu. Jeżeli ktokolwiek spyta, z całą pewnością odpowiem, że zachowałeś spokój podczas całej naszej rozmowy. Musisz wiedzieć jedno: to dla ciebie Kest sięgnął po miecz.

– Dla mnie? – zatrzymałem się. – Dlatego że byliśmy przyjaciółmi?

– Tak – odparła. – Ale tak proste stwierdzenie nie oddaje pełni tej historii.

– W takim razie co?

– Kiedy Kest był młody, pewna kobieta przepowiedziała mu twoją przyszłość.

I znów zamilkła, najwyraźniej czekając na moją reakcję. To zaczynało już być nudne. I znów odmówiłem wciągnięcia się w tę zabawę.

– Powiedziała mu, że umrzesz z rąk Świętego od Mieczy.

– Co takiego?

Wróciłem myślą do dnia sprzed ponad dwudziestu laty, kiedy Kest przyszedł do mnie i oświadczył, że zamierza nauczyć się fechtunku. Nigdy nie powiedział dlaczego, a ja nigdy nie pytałem. Myślę, że nie odpowiedziałby na moje pytanie, i ja to wiedziałem.

– W takim...

– Powiedziała mu, że Święty od Mieczy zawsze musi mierzyć się z przeciwnikiem, który może go pokonać. To nasze przekleństwo, rozumiesz? Musimy zawsze być idealnym wcieleniem tego, co sobą reprezentujemy. Nie sposób się temu oprzeć. Możemy próbować okiełznać tę potrzebę, ale koniec końców zwycięża ona nad naszą wolą.

– Zatem ty musisz zawsze być najbardziej miłosierną osobą na

świecie?

– Coś w tym rodzaju.

– A co, jeżeli pojawi się ktoś zdolny do większego miłosierdzia niż ty?

– Tego dnia, drogi Falcio, będę bardzo szczęśliwa.

Spojrzałem przez ramię na Kesta, który stał z Brastim, spoglądając gdzieś w przestrzeń nad drogą.

– A zatem Kest stał się najznamienitszym szermierzem na świecie tylko po to, abym nie musiał walczyć z Caveilem?

– Tak – odparła. – Zawsze musiał się upewnić, że jest od ciebie lepszy – w jej oczach pojawił się smutek.

– Ale... chyba podziałało, nieprawdaż? Kest pokonał Caveila.

– Owszem. A teraz jest Świętym od Mieczy.

– W takim razie...

Birgid znów dotknęła mojego policzka.

– A w tej chwili, Falcio val Mondzie, jesteś drugim z kolei najlepszym szermierzem na świecie.

– Ja... – odsunąłem się. – Stroisz sobie ze mnie żarty, moja pani. Jest na tym świecie wielu ludzi znacznie szybszych, silniejszych i zdecydowanie bardziej utalentowanych niż ja.

– Nie powiedziałam, że jesteś najszybszy, najsilniejszy ani najbardziej utalentowany. Powiedziałam „najlepszy”. Jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek pokonała go w walce, nieprawdaż?

– To był turniej – odparłem. – A ja oszukiwałem.

– Ale jak głosi stare powiedzenie szermierzy: „walk, które liczą się najbardziej...”

– „...nie wygrywa się umiejętnościami” – dokończyłem, nieco rozeźlony, że nie mogłem się powstrzymać.

– Spójrz na niego – powiedziała Birgid. – W każdej sekundzie, którą spędza w twojej obecności, wzbiera w nim wojna. Jak długo twoim zdaniem będzie się w stanie powstrzymać?

Znów spojrzałem na Kesta, stojącego dwadzieścia stóp od nas ze spuszczoną głową. Teraz, kiedy się na tym skupiłem, niemal czułem czerwony żar emanujący z jego ciała. Czy rzeczywiście moja obecność stała się dla niego swego rodzaju prywatnym piekłem, zarezerwowanym dla świętych, którzy nie chcą usieć swoich najlepszych przyjaciół? Chciałem podbiec do niego i powiedzieć mu, żeby uciekał, pojechał z powrotem do Aramoru, odnalazł mały, przyjemny kościółek, w którym mógłby się zabarykadować. Potem jednak moje myśli zwróciły się ku Aline, z jej przeredzonymi włosami i twarzą wymizerowaną z powodu tygodni ciągłego przerażenia i zmęczenia. A potem pomyślałem o stertach martwych ciał w Carefal.

– Wytrzyma jeszcze trochę – powiedziałem. – Potrzebuję go. Kraj go potrzebuje.

Na nienaturalnie młodej twarzy Birgid pojawiła się frustracja – nie, coś głębszego niż frustracja.

– A za kogo ty się uważasz, przemawiając w imieniu całego kraju? – spytała kąśliwie.

Coś w jej tonie mocno mnie ukłuło i poczułem, jak wzbiera we mnie gniew.

– Ja? Ja jestem nikim – odparłem. – Jestem nikim, tylko człowiekiem z mieczem w dłoni, trucizną krążącą w żyłach i ze zbyt dużą liczbą wrogów, którzy chcą mnie skrócić o głowę. Ale staram się, Święta Birgid. Podczas gdy ty stoisz sobie tutaj i obdarzasz swoim bezużytecznym blaskiem świat, za którego ocalenie ja

oddaję życie. Kim jestem? Pani, jestem Wielkim Płaszczem. A kim, do cholery jesteś ty?

Już nie raz mierzyłem się wzrokiem z książętami, rycerzami i wszelkimi innymi łotrami, ale spojrzenie Świętej Birgid było niczym wpatrywanie się w nieskończony wszechświat samotności. Poczułem, jak ogarnia mnie uczucie wyobcowania tak silne, że nogi zaczęły się pode mną uginać.

– Na kolana, człowieku przemocy – rozkazała spokojnie Święta Birgid, chociaż jej słowa były niczym uderzająca we mnie sztormowa fala. – Nie patrz na mnie swoimi niewidzącymi oczami. Zamiast tego spójrz na miejsce, w którym napotkasz swój koniec, jeśli nadal będziesz podążał tą ścieżką.

„Nie”, pomyślałem. „Nie uklęknę. Nie przed jednym z was”. Kiedy to niby bogowie lub święci pomogli komukolwiek poza bogatymi i wpływowymi obywatelami tego kraju? Wbiłem wzrok w ziemię i zmusiłem się do pozostania w pozycji stojącej. „Możesz mnie zabić, jeśli taka twoja wola, pani, ale ja nie pochylę przed tobą głowy”.

Głębokie poczucie pustki narastało we mnie, za jego sprawą czułem się tak nieważny, że musiałem wpatrywać się w pojedyncze kamyki na traktach, po to tylko, aby przypominać sobie o swoim istnieniu. Śledziłem tropy odbite w ziemi, kawałki złamanych gałęzi, wzory odcisnięte w pyle, opadłe liście zmiecione na brzeg traktu...

Tropy były nie takie, jak trzeba.

Ślady teoretycznie wiodły na północ, ale ktoś zmiotł liście z drogi. Spojrzałem w lewo i dopiero wtedy dostrzegłem zamaskowane tropy wiodące na zachód. „Rycerze jednak nas

przechytrzyli”. Sprawili, że było nam tak łatwo podążać za nimi, iż nie zauważyłem, kiedy zostawili fałszywe ślady na rozstajach. Nadal podążalibyśmy na północ, nie wiedząc, że cholerni rycerze zmienili kierunek jazdy. Co znajdowało się na zachód stąd? Garniol – jakieś dziesięć mil stąd. Wioska nieco większa niż Carefal, licząca kilkuset mieszkańców. Rycerze, którzy tak skutecznie zniszczyli Carefal, teraz byli gotowi sprawdzić swoją taktykę na kolejnym celu.

Nagle całe napięcie i poczucie pustki wyparowały ze mnie. Uniosłem głowę, spoglądając ponownie na Świętą Birgid Co Wypłakuje Rzeki. W jej oczach dostrzegłem głęboki smutek i zdałem sobie sprawę z tego, co się właśnie wydarzyło. Birgid nie wolno było udzielić nam bezpośredniej pomocy, tak więc umyślnie mnie sprowokowała, aby móc mną pokierować. Najwyraźniej bogom nie przeszkadza, kiedy święci zabijają ludzi. Liczy się tylko to, żeby, brońcie bogowie, święci nam nie pomagali.

– Nie możemy w nic ingerować – powiedziała. Nagle wydała mi się dużo młodsza ode mnie, niczym dziecko szepczące coś nieśmiało pod spojrzeniem zagniewanego rodzica.

– Jeżeli dzięki temu bogowie mają poczuć się lepiej, to wiem z dobrego źródła, iż za tydzień, najdalej dwa, tak czy siak będę martwy.

Święta Birgid odwróciła się i oddaliła ode mnie.

– Jesteś za bardzo wyszczekany, Falcium val Mondzie. Niektóre śmierci są gorsze niż inne. Ta, ku której zmierzasz, jest najgorsza ze wszystkich.

GARNIOL

Kiedy kręta droga wreszcie dotarła na szczyt wzgórza nad wioską Garniol, mój wierzchowiec zaczął okazywać zmęczenie.

– Nie każdy może być wieszczym koniem – powiedziałem do utrudzonego zwierzaka z sympatią. Dobrze mi służył w ciągu ostatnich tygodni, ale żałowałem, że nie ma ze mną Bestii. Ona nigdy się nie męczyła, zwłaszcza w pościgu, i nie mogłem zaprzeczyć, że odesłanie konia przez Aline nadal mnie dręczyło. Byliśmy związani tym dziwnym sentymentem, który zbliża dwa okaleczone stworzenia, i prawdopodobnie miałem nadzieję, że jedno potrafiłoby uleczyć drugie.

– Jedźmy, staruszkę – powiedziała Darriana i zdałem sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak bardzo starałem się ukryć przed innymi moje dolegliwości, ona zawsze je dostrzegała i nieodmiennie komentowała.

– Przestań się z nim droczyć – zaprotestowała Valiana. – Falcio nie jest stary, tylko walczy z trucizną, która kogoś innego już dawno by zabiła.

– Nie ma sprawy – byłem nieco zły, że osiemnastoletnia

dziewczyna poczuła się w obowiązku stanąć w mojej obronie, a także dlatego, że słowo „walczyć” sugerowała bój, który teoretycznie mógł zakończyć się zwycięstwem. Zupełnie jakby wystarczyło, żebym stawił bardziej zdecydowany opór wobec mojej, skądinąd nieuchronnej śmierci.

„Święta Birgid, jeżeli muszę umrzeć, nie pozwól, aby stało się to w tym gównianym mikrym Garniol”. Byłem tu już dwukrotnie i pamiętam, że miejscowość ta była większa od przeciętnej wioski, jednak mniejsza od porządnego miasta, przez co mieszkańcy byli biedni, zaściankowi i jednocześnie zadufani w sobie. Nie chodziło tylko o to, że nie traktowali Wielkich Płaszczy zbyt przychylnie. Nie widzieli również powodu, aby nawiązać jakiegokolwiek przyjazne stosunki z sąsiadami. Może właśnie dlatego ścigani przez nas rycerze wybrali Garniol na miejsce kolejnego ataku.

– Nie widzę ognia – powiedział Kest. – Wygląda na to, że panuje tam spokój.

– To dlatego, że jesteś ślepy – Brasti uniósł się w strzemionach i przesłonił oczy jedną ręką, spoglądając w dół na wioskę.

Z tej odległości potrafiłem dostrzec jedynie domy i wąskie uliczki, które prowadziły do dużego placu w samym centrum. Ludzie jawili mi się niczym mrówki, ale coś tam lśniło w promieniach słońca.

– Co widzisz? – spytałem Brastiego.

– Dwudziestu pięciu... nie, trzydziestu rycerzy w zbrojach oraz grupki mieszkańców. Rycerze poruszają się razem, w szyku. Mają tarcze migdałowe – wychylił się jeszcze bardziej, tak daleko, że przestraszyłem się, iż zaraz spadnie. – Cholera. Ci głupi wieśniacy nie mają pojęcia, jak walczyć. Rycerze jeszcze nawet nie rozpoczęli

ataku, po prostu zapędzają wszystkich mieszkańców na jedną stronę placu.

– Ile czasu zostało do starcia? – spytałem.

– Sądząc po tym, jak się poruszają, myślę, że mamy może dziesięć minut, zanim poleje się krew.

– Jaką broń mają wieśniacy?

– Narzędzia do pracy w polu, z tego, co widzę... nie, zaczekaj, jest też całkiem spora liczba mieczy, trochę pik, a kilku ma łuki myśliwskie. Cholera, dlaczego oni nie walczą razem? Łucznicy strzelają prosto w te przeklęte tarcze...

– Bo są głupcami – powiedziała Darri ze wzgardą. – Nigdy nie wyciągaj miecza, jeśli nie wiesz, jak go użyć.

Powstrzymałem chęć zrzucenia jej z konia.

– Wątpię, aby w tej chwili ci mężczyźni i kobiety uznali twoją poradę za użyteczną.

– To hodowcy i oracze – powiedziała Valiana. – Większości z nich prawdopodobnie nigdy nie grożono bronią.

„Skąd ci wszyscy cholerni ludzie biorą żelazne miecze?” Szczerze wątpiłem, żeby kogokolwiek z nich było stać na zakup kutej broni we własnym zakresie.

– Współczuj im, ile chcesz, piękna ptaszyno – Darri położyła dłoń na ramieniu Valiany. – Jeżeli jednak pognamy w dół, na spotkanie tych rycerzy, zabiją całą naszą piątkę w mgnieniu oka, a wieśniacy i tak skończą martwi.

– Ale przecież wtedy w gospodzie pokonaliśmy tylu żołnierzy!

– Było ich o połowę mniej niż tu, a poza tym walczyli w pomieszczeniu pełnym stołów i krzeseł. Teraz to formacja rycerzy w pełnej zbroi, z tarczami. Za nic nie przebijemy się przez ich szyk.

W jej słowach było coś bezlitośnie prawdziwego, ale Valiana również miała rację: musieliśmy działać.

Brasti odwrócił się do mnie, przyglądając mi się ciemnymi oczami.

– Powiedz nam, co robić – zażądał twardym głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałem.

– Co...

Wycelował we mnie oskarżycielsko palec.

– W tym właśnie podobno jesteś dobry, Falcu. To dlatego za tobą podążamy. Ci ludzie zostaną zabici, każdy bez wyjątku. Widzę tam dzieci, Falcu, i ja... Ja nie wiem, jak to zrobić – głos mu się załamał. – Musisz mi powiedzieć, co mam robić.

Spojrzałem na Kesta, który pokręcił głową.

– Musielibyśmy przełamać ich formację, a do tego nasza piątka nie wystarczy. Poza tym nawet strzały Brastiego nie przebiją tych tarcz. Musimy ich rozproszyć, rozdzielić, a nawet gdyby była nas dziesiątka, wątpię, abyśmy byli to w stanie zrobić, z niewyszkolonymi wieśniakami płaczącymi się pod nogami.

Podzielałem nienawiść Brastiego do rycerzy. „Rozkoszujecie się tym, prawda, wy tchórze, bezpieczni w swoich metalowych puszkach?”

Przewaga liczebna mieszkańców wsi nad najeźdźcami była pięciokrotna, więc rycerze będą postrzegać tę jatkę jako honorowe zwycięstwo, nawet jeśli od początku wieśniacy nie mieli z nimi szans. Rycerze mogli walczyć spokojnie, wiedząc, że przeciwnicy nie mają podstawowego wykszolenia, niezbędnego do złamania ich przeklętego szyku. A łatwo jest go przełamać, jeśli ma się liczebną przewagę i zna się podstawowe zasady...

Spojrzałem na towarzyszy.

– Posłuchajcie. Pojedziemy tam teraz i wiem, że pierwszą pokusą będzie wyeliminowanie z walki kilku rycerzy. Nie próbujcie tego. Tą drogą nic nie wskóramy.

– W takim razie co niby mamy robić? – spytała Darriana.

– Zaczniemy na kraju placu, tam, gdzie stłoczyli mieszkańców. Chcę, żebyś wywołała tych z długą bronią, jak piki, widły. Cokolwiek mają.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Chcesz, żebym ustawiła wieśniaków w bojowym szyku?

– Dokładnie. Ci z mieczami mają stać za pierwszą linią. Kiedy rycerze zaczną napierać na piki, niech ludzie z mieczami ruszą do przodu, nacierając w przerwach między nimi.

– Połowa z nich zginie! – powiedziała Valiana.

– Połowa to mniej niż wszyscy – mój głos brzmiał koszmarnie ponuro i zimno nawet dla moich własnych uszu. Darriana wyglądała, jakby zamierzała się wdać w jakąś polemikę, ale powstrzymałem ją na czas. – Zamknij się i rób, co mówię, albo wina za każdą niepotrzebną śmierć spadnie na twoją głowę!

– W porządku – odparła. – Ustawię ich w formacji, ci z długą bronią w pierwszym szeregu, a tych z mieczami pošlę, aby uderzyli w przerwy między nimi. Coś jeszcze, dowódco val Mond?

Zignorowałem jej sarkazm.

– Powiedz łucznikom, żeby przeszli na południowy skraj wioski. Mają korzystać ze ścieżek i skrótów, tylko niech trzymają się z dala od placu – spojrzałem na Brastiego. – Ty masz się dostać w to samo miejsce i powiedzieć tym dwakroć przeklętym łucznikom, żeby się wstrzymali z atakiem, dopóki nie otworzymy dla nich pola.

– A co ze mną? – spytała Valiana.

– Dzieci – odparłem. – Musisz je wyprowadzić jak najdalej do zachodniej części wioski – kiedy zobaczyłem jej minę, podniosłem dłonie. – Wiem, że potrafisz walczyć, Valiano, ale dzieci będą przerażone, a na pewno prędzej zaufają komuś z twoją urodą niż z moją.

Skinęła głową, a ja w duchu odetchnąłem z ulgą. „Chociaż nie jest zbyt zdyscyplinowana, to przynajmniej potrafi kierować się rozsądkiem”.

– Chcesz, żebym zgromadził pozostałych chłopów z bronią? – spytał Kest.

– Nie, ja to zrobię. Jeżeli ci rycerze są sprytni, kiedy przypuścimy szarżę na ich formację, wyślę mniejszą grupę, żeby oskrzydlić wieśniaków. Będą chcieli wywołać jak najwięcej paniki i zamieszania, więc chcę, żebyś dał im zajęcie. Kest, kiedy będziesz z nimi walczył...

Nienawidziłem siebie za to, co miałem za chwilę powiedzieć.

– Co chcesz powiedzieć? – spytał.

Przez chwilę pomyślałem o Ethalii i o tym, że zaledwie godzinę wcześniej i kilka mil stąd stałem na rozstaju dróg i mogłem wybrać inną niż ta. Druga wersja Falcia val Monda mogłaby odnaleźć spokój, odpoczynek i kilka dni miłości. Zamiast tego znów wybrałem rozlew krwi. Odwróciłem się od ścieżki, która wiodła ku radości, a nie przemocy; do spokoju dla Kesta, a nie ognia. „Czerwień pożre Kesta żywcem”, powiedziała Birgid.

Nienawidziłem się jeszcze bardziej niż przedtem.

– Kest, kiedy będziesz z nimi walczył... uwolnij czerwień – powiedziałem cicho.

Spojrzał na mnie wielkimi oczami, kiedy zrozumiał, o co go proszę. Potem pochylił głowę z rezygnacją i zaczął sprawdzać popręg. Kest nie był jedynym, który czuł płonący w nim ogień.

Odwróciłem się i spojrzałem na pozostałych. „Żadnych przemówień. Żadnych obietnic”.

– Za Carefal – powiedziałem i spiąłem konia, ruszając stromą ścieżką w kierunku wioski.

Gdy tylko dotarliśmy do zabudowań, rozdzieliliśmy się, każdy z nas realizował swoje zadanie. Darriana skręciła w prawo, żeby przemknąć obok głównych sił rycerzy, zaś Brasti ruszył gromadzić rozproszonych łuczników. Większość mieszkańców wioski stała w bezładnych grupkach, trzymając broń w drżących dłoniach i nie wiedząc, w jaki sposób choćby nadgryźć niepowstrzymaną bojową machinę złożoną z trzydziestu rycerzy z tarczami i mieczami.

Rycerze nosili czarne tabardy. „Dla nich to wojna”, pomyślałem. „Są tu, żeby rozniecić wojnę przeciwko własnym obywatelom”.

– Hej, tutaj! – krzyknąłem do grupki trzech kobiet i dwóch mężczyzn, chowających się w pobliżu. Jeden z mężczyzn miał długą dzidę do polowania na dzika. – Ty – rozkazałem. – Przejdź na drugą stronę i dołącz do pozostałych pikinierów. – Dwie kobiety trzymały toporne łuki myśliwskie. Cięciwa była naciągnięta zbyt luźno, ale przynajmniej miały coś, co dało się wykorzystać. Wskazałem na wąską uliczkę między zniszczonymi małymi domkami po mojej lewej stronie. – Wy dwie idźcie w tamtą stronę. Zobaczycie mężczyznę z czerwonymi włosami i brodą, ubranego podobnie jak ja. On powie wam, co dalej robić.

– A kim ty jesteś, że mielibyśmy słuchać twoich rozkazów? – spytała jedna z łuczniczek, odwracając się i celując prosto w moją pierś. Miała długie jasnożółte włosy i szeroką twarz.

– Wiesz, jak używać tego czegoś? – spytałem.

– A jak sądzisz? – naciągnęła cięciwę. Uniosłem ramię, osłaniając twarz, ale kobieta odwróciła się i strzeliła w kierunku rycerzy znajdujących się trzydzieści jardów dalej. Strzała stuknęła w jakąś tarczę. – Raz czy drugi użyłam łuku, od kiedy byłam dzieckiem. Po prostu...

Zsunąłem się z konia i wyrwałem jej łuk z ręki, zanim zdążyła założyć kolejną strzałę.

– Skoro tak dobrze się znasz na łucznictwie, to dlaczego marnujesz swoje cholerne strzały, dekorując rycerskie tarcze? – zawołałem. – Pytałaś, kim jestem? Jestem Falcio val Mond, pierwszy kantor Wielkich Płaszczy.

Kobieta splunęła na ziemię.

– Nigdy o tobie nie słyszałam. Ludzie tutaj prawie nie pamiętają Wielkich Płaszczy, zwłaszcza że tyle dobrego dla nas zrobiliście.

Uśmiechnąłem się i rzuciłem łuk w jej kierunku.

– Cóż, ja też nigdy o tobie nie słyszałem, siostró, więc przestań się popisywać i zrób to, co ci mówię, a może pewnego dnia ludzie będą wspominać imiona nas obojga.

– Chodź, Pol – powiedziała druga kobieta, z równie jasnymi włosami, lecz sądząc po zmarszczkach na czole nieco starsza. – To, co robimy, nie odnosi skutku. Równie dobrze możemy spróbować...

– W porządku – odparła Pol.

Pozostała dwójka, mężczyzna i kobieta, miała już pod

sześćdziesiątkę i nie wyglądała na zdolną do walki.

– A co my mamy robić? – spytała kobieta.

Spojrzałem na ich broń: kuchenne noże, które nie nadawały się do niczego poza obieraniem ziemniaków.

– Idźcie i powiedzcie wszystkim to samo, co tu usłyszeliście: ludzie z pikami i widłami zbierają się we wschodniej, a łucznicy w południowej części wioski. Jeżeli zobaczycie kogoś ubranego jak ja, róbcie to, co wam powie.

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Mój wnuk Erid ma tylko dwanaście lat. Czy mógłbyś...

– Nie – przerwałem. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli zrozumieją, czym jest wojna, skoro zapukała do ich drzwi. – Chcesz, żeby chłopiec przeżył? W takim razie musimy pokonać tych przeklętych rycerzy – odwróciłem się i zostawiając ich, przebiegłem przez uliczkę w kierunku kolejnej grupki.

Sporo czasu upłynęło, zanim udało się nam podzielić ludzi na oddziały. Połowa z nich, gdy zdołaliśmy ich ustawić w formacji, wyłamała się z linii, zanim jeszcze ruszyliśmy na rycerzy. Niektórzy ze strachu, inni z szaleństwa i gniewu, widząc swe rodziny i swych przyjaciół krwawiących na uliczkach wioski.

– Już prawie czas – powiedział Kest, podchodząc do mnie z tyłu. – Rycerze domyślili się, co tu robimy, i zaraz przypuszczą atak.

– Utrzymać linię, do cholery! – usłyszałem krzyk Darriany z drugiej strony placu. – Uważacie, że rycerze są straszni? To tylko mężczyźni, którzy was zabiją. Ja za to wywołokę wasze śmierdzące dupy za wieś i kawałek po kawałku nakarmię wami wasze przeklęte świnie!

– Ma dość nietypowy sposób zagrzewania swoich oddziałów do boju – zauważył Kest.

– Ważne, że skuteczny.

– Falcio! – krzyknęła Valiana. Dopiero po chwili zdołałem ją dostrzec, trzydzieści stóp dalej, stojącą w cieniu, w otoczeniu grupki dzieci.

Podbiegłem do niej.

– Czy to już wszystkie? – spytałem. Większość dzieci wyglądała na dziesięć, trzynaście lat. – Gdzie są młodsze?

– Moja mama uczy maluchów podczas zbiorów – odezwał się jeden z chłopców. – Są w klasie, o tam – wskazał wysoką stodołę z płaskim dachem.

– Chcesz, żebym tam poszła? – spytała Valiana.

– Nie, wyprowadź tylko te dzieci poza wioskę. Resztą się zajmę, jak tylko będzie bezpiecznie.

Rozejrzałem się za jakimś wysokim budynkiem, na który mógłbym się wspiąć. Dostrzegłem mały wiatrak z rozpadającą się drabiną prowadzącą na sam szczyt. Pobiegłem w tamtym kierunku, przeklinając, kiedy poślizgnąłem się na wilgotnym gruncie, a raczej jakimś cieku płynącym pośród trawy. Wspiąłem się na dwadzieścia pięć stóp, zanim odwróciłem się i spojrzałem na rozgrywającą się pode mną scenę. Po jednej stronie widziałem Darrianę komenderującą ludźmi z długą bronią i narzędziami rolniczymi. Dzięki unikalnej metodzie motywacji udało się jej wreszcie sprawić, że pikinierzy stanęli na swoich pozycjach. Rycerze także czekali na sygnał do ataku.

Po stronie południowej Brasti wykrzykiwał rozkazy, wyraźnie ignorując te, które mu dałem. Zamiast bowiem zgromadzić

łuczników, porozdzielał ich w pary i rozmieścił między budynkami. Musiałem przyznać, że była to sensowniejsza taktyka, ponieważ rycerzom w takich warunkach będzie dużo trudniej używać tarcz do ochrony boków i tyłów. Z drugiej strony w takim układzie Brasti nie będzie kontrolować łuczników. Musiał więc wierzyć, że zastosują się do jego poleceń kiedy i jak strzelać.

We wschodniej części wioski stał Kest, sam naprzeciwko szyku rycerzy. Wydobył miecz, opierając go sztychem o ziemię i obejmując głowicę dłońmi. Przez chwilę zastanawiałem się, jak to jest czuć czerwony płomień wypalający człowieka od wewnątrz, tak jak Kesta. Potem przeniosłem uwagę na rycerzy. Miałem swoją własną misję.

– Chcę rozmawiać z kapitanem – zawołałem.

Jeden z rycerzy, stojący w środku formacji, podniósł zasłonę i rozejrzał się wokoło, dostrzegając mnie dopiero po chwili. Zadarł głowę.

– Cóż to takiego widzę? Dziwny brązowy ptaszek gnieźdzący się na wiatraku właśnie dla mnie zaśpiewał.

Wysławiał się starannie, z dykcją szlachetnie urodzonego. Zapewne był drugim synem lorda lub barona. Nie miałem przez to dla niego większej sympatii.

– A któż to mi odpowiada, jeśli nie czarna wrona, stojąca tam, gdzie powinienem widzieć jasnożółty tabard Luth? A może zielony Aramoru? Albo szkarłat Rijou? Widzę rycerzy w czarnych tabardach, wszczynających wojnę ze swoim własnym ludem bez prawomocnych rozkazów. Oto, co widzę, kapitanie.

– Nie ma znaczenia, co spostrzegł mały brązowy ptaszek, jeżeli przytnie mu się skrzydła, zanim wyśpiewa wszystko komuś

innemu – odparł. – Czy chciałbyś zanucić dla mnie jakąś pieśń?

Odetchnąłem głęboko z nadzieją, że wszyscy będą w stanie utrzymać swoich ludzi w szyku.

– Zaśpiewałbym to, kapitanie. Poddajemy się.

Zapadła cisza. Rycerze spojrzeli na swego dowódcę.

– Poddajecie się? – spytał kapitan.

– Całkowicie i bezwarunkowo. Prosimy jedynie o miłosierdzie, zwykłe miłosierdzie. Ci ludzie nie pragną niczego więcej niż tego, abyś oszczędził ich życie.

Kapitan rycerzy ryknął śmiechem.

– Zwykłe miłosierdzie? Dla psów, które warczą na swojego pana i gryzą jego stopy? Jedyłą łaską, jakiej zaznają te łotry, będzie pięść dobrego Boga Wojny, miażdżąca ich podłe dusze. Ci wieśniacy mają żelazną broń, którą chcą walczyć przeciwko lepszym od siebie. To wyraźne naruszenie prawa.

– I za to zapłacą. Nie zaatakowali jednak, zaś karą za posiadanie kutej broni jest grzywna lub więzienie, a nie śmierć. Powtarzam, kapitanie. Poddajemy się. Ci ludzie są...

– Są zwierzętami – przerwał kapitan. – I każdy mężczyzna, kobieta i świńskie dziecko tutaj dzisiaj zginie.

– Powtarzam po raz trzeci, panie rycerzu. Poddajemy się i prosimy o miłosierdzie – we wszystkich starych opowieściach podobne zdania musiały zostać wypowiedziane trzy razy. Pomyślałem więc, że najlepiej pozostać przy tej tradycji. Kilku rycerzy wyglądało na zakłopotanych, ale większość zupełnie się nie przejęła. Nie szkodzi: zamierzałem zadowolić się tym, co było mi dane. Jeżeli nawet jeden z nich zaczął wątpić w honor swojego dowódcy, mogliśmy wykorzystać jego wahanie na swoją korzyść.

– Możesz się poddać i tysiąc razy, jeśli taka twoja wola – roześmiał się kapitan. – Nie sprawi to żadnej różnicy. Za sto lat o Garniol będzie się opowiadało wyłącznie z przerażeniem i szeptem i będą to robić wieśniacy na tyle sprytni, aby wiedzieć, kto jest lepszy od nich.

– Dobra, w porządku – odparłem. – Pomyślałem po prostu, że najpierw zapytam.

Jeżeli kapitana zdziwiła moja swobodna reakcja, to tego nie okazał. Za to zwrócił się do swoich ludzi:

– Czy jakiś kusznik może mi zestrzelić tego ptaszka?

Zobaczyłem, jak dwóch rycerzy odkłada miecze i odpina przytroczone do pleców kusze.

– Zanim to zrobicie, jest jeszcze coś, co powinniście wiedzieć – wykrzyczałem.

– Och, masz dla mnie kolejną pioseneczkę?

– Owszem – odparłem. – I jest to pieśń o rycerzach, a w zasadzie o kodeksie honorowym, którego niegdyś przestrzegali rycerze Tristii. Żyli, walczyli i umierali wedle zasad, których nie złamano przez tysiące lat. Ilu z was, chowających się teraz za swoimi tarczami i szykujących się do zmasakrowania ludzi, których winniście chronić, wstąpiło do stanu rycerskiego, marząc o byciu lepszym człowiekiem? Śniąc o kodeksie honorowym? Ilu z was przysięgało, że pewnego dnia umrzecie jako bohaterowie? – Spojrzałem na nich i chociaż nie widziałem twarzy zbyt wyraźnie, potrafiłem sobie wyobrazić ich miny, czy byli młodymi ludźmi, którzy przybyli tu, by posmakować bitwy po raz pierwszy, czy też posiwanymi weteranami, zwyczajnie wypełniającymi rozkazy.

– Więc? – krzyknąłem – Powiedzcie mi, czy czujecie się dzisiaj

jak bohaterowie? Sądźcie, że ci sami rycerze, których wysławiają pieśni i o których czytacie w księgach, nazwaliby was dzisiaj braćmi? A może zamiast tego przyłożyliby wam żelazną rękawicę i zażądali pojedynku? Nie, kiedy teraz o tym myślę, nie sądzą, żeby zgodzili się na pojedynek z wami. Z całą pewnością uznaliby, że jesteście niegodni.

Rycerze, bezpieczni w swych pancerzach, najeżyli się z gniewu. Niemal czułem falę wściekłości płynącą w moim kierunku, ale chciałem i musiałem wierzyć, że niektórzy z nich w głębi duszy rozumieli, że posunęli się za daleko. Szczerze mówiąc, nie obchodziło mnie to. Ważniejsze było to, że w takiej bitwie każda możliwość rozproszenia uwagi wroga była na wagę złota. Teraz pozostało mi już tylko czekać, aby kusznik strzelił w moim kierunku.

Jeden z rycerzy wyszedł z szyku z kuszą w ręku. Zdjął hełm, uniósł broń i wycelował we mnie. Oczywiście zawsze istniała szansa, że nie trafi albo że kościane płytki wszyte w mój płaszcz powstrzymają bełt przed zatopieniem się w moim ciele. Nigdy jednak nie ufałem swojemu szczęściu, grając w kości.

– Brasti!

Zobaczyłem, jak Brasti podnosi się na jednym z dachów domostw stojących wzdłuż uliczki tuż przy głównym placu. Wycelował i wypuścił strzałę, która chwilę później utkwiała w karku rycerza. Kusznik powoli zwałił się na ziemię.

Reszta jego towarzyszy ryknęła z gniewem, lecz mieszkańcy wioski odpowiedzieli tym samym.

– Darriana! – krzyknąłem.

– Naprzód! – wrzasnęła do swoich oddziałów: pasterzy, oraczy,

chłopców i dziewcząt w letnich sukienkach, trzymających broń, której użycia nigdy nie powinni być zmuszeni się uczyć. Pod przywództwem Darri ruszyli do przodu, pochylając swoje piki, zardzewiałe grabie i połamane stare widły. Krok po kroku zbliżali się ku losowi, jaki czekał ich z rąk doświadczonych, zahartowanych w boju żołnierzy, ochraniających przez stalowe zbroje płytowe.

Rycerze również ruszyli do przodu, utrzymując formację na planie kwadratu, tarczami zmuszając wieśniaków do cofania się, dopóki Darriana nie krzyknęła znowu i część ludzi w pierwszej linii wbiła końce swojej broni w ziemię, tym samym utrudniając rycerzom natarcie. Jednocześnie spomiędzy pikinierów wybiegli drobniejszej budowy mężczyźni oraz kobiety uzbrojeni w miecze, motyki i grabie, atakując tarcze. Kilkoro z nich zginęło, ale nie wszyscy. Niektórym zaś udało się zerwać osłony rycerzy.

– Łucznicy! – krzyknął Brasti i chmura strzał przesłoniła na chwilę niebo. Nadlatywały zewsząd, z dachów i z ciasnych uliczek wokół placu. Większość wbiła się w te przeklęte tarcze, ale kiedy kilka z nich trafiło w cel, odetchnąłem z ulgą, zdając sobie sprawę, że przez cały ten czas wstrzymywałem oddech. Nie musieliśmy wygrać każdego etapu bitwy; wystarczyło, jeżeli zabiliśmy kilku z nich.

Teraz, aby posuwać się do przodu, rycerze musieli przestępować swoich leżących towarzyszy. Kapitan, ciągle rzucający krótkie, ostre rozkazy, niemal się przewrócił, potykając się o jednego z martwych rycerzy, leżącego u jego stóp. Wrzasnął wściekle. Dla jego ludzi to miała być łatwa i przyjemna wyprawa: w końcu stali naprzeciw chłopów, nieopierzonych podrostków i dziewcząt z włosami splecionymi w warkocze... Nawet młody rycerz bez

doświadczenia z łatwością powinien rozpirzyć tuzin tych żalosnych przeciwników, nie wysilając się zbyt. Ale tu przed nimi stała ich ponad setka, i kiedy któraś z tych dziewcząt zdołała osiągnąć wroga – nawet gdy chwilę później zginęła, nadziana na szeroki miecz lub pozbawiona głowy przez topór – odziani w zbroję wojownicy stawali się coraz bardziej gniewni i jednocześnie wystraszeni.

„Święci, co się ze mną stało? Czy moje serce zmieniło się w bryłę lodu, że potrafiłem bez żadnych emocji umieszczać ciała zabitych dzieci w kalkulacjach?”

Czym prędzej zsunąłem się po drabinie i popędziłem w sam środek bitwy.

Kapitan wreszcie zdał sobie sprawę, że jego ludzie są poważnie zagrożeni. Rozkazał pięciu rycerzom wyjść z szyku, aby otoczyć wieśniaków i zająć się Darrianą.

„Tak jest, skoncentruj się na dowódcy. Wszyscy wy żołnierze myślcie w ten sam sposób, prawda?”

Kest, stojący dotychczas jak pomnik, nagle uniósł miecz wysoko w górę i ruszył, opuszczając go łukiem, który niósł za sobą cały północny wiatr. Uderzył w jedną z tarcz, niemal rozcinając ją na pół, a potem, nie zatrzymując się choćby nawet na chwilę, zmienił uderzenie w pchnięcie, kierując ostrze prosto w obojczyk zbroi. Sztych wprawdzie nie przebił metalowej płyty, ale wgiął ją, dławiąc mężczyznę, który upuścił miecz i chwytając się bezradnie za szyję, szarpał pancerz. Wreszcie padł pomiędzy kamratów.

Dwóch kolejnych rycerzy oddzieliło się od formacji, usiłując oskrzydlić Kesta, ale jeden z nich skończył ze strzałą w plecach.

– Nie! – krzyknął Kest, z twarzą zaczerwienioną z wściekłości

i gorączki. – NIE! Następny, kto odbierze mi jednego z moich przeciwników, będzie musiał zmierzyć się ze mną po zakończeniu tego wszystkiego! – odwrócił się, młóćąc mieczem niczym maczugą, po czym wbił go w jednego z przeciwników, jednocześnie przykucając, aby uniknąć ciosu.

– Falcio! – krzyknęła Darriana, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem, że jej szyk zaczyna się łamać. Utrzymał się przez niemal siedem minut, dużo dłużej, niż sądziłem, że będzie to możliwe. Na placu pozostało zaledwie dwunastu rycerzy, którzy jednak przegrupowali się sprawnie i teraz widziałem, że mieszkańcy Garniol zaczynali szybko tracić pewność siebie.

– Rozproszyc się! – krzyknąłem do niej i w momencie, gdy wydała rozkaz, wieśniacy odwrócili się i uciekli, porzucając swoją nieporęczną broń. Kilka sekund później na polu walki została już tylko Darriana. Oparła jedną dłoń o biodro, puściła oko do rycerzy, a potem odwróciła się i pobiegła w kierunku jednej z bocznych uliczek.

Rycerze nie mieli z kim walczyć. Mogli stać w miejscu, popisowo chroniąc się wzajemnie za pomocą tarcz, i czekać na rozwój wydarzeń lub też złamać szyk i poszukać przeciwników. Wybrali to drugie.

„Doskonale. Jeżeli wszyscy będą się trzymali z dala od placu, nasi łucznicy będą mogli zaatakować w najdogodniejszym momencie”.

Z cienia wynurzyły się dwie postaci. „Wspaniale. Znów moje rozkazy zostały zignorowane. Dlaczego ludzie chcą, żebym wymyślił jakiś wspaniały plan, skoro nie mają najmniejszej ochoty, by go wykonać?” Brasti, z Nieumiarkowaniem w dłoni, szedł

w kierunku jednego z rycerzy, z dwunastoletnim może chłopcem u boku. Dzieciak trzymał kołczan w jednej ręce, zaś w drugiej strzałę.

– Brasti, co ty wyprawiasz? – krzyknąłem.

Jeżeli mnie usłyszał, nie dał tego po sobie poznać.

– Nigdy więcej zbroi – powiedział zdecydowanie i wycelował prosto w napierśnik rycerza. Odgłos przebijanego pancerza niósł się echem po placu. Chłopiec wyciągnął kolejną strzałę i podał ją Brastiemu, zanim drugi rycerz ruszył na nich. Brasti oczywiście był szybszy: naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę jednym płynnym ruchem, i po chwili rycerz upadł na ziemię.

– Nigdy więcej zbroi – powtórzył Brasti.

Pozostali przy życiu rycerze szybko się przegrupowali, usiłując zbudować osłonę z tarcz, aby powstrzymać ataki Brastiego, jednak w tym momencie z bocznej uliczki wybiegła Darriana, wbiła sztych miecza w tył kolana jednego z rycerzy, po czym uciekła znowu, zanim ktokolwiek miał czas zareagować. Okaleczony rycerz przewrócił się, wrzeszcząc niczym zarzynana świnia. Wpadł przy tym na swoich towarzyszy, uprzejmie otwierając lukę między tarczami dla strzał Brastiego.

– Nigdy więcej zbroi – powtórzył ten po raz trzeci, zabijając kolejnego z nielicznych już, pozostałych przy życiu rycerzy.

Reszta nie czekała, żeby spotkać śmierć z ręki szalonego strzelca z wielkim łukiem. Rozproszyli się, ja zaś pobiegłem w kierunku głównego placu. Prędzej czy później ktoś wpadnie na idiotycznie proste rozwiązanie problemu, który stanowił Brasti, zatem sam nominowałem się na obrońcę pilnującego Brastiego z flanki. I rzeczywiście, trzech rycerzy, w tym sam kapitan, już

przekradało się bocznymi uliczkami, żeby zająć Brastiego i jego pomocnika od tyłu. Wyglądało na to, że kapitan tak naprawdę nie był całkiem głupi. Jego prawdziwym celem był chłopiec. Gdyby udało się go zlikwidować, strzały Brastiego upadłyby na ziemię i rycerze mogliby go obezwładnić, zanim zdołaliby podnieść jedną z nich.

Taki był przynajmniej ich plan. Kiedy do nich dotarłem, zobaczyłem uniesione wysoko miecze, które rozpoczęły już nieuniknioną wędrówkę w kierunku głowy chłopca. Skrzyżowałem rapiery i skoczyłem, lądując boleśnie na kolanach, ale utrzymując ostrza w górze – w samą porę, aby poczuć, jak ciężki miecz uderza w nie całym ciężarem, zatrzymując się zaledwie cal od głowy chłopca. Ani on, ani Brasti nie zauważyli, że młody pomocnik łuczника niemal stracił głowę.

– Nigdy więcej zbroi – powiedział Brasti znowu i wypuścił kolejną strzałę w kierunku środka placu.

– Nigdy więcej rycerzy – powtórzył chłopiec, wręczając mu kolejną, długą na dwie i pół stopy strzałę zakończoną żelaznym grotem.

Kapitan rycerzy ryknął i rzucił się na mnie.

Nadal klęczałem, kiedy miecz rycerza uniósł się z moich skrzyżowanych rapiarów. „Wstawaj, do ciężkiego cholery”, pomyślałem gniewnie, ale zanim zdołałem wypełnić swoje własne polecenie, po mojej lewej stronie pojawiła się czerwona mgła i nagle Kest wskoczył między nas, odtrącając miecz jednego z moich przeciwników i ustawiając się naprzeciwko drugiego.

Widok krwawej aury Świętego od Mieczy sprawił, że kapitan przemyślał swoją sytuację. „I to by było na tyle w kwestii honoru”,

pomyślałem, gdy chwycił stojącego obok rycerza za ramię i pchnął go w kierunku Kesta, samemu rzucając się do ucieczki przez plac. Wstałem, żeby pomóc w walce z dwoma pozostałymi rycerzami, ale Kest tylko zaklął:

– Zabieraj się stąd, do cholery, i trzymaj się ode mnie z daleka, Falciu!

Wybiegłem na środek placu. Dzięki opętającemu fechtowaniu się Kesta, mistrzowskiemu szyciu z łuku Brastiego oraz dowodzeniu wieśniakami żelazną ręką Darriany rycerze zostali pokonani. Tuż przede mną mała grupa powaliła właśnie jednego z napastników, zaś po prawej widziałem, jak Darriana wyciąga sztych miecza z szyi zabitego. Teraz zostało już tylko dwóch odzianych w zbroję mężczyzn.

– Poddajcie się! – krzyknąłem i obaj rzucili swoje miecze na ziemię, padając na kolana.

– Poddajemy się!

Brasti podszedł do nich. Dziwnym zbiegiem okoliczności, a może z woli bogów zostały mu tylko dwie strzały, jedna założona na cięciwę, zaś druga czekająca w dłoni chłopca.

– Nigdy więcej zbroi – powiedział Brasti. – Nigdy więcej rycerzy.

– Poddajemy się! – powtórzył mężczyzna z rosnącą paniką.

Poczułem ogromną ochotę, żeby stanąć przy nich i przyglądać się, jak Brasti odciąga ramię, mierzy i wypuszcza swą długą strzałę, która z siłą wichru wbija się w pierś rycerza klęczącego zaledwie kilka stóp dalej. Chciałem to pamiętać. Chciałem być w stanie odtwarzać w myślach tę scenę raz za razem, widzieć, jak ci ludzie umierają za to, co zrobili.

– Czy powiedziałaś, „poddajemy się”? – spytał Brasti. – Czy to

właśnie powiedziałeś?

– Błagam! – jęknął młodszy z rycerzy. Miał nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Nie płakał. A ja chciałem, żeby płakał.

– Twoja zbroja – zażądał Brasti.

– Proszę!

– Zdejmij zbroję.

Obaj rycerze w panice zaczęli ściągać płyty pancerza, niezgrabnie odpinając klamry na ramionach i bokach napierśników. Niełatwo jest zdjąć zbroję, nawet gdy człowiek jest już w domu, po całym dniu ciężkiej walki. Kiedy zaś spogląda się w oczy śmierci, która przybrała kształt trzydziestocalowej brzechwy opatrzonej lotkami i zakończonej ostrym stalowym grotem, przedsięwzięcie to staje się znacznie trudniejsze.

Po kilku sekundach rycerze zaczęli sobie wzajemnie pomagać.

„Za wolno”, pomyślałem i nagle poczułem, że wreszcie rozumiem gorączkę świętych, która wypełniała Kesta. „Dalej”, ponagliłem w myślach Brastiego. „Zastrzel ich”.

Słyszałem jednak również drugi głos, cichszy, niemal szept: „Wołałam do ciebie zawsze wtedy, gdy już odniosłeś zwycięstwo, lecz zanim zadałeś ostateczny cios”.

„Nie”, pomyślałem. „Nie. To jest uczciwe. To jest sprawiedliwość”.

Ale wiedziałem, że to nieprawda. To była zemsta, nic innego. Czysta, zemsta, uzasadniona, to prawda, lecz nadal zemsta, nie sprawiedliwość.

Dlaczego proces miałby być potrzebny, kiedy nie ma żadnych wątpliwości ani żadnych łagodzących okoliczności, które można by wziąć pod uwagę? Jakże to ma znaczenie, czy ostrze spadnie na

czyjąś głowę teraz, czy po wyroku?

„Dlatego że prawo liczy się tylko wtedy, gdy stawiamy je również nad sobą”, pomyślałem. Płaszcz nagle zaciążył mi na ramionach.

Rycerze byli w połowie odpinania napierśników, kiedy Brasti naciągnął cięciwę.

– Brasti – powiedziałem cicho. Nie musiałem krzyczeć, bo gdzieś tam w głębi duszy Brasti czekał, żebym położył kres tej sytuacji. – Wystarczy.

Na początku nie byłem pewny, co robi. Czy chciał, żebym kazał mu się wycofać po to tylko, by strzelić i tak, demonstrując tym samym, że nie będzie już więcej słuchał moich rozkazów? Rycerze nadal rozpaczliwie odpinali kolejne części zbroi. Mieszkańcy wioski zaczęli się gromadzić wokół nas, coraz bliżej i bliżej, ponad setka ludzi czekających na widok lecącej strzały.

– Brasti, przestań – powtórzyłem.

Powolnym, niemal niedostrzegalnym ruchem Brasti opuścił łuk i pomału rozluźnił cięciwę, aż strzała została mu w dłoni.

– Zabij ich! – krzyknął jeden z wieśniaków.

– Staną przed sądem – odparł Brasti.

Z tłumu wystąpił mężczyzna z zakrwawionym prawym ramieniem wiszącym mu u boku. Mimo to nadal trzymał małą siekierę.

– Dlaczego? Dlaczego zasługują na proces po tym, co zrobili?

– Nie wiem – Brasti nie spuszczał ze mnie wzroku. – Ale tak już jest.

Tłum zaczął się burzyć: ponure, wściekłe pomruki i pokrzykiwania mieszały się z jękami i płaczem rannych.

Zignorowałem ich wszystkich i zamiast tego rozejrzałem się za Darrianą.

– Gdzie jest Kest?

– Odszedł, kiedy skończyła się walka – wskazała na wzgórze górujące nad wioską.

Kogoś mi brakowało. Rozejrzałem się, spoglądając ponad tłumem zgromadzonym na placu. Ciała zabitych rycerzy i wieśniaków leżały na ziemi. Trzydziestu rycerzy przybyło do Garniol, aby zrównać je z ziemią. Teraz zostało tylko tych dwóch.

– Gdzie jest Valiana?

– Ze starszymi dziećmi po drugiej stronie, blisko wjazdu do wioski.

I znów spojrzałem na ciała poległych rycerzy w czarnych tabardach, usiłując zrozumieć, czego tu brakuje. I nagle domyśliłem się, czego – lub raczej kogo tu nie ma.

– Kapitan! – powiedziałem. – Widziałem, jak uciekał. Zabiłaś go?

Darriana pokręciła głową. Przekląłem głośno.

– Idź po Kesta. Powiedz mu, żeby poszukał... – zacząłem.

– Tchórze! – zawył ktoś.

Na początku myślałem, że głos dochodzi z tłumu, a potem usłyszałem krzyk kobiety i gdy się odwróciłem, żeby zobaczyć, o co chodzi, coś spadło z dachu stodoły stojącej po przeciwnej stronie placu. Dopiero gdy obiekt uderzył w ziemię, zrozumiałem, że to młoda dziewczyna. Odgłos łamiącego się karku rozniósł się po placu.

„O bogowie, niech to nie będzie ona. Powiedziałem jej, żeby tam nie szła...”, myślałem, biegnąc w kierunku kobiety. Zobaczyłem

wkrótce z ulgą, która napełniła mnie wstydem, że to nie Valiana.

Kapitan rycerzy stał na dachu stodoły. Opasał się pospiesznie linami, przyczepiając je do ramion, korpusu i nawet nóg. Na końcu każdej liny było przywiązane dziecko. Chłopcy i dziewczynki, same maluchy, płakali, usiłując się odsunąć, ale kapitan szarpnięciem za liny przyciągał je z powrotem do siebie. „Stworzył z tych dzieci żywą tarczę... nie! żywą zbroję”, pomyślałem. „Wykorzystuje je jako pancierz”.

– Tchórze! – wrzasnął ponownie kapitan i stało się jasne, iż zwraca się do swoich dwóch podwładnych. – Załóżcie z powrotem swoje zbroje i walczcie! Rycerze się nie poddają!

– Sir Learisie, przestań! – zawołał młodszy z rycerzy. – To nie jest...

– Milcz! Przybyliśmy tu, aby spacyfikować wioskę i właśnie to zrobimy. Musimy pokazać tym ludziom naszą władzę, sir Vezierze – mówił coraz głośniejszym głosem, jakby wygłaszał naukę kiepskim studentom. – Wieśniacy muszą zrozumieć, że to się nie skończy, dopóki przed nami nie padną na kolana.

Brasti wycelował strzałę.

– Już nie żyjesz.

– Doprawdy? – kapitan uczynił krok do przodu i przyciągnął dzieci bliżej do siebie. – Które z nich poczuje ukąszenie twojej strzały, kiedy będziesz starał się mnie dostać? – szarpnął jedną z lin, sprawiając, że mała dziewczynka poślizgnęła się i zawisła na narożniku stodoły.

– Eila! – wykrzyknął jeden z mężczyzn na placu. – Proszę, nie!

– Dalej! – krzyknął kapitan rycerzy, wciągając dziecko z powrotem na dach. – Strzelaj, łuczniku. Może uda ci się mnie

trafić bez zranienia żadnego z dzieci. Dalej, pokaż mi, co potrafisz.

Brasti odciągnął ramię, ale powstrzymałem go.

– Nie próbuj. Przywiązał do siebie dzieci i stoi na rogu dachu nie bez powodu. Jeżeli strzelisz, to nawet jeśli przewróci się na plecy, istnieje duża szansa, że i tak spadnie, pociągając za sobą wszystkie dzieci.

– Sprytny mały brązowy ptaszek. Wystarczająco, aby wiedzieć, że te małe kaczuszki nie potrafią latać – kapitan powiódł wzrokiem po tłumie. – A teraz klękajcie.

– Zróbcie to – powiedziałem.

Mieszkańcy Garniol padli na kolana, a kilkoro bardziej opornych, głównie młodych mężczyzn, zostało pociągniętych w dół. Brasti i ja również przyklękaliśmy. Darriana zawahała się, ale ostatecznie przyłączyła się do nas.

– Dobrze – powiedział kapitan. – Bardzo dobrze. Posłuszne kundle. Widzicie to, sir Vezierze? Sir Ornie? To właśnie jest siła prawdziwego rozkazu. Ponad setka ludzi, a jednak kłaniają się przed jednym prawym rycerzem.

– Czego chcesz? – spytałem.

Kapitan zignorował mnie, przemawiając do swoich ludzi.

– Sir Vezierze i sir Ornie. Weźmiecie teraz swoje miecze, podejdziecie po kolei do każdego psa w tym stadzie skomlących kundli i zetniecie im głowy – mężczyzna uśmiechał się od ucha do ucha, jakby naprawdę wierzył, że ludzie tak po prostu uklękają, i oddadzą życie, zwłaszcza wiedząc, że ich dzieci również zostaną zabite.

Starszy z dwóch rycerzy rozejrzał się niepewnie, ale zaczął się podnosić. Młodszy, sir Vezier, chwycił go za ramię i przytrzymał.

– Nie, kapitanie – powiedział. – To nie jest coś, co my... to niegodne rycerza!

– Nie? Nieudolny mazgaju, boisz się, że zbuntują się przeciwko tobie, rycerzowi? Jeśli tak, nie zasługujesz na swój tytuł. Sir Ornie, weźmiesz teraz miecz i zrobisz to, co rozkazałem. Zaczyniesz od sir Veziera.

Tym razem starszy rycerz nie ruszył się z miejsca, wbijając wzrok w ziemię.

– Wygląda na to, że jesteśmy w impasie, kapitanie – zawołałem.

– Doprawdy? Doskonale, w takim razie przekonajmy się, jak długo utrzyma się ów stan. Zostań, obserwuj, a zobaczysz, jakie kolory ma autentyczna odwaga. Prawdziwy syn Wojny nie wzdryga się, kiedy nadchodzi ogień.

– W co on gra? – spytał Brasti.

– Nie wiem.

Rycerze niezbyt dobrze radzą sobie psychicznie z przegraną, ale ten człowiek wyraźnie postradał rozum. Jeżeli planował zrzucić dzieci z dachu, to już by to zrobił, ale uznałem, że to by mu raczej nie wystarczyło. Zamierzał zademonstrować swoją odwagę i chciał, żebyśmy to zobaczyli...

„Przeklęci niech będą wszyscy bogowie”, pomyślałem, spoglądając na stodołę. Przez drewniane okiennice zaczął się już wydostawać dym.

– Podpalił stodołę – powiedziałem. – Zamierza spłonąć żywcem wraz z dziećmi.

Kobieta podniosła się z kolan, chcąc pobiec w stronę budynku, ale jakiś mężczyzna krzyknął: „Nie!”, a inni przytrzymali ją, zanim zdołała wydostać się z tłumu.

– Chodźcie – zawołał kapitan, a potem ryknął śmiechem. – Kto chce się do mnie przyłączyć?

Cholera! Nie mogliśmy go zabić ani czekać, aż płomienie wreszcie dosięgną ich wszystkich.

– Ja – odparłem cicho.

– Oszalałeś? – spytała Darriana. – Nie możesz tam iść. Spalisz się żywcem.

Postawiłem kołnierz płaszcza i mocno zacisnąłem rzemyki, wyobrażając sobie, że wyglądam niczym zbój szykujący się do napadu na dylizans.

– Skóra i kościane płytki w płaszczu ochronią mnie przed żarem, zaś jedwab w kołnierzu zatrzyma część dymu – odparłem z nadzieją.

– A co, do wszystkich diabłów, zrobisz, kiedy dostaniesz się na górę? – spytał Brasti. – Jeżeli spróbujesz go drażnić, po prostu skoczy. Poza tym nawet jeśli uda ci się wejść na górę, nie ma szans, żebyś zdołał zejść z powrotem przez ogień.

– Przy wiatraku jest drabina – odparłem. – Przyniesiecie ją tutaj z Darrianą.

– Falcio, nie masz żadnego planu! Zginiesz nadaremnie!

Uśmiechnąłem się. Zawsze się uśmiechajcie, kiedy jesteście przerażeni.

– Ja zawsze mam plan, Brasti. Po prostu czasami nie jest zbyt dobry – wstałem. – Z drugiej strony nie sprzeciwiłbym się zbytnio cudowi, więc lepiej miej tę drabinę w pogotowiu, na wszelki wypadek.

Pierwsze piętro stodoły wydawało się dziwnie spokojne. Płomienie były małe i wyglądało to, jakby ktoś zapalił w kominku, aby dodać romantyzmu pomieszczeniu, w którym spożywać będzie kolację. Widziałem jednak dymiące bele siana, które zaczynały powoli stawać w płomieniach. Dym gęstniał.

Wbiegłem na drugie piętro, ale dym unosił się i przestałem widzieć cokolwiek dalej niż na dwie stopy przede mną. Gdyby nie płacz, nie wiedziałbym, że była tam jakaś dziewczynka.

Siedziała skulona w kącie, a ja widziałem tak naprawdę jedynie ciemnobrązowe włosy, ponieważ twarz ukryła między kolanami.

– Biegnij na dół i za stodołę – powiedziałem cicho. – Ruszaj!

Dziewczynka zaszlochała i wyciągnęła do mnie ręce.

– Nie mogę z tobą iść. Muszę wejść na dach. Proszę, zbiegnij po prostu schodami i wyjdź na zewnątrz. Szybko!

Dziecko pokręciło głową i rozplakało się głośniej, nadal wyciągając ku mnie ramiona. Rozkaszałem się niepowstrzymanie. „Do diabła z tym wszystkim... zupełnie jakbym nie miał wystarczająco wielu problemów i bez tego”. Objąłem dziecko ramieniem i uniosłem je.

– Przyszedł czas na odwagę – powiedziałem. – Możesz zostać ze mną, ale obiecaj mi, że nie będziesz płakać, dobrze?

Ruszyłem po schodach prowadzących na dach. Poczułem, jak dziewczynka wtula twarz w moje włosy.

– Boję się – powiedziała.

– Wiem, słońce, ale w tej chwili żadne z nas nie może sobie na to pozwolić. Jak masz na imię? – spytałem, docierając do połowy schodów.

Dziewczynka zawahała się.

– Nie powiem. Papa mówi, żebym nie ufała obcym.

– Dobra rada – odparłem.

Dotarliśmy na samą górę i cicho wydostaliśmy się na dach. Nie chciałem ryzykować, że zaskoczę tego szaleńca, więc powiedziałem:

– Jestem już.

Kapitan odwrócił się, pociągając za sobą dzieci.

– Ach, mój mały brązowy ptaszek. Widzę, że przyprowadziłeś ze sobą moją zabłąkaną kaczuszkę? Jak to miło z twojej strony.

Postawiłem dziewczynkę na dachu, a ta natychmiast wczepiła się w moją nogę. Delikatnie rozchyliłem jej palce i odsunąłem się.

– Przyszedł czas na odwagę – przypomniałem jej.

Kapitan prychnął.

– Odwaga? Bez honoru czymże jest odwaga, jeśli nie odruchem psa? Zwierzęta nie mają honoru. Kiedy są przestraszone lub rozgniewane, robią to, co podpowiada im instynkt.

– Naprawdę zaczynają mnie męczyć kazania o honorze wygłaszane przez dzieciobójców – odparłem.

Kapitan skrzywił się ponuro.

– A ja naprawdę jestem zmęczony przyglądaniem się, jak ten kraj poddaje się prymitywnej naturze ludzi bez honoru. Król był tyranem, książęta zawiedli w swych zobowiązaniach wobec własnych rycerzy, zaś chłopci i mieszczaństwo nie chcą nas słuchać, chociaż to nasze prawo dane przez bogów. Została nas jedynie garstka wybranych, aby utrzymać potęgę tego kraju.

– Zatem działasz wbrew prawu i przeciwko własnemu panu?

– Niektórzy z nas doszli do wniosku, że książęta są fałszywymi władcami – odparł. – Przyszedł czas na zmianę.

Cóż, w tym jednym przynajmniej się zgodziliśmy. Kapitan

patrzył na mnie, jakby wyzywał mnie na pojedynek na słowa. „Święci, on myśli, że to zrobię. Naprawdę uważa, że będę tu stał i rozmawiał o woli bogów i świętych oraz o prawdziwej naturze honoru. Cóż, przykro mi, panie rycerzu, ale mam dużo ważniejsze sprawy”.

Spojrzałem na przywiązane do kapitana dzieci, szlochające i zawodzące, i tak przerażone, że niektóre z nich trzymały się go, jakby był solidnym drzewem. „Kaczuszki, tak je nazwał, zupełnie jakby zarządził zabawę, w którą wszyscy bawiliśmy się jako dzieci... nie, nie wszyscy”, zdałem sobie nagle sprawę. Jedynie dzieci biedaków się w nią bawiły. Bogaty rycerski synek zapewne nigdy jej nie poznał. Żeby bawić się w kaczuszki, niepotrzebne były żadne zabawki, piłki czy inne rzeczy, tylko grupa dzieci.

– Cóż – zacząłem lekkim, pozornie obojętnym tonem. – Co za wspaniałe stadko kaczek stoi tu przede mną. Czy chcemy się przekonać, która z nich jest najfajniejszą kaczuszką na świecie? – dzieci ledwie zauważyły moją tu obecność, nie wspominając o pytaniu. – Hej – powiedziałem głośniej takim tonem, jakbym zapraszał je do uczestnictwa w najlepszej zabawie pod słońcem. – Kiedy się czegoś boję, zawsze lubię zabawić się w kaczuszki.

– Czyżbyś ze mnie drwił? – kapitan szarpnął za linę, przewracając przywiązanego do niej małego chłopca, który zaczął krzyczeć ze strachu.

– Zaraz się tobą zajmę, panie rycerzu – spojrzałem znów na dzieci. Było ich siedmioro. Wystarczy, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Ledwie wystarczy.

– No to co? Pamiętacie zasady, prawda?

– Chcę się pobawić w kaczuszki – powiedziała mała

dziewczynka, którą przyniosłem z drugiego piętra. Spojrzałem na nią i zobaczyłem ogromne oczy i zmarszczone brwi, stykające się na środku czoła. Była przerażona, ale robiła, co mogła, żeby zachować odwagę.

– W takim razie pamiętamy wszyscy, że grzeczne kacuszki zawsze słuchają mamy, prawda? Kiedy mama mówi „zbiórka”, wszyscy się zbierają w grupkę, pamiętacie? A kiedy mówi „sen”, kacuszki układają się na brzuchach i zamykają oczy, prawda? Nikt nie chce być tą, która ostatnia wykona polecenie mamy, bo to oznacza przegraną, tak? Jesteście gotowe, dzieci? Zaczynamy zabawę?

Kapitan spojrzał na mnie i roześmiał się tak strasznie, że dzieci znów się rozplakały.

– Chcesz je uspokoić? Sprawić, żeby zapomniały o strachu przed śmiercią? Jesteś mięczakiem, trattari, tak jak reszta ludzi w tym kraju. Co dobrego...

– Zbiórka! – krzyknąłem.

Natychmiast wszystkie dzieci pobiegły w moim kierunku i niemal od razu wszystkie liny naprężyły się mocno.

– Zbiórka! – powtórzyłem, robiąc wszystko, aby zabrzmiało to radośnie i spokojnie, jakbyśmy rzeczywiście tylko się bawili. – Ostatnia kacuszka przegrywa – dodałem.

Dopiero kiedy dzieci rzuciły się w moim kierunku po raz drugi, kapitan rycerzy zaczął rozumieć. Bezskutecznie usiłował uwolnić się z niektórych lin, które przywiązał do siebie. Jedną odczepił, potem drugą, ale było już za późno, by powstrzymać bieg dzieci. Kapitan przewrócił się na brzuch.

– Sen! – krzyknąłem i dzieci natychmiast padły na dach,

zamykając oczy. – Śpijcie, moje kacuszki! – wsunąłem dłoń pod płaszcz, wyciągnąłem jeden z moich sztyletów i przeskoczyłem przez drobne ciała maluchów, lądując na grzbiecie usiłującego wstać kapitana. Z całej siły wbiłem ostrze mojego krótkiego noża w jego kark i podstawę czaszki. Zagłębiłem w niej nóż po samą rękojeść, a potem przekręciłem z całą mocą, chociaż nie było już takiej potrzeby. Szalenciec nie żył.

Przez chwilę na dachu panowała błoga cisza, ale wkrótce usłyszałem łagodny szum wiatru, a potem trzask płomieni pod nami i musiałem zaakceptować fakt, że świat nie stanął w miejscu. Moja prawa ręka drżała i mgliście zdałem sobie sprawę, że wciąż wbijam sztylet w kark rycerza. Z większym wysiłkiem, niż przypuszczałem, że to możliwe, udało mi się opanować. Powoli wyciągnąłem ostrze i szybko zasłoniłem ranę kołnierzem czarnego tabardu, ukrywając wypływającą z niej krew. Przeciąłem wszystkie liny więzące dzieci i podszedłem do krawędzi dachu.

Brasti i Darriana czekali na dole z drabiną.

– Zbiórka! – powiedziałem. Dzieci wstały i podbiegły do mnie, tuląc się tak gwałtownie, że musiałem wbić obcasy w dach, żeby z niego nie spaść pod naporem małych ciałek. „Byłoby to koszmarne zakończenie całej historii”, pomyślałem.

– Chodźcie – powiedziałem do dzieci, kiedy głowa Brastiego wychynęła zza krawędzi dachu. Mamy nową kaczą mamę, która sprowadzi was na dół jedno po drugim.

– Kaczą mamę? – spytał Brasti, kiedy podałem mu jedną z dziewczynek.

Mały chłopiec, może pięcioletni, podszedł do ciała kapitana.

– Nie powinienes spać – powiedział. – Nie byłeś na zbiórce.

Przegrywasz!

ROZDZIAŁ 26

WYJAZD

Kilka chwil po tym, jak znieśliśmy z dachu ostatnie dziecko, stodoła stanęła w płomieniach. Mieszkańcy rzucili się do kopania rowów i lania wody, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia. Nie miałem jednak wielkiej nadziei, że uda im się ocalić domy po obu stronach płonącej budowli. Na ulicach i placu zalegały ciała, w większości martwych, ale było też kilku rannych, którzy potrzebowali fachowej pomocy. Oczywiście ciągle wszechobecny był gniew, który w każdej chwili mógł wymknąć się spod kontroli.

– Odsunąć się! – usłyszałem dziecięcy krzyk. Odwróciłem się i dostrzegłem jakieś zamieszanie na środku placu. Sir Orn, starszy z dwóch pozostałych przy życiu rycerzy, leżał na ziemi z poderżniętym gardłem, a dwóch muskularnych młodzieńców, z których jeden trzymał w ręku zakrwawiony miecz, usiłowało dostać się do sir Veziera. Drogę zastępowała im mała postać, wyciągając w ich kierunku strzałę niczym sztylet i trzymając ich na odległość. Był to pomocnik Brastiego.

– On stanie przed sądem! – krzyknął chłopiec. – Łucznik tak powiedział. Stanie przed sądem.

– Zejdź mi z drogi – jeden z mężczyzn sięgnął, żeby złapać chłopca. Chwilę później cofnął gwałtownie krwawiącą dłoń. – Ty mały gnojku! – wrzasnął i uniósł miecz.

Puściłem się biegiem, chociaż wiedziałem, że jestem zbyt powolny.

„Nie zdążę...”

Ale sir Vezier wstał z ziemi i zasłonił sobą chłopca. Zdjął większość elementów zbroi, ale nadal miał na ramionach karwasze i mógł odbić niezgrabne pchnięcie. Zamiast tego jednak rozpostarł ramiona i zamknął oczy, pozwalając, aby ostrze wbiło się w jego brzuch.

Stał tak przez chwilę; jego ciało było podtrzymywane w pozycji stojącej przez miecz w nim zatopiony. Oczy muskularnego młodzieńca z bronią zrobiły się okrągłe jak spodki. Potem sir Vezier zaczął się przewracać wprost na niego. Mężczyzna odepchnął rycerza z odrazą i sir Vezier upadł na plecy, zsuwając się w ten sposób z miecza.

Podbiegłem do rycerza i przyklęknąłem przy nim, badając ranę. Chłopiec, który chronił Veziera, powiedział:

– Pójdę po uzdrowicielkę. Ona go naprawi. Musi się odbyć sąd. Łucznik tak powiedział.

Zdawałem sobie sprawę, że uzdrowicielka nie przyjdzie. Byli tu inni, którzy bardziej jej potrzebowali. Nie miałyby czasu dla człowieka, który przybył tu, aby zabić jej pobratymców.

– Nie trzeba – powiedział sir Vezier. Z ust ściekała mu strużka krwi.

– Po co? – spytałem. – Po co tu przyjechałeś?

– Rozkazy – odparł. – Rycerz wykonuje rozkazy. Myśleliśmy... –

chwycił moje ramię i przyciągnął mnie do siebie. – Jest nas więcej. Setki.

– Jaki jest wasz cel? Kto przewodzi czarnym tabardom? Trin?

– Nie – odparł sir Vezier. – Książęta nas zawiedli. Wszyscy. Traktują nas jak sługi... a w kraju z roku na rok dzieje się coraz gorzej. Trzeba zaprowadzić ład. Musimy pokazać ludziom, że można przywrócić porządek.

Przysła mi do głowy straszna myśl.

– Sir Vezierze, gdzie zamierzaliście się udać w następnej kolejności? – spytałem. – Co było waszym kolejnym celem?

Rycerz miał zamknięte oczy, więc ścisnąłem mocno jego ramiona, żeby wrócił do mnie.

– Jaki był wasz kolejny cel? – powtórzyłem pośpiesznie. – Następną wioską jak Garniol? Jak Carefal?

Usiłował coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczął pluć krwią.

– Rijou – udało mu się wreszcie wykrztusić. – Kapitan powiedział, że pojedziemy do Rijou.

– Do której wioski? – spytałem.

– Do samego Rijou – odparł. – Do stolicy.

Jak, do cholery, chcieli zawładnąć stolicą księstwa? Jillard mieszkał w najbezpieczniejszym mieście na całym świecie. Jego pałac był fortecą potężniejszą niż zamek Aramor.

Sir Vezier uniósł dłoń, jakby spodziewał się, że ją chwycę. Nie zrobiłem tego.

– Co mieliśmy zrobić? – spytał. – Wszak porządek musi być, prawda? – jego uścisk zelżał i dłoń ześlizgnęła się z rękawa mego płaszcza. Z jego rany i ust wypłynęła struga krwi i Vezier skonał.

Młody człowiek, który go zabił, nadal stał za mną. Odwrócił się

do stojącej w pobliżu grupki ludzi, którzy nie byli zajęci gaszeniem pożaru.

– Ja... zrobiłem to – powiedział. – Zabiłem jednego z tych skurwysynów.

Poczułem bolesne ścisnięcie serca na widok dumy powoli wykwitającej na jego twarzy. Nie chodziło o to, że litowałem się nad sir Vezierem, bo tak nie było. Był uczestnikiem tej napaści i najprawdopodobniej także masakry w Carefal. Cieszyłem się, że ocalił chłopca, ale ilu zabił, nim wreszcie dostrzegł szaleństwo człowieka, za którym podążał aż do tej pory? Tym, co złamało mojego ducha, był widok młodego wieśniaka, chodzącego dookoła z dumnie zadartą brodą i myślącego, że jest bohaterem. Był gotów zabić chłopca, który chronił rozbrojonego jeńca. I to nie byle jakiego chłopca, ale jednego ze swoich – z mieszkańców tej wioski. Zastanawiałem się, jak ta historia zmieni się po paru nocach i kilku piwach i czy pozostali wieśniacy, chcący upiększyć swoje własne przeżycia, uwierzyliby w jego opowieść.

– To nie jest ich wina – rozległ się za moimi plecami kobiecy głos. Valiana miała potargane włosy, umazaną błotem twarz i rozcięty policzek. Dzieci, których strzegła, stały nieco dalej.

– Co nie jest ich winą? – spytałem.

– Oni nie wiedzą, jak być takimi jak ty.

– Nie chcę, żeby stali się tacy jak ja – odparłem. – Nie jestem jakimś...

– Owszem, jesteś – przyklękła przy mnie i położyła mi dłoń na piersi. – Przestań twierdzić, że nie jesteś nikim specjalnym, Falcio, bo przez to reszta z nas czuje się kompletnie bezwartościowa.

Pomyślałem o tym, co wcześniej usiłowała mi powiedzieć

Darriana. Brasti też. Do licha, pewnie nie było osoby, która by mnie nie ostrzegąca.

– Nie musisz się dać zabić, żeby być taka jak ja, Valiano. Zwłaszcza że ja rzadko kiedy daję się zabić.

– Ale nie dlatego, że nie próbujesz.

– To nie...

Uniosła rękę.

– Wiem. I wcale nie usiłuję stracić życia. Obiecuję. Chcę jednak, żeby miało ono jakieś znaczenie. Chcę być... nie wiem, dzielna? Heroiczna? – Uśmiechnęła się do mnie wyzywająco. – A ty jesteś jedynym wzorem dla mnie w tym okropnym świecie. Dlatego czy chcesz, czy nie, zamierzam zasłużyć na nazwisko, które mi dałeś – pochyliła się i przytuliła mnie mocno. – Jestem Valiana val Mond, do cholery, i zamierzam sprawić, żeby to się liczyło.

Odwzajemniłem jej uścisk. Pewnie dziwnie wyglądaliśmy, klęcząc razem na ziemi i przytulając się nad ciałem martwego rycerza.

– W takim razie wszyscy prawdopodobnie mamy przerąbane, prawda? – spytałem.

Nagle poczułem ciężar wszystkiego, co się ostatnio wydarzyło, i przerażenie, które pomagało mi przetrwać walkę, ogień i tego szalonego rycerza, gotowego zabrać wszystkie dzieci razem z sobą do jego własnego piekła, wreszcie przeważyło nad koniecznością udawania, że jestem na tyle silny, aby wszystko przetrwać. Poczułem łzy na policzkach i zacząłem coś mówić, ale cokolwiek to było, z moich ust wydobył się tylko szloch.

„Święci, nie jestem lepszy niż te maluchy na dachu, przerażone do utraty zmysłów i sparaliżowane strachem”. Ostatnie kilka lat

spędziłem, ścigając moją własną śmierć, i teraz, za sprawą neathy i paraliżu, który przenikał mnie coraz głębiej każdego dnia, moja śmierć nadchodziła.

– Nie chcę umrzeć – powiedziałem.

Tej nocy spaliśmy w Garniol, w łózkach ludzi, którzy polegli w bitwie. Nie byłem pewny, czy nasze zakwaterowanie było zwykłym przejawem praktyczności ze strony mieszkańców, czy też przypomnieniem, że nie zdołaliśmy ocalić czterdziestu trzech spośród nich.

Obudziłem się z coraz bardziej znajomym odrętwieniem i niemożnością wykonania jakiegokolwiek ruchu. Nie czułem palców u nóg i rąk ani mojej skóry. Oczy pozostawały uparcie zamknięte i świat wydawał się bezgraniczną szarością. Na początku była to niemal miła niespodzianka – zazwyczaj poranek po bitwie jest pasmem niezliczonych skaleczeń, siniaków i najróżniejszych koszmarnych dolegliwości. Neatha jednak sprawiała, że nie czułem niczego i przez kilka krótkich chwil pławiłem się w spokoju... a potem poczułem pieczenie w piersi i wrażenie pustki w płucach. Wszystko, co mogłem zrobić, to pomyśleć: „przestałem oddychać”. Nie chodziło o to, że moje płuca przestały funkcjonować, lecz raczej część mojego umysłu odpowiedzialna za wydawanie polecenia płucom, aby te nabierały powietrza.

„Oddychaj”, powiedziałem sobie, chociaż nie miałem pojęcia, jak można kogoś zmusić do takiej czynności. „Oddychaj”. Wydaje się to bardzo proste, ale tylko dlatego, że nie musimy pamiętać

o wszystkich etapach całego procesu.

Zacząłem widzieć małe iskierki, pojawiające się, to znów znikające, mimo że oczy nadal miałem zamknięte. „Nie”, chciałem krzyczeć. „Nie dzisiaj! Nie jestem gotowy. Proszę”.

Poczułem przejściowy ucisk na piersi. Czy robiłem coś właściwego? „Oddychaj. Głupie płuca, pracujecie dla mnie! Oddychajcie!”

Usłyszałem głośny, chrapliwy świst w uszach, niczym zgrzyt metalu ciągniętego po kamiennej podłodze. Chwilę później poczułem smak powietrza wpływającego do moich płuc niczym powódź. Ten dziwny odgłos to moje gardło otwierające się, aby wpuścić powietrze do płuc. Moje oczy się otworzyły. Stał nade mną Brasti, opierając obie dłonie na mojej piersi.

– Wszyscy święci, Falcio! Nagle przestałeś oddychać. To było zupełnie jakby... twoja pierś próbowała się poruszać, ale zaklinowała się. Próbowałem ją popchnąć, jakoś pomóc, ale... Dobrze się czujesz?

Skinąłem słabo głową. Brasti usiadł ciężko na krześle obok mojego łóżka. Zaskoczył mnie jego widok: zazwyczaj to Kest lub Valiana pilnowali mnie nad ranem.

– Kest? – spytałem.

Brasti wyglądał na nieco dotkniętego.

– Jest tutaj... to znaczy w wiosce. Nadal próbuje... w zasadzie to nie wiem, co takiego próbuje zrobić, ale ma to coś wspólnego z tą krwawą poświatą, która go otacza.

– Reszta? – wychrypiałem.

– Valiana jest z Darri, ćwiczą fechtunek, uwierzysz? Myślałem, że po wczorajszym zrobią sobie przerwę, ale Valiana powiedziała,

że źle oceniła atak rycerza i zanim go zabiła, przyjęła cięcie na swój policzek, więc teraz Darri wypróbowuje na niej przeróżne finty.

Byłem zaskoczony, że Valianie udało się pokonać samodzielnie rycerza, zwłaszcza że jednocześnie usiłowała chronić dzieci. Nie wspomniała o tym ani słowem.

– Chcesz coś do picia? – spytał Brasti.

– Mi... nu... ta – odparłem, starając się wymówić to słowo jako osobne sylaby. – Kil... ka... mi... nut.

Brasti usiadł z powrotem na krześle i wziął coś z podłogi. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że nad rękawem płaszcza trzyma grubą żelazną igłę. Na początku myślałem, że próbuje zaszyć rozdarcie, ale po chwili zauważyłem, że przez ucho igły nie jest przewleczona nici. Brasti wyciągał z płaszcza szwy.

– Sssotyrobisz – spytałem. „Lepiej”, pomyślałem. „Jak gość, który jest tylko trochę pijany”.

– Piętnaście lat noszę ten płaszcz i cholerny prawy rękaw zawsze przeszkadza mi podczas strzelania. Wyciągnięcie tych przeklętych szwów jest niczym próba wydłubania rudy żelaza z kawałka kamienia, wiesz?

Nigdy nie widziałem, żeby Brasti nie trafił w cel, więc zacząłem się zastanawiać nad tym, jak bardzo rzeczywiście krępował go ten rękaw. Najbardziej przeszkadzało mi to, że taki akt niszczenia płaszcza wydał mi się profanacją.

– Przestań się na mnie patrzeć w ten sposób – powiedział. – Chcę tylko odpruć jeden rękaw. Reszta nadal będzie mnie doskonale chronić.

Poczułem mrówki pod skórą, co oznaczało, że moje ręce i nogi zaczynały powoli odzyskiwać czucie. Zaryzykowałem i odepchnąłem

się, żeby usiąść na łóżku. Rezultat był żaloszny, ale przynajmniej się udało. Kiedy Brasti zobaczył, że nie potrzebuję pomocy, skupił się na rękawie płaszcza.

– Dlaszegoty...

– Myliłem się – powiedział nagle. – W Carefal. Ja... nie wiem, co się wtedy ze mną działo, ale wyżyłem się na tobie i to nie było sprawiedliwe.

– Nie ma sprawy.

– Właśnie, że jest. To, co zrobiłeś wczoraj... – pokręcił głową. – Kiedy staliśmy na szczycie wzgórza, pomyślałem, że to koniec. Wszyscy ci ludzie zginą. Nawet gdyby przeklęty Bóg Wojny we własnej osobie powstał z piekielnego ognia, wszystko, co mógłby zrobić, to powiedzieć nam, że mamy przesrane.

– Ale ty znalazłeś sposób, Falcio – wydałeś nam rozkazy i poprowadziłeś do osady. A potem, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, zdołaliśmy ocalić większość mieszkańców wioski.

„Ale nie wystarczająco wielu”, chciałem powiedzieć. Brasti jednak nie czekał na mój komentarz.

– I nawet wtedy, kiedy ten szalony rycerz wlaźł na dach z tymi wszystkimi dziećmi, nie mogłem się zmusić do strzału. Za bardzo się bałem, że trafię któreś z nich, albo że rycerz upadając, zsunie się z dachu, pociągając je wszystkie za sobą na śmierć. Ale ty... Ty po prostu pobiegłeś tam i zanim dotarłeś na górę, zdążyłeś już opracować plan – przerwał na chwilę, krzywiąc się, kiedy igła w jego dłoni rozrywała nić scalającą rękaw z resztą płaszcza. Wreszcie przerwał pracę, położył okrycie na kolanach i znowu spojrzał na mnie. – Przez wszystkie te lata wciąż sobie

powtarzałem, że ty i król, i te wasze pogadanki na temat strategii i taktyki... zawsze uważałem, że to głównie warte. Koniec końców liczy się instynkt. A ja mam dobre instynkty, Falcio. Wiem o tym doskonale. Tylko że moje instynkty podpowiadały mi, żebym popędził na koniu prosto ze wzgórza do wsi i zabił tylu rycerzy, ilu zdołam. A jeśli bym to zrobił, ci wszyscy ludzie by teraz nie żyli – spojrzal na rękaw leżący na jego kolanach. – Ty... nie wiem, Falcio. Chciałbym myśleć tak, jak ty.

– Mógłbyś...

– Nie – odparł. – Tak naprawdę wcale nie narzekam. Zanim zostałem trybunem, przez większość życia byłem kłusownikiem i moje instynkty służyły mi znakomicie w obu tych profesjach. Jestem łucznikiem i niezależnie od tego, co kto sobie myśli, wiem, że strzelam z łuku równie dobrze, jak Kest fechtuje, a ty wymyślasz swoje sprytne plany. Nie jestem zazdrosny o twój talent – uśmiechnął się wreszcie. – Ten chłopiec z wczoraj, ten, który podawał mi strzały? Przyszedł do mnie dziś rano wraz z siedmioma innymi. Przyciągnęli też pięcioro dorosłych. Niektórzy mieli swoje łuki, a inni zabrali je poległym. Chcieli, żebym nauczył ich szyc z łuku, wyobrażasz sobie? Spytałem, czy nie chcieliby przypadkiem poprosić Kesta o lekcję szermierki, ale jeden z nich powiedział: „Dlaczego miałbym chcieć się nauczyć walczyć starym głupim mieczem?”. Reszta zgodziła się z nim.

Słyszając to, uśmiechnąłem się. Było to pięć minut chwały Brastiego, kiedy wreszcie inni zgodzili się z nim, że łuk jest lepszy niż miecz.

– Odchodzę, Falcio – powiedział Brasti, odkładając płaszcz i igłę.

Uśmiechnąłem się ponownie, chociaż nie zrozumiałem. Usiłowałem się podnieść.

– Musimy jechać do Rijou, Brasti – starałem się wymawiać słowa wyraźnie, mimo że mój język i usta nadal były drętwe. – Wszystko tam zmierza. Nie wiem jeszcze, dlaczego, ale...

Brasti delikatnie pchnął mnie z powrotem na łóżko.

– Ty musisz jechać do Rijou, Falcio. Podobnie jak Kest, Valiana i Darri. Kest szuka już dla was konie, a ja modłę się o to, aby ci z bogów, którzy mają jeszcze nad nami pieczę, pomogli wam osiągnąć to, po co tam jedziecie, cokolwiek to jest. Ale ja zostaję tutaj, z tymi ludźmi. Wystarczy mi tydzień tutaj, w Garniol, żeby wyuczyć wieśniaków na tyle, by umieli odeprzeć kolejny atak.

– Ty... – Czy naprawdę mógłbym mu zabronić udzielenia pomocy tym ludziom, żeby nauczyli się bronić? Oczywiście, że nie. – W porządku, Brasti. Zostań tu na tydzień, naucz wieśniaków strzelać z łuku, a potem przyjedź do Rijou. Zostawimy wiadomość...

– Nie – przerwał Brasti. – Nie. Kiedy już przygotuję mieszkańców Garniol, zamierzam udać się do następnej wioski i kolejnego miasta. Łuki myśliwskie są w tych okolicach używane powszechnie, ludzie po prostu nie wiedzą, jak je wykorzystać w walce. Jest tu człowiek, który wie, jak kuć żelazo, więc zamierzam przetopić broje zabitych rycerzy i zrobić stalowe groty. Tylko pomyśl, Falcio: z jednej zbroi mogę mieć tyle grotów, że zabiję stu rycerzy. Pomyśl, ile będziemy mieli z trzydziestu!

– Prawo Brastiego – szepnąłem.

Pokiwał głową.

– Wiem, że to nie jest odpowiedź i że są inne sprawy, które też trzeba załatwić. Wiem również, że tego dokonacie – ty, Kest

i Valiana. Miej tylko oko na Darrianę. Jest niesamowita, ale przy okazji totalnie szalona. I na wszystkich świętych, jeżeli odwiedzi cię w nocy, nie...

– Proszę – przerwałem. – Błagam, nie każ mi sobie tego wyobrażać.

Brasti roześmiał się.

– Biedny, stary Falcio – wyciągnął jeszcze jeden ścieg z prawego ramienia swojego płaszcza i oderwał rękaw. Wstał i założył płaszcz. Wyglądało to dziwnie, wielki płaszcz bez prawego rękawa, ale w jakiś sposób pasowało do niego.

– Łajdak z ciebie – powiedziałem.

Brasti przybrał minę skrzywdzonego anioła.

– Nie nazywaj mnie tak, Falcio. Król zawsze tak o mnie mówił. „Łajdak Brasti”. Pewnie nigdy nie spełniałem jego oczekiwań.

Wstałem chwiejnie na nogi.

– Król cię kochał, Brasti.

Spojrzał mi w oczy.

– Nie, nie kochał mnie i już najwyższy czas, żebyś przestał w to wierzyć. Zapomnij wreszcie o swoim wyobrażeniu króla jako kochającego sędziwego ojca. Był tylko dwa lata starszy od nas. Jego gównem śmierdziało dokładnie tak samo jak każde inne. Pił za dużo, kłamał w wielu sytuacjach i jak się okazuje, chędożył połowę szlachcianek w kraju. Był wielkim człowiekiem, Falcio, ale nadal tylko człowiekiem – przerwał na chwilę. – Wiem, że cię kochał, Falcio, i podziwiał Kesta. Inni również byli mu bliscy... Nile, Parrick, Quillata... niemal wszyscy, ale nie ja. Dla niego zawsze byłem „łajdakiem Brastim”, zwykłym kłusownikiem, którego król uczynił Wielkim Płaszczem, bo ty nalegałeś. Ja się z tym

pogodziłem i ty też powinieneś.

– Do licha, Brasti, król był skomplikowanym człowiekiem – chciałem mu wyjaśnić. – Był chuderlawym dziwakiem, który usiłował ocalić świat, a ty? Ty jesteś przystojny, pewny siebie i...

– Przestań go usprawiedliwiać, Falcio. Wiem, że był genialny, ale jaki jest użytek z geniuszu, jeśli nie chcesz podzielić się z nikim swoimi planami? Wiem, że obaj chcieliście ocalić świat, ale nie wiem, jak mam to zrobić. Dlatego zamierzam spędzić resztę mojego życia w tej kupie gnoju, którą nazywamy naszym krajem, usiłując ocalić jej mieszkańców.

Brasti odwrócił się ode mnie na chwilę i chwycił swoje sakwy leżące na podłodze. W głębi duszy miałem ochotę zdzielić go przez łeb ręką rapiera i zrzucić na Kesta zadanie przekonania go do zmiany zdania, ale oczywiście zdawałem sobie sprawę, że Brasti rozmawiał wcześniej z Kestem. Z jego tonu, zachowania i sposobu, w jaki pomyślał o wszystkich moich ewentualnych obiekcjach, wiedziałem, że pożegnał się już ze wszystkimi pozostałymi.

Obrócił się i przytulił mnie niezgrabnie. Kiedy się odsunął, przytrzymał mnie na odległość ramion i uśmiechnął się łobuzersko.

– W porządku – powiedział. – A teraz ja się uśmiechnę, ty się uśmiechniesz, obaj zamkniemy oczy i...

– Spieprzaj stąd, Brasti Goodbowie – powiedziałem, starając się ukryć śmiech w moim spojrzeniu i okropny smutek w moim głosie.

Resztki porannego paraliżu sprawiły, że byłem zeszywniały i nieco odrętwiały, ale przynajmniej mogłem wsiąść na konia. Kest, Valiana, Darri i ja jechaliśmy powoli przez Garniol, przypominając

sobie, że odnieśliśmy zwycięstwo nad kimś, kto usiłował zniszczyć nasz kraj. Nadal jednak w powietrzu unosił się zapach dymu z wczorajszego pożaru i drażniący odór krwi, która nie wsiąkła jeszcze w glebę. Zwycięstwo nie było tak cudowne, jak je pamiętałem.

Podróżowaliśmy przez trzy dni wąskimi drogami, które prowadziły na północny wschód, ostatecznie łącząc się z większymi szlakami handlowymi, biegnącymi z Pertynii do Rijou. Zakurzone gościńce zmieniły się wreszcie w brukowane trakty, zaś rozległe zielone pola ustąpiły miejsca sadom pełnym starych, czasem dwustuletnich jabłoni. Ich liście zaczęły właśnie zmieniać kolor z zielonego na czerwono-złoty. Podobnie jak wszystko w księstwie Rijou, piękno krajobrazu było złudne.

Większość podróży spędziliśmy w milczeniu. Nie to, że nie mieliśmy o czym rozmawiać. Po prostu przyzwyczailiśmy się, że rolę inicjatora pogawędek pełnił Brasti i nader boleśnie odczuwaliśmy jego nieobecność. Każde z nas przeżywało to na swój sposób. Brasti jak na trybuna był próżny i lekkomyślny, i niezwykle podatny na pokusy drobnych kradzieży, ale kiedy przyszło co do czego, potrafił być również dzielny, a poza tym był wierny swoim przyjaciołom ponad wszelkie wyobrażenie. Może nie znał królewskiego prawa tak dobrze, jak ja i Kest, ale jego wyroki miały sens dla ludzi, dla których je wydawał, i utrzymywały się w mocy równie dobrze, jak moje i Kesta. Może to dlatego, że był tak skupiony na ludziach zamieszkujących wszystkie te wioski i małe miejsciny. „Chcesz zbawić świat, Falcio. A ja chcę ocalić zamieszkujących go ludzi”. Oczywiście ci, którzy chcieliby sprzeciwić się wyrokom Brastiego, najpierw musieli się poważnie

zastanowić, ponieważ Brasti z łukiem i strzałą był równie zabójczy, jak Kest ze swym mieczem. Wyobraziłem go sobie spoglądającego na mnie z udawanym oburzeniem. „Falcio, to jest jak komplementowanie trubadura słowami, że gra swoją muzykę tak dobrze, jak inny człowiek pierdzi”.

Roześmiałem się w duchu i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że straciłem poczucie czasu. Puściłem wodze, żeby zacisnąć i rozluźnić dłonie. Moje palce nieco zdrętwiały, trochę za szybko. Usiłowałem samą siłą woli przywrócić w nich czucie. Tak, zdecydowanie zbyt szybko.

Kest podjechał do mnie.

– Dobrze się czujesz?

– Nie zamierzam opłakiwać Brastiego, jeśli o to się martwisz.

– Wiesz dobrze, że nie...

– Wszystko jest w porządku – odparłem. – Nie jest tak źle, jak wczoraj.

Kest przyglądał się mi jak człowiek, który usiłuje przeniknąć wzrokiem przez zasłonę.

– Daj spokój – powiedziałem wreszcie.

Jechaliśmy chwilę dłużej, zanim przypomniałem sobie, że miałem się go o coś zapytać.

– Dowiedziałeś się może skąd wieśniacy wzięli broń?

Nie. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, twierdzili, że odziedziczyli ją po przodkach. Kłamali w żywe oczy z niesłychaną pewnością siebie, zważywszy, że zarówno miecze, jak i groty pik były całkiem niedawno wykute, i to przez biegłego kowala. Musieli słyszeć, że nakazaliśmy ludziom z Carefal zwrócić całą ich żelazną broń.

Zwolniłem tempo, dopóki nie dobiła do nas Valiana.

– Dowiedziałaś się czegoś od dzieci na temat broni? Skąd pochodzi?

Wywróciła oczami.

– Za każdym razem, kiedy usiłowałam z nimi porozmawiać, któryś z rodziców odciągał je na bok, a jeśli już udało mi się zadać pytanie, dzieci po prostu wyglądały na zagubione. Nie sądzę, żeby wiedziały cokolwiek o tej broni.

Święta Deneph Co Oszukujesz Bogów! Ile jeszcze wiosek i miast jest zaopatrywanych w świeżo wykute miecze i piki – i co się z nimi stanie, kiedy bandy grasujących po kraju szalonych rycerzy w czarnych tabardach się o tym dowiedzą?

Koń Valiany wysforował się do przodu, ale ściągnęła cugle, żeby utrzymać tempo równe ze mną.

– Falcio, dlaczego nie ścigamy reszty tych rycerzy? Czy naprawdę chcesz, żebyśmy zaryzykowali wszystko, by ocalić księcia Jillarda?

Zadawałem sobie to samo pytanie od wyjazdu z wioski Garniol. Rijou było ostatnim miejscem na ziemi, w którym chciałem się znaleźć. Jeżeli kiedykolwiek jakiś książę zasłużył sobie na pozbawienie go władzy, to właśnie Jillard. Ale nie chodziło już tylko o niego. Ktoś mordował całe książęce rody, uzbrajał prosty lud w broń i rozsyłał grupy zbuntowanych rycerzy w czarnych tabardach, żeby masakrowały tych biednych kmiotków. Owszem, był w tym planie swego rodzaju geniusz, jako że w ten sposób słabły nie tylko siła i wpływy szlachty, ale również wola oporu prostych ludzi. W rezultacie jednak Tristia rozłaziła się w szwach, targana walkami wewnętrznymi.

– Falcio? – powiedziała pytająco Valiana i zdałem sobie sprawę, że nie odpowiedziałem na jej pytanie.

– Musimy ocalić Jillarda nie dlatego, że na to zasługuje, ale dlatego, że ktoś pragnie jego śmierci z niewłaściwych powodów.

– Tylko kto? – spytał Kest. – Kto zaplanował to tak doskonale i sprawił, że wszystko zadziało...?

Darriana prychnęła za naszymi plecami.

– Patrzcie no, wspaniałe Wielkie Płaszczce z całą waszą gadaniną i teoriami spiskowymi. To przecież pieprzona Trin! To oczywiste.

Naprawdę chciałem, żeby miała rację. Wiedziałem, że Trin była wystarczająco inteligentna i nie miała za grosz przyzwoitości, która mogłaby ją powstrzymać przed rozpętaniem takiego chaosu, ale nie tym razem. Trin była stuprocentową egocentryczką, a całe to szaleństwo sprawiłoby, że tron, którego tak bardzo pożądała, stałby się bezwartościowy przez całe pokolenie, jeśli nie dłużej. Nie zyskałaby na tym nic a nic.

– To nie Trin – powiedziałem. – A przynajmniej nie wszystko jest jej pomysłem.

– W takim razie, jeśli nie, to czy drugim w kolejności najlepszym kandydatem nie byłby przypadkiem człowiek, którego chcesz, abyśmy ocalili? – spytała Darriana.

– Jeżeli to Jillard... – przerwałem. Książę Jillard z Rijou miał na koncie liczne próby poszerzenia swojego terytorium i nader łatwo było sobie wyobrazić, że szuka sposobu zaanektowania Luth, a nawet Aramoru. Którykolwiek książę poważiłby się na taką rzecz, ryzykowałby jednak życiem, gdyby inne księstwa dowiedziały się o jego planie i zjednoczyły się przeciwko niemu,

żeby pozbawić go władzy. Nie, to nie Jillard. Poza tym byłem pewny, że jest następny na liście. Rijou leżało w samym centrum Tristii i było jedynym z księstw posiadającym wystarczająco duże bogactwa i wpływy, żeby w razie kryzysu ocalić cały kraj. Jeżeli ktoś rzeczywiście chciał, żeby Tristia stanęła w płomieniach i runęła w chaos wojny domowej, to właśnie w Rijou powinien podłożyć ogień. Tak, Rijou było następnym celem.

Zauważyłem, że Kest i Valiana spoglądają na mnie.

– O co chodzi?

– Mówiłeś coś i nagle jakbyś odpłynął – powiedziała Valiana.

– Może zaczyna tracić panowanie nie tylko nad ciałem, ale też nad rozumem? – zasugerowała Darriana.

– Dobrze się czujesz? – spytała mnie Valiana.

– Czy możecie w końcu przestać zadawać mi to pytanie?

– Ja wcale cię o to nie pytałam – odparła Darri. – Ale mam za to inną kwestię.

– Jaką mianowicie?

– Jeżeli jesteś tak zdeterminowany i pewny, że powinniśmy jechać do Rijou, przypuszczam, że opracowałeś już sposób, w jaki się tam dostaniemy?

Słuszne pytanie. Rijou ma najlepiej strzeżone bramy wjazdowe i mury otaczające miasto w całym kraju. Dobrze to wiem.

Darriana wskazała na mnie palcem.

– Jeżeli w historiach rozgłaszanych przez trubadurów jest ziarno prawdy, publicznie upokorzyłeś księcia Jillarda, a o ile się nie mylę, już przedtem bardzo pragnął twojej śmierci.

– I co z tego? – spytałem.

Jeżeli to prawda, jak do licha mamy przedostać się do miasta?

A kiedy już to zrobimy, jak wejdziemy do pałacu bez uprzedniego aresztowania nas i powieszenia, zanim zdążymy wytłumaczyć, po co przybyliśmy?

Zastanawiałem się nad tym samym pytaniem od chwili wyjazdu z Garniol i rzeczywiście znalazłem sposób na dostanie się do Rijou.

Święci, wybaczcie mi. Złamię jej serce.

POWRÓT DO DOMU

Zbliżaliśmy się do Merisaw. Pozostała jeszcze godzina do zachodu słońca. Położone na szczycie wzgórza miasto znajdowało się kilka mil od stolicy Rijou – tego ropiejącego wrzodu w centrum Tristii i miejsca, w którym dokona się jeden z ostatnich aktów mojego życia, w desperackiej próbie ocalenia człowieka, który uwięził mnie i torturował, który usiłował zamordować Aline i który planował, nawet w tej chwili, zdradę.

„Święty Zaghevie Co Śpiewasz o Łzy, musi być lepszy sposób na zmarnowanie sobie życia niż to...”

– Ktoś jest tam przed nami – Kest wskazał na bramy miasta znajdujące się jakieś trzysta jardów stąd. – To pewnie strażnik miejski, zważywszy, że to brama wjazdowa.

– Merisaw jest spokojnym miastem – zauważyła Valiana. – Nikt nie strzeże bram aż do zachodu słońca.

Kiedy podjechaliśmy nieco bliżej, uniosłem rękę i zasłoniłem oczy przed późnym, popołudniowym słońcem.

– Czy ten ktoś trzyma maczugę? Dziwnie to wygląda.

– To kobieta – powiedział Kest. – Trzyma w dłoni kwiaty.

Przez chwilę miałem wizję Świętej Birgid czekającej z białymi i żółtymi stokrotkami, gotowej do ponownego zrugania mnie. Kiedy jednak podjechaliśmy jeszcze bliżej, dostrzegłem bardzo ciemne włosy, gładką białą skórę i niebieskie oczy, które wpatrywały się w moje nawet z tej odległości. Kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, miała na sobie długą białą szatę uszytą z półprzejrystej tkaniny, która lśniła w blasku księżyca. Dzisiaj była odziana w zwykłą czerwoną sukienkę, zaś we włosy wpięła pojedynczy żółty kwiat, pasujący do tych z bukietu.

Tej nocy, gdy Ethalia ocaliła mnie w Rijou, jej uśmiech był pełen mądrości i tajemnicy. Teraz uśmiechała się jak zwykła kobieta, przepełniona radością na widok swojego mężczyzny.

Zatrzymałem konia jakieś sto jardów od niej i zsiadłem z niego. „Birgid Co Wyplakujesz Rzeki, jeśli naprawdę jesteś Świętą od Miłosierdzia, spraw, żeby się odwróciła, uciekła do miasta i zaryglowała przede mną drzwi. Spraw, aby jej sąsiedzi skłamali i powiedzieli mi, że wyjechała stąd wiele dni temu. Albo jeszcze lepiej: wyślij mężczyznę, wielkiego, silnego i przystojnego mężczyznę, który wybiegnie teraz przez bramę z koszykiem pełnym jedzenia na piknik i z dzbanem wina. Niech ona się odwróci w jego kierunku, niech go zobaczy, niech się roześmieje i rzuci kwiaty w powietrze, obejmując go za szyję i obsypując pocałunkami. Niech to wszystko stanie się jedynie tworem mojej wyobraźni: jedną nocą dobroci ze strony kobiety, która ulitowała się nad obcym w ogromnej potrzebie”.

Ethalia zaczęła biec w moim kierunku. Zakląłem. „Niech cię licho, Święta Birgid! Przeklinam cię i wszystkich pozostałych świętych. Przeklinam cholernych bogów i ciebie, królu Paelisie

z twoimi infantylnymi mrzonkami. Chcesz, żebym złamał jej serce? Zabił nadzieję w jej oczach? Cóż, każdy kij ma dwa końce. Przysięgam: jeśli poprosi mnie, żebym porzucił moją misję i pojechał z nią, jeśli poprosi chociaż raz, zrobię to i pozwolę, aby ten świat, który nam podarowałaś, popadł w ruinę i rozpacz, na którą tak bardzo zasługuje”.

Ethalia się zbliżała, a ja poczułem chwilową ulgę, przyglądając się, jak jej uśmiech staje się jeszcze bardziej promienny. Teraz wiedziałem, co się stanie.

„Podejdzie do mnie, wypowie moje imię i powie, że czekała na mnie co dzień. Ja wypełnię mój obowiązek: powiem jej, dlaczego tu jestem, że poświęciłem ostatnie godziny i minuty, które mogliśmy spędzić razem, skazanym na niepowodzenie próbom ocalenia człowieka, który absolutnie nie zasługuje na ocalenie. Ona się rozgniewa – oczywiście, że tak, jaki głupiec zrobiłby coś takiego? Da mi ostatnią szansę, tylko jedną. »Odjedź ze mną«, powie. »Odjedź ze mną i bądź szczęśliwy, nieważne jak krótko«.

A ja jej posłucham.

Do licha z twoimi marzeniami, Paelisie”.

Ale kiedy Ethalia zbliżyła się do mnie, zobaczyła moją minę, a także Kesta i pozostałych. Zwolniła kroku, uśmiech znikł z jej twarzy, a wyraz oczu zmienił się – najpierw był pełen obawy, potem wręcz strachu, a wreszcie smutku. Zupełnie jakby w jednej chwili zobaczyła całe moje życie, od czasu naszego ostatniego spotkania.

Stała przede mną. Dzieliło nas zaledwie kilka cali, a jednak nigdy nie byliśmy sobie równie dalecy.

– Ethalia, ja...

Pokręciła głową, powstrzymując mnie. Staliśmy tak w milczeniu

przez kilka chwil, aż wreszcie odetchnęła głęboko.

– Dobrze. Ale to jest dla mnie. O to mam prawo prosić – zrobiła krok i objęła mnie ręką za szyję. Przyciągnęła mnie i pocałowała. Objąłem ją mocno, czując się tak, jakby cała samotność i smutek w moim życiu nagle zniknęły. Nie obchodził mnie ból, który wycierpiałem, ani śmierć, którą widziałem. Nie obchodziły neatha zabijająca mnie od środka ani zło zżerające od środka cały kraj. Obchodziła mnie tylko ona i – w tej chwili – wyłącznie jej pocałunek.

„To jest dla mnie”.

Trwaliśmy tak przez minutę, a może przez rok. Potem odsunęła się ode mnie i przemówiła:

– Jestem przyjaciółką, co przychodzi w czarną godzinę. Jestem bryzą, gdy pali słońce. Jestem wodą, którą rozdaje się darmo i winem, którym dzieli się z miłością. Jestem odpoczynkiem po bitwie i lekiem na rany. Jestem przyjaciółką, która przychodzi w czarną godzinę – powtórzyła. – I jestem tu dla ciebie, Falcu val Mondzie.

Było to formalne pozdrowienie jej zgromadzenia, nie zaś słowa dla ukochanego. Spoglądała mi w oczy jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się, aby przywitać pozostałych, stojących nieco z tyłu.

– Witam w Merisaw – powiedziała. – Jestem Ethalia, siostra Miłosiernego Światła.

Darriana prychnęła.

– Ladacznicą? Twój wspaniały plan przemycenia nas do Rijou to jakaś...

– Zamknij się! – uciszył ją gniewnie Kest.

– Spokojnie, szermierzu – powiedziała Ethalia. – Twój gniew rani mnie bardziej niż jej słowa.

– Wybacz mi – Kest odsunął się do tyłu.

Ethalia podeszła do niego i popatrzyła mu pytająco w oczy.

– Pomogłabym ci, gdybym potrafiła, Święty od Mieczy, ze względu na miłość, jaką żywisz do Falcia, i dla twojego własnego dobra, ale nie mogę. Powinieneś stąd odjechać i wyruszyć do sanktuarium w Aramorze. Jesteś stosem czekającym na podpalenie i jednocześnie iskrą.

– Zniosę to.

– Każdy, kto ma oczy, potrafi dostrzec siłę twojej woli, ale to nie wystarczy.

– Niemniej, moja pani, zniosę to.

Ethalia uśmiechnęła się i dotknęła policzka Kesta. Skrzywiła się jak oparzona i w końcu zabrała rękę.

– Dziękuję, że spróbowałaś – powiedział Kest.

Ethalia odwróciła się w stronę Valiany i dygnęła.

– Moja pani. Spotkałyśmy się już wcześniej, chociaż wątpię, żebyś mnie pamiętała.

– Wybacz – odparła Valiana. – Ja... otaczało mnie wtedy wielu ludzi, a ja sama nie byłam kobietą, którą jestem teraz.

– Wyszło na dobre, nie sądzisz? Wielki Płaszcz, pierwszy, który został mianowany od śmierci króla.

– Twoje informacje są nieaktualne, dziwko – Darriana spojrzała na Kesta, podkreślając to słowo. – Jest stu innych.

Mina Ethalii nie wskazywała ani na gniew czy groźbę, ani na obawę. Spojrzała na Darriane, jak patrzy się na krnąbrne dziecko.

– A jednak niezupełnie takich samych, nie uważasz?

– Z tym akurat trafiłaś.

– Moja... – powstrzymałem się przed nazwaniem jej „moją panią”, zupełnie jakby była mi obca. „Nie”, pomyślałem. „Nie. Nawet jeśli musimy dokonać naszego żywota z dala od siebie, nie zapomnę, że tu była, naprawdę. I nie zapomnę tego, że w innym życiu mogła być, i byłaby, moja”. – Ethalio, musimy się dostać do Rijou.

– Wiem – odparła. – Muszę cię jednak ostrzec, że od czasu twojego ostatniego pobytu Rijou stało się jeszcze bardziej niebezpiecznym miejscem. Ja zostawiłam je za sobą, podobnie jak wiele sióstr z mojego zakonu.

– Ale czy możesz nas tam wprowadzić?

– Mogę – westchnęła. – Część z nas nadal tam mieszka, a niektórzy strażnicy pilnujący wrót czują... wdzięczność dla Sióstr Miłosiernego Światła. Jak szybko musicie się tam dostać? Moglibyście przenocować w Merisaw, a nad ranem...

– Dziś w nocy – odparłem. – To musi być dziś w nocy.

Spojrzała na mnie z nieprzeniknioną miną.

– Dobrze zatem. Chodźcie. Załatwię wszystko, co konieczne.

Poprowadziła nas do Merisaw i kiedy tak szliśmy, wsunęła swoją dłoń w moją.

„To jest dla mnie”.

Tej nocy absurdalnie przystojny młody mężczyzna w szykownych czerwonych brokatach typowych dla arystokraty z Rijou przeprowadził nas przez pierwszą i drugą bramę miasta. Przedstawił się jako Erastian, co było pseudonimem, chyba że

rzeczywiście był Świętym od Romantycznej Miłości. Dość często jednak dłubał w nosie i zatrzymywał się co chwila, żeby wciągnąć nosem niebieskobiały proszek, zanim kichnął w jedwabną chusteczkę. Uznałem więc, że pierwsze wytłumaczenie jest prawdziwe.

Jakiegolwiek układy miał Erastian z Ethalią, czy Siostrami Miłosiernego Światła, nie wspominał o nich. Obawiałem się konsekwencji, jakie poniosą, jeżeli ich zaangażowanie w sprawę zostanie odkryte. Zrobiłem, co w mojej mocy, aby przekonać Ethalię do wyjazdu na południe, na małą wyspę u brzegów Baernu, o której mi opowiadała. Jednak odmówiła.

– Sami musicie przejść przez trzecią bramę – Erastian przerwał moje rozmyślania. – Powiadomiłem już strażników, więc wpuszczą was bez wypytywania. Nie mogą mnie jednak tam zobaczyć, nie wszyscy.

– Dziękuję – wyciągnąłem dłoń, ale on tylko uśmiechnął się uprzejmie, jakby nie znał takiego gestu, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem przez bramy za naszymi plecami.

– Jak sądzisz, kim on jest? – spytała Valiana.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – I sądzę, że chciał, aby tak pozostało.

– Miejmy nadzieję, że nas nie zdradzi – dodał cierpko Kest.

Ruszyliśmy powoli przez ostatnią bramę wiodącą do miasta, a ja byłem bezgranicznie wdzięczny za to, że nikt nie oblał nas kwasem z rur wychodzących z kamiennego łuku nad przejściem ani nie zaczął strzelać do nas z kusz przez wąskie otwory po obu stronach bramy.

– I co teraz? – spytała Darriana, niezdolna ukryć zaskoczenia,

że dotarliśmy aż tak daleko. – Musimy jakoś dostać się do pałacu, prawda?

– Mam plan – odparłem.

Spojrzała na mnie, jakby była przekonana, że kłamię, ale ja naprawdę miałem plan: ostatecznie zawsze istnieją dwa sposoby na dostanie się do książęcego pałacu. Jednym jest zaproszenie. Drugim aresztowanie.

Niewiele czasu zajęło nam odnalezienie jednego z donosicieli Shiballe'a – miasto Rijou jest ich pełne niczym gnijące jabłko robaków. Pomimo swojej sprzedajnej natury uważali Wielkie Płaszczki za kogoś niższego stanem. Na szczęście mieliśmy Valianę.

Dzięki sukni za niebotyczną cenę, brokatowemu płaszczowi, butom na nieprawdopodobnie wysokich obcasach i miedzianemu diademowi pokrytemu najcieńszą warstwą białego złota, jaką tylko udało się nałożyć, Valiana szybko zmieniła się z ubrudzonego w podróży trattari w córkę barona, która właśnie ściągnęła tu z księstwa Baernu. Jeżeli miałem jakieś wątpliwości, czy nadal potrafi odgrywać rolę aroganckiej arystokratki, szybko się ich pozbyłem, obserwując, z jaką szybkością i łatwością udało się jej zastraszyć szpicla Shiballe'a.

– Najmocniej przepraszam, moja pani. Przysięgam, nie chciałem pani urazić.

– Wstań z ziemi – poleciła Valiana. – A jeśli jeszcze raz spróbujesz umieścić swoje brudne usta na moich stopach, stracisz zęby.

– Oczywiście, oczywiście – kapuś pospiesznie wstał i otrzepał

ubranie. – Muszę być jednak szczery, moja pani. To, o co prosisz, jest kosztowne i trudne do załatwienia, nawet dla człowieka takiego jak Thesian.

Jak się okazało, człowiek taki jak Thesian był tłustym, łysiejącym mężczyzną, śmierdzącym mieszanką wonnych olejków użytych w nadmiarze i nieco już zjełczałych. Chociaż nie znam się na sztuce perfumeryjnej, byłem przekonany, że ten szczególny dobór zapachów był niezbyt dobrą kombinacją.

– Obawiam się, że w tej chwili mamy niezbyt dużo pieniędzy – powiedziała Valiana, rzucając na stół pięć złotych monet, które dostałem od Krawcowej. Tak naprawdę była to królewska zapłata, z każdego punktu widzenia.

Thesian spojrział na nas, jakby usiłował się domyślić, kogo obrabowaliśmy po drodze do jego małego sklepiku.

– Ja... rozumiem wasze trudne położenie, łaskawa pani – przerwał na chwilę i niemal widać było, jak małe trybiki ścierają jego obawę na pył. – Lecz mimo to... nawet z tym wszystkim – zaczął, biorąc w palce każdą z monet i pocierając je kciukiem i grubym palcem wskazującym – nie mogę zagwarantować bezpieczeństwa waszej osobie. Nie wtedy, gdy idzie o spotkanie z doradcą księcia. Shiballe... cóż, nie zawsze jest skłonny do współpracy.

– Ale zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby przekonać go do potraktowania nas uczciwie, nieprawdaż? – spytała Valiana, kładąc na stole kolejne dwie monety.

– Oczywiście, oczywiście, że tak, moja pani. To się rozumie samo przez się. Jestem dobrym przyjacielem Shiballe'a, moja pani. Bardzo dobrym przyjacielem. Jesteśmy niczym rodzina, nawet

bardziej bliscy.

W tę ostatnią informację byłem skłonny uwierzyć.

Thesian zgarnął monety do małej czerwonej sakiewki, która zwisała u jego pasa.

– Jeśli wolno mi zapytać, w jaki sposób udało ci się mnie odnaleźć, pani? Ludzie tacy jak ja... niełatwo nas wysledzić, nieprawdaż?

– Masz absolutną rację – odparła Valiana. Rzeczywiście musieliśmy przemierzyć całą dzielnicę, zanim odnaleźliśmy sprzedawcę narkotyków. – Jednak nie poddaliśmy się i zaufaliśmy świętym.

Thesian uśmiechnął się.

– I święci wysłuchali twojej prośby – skończył pisać i dmuchnął na dokument, żeby osuszyć atrament. – Jesteś pewna, pani, że wybrałaś odpowiednie miejsce na wasze spotkanie? Jeżeli... a oczywiście nie twierdzę, że będzie to możliwe, chociaż jestem, jak wszyscy wiedzą, wielkim przyjacielem Shiballe'a, niemniej, jeżeli coś miałoby zostać... powiedzmy sobie, źle zrozumiane, setka rycerzy mogłaby się tam pojawić z ogromną łatwością, a w takim przypadku obawiam się, że nawet tak wdzięczna i łaskawa osoba jak ty, moja pani, miałaby wielki problem z ucieczką.

W Rijou obowiązuje szczególny protokół dotyczący potajemnych spotkań. Prowadzi się negocjacje, ustala warunki i ostatecznie obie strony spotykają się w obopólnie zaakceptowanym miejscu. W tym przypadku wybrałem Teyar Rijou – Skałę Rijou. Ostatni raz, kiedy tu byłem, wywarłem nader złe wrażenie na ludziach księcia Jillarda, a w szczególności na Shiballe'u. Była to duża otwarta przestrzeń, która pozwoliłaby mu na niezgorszą demonstrację siły,

jeśliby sobie tego życzył, chociaż oczywiście taki akt złamałby naprędce uzgodnione warunki naszego spotkania.

– Bardzo niefortunnie by się stało, gdyby takowe nieporozumienie miało rzeczywiście nastąpić – powiedziała twardo Valiana. – Zakładam, że twoje wpływy... zredukują możliwość tak nieszczęśliwej pomyłki.

– Oczywiście – odparł Thesian. – Sam pobiegnę do świątyni i pomodłę się, aby święci przemówili spokojnymi, cichymi głosami w twoim imieniu.

Wyciągnął rękę do Valiany, aby przypieczętować umowę, ona zaś płynnie odwróciła się ku mnie.

– Trattari – zaczęła kapryśnym tonem. – Podasz rękę temu człowiekowi w moim imieniu. Nie chciałabym zniszczyć dzieła mojej manikiurzystki.

Najpierw pomyślałem, że chce mi zrobić jakiś głupi żart. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że jeśli Thesian uściskałby jej dłoń, natychmiast poczułby stwardnienia i odciski, które nie pasowały do szlachcianki. Spryciara. Czy zawsze była taka mądra?

Uścisnąłem dłoń Thesianowi, co było bardziej nieprzyjemnym doznaniem, niż się spodziewałem, po czym opuściliśmy zaplecze jego sklepu i ruszyliśmy w kierunku Teyar Rijou.

– Nieźle to rozegrałaś – pochwalił Valianę Kest.

– Owszem – wtrąciła się Darri. – Jesteś bardzo przekonująca w roli aroganckiej suki.

– Dawne nawyki – uśmiechnęła się do nas szeroko Valiana. – A teraz znajdziemy jakiś zaułek, żebym mogła zdjąć z siebie to idiotyczne ubranie. Z całą pewnością nie chcę stanąć twarzą w twarz z Shiballe'em bez mojego wielkiego płaszcza i miecza.

– Naprawdę zamierzamy zaufać temu tłustemu ślimakowi? – spytała Darriana. – I to nie byle jakiemu tłustemu ślimakowi, ale takiemu, który służy innemu tłustemu ślimakowi, Shiballe’owi. Czy to nie on chciał kiedyś zabić Falcia? Nie boisz się, że nas zdradzi?

– Tak – odpowiedziałem. – Zamierzam zaufać temu tłustemu ślimakowi i tak, to oczywiste, że nas zdradzi.

Godzinę później znaleźliśmy się w centrum Teyar Rijou; naprzeciwko nas stanął Shiballe, opierając miękkie mięsiste dłonie na szerokich biodrach i uśmiechając się obscenicznie z wielkim samozadowoleniem. Otaczało nas stu książęcych rycerzy z obnażonymi mieczami.

A zatem mój plan się powiódł.

W mojej głowie ścierały się w tej chwili dwie możliwe prawdy. Pierwsza, że mój król był dokładnie takim człowiekiem, za jakiego go miałem: genialnym strategiem, który potrafił odgadnąć przyszłość, patrząc wstecz; człowiekiem, który stworzył Wielkie Płaszcze i umieścił je dokładnie tam, gdzie powinny się znaleźć, kiedy kraj będzie potrzebował ich najbardziej. Ten człowiek umieścił Winnow w Aramorze, zaś Nile’a w Luth, chcąc uchronić książąt przed zamachem, który w jakiś sposób przewidział.

Druga, że król Paelis był tyranem, którego obchodził wyłącznie jego własny ród; który tak zaplanował przyszłość, aby upewnić się, że gdy jeden z jego dziedziców zostanie ujawniony, wszyscy, którzy zechcą mu stanąć na drodze, zostaną zmieceni z powierzchni ziemi.

W tej właśnie chwili, kiedy staliśmy tu otoczeni setką rycerzy,

miało się wreszcie rozstrzygnąć, który z Paelisów w mojej głowie był prawdziwy i któremu służyłem.

– Wiem, że tam jesteś! – krzyknąłem w kierunku gotowych do walki, zakutych w zbroje mężczyzn. Mówiąc to, obracałem się, usiłując spojrzeć w ich oczy. – Nie widzę cię pod twoją przyłbicą, ale wiem, że tu jesteś.

– Cóż za szaleństwo cię dopadło, trattari? – spytał Shiballe.

– Zamknij się – odparłem. – Jestem zajęty.

– Każę cię...

– Już czas – oznajmiłem, nadając mojemu głosowi tyle autorytetu, ile byłem w stanie z siebie wykrzesać. – Jakąkolwiek misję realizowałeś, cokolwiek mniemasz, że miałeś tu zrobić, księżę zginie, chyba że mu pomogę, a nie zdołam tego zrobić, jeśli moja głowa ozdobi pikę.

Shiballe zaczął się śmiać, ale kiedy Kest i Darriana sięgnęli po miecze, powstrzymałem ich gestem.

– Spokojnie – powiedziałem.

– Myślę, że szykuje się nam mały konkurs – zaczął Shiballe. – Każę jednemu z moich kucharzy przygotować z ciebie posiłek, a człowiek, który zje najwięcej smażonego trattari bez przymusowego opróżnienia żołądka, wygra sakiewkę złota. I jeszcze twój obdarty stary płaszcz. Będzie go sobie mógł powiesić na ścianie jako trofeum.

Niektórzy z rycerzy roześmiali się i zobaczyłem, jak Shiballe puszy się i wypina pierś, szykując się do rozkręcenia przedstawienia.

Miałem coraz mniej czasu.

– W porządku – pozwoliłem zniecierpliwieniu wkraść się w mój

ton głosu. – Normalnie nie lubię nadużywać stanowiska, ale zaczynasz mnie już wkurzać – przerwałem i spojrzałem na ziemię. „Teraz zostaliśmy tylko ty i ja, ty przemądrzała, chuderława namiastko króla”.

Podniosłem głowę.

– Nazywam się Falcio val Mond, jestem pierwszym kantorem królewskich trybunów i niniejszym nakazuję Wielkiemu Płaszczowi, który ukrywa się między wami, aby się ujawnił i złożył mi raport. To rozkaz – powinienem zakończyć, ale jak głupiec dodałem: – nie żartuję.

Shiballe niemal przewrócił się na plecy, kiedy dotarło do niego to, co powiedziałem.

– Naprawdę jesteś niesamowity, trattari – skinął na kapitana. – Sir Jairnie, aresztuj tych głupców.

Kapitan wystąpił naprzód. Był to potężny mężczyzna, który potrzebował sporo stali, aby okryć zbroją szerokie ramiona i wydatny tors. Stał przede mną, jakby czekał na mój ruch.

– Sir Jairnie? – powtórzył Shiballe.

Rycerz zdjął hełm. Wyjrzała spod niego ciągle młoda twarz okolona jasnymi włosami, z krótką brodą. Miał bliznę, pamiątkę po pojedynku w jednej z aramorskich wiosek całe lata temu.

– Parrick Erdan melduje się na rozkaz, pierwszy kantorze! – powiedział. Odwrócił się i spojrzał na Shiballe'a z odrazą wypisaną na twarzy. – Jeżeli twoim pierwszym rozkazem będzie zabicie tego padalca, bardzo bym to docenił. Myślę jednak, że najpierw powinniśmy zobaczyć się z księciem.

NIEZWYKŁY SOJUSZ

Shiballe usiłował rozkazać innym rycerzom, żeby aresztowali Parricka, czy też sir Jairna, jak się teraz zwał. Spowodowało to oczywiście pewien problem. Większość rycerzy jednak służyła pod „sir Jainem”, który, jak się okazało, był wspaniałym kapitanem: brał udział w nadgranicznych walkach, stając w pierwszej linii i ryzykując życiem wraz ze swoimi podwładnymi.

Shiballe z kolei był najwyraźniej szczerze znienawidzony: napiętnowany mianem przebiegłego manipulatora, który intrygował w cieniu, pozwalając innym walczyć i wykrwawiać się w imię jego machinacji. Co więcej, rycerze z całego serca wierzyli w wojskową hierarchię – jestem przekonany, że wpojono im to z mlekiem matki – zaś Shiballe, pomimo swoich mrocznych wpływów na dworze, nie był jej częścią.

Ostatecznie Parrick poddał się swojemu sierżantowi, sir Coratisimowi, który zgodził się z nim, że najlepiej będzie podjąć wszelkie dalsze kroki dotyczące uwięzienia i egzekucji po tym, jak książę usłyszy wszystkie te rewelacje. Parrick pozostał nominalnie więźniem, ale pomimo protestów Shiballe’a, nikt nie zakuł go

w kajdany.

– To jakiś pieprzony burdel, pierwszy kantorze – powiedział Parrick, kiedy przemierzaliśmy szerokie marmurowe korytarze książęcego pałacu. – Mieliśmy raporty dotyczące niepokojów w całym księstwie, a nawet poza jego granicami. Nasz komandor wyjechał wczoraj z dwiema setkami rycerzy, podobno żeby patrolować wschodnią granicę, gdyż pojawiły się jakieś napięcia między księstwami.

– A co się dzieje na wschodniej granicy?

– Nic, o ile wiem. Wyjechał wbrew rozkazom księcia. Zdaję sobie sprawę, że trudno w to uwierzyć, ale zaczynam podejrzewać, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju buntu.

– Co z północą? – spytałem. – Trin zdołała się już przedrzeć?

– Armia księżnej obozuje na południu Domarisu, ale nadal nękają ją partyzanckie ataki niedobitków wojsk księcia Hadiermo – uśmiechnął się szeroko. – Ludzie księcia skrzyknęli się w mniejsze oddziały i wykorzystują dość przemyślnie sposoby, by zabić jak najwięcej żołnierzy Trin. Kto by pomyślał, że książę Hadiermo ma taką smykałkę do wojaczki? Zawsze miałem go trochę za idiotę.

Ale Krawcowa spodziewała się, że siły Hadiermo poniosą klęskę...

– Wątpię, żeby to był jego plan – powiedziałem po chwili. – Najprawdopodobniej Wielkie Płaszczce Krawcowej dowodzą teraz tymi oddziałami.

Parrick zmarszczył brwi.

– Słyszałem plotki, że Krawcowa zorganizowała nowych Wielkich Płaszczy. Jacy oni są?

– Tacy jak ona – wskazałem na Darrianę. – Doskonali

wojownicy bez krztyny sumienia.

Darriana uśmiechnęła się.

– Och, Falcio, jeśli będziesz mi prawić takie komplementy, ludzie pomyślą sobie, że masz do mnie słabość.

Parrick spojrział na nią.

– Nie jestem pewien, co sądzić o nowych Wielkich Płaszczach. Czy Krawcowa uważała, że z z nami jest coś nie tak?

– Tylko tyle, że okazaliście się całkowicie nieprzydatni – odparła Darriana. – A zważywszy, że spędziłeś ostatnie pięć lat, chroniąc jednego z ludzi, którzy zabili twojego króla, myślę, że to i tak zbyt delikatne określenie.

Parrick wyglądał na dotkniętego i wiedziałem, iż chodzi o coś więcej niż oskarżenie o to, że zawiedliśmy króla – w ostateczności to akurat była nasza wina.

Ale rozmowa z nim w tym momencie, kiedy nie wystąpił i nie zrobił niczego z... Nie, jeszcze nie byłem gotowy, żeby się z tym rozprawić.

– Parricku, co dokładnie powiedział ci król Paelis? Jaki był jego ostatni rozkaz?

Parrick nie potrafił spojrzeć mi w oczy i nie winiłem go za to: przecież król rozkazał mu utrzymać ostatnią misję w tajemnicy, podobnie jak każdemu z nas.

– Daj spokój – powiedziałem. – Nie ma sensu dłużej dotrzymywać tajemnicy.

– Ale kiedy właśnie o to chodzi – odpowiedział Parrick. – Król kazał mi tylko wstąpić w szeregi rycerzy Rijou i strzec życia księcia. To wszystko. Nie wydał mi żadnych dodatkowych poleceń i kazał przysiąc, że zrobię to, choćby nie wiem co. Ja... niemal

złamałem moją obietnicę, Falcio, kiedy zobaczyłem cię tu... A potem, kiedy księżę pojechał do Pulnamu z pięcioma setkami ludzi, kazał mi zostać tutaj i utrzymać pokój. Inaczej naprawdę nie wiem, co bym zrobił.

– Na razie o tym zapomnij – poradziłem.

– Jesteśmy na miejscu – wskazał na wejście do sali tronowej pałacu Rijou. Mam nadzieję, że masz naprawdę dobry powód, dla którego tu jesteś i zmusiłeś mnie do wyjścia z ukrycia, bo jestem przekonany, że zostanę stracony za to, że wkradłem się w szeregi rycerzy Rijou.

– Tak się składa, że mam doskonały powód – oznajmiłem. – Przybyłem tu, aby ostrzec księcia Jillarda przed tym, że ktoś chce go zamordować.

Parrick stanął jak wryty i spojrzał na mnie, jakbym zupełnie nagi wszedł do sali balowej.

– Falcio... – odetchnął głęboko. – Święci! To wszystko, co masz? Ktoś już próbował zabić księcia. Schwytaliśmy drania trzy dni temu.

Spojrzałem na otaczających nas rycerzy i uśmiechającego się ironicznie Shiballe'a, a potem w głąb sali tronowej na człowieka, który przysiągł, że kiedyś doprowadzi do mojej śmierci, a teraz nie miał najmniejszego powodu, aby utrzymać mnie przy życiu.

Jillard, księżę Rijou był nie tyle przystojny, co zadbany. Jak większość bogatych arystokratów, mógł sobie pozwolić na utrzymywanie się w formie, ubieranie wedle najnowszej mody i posiadanie nienaganej fryzury. Dzięki dobremu golibrodzie

i najlepszym importowanym olejkom jego czarne włosy i krótka broda zawsze były wypielęgnowane. Tego dnia miał na sobie szatę w kolorze głębokiej purpury, przetykaną srebrem i złotem. Siedział na tronie Rijou, górując nad nami, jakby zaraz miał wydać wyrok. Pewnie zresztą tak było.

– No cóż, teraz, kiedy cię dostałem, Falcu val Mondzie, co mam z tobą zrobić? – bawił się jarmarcznym złoto-czerwonym pierścieniem, obracając go na palcu. Było to zaiste dziwne, niemal paranoiczne zachowanie człowieka, który mógł nas wszystkich pozbawić życia jednym gestem dłoni. – Nigdy nie jesteś sam, prawda? Zawsze przynosisz pod moje drzwi jakieś komplikacje – pochylił się do przodu i spojrzał na Valianę. – Widzę, że przywiozłeś ze sobą dziewczynę, którą Patriana usiłowała sprzedać wszystkim jako swoją córkę. Wyglądasz nader pospolicie w tym poszarpanym płaszczu, moja droga. Czy mam poprosić Shiballe’a, żeby przyniósł ci jakąś ładną sukienkę?

Valiana dygnęła oszczędnie.

– Czuję się bardziej komfortowo w tym ubraniu, Wasza Łaskawość.

– Wkrótce możesz uznać, że ów płaszcz poważnie ogranicza ruchy – powiedział Jillard.

– Wasza Łaskawość – odezwał się Parrick, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Błagam, wysłuchaj Falcia. On...

– Milcz, sir Jairnie, a raczej, jak to było? Parricku? Obojętne, kim jesteś, ocaliłeś mi życie i to niejedyn raz, ale teraz zmuszony jestem zastanawiać się, w jakim celu. Jeszcze oddychasz, ale tylko dlatego, że nie mogę się zdecydować, czy posłać cię pod topór jako zdrajcę, czy powiesić jak szpiega.

– Z całym szacunkiem, Wasza Łaskawość – wtrąciłem się. – Nie widzę powodu, dla którego miałbyś oskarżać Parricka o szpiegowanie.

– Nie? Shiballe powiada, że ukrywał się w przebraniu rycerza, tutaj, w moim domu, przez niemal pięć lat.

– Tak, Wasza Łaskawość, ale gwoli sprawiedliwości, król umarł, zanim Parrick się tu pojawił, a zatem nie miał dla kogo szpiegować, jeśli Wasza Łaskawość rozumie, co chcę przez to powiedzieć.

– Uważasz, że to najlepsza chwila, aby demonstrować swoją biegłość w sztuce konwersacji? – Jillard uśmiechnął się i nie był to przyjemny widok. Jednak dałbym głowę, że pod pewnym siebie uśmiezkiem dostrzegłem lekkie drgnienie, krótki przebłysk niepewności, może nawet strachu.

– Wasza Łaskawość – Shiballe wstał. – Przywołam gwardzistów i rozprawię się z tym zdrajcą.

– Na kolana – polecił ksiązę. – W tej chwili bardziej cię lubię, kiedy klęczysz, Shiballe’u. Nie jestem do końca pewny, za co ci płacę, ale wydawało mi się, że między innymi za wiedzę, iż jeden z moich kapitanów to w rzeczywistości trattari.

Obzarty robal ku mojej uciesze natychmiast pacnął na posadzkę.

– A teraz porozmawiajmy o tobie – ksiązę spojrział na Parricka. – Byłeś jednym z moich najlepszych rycerzy, przynajmniej jeszcze godzinę temu. Jednak bez względu na to, co dla mnie zrobiłeś w przeszłości, nie wiem, dlaczego powinienem ci zaufać teraz, kiedy wiem, że jesteś zdrajcą?

Twarz Parricka spochmurniała.

– Czy byłem zdrajcą, kiedy ocaliłem ci życie trzy lata temu, gdy

ambasador z Avares usiłował wbić nóż w twoje gardło? Czy byłem zdrajcą, kiedy uratowałem cię przed śmiertelnym upadkiem w kanionie, kiedy twój koń złamał nogę? – Parrick spojrzał na mnie z bolesnym poczuciem winy wypisanym na twarzy. – Czy byłem zdrajcą, kiedy stałem z boku i przyglądałem się, jak ty...

Jillard wstał gwałtownie z tronu.

– I przez cały czas robiłeś to wszystko z rozkazu martwego tyrana, nigdy zaś z poczucia lojalności wobec mnie!

Wspomnienie ostatniego pobytu w Rijou obudziło we mnie nagły gniew i tylko dłoń Kesta na moim ramieniu powstrzymywała mnie przed dobytciem rapierów. Jak Parrick mógł służyć człowiekowi pokroju Jillarda? Jak mógł stać u jego boku każdego dnia, gdy ten, dla kaprysu, wprowadzał w życie jedną potworność za drugą? Dlaczego król Paelis w ogóle wydał Parrickowi taki rozkaz? I w jaki sposób ten zdołał go wypełnić?

„A mimo to czyny Parricka są tym, co nas w tej chwili ocali”, zdałem sobie sprawę.

– Wasza Łaskawość – zacząłem. – Wierzę, że mogę podać ci ważny powód, dla którego powinieneś ufać Parrickowi.

Księżę usiadł z powrotem na tronie, nie spuszczając wzroku z aresztowanego kapitana.

– Doprawdy? Sądzisz, że akurat ty ze wszystkich ludzi na świecie, będziesz w stanie przekonać mnie o lojalności tego trattari?

– Podczas mojej ostatniej wizyty tutaj, w pałacu, wrzuciłeś mnie do lochów – zacząłem, uważnie dobierając słowa. – Kazałeś swoim ludziom mnie bić. Pozwoliłeś Patrianie... pozwoliłeś jej zrobić różne rzeczy mnie i Aline – spojrzałem na Parricka, prawie czując się

winy za to, co za chwilę miałem powiedzieć. Prawie. – Ty byłeś przy tym przez cały czas. Kiedy ludzie księcia zakuli mnie w kajdany i przywlekli tutaj, kiedy zabrali mnie do lochów i torturowali. Byłeś tu, w tym pałacu.

Twarz Parricka poszarzała.

– Na wszystkich świętych, Falcio, tak mi przykro. Wiem, że pewnie mnie za to nienawidzisz i wcale cię nie winię. Ale musisz mi uwierzyć: król kazał mi przysiąc... kazał mi przysiąc, że choćbym nie wiem co zobaczył, bez względu na to, co robi książę... Falcio, ja nigdy bym...

Uciszyłem go wzrokiem. Nie byłem jeszcze gotów mu wybaczyć. Jeszcze nie.

– Gdyby ten człowiek miał cię zdradzić, książę Jillardzie, z całą pewnością zrobiłby to wtedy, nie sądzisz?

Jillard zamieszał wino w pucharze, jakby usiłował znaleźć odpowiedź na jego dnie.

– Przypuszczam, że masz rację – powiedział wreszcie. – Zdradziło mnie wielu ludzi, włączając w to mojego własnego kata – pochylił się ku mnie. – Złapaliśmy go następnego dnia, wiesz?

– Kat nie miał nic wspólnego z moją ucieczką – powiedziałem zbyt szybko, żeby moje słowa zabrzmiały przekonująco.

– Otworzył drzwi i wypuścił cię! – zauważył książę. – Do tego się akurat przyznał. Potem już tylko powtarzał królewskie prawa... i, tak przy okazji, żadnego nie wygłosił poprawnie. Powiedział mi to w twarz z dumą. Oczywiście kiedy zaczęliśmy go przypiekać, stracił wiele z tej swojej godności.

– Pod koniec wciąż wykrzykiwał twoje imię – dodał Shiballe za moimi plecami, jakby wyczuwając okazję powrotu do książęcych

łask. – Wyobrażam sobie, że wielu innych czyniło podobnie w ciągu ostatnich lat.

– Falcio – ostrzegł Kest.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, chociaż wcale nie była to prawda, ponieważ moja dłoń przesunęła się znów bliżej rękojeści rapiera. – To głupie, Wasza Łaskawość, że bawisz się w małostkowe rewanżystowskie gierki, kiedy wokół ciebie rozpada się cały kraj.

– Mój kat mnie zdradził! – Jillard walnął ręką o podłokietnik tronu. Szybko odzyskał równowagę i spojrzał na Parricka. – Ale nie ty. Ty mogłeś uwolnić tego trattari, gdybyś tak postanowił. W zasadzie byłaby to dla ciebie łatwa misja i nikt nie przyłapałby cię na gorącym uczynku.

Parrick wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować.

– No dobrze – powiedział wreszcie księżę, ciągle obracając pierścień na palcu. – Przyznaję, że mam jakiś drobny powód, by ufać Parrickowi, ale ty, Falcu val Mondzie? Dlaczego miałbym wierzyć tobie? Zwróciłeś mi wolność po tym, jak moi ludzie zawiedli mnie w Pulnamie, ale z twojej strony był to jedynie wymuszony manewr polityczny. Nie stawia nas to po tej samej stronie.

Czekałem na te słowa. Spojrzałem na Wielkie Płaszcze, stare i nowe, z nadzieją, że oto za chwilę nie skażę ich na pogrzebanie pod kamiennymi podłogami pałacu Jillarda.

– Nie jestem po twojej stronie, Wasza Łaskawość. Jak mógłbym? Jesteś potworem. Rozkazałeś zamordować rodzinę Tiarenów i niezliczone inne rody, i to głównie z wymyślonych powodów. Wysłałeś za mną wszelkich możliwych zabójców. Gorzej, poleciałeś im zabić królewskiego dziedzica. Nawet kiedy przegrałeś

Ganath Kalila, usiłowałaś złamać swoje własne prawa, byle tylko odebrać życie Aline. Jesteś gadem, książe Jillardzie, i zamierzam zrobić, co w mojej mocy, aby zobaczyć twoją głowę oddzieloną od reszty ciała.

Książę wydawał się lekko zaniepokojony.

– W takim razie to upraszcza sprawy...

– Ale nie teraz i nie dzisiaj – ciągnąłem dalej. – Twoja śmierć byłaby kroplą przepełniającą czarę. Nasz kraj rozpadłby się bezpowrotnie. Jeżeli ktoś, kto zamordował księcia Isaulta i Roseta, dotrze do ciebie, wtedy wojna domowa i twoja ukochana córka Trin doprowadzą nas do wrót tysiąca piekieł, które dla nas przygotowała.

Jillard roześmiał się, tym razem szczerze.

– Trin? To dlatego klęczysz teraz przede mną? Zadziwiasz mnie, trattari, naprawdę. Trin ma armie swojej matki oraz niewielką część jej sprytu. Niewątpliwie będzie chciała nadal się zabawiać, biegając po całej północnej Tristii, udając wodza – nachylił się ku nam. – Ale jeśli kiedykolwiek odważy się ze swoimi ludźmi przekroczyć granicę Rijou, moi żołnierze okażą jej uprzejmość, którą sam powinienem zademonstrować jej nieopłakiwanej matce dawno temu – dodał gładko.

– Przemawiasz dość śmiało jak na człowieka, który właśnie stracił swojego dowódcę i dwie setki rycerzy, Wasza Łaskawość – włączył się do rozmowy Kest. – Kto teraz poprowadzi twoich żołnierzy do ataku, kiedy pojawi się Trin ze swym wojskiem? – spytał z autentycznym zainteresowaniem.

– Zajmowanie się drobnymi zradami jest ceną zasiadania na tronie – odchylił się i machnął dłonią w powietrzu. – Poza tym

rozwiązałeś ten problem za mnie. Ty i twój przyjaciel trattari.

– W jaki sposób?

– Czy jedna z Wielkich Płaszczy, Winnow, o ile się nie mylę, nie zamordowała przypadkiem księcia Aramoru? Isaultowi nigdy nie podobał się mój pomysł wysłania połączonych sił do strzeżenia granic, ale ten nowy lord protektor, sir Shuran? Będzie potrzebował mojego wsparcia, jeżeli chce mieć jakąkolwiek szansę, żeby powstrzymać szlachtę, która nawet teraz spiskuje, aby podzielić Aramor na drobne splachetki, wystarczająco duże, by mogli sobie w nich spokojnie rządzić. Już wysłałem poselstwo, ma wynegocjować z Shuranem tysiąc jego najlepszych rycerzy.

Aroganckiemu tonowi Jillarda brakowało pewności siebie. Coś się skrywało pod tymi przechwałkami.

– Wydaje się, że pomyślałeś o wszystkim – powiedziałem. – Dlaczego więc jesteś taki przestraszony, Wasza Łaskawość?

– Przestraszony? Sądzisz, że się boję, trattari? – roześmiał się. – Czego mam się bać? Zabójcy? Moi rycerze, włączając w to sir Jairna... wybacz, rzecz jasna miałem na myśli Wielkiego Płaszczę Parricka, schwytali już asasyna. Oczywiście przyznam, że to nieco przerażające dowiedzieć się, iż moje stosunki z dashinimi nieco się pogorszyły od czasu, kiedy posłałem dwóch z nich na śmierć, kazać im ścigać ciebie.

Spojrzałem na Parricka.

– Schwytałeś asasyna dashinich? Żywego? Jak?

– Dzięki ogromnemu łutowi szczęścia i poświęceniu życia dziesięciu rycerzy. To ciężar ich martwych ciał, a wszyscy mieli na sobie pełne zbroje, piętrzących się nad nim unieruchomił go na tyle długo, że mogłem pozbawić go przytomności. Walnąłem go głowicą

miecza w łeb – dodał, widząc moje sceptyczne spojrzenie.

– I trzymasz go teraz w lochu, prawda?

– Oczywiście – odparł Shiballe. – Czyli dokładnie tam, gdzie wy wkrótce...

„Mam cię, ty zarozumiały sukinsynu”.

– Nie sądzę – odparłem.

– Co masz na myśli? – spytał Jillard.

Fakt, że w ogóle zadał to pytanie, potwierdził, iż mam rację.

– Jeżeli schwytałście asasyna i wszystko jest w porządku, w takim razie dlaczego nie aresztowaliście nas od razu? Po co zadawać sobie trud z tymi szaradami? Myślę, że to z powodu twojego strachu, Wasza Łaskawość. Myślę, że zdajesz sobie sprawę, iż wkrótce nastąpi kolejny atak na ciebie.

Jillard wstał z tronu i spojrzał na Shiballe'a, nim przeniósł wzrok na mnie.

– W takim razie może mi powiesz, jak owi asasyni planują mnie zabić, skoro jeden z nich już zawiódł? Rozejrzyj się, Falcju val Mondzie. Władam najbardziej strzeżonym i ufortyfikowanym miastem na świecie. Jesteśmy w pałacu, który zdołałby powstrzymać armię. Pięć tysięcy żołnierzy mogłoby urządzić oblężenie mojego domu i odeszliby z niczym, poza pustymi żołądkami.

Oczywiście miał rację. Ze wszystkich książąt Tristii Jillarda byłoby najtrudniej zlikwidować. Jeżeli jednak plan polegał na rozpętaniu w kraju chaosu, to książę Rijou musiał być kolejnym celem. Jeżeli zaś ktoś pragnął jego śmierci, nie poprzestanie na wysłaniu jednego asasyna. Przez całą drogę z Garniol zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób mordercy dostaliby się do niego, i była

tylko jedna sensowna odpowiedź.

– Twój syn, Tommer – powiedziałem. – Znajdą sposób, aby go porwać, a potem zmuszą cię, abyś po niego przyjechał. Kiedy to zrobisz, zabiją cię.

Nagle twarz księcia ściągnęła się i dostrzegłem wyraźnie jego napięcie. I jeszcze coś: rozpacz.

„Ukrywa coś... To już się stało”.

– A skoro jesteśmy przy Tommerze... – powiedział księżę z wyraźnie dla mnie udawaną nonszalancją. – W twoim wyssanym z palca scenariuszu porwania, co się stanie z Tommerem, kiedy już oddam się w ich ręce?

Pomyślałem o rodzinie Isaulta: jego żonie, dwóch synach i małej córeczce, która malowała szczeniaki w nadziei, że ojciec jednego jej podaruje.

– Przykro mi, Wasza Łaskawość, ale jego również zabiją. Jeżeli mam rację, a wiem, że możesz nie chcieć mi uwierzyć...

– Wierzę ci – powiedział Jillard głosem tak cichym, że ledwie głośniejszym od szeptu. – Wierzę we wszystko – zgarbił się i skurczył, jakby uszło z niego całe powietrze. Zupełnie jakbym miał przed sobą aktora, który zszedł właśnie ze sceny, zbyt zmęczony, aby nadal odgrywać swoją rolę.

– Tommer został już porwany, prawda?

I znów Jillard spojrzał na Shiballe'a, zanim przeniósł wzrok na mnie.

– Tak, niech cię licho! Przyczyną, dla której ci wierzę, i jedynym powodem, dla którego jeszcze nie zawisłeś na gałęzi jabłoni pod moimi oknami, jest to, że dwa dni temu mój syn, jedyna osoba, którą kocham na tym świecie, został porwany.

Parrick poczerwieniał tak bardzo, że przez chwilę wydawało mi się, iż rzuci się na Jillarda z pięściami.

– Dlaczego rycerze nie zostali o tym poinformowani? – zapytał gniewnie. – Powinniśmy rozpocząć poszukiwania! To jedenastoletni chłopiec, do cholery! Nie umie...

– Nie poinformowaliśmy cię, ponieważ wiemy dokładnie, gdzie się znajduje – powiedział Jillard.

– Gdzie? – spytał Parrick. – Zbiorę zaraz moich ludzi...

– W tej właśnie chwili Tommer siedzi pięćdziesiąt stóp pod nami z ostrzem asasyna na gardle.

– Jest tutaj? – spytałem. – W twoich własnych lochach? Ale jak...

– Tommer powiedział, że chce zobaczyć asasyna dashini na własne oczy. Słyszał opowieści o nich i oczywiście dla niego byłoby wielką przygodą zobaczyć jednego z nich na własne oczy. Ja, rzecz jasna, się nie zgodziłem. Istnieją jedynie dwa klucze do najgłębszych lochów pałacu. Jeden z nich ma strażnik, drugi zaś spoczywa w zabezpieczonym kuferku w moich prywatnych komnatach. Tommer zakradł się tam i zabrał mój klucz.

– A co z jego strażnikami? – Parrick wydawał się absolutnie rozwścieczony. – Przecież powinni byli mu towarzyszyć przez cały czas...

– Owszem. Przekonał ich, żeby do niego dołączyli, dla ochrony. To dobry chłopiec, ale nie zawsze posłuszny – głos księcia załamał się i zdałem sobie sprawę, że bardzo cierpi. Pomimo mojej antypatii do Jillarda wierzyłem, że Tommer był jedyną osobą, o którą rzeczywiście się troszczył.

Przypomniałem sobie również, jak odbiło się nieposłuszeństwo

chłopca na Balu Armidorze, trubadurze, którego kochał. Czy rzeczywiście był aż tak bezduszny, by ryzykować życie swoich rycerzy, znając koszt niezadowolenia swojego ojca?

– Ci przekłęci głupcy – powiedział Parrick. Wychłostam ich do żywego mięsa, kiedy... – spojrzał na Jillarda, potem na mnie, a wreszcie wbił wzrok w podłogę, zdając sobie sprawę, jak dziwny mógł się w tej chwili wydać ten jego wybuch.

– Wierzę, że już zdążyli zdać sobie sprawę ze swojego błędu – odparł Jillard.

– Co się wydarzyło? – spytałem.

– Asasyn obezwładnił rycerzy, oprawców oraz strażników z dolnego więzienia. Sądząc po dochodzącym stamtąd zapachu, zabił większość z nich. Raz na dzień wysyła zakrwawionego sir Toujeana, aby ten przekazał mi żądania zabójcy. Sir Toujean nie jest w stanie pozostać z nami na dłużej ze względu na bardzo długą linę zawiązaną na jego szyi.

– A jakie są żądania asasyna?

– Powinienem raczej powiedzieć „żądanie”. Jedno. Chce, żebym się oddał w jego ręce.

– I to wszystko? Kiedy?

– W odpowiednim dla mnie czasie – Jillard wyglądał na ogarniętego bólem. – Powiedział, że Tommer... że mój syn wytrzyma jeszcze kilka dni.

– Dlaczego nie kazałeś swoim ludziom włamać się do niższych lochów?

– Cóż, trattari, poza tym, że asasyn zagroził mi, iż zabije Tommera, jeśli tego spróbuję, nie możemy się tam dostać. Podczas naszego ostatniego spotkania powiedziałem ci chyba, że mój pałac

jest najbezpieczniejszą budowlą w całej Tristii. Jego lochy są dość... rozległe. Grube na pięć stóp mury zbudowano z litego kamienia, a jedyne drzwi, dwie stopy hartowanego żelaza, są dodatkowo wzmocnione przez kraty osadzone głęboko w skale nad i pod nimi. Istnieją tylko dwa klucze i oba są w tej chwili w posiadaniu asasyna. Niższe więzienie zostało zaprojektowane z myślą o tym, aby uniemożliwić z niego ucieczkę. Okazuje się, że stworzyliśmy przy okazji miejsce nie do zdobycia.

CZARNE DRZWI

W książęcym pałacu Rijou najbardziej nienawidzę oczywiście jego właściciela. Ale architekt zajmuje zdecydowanie drugie miejsce, podobnie jak ludzie, którzy przez ostatnie dwieście lat dodawali swoje ulepszenia do oryginalnego projektu. Ich błyskotliwe pomysły, jak uczynić z pałacu idealną alegorię władzy książęcej: od ogromnej trypoziomowej sali balowej, sprytnie zaprojektowanej tak, aby zaproszeni goście czuli się coraz gorsi i mniej ważni, w miarę jak byli „odsyłani” na niższe poziomy, po komnaty i korytarze, które zwężały się i obniżały im dalej znajdowały się od prywatnych pokoi księcia. Wszystkie drzwi i pomieszczenia były zaprojektowane tak, by przypominać ludziom o ich pozycji. Najbardziej podobał mi się pomysł, by pozbawione zamków drzwi do kredensów z jedzeniem umieścić na pierwszym piętrze pałacu, tam, gdzie mieszka większość służby. Po co kusić źle traktowane pokojówki i lokajów za pomocą smakołyków, na widok których cieknie ślinka i które tak łatwo skraść? Ponieważ żaden służący Jillarda nigdy nie byłby na tyle zdesperowany lub głupi, aby zaryzykować konsekwencje takiego czynu. Nie wtedy, gdy na końcu

korytarza widnieje przypomnienie o tym, jak mądra jest powściągliwość – przypomnienie w postaci ogromnych żelaznych drzwi, za którymi znajdują się dwudziestostopowe schody prowadzące w dół, do rozległych lochów. A gdyby to nie wystarczyło, aby utrzymać w ryzach źle opłacaną i byle jak żywioną służbę, z podziemnych kwater dobiegały do pokoi na pierwszym piętrze dźwięki, które stanowiły za dnia i w nocy przestrożę przed tym, co się stanie, jeżeli ktoś przyłapie ich na kradzieży.

Rijou vae aurut et phaba, jak mówi stare przysłowie. „Rijou żywi się pieniędzmi i strachem”.

Gdzieś około północy nasza ósemka zeszła w dół owymi schodami. Ponieważ miałem ze sobą Kesta, Darri i Valianę, Jillard nalegał na równie liczną asystę w postaci Shiballe’a oraz dwóch rycerzy, z których jednym był Parrick. Wydało mi się to jednocześnie dziwne i trochę smutne: przy całym swoim bogactwie i władzy Jillard nie miał przy sobie człowieka bardziej zaufanego niż ten, który oszukiwał go przez ostatnie pięć lat. Z drugiej strony mieszkańcy Rijou zawsze byli pragmatyczni. Oczywiście było, że Jillard zawdzięczał Parrickowi życie, i to nie jeden raz.

Parrick zdążył już zdjąć zbroję i przywdział wielki płaszcz. Kiedy obaj z Jillardem spoglądaliśmy na niego, zdałem sobie sprawę, że żaden z nas nie jest zadowolony z tego faktu.

– To mój płaszcz, do licha – powiedział Parrick. – Zasłużyłem na niego po dwakroć i jeśli ktoś się z tym nie zgadza, może spróbować mi go odebrać.

Książę i ja spojrzeliśmy na siebie ukradkiem.

– Noś, co chcesz – powiedział wreszcie Jillard. – Tylko uratuj mi syna.

Towarzyszający nam sir Istan – zniewieściały rycerz o szaropopielatych włosach – był kolejną osobą, której Shiballe okazał zaufanie, powierzając informację o porwaniu syna. Domyślałem się, że to może z powodu młodego wieku sir Istana, najpewniej nieposiadającego jeszcze żadnych ambitnych sojuszników. Nerwowy młodzieniec schodził powoli, pobrzękując zbroją przy każdym kroku i sprawiając wrażenie, jakby nie spodziewał się powrotu z lochów. Nie tak dawno spędziłem pięć dni na łasce Jillarda (czy to naprawdę było tylko pięć dni?) i całkowicie rozumiałem jego obawy.

„Co, jeśli to wszystko jest jakimś diabelskim podstępem”, pomyślałem. „Morderstwa, historia o asasynie – co, jeżeli to zwykły fortel, żeby ściągnąć mnie do tego przedsionka piekła, stworzonego przez Jillarda?” Nie, na pewno nie. Nawet jak na mnie była to zbyt daleko posunięta paranoja... a mimo to doskonale zdawałem sobie sprawę, że ludzie, którzy dzierżą władzę w Rijou, byli zdolni podpalić cały świat z powodu małostkowych ambicji.

„Prawdopodobnie, tak czy owak, wkrótce się o tym przekonam”, pomyślałem, gdy Shiballe gestem zatrzymał nas wszystkich u podnóża schodów.

– Przejdziemy tym głównym korytarzem – zaanonsował piskliwym, władczym tonem, wskazując przed siebie. – Potem skręcimy w mniejszy, który doprowadzi nas do drzwi z czarnego żelaza. Za nimi są schody na niższy poziom. Czarne drzwi to jedyne wejście. Jak to już wyraźnie oznajmił książę Jillard, nie można ich sforsować – spojrzał na mnie, nie ukrywając głębokiej awersji.

– Dlatego sądzę, że przyszedł właściwy moment, aby zapytać: w jaki właściwie sposób planujesz przedostać się przez te drzwi?

Oczywiście nie miałem pojęcia, ale wiedziałem, że jeśli nie zdołam znaleźć sposobu dotarcia do niższych lochów, Tommer umrze, a wkrótce po nim również Jillard. Kiedy zaś linia książąt Rijou zostanie wymazana z powierzchni ziemi, księstwo rozpadnie się, i zanim zorientujemy się, co się stało, Tristia wpadnie w wir chaosu i wojny domowej.

– Och, to proste – odparłem. – Zamierzam zapukać.

Shiballe parsknął śmiechem i poprowadził nas szerokim kamiennym korytarzem, który był główną drogą prowadzącą przez pierwszy poziom lochów. Odchodziły od niego węższe korytarze oświetlane przez małe mosiężne kaganki zwisające z sufitu.

– Ile jest tu cel? – spytała Darriana, zaglądając w jeden z korytarzy.

– Na tym poziomie? Sto. Każda z nich może pomieścić od trzech do dziesięciu więźniów, w zależności od tego, jaką wygodę chcemy im zapewnić.

– Możecie tu więzić tysiąc osób? – spytała z niedowierzaniem. – Z jakiego powodu mielibyście kiedykolwiek zamknąć aż tylu ludzi?

Shiballe spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Powstanie.

Odgłosy naszych kroków odbijały się echem w korytarzach. Słyszałem, że więźniowie zaczynają się poruszać w swoich celach i wołać natarczywie:

– Błagam, panowie, musiała zajść jakaś pomyłka! Ja nigdy nie chciałem... – pierwszy głos przepadł, natychmiast zagłuszony następnym i następnym.

– Ilu macie tu w tej chwili ludzi? – spytał Kest księcia.

– Niewielu. Mniej niż pięćdziesięciu, i może dwadzieścia kobiet

oraz pięcioro czy sześcioro dzieci.

– Trzymacie w lochach dzieci? – Valiana wyraźnie była gotowa dobyć miecza tu i teraz.

Książę Jillard spojrział na nią z miną wyrażającą mieszaninę rozbawienia i autentycznego niezrozumienia.

– Wydawało się, że rozdzielenie ich z rodzicami będzie zbytnim okrucieństwem.

Zwolniłem i Kest zrównał się ze mną bez słowa. Machnąłem na pozostałych, żeby szli dalej, a kiedy nas wyprzedzili, spojrzałem na Kesta.

– Jeżeli uda się nam wydostać stąd Tommera całego i zdrowego i w jakiś sposób zapobiec wojnie domowej, powstrzymać Trin przed objęciem tronu, a na dodatek jeżeli jakimś niesamowitym cudem nie umrę wkrótce... jeżeli wszystko to się uda, Kest, wrócimy tu razem i zburzymy to miejsce, by nie został kamień na kamieniu.

Kest rozejrzał się po ścianach, suficie i podłodze.

– Wygląda, jakby wykuto je w litej skale, Falcio. Tak tylko mówię, bo może się to okazać trochę trudne.

Wyciągnąłem jeden z noży i wyryłem krechę na jednej ze ścian.

– Znajdziemy sposób.

– Pierwsze prawo mówi, że ludzie są wolni – zacytował Kest. – Czy to dotyczy również kryminalistów?

– Nie – odpowiedziałem. – Ale wiedząc to, co wiem o Jillardzie, a jakkolwiek mało wiem, to wciąż wiem zdecydowanie za dużo, podejrzewam, że mamy tu mnóstwo ludzi, których kara nie przystaje do ich winy.

– Pierwsze prawo mówi, że ludzie są wolni – odezwał się ktoś cichym, chropawym głosem. Rozejrzałem się dookoła, usiłując

odkryć, skąd dochodzi ten głos.

– Chodźmy – powiedział Kest. – Ktoś powtarza tylko to, co powiedziałem.

– Pierwsze prawo mówi, że ludzie są wolni – zaśpiewał ktoś, fałszując. – Bo bez wolności wyboru... nie mogą służyć sercu. Nie mogą służyć bogom. Nie mogą służyć królom. Jebać królów. Nie mogą służyć sercu. Serce się liczy. Bogowie... Bogowie się nie liczą. Tylko serce. Człowiek musi być wolny.

Oczy zrobiły mi się wielkie jak spodki. Znałem ten głos. „Wołał cię dość często pod sam koniec”, powiedział Shiballe. Kłamliwy mały potwór.

Ruszyłem korytarzem, krzycząc:

– Kest, pomóż mi odnaleźć ten głos.

Pobiegliśmy wzdłuż wąskich bocznych korytarzy, mijając małe i większe cele. Niektóre wypełniono wymyślnymi narzędziami tortur, wyposażonymi w kolce, śruby, skórzane pasy... Wszędzie śmierdziało gównem, szczynami i ludzkim cierpieniem. Echo dochodziło nas ze wszystkich stron.

– Kogo szukamy?

– Brzydkiego małpoluda z ciemnoszarymi włosami przyszyronymi krótko przy skórze. Idź za głosem.

– Czwarte prawo mówi, że dzieci nie wolno krzywdzić – na poły zaśpiewał, na poły wymruczał głos. – Dziecko jest za małe, za głupie, nie rozumie. Nie można wtrącać dzieci do więzienia. Nie można nakładać na dzieci grzywny. Nie można krzywdzić dziecka. Czwarte prawo mówi...

– Falcio! – usłyszałem krzyk Kesta.

Wychynął z przejścia i machał, żeby przyciągnąć moją uwagę.

Dobiegłem do niego. Stał przy celi o wielkości może siedmiu stóp kwadratowych, oddzielonej od korytarza grubymi żelaznymi prętami. Między nimi znajdowały się małe żelazne drzwi, prawdopodobnie umożliwiające wchodzenie i wychodzenie strażnikom. W środku, przykuty łańcuchami do ściany, klęczał mężczyzna o bladej, dziobatej cerze, z małymi oczami i mięsistymi wargami. Jego wielkie dłonie były przypięte wysoko, uniemożliwiając mu siedzenie. Pamiętałem te dłonie, grube palce, twarde kłykcie, które uderzyły mnie tyle razy, że wątpiłem, iż pozostało w nich jeszcze jakieś czucie. Te dłonie biły mnie do krwi godzina po godzinie, dzień po dniu, kiedy byłem więźniem Jillarda – ale te same dłonie podniosły mnie z podłogi mojej celi i zanosły korytarzem i schodami w górę, oswobadzając z lochów. Ten człowiek, którego imienia nie znałem, był moim katem i wybawcą. Zwałem go Auciem.

– Piąte prawo mówi... jebane cholerstwo! Co mówi piąte prawo? Dobra, zaraz. Pierwsze prawo mówi, że ludzie są wolni. Jeśli człowiek nie jest wolny, to jak człowiek ma służyć sercu? Jak może...

– Auć! – zawołałem i ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że głos mi drży.

Spojrzał na mnie i powoli jego wzrok zaczął się koncentrować.

– Kto ty? Przyszedłeś znów bić, tak? Dobra, dobra. Chodź, bij mnie. Połam sobie ręce, jebana panienko.

– Auć, to ja... Falcio.

I znów usiłował wpatrzeć się we mnie.

– Co za Falcio? – spojrzał na moje okrycie. – Wielki Płaszcz. Jebany Wielki Płaszcz, co? Wróciłeś tu, głupi skurwielu? Twardy

gość, twardy jak ten jebany zwariowany koń. Marnuję dla ciebie życie, a ty, zwariowany skurwielu, tu znów wracasz? Powinienem uwolnić jebanego konia zamiast ciebie.

– Jestem wolny, Auć. Spójrz – uniosłem ramiona, żeby zobaczyć, że nie jestem skuty kajdanami. – Nie jestem tu więźniem. Ale co ty, do wszystkich diabłów, tutaj robisz?

– Złapali mnie jacyś jebani rycerze, przyprowadzili z powrotem. Prawo kata stanowi, że nie powinien wypuścić głupiego Wielkiego Płaszcz. Jak pierwsze prawo króla, tylko odwrotnie, co nie? – roześmiał się chrapliwie.

– Falcio, ktoś nadchodzi – ostrzegł Kest.

Spojrzałem na Aucia przykutego do ściany łańcuchami. Teraz już się skoncentrował. Jego małe oczka umieszczone na szerokiej twarzy spoglądały na mnie.

– Wrócę tu – obiecałem. – Wydostanę cię stąd. Obiecuję.

– Obiecujesz? Jebany Wielki Płaszcz. Zawsze obiecujesz. Gównno, wszystko gównno. Wróc, nie wracaj, wszystko jedno. Tylko...

– Tylko co?

– Przypomnij mi królewskie piąte prawo. Zapominam. Zawsze zapominam.

Chwyciłem żelazne pręty jego celi. Auć słyszał mnie powtarzającego królewskie prawa raz po raz, podczas mojego uwięzienia tutaj: to dzięki nim nie oszalałem w trakcie tej mordęgi. Te same prawa w jakiś sposób, wbrew wszelkiej logice, zmieniły serce kata.

– Piąte prawo mówi, że żaden człowiek nie może być ukarany niesprawiedliwie, bez udowodnienia mu wpierw, iż jest winny przestępstwa, które uzasadnia takową karę – powiedziałem

cicho. – Żaden człowiek nie powinien być torturowany – dodałem głośniej.

Auc uśmiechnął się.

– Ach, tak. Piąte prawo: nie wolno torturować. Teraz pamiętam. Zabawne, to jedno zawsze zapominam.

– Wrócę po ciebie – obiecałem.

– Dobra, dobra, wrócisz. Głupi jebany twardy gość, Wielki Płaszcz. Pewnie wrócisz w kajdanach, co?

Pobiegliśmy z Kestem do naszej grupy, czekającej już na końcu szerokiego korytarza.

– Spotkaliście kogoś znajomego? – spytał Shiballe z ironicznym uśmiechem.

Bardzo, ale to bardzo chciałem go pobić do utraty przytomności, lecz jego okrucieństwo było jedynie kolejnym niepotrzebnym elementem rozpraszać uwagę – jednym z tuzina, które stały między mną i architektem całego tego chaosu.

– Zabierz nas do drzwi – powiedziałem.

Shiballe poprowadził wąskim przejściem, które ciągnęło się niemal przez sto stóp, zanim napotkaliśmy drzwi z czarnego żelaza. Może i były grube na dwie stopy, ale nie wyższe niż sześć stóp. Ktoś tak wysoki, jak Parrick musiałby się pochylić, przekraczając ich próg. Zapewne ważyły przynajmniej tonę. Były w nich trzy szpary, każda wysokości około sześciu cali i szerokości dwóch, znajdujące się mniej więcej jedną stopę od górnej krawędzi. Widziałem przez nie topornie wyciosane schody, które zapewne prowadziły w głąbiny drugiego poziomu więzienia. Dostrzegłem również

niezwykłą grubość samych drzwi. Było jasne, że przedarcie się przez nie miało równie wielkie szanse powodzenia, co uniesienie całego pałacu z ziemi siłą woli.

Sir Istan przycisnął twarz do szpar.

– To jakby... gardziel jakiejś starodawnej kreatury. Skała korytarza jest czarna i czerwona, niczym wnętrzości...

– To wystarczy, sir Istanie – uciszył go książę i spojrzał na mnie. – No dobrze, jesteśmy tu i zobaczyłeś drzwi na własne oczy. Masz jakiś plan?

Obejrzałem je uważnie, od powierzchni do brzegów, które stykały się z kamiennymi ścianami.

– Nie ma tu żadnych zawiasów – powiedziałem. – Jak się otwierają?

– Jest tu pręt gruby na sześć cali, który przechodzi pionowo przez lewą stronę drzwi i jest wpuszczony w skałę sufitu i podłogi. Działa jak zawias. Kiedy drzwi zostają otwarte, przesuwają się na tym pręcie.

Spojrzałem tam, gdzie miał przebiegać ów dziwny zawias, ale nie dostrzegłem niczego. Tak czy owak, wątpiłem, żeby był to słaby punkt drzwi. Skała nad nimi była poszarpana i miejscami odłupana, ale wszystko było wykute w litej skale, nie zaś sklepienie z kilku kamieni, które można by poluzować.

– Dlaczego nie użyjemy tarana? – spytała Darriana. – Potrafią przecież rozwalać mury obronne.

– I w tym właśnie sedno – powiedział Jillard. – Same drzwi są wytrzymalsze niż skała. Nawet jeśli użyjemy najmocniejszego tarana, o ile w ogóle będziemy go mogli przytaszczyć tym przejściem, jeżeli nawet zgromadzimy tu wystarczająco wielu

mężczyzn silnych na tyle, by go udźwignąć, upłyną całe dni, zanim drzwi zaczną nosić ślady jakiegokolwiek uszkodzenia. W tym czasie taranowanie naruszyłoby sklepienie i fragmenty skał pogrzebałyby tu wszystkich, zamykając korytarz na zawsze i pozostawiając mojego syna uwięzionego po drugiej stronie.

– Wyważcie zamek – powiedziałem. – Jest wielu ludzi, którzy specjalizują się w otwieraniu nawet najbardziej wymyślnych zamków, i wyobrażam sobie, że zwłaszcza w Rijou ich nie brakuje.

– Ten zamek jest nadzwyczaj skomplikowany. Jeżeli mielibyśmy choć rysunek klucza, zapewne byłoby możliwe, aby jeden z owych „specjalistów” zdołał opracować sposób jego otwarcia. Ale nie mamy.

Spojrzałem na zamek. Z wyglądu nie różnił się zbyt od innych, które widziałem.

– Jeżeli mi nie wierzysz, możesz skonsultować się z jednym z owych „specjalistów”. Minęliśmy ich znaczącą liczbę podczas naszej wędrówki przez lochy.

– Uwięziłeś ich? – spytał Kest.

– Zawiedli mnie. Poza tym, jeśli rzeczywiście są tak utalentowanymi mistrzami w swym fachu, powinni znaleźć sposób, żeby wydostać się z celi.

– Nie rozumiem – powiedziała Valiana. – Co się stanie, jeżeli strażnik pilnujący drzwi zgubi klucz? Przychodzi do ciebie, budzi cię i pyta, czy może pożyczyć klucz, aby zajrzeć do swoich podopiecznych w lochach?

– Jeżeli strażnik zgubi klucz – odparł Jillard – traci jednocześnie życie. Wieszamy go przy drzwiach na kilka tygodni. Pomaga to jego następcom zachować dużo większą rozwagę.

– Z całą pewnością wiesz, jak budzić w ludziach lojalność – powiedziałem.

– Wiem, jak utrzymać dyscyplinę.

– Zaczekaj chwilę – przerwała Darriana, ignorując wzburzenie księcia. – Jeżeli ukarałeś strażnika za utratę klucza, czy nie znaczy to, że gdzieś tam jest jeszcze jeden?

– Nie – odparł. – Za każdym razem, gdy ktoś zgubił klucz, inni strażnicy musieli albo go odnaleźć, albo też podzielić los ich kolegi. Zabawne, ale za każdym razem klucz nader szybko się odnajdywał.

„Wszyscy święci! Jakim cudem człowiek taki jak Jillard utrzymuje się przy władzy, nawet w miejscu tak zdeprawowanym, jak Rijou?”

– Trudno sobie wyobrazić, dlaczego twój dowódca opuścił cię wraz z dwustoma podwładnymi – powiedziałem, zastanawiając się, jak jego strażnicy radzą sobie z nieustanną groźbą, iż jeden mały błąd, drobny niefart w postaci zerwanego ogniwa łańcuszka, na którym wiszą klucze, może zakończyć się nie tylko śmiercią ich samych, lecz także towarzyszy.

– A co z kwasem? – spytała Valiana. – Księżna Patriana знаła wiele...

Jillard uniósł dłoń.

– Zdaję sobie sprawę z eksperymentów Patriany w tej dziedzinie i masz rację, taka technika mogłaby zadziałać. Jednak minęłyby całe tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim kwas by zadziałał, przeżerając się przez zewnętrzną powierzchnię drzwi, nie wspominając nawet o prętach wpuszczonych w skałę.

– Cóż, to pozostawia tylko jeden sposób dostania się do środka – oznajmiłem.

Jillard spojrzał mi w oczy złowrogo.

„Gap się na mnie, ile chcesz, ty nędzny draniu”, pomyślałem. „To ty pozwoliłeś, żeby twój syn został zakładnikiem”.

Książę wreszcie spuścił wzrok i odsunął się od drzwi.

– Dobrze zatem. Zrób to.

Podszedłem bliżej, wyciągnąłem rękę i zastukałem.

Dźwięk rozległ się echem wzdłuż kamiennego korytarza, a także schodami w dół po drugiej stronie. Po kilku chwilach zastukałem jeszcze raz i jeszcze raz.

Cała nasza ósemka stała tu, w wąskim kamiennym korytarzu, wyczekując na odpowiedź. Z każdą mijającą minutą twarz Jillarda robiła się coraz bledsza. „On naprawdę kocha Tommera”, pomyślałem. „Jest potworem i tyranem, a jednak jego serce drży z obawy na myśl o utracie swojego dziecka. Nie rozumie, że sam zniszczył życie setkom, może nawet tysiącom innych rodziców i dzieci. Cóż za przedziwne kreatury żyją na tym świecie”.

Darriana spojrzała na drzwi i uśmiechnęła się ironicznie.

– Wygląda na to, że nikogo nie ma w do...

Kest uniósł dłoń, uciszając ją.

– Ja też to słyszę – potwierdziła Valiana.

Przyłożyłem ucho do drzwi. Dochodził zza nich odgłos szurania, najpierw bardzo cichy, ale potem coraz głośniejszy. Wkrótce usłyszałem kroki wspinającego się po schodach. Dobiegł mnie jednocześnie inny dźwięk: płacz. Odwróciłem głowę i zajrzałem przez szczeliny w drzwiach w samą porę, aby dostrzec wchodzącego po schodach mężczyznę, który wyraźnie zmagał się ze wspinaczką. Był nagi od pasa w górę i pokryty taką ilością krwi, że wyglądał, jakby ktoś usiłował go utopić w całej jej beczce. Ze zbolącej miny

mężczyzny i przerażenia wypisanego w oczach domyśliłem się, że krew należała do niego samego i pokrywała bolesne rany, z których się sączyła.

Kiedy dotarł do szczytu, podniósł na chwilę głowę. Gwałtowny ruch niemal sprawił, że spadł w dół. Dostrzegłem wtedy linę z pętlą zawiązaną na jego szyi, znikającą w ciemnościach lochów.

Jillard odciągnął mnie, żeby samemu zajrzeć przez szczelinę.

– Sir Toujean – zawołał.

– Wasza Łaskawość – zaczął tamten. – Wybacz mi. Wybacz!

Lina napięła się i z głębin ciemności dobiegł mnie cichy szept, zbyt odległy, żebym mógł zrozumieć pojedyncze słowa, ale sir Toujean najwyraźniej to potrafił.

– Dashini pyta, czy rozważyłeś jego zaproszenie. Mówi... – więcej szeptania. – Mówi, że zaczyna się martwić, iż Tommer... ach, bogowie, wybacz mi, Wasza Łaskawość... – lina natychmiast się napięła i Toujean zaniósł się zduszonym kaszlem, łapiąc się za szyję. Zebrał się w sobie i udało się mu wykrztusić: – Mówi, że z Tommerem jest coraz gorzej. Używają... jakiegoś proszku, Wasza Łaskawość. Wydmuchują mu go w twarz i chłopiec... on... – sir Toujean zaczął zawodzić bez słów.

– Proszek? – spytał zdziwiony sir Istan.

– Truczna dashinich – wyjaśniłem. – Wydmuchują ją prosto w twarz ofiar. Doprowadza człowieka do szaleństwa z przerażenia, jeśli nie jest do tego przyzwyczajony. Nawet najmężniejszy wojownik robi się zdezorientowany i panikuje, co ułatwia dashinim sfinalizowanie zabójstwa.

– Dashini używa go na Tommerze, sir – powiedział Toujean do mnie. – Wydmuchuje proszek w jego twarz rano i w nocy.

Tommer... sir, nie sądzę, żeby zdołał dużo dłużej to znosić.

„Święci! Jedenastoletni chłopiec częstowany wielokrotnie »językiem strachu«?” Samo przerażenie powoli, lecz nieuchronnie go zabija.

– Sir Toujeanie, powiedz, że dam mu wszystko – zaczął książę. – Wszystko, jeżeli on...

– On nie chce niczego, Wasza Łaskawość! – powiedział Toujean głośniej, niemal z irytacją. – Chce tylko ciebie!

– Jak? – spytałem.

Oczy rycerza nagle spojrzały na mnie przez szpary w drzwiach.

– Co takiego?

– Jak? Jak książę ma dotrzeć do asasyna? – jeżeli dashini chciał dostać Jillarda, musiały w którymś momencie otworzyć drzwi, a to mogła być okazja dla nas.

– Mówi, że książę ma zostać tam, gdzie jest, po drugiej stronie drzwi, z dwojgiem ludźmi. Potem... – przerwał. – Potem książę ma wziąć nóż, poderżnąć sobie gardło i pozwolić, aby jego krew spłynęła szczeliną pod drzwiami i na dół. Jest tu dwadzieścia siedem schodów. Kiedy krew dotrze do ostatniego z nich, chłopiec zostanie uwolniony.

„Dwadzieścia siedem schodów, każdy głęboki na stopę. Ile krwi może stracić człowiek i przeżyć?” Spojrzałem na Kesta, który pokręcił głową.

– W jaki sposób asasyn planuje się wydostać z lochów? – spytał Kest.

Oczy Toujeana spoglądały na nas na zmianę przez szczelinę w drzwiach.

– Nie sądzę, żeby to planował. Powiada, że ma jedną misję:

zabić księcia Rijou i że nie musi uciekać po jej wypełnieniu.

Nie ma bardziej idealnej pułapki na wroga niż ta, w której człowiek sam jest gotowy zginąć. W tej sytuacji nie mieliśmy szans wygrać bez klucza.

Spojrzałem na Jillarda.

– Błagaj go – szepnąłem.

– Co?

– Błagaj – powtórzyłem. – Krzycz o łaskę tak głośno, jak potrafisz, niczym człowiek, którego ogarnia szaleństwo z rozpacz. Błagaj o łaskę dla Tommera. Szybko.

Jillard spojrzał na mnie, zaciskając usta. Po chwili jednak otworzył je i zaczął wrzeszczeć:

– Łaski! Łaski dla mojego syna. Proszę, błagam cię, to tylko chłopiec, niewinna istota. Nie ponosi winy za moje zbrodnie. Dam ci wszystko, wszystko, czego pragniesz, jeżeli tylko pozwolisz mi go przytulić jeszcze raz – przestał krzyczeć i zaniósł się głośnym zawodzeniem. Przystawiłem twarz do szczeliny w drzwiach.

– Sir Toujeanie – szepnąłem gorączkowo. – Są dwa klucze do drzwi. Dwa. Jeden został skradziony przez Tommera, drugi powinien być w posiadaniu strażnika.

– Strażnik nie żyje – odparł rycerz. – Myślę... myślę, że asasyn ma oba klucze.

– Zatem musisz znaleźć sposób, aby wykraść mu jeden z nich.

– Ale nie mogę – jęknął Toujean. – On... nie rozumiesz? To nie jest człowiek, to...

– Posłuchaj mnie, sir Toujeanie: kiedy byłeś chłopcem, marzyłeś, by zostać bohaterem, prawda? – Czekałem na odpowiedź, która jednak nie nadeszła. Słyszałem jedynie Jillarda

wykrzykującego swoje błagalne modły i jęczenie Toujeana. –
Odpowiedz mi! Czy marzyłeś, by stać się bohaterem?

– Ja... tak, sir... chciałem być rycerzem, jak ci...

– Tamto nie było rzeczywiste, sir Toujeanie. Tamto była zaledwie historyjką, ale to jest prawdziwe. Teraz potrzeba nam bohatera. W tej chwili serce wojownika pompuje krew, stal i nieugiętą, szaloną wojowniczość w jego żyły. Ty jesteś stalą, sir Toujeanie. Nie twoja zbroja czy twój miecz. Ty sam. Zwracam się do twego honoru. Chłopiec, którym byłeś, rozkazuje ci teraz stać się bohaterem, którym zawsze chciałeś być. Zdobądź dla mnie jeden z kluczy!

Rycerz krzyknął, jakby na poły się śmiejąc, na poły płacząc, a potem lina napięła się i na moich oczach sir Toujean został pociągnięty z powrotem w ciemność.

Książę Jillard zaczął się chwiać. Parrick wyciągnął ramię, żeby go przytrzymać.

– Wasza Łaskawość?

– Ja... wszystko w porządku – odparł. – To tylko przez ten krzyk, nic więcej – spojrzał na mnie. – Ten proszek... Wiem o nim co nieco. Jak człowiek się po nim czuje? Przez co przechodzi mój syn?

Jak może się czuć chłopiec, który jest uwięziony i samotny? „To jak wędrówka przez sto piekieł”, pomyślałem. „Tommer przechodzi przez sto różnych piekieł”.

OTCHŁAŃ

Kilka godzin później nadal siedziałem na zakurzonej podłodze przed czarnymi drzwiami oddzielającymi mnie od Tommera. Nie wiedziałem o chłopcu zbyt wiele, poza tym, że podobnie jak ja kochał trubadura Bala Armidora. Kiedy zaś wezwałem przysięgłych na Skale Rijou, chłopiec podniósł monetę i robiąc to, ocalił życie nie tylko mnie, ale również Aline.

„Nie mogę was przebić”, powiedziałem w myślach do drzwi. „Nie mogę was roztopić, przewiercić się przez was ani wyważyć. W jaki sposób coś tak niepozornego, jak klucz może stać się waszą zgubą?”

Księżę Jillard siedział kilka stóp dalej, obserwując mnie. Inni wrócili do szerszego korytarza, aby przedyskutować jeszcze bardziej karkołomne i niewykonalne sposoby ocalenia Tommera.

– To beznadziejna sytuacja, prawda? – spytał Jillard. – Zbudowałem więzienie, z którego moi wrogowie nie mogą uciec, a teraz sam uwięziłem w nim moją duszę.

„Jest sposób. Musi być”.

W lochach rozległ się dzwonek sygnalizujący obchód warty. Jego dźwięk zmieniał się z każdym uderzeniem i niósł po labiryncie, aż

zabrzmiał jak dziwaczny chór.

– Czwarta nad ranem – wyjaśnił Jillard. – Jak długo potrwa, twoim zdaniem, zanim asasyn znów zacznie torturować Tommera tym swoim piekielnym proszkiem? – jego oczy były pełne strachu zmieszanego ze świadomością, że to on jest odpowiedzialny za wszystko, co się wydarzyło. Spojrzał na wąskie szczeliny w żelaznych drzwiach.

– Pierwszego dnia po uwięzieniu Tommera przyprowadziłem tu maga. Bardzo kosztownego. Chodziły plotki, że to on rzucił zaklęcie, które zburzyło ściany zamku w Neville.

– I co powiedział ten mag? – spytałem.

Jillard roześmiał się ochryple.

– Powiedział, że jeśli chcę, aby rozwalił ściany pałacu, to może to zrobić, oczywiście za odpowiednią cenę.

– Ale nie te drzwi?

– Żelazo – powiedział książę. – To jest problem. Osłabia moc, którą wykorzystują magowie, i sprawia, że drzwi są niezniszczalne.

– Jak to działa? – spytałem, nie licząc oczywiście na odpowiedź. Nie cierpię magii.

– Kto wie? – odparł Jillard. – Oni zawsze gadają zagadkami i wierszami. Magowie i czarodzieje. Czasem naprawdę czuję, że nienawidzę magii i tych, którzy jej używają. Powinienem uwięzić tego zadowolonego z siebie skurwiela, ale kiedy człowiek zadrze z jednym magiem, zadziera ze wszystkimi.

Dość logiczne, uznałem. Zaledwie kilku ludzi w Tristii potrafiło posługiwać się prawdziwą magią. Niewątpliwie już dawno doszli do wniosku, że powinni się wzajemnie chronić. Szkoda, że strażnicy więzienni nie byli na tyle sprytni.

„Zaraz... a co, jeśli jednak byli?” Spojrzałem na Jillarda.

– Pozostali strażnicy... Ilu ich jest?

– Razem czterech – odparł.

– Jeden jest w lochach, prawdopodobnie martwy.

– Sir Toujean tak twierdzi.

Wstałem z podłogi.

– Muszę się zobaczyć z pozostałymi trzema.

– Dlaczego? – Jillard również wstał. – Już ci powiedziałem...

– Ponieważ powiedziałeś, że zabijasz każdego strażnika, który zgubił klucz, i zagroziłeś śmiercią pozostałym, jeżeli nie odnajdą zguby.

– Nie rozumiem, jak to ma...

– Twierdziłeś, że w obu tych sytuacjach klucz został znaleziony.

Jakie są szanse, że coś tak małego jak klucz zgubiło się dwukrotnie i odnalazło w tak krótkim czasie?

Jillard spojrzał na mnie, jakbym właśnie niewłaściwie dodał dwa do dwóch.

– Ponieważ strażnicy rzeczywiście znaleźli klucz, zakładam, że szanse są dość duże.

– W tym sęk. Wcale nie znaleźli zguby. Twój strażnicy wiedzieli, że tracą życie, jeśli klucz się nie pojawi, więc podjęli kroki, aby zabezpieczyć się przed taką ewentualnością.

– Jak? – Jillard spojrzał na mnie przez zmrużone powieki.

Nadal nie rozumiał. Mimo całej jego okrutnej i przebiegłej błyskotliwości, oczywista odpowiedź nigdy nie przyszła mu do głowy.

– Dorobili klucz.

Policzki Shiballe'a zafalowały, kiedy potrząsnął głową.

– Wasza Łaskawość, żałuję... nie mogę postawić przed tobą owych strażników. Uciekli z miasta dwa dni temu, kiedy dowiedzieli się o schwytaniu Tommera.

– Niemożliwe! Żywcem obedrę ich za to ze skóry, sprawię, że ich rodziny...

– Grozisz zbyt wielu ludziom – przerwałem. – Śmierć za to, śmierć za tamto... postanowili zaryzykować.

Jillard spojrzał na mnie wyzywająco, a potem jakby uszło z niego powietrze.

– A zatem ten sposób również jest niedostępny i mój syn umrze, cierpiąc z powodu krótkowzroczności swojego ojca.

Podzielałem jego rozpacz. Jeżeli istniał trzeci klucz, tylko strażnicy wiedzieli, gdzie się znajduje. Niech będą przekłęci dashini za to, że byli gotowi torturować i zabić dziecko. „Czwarte prawo mówi, że dzieci nie wolno krzywdzić”, rozległa się w mojej głowie niezgrabna wersja Aucia.

Chwyciłem Shiballe'a za ramię.

– Daj mi klucz do celi na tym poziomie. W tej chwili.

– Nie zrobię tego! – odparł Shiballe, usiłując się wyrwać.

– Jeżeli sądzisz, że możesz otworzyć jakoś te drzwi, to tracisz... – zaczął Jillard, ale powstrzymałem go gestem dłoni.

– Nie o to chodzi. Mam inny pomysł. Każ Shiballe'owi oddać mi klucz.

– Nigdy! Trattari z kluczem do...

– Rób, co mówi – rozkazał ksiązę.

– Wasza Łaskawość, to podstęp! Jakimiś kłamstwami cię nakarmił, zabierze ten klucz i uwolni więźniów, a potem

wykorzysta zamieszanie, aby uciec.

– A jeśli tak, to co? – spytał Jillard. – Czy wtedy woda wylana z dzbanka nie spłynie na ziemię? Czy po dniu nie nastąpi już więcej noc? Czy Tommer nie umrze dokładnie tak samo szybko? Oddaj mu klucz, Shiballe’u.

Doradca sięgnął do kieszeni swych szat i wyciągnął pęk kluczy. Przez chwilę nimi manipulwał, zanim odczepił jeden i mi go wręczył.

– Potrzebuję również klucza do łańcuchów – powiedziałem.

Shiballe znów zerknął na księcia, a potem na mnie. Nienawiść w oczach dostrzega się bardzo łatwo, niestety. Odczepił drugi, mniejszy kluczyk i niechętnie mi go przekazał.

– Zaczekajcie tutaj – poleciłem.

Puściłem się biegiem do celi Aucia. Inni dreptali mi po piętach. Zbliżając się do celu, słyszałem mamrotanie byłego kata.

– Czwarte prawo mówi, że dzieci niewinne. Dziecko za głupie. Nie zna różnicy. Piąte prawo mówi... kurwa... Piąte prawo mówi...

Otworzyłem drzwi do celi. Auć spojrzał na mnie.

– Hej, jebany twardy gość Wielki Płaszcz. Wróciłeś? Dołączysz do mnie? Dużo miejsca. Jak idzie piąte prawo?

Przyklęknąłem i rozpiąłem kajdany na jego rękach.

– Piąte prawo mówi, że nie może być niesprawiedliwej kary – powiedziałem.

Auć rozmasował nadgarstki.

– Prawda, prawda. Jebane piąte prawo. Zawsze mam jakiś problem.

Położyłem dłoń na ramieniu Aucia.

– Klucz do czarnych drzwi – powiedziałem. – Gdzie on jest?

Auc spojrzal na mnie.

– Są tylko dwa klucze do czarnych drzwi. Jeden mają strażnicy. Drugi księżę. Idź do strażnika. Mniejsza szansa, że cię zabije za takie pytanie – spojrzal w bok i zobaczył księcia Jillarda stojącego przed celą. – Ach. Widzę, że już za późno – zaczął z powrotem wkładać ręce w kajdany.

– Nie – powstrzymałem go od próby zakucia się w łańcuchy. – Ten trzeci klucz.

– Jaki trzeci klucz?

– Ten, który trzymają strażnicy, na wypadek gdyby zgubili prawdziwy.

Auc spojrzal na mnie oczami zwężonymi w szparki. „On wie”, pomyślałem.

– Nie ma trzeciego klucza – odparł zdecydowanie. – Dwa klucze. Jeden księcia, drugi strażnika.

– Jest jeszcze jeden – powiedziałem, delikatnie kładąc dłoń na jego ramieniu. – Nie bój się, nie zostaniesz ukarany – spojrzalem ostro na księcia, żeby zrozumiał. – Powiedz nam, proszę.

Auc pokręcił głową.

– Nawet jeśli jest trzeci klucz, strażnicy nie gadają do prostych ludzi jak ja. Nazywają nas psy.

– Ale niektóre psy widzą różne drobiazgi, prawda? – powiedziałem. – Niektóre psy wiedzą, jak mieć baczenie na różne rzeczy, na wypadek gdyby potrzebowały ich kiedyś w przyszłości.

Auc spojrzal na księcia.

– Nie. Psy siedzą w kącie i trzymają mordę w kubek. Kiedy pies wstaje, właściciel kopie. Pies wstaje znowu, właściciel zabija.

– To się tutaj nie stanie – powiedziałem. – Nie pozwolę na to.

– Czasem pies decyduje, że lepiej zdechnąć – powiedział Auć. – Takiego psa nie obchodzi, co się stanie potem z właścicielem.

– To nie on, to Tommer. Chłopiec jest uwięziony w niższych lochach.

Mina Aucia złagodniała.

– To nie miejsce dla chłopca. To miejsce dla... okropności.

– Tak, zgadza się – przytaknąłem. – To nie jest miejsce dla chłopca. Musimy go stamtąd wydostać, Auć. Ty i ja, musimy go teraz stamtąd wydostać. Potrzebujemy klucza.

Auć spojrzał na mnie i prychnął.

– Gadasz do mnie jak do jebanego konia, co? Tak jak gadasz do jebanego zwariowanego konia. Zwariowanej bestii pokrytej bliznami i pełnej nienawiści. A ty sprawiasz, że myśli jak człowiek. Jak człowiek lepszy niż ja. Co mówisz? Że mała dziewczynka w klatce z koniem jest małym koniem. Mówisz: Dam haf fal... coś jak...

– Dan’ha vath fallatu. „Jestem z twojego stada”.

– Myślisz, że ja jestem jak koń, co? Myślisz, że chłopiec jest jak ja? Że jest z mojego stada? On jest bogaty. Ojciec jest bogaty. Ja nie mam nic. Jest przystojny, ja brzydki.

– Jest przestraszony – powiedziałem. – Siedzi w ciemności.

Bardzo powoli oczy Aucia zaczęły się wypełniać łzami.

– Jebany koń. Jebany koń nie zabija dziewczynki tylko dlatego, że mówisz: Damhaf falato. Jebany koń jest lepszy ode mnie.

– Koń nie jest lepszy od ciebie – odpowiedziałem.

– Powiedz to jeszcze raz – poprosił Auć. Łzy spływały po jego policzkach. – Powiedz: Damhaf...

– Dan’ha vath fallatu.

Odepchnął się od podłogi i wstał niezgrabnie na niepewnych nogach.

– Jebany koń. Koń nie jest lepszy ode mnie. Pójdę i zabiorę jebanego chłopca, a potem ty powiesz koniowi, tak? Powiesz koniowi, że ocaliłem chłopca – zatoczył się, a potem precisnął obok reszty na korytarz. – Chodź – powiedział. – Zabierzemy teraz chłopca. Czwarte prawo jest, że dzieci nie wolno krzywdzić...

Podążyliśmy wszyscy za Auciem w dół korytarza i dalej, głównym przejściem i poprzez labirynt lochów, aż wreszcie wydało mi się, że znaleźliśmy się dokładnie w punkcie wyjścia. Zacząłem się obawiać, że Auć się zgubił, ale on wreszcie skręcił w jeden z korytarzy i oznajmił:

– Tutaj. Jest tutaj.

Staliśmy przed czarnymi drzwiami.

– Ty przeklęty psie – krzyknął Shiballe. – Ty bezwartościowa kupo gówna! Przecież wiemy, gdzie są drzwi, ty głupcze! Zmarnowałeś nasz cenny czas.

– Wiecie już? – spytał Auć, spoglądając na nas wszystkich.

– Oczywiście, że wiemy – warknął Shiballe.

Auć spojrzał na mnie pytająco, a ja skinąłem głową.

– Jeśli wiecie, to dlaczego tu, kurwa, stoicie? – wspiął się na palce i zaczął macać jedną z małych kamiennych wnęk nad drzwiami. Odwrócił się do mnie i wyciągnął mocarną pięść. Kiedy rozprostował palce, moim oczom ukazał się sześciocalowy żelazny klucz. Miał niemal dwadzieścia różnych wycięć i zębów o zmiennej długości i kształtach.

– Głupie ludzie. Damhaf falato. Idziemy zabrać chłopca, tak?

GŁĘBOKIE LOCHY

Powoli zaczęliśmy schodzić na najniższy poziom lochów. Mdłe światło naszych latarni oświetlało kurz i zaschniętą na kamiennej ścianie krew, otaczającą dwadzieścia siedem schodów niczym żyły.

– Przejdźcie zwięź się w miarę schodzenia – zauważył Kest. – Jeżeli czeka na nas zasadzka, będzie trudno jej uniknąć.

Nie fatygowałem się z odpowiedzią. Byłem zbyt zajęty radzeniem sobie z zapachem. Czasem człowiek słyszy w opowieściach, jak bazarze starają się przerazić swoją publiczność, opowiadając o zapachu rozpaczy. To nie poezja. Strach naprawdę ma swoją woń. Jeżeli zmieszasz pot, gówno i krew ze stęchłym powietrzem i wilgocią zagrzybionych ścian, to „czary-mary, hokus-pokus!”, jakby powiedział sztukmistrz, i otrzymasz prawdziwą woń ludzkiej rozpaczy. I to właśnie przywitało nas u podnóża schodów.

Darriana prześlizgnęła się obok mnie i zajrzała w jeden z ciemnych korytarzy odchodzących w bok.

– Co to za piekielne miejsce?

– Piekło to dobre pierdolone słowo, pani – powiedział Auć.

Próbowałem powiedzieć coś mądrego, ale nic nie przychodziło

mi do głowy. Spędziłem w lochach więcej czasu, niżbym chciał, ale to miejsce... nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak mógłbym stąd uciec.

Shiballe dostrzegł moją niepewność i uśmiechnął się.

– Korytarze rozchodzą się w różnych kierunkach, jak w labiryncie ogrodowym – powiedział z dumą. – Nawet jeżeli komuś uda się wydostać z celi, będzie miał ogromne trudności ze znalezieniem drogi do schodów. Wiele korytarzy kończy się litą skałą, w innych zaś, dla urozmaicenia, skrywają się w mroku zapadnie w podłodze. Kiedy umieszczamy tu więźnia, trattari, nigdy więcej nie zobaczy światła dziennego.

– Chyba że postanowi zamiast tego przejąć kontrolę – skomentowała Darriana. – Co wtedy zrobisz, tłusty ślimaku?

Zauważyłem szeroko rozwarte oczy księcia Jillarda, gdy rozglądał się po labiryncie wilgotnych ścian, zupełnie jakby nigdy nie widział miejsca, gdzie wykonywano jego rozkazy.

– To nie było moje...

– Zamknij się – szepnąłem, starając się otrząsnąć z własnego strachu. Cholera. Wszystko musiało się potoczyć bardzo szybko. Musieliśmy się dowiedzieć, gdzie znajdują się Tommer i asasyn, zanim zostaniemy odkryci. – Rozdzielimy się – spojrzałem na księcia Jillarda. – Wasza Łaskawość musi wrócić na górę. Jeżeli asasyn cię zobaczy, będzie chciał cię zabić za wszelką cenę, a potem, kiedy wypełni misję, zwróci swoje ostrze przeciwko Tommerowi.

Jillard, księżę Rijou spojrzał z ukosa na Aucia.

– Sądzisz, że pozwolę temu... tej kreaturze ryzykować życiem dla mojego syna, podczas gdy ja będę chował się na górze w swoim

pokoju?

– Jeb się – powiedział Auć przyjaźnie.

– Śmierdzący psie! – wypluł z siebie Shiballe. – Każę ci wyrwać język z gęby, kiedy to...

Auć wyciągnął rękę, położył ją na tłustej głowie Shiballe'a i powoli zaczął ją ścisnąć.

– Może jestem pies – powiedział. – Ale ja jestem, kurwa, twardy pies, tak? Jebany silny pies – oczy Shiballe'a zrobiły się wielkie i coraz bardziej wytrzeszczone od nacisku palców Aucia na jego czaszkę. – Może chłopiec potrzebuje teraz twardego człowieka, co? A nie tłustego robala, co się wije po ziemi.

– Wystarczy! Przestańcie wszyscy – zarządziła Valiana. Była blada jak prześcieradło, ale mówiła stanowczym głosem. – Auć, puść go. Tommer jest gdzieś tutaj i musimy go znaleźć, a nie walczyć między sobą.

Auć puścił głowę Shiballe'a i uśmiechnął się.

– Ładna kobieta. Jesteś dziwką? Dziwki są dla mnie miłe.

„Święta Iphilio Co Rozkrawasz Własne Serce, czy to są bohaterowie, których mi zesłałaś, aby uratować chłopca?”

– Chodźmy – powiedziałem. – Kest, weźmiesz sir Istana i Aucia. Valiana, ty weźmiesz Parricka, a ja księcia.

– Zostawiasz mnie ze ślimakiem? – Darriana przyjrzała się Shiballe'owi nieprzychylnie.

– Zna te lochy lepiej niż ktokolwiek inny. Jeżeli ci to pomoże, jego powrót ma dla mnie jedynie nominalne znaczenie.

Darriana uśmiechnęła się szeroko. Shiballe wręcz przeciwnie.

– Co robimy, kiedy coś znajdziemy? – spytała Valiana.

– Jeżeli znajdziecie Tommera, niech jedna osoba go uwolni,

druga zaś niech ma baczenie na wszystko.

– A jeśli znajdziemy asasyna? – tym razem nie udało jej się ukryć drżenia w głosie.

– Zaczynaj krzyczeć tak głośno, jak potrafisz. Reszta podąży za tym głosem. Rób, co możesz, żeby utrzymać go na dystans. Jeśli jest dashinim, nie próbuj go atakować, jak każdego innego, ponieważ to nie jest zwykły przeciwnik. To zupełnie jakbyś usiłowała walczyć z wężem o stalowym języku długim na trzy stopy. Zrób, co możesz, żeby trzymać go z dala od siebie i na wszystkich świętych, nie wdychaj żadnego proszku.

– Jeszcze jedno – powiedział Kest. – Kiedy znajdziemy asasyna, odsuńcie się i przepuście mnie.

– Dlaczego? – spytał sir Istan, nie mogąc ukryć ulgi na młodej twarzy.

– Ponieważ on jest mój i niczyj więcej. Mój! – Kest spojrzał na mnie. – Potrzebuję tego – dodał.

Widziałem, że czerwona poświata zaczyna bić z jego skóry. Skinąłem głową.

– W porządku. Gdzieś w tym piekle jest człowiek, który mieszka w mroku i tańczy ze śmiercią. Nigdy nie znał strachu – wydobyłem rapier z pochwy. – My go z nim zapoznamy.

Tropiłem już wcześniej zabójców. Wyrok wydany na mordercę, który uciekł ze swojej wioski na nic się zda rodzinie, która właśnie straciła kogoś bliskiego, ani też tej, która padnie jego ofiarą w następnej kolejności. Nie jest to mój najmocniejszy atut – Brasti zawsze był w tym lepszy i nigdy nie przegapił okazji, żeby mi o tym

przypomnieć. Kilku innych Wielkich Płaszczy również w tym przodowało – Quillata potrafiła tropić człowieka całymi tygodniami po tym, jak uciekł z miasta.

Żadnego z nich jednak tutaj dziś nie było.

– Jesteś ślepy, trattari? – spytał Jillard, przystając nade mną, kiedy przyklęknąłem. – Ślady są wszędzie.

– Mów ciszej – szepnąłem, z nadzieją, że inni są znacznie lepsi w bezszelestnym poruszaniu się przez lochy. – Ślady są problemem.

Zazwyczaj problemem w tropieniu kogoś jest fakt, że robi się to na przestrzeni wielu mil, rozpaczliwie szukając najmniejszego śladu. Tutaj, we wnętrznościach Jilliardowych lochów miałem odwrotny problem: ślady były wszędzie, odbite w brudzie pokrywającym nierówną podłogę labiryntu.

Nie pomagało wcale to, że musieliśmy się poruszać powoli. Czasem kamienna posadzka była nierówna i poszarpana i łatwo było się potknąć. Potem znów stawała się gładka i śliska – zazwyczaj tuż przed tym, jak otwierał się w niej dół wielkości człowieka, z bardzo ostrymi kolcami na dnie. Nawet mimo latarni Jilliarda mrok nadal nas spowijał. W ostateczności wszystko, co mogliśmy zrobić, to poruszać się bardzo ostrożnie i starać się nie kręcić w kółko.

„Do diabła, jesteście zbyt ślamazarni. Poruszamy się za wolno”.

Gdyby na tym poziomie byli jacyś żywi więźniowie, moglibyśmy uzyskać informację w zamian za obietnicę złagodzenia kary, a nawet uwolnienia, ale niestety, pechowo dla nas (i zapewne dla nich również, choć być może było to upragnione skrócenie męki), wszyscy więźniowie, na których się natykaliśmy, byli martwi. Jillard zdawał się w ogóle nie zauważać ciał.

– Zaczekaj – stanąłem, przyglądając się kałuży krwi na podłodze jednej z cel, stopniowo spływającej szczelinami w podłodze, aby wreszcie połączyć się ze strumykiem krwi z celi po przeciwnej stronie. – Czy twoi ludzie wykonują wyrok śmierci na więźniach w celach? – spytałem Jillarda.

– Czy powinniśmy tracić czas na takie rozmowy? – spytał. – Mój syn gdzieś tu jest, podobnie jak asasyn.

– Odpowiedz mi.

Jillard zatrzymał się i oparł o nierówną ścianę. Wyglądał na zmęczonego.

– Jeżeli serce ci krwawi z powodu ludzi uwięzionych w tych celach, powinieneś uzalić się zamiast tego nad kimś, kto na to zasługuje. Ci, którzy tkwią na tym poziomie, to kreatury niewarte litości.

– W końcu sami będziemy potrzebowali odrobiny litości – odpowiedziałem.

„Doskonale. Zaczynam cytować napomnienie Świętej Birgid skierowane do mnie samego”. Odsunąłem od siebie tę myśl. – Ale nie w tym rzecz. W jaki sposób więźniowie na tym poziomie są traceni?

Jillard uniósł brew.

– A na ile sposobów można umrzeć? Moi trybuni orzekają karę, która odpowiada zbrodniom. W Rijou człowiek spłaca dług tą samą walutą, której użył do popełnienia zbrodni.

– W takim razie mamy problem – wskazałem na jedną z cel.

Jillard zajrzał do środka przez żelazne pręty.

– Ten człowiek zdecydowanie jest martwy. I co z tego?

– Spójrz na krew na podłodze. Trudno to zobaczyć po ciemku,

ale ktoś poderzwał mu gardło.

Jillard wzruszył ramionami.

– W takim razie wyobrażam sobie...

– I nie tylko on. Wszystkie ciała, które widzieliśmy od czasu zejścia tutaj, mają poderżnięte gardła.

Oczy Jillarda rozszerzyły się.

– Ale dlaczego...

– Ponieważ martwi nie mogą opowiedzieć o tym, co tu zobaczyli – rozległ się głos z głębi korytarza. – A może, co ważniejsze, kogo.

Odruchowo ustawiłem rapier w gardzie i przyjąłem pozycję obronną, zasłaniając księcia. Gdybym zastanowił się przez chwilę, użyłbym go jako tarczy.

Patrzyłem w ciemność przed nami, wyęzając wzrok w poszukiwaniu oznak ruchu. Niczego nie dostrzegłem.

– Kto tam jest? Kto śmie przemawiać do księcia... – zaczął Jillard.

– Zamknij się, ty idioto – syknąłem. – Nie zdradzaj niczego, Wasza Łaskawość.

– Dobra rada – odparł głos. – Wątpię jednak, żeby nasz pan księżę doceniał mądrość innych, zważywszy na sytuację, w jakiej się dziś znalazł.

Ruszyłem do przodu, wpatrując się w mroczny korytarz i najbliższe skrzyżowanie, gdzie mógł czaić się wróg.

– Ciepłej, ciepłej – powiedział głos.

Bliskość dźwięku wstrząsnęła mną do głębi. „Jest tutaj”. Obróciłem się dookoła: na zimnej kamiennej podłodze, na samym końcu celi naprzeciwko mnie siedział po turecku mężczyzna – nagi

mężczyzna. Pomimo słabego światła byłem w stanie dostrzec, że jest dwudziestoparolatkiem o ciemnych włosach i gładko ogolonej twarzy. Jego nagość ujawniała szczupłą, lecz muskularną sylwetkę. Mógł być zwykłym więźniem, tyle tylko, że siedział tu rozluźniony, chociaż nie powinien. Wyglądał, jakby był całkowicie obojętny wobec otaczającego go szaleństwa i nie bał się tego, czego obawiałby się każdy człowiek przy zdrowych zmysłach. Uniósł rękę i pomachał do mnie. Wdzięczny sposób, w jaki uczynił ten gest – tak normalny, tak prosty – powiedział mi, kim jest ów mężczyzna. A raczej czym. „Dashini”.

PRZESŁUCHANIE

– Wybacz, jeśli cię zaskoczyłem – powiedział bez śladu ironii człowiek siedzący w celi. – To bardzo nieuprzejme z mojej strony.

Spojrzałem na żelazne drzwi prowadzące do środka i poczułem przelotną ulgę, widząc, że są zamknięte. Rygiel tkwił głęboko w żelaznych pierścieniach przymocowanych do prętów.

Jillard dołączył do mnie i zobaczył nieznanego w środku.

– Kim jesteś? – zapytał władczo.

– Nie poznajesz mnie? Oczywiście, że mnie nie poznajesz. Miałem na sobie mój ceremonialny strój, kiedy cię odwiedziłem. Nieważne. W głębi serca jestem człowiekiem, jak ty. A może nie jak ty. Bardziej jak Falcio.

– Znasz mnie? – spytałem.

– Jak mógłbym cię nie znać? Zabiłeś dwóch moich braci, a nikomu przedtem nie udało się tego dokonać. Jesteś dla nas legendą, Falcio: opowiadamy o tobie historie bez końca, niczym wodospad spadający na skałę.

Moje imię w ustach dashiniego przeraziło mnie na tyle, że poczułem potrzebę, by zamaskować tę reakcję fałszywą brawurą.

– Dajcie mi znać, kiedy skończycie wznosić mój pomnik, dobrze? Może powinien być nieco większy?

Mężczyzna w celi roześmiał się.

– Doceniam twoje poczucie humoru. Rozjaśnia nawet najmroczniejsze miejsce, jak to tutaj. Ale to nie pomnik chcą dla ciebie wybudować dashini, Falcio. To coś znacznie większego. Coś, co świat będzie pamiętał jeszcze za sto lat.

– Mówisz „oni”, jakbyś odnosił się do kogoś innego.

Mina mężczyzny nie zmieniła się nawet odrobinę, ale wyczułem coś w jego bezruchu, wahanie.

– Zacząłem kwestionować roztropność pewnych umów, które zostały zawarte.

– Jakich umów? Z kim? Czy...

– Dość! – przerwał Jillard. – Kim jest ten człowiek? Dlaczego tu jest?

– To asasyn – powiedziałem. – To człowiek, który przybył tu, żeby cię zabić.

Jillard spojrział z niedowierzaniem w stronę celi. Pewnie nie miał okazji, by samemu przesłuchać asasyna po tym, jak schwytał go Parrick wraz ze swoimi rycerzami. Książę szarpnął za drzwi celi.

– Jest zamknięty. Jak to możliwe?

– Odsuń się od krat – ostrzegłem, odciągając Jillarda pod ścianę. – Jeżeli chcesz żyć, trzymaj się z dala od krat. Nigdy nie byłeś tak bliski śmierci, jak w tej chwili.

Dashini rozłożył szeroko ramiona.

– Cóż za ostrożna natura. Spójrz na mnie. Jestem sam. Moja szata została mi odebrana. Moje ostrza również. Mój proszek się

skończył. Jestem nagi – pochylił się do przodu, tylko odrobinę. – Bezbronny.

– W tym jednym się zgadzamy – Jillard spojrzał na mnie. – Zabij go! Przebij mu serce swoim rapierem. Zrób to!

Nie spuszczałem wzroku z dashiniego.

– Jest zbyt głęboko w celi, żebym zdołał go dosięgnąć, a jeśli wsunę ramię do środka, rozbroi mnie. I wtedy będzie miał miecz.

– W takim razie rzuć w niego nożem, do diabła!

– Wtedy będzie miał nóż. Jest dashinim, Wasza Łaskawość: nawet jeśli go trafię, po prostu wyciągnie ostrze z rany i zanim wycieknie z niej pierwsza kropla krwi, zanurzy je w twoim gardle.

Jillard denerwował się coraz bardziej.

– W takim razie wrócimy na górę i ściągniemy kuszników. Oni...

– Zamknij się.

Dashini i ja spoglądaliśmy na siebie bez mrugnięcia powieką i chociaż jego mina była zrelaksowana, pozornie obojętna, wiedziałem, że w myślach rozważa tuziny sposobów zabicia księcia, mimo że znajdował się w celi, a ja w tym samym czasie zastanawiałem się, jak mógłbym go powstrzymać. Był zamknięty za mocnymi żelaznymi prętami, ale to ja czułem się uwięziony i bezbronny.

Po kilku chwilach schowałem oba rapierzy do pochew.

– Co ty robisz? – spytał księżę.

– Uwalniam ręce – powiedziałem.

– Oszalałeś? Jest zamknięty w celi. Nawet jeśli ukrywa klucz, wyciągnięcie go, a potem sięgnięcie przez kraty, żeby otworzyć drzwi, wymaga czasu.

– Ten książę, którego strzeżesz, jest tak samo głupi, jak nieudolny. Jesteś pewny, że warto utrzymać go przy życiu? Zastanawiam się, czy jego syn jest równie głupi?

Jillard ruszył w kierunku krat.

– Zobaczymy, kto jest głupcem, kiedy dostanę twoją...

Chwyciłem księcia za kołnierz w tej samej chwili, w której dashini zerwał się bez wysiłku z pozycji siedzącej. Jego prawe ramię wystrzeliło przez kraty. Palce miał ściśnięte razem, formując coś w rodzaju ostrza, niczym ptasi dziób, wycelowany prosto w gardło Jillarda.

Odciągnąłem księcia ułamek sekundy przed tym, nim dashini go dosięgnął. Książę zatoczył się i wpadł na ścianę obok mnie. Uderzyłem nadgarstek asasyna kłykciami lewej dłoni, ale on zdążył odwrócić dłoń w górę i wsunął ją pod mój nadgarstek. Zanim jednak zdołał zamknąć chwyt, szarpnąłem ramię do tyłu, a potem szybko uderzyłem pięścią – jego ramię jednak już zniknęło i dashini nagle stanął na środku celi, spoglądając na mnie spokojnie, jakby nigdy nie robił nic innego.

Książę Jillard odzyskał równowagę. Tym razem pozostał blisko ściany.

Dashini uśmiechnął się.

– Znakomity refleks, Falcio. Spodziewałem się, że będziesz nieco wolniejszy, zważywszy na twoje problemy ze zdrowiem.

– Wydaje się, że dość dużo o mnie wiesz – odpowiedziałem. – Zaprzyjaźnilibyśmy się bardziej, gdybym poznał twoje imię.

– Wiesz to, co jest istotne: jestem dashinim, swego rodzaju, i zostałem tu wysłany, aby udzielić ostatniego aktu miłosierdzia Jillardowi, księciu Rijou.

– Swego rodzaju? – spytałem. Przyjrzałem się uważniej jego twarzy. Wyglądał na mieszkańca Tristii i gdybym musiał zgadywać, mógł nawet pochodzić z Pertynii, gdzie ja sam się urodziłem. Nie to jednak mnie uderzyło. Przypomniałem sobie twarze tamtych dwóch asasynów, z którymi walczyłem i których zabiłem w Rijou. – Nie masz tatuaży.

– Jestem Niesplamiony. Książę miał być moją pierwszą ofiarą – skłonił się lekko Jillardowi i uśmiechnął oszczędnie. – Uważa się to za ogromny honor.

– Dlaczego nie było z tobą innych dashinich, kiedy zaatakowałeś księcia? – spytałem. – Gdzie jest twój azu?

– Stał się... niezdolny do akcji z powodu ostatnich wydarzeń.

– Dlaczego w takim razie jesteś w tej celi? – gdyby miał klucz, gdyby mógł wyjść na zewnątrz, w jednej chwili zabiłby Jillarda i mnie. W jaką grę się z nami bawił?

– Podobnie jak większość rzeczy na tym świecie, odpowiedź jest dużo mniej intrygująca, niż sugerowałoby to pytanie – spojrzał na sufit, a potem rozejrzał się po celi. – Jestem tutaj, ponieważ zostałem schwytyany. Rycerze sprawili, że się pospieszyłem. Trzech z nich zabiłem zbyt szybko. Upadli na mnie i chwilowo pozbawili mnie równowagi.

– To musiało być dla ciebie żałosne – powiedziałem.

– Zdecydowanie.

Pomimo strachu Jillard nie mógł się już dłużej powstrzymać.

– Niech cię diabli, gdzie jest mój syn?

– Tu – odpowiedział dashini. – Gdzieś tu. Słyszę czasem jego krzyki. I płacz, zazwyczaj w nocy. To fascynujące... nigdy nie woła ciebie, książę Jillardzie. Nigdy nie krzyczy „tato, tato, ocal mnie”.

Płacze za kimś o imieniu Bal Armidor, który jednak nigdy nie przychodzi. Po jakimś czasie chłopiec przestaje krzyczeć i zaczyna płakać. Czy to imię człowieka, którego zabiłeś w tych ciemnościach, Wasza Łaskawość? Aha, i jeszcze czasem chłopiec woła Falcia. Czy to nie dziwne?

Jillard spojrzał na mnie z nienawiścią, ale tym razem przynajmniej nie był na tyle głupi, żeby dać się nabrać na sztuczki dashiniego.

– Dlaczego twoi bracia mordercy cię tu zostawili? Co chcą przez to osiągnąć?

Dashini nie odpowiedział. Po prostu spojrzał na mnie, nadal się uśmiechając. Mimo to jego mina znów wydała mi się podszyta niepokojem.

– Inni zabójcy to nie są dashini – powiedziałem.

– W takim razie kim są? – spytał Jillard.

– Nie wiem i nie sędzę, żeby on to wiedział.

Na twarzy Jillarda wypisane były niezrozumienie i obawa.

– Ale przecież sir Toujean powiedział, że asasyni podają Tommerowi jakiś proszek, żeby doprowadzić go do szaleństwa.

– Twoi rycerze byli na tyle głupi, aby zabrać moje rzeczy – powiedział dashini. – Byłoby bezpieczniej, gdyby pozostawili je tu razem ze mną.

– Gdyby to zrobili, już dawno byś uciekł – powiedział Jillard.

– Widzisz? – dashini spojrzał na mnie. – Tak właśnie myślą proste stworzenia. Widzą człowieka w celi i zakładają, że jest uwięziony. Uwierz mi, mogę stąd uciec w każdej chwili – dashini rozejrzał się po pustym pomieszczeniu. – Chociaż przyznaję, że będzie mnie to kosztowało nieco więcej wysiłku, niżbym chciał

poświęcić w tym momencie, no i oczywiście znacznie łatwiej byłoby mi to osiągnąć bez przeszkody w postaci Falcia próbującego złamać mi palce.

– W takim razie dlaczego nie uciekłeś wcześniej? – spytał Jillard.

Dashini uśmiechnął się.

– Ponieważ nie jesteś jeszcze martwy, Wasza Łaskawość.

Jillard cofnął się gwałtownie, uderzając boleśnie głową o kamienną ścianę.

– Kto cię wysłał, abyś zabił księcia? – spytałem.

Dashini spojrzał na mnie i przechylił głowę.

– Dlaczego uważasz, że udzieliłbym odpowiedzi na takie pytanie? Dashinim zawsze powierzano misje mające na celu wyeliminowanie deprawacji. Czas książąt przeminął. Z pewnością już to wiesz.

– Ty brudny...

Spojrzałem na Jillarda.

– Wasza Łaskawość... zamknij się. Jeśli chcesz żyć i jeśli pragniesz, aby Tommer przeżył, musisz trzymać gębę na kłódkę. Kiedy dashini przemawia do ciebie, robi to tylko po to, aby uspić twoją czujność.

Odwróciłem się do asasyna.

– Dlaczego zabijacie chłopców i dziewczynki zbyt małych, by rozumieć, co to znaczy być potomkiem księcia? Czy te dzieci są tak zepsute, że musicie mordować je w łózkach pod osłoną nocy?

Dashini wpatrzył się we mnie przez pręty krat. I znów jego mina była obojętna, ale widziałem pod tą maską napięcie i gniew.

– Jesteśmy dashinimi. Zabijamy tych, którzy muszą zginąć –

kolejne słowa wypowiedział powoli, sylabizując. – Nie zabijamy dzieci.

– A jednak zamordowaliście żonę księcia Isaulta i jego synów, Lucana i Patrina. Zamordowaliście również jego małą córeczkę. Miała na imię Avette.

„Lubiła malować wizerunki psów”, powiedział Shuran. „Myślała, że jeśli wykona choć jeden wystarczająco piękny, przekona ojca, aby podarował jej szczeniaka na urodziny”.

– Zostaliśmy wysłani, aby zabić księcia Isaulta – odparł dashini. – Nie jego kobietę. Nie jej dzieci.

– W takim razie co się stało? Wypadek? Jeden z twoich braci pomylił się i przypadkiem wymordował całą rodzinę?

Dashini skrzywił się.

– Jesteśmy najostrzejszymi z ostrzy, a nie tępymi drewnianymi pałkami – w jego głosie dało się słyszeć autentyczny gniew. – To nie my zabiliśmy rodzinę księcia.

– W takim razie kto?

– Być może jeden z was? – zasugerował dashini. – Trattari mają poważny powód, aby nienawidzić arystokracji.

Chciał mnie rozproszyć, zagrać na mojej niepewności, i tym samym nieco mi podpowiedział.

– Myślę, że wiesz, iż to nie był nikt z Wielkich Płaszczy.

– I wielka szkoda – odpowiedział dashini. – Być może twój król nadal by żył, gdyby miał lepszy instynkt. Niezależnie od tego śmierć ludzi przy władzy nieodmiennie wywołuje chaos, Falcio. Ty nade wszystko powinienes o tym wiedzieć. A kiedy nadchodzi chaos, znajduje się wielu, którzy chcą wykorzystać sposobność, zrzucając winę za swoje czyny na innych.

„Święta Deneph Co Oszukujesz Bogów! To dlatego dashini nadal wciąż tu był, żywy, podczas gdy pozostali więźniowie przy zdrowych zmysłach zostali zamordowani.

– Niech to piekło pochłonie! – powiedziałem.

– O co chodzi? – spytał Jillard. – Co się dzieje?

„To właśnie zrobili Winnow”. Została ranna w udo podczas walki z dashinim wysłanym, aby zgładził księcia Aramoru. Ale ktoś inny zabił ją, a także rodzinę Isaulta, a potem ukartował wszystko tak, żeby wyglądało, jakby to Winnow była morderczynią. Jeden spiskowiec wysłał dashinich, żeby zabili książąt. Drugi wykorzystywał okazję, by pozbyć się ich rodzin. Nie pracowali jednak razem, co oznaczało, że mieliśmy do czynienia z dwoma graczami przesuwającymi pionki z ukrycia. Jeden chciał osłabić książęcą władzę, drugi pragnął zniszczyć ją całkowicie.

– Powiedz mi, o co chodzi! – zażądał panicznie Jillard. – Proszę! Powiedz mi, co się dzieje z moim synem.

Zawahałem się przed wypowiedzeniem kolejnych słów. Aż do tego dnia nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek coś takiego mogłoby wyjść z moich ust.

– Cholernych dashinich ktoś wrabia.

Zamachowcy porwali Tommera i zamierzali wykorzystać to, aby ściągnąć tu Jillarda i zabić jego oraz chłopca. Potem planowali pozbyć się asasyna, aranżując wszystko tak, jakby to on był sprawcą, ale zmarł z powodu odniesionych ran, zanim zdołał uciec.

Wpatrywałem się w człowieka stojącego w cieniu swojej celi. „Teraz cię widzę. Wiem, co cię niepokoi, niezależnie od tego, jak usilnie starasz się to ukryć. Nie wiesz, kto zabija te dzieci. Ktoś robi z ciebie głupca – z ciebie i twoich braci. A ciebie to nic nie

obchodzi”.

Dashini skinął głową, chociaż nic nie powiedziałem.

– Jesteśmy zgubieni – powiedział bez emocji, chociaż miałem dziwne wrażenie, że próbuje mnie o coś ubłagać.

– Gdzie oni są? – spytałem. – Gdzie więżą chłopca? Jeżeli to nie ty i twoi bracia zabijacie książęcych następców, nie masz powodu, aby chronić prawdziwych zabójców.

– Nie wiem – odparł. – Ale nie sądzę, żebyście mieli teraz dużo problemów z odnalezieniem go.

– Teraz? Dlaczego teraz? – spytał Jillard.

Jedyną odpowiedzią, jaka przyszła mi do głowy, było modlić się, żeby Kest i pozostali już znaleźli Tommera.

Powietrze wypełnił dziwny, wysoki świst. Początkowo sądziłem, że to może jakiś latający owad, przefruwający zastraszająco blisko mojego ucha, ale dźwięk szybko się zmienił, odbijając się echem od ścian korytarzy w lochach. Stał się zawodzeniem, aż wreszcie przeszedł w krzyk pełny tak czystego przerażenia, że poczułem, iż mógłbym oszaleć od tego dźwięku.

W oczach dashiniego pojawiła się odrobina współczucia i powiedział:

– Ponieważ jest poranek, a zatem to pora, kiedy zadają chłopcu ból.

Książę Rijou biegł korytarzami własnych lochów, krzycząc i wrzeszcząc niczym oszalały więzień. Pędził przez labirynt korytarzy niczym nietoperz, który stracił poczucie kierunku, usiłując rozpaczliwie kierować się echem krzyku swojego syna.

– Zatrzymaj się! – powiedziałem wreszcie i chwyciłem go za ramię. Pchnąłem go na ścianę i przytrzymałem mocno, kiedy zaczął się szarpać.

– Puszczaj mnie, do licha! Torturują mojego syna! Torturują...

– Spójrz! – wskazałem przed siebie. Nasze cienie przesłaniały dziurę w podłodze i czekające w dole szpikulce. Strażnik z doświadczeniem w obchodzeniu tych korytarzy, a nawet ktoś, kto zwyczajnie poruszał się ostrożnie, dostrzegłby to niebezpieczeństwo, zanim byłoby za późno. Jednak uciekinier wpadłby w pułapkę, nie zdając sobie nawet sprawy, że tam była.

– Martwy nie uratujesz Tommera.

Księżę rozejrzał się i dostrzegł boczny korytarz po prawej.

– Tam! – wycelował palcem. – Spójrz! Musimy iść w tamtą stronę.

– Przestań i pomyśl. Spójrz na grunt pod stopami. To nasze własne ślady. Krążymy w kółko.

– Święci... jesteśmy... – obrócił głowę w prawo i w lewo. – Ten korytarz. Byliśmy tu przedtem, kilka minut temu. Ale ja... – przerwał gwałtownie, a jego twarz zmieniła się w maskę mima, tak pełną rozpacz, jakby wyrzeźbił ją szalony artysta.

– Chodź – powiedziałem cicho. – Wiem już, jak go znaleźć.

Pociągnąłem księcia korytarzami, tym razem ruszając nowym. Jednym z plusów poruszania się w kółko było to, że teraz wiedziałem, gdzie nie należy iść. Co więcej, zaczynałem wreszcie rozumieć, w jaki sposób głos rozchodzi się w tych lochach. Przestałem koncentrować się na najgłośniejszym echu, zamiast tego podążając za tym, które powtarzało się mniej razy niż inne. Miałem nikłą nadzieję, że Kest i pozostali wpadli na to na długo

przede mną.

Kiedy zbliżaliśmy się do kolejnego skrzyżowania, na jednej ze ścian poruszył się cień. Wyciągnąłem rękę, zatrzymując księcia.

– Dlaczego...

Zasłoniłem mu usta dłonią.

– Cicho – szepnąłem. – Spójrz – wskazałem przed siebie. W korytarzu było światło, więcej, niż widzieliśmy przedtem. Znaleźliśmy ich.

„Teraz już tylko trzeba mi, aby morderców dopadła nagła ślepotą, żeby nie dostrzegli mojego nadejścia...”

Zanim jednak zdążyłem ułożyć przyzwoity plan, Tommer znów zaczął krzyczeć. Jillard wyrwał się z mojego chwytu i pognął w kierunku oświetlonego korytarza, wykrzykując imię swojego syna i w ten sposób zaprzepaszczając szansę na skryty atak.

„Przeklinam twoją głupotę, Jillardzie i moją własną, że nie pozbawiłem cię przytomności, kiedy miałem po temu sposobność”.

Pobiegłem za nim, wyciągając oba rapiery i robiąc, co w mojej mocy, żeby nie zahaczyć nimi o ściany wąskiego przejścia. Pokonaliśmy ostatni zakręt, wychodzący na większy loch, z którego biegły kolejne korytarze. Po przeciwnej stronie znajdowała się cela, większa niż pozostałe, która zamiast pionowych krat oddzielona była od korytarza jednolitą żelazną płytą. Duże drzwi po środku były otwarte, a na ziemi ujrzałem trzech mężczyzn – prawdopodobnie eskortę Tommera – pokrytych krwią. Rozpoznałem sir Toujeana, który niezgrabnie usiłował się dźwignąć. Nie znałem rycerza siedzącego obok niego. Trzeci poległ w kałuży krwi niedaleko drzwi. Na samym środku celi leżał na plecach Tommer, syn Jillarda, i wyglądał, jakby spał.

– Tommer! – krzyknął książę, wbiegając z korytarza do celi.

– Wasza Łaskawość – wymamrotał Toujean. – Sir Odiard i ja usłyszeliśmy kroki i modliliśmy się do Guereste, boga wojny, żebyś to był ty.

– Zabójcy – powiedziałem szybko. – Gdzie oni są?

Rycerz wskazał na jeden z mniejszych korytarzy.

– Kiedy dashini usłyszeli nadciągającego księcia, pobiegli w tamtą stronę.

– Ilu?

– Pięciu?

– Pięciu dashinich?

Toujean wyglądał na niezbyt pewnego.

– Nie... nie jestem pewny, może... Ale nie, nosili maski. To musieli być dashini.

Cholera. Nawet jeżeli zabójcy to nie byli dashini, a zaczynałem być tego coraz bardziej pewny, nie byłbym w stanie pokonać ich wszystkich sam, zwłaszcza że mieli kilka dni na zapoznanie się z tymi korytarzami.

Problem rozwiązał się sam, kiedy pojawili się Kest i sir Istan.

– Szliśmy za głosem księcia – odpowiedział Kest na moje nieme pytanie. – Jak się czuje chłopiec?

– Jeszcze nie wiem. Kest, Toujean powiada, że jest ich pięciu.

Kest spojrzał na kurz pokrywający podłogę.

– Zbyt wiele tu śladów rozchodzących się w różne strony. Jak dawno odeszli?

– Zaledwie chwilę temu – odparł Toujean słabym, wystraszonym głosem. – Uciekli, gdy tylko usłyszeli nadciągającego księcia.

– Dlaczego mieliby uciekać z tego powodu? – spytał Kest, ale zanim Toujean zdołał odpowiedzieć, rozległo się ciężkie stąpanie w jednym z korytarzy i po chwili wynurzył się z niego Auć wraz z Valianą, Parrickiem, Darrianą i Shiballe'em.

– Jebane głupie ludzie. Łatwo się gubią – powiedział. – Tłusćcioch mądry, co? – wycelował palcem w ziemię i zaczął kreślić nim kółka.

– Shiballe prowadził nas w kółko – wyjaśniła Darriana.

Valiana przecisnęła się między pozostałymi.

– Gdzie jest Tommer? – spytała. Kiedy wskazałem na chłopca, podbiegła do niego i przyklękła przy nim. Wyciągnęła rękę, ale Jillard odepchnął ją gwałtownie.

– Nie dotykaj go! – powiedział. – Nikt go nie dotknie poza mną!

Tommer zamrugał powiekami niczym motyl walczący z silnym wiatrem, otwierając oczy na ułamek sekundy i równie szybko je zamykając. Spojrzał na swojego ojca, a potem na Valianę.

– Siostrze? – spytał. – Po odzieniu widzę, że jesteś Wielkim Płaszczem... czy przybyłaś, aby mnie ocalić?

Uderzyło mnie to, że Tommer nadal nazywał Valianę siostrą. Najwyraźniej Jillardowi wydało się to równie niepokojące.

– Tommer! – powiedział. Po jego policzkach ściekały łzy. – Jestem tu. Twój ojciec tu jest. Mam cię. Już wszystko dobrze.

Tommer spojrzał na ojca.

– Tak... ojcie – wymamrotał. – Bardzo mi przykro, ojcie...

Jillard objął jego głowę.

– Ukradłeś mi klucz, mój ty mały, niegrzeczny chłopcze.

– Ja... ja nie...

– Wasza Łaskawość – powiedział słabym głosem sir Toujean. –

Asasyni... powiedzieli, że mają inne wyjście z lochów, że mogą uciec i wrócić tu, kiedykolwiek zechcą, żeby zabić ciebie i twojego syna – odepchnął się niezgrabnie i przyklęknął, a potem wstał, kołysząc się osłabiony. – Daj mi miecz, Wasza Łaskawość, a będę ich ścigał przez resztę moich dni.

– Nie bądź głupi – Jillard nadal usiłował rozbudzić Tommera. – Ty i sir Odiard ledwie możecie ustać na nogach – spojrzał na mnie. – Powiedziałeś, że chcesz położyć kres tym knowaniom, powstrzymać morderstwa? Zatem idź; weź ze sobą pozostałych, znajdź tych ludzi i ich zabij.

Zauważyłem małą sakiewkę z granatowego materiału, nie większą niż pięść dziecka. Wydobyłem z płaszcza nóż i jego ostrzem bardzo ostrożnie otworzyłem sakiewkę. Była w jednej czwartej wypełniona fioletowym proszkiem. Święci, ile tego było, kiedy zaczęli? Ile podali chłopcu?

– Tommer potrzebuje uzdrowiciela – powiedziałem.

– Shiballe! – krzyknął książę. – Sprowadź mojego uzdrowiciela! Przeprowadź Firensiego, natychmiast!

Tłuscioch odwrócił się na pięcie i ruszył w dół jednego z korytarzy.

– Spróbuj się nie zgubić, dobra? – krzyknął za nim Auć.

Książę Jillard spojrzał na nas wszystkich.

– Sir Istanie, sir Jairnie... to znaczy Parricku, czy jak do diabła masz na imię. Zostaniecie tutaj ze mną, aby chronić mojego syna. Wszyscy pozostali: odnajdźcie zabójców, zanim uciekną.

– Chodźmy – powiedziałem do Valiany.

Zaczęła wstawać, ale Tommer chwycił ją za ramię.

– Siostro! – krzyknął. – Zostań? Proszę... boję się... – i znów

zamrugał, zamykając oczy.

– Ona nie jest twoją siostrą – powiedział Jillard miękkim głosem, chociaż nie dało się nie usłyszeć w nim odrobiny gniewu. – Nie jest moją córką, tylko jakąś...

Czysta podłość, z jaką traktował dziewczynę, którą przez osiemnaście lat uważał za swoją córkę, sprawiła, że zapragnąłem natychmiast złać go na kwaśne jabłko. Valiana jednak koncentrowała się na Tommerze.

– Od kilku dni chłopiec widział wyłącznie groźnych, niebezpiecznych ludzi, Wasza Łaskawość – powiedziała łagodnie. – Jeżeli więc widok mojej twarzy go uspokaja, to...

– Niech będzie, do diabła. Ale reszta, idźcie już i znajdźcie tych przeklętych dashinich!

Odwróciliśmy się i ruszyliśmy w pogoń.

– Trzy korytarze – zauważyłem. Kest pobiegł w kierunku jednego z nich, a Darriana pogoniła za drugim. Dla mnie pozostał trzeci, ale zanim zrobiłem dwadzieścia kroków, usłyszałem, że biegnie za mną Auć.

– Idę – wydyszał. – Idę. Jebany szalony koń nie jest lepszy ode mnie. Ale szybszy.

Dotarliśmy do końca korytarza. Wpatrywałem się w grunt pod nogami, szukając świeżych śladów. Nie znalazłem jednak niczego, czego nie widziałem przedtem.

– Jak sądzisz, w którą stronę pobiegli? – spytałem Aucia.

Auć wskazał na korytarz przed nami, po prawej stronie.

– Z powrotem schodami na pierwszy poziom, potem do pałacu. Jedyna droga.

– To nie może być jedyna droga – powiedziałem. – Jillard ma

dwa tuziny ludzi, którzy czekają na górze. Żaden asasyn nie przedarłby się przez nich. Nie tędy. Musi być jakieś inne wyjście.

Auc pokręcił głową.

– Nie ma innego wyjścia. Jedne drzwi: czarne drzwi.

– Posłuchaj, sir Toujean powiedział nam przed chwilą, że asasyni rozmawiali o jakimś innym wyjściu z lochów.

– Nic nie wiesz, jebany twardzielu, Wielki Płaszczu. Ja tu czasem przychodzę, tak? Nigdy nie wiem, może księżę się zezłości albo suka Patriana mnie tu pośle, tak? Ja patrzę wszędzie. Idę do każdego korytarza i zaglądam do każdej celi. Jebani rycerze gównowiedzą. Ja wiem. Jedno wyjście. Czarne drzwi.

Były kat wpatrzył się we mnie wyzywająco. W jego małych oczkach było tyle pewności i przekonania – ale jak to było możliwe? Jakim cudem asasyni liczyli na wydostanie się stąd? Po raz setny przekląłem Jillarda i jego obrzydliwe lochy, a potem przekląłem sir Toujeana i pozostałych rycerzy za to, że nie protestowali, kiedy jedenastoletni chłopiec wykradał klucz z komnaty swojego ojca, a potem pozwolili mu się zaciągnąć do lochów z asasynem dashini. Czy usiłowali go zabić? Czy...

– Święty Zaghevie Co Śpiewasz o Łzy – odwróciłem się i spojrzałem w kierunku nikłego światła, w samą porę, aby dostrzec dwie sylwetki podnoszące się z podłogi. Jedna sięgała po torebkę z proszkiem dashinich.

Zakląłem pod nosem i ruszyłem pędem w stronę celi.

– Co? Co? – pytał Auc, biegnąc tuż za mną.

– Tommer nie kazał się tu rycerzom sprowadzić – odparłem, nadal przeklinając własną głupotę. – Toujean i dwaj pozostali go tu zaciągnęli.

PORYWACZE

W ciągu kilku sekund, które zajął nam powrót do celi, przegraliśmy walkę. Sir Istan umierał tuż przy żelaznych drzwiach. Krew wypływała, pulsując z jego rozplatanego gardła, kiedy usiłował powstać. Parrick leżał na ziemi, mocując się z drugim rycerzem, którego znaleźliśmy obok Tommera. Rycerz walnął pięścią w rękojeść sztyletu, który wystawał spomiędzy żeber Parricka, i celę wypełnił mrozący krew w żyłach krzyk. Potem przydusił Parricka, wyciągnął sztylet z rany i zaczął nim napierać na jego twarz. Auć znalazł się wystarczająco blisko, aby chwycić za jego długie brązowe włosy, odciągnąć go na bok i rzucić w moim kierunku. Wbiłem rapier głęboko w jego prawe ramię, a potem w lewe. Potrzebowałem go żywego na tyle długo, aby dowiedzieć się, kto zarządził ów atak, ale nie znaczyło to, że nie miał cierpieć.

Rozległ się metaliczny łomot. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak sir Toujean zamyka drzwi do celi. Zabarykadował się tam z Valianą, Jillardem i Tommerem. Przez pionowe szczeliny w drzwiach widziałem, że owinął sobie twarz materiałem, pozostawiając odsłonięte jedynie oczy. Chłopiec nadal leżał na

podłódze, ale się nie ruszał. Valiana i Jillard kulili się w przeciwnych rogach pokoju, oboje jęcząc z przerażenia.

Parrick złapał mnie za nogę, usiłując przyciągnąć moją uwagę.

– Kiedy odeszliście, Toujean rzucił w nas proszkiem. To jest... Święci! Falcio, to jest gorsze, niż pamiętam...

Wiedziałem, o co mu chodzi. Sam nigdy nie zapomnę języka strachu i tego, co zrobił z moim umysłem...

Podszedłem do drzwi celi, usiłując znaleźć jakiś sposób na wejście do środka. Niestety, podobnie jak w czarnych drzwiach, jedynym sposobem, by zobaczyć, co dzieje się w środku, były trzy pionowe szczeliny, każda z nich szeroka na mniej niż dwa palce. Nawet kiedy wyciągałem z płaszcza nóż, wiedziałem, że szansa rzucenia nim przez tak wąski otwór była niemal zerowa, nie wspominając o prawdopodobieństwie trafienia w cel. Poza tym Toujean nie ryzykował. Podbiegł do swoich więźniów i podrywając Tommera z ziemi, uniósł go, zasłaniając się nim jak tarczą.

– Odradzam robienia czegoś zbyt śmiałego, trattari – powiedział, obejmując ramieniem szyję Tommera. – Mali chłopcy mają zadziwiająco kruche kości. „Rachu-ciachu i do piachu”.

Wpatrywałem się w sir Toujeana, usiłując znaleźć sposób na powstrzymanie go. Nadal był cały pokryty krwią, chociaż teraz stało się oczywiste, że nie własną. „Taki prosty wybieg”. Teraz wszystkie te drobiazgi, które nigdy do końca mi nie pasowały, nagle nabrały sensu. Toujean z dwoma pozostałymi rycerzami ukradli klucz księcia, a potem zaciągnęli Tommera do lochów. Kiedy byli już bezpieczni w książęcym labiryncie skalnym, zabili tyłu więźniów, ilu musieli. Potem wysłali Toujeana na górę, z liną wokół szyi. Ten udawał przerażoną ofiarę, przekazującą żądania

swoich porywaczy. Proszek dashinich utrzymywał Tommera w letargu...

„Ale dlaczego zabili trzeciego rycerza?” Zastanowiłem się. Czyżby zaczął się sprzeciwiać, kiedy dowiedział się, jak daleko zamierzają się posunąć pozostali? Czy któremukolwiek z nich pozostała choćby odrobina sumienia?

– O co chodzi, trattari? – droczył się ze mną Toujean. – Nie masz nic do powiedzenia? Nie chcesz wiedzieć, jak zamierzam się stąd wydostać po zabiciu Jillarda? I oczywiście chłopca.

Zignorowałem go; byłem pewny, że po zamordowaniu księcia i jego syna – i oczywiście po rozprawieniu się z nami – Toujean zabije dashiniego i odegra pogrążonego w żałobie bohatera, któremu udało się pomścić swojego księcia. Niewątpliwie taki czyn wzbudzi podziw jego towarzyszy, którzy w większości pogardzali Jillardem. Toujean będzie się rozwodził o rycerskim honorze, o woli bogów i o szansie na nową, wspaniałą dynastię. Pozostali pójdą na to. Nic mnie to wszystko nie obchodziło. Jediną rzeczą, która liczyła się w tym momencie, było wymyślenie, jak ocalić chłopca, a potem wepchnąć sztych mojego, aż po sam kosz w czarne serce Toujeana.

Valiana kulila się w rogu, a w jej oczach widziałem potworne przerażenie wywołane proszkiem dashinich. Kiedy napotkała mój wzrok, przez chwilę udało się jej jakoś opanować i spróbowała wstać. Natychmiast jednak upadła, zapłakana, jęcząc z przerażenia. „Przeklęci dashini z tymi swoimi cholernymi proszkami”. Jest coś obscenicznego w ludziach, którzy potrafią tak dobrze walczyć, a mimo to używają trucizn, aby najpierw osłabić przeciwnika.

– No jak tam, trattari? Z pewnością chcesz się dowiedzieć, dlaczego sir Odiard i ja zdecydowaliśmy się zabić naszego księcia i jego jedyne syna? Dlaczego pasowani rycerze mieliby...

– Niezbyt – odparłem, zastanawiając się intensywnie. – Po prostu zakładam, że jesteś dupkiem i tchórzem i naprawdę, jak dla mnie, możemy to tak zostawić.

Nie mogłem rzucić nożem – nawet gdyby udało mi się precyzyjnie przycisnąć dłoń przez szczelinę, rzut nie miałby wystarczającej siły, żeby wyrządzić jakiegokolwiek szkody. Toujean z drugiej strony musiał jedynie gwałtownie przekrócić głowę Tommera, żeby złamać mu kark. Gdyby był tutaj Brasti, mógłby wpakować strzałę prosto w oko Toujeana – lub w każdą inną wybraną część jego anatomii – ale ja nie byłem w połowie tak dobry.

„Niech cię diabli, Brasti, za to, że opuściłeś nas, kiedy najbardziej cię potrzebowaliśmy!”

– Jesteśmy honorowymi ludźmi! – warknął Toujean, najwyraźniej urażony tym, że nie przykładałem zbytnej uwagi do jego planu zamordowania z zimną krwią dziecka. – Książęta zawiedli rycerzy Tristii. Zawiedli nasz kraj. Książęta...

– Zamknij się – przerwałem mu. – Usiłuję myśleć.

Auć odepchnął mnie i zaczął taranować drzwi, raz za razem. Był silniejszy niż wszyscy znani mi mężczyźni i żelazne drzwi zaczęły drgać pod uderzeniami jego masywnego ciała. Być może za sto lat uda mu się je wreszcie wyważyć.

– Masz plan, twardzielu? – spytał wreszcie, sapiąc ze zmęczenia.

Miałem, tyle że nie był to najlepszy plan. Podczas mojego pierwszego doświadczenia z językiem strachu niemal zadławiłem

się moim własnym przerażeniem. Quillata poradziła sobie nieco lepiej, podobnie jak kilka innych kobiet. Może więc kobiety były bardziej odporne... i może tutaj właśnie mieliśmy szansę.

„Wybacz, Valiano. Nikogo nie powinno się prosić o taką odwagę”.

– Uważasz, że jesteś tam bezpieczny, Toujeanie? – krzyknąłem przez szczeliny w drzwiach. – Bo ja sądzę, że właśnie uwięziłeś siebie w celi z Wielkim Płaszczem.

Toujean roześmiał się.

– Z nią? Powiadam ci, trattari, kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że król pozwolił kobietom pełnić funkcję wędrownych trybunów, ja i moi przyjaciele uznaliśmy, że to jakiś żart. W końcu jest jakiś powód, że kobiety nie mogą zostać rycerzami, trattari.

– Jest również powód, dla którego rycerze nie mogą zostać Wielkimi Płaszczami – odparłem i spojrzałem na Valianę, usiłując przyciągnąć jej wzrok. Ona jednak była pochłonięta mamrotaniem czegoś i potrząsaniem głową raz po raz. – To straszne, prawda? – krzyknąłem do niej. – Zupełnie jakbyś stała na krańcu przepaści wysokiej na sto mil i spoglądała w dół, a potem nagle zdała sobie sprawę, że straciłaś równowagę...

– Tracisz czas, trattari – przerwał mi Toujean. – Kiedy użyłem proszku na chłopcu po raz pierwszy, śladowa ilość pozostała na mojej skórze i niemal uciekłem, wrzeszcząc z obawy o życie.

Stojący za mną Auć zachichotał.

– Czyli nie jesteś twardy gość, tak?

– Zamilknij, psie – rozkazał Toujean. – Kiedy rozpoczniemy w Rijou porządki, zawisniesz na szubienicy obok księcia.

– Zawisnę obok księcia? Duży awans dla Aucia, uhm?

– Valiano – powiedziałem. – Ten proszek wpuszcza wszystkie piekielne moce prosto do twojego serca. Wiem o tym. To przerażające. Większość ludzi nie może sobie z tym poradzić. Ale też większość ludzi nie bywa ścigana po całej północnej Tristii przez armię, która chce ich zabić. Większość ludzi nie musi brać miecza i walczyć z żołnierzami dwukrotnie większymi od siebie i mającymi dziesięciokrotnie lepsze wykształcenie. Ty to wszystko przeżyłaś.

– Skręcę chłopcu kark! – ostrzegł Toujean.

– A potem dostaniesz nożem w serce, co, spryciarzu? – powiedział Auć.

Toujean chwycił Tommera mocniej. Głowa chłopca poruszyła się lekko i teraz spoglądały na mnie trzy pary oczu.

– Valiano – z trudem przychodziło mi opanowanie głosu. – Większość ludzi po prostu skuliłaby się w kącie i czekała na śmierć, zamiast walczyć ze skutkami działania proszku. Ale większość ludzi nigdy nie dowiedziała się nagle, że całe ich życie było kłamstwem. Większość ludzi nie podniosłaby się po takim ciosie, walcząc z całym światem, tak jak ty – przysunąłem się do szczelin w drzwiach, usiłując przecisnąć przez nie rękę. – Valiano, stawiałaś czoła strachowi tyle razy, że żaden kiedykolwiek żyjący człowiek nie może się z tobą równać. Nie mów mi, że może cię powstrzymać jakiś proszek stworzony przez bandę tchórzów tak przerażonych światem, że muszą nosić maski, aby stawić mu czoła. To nie ty. Nigdy taka nie byłaś i nigdy się taką nie staniesz.

Toujean odwrócił szybko głowę, tylko na chwilę, żeby zerknąć na Valianę. Kiedy spojrzał na mnie z powrotem, zauważyłem na jego twarzy nieprzyjemny uśmiešek, mimo że granatowy jedwab

zasłaniał mu nos i usta.

– Niezły pomysł, trattari. Myślisz, że jesteś w stanie wzbudzić w niej odwagę, prawiąc kazania niczym jakiś żaloszny wędrowny kapłan? Muszę powiedzieć, że kiedy spróbowałeś tego ze mną, wtedy, przy czarnych drzwiach, poczułem ogromne wzruszenie. „Kiedy byłeś chłopcem, czy nie marzyłeś, by stać się bohaterem?” Odważne słowa, trattari, ale niestety odniosły nikły skutek, zarówno wtedy, jak i teraz. Obawiam się, że życie nie działa w ten sposób – sięgnął w dół i podniósł z podłogi miecz. – Moi przyjaciele wkrótce tu nadciągną.

Nadal go ignorowałem.

– Valiano, już czas! – powiedziałem surowo. – Powiedziałaś, że chcesz, aby twoje życie się liczyło, więc zrób to, teraz. To twoja chwila, więc wstań i zabij dla mnie tego skurwysyna.

Spojrzała na mnie, rozchylając usta z przerażenia, zupełnie jakbym poprosił ją o zrobienie czegoś gorszego nawet niż wizja, którą objawił jej proszek. Potem powoli, bardzo powoli odepchnęła się od podłogi i wstała. Dostrzegłem, że jej ręka sięga po miecz.

Toujean usłyszał skrzypienie jej płaszcza i odwrócił się. W tym momencie rzuciłem nożem. Miałem więcej szczęścia, niż na to zasługiwałem, ponieważ ostrze wbiło się w ramię rycerza, który wrzasnął i wypuścił Tommera z rąk. Chłopiec upadł na podłogę. Sięgnąłem po następny nóż, ale zanim zdołałem nim rzucić, Toujean chwycił Valianę za kołnierz i rzucił nią o żelazną ścianę celi. Dziewczyna odbiła się od niej, zataczając się w moim kierunku. Poczułem, jak jej dłoń dotyka na moment moich palców wystających przez szczeliny w drzwiach. Potwornie dygotała.

– Możesz to zrobić – szepnąłem. – Nie musisz się niczego

obawiać, poza...

Spojrzała na mnie przez szczeliny.

– Falcio, proszę cię, zamknij się już – powiedziała, szcękając zębami. Jedną ręką wsparta o ścianę, odzyskała równowagę, a potem odwróciła się i stanęła naprzeciwko Toujeana. – Po-poddaj się – zażądała.

– Chcesz ze mną zatańczyć, dziewczynko? – roześmiał się Toujean. Uniósł ostrze miecza do góry i zamarkował cios w kierunku twarzy Valiany, sprawiając, że zatoczyła się z powrotem na drzwi. Tym razem jednak natychmiast się wyprostowała i wyszła na środek celi. Jej miecz nieco drżał, ale był w pozycji do ataku. Chciałem rzucić kolejnym nożem, ale Toujean zaczął umiejętnie prowadzić Valianę po celi, upewniając się, że zawsze znajdowała się między nami.

Valiana pchnęła mieczem w pierś Toujeana, chociaż jej ręka trzęsła się tak bardzo, że ostrze falowało komicznie w powietrzu. Rycerz przeniósł ciężar ciała i wykonał półobrót, uśmiechając się triumfująco, gdy dziwaczny wypad go ominął. Valiana jednak nie zatrzymała się. Atakowała nadal, próbując ominąć jego zasłony i uderzyć w brzuch, szyję, nawet w nogi. Kiedy Toujean kontratakował, prawie nie starała się zasłaniać, polegając na ochronie zapewnianej przez kościane płytki wszyte w płaszcz. Cieszyłem się, że nie widziała Parricka, leżącego z mieczem wbitym w jego własny wielki płaszcz... i chociaż płytki jak na razie spełniały swoją rolę dość dobrze, Toujean był większy i silniejszy od Valiany, zaś jego miecz cięższy. Uderzył ją płazem w ramię, a potem w zebra. Za każdym razem krzywiłem się, jakby mnie to zabolalo.

„Do diabła, nie będziesz w stanie znosić tego dłużej. Zmusz go do zmiany pozycji, dziewczyno!”

Valiana starała się, jak mogła, ale za każdym razem, kiedy usiłowała zapędzić go w takie miejsce, żeby mógł spróbować rzutu nożem, Toujean reagował, zataczając mieczem obszerny łuk i zmuszając Valianę do zmiany pozycji po to tylko, żeby mogła odparować jego cios i nie stracić równowagi.

– Umrzesz, dziewczynko – powiedział, znów uderzając płazem, tym razem w jej miecz. – Jakie to uczucie mieć tego świadomość?

Valiana ustawiła się z powrotem w linii natarcia.

– Jak... jak ulga.

Roześmiał się znowu.

– Oto historia Tristii: głupia dziewczyna, nic więcej niż tylko niechciany owoc rui dwojga bezimiennych plebejuszy, wyobraża sobie, że jest wojowniczką – przerwał. – Czy ty w ogóle masz jakieś nazwisko, dziewczynko? – zapytał z zainteresowaniem. Uniósł miecz i uderzył z góry, kierując go potwornym skośnym cięciem ku jej szyi.

Valiana uniosła swój miecz na czas, aby sparować jego ostrze, ale Toujean znów poderwał swój oręż do góry, zakręcił nim i bez wysiłku uderzył ją mocno w żebra.

– Już wiem – zaczął radośnie. – Ja nadam ci imię! Co powiesz na... zastanówmy się? „Sukę”? „Zdzirę”? A może „dziwkę”? Mnie osobiście najbardziej podoba się to ostatnie – niemal od niechcienia wodził mieczem w tę i we w tę, zmuszając Valianę do cofania się w kierunku żelaznej ściany. Nie był w ogóle zmęczony, zaś siły Valiany szybko się wyczerpywały.

– Wiesz – powiedział, jakby poważnie się zastanawiał nad

sprawą. – Teraz, kiedy tak o tym myślę, „dziwka” to trochę za krótkie jak na prawdziwe nazwisko, nie sądzisz? Co powiesz na „martwą dziwkę”? Tak chyba jest lepiej, nie uważasz? Dobrze się układa na języku, prawda? – machnął mieczem jeszcze dwa razy, poruszając się szybciej. Uderzył Valianę w nogę, a potem znów w lewy bok. Tym razem usłyszałem trzaśnięcie łamanej kości.

Valiana zatoczyła się do tyłu. Za kilka chwil miała umrzeć.

– Przestań! – krzyknąłem do rycerza. – Proszę, przestań. Nie rób tego.

Toujean zignorował mnie, był przepełniony zadufaniem i pasją. Przysunął się bliżej do Valiany.

– Masz rację co do jednego, panie rycerzu – powiedziała, niepewnie przyjmując pozycję. – To jest historia Tristii, opowiadana właśnie tu, w tej celi, schowanej głęboko we wnętrznościach tego odrażającego pałacu, w samym sercu najbardziej zepsutego miasta na świecie. Jest to opowieść o rycerzu tak pełnym hańby i tchórzostwa, że zdolny był zabić małego chłopca, aby zrealizować swoje brudne pragnienie władzy.

– Zamknij się, Martwa Dziwko. Nie jestem jakimś chłopskim synem, z którego możesz sobie drwić. Jestem tristiańskim rycerzem!

– To prawda, jesteś – Valiana ledwie trzymała się na nogach. Sztych jej miecza powoli opadał w dół. – A ja... ja jestem Valiana val Mond, chłopka, głupia dziewczyna i Wielki Płaszcz jednocześnie – zacisnęła palce na rękojeści miecza. – Jestem również Martwą Dziwką, która zaraz cię zabije.

Uniosła miecz w linii i natarła, mierząc w brzuch Toujeana. Ten jednak odbił ostrze i pchnął mieczem w jej pierś.

„Szybki”, pomyślałem. „Jest za szybki, do diabła! Nie zdoła go zablokować”. Ale Valiana wcale nie próbowała. Pozwoliła, żeby jego miecz uderzył ją w lewą stronę piersi. Usłyszałem trzask łamiących się płytek kościanych w jej płaszczu i mógłbym przysiąc, że dotarł do moich uszu również odgłos przebijanej skóry, a potem czegoś miękkiego i mokrego...

Toujean otworzył szeroko oczy z zaskoczenia i zadowolenia.

– Ona po prostu... sama w to weszła! – uśmiechnął się szerzej. – Ty głupia dziwko, powinnaś wiedzieć, że nigdy nie należy zamierzać się z bronią na ro... rodowitego – spojrzał w dół i dopiero wtedy zauważył miecz Valiany tuż pod swoją szyją.

– Witamy w Tristii – powiedziała i chwytając rękojeść obiema dłońmi, pchnęła w górę, przebijając mu szyję i wpychając sztych w czaszkę.

Toujean stał tam przez chwilę, spoglądając w jej oczy: wyglądali niczym dwoje bardów, każdy przekonany, że to jego opowieść jest prawdziwa. Potem zaczął gwałtownie mrugać, a z kącików jego oczu popłynęły strużki krwi, gdy przebity mózg zaczął powoli wylewać się z czaszki. Krew ściekała mu po twarzy i przez chwilę wyglądał, jakby płakał krwawymi łzami smutku. Valiana wyciągnęła miecz i odepchnęła go od siebie. Rycerz upadł, a sztych jego miecza wysunął się z piersi dziewczyny. Valiana upuściła własną broń i opadła na czworaki obok nieprzytomnego Tommera.

„Nie, błagam, nie!”, pomyślałem, szarpiąc bezskutecznie za klamkę żelaznych drzwi.

Bardzo powoli prawa ręka Valiany przesunęła się po zakurzonej podłodze, aż wreszcie jej palce dosięgły klucza. Nie patrząc, rzuciła go w moją stronę i udało mi się go schwycić – ledwie, ledwie, ale

udało się. Drżącymi dłońmi usiłowałem włożyć klucz do zamka, aż wreszcie Auć odebrał mi go i szybko otworzył drzwi do celi.

Wbiegłem do środka i opadłem na kolana obok Valiany, unosząc jej głowę i opierając sobie na udach. Wyciągnąłem z kieszeni płaszcz opatrunek i przycisnąłem go do rany. Valiana zamrugła oczami, a kolor zaczął znikać z jej twarzy.

– Valiano! – krzyknąłem. – Nie odchodź! Proszę...

Uniosła rękę i położyła ją na mojej dłoni.

– Szystkowporządku – wyszeptała niewyraźnie. Odwróciła głowę i spojrzała na księcia Jillarda, kulącego się w kącie i ciągle przerażonego niemal śmiertelnie.

– Założę się, że chciałbyś teraz, abym była twoją córką – powiedziała.

DZIELNI LUDZIE

– Gdzie, do wszystkich diabłów, jest ten uzdrowiciel? – wrzasnąłem, tuląc Valianę jednym ramieniem, drugim zaś przyciskając opatrunek do jej piersi i powstrzymując upływ krwi.

Tommer podniósł się z podłogi i rozejrzał nieprzytomnie, jakby obudził się z głębokiego snu. Podeszedł do nas i spojrzał na Valianę.

– Siostró – powiedział. – Wyglądasz na zmęczoną.

Valiana z wysiłkiem otworzyła na chwilę oczy i uśmiechnęła się do niego, ale nic nie powiedziała.

W korytarzu rozległo się echo kroków i wkrótce w drzwiach pojawił się Kest, a za nim Darriana i Shiballe w asyście kilku książęcych zbrojnych.

– Uzdrowiciel już idzie – powiedział Kest. – Jest tuż za nami, będzie tu lada chwila...

Shiballe wbiegł do celi. Jillard nie dygotał już tak bardzo, siedział tylko, mamrocząc coś do siebie. Byłem przekonany, że w ciągu godziny będzie znów starym dobrym draniem, jak zawsze.

– Uzdrowiciel najpierw zajmie się księciem – powiedział Shiballe, który znowu siedział mocno w siodle. – Potem

Tommerem, a na końcu – spojrzał z niesmakiem na Valianę – rozważę waszą prośbę o pomoc.

– Kest – powiedziałem spokojnie. – Kiedy przyjdzie uzdrowiciel, skieruj go od razu do mnie.

Shiballe spojrzał na strażników stojących przed celą.

– Aresztujcie trattari – rozkazał. – Aresztujcie ich wszystkich.

– Och, i Kesta też? Możesz zabić tylu, ilu trzeba, aby upewnić się, że uzdrowiciel będzie miał swobodny dostęp do Valiany.

Tommer pokręcił głową na moje słowa.

– Wystarczy – wskazał na ciała zaścieniające podłogę. – Zbyt wiele śmierci się tu wydarzyło – odwrócił się ode mnie i podszedł do Shiballe'a. – Mojemu ojcu nic nie będzie. Za kilka godzin proszek przestanie działać. Moja siostra jest ciężko ranna. Uzdrowiciel zajmie się nią jako pierwszą.

– Ona nie jest twoją siostrą – powiedział Shiballe. – To tylko wieśniaczka. Jest...

– Jestem synem księcia Jillarda – powiedział Tommer. – Pewnego dnia, być może wkrótce, zostanę księciem Rijou. Radzę ci o tym pamiętać.

Przez chwilę Tommer przestał być posiniaczonym i przerażonym jedenastolatkiem i stał się przyszłym władcą najpotężniejszego księstwa Tristii. Twarz Shiballe'a zaczęła przybierać kolor niezwykle bladej szarości.

– Ja... oczywiście, sir.

Tommer odwrócił się do Valiany i spojrzał na nią z taką dawką uczucia, jakiej nie spodziewałbym się nigdy po chłopcu, który przeżył właśnie takie potworności, jak on.

– Valiana jest moją siostrą, jeśli ja tak mówię – usiadł obok niej,

oparł głowę o jej ramię i zamknął oczy. – Uzdrowiciel zajmie się najpierw nią.

– A może pozwolimy osobie, która ma ku temu podstawy, aby ona zdecydowała, którymi pacjentami i w jakiej kolejności ma się zająć? – rozległ się męski głos za plecami strażników. – Z drogi, głupcy.

Strażnicy rozstąpili się, robiąc miejsce dla starszego mężczyzny o siwych włosach, niosącego skórzaną torbę uzdrowiciela. Jego wymyślne czerwono-złote szaty oznaczały, że jest arystokratą. Spojrzał na Tommera, potem na Jillarda, a następnie przyklęknął, żeby zajrzeć Valianie w oczy. Dotknął jej czoła i szyi, a potem przyłożył wierzch dłoni do jej policzka.

– Nazywam się Firensi – powiedział. – Czy moja ręka wydaje ci się zimna czy ciepła?

– Trochę jakby zimna – odparła Valiana.

– Jest ranna w pierś – powiedziałem. – Dlaczego...

– Wiem, gdzie jest rana. Muszę się jednak dowiedzieć, jak dobrze radzi sobie z nią jej ciało.

– Czy mam ją położyć na plecach?

– Tylko jeśli chcesz ją zabić – uzdrowiciel otworzył swoją torbę i wyciągnął zeń niewielkie drewniane pudełko. W środku znajdowały się małe białe pigułki.

– Weź jedną i trzymaj na języku – powiedział do Valiany, wkładając jedną do jej ust. – Nie połykaj. Pozwól, żeby się rozpuściła. Ból zelżeje i poczujesz, że ogarnia cię spokój.

Pomyślałem o Beytinie i jej zgromadzeniu głupców z nalewkami, które świetnie smakowały i koły ból, ale nie robiły nic, by ocalić pacjenta od śmierci.

– Czy jest... czy jest tu gdzieś w pobliżu wiejski uzdrowiciel? – spytałem.

Firensi uniósł brwi, ale nie odwrócił wzroku od Valiany.

– Uważasz, że jestem jakimś dworskim fircykiem, który przyrządza wonne wywary bogatym szlachcicom, aby byli w stanie zadowolić w łóżku swoje żony?

– Ja... – spieranie się z nim niczego by nie polepszyło. Może chociaż raz w życiu powinienem się zamknąć. – Nie, ja...

– Bo tym właśnie jestem – powiedział. Wyciągnął z torby bandaż, plastry, igły oraz butelki z jakimiś płynami i ustawił je obok torby. – Lubię dobre jedzenie i dobre wino. Lubię spać w miękkim łóżu, zaścielonym przez kogoś innego – spojrzał na mnie i położył mi dłoń na ramieniu. – Ale moja matka była wiejską uzdrowicielką i potrafiła wrócić do życia nawet zmarłych, jeżeli się uparła. Ta dziewczyna jest od tej chwili pod moją opieką i zrobię dla niej wszystko, co mogę – ścisnął palcami moje ramię, naciskając na nerw, przez co poczułem się, jakby ktoś wbijał mi szpile w stawy. – A teraz zejź mi z drogi i pozwól pracować.

Wysunąłem ramię spod Valiany i oparłem ją o ścianę, ale kiedy zacząłem wstawać, chwyciła mnie.

– Nie chcę umrzeć, Falcio.

Spojrzałem na nią, na zwisające w mokrych strąkach ciemne włosy, bladą skórę i zmarszczki bólu przecinające jej czoło.

– Wiem, że pewnie tak to wygląda, ale naprawdę nie chcę – powiedziała. – Jestem przerażona śmiercią. Przerażona. Kiedy rycerze... księżę Jillard i ja skupiliśmy się na Tommerze, zaś sir Istan i Parrick pilnowali wejścia, żeby nikt nas nie zaatakował. Sir Toujean i ten drugi człowiek byli ranni, wyglądali strasznie, ale

nagle obaj skoczyli na nogi i zanim się zorientowałam, co się dzieje, biedny sir Istan miał rozplątane gardło, a Parrick miecz w boku.

– Wszystko w porządku – odparłem. – Możesz mi o tym opowiedzieć później. Nie umrzesz – spojrzałem na Firensiego, który oczyszczał jej krwawiącą ranę z kawałków skóry. Jeżeli znał los Valiany, jego spojrzenie nie zdradziło mi niczego.

Valiana zakaszła.

– Sir Toujean sięgnął do granatowej sakiewki i rzucił nam proszkiem w twarz. Próbowałam nie oddychać, ale...

– Proszek przenika do wnętrza przez skórę – powiedziałem.

– Dziwne – rzekł Firensi, zaczynając wcierać w ranę jakiś dziwny lepki balsam, który śmierdział podobnie jak trupy w celi. – Nie czytałem o czymś takim w żadnej z moich ksiąg.

Kiedy wsadził palec do rany, Valiana drgnęła z bólu i ścisnęła mnie za ramię.

– Kiedy cię poznałam, byłeś człowiekiem, który bez wahania rzucał się w sam środek niebezpieczeństwa, żeby ocalić innych. Nienawidziłeś samego siebie, Falcio. Sprawiliś, że poczułam się jak mała rozpieszczona dziewczynka, która udaje księżniczkę. Przypuszczam, że właśnie taka byłam. Kiedy powiedziałeś, że zostaniesz w Rijou, aby chronić Aline... była bez znaczenia, po prostu jakieś dziecko z pomniejszej rodziny szlacheckiej, i pamiętam, że pomyślałam: „Jeżeli on zginie za tę dziewczynkę, jeśli się poświęci, aby ocalić jedno małe dziecko... co powiedzą o nim ludzie?”

– Że był idiotą – usiadłem z powrotem obok niej. – Urodzony w biedzie, wychowany na głupca, umarł jak kretyn.

– To nieprawda – Valiana wsunęła swoją dłoń w moją. – Już

dawno powinienesz to zrozumieć. To, co pamiętają o nas ludzie, zawsze się liczy. Czym jesteśmy tak naprawdę, jeśli nie naszymi aktami odwagi lub tchórzostwa, hojności lub chciwości? Nie chcę umierać, Falcio, ale jeśli tak się stanie, co ludzie powiedzą o mnie?

– Że miałaś niezwykle wypaczone pojęcie o filozofii – odparłem, przyglądając się, jak Firensi opatruje jej ranę jakimś grubym, żylastym bandażem, jakiego nigdy przedtem nie widziałem.

Valiana roześmiała się krótko, a zaraz potem skrzywiła z bólu.

– Nie. Powiedzą, że prosta dziewczyna bez imienia wzięła w dłoń miecz i ocaliła życie synowi księcia, chociaż wiedziała, że tak naprawdę nie jest jej bratem. Powiedzą, że odwaga sierot potrafi dorównać odwadze każdego arystokraty i rycerza. Spojrzą na jakąś inną szaloną dziewczynę i zaczną się zastanawiać, czy ona też może zostać bohaterką – ścisnęła moją dłoń. – Brzmi jak niezła historia, prawda?

– Cholernie dobra opowieść – odparłem.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

– To dobrze. A teraz idź i powstrzymaj całe to szaleństwo. Jestem trochę śpiąca.

Poczułem ukłucie strachu, czując, jak jej oddech spowalnia i staje się płytki.

– To balsam – Firensi wstał i przeciągnął się. – Przez jakiś czas będzie spała. Możemy ją stąd zabrać dopiero za kilka godzin. W tym czasie każę usunąć stąd te wszystkie ciała i przynieść koce. Dziewczyna potrzebuje ciepła.

Przyszło mi coś do głowy.

– W pobliskim mieście, Merisaw, jest kobieta. Ma na imię Ethalia...

– Cóż to, kolejna wiejska uzdrowicielka? Jakaś niedorozwinięta aptekarka, której rodzice byli rodzeństwem? Nadal mi nie ufasz, co?

– To siostra Miłosiernego Światła – odparłem. – One potrafią...

– Wiem, kim są – Firensi spojrział na Valianę. – Nie jest to w zasadzie najgłupsza rzecz, jaka wyszła z twoich ust. Wprawdzie to głównie duchowe bzdety, ale istnieją dowody na to, że czasem pomagają ciału szybciej wyzdrowieć. Ethalia z Merisaw, tak? Wyślę po nią kogoś za dzień lub dwa – zacząłem protestować, ale uciszył mnie gestem dłoni. – Nic nie pomoże w leczeniu rany po mieczu, dopóki jej ciało nie postanowi, czy chce żyć, czy umrzeć. Wyślę po tę kobietę, kiedy będzie po temu czas.

Ludzie Shiballe'a odepchnęli mnie na bok, wnosząc kilka ośmiostopowej długości kijów zawiniętych w płótno. Na polecenie Firensiego rozłożyli je. Okazało się, że są to nosze. Ostrożnie ułożyli na nich Tommera. Potem dwóch mężczyzn wyniosło go z celi, podczas gdy pozostali dwaj powtórzyli to samo z Jillardem. Firensi machnął ręką na pozostałych, odsyłając ich z powrotem. Najwyraźniej miał zamiar zostać i osobiście czuwać nad Valianą.

Toujean i jego kompani zostali wywleczeni z celi, żeby zgnić spokojnie gdzie indziej.

Wyszedłem na korytarz i znalazłem tam czekających na mnie Kesta i Darrianę.

– Parrick nie żyje – powiedział Kest. – Nóż przebił mu wątrobę.

Przygotowałem się na falę żalu i bólu, ale nic nie poczułem. Parrick stał z boku i milczał, kiedy torturowano mnie w jednej z cel nad nami. Być może to małostkowe z mojej strony – w końcu wypełniał ostatni rozkaz króla i to co do joty – ale miałem to

w dupie. Króla też miałem w dupie.

– Twój przyjaciel usiłował zatrzymać krwawienie – Kest wskazał na Aucia, który klęczał obok ciała Parricka. – Ale było już za późno.

Auc podniósł się z podłogi. Dłonie miał umazane krwią. Spojrzał na nie, jakby chciał je sobie obciąć.

– Zupełnie, kurwa, bez pożytku – powiedział. – Dobrze tylko do zadawania bólu. Niedobre do ratowania komuś życia.

Uderzył mnie wyraz twarzy tego dziwnego brutala: pełen żywego, autentycznego smutku i żalości. W Auciu było tak wiele przemocy, a jednak w głębi duszy szukał czegoś lepszego w swoim życiu.

Przyklęknałem i zdjąłem z Parricka płaszcz, ściągając najpierw rękawy, a potem bezceremonialnie przekręcając jego ciało na plecy. Trup podczas tej operacji wpatrywał się we mnie niewidzącym spojrzeniem.

– Co ty robisz? – spytała Darriana.

Wręczyłem płaszcz Auciowi.

– Załóż go.

Oczy Aucia zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Nie jestem jebanym...

– Wiem. Nie jesteś jebanym twardym Wielkim Płaszczem. Załóż go tak czy owak.

Wielkolud wsunął ramiona w rękawy i ze zdumieniem zauważyłem, że wielki płaszcz Parricka całkiem dobrze na nim leży. Był trochę przydługi, ale pasował na szerokość w ramionach i obwodzie klatki piersiowej. Auc przesunął dłońmi po skórze i pomacał guziki z przodu. Traktował okrycie, jakbym wręczył mu

święte szaty kapłana.

– Oszalałeś do reszty? – spytała Darriana. – Zamierzasz uczynić...

– Musisz złożyć przysięgę – powiedział Kest do Aucia.

Były kat spojrział na nas.

– Co to przysięga?

Ani Kest, ani ja nie odpowiedzieliśmy. Zawsze tak było i jest.

– To jest śmieszne! – Darriana była bardziej rozgniewana, niż spodziewałbym się po kimś, kto nie dbał o Wielkie Płaszcz. – Co by powiedział wasz ukochany król, gdyby dowiedział się, że daliście wielki płaszcz przekłętemu katowi?

– Nie wiem nic o żadnym królu – powiedział gniewnie Auć, krzywiąc się. – Jebać królów. Jebać książąt. Liczy się tylko prawo. Piąte prawo: żadnej niesprawiedliwej kary dla nikogo. Żadnych tortur. Żadnych tortur dla nikogo. Dajesz mi płaszcz? Pójdę i pobiję każdego, kto będzie próbował torturować innych. Chcesz przysięgę? Piąte prawo jest moją przysięgą. Jebać was, jeżeli się wam nie podoba!

Kest spojrział na mnie.

– To... bardzo oryginalne.

– Wystarczy – odparłem.

Dobiegł mnie piskliwy cichy śmiech.

– Spójrzcie – zawołał Shiballe, stający obok noszy księcia Jillarda. – Założyli płaszcz na wieprza i nazwali go trybunem. Może powinien zacząć rozsądzać spory między krowami i kurami?

Auć podszedł do Shiballe'a.

– A co mi po jebanym robalu? Jebanym księciu? Może jak nie będzie więcej ludzi księcia, nie będzie potrzeba twardych Wielkich

Płaszcz, co!?

Książę, nadal dygoczący, usiłował się unieść na noszach. Wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale nigdy nie usłyszałem jego słów. W całym zamieszaniu i przerażeniu, a potem w nagłej uldze po śmierci Toujeana zapomnieliśmy o jednym. „Dashini”.

Walki nie wygrywa się siłą lub szybkością, ani też stosowaniem na przemian bloków i ataków. To wszystko tylko wstęp. Walkę wygrywa się pojedynczym ciosem, którym można przechytrzyć przeciwnika, przedostając się za jego osłonę i odbierając mu życie. Jeżeli człowiek mógłby opracować jedną sekwencję ruchów, która pozwoliłaby to osiągnąć, nie potrzebowałby się martwić niczym innym. Jeden doskonały atak – to właśnie zaprezentował dashini.

Kest zauważył go pierwszy. Świat jego umysłu jest zbudowany z kątów i trajektorii. Poczulem, że nagle sztywnieje, i dopiero wtedy zorientowałem się, że spojrzenie księcia koncentruje się odrobinę za nami i nad nami.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy biegnącego ku nam nagiego asasyna. Jego prawa dłoń była zmasakrowana: palce krwawiły, a kość najmniejszego była na wierzchu. Pierwszą moją myślą było pytanie, czy to właśnie w ten sposób otworzył drzwi swojej celi.

– Dashi... – zacząłem krzyżeć, ale już sięgając po mój lewy rapier, wiedziałem, że nigdy nie wyciągnę go na czas.

Gdyby dashini trzymał w dłoni ostrze, mógłby je wbić w moje gardło. Był jednak bez broni, a poza tym to nie ja byłem jego celem. Kiedy już niemal do nas dotarł, podskoczył w górę i w prawo, odpychając się stopą od małego skalnego występu znajdującego się

dwie stopy nad podłogą, szerokiego zaledwie na półtora cala. Dashini przeskoczył nad naszymi głowami.

– Chronście... – krzyknął jeden ze strażników stojących między nami a księciem. Kiedy się odwróciłem, zauważyłem, że zdążył wyciągnąć broń i ustawiał ją w zasłonie, gdy dashini, opadając w dół z ugiętymi kolanami, uderzył w pierś mężczyzny.

Strażnik przewrócił się, wpadając na jednego ze swoich kolegów, i również go obalił. Zanim dotarliśmy do nich z Kestem, dashini zdążył już wykorzystać tułów strażnika jako platformę, z której mógł się odbić i znów skoczyć w górę. Teraz w świetle kaganków błysnęła stal: dashini miał w ręku miecz strażnika.

Dwaj mężczyźni, którzy trzymali nosze z Jillardem, rozsądnie pozwolili im opaść na ziemię – razem z księciem oczywiście. Jeden z nich próbował dobyć miecza, drugi tylko skrzyżował ramiona przed twarzą, zasłaniając się. Co zabawne, żadna z tych taktyk nie zadziałała. Obaj zginęli od jednego uderzenia mieczem, które odjęło jednemu rękę, drugiemu zaś głowę.

Nie minęło nawet siedem sekund od chwili, gdy krzyknąłem „dashi...”, i asasyn stał nad bezradnym księciem Jillardem, opuszczając miecz skierowany sztychem w dół w jednym idealnym pchnięciu.

Dashini nie tylko uciekł z celi, ale obserwował nas z cienia i obmyślił skomplikowaną sekwencję ruchów, którym żaden z nas nie miałby szansy zapobiec. Wziął pod uwagę wąskie korytarze i tuzin strażników, moje odruchy i szybkość Kesta. Zaplanował to, biorąc pod uwagę każdego przeciwnika.

Z wyjątkiem jednego.

Auc stał obok księcia, ale w przeciwieństwie do nas wszystkich

nie próbował dobyć broni, zasłonić się przed ciosem albo odsunąć z drogi. Kiedy miecz, który miał pozbawić księcia życia rozpoczął swoją wędrówkę w dół, Auć wbił się w dashiniego całym ciężarem swojego ciała. Każdy zdrowy na umyśle człowiek usiłowałby rozbroić przeciwnika lub chociaż go ranić, ale nikt nigdy nie oskarżył byłego kata o zdrowy rozsądek. Auć objął dashiniego i przytrzymał.

Miałem już w dłoni rapier, ale strażnicy byli zbyt zajęci wchodzeniem nam w drogę, starając się oddzielić asasyna od jego celu. Na początku dashini usiłował zignorować Aucia i sięgnąć mieczem, by poderznąć gardło Jillardowi. Auć jednak przycisnął go do twardej ściany. Przecisnąłem się obok jednego ze strażników, który stał mi na drodze i dostrzegłem błysk w oczach asasyna. Nie był to błysk gniewu, frustracji ani nawet strachu, lecz raczej żalu, może nawet przeprosin. Dashini uniósł wysoko ramiona, a potem natychmiast opuścił je w dół. Jego łokcie uderzyły w szyję Aucia po obu stronach. Dashini zerknął na księcia, ale w tej chwili nawet najlepszy na świecie asasyn nie zdołałby się do niego przedostać – nie z otaczającymi go murem strażnikami. Kest i ja byliśmy już niemal w zasięgu. Kiedy masywne ciało Aucia zaczęło osuwać się na ziemię, dashini pchnął go na ludzki mur, a potem, pochylając się nisko, prześlizgnął się pod przecinającym gniewnie powietrze mieczem gwardzisty.

Przebiegł obok strażników, Tommera na noszach i obok drzwi do celi z Valianą, kierując się w stronę korytarza, który mógł go wyprowadzić na górę z lochów.

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem, usiłując nadaremnie przecisnąć się przez strażników, którzy byli tak zdeterminowani, aby utworzyć

żywy mur wokół księcia, że zupełnie uniemożliwili mi i Kestowi osiągnięcie asasyna.

Ku mojemu ogromnemu zdumieniu dashini się zatrzymał. Odwrócił się do nas i powiedział:

– Zawiodłem. Jesteśmy zgubieni. Przyjdź po mnie, Falcu val Mondzie. Jeżeli chcesz poznać odpowiedzi na swoje pytania i dowiedzieć się, jak bardzo pusty stał się nasz świat – z tymi słowy odwrócił się i zniknął bezszelestnie w korytarzu.

– Straże! – wrzasnął Shiballe, skulony pod ścianą. – Schwytajcie tego człowieka!

Trzech strażników rzuciło się za asasynem, pozostawiając resztę do ochrony księcia. Nie mieli jednak szans. Shiballe przyprowadził wszystkich swoich gwardzistów na dół. Jeżeli ktoś pozostał na schodach, w co wątpię – Shiballe nie należał do ludzi, którzy rozważali wszystkie scenariusze podobnych sytuacji – nie będzie ich wystarczająco wielu, aby powstrzymać kogoś tak doskonale wyszkolonego w ucieczkach, jak dashini. Nie wspominając o tym, że nie byłiby przygotowani na spotkanie z nim.

Nadal nie mogłem się przedrzeć przez linię mężczyzn, zdeterminowanych nie dopuścić do księcia nikogo, aż wreszcie Jillard, wyraźnie zirytowany, krzyknął:

– Przepuście go!

Mruczając niechętnie pod nosem, rozstąpili się i kiedy wszedłem między nich, zobaczyłem Jillarda i Aucia leżących na podłodze w jednej linii, z głowami blisko siebie.

– Ty... rzuciłeś się na człowieka, który przyszedł mnie zabić – powiedział Jillard.

– Głupi książę. Myślałem, że chce zabić chłopca – odparł Auc.

Jego oczy były zamglone, niemal mleczone w kolorze.

Przyklęknąłem przy nim i położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Czujesz moją rękę?

– Nie czuję nic.

– Firensi! – krzyknąłem, ale nie było takiej potrzeby.

Uzdrowiciel zbliżał się już do nas. Pochylił się i zbadał boki szyi Aucia, a potem spojrzał na mnie. Nie musiał nawet pokręcić głową.

Odwróciłem się, szukając Kesta, ale oczywiście on też już tu był.

– Nie możemy nic dla niego zrobić, Falcio. To Pustynne Miłosierdzie. Wkrótce będzie po wszystkim.

– Miłosierdzie – zachichotał Auć. – Chyba tak. Nic nie czuć nie jest źle.

Chwyciłem go za rękę, chociaż wiedziałem, że o tym nie wie.

– Czy masz jakąś rodzinę? Kogoś, kogo chciałbyś, żebyśmy...

– Powiedz jebanemu koniowi – zażądał, a potem człowiek, którego nazywałem Auciem, chociaż oczywiście nie było to jego imię, westchnął po raz ostatni i przestał oddychać.

Był brutalnym oprawcą przez większość swojego życia, ale umarł będąc Wielkim Płaszczem, niecałe pięć minut po tym, jak założył na siebie nasze oficjalne okrycie.

DASHINI

Kest, Darriana i ja kolejne sześć dni spędziliśmy, ścigając asasyna dashinich, podążając za nim przez lochy pałacu Rijou, przez miasto i na południe, przez lasy północnego Aramoru. Każdy dzień prowadził nas coraz bardziej zaniedbanymi, mało uczęszczanymi drogami w dół, aż wreszcie ścieżka rozeszła się na dwie, zbyt wąskie, aby poprowadzić przez nie konie.

– Musimy je tu zostawić – powiedział Kest.

Zsiadłem z konia i zacząłem przywiązywać go do drzewa. Nagle przerwałem. Skąd mieliśmy wiedzieć, czy będziemy wracać tą samą drogą? I czy w ogóle wrócimy? Byłoby okrucieństwem zostawić konia przywiązanego do drzewa w tej głuszy. Położyłem siodło z jukami na ziemi i wyciągnąłem małą torbę z suszonym jedzeniem i podstawowymi zapasami, które miałem przygotowane właśnie na taką okazję.

– Chodźmy – zarzuciłem torbę na plecy i ruszyłem leśną dróżką.

– Właściwie to dlaczego ścigamy tego sprzedajnego dashiniego? – spytała Darriana, podbiegając do mnie. Pytała o to samo już dobre kilka razy. Miałem nadzieję, że w końcu się

znudzi. – Sam powiedziałaś, że to rycerze uprowadzili Tommera, i oni wszyscy nie żyją.

– Toujean i reszta czekali na sposobność – odpowiedziałem. – Wiedzieli, że ktoś wyśle asasyna, aby zamordować księcia, więc wykorzystali jego pojawienie się do porwania Tommera.

– Dlaczego? – spytała.

– Nie mam pojęcia dlaczego – odpowiedziałem po raz szósty. – Wiem tylko, że dopóki nie zrozumiem, w jaki sposób są w to wszystko zamieszani dashini, nie będę w stanie powstrzymać zabijania.

– Zbliżamy się – Kest spojrzał na błotniste podłoże.

– Oczywiście, że się zbliżamy, ty idioto! Falcio prowadzi nas na śmierć! Jest tak zdeterminowany, by poznać jego sekrety, że wszyscy pomrzemy, zanim je odkryje!

Zatrzymałem się na chwilę i oparłem o drzewo. Ścieżka zakręcała i wspinaliśmy się teraz po zboczu wzgórza. Wsunąłem rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem małą paczuszkę zawiniętą w jedwab – dużo mniejszą niż tydzień temu – i odłamałem kawałek twardej lukrecji. Był prawdopodobnie nieco większy, niż potrzeba. Przyjrzałem mu się, a potem włożyłem do ust.

– A to kolejna rzecz – ciągnęła Darriana. – Jak długo jeszcze sądzisz, że będziesz mógł funkcjonować bez snu za pomocą tej mieszanki, którą wciąż jesz, kiedy sądzisz, że nikt nie patrzy?

Nie było to całkiem głupie pytanie. Od wyjazdu z Rijou nie pozwoliłem sobie na zamknięcie oczu na dłużej niż kilka minut. Bałem się, że znów ogarnie mnie paraliż i stracimy trop. Przez sześć dni zatem polegałem na twardej lukrecji: sześć dni bez snu, o jeden dzień dłużej, niż kiedykolwiek wytrzymałem, i o dwa dłużej,

niż było to bezpieczne, zdaniem królewskiego aptekarza.

– Ma rację – powiedział Kest. – Ledwie się trzymasz na nogach, Falcio.

Milczał przez większą część podróży, tocząc własną walkę wewnętrzną. Pragnienie, aby wyciągnąć miecz, było tak silne, że spalało go od środka.

– Czuję się dobrze – odparłem. – Po prostu oszczędzam sobie na jedną naprawdę solidną drzemkę. Muszę tylko wypocząć jedną minutkę.

– Nie, nie potrzebujesz jednej minuty. Nie przetrwasz w takim stanie kolejnego dnia, Falcio. Ledwie nadążasz, a kiedy schwytemy asasyna, co zrobimy, jeśli nie będzie sam?

– Właśnie – przyłączyła się Darriana. – Wiedział, że nie może nas wszystkich pokonać w zamku Jillarda, więc zagrał na twojej sławnej na cały świat potrzebie odpowiedzi, by zwabić nas w pułapkę.

– Cóż, zdecydowanie próbuje nas zwabić – zgodził się Kest, wskazując na dróżkę przed nami.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Przestało padać zaledwie godzinę temu – podniósł gałązkę jeżyny wdeptaną w grunt czyimś butem. – Spójrz: włókna w złamaniu są suche.

Nie było to pierwsze tego typu zdarzenie. Za każdym razem, kiedy sądziliśmy, że jesteśmy już blisko, ślad asasyna znikał, a kiedy go odnajdywaliśmy, wyglądał na kilkudniowy. Chwilami byłem przekonany, że nas zgubił, ale po kilku godzinach zawsze odnajdywaliśmy jakieś znaki, że tędy przechodził.

Przyjrzałem się gałązce.

– W takim razie oznacza to, że przechodził tędy zaledwie przed chwilą. Jesteśmy blisko.

– Nie – powiedział Kest. – Spójrz na głębokość odcisków. Przechodził tędy wczoraj. Potem wrócił inną drogą i znów tędy przeszedł, po swoich własnych śladach. Wtedy właśnie jeżyna wpadła mu pod but – spojrzał na mnie. – Nie my jesteśmy blisko niego, Falcio. To on jest blisko nas. Powiedział ci, żebyś podążył jego śladem i teraz upewnia się, że zrobimy dokładnie to, co mówił. Dashini chce ciebie, Falcio.

Roześmiałem się chrapliwie.

– Myślę, że masz przesadne pojęcie o mojej ważności.

Dłoń Darriany pojawiła się znikąd i wymierzyła mi policzek.

– Cholerny głupcze! Nadal mówisz sobie takie rzeczy? Dlaczego? Dlaczego to takie dla ciebie ważne, żeby sobie wmówić, że jesteś tylko jednym z Wielkich Płaszcy, usiłującym wprowadzać w życie zwykłe prawa?

Byłem autentycznie zaskoczony jej przesadną reakcją. Spodziewałem się, że będzie chciała zabić dashinich po tym, co zrobili jej matce. Darriana miała skłonność do brawury, a to była jej szansa na rewanz.

– Dlatego że to właśnie...

– To wszystko dzieje się z twojego powodu, Falcio! – krzyknęła. – Nie zrozumiałeś tego jeszcze? Powiedziałeś, że asasyn twierdził, iż został w celi, czekając na możliwość zabicia Jillarda. Dlaczego więc nie zabił go podczas zamieszania z rycerzami w celi? Albo zaraz potem? Mógł prześlizgnąć się obok gwardzistów księcia i poderżnąć sukinsynowi gardło, jak zamierzał. Zamiast tego jednak zdradził ci swój cel, tylko po to, żebyśmy ruszyli za nim

w pościg. Dlaczego? Z jakiego powodu dashini zrobiły coś takiego? – dźgnęła mnie palcem w pierś. – Dlatego że pokonanie ciebie jest dla nich znacznie ważniejsze niż ich pieprzone przysięgi. Ot co!

Spojrzałem na Kesta.

– Sądzisz, że powinniśmy zrezygnować?

Zawahał się na chwilę, a potem powiedział:

– Nie. Wszystko, co powiedziała Darriana, jest najpewniej prawdą, ale to, co powiedziałeś o dashinich i ich związku z wojną domową, która pochłonie cały kraj? To również prawda. A to oznacza, że masz rację: dopóki nie dowiemy się, jaka jest ich rola w tym całym spisku, nigdy nie będziemy w stanie go powstrzymać.

– A w jaki niby sposób podążanie tropem asasyna ma w tym pomóc? – spytała Darriana gniewnie. – On się z nami bawi. Zagania nas jak jakieś głupie owce. Gubi nas, a potem przychodzi z pomocą, upewniając się, że odnajdziemy jego trop. Dla niego to wyłącznie gra: szansa, żeby nas zmęczyć, zanim zabije.

– W takim razie będzie to gra, której pożałuje – powiedział Kest.

– Czy ty naprawdę do reszty straciłeś rozum, wielki „Święty od Mieczy”? – spytała. – Co, jeżeli będzie tam nie tylko on jeden? Gdziekolwiek znajduje się „tam”. Co, jeśli będą tam czekały na nas tuziny dashinich. I co, jeśli, wyobraź sobie tylko, postanowią, że nie będą stali grzecznie w rządku, czekając, żebyś ich pokonał po kolei?

Kest zignorował pytanie i wspiął się na zwałone drzewo, które leżało nam na drodze. Mimo tego Darriana nadal z nami nie skończyła.

– Oni nie są wojownikami, Kest, tylko zabójcami – krzyknęła. – Ich nazwa oznacza „rozpoczęte polowanie kończy się tylko

krwawo”. Nie rozumiesz?

Kest nie chciał odpuścić.

– W takim razie znajdziemy inny...

Słowa Darriany wreszcie do mnie dotarły.

„Rozpoczęte polowanie kończy się tylko krwawo”.

– Cicho – powiedziałem.

Oboje spojrzeli na mnie.

– O co chodzi? – spytał Kest.

– Po prostu się zamknijcie, oboje.

Święty Zaghevie Co Śpiewasz o Łzy! Czy rzeczywiście o to chodzi? Czy naprawdę robili to wszystko tylko po to, żeby mnie tu ściągnąć? Nigdy nie zastanawiałem się nad konsekwencjami mojego czynu, kiedy zabiłem dwóch dashinich w Rijou całe miesiące temu, gdy wraz z Aline usiłowaliśmy przetrwać Krwawy Tydzień. Usiłowałem po prostu utrzymać Aline przy życiu – i owszem, moje życie również było dość ważnym elementem. Jednak agenci Jillarda schwytali mnie po tamtej walce, więc nie zastanawiałem się nad nią szczególnie, jako że byłem zbyt zajęty torturami, którym mnie poddano. Mogłem przewidzieć, że dashini będą mieli z tym pewien problem. W ostateczności są starożytnym zakonem asasynów słynących na całym świecie z tego, że nigdy nie zawodzą w realizacji zlecenia i nagle po prostu... zawodzą, to prawdopodobnie najlepsze słowo... w końcu morderstwo nie jest dla nich wyłącznie pracą. Jest ich religią.

Musiałem więc zadać sobie pytanie: czy rzeczywiście zrobiliby to wszystko tylko po to, aby mnie schwytać w tak szalony, rytualny sposób?

– Co chcesz powiedzieć przez „oczywiście, że tak”? – spytała

Darriana.

– Słucham?

– Mamrotałeś coś do siebie i powiedziałaś „oczywiście, że tak”.

Spojrzałem na ścieżkę przed nami, na pieczołowicie przygotowane dla nas ślady odcisnięte w błocie. Znajdowaliśmy się na odludziu, u podnóża góry pełnej skał, gołoborzy i innych niebezpieczeństw, które powinny uczynić dalszą wędrówkę niemożliwą.

– Wiem, gdzie jesteście – powiedziałem. – Wiem, dokąd dashini nas prowadzi.

Darriana podążyła za moim wzrokiem.

– Tam? Nie można tam wejść.

– Jest ścieżka – powiedziałem. – Ścieżka, którą przed nami przemierzyło zaledwie kilku ludzi.

– Sądzisz, że prowadzi do naszego asasyna? – spytał Kest.

Pokiwałem głową.

– Uważasz, że Darriana ma rację? Będzie ich tam więcej?

I znów pokiwałem głową.

– Ilu?

– Wszyscy.

Kest zmrużył podejrzliwie oczy.

– To nie ma sensu. To by oznaczało, że dashini zabiera nas do...

– Klasztoru – dokończyłem. – Asasyn prowadzi nas w miejsce, w którym się wychowują, trenują i uczą zabijać.

– Ale to byłoby... Falcio, klasztor dashinich pozostawał ukryty przez setki lat. Nikt obcy dotąd tam nie trafił. Dlaczego mieliby zrobić coś takiego, na bogów?

– Dlatego że wiedzieli o naszym przyjeździe – odparłem. –

A poza tym nie zamierzają nas wypuścić z powrotem, a przynajmniej nie żywych.

– W takim razie musimy uciekać – Darriana wyczuła szansę na zmianę biegu wydarzeń. – Wrócimy, zbierzemy armię, a potem przyjedziemy tu i zniszczymy ich raz na zawsze.

– Odejda, zanim to się stanie – powiedziałem. – Dashini nie wierzą w uświęcone miejsca. Nie zawahają się zniszczyć klasztoru i przenieść się, jeśli zajdzie potrzeba.

– W takim razie jak mamy z nimi walczyć? – spytał Kest.

Odpowiedź była tak nieprzekonująca, że ledwie potrafiłem się zmusić, żeby ją wypowiedzieć na głos. Mieli jednak prawo wiedzieć, skoro za chwilę zamierzałem postawić życie nas wszystkich na jedną kartę.

– Lata temu król zaczął wysyłać Wielkie Płaszcze, aby przeniknęły w ich szeregi. Jednego naraz, rok po roku. Wierzył, że istniała szansa, i kilku z nich uda się dostać do środka; że poznamy tajemnice zakonu i ostatecznie doprowadzimy go do upadku, zanim oni zniszczą nas i cały kraj.

Kest nie wyglądał na przekonanego.

– To było całe lata temu, Falcio, i nigdy nie dostaliśmy wiadomości od żadnego z nich. Jaki masz dowód na to, że którykolwiek z nich, choćby jeden, wciąż żyje? Prawdopodobieństwo...

– Jesteśmy Wielkimi Płaszczami – odpowiedziałem uroczyście. Chwila wydała mi się jak najbardziej odpowiednia do pompatycznych deklaracji. – Od kiedy to Wielkie Płaszcze przejmują się prawdopodobieństwem? – uśmiechnąłem się do niego szeroko, chociaż moje serce pozostało zimne. Nie to, że święcie

wierzyłem, iż którykolwiek ze szpiegów króla zdołał przeniknąć do zakonu. Już raczej nie widziałem innego sposobu, abyśmy przetrwali nadchodzące wydarzenia. Jeżeli zaś musiałem się trzymać fałszywej nadziei, to trudno. Lepsze to niż rozpacz.

Dwoje książąt już nie żyło. Mordercy obciążyli odpowiedzialnością za ich śmierć Wielkie Płaszcze. Chaos narastał w miarę jak szlachta, już wcześniej wystraszona buntami chłopstwa, teraz drżała o własne życie. Dzięki zaś tajemniczym rycerzom w czarnych tabardach, siejącym spustoszenie i śmierć, obawy arystokracji były jak najbardziej uzasadnione. W głębi duszy nie miałem wątpliwości: dashini chcieli wywołać wojnę domową i stworzyć w Tristii piekło na ziemi.

Albo więc w klasztorze będzie na nas czekać tuzin Wielkich Płaszczy, albo wkrótce nastąpi koniec mojego świata.

„Rozpoczęte polowanie kończy się tylko krwawo”.

I tu trafiliście w dziesiątkę, sukinsyny.

Wspinaczka była wyczerpująca i coraz bardziej i bardziej potrzebowałem pomocy Kesta. Chociaż ścieżka, otoczona ścianą kolczastych zarośli, wydawała się nieprzebyta, ślady prowadziły nas sprytnie wydrążonymi tunelami, które przemykały przez plątaninę dzikich jeżyn. Innym razem wchodziliśmy na gołoborza pokryte łupkiem, rozpadającym się pod stopami na miliony zdradzieckich kawałków, gwarantując upadek prosto w głęboką na setki stóp przepaść. Jednak i tu znaleźliśmy wytyczoną ścieżkę pozwalającą na bezpieczne przejście.

Asasyn prowadził nas przez jedno niebezpieczeństwo po drugim.

Każdy krok był przypomnieniem, że bez niego bylibyśmy straceni: o zgrozo, wyglądało na to, że dashini naprawdę umieli robić rzeczy, których my, Wielkie Płaszczce, nie potrafiliśmy.

Czułem się, jakbym zwyczajnie był za duży: zmieniłem się w ociężałego niezdare, który idzie niezgrabnie śladem tancerza o niezwykłych zdolnościach. Jakim cudem kiedykolwiek byłem wystarczająco szybki i precyzyjny, żeby tamtej nocy w Rijou zabić dwóch dashinich? Jakikolwiek bóg lub święty pobłogosławił mnie na tamte kilka minut owej śmiertelnej walki, z całą pewnością teraz mnie opuścił. Nawet kiedy neatha nie pozbawiała mnie czucia w palcach u rąk i stóp, wiedziałem, że jestem dużo wolniejszy niż tamtego dnia. Zaczynałem się zastanawiać, czy kiedy dojdzie do skrzyżowania moich mieczy z ich sztyletami, uda mi się przetrwać chociaż przez chwilę.

Poślizgnąłem się na materacu sosnowych igieł, śliskich od szronu, ale kiedy straciłem równowagę, Kest szybko mnie złapał, zanim moja głowa zderzyła się z chropowatym grubym pniem najbliższego drzewa.

„On przeżyje”, pomyślałem. „Zatem to musiał być nasz plan. Jeżeli Darrianie i mnie uda się chociaż na chwilę zatrzymać ich atak, Kest zdoła wrócić. Nieważne, jak doskonałym i szybkim jest szermierzem. Jego przeciwnicy zawsze będą dwukrotnie bardziej niebezpieczni, jeżeli sami nie będą starali się przeżyć”.

Myśl o nieuchronnej śmierci, o tym, że wreszcie będę wolny od bólu i zobowiązań, które przykuwały mnie do córki martwego króla, przyniosła nagłą i ogromną ulgę. „Nie mogę ich pokonać – a wy nie możecie tego ode mnie oczekiwać. Prędzej zabrałbym się do wyrycia tunelu w skale rapierami, niż podjął się walki

z dashinimi”.

O zachodzie słońca, idąc gęsiego, minęliśmy poszarpaną grzędę skalną, wyrastającą ze szczytu góry, i tam właśnie znajdował się klasztor dashinich – niemal ćwierć mili stąd, a jednak tak bliski, że wydawało się nam, iż moglibyśmy wyciągnąć rękę i dotknąć jego murów.

Już sam widok sprawił, że poczułem odrazę w sercu: wieża z czarnego kamienia na samym środku polany, wysoka i wąska, jakby została zaprojektowana na wzór sztyletu dashinich.

– Zupełnie jakby ktoś wbił czarną igłę w nasz kraj – powiedziała Darriana.

Kest wyglądał na równie zniesmaczonego, jak ja.

– Była tu przez cały czas. W samym sercu Aramoru – szepnął.

Księstwo Aramoru było siedzibą władców Tristii od początków istnienia monarchii. Opowieści o dashinich, ich mrocznym mistycyzmie i oddaniu się sztuce zabijania krążyły równie długo, co historie o królach. Jako Wielkie Płaszczce wiele czasu poświęciliśmy, ucząc się walki z każdym możliwym przeciwnikiem, a jednak zawsze obawialiśmy się dashinich. A tu, nie dalej niż pięćdziesiąt mil od zamku Aramor, znajdowało się miejsce, gdzie się szkolili. Gdyby zechcieli, mogliby zejść z gór jeden po drugim, parami lub całą grupą, i w ciągu kilku dni znaleźliby się u naszych drzwi.

„Mogli zabić króla, kiedy tylko chcieli”.

– Prosiłem go, żeby pozwolił mi odejść – powiedział Kest.

– Słucham? – nadal byłem zahipnotyzowany widokiem wieży.

Kest spojrzał na mnie.

– Tego dnia, kiedy mieli nadejść książęta? Kiedy król obarczył

nas ostatnią misją? Prosiłem go, żeby pozwolił mi odnaleźć dashinich. Ale on odmówił. Wystarczająco wielu dobrych ludzi próbowało tego przede mną i obiecał sobie, że nigdy nie pošle nikogo innego. A poza tym byłem ostatnią osobą pod słońcem, której powierzyłby takie zadanie.

Wpatrywałem się w niego zdumiony. Kest był moim najlepszym przyjacielem, a mimo to wciąż odkrywałem, jak dużo jeszcze o nim nie wiem. Jeżeli ktokolwiek miałby szansę rozprawić się z dashinimi, z pewnością był to Kest, czyż nie?

– Dlaczego odmówił?

Kest wpatrzył się w wieżę.

– Powiedział, że brakuje mi cierpliwości.

– Nie chciał, żebyś stracił życie na darmo.

Darriana spojrzała na nas wielkimi oczami.

– Czyli Święty Paelis zdecydował, że jesteś zbyt ważny, aby ryzykować twoje życie?

Spojrzałem na nią.

– Przykro mi, Darriano. Wiem, że twoim zdaniem król powinien zrobić więcej, kiedy twoja matka zginęła, ale...

– Nie wiesz absolutnie nic, Falcio val Mondzie! Strawiłam wiele czasu, biegając za tobą i wypełniając twoją szaloną pieprzoną misję! Sądziś, że król Paelis miał jakiś niezwykły plan? W takim razie powiedz mi, jak działa, ponieważ w tej chwili mam wrażenie, że był drugim w kolejności najgłupszym człowiekiem w całej Tristii.

Zignorowałem jej komentarz.

– Wracaj tam, gdzie zostawiliśmy konie – powiedziałem. – Jeżeli nie pojawimy się do rana, znajdź Krawcową i powiedz jej, że za wszystkim stoją dashini. I nie, nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

Jeżeli nie będziesz mogła jej znaleźć, to powiedz o dashinich wszystkim, którzy będą chcieli słuchać. Asasyni planują akcję na niezwykłą skalę, aby zmasakrować piętno dotkliwej porażki. Chcą zamordować cały kraj.

– W porządku – odparła Darriana. Odwróciła się i ruszyła z powrotem wąską ścieżką. Z jakiegoś powodu oczekiwałem, że będzie się próbowała ze mną kłócić, że odmówi pozostawienia nas tutaj. – Wielkie Płaszcze, wysłane tu przez króla, nie żyją, Falcio – zawołała po chwili. – Ty również.

Kest spojrzał na zachodzące słońce.

– Tracimy światło – powiedział. – Powinniśmy zaczekać, aż zapadnie zmrok.

– Nie – wyciągnąłem jeden z rapierów. – Idziemy teraz.

– Teraz? Dlaczego teraz, skoro nadal jest wystarczająco dużo światła, żeby z łatwością dostrzegli nasze przybycie?

– Dlatego że oni wolą ciemności – odparłem. – Dashini lubią ciemności.

Ruszyliśmy w kierunku klasztoru asasynów, a ja zacząłem się przygotowywać na szybką i brutalną śmierć lub na cud.

Okazało się, że nie miałem racji. Byłem zupełnie nieprzygotowany na to, co nastąpiło potem.

KLASZTOR

Po raz pierwszy poczuliśmy, że coś jest nie tak, kiedy wiatr zmienił kierunek. Byliśmy nie dalej niż dwieście jardów od wieży i spodziewaliśmy się, że za chwilę wysypią się z niej tuzinami asasyni odziani w granatowy jedwab. Tymczasem do naszych nozdrzy dotarł zapach spalenizny.

– Nie rozumiem – spojrzałem w stronę wieży. – Czyżby coś gotowali?

Kest pokręcił głową.

– Nie. Cokolwiek to jest, przestało się już palić. To swąd sprzed wielu dni.

Dopiero kiedy dotarliśmy w pobliże wieży, dostrzegliśmy ślady ognia, ledwie widoczne na ciemnej kamiennej ścianie. Pewnie dlatego nie od razu zobaczyłem starego człowieka siedzącego na głazie i czekającego na nas.

– Spóźniliście się – zwrócił twarz w kierunku ostatnich promieni słońca. Zamiast oczu miał czarne dziury.

Rozejrzałem się za człowiekiem, którego śledziliśmy.

– Kim jesteś? – spytałem starca.

– Nikim ważnym – odparł.

– Czy jesteś dashinim?

– Dashini nie istnieją – powiedział stary człowiek. – Nigdy nie istnieli. Dashini to tylko historia, którą opowiadali ci rodzice, żeby zmusić cię do odmówienia wieczornej modlitwy.

– Oszalałeś? Siedzisz obok ich klasztoru.

Starzec roześmiał się.

– Doprawdy? To by dopiero było. Ale nie, zapewniam cię, że nie ma żadnego klasztoru, ponieważ dashini nie istnieją.

– W takim razie kim ty jesteś?

– Posłańcem – odparł.

– Więc jaka jest twoja wiadomość? – spytał Kest.

– Nie – powiedziałem. – Najpierw powiedz nam, dla kogo jest owa wiadomość i jak długo czekasz, aby ją przekazać.

Stary człowiek roześmiał się znowu.

– Ach, widzę, że nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, co?

– Skąd miałbyś wiedzieć, jak głupio wyglądamy? Jesteś ślepy – odpowiedziałem.

– To prawda. A jednak jestem w stanie powiedzieć z absolutnym przekonaniem, że wyglądasz jak głupiec. Czy wszechświat nie jest cudownym miejscem?

– Po prostu...

Starzec uniósł dłoń.

– Dla ciebie – powiedział. – Moja wiadomość jest dla ciebie.

– A kim ja jestem? – spytałem.

– Cóż, moglibyśmy się w to bawić przez całą noc, ale zaczyna się robić zimno, a ja czekam tu już dość długo. Moja wiadomość jest dla ciebie, Falciu val Mondzie, pierwszy kantorze Wielkich Płaszczy.

– Jak długo na mnie czekałeś?

– Cóż, nie prowadziłem szczegółowych zapisków. Może ty mógłbyś odpowiedzieć na to pytanie?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Być może mógłbym, jeśli ty powiesz mi, co takiego zrobiłem, że kazano ci dostarczyć mi tę wiadomość.

– Ach, widzisz? – odparł. – Sprytny. Bardzo sprytny z ciebie głupiec. Pozwól, że odpowiem ci w ten sposób: moja wiadomość pochodzi od tych, którzy kiedyś byli, ale teraz nie istnieją i nigdy nie istnieli.

– Nie jesteśmy zainteresowani zagadkami – powiedział Kest. Wokół jego oczu pojawiły się gniewne zmarszczki. Spodziewał się walki, uwolnienia wściekłego płomienia, który palił mu skórę od wewnątrz. – Już nie. Pracujesz dla dashinich czy nie?

– Dashinich? – starzec z trudem stłumił śmiech. – Czy nie powiedziałem ci już, że nigdy nie było żadnych dashinich?

– Oczywiście, że byli – głos Kesta zmienił się niemal w warknięcie. – Falcio zabił dwóch z nich w Rijou.

– Widzisz? To właśnie jest dowód.

– Dowód na co? – spytałem.

– Wszyscy wiedzą, że dashini nigdy nie zawodzą. Nikt nigdy ich nie pokonał w ciągu dwóch tysięcy lat ich rzekomego istnienia. Byłoby to niewykonalne, by mogli zostać pokonani...

Wreszcie wszystkie fragmenty łamigłówki wskoczyły na swoje miejsce.

– Aby mogli zostać pokonani, musieliby nie być asasynami dashini. A zatem nigdy nie istnieli.

Stary człowiek chwycił swoją laskę i wstał.

– Teraz już rozumiesz, a ja mogę dostarczyć ci moją wiadomość.

Kuśtykając, zaczął okrążyć wieżę, a my poszliśmy za nim. Uderzył w nas smród. Zobaczyliśmy ogromny dół. Początkowo nie dostrzeżliśmy wiele z powodu czarnego dymu, ale stopniowo rozmazane kształty przybrały postać zwęglonych ciał. Musiało ich być ponad sto.

– Święty Zaghevie Co Śpiewasz o Łzy – przyłożyłem dłoń do ust, chociaż jeżeli ktoś sądzi, że jest to dobra metoda na powstrzymanie smrodu i smaku setki martwych ciał przed przedostaniem się do nosa i ust, jedynie się okłamuje. – Jak to się mogło stać?

– Falcio, spójrz – Kest wskazał na ciało na samym szczycie stosu: jego skóra szerniała, ale nadal można go było rozpoznać. Był to asasyn z Rijou, człowiek, którego ścigaliśmy przez całą Tristię.

– Zabił się – słyszałem niedowierzenie we własnym głosie. – Przyprował nas tutaj, a potem tak po prostu się zabił? – spojrzełem na starca. – Dlaczego?

– Ponieważ nie wolno mu było ci o tym opowiedzieć. Dlatego sprowadził cię tutaj, żebyś sam to zobaczył.

– Ale jak oni wszyscy mogli...

– Oni, trattari? O jakich „onych” mówisz? – spytał stary człowiek. – Nie ma tu nic. Szkoda, nie sądzisz? Szkoda, że dashini nigdy nie istnieli, nieprawdaż? Czy oznacza to również, że bardatti nigdy nie istnieli? Jak sądzisz? Że trattari to również tylko wytwór naszej wyobraźni? Czy nie byłaby to najmroczniejsza prawda? Prawda, która sprawia, że odwaga nas zawodzi a nasze serca się poddają?

– Dashini nie mają nic wspólnego z nami ani z bardattimi –

wypowiadając te słowa zastanawiałem się czy mówię prawdę.

– Doprawdy? Trattari... bardatti... dashini... naprawdę tego nie widzisz?

Zacząłem powoli rozumieć. Czy był jakiś związek między trubadurami, Wielkimi Płaszczami i asasynami dashini? A jeśli tak, co to wszystko oznaczało?

Starzec sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej coś małego i czerwonego. Włożył to sobie do ust i zaczął ssać.

– Ach, bogowie – powiedział. – Chciałem to zrobić już od tak dawna. Nie mogę znaleźć słów, aby ci opowiedzieć, jak dobrze to smakuje.

Chwyciłem go za ramię.

– Kim jesteś?

– Do kogo mówisz? – stary człowiek strząsnął moją dłoń z ramienia i podszedł do brzegu dołu, a potem odwrócił się do nas twarzą.

– Powiedziałeś, że jesteś posłańcem... więc powiedz mi, kim jesteś.

– Posłańcem? Człowiek musi mieć jakąś wiadomość dla drugiego człowieka, żeby być posłańcem, nie sądzisz? A ponieważ nie ma nikogo, kto przekazał mi wiadomość, nie może istnieć posłaniec, prawda?

– Posłuchaj, starcze, my...

– Starcze? Nie ma tu żadnego starca. Nie ma tu absolutnie nikogo oprócz dwóch głupców, którzy wspięli się na szczyt wzgórza, żeby porozmawiać z nikim, nie znaleźć nikogo i nie dowiedzieć się niczego – wyciągnął z wnętrza koszuli krótki czarny sztylet, cienki niczym igła i chwycił go obiema dłońmi. – Wiesz, współczuję ci,

Falcu val Mondzie. Naprawdę – jednym pewnym ruchem wbił ostrze we własne serce.

– Nie! – krzyknąłem i wyciągnąłem rękę, ale starzec wpadł już do dołu, na sam wierzch stosu ciał tych, którzy niegdyś nazywali siebie dashinimi. Krew sącząca się z jego rany znikła w otaczającej go czerni.

Zajrzałem do środka, szukając czegoś, czegokolwiek, co nadałoby sens temu wszystkiemu. Ryzykowałem wszystko, przybywając tu tylko po to, aby znaleźć martwych dashinich i to najwyraźniej na długo zanim rozpoczęła się seria zabójstw. Jeżeli jednak dashini nie byli za nie odpowiedzialni, kto w takim razie stał za szaleństwem ogarniającym Tristię?

– Musimy już iść – powiedział Kest. Napięcie w jego głosie było niepokojące.

Odwróciłem się, aby zobaczyć, co się stało.

Skóra Kesta była czerwona niczym świeża krew.

Wracaliśmy szybciej, niż było to bezpieczne, ślizgając się na kamieniach i błocie. Kest milczał przez większość drogi, chociaż czasem słyszałem, jak coś do siebie mamrocze. Przestałem go pytać, co się dzieje, bo przecież było to dość oczywiste, a poza tym miałem już trochę dość gniewnego spojrzenia, jakim za każdym razem mnie obdarzał. Czasem w ogóle nie chciał na mnie patrzeć, co było dużo gorsze.

Zgubiliśmy się kilkakrotnie, mimo że czerwona poświata otaczająca Kesta rozpraszała nieco ciemność przed nami. W końcu jednak znaleźliśmy drogę powrotną, ponieważ ostatecznie

wszystkie rzeczy spadają na ziemię. Kiedy dotarliśmy do początku ścieżki, Kest stanął nagle jak wryty.

– O co chodzi? – spytałem, rozglądając się za tym, co go wytrąciło z równowagi. Nigdzie nie widziałem wrogów. Polana była mała, porośnięta trawą, spośród której wyzierały kamienie. Otaczała nas ściana drzew i kilka czerwonych skał na samym skraju.

– Proszę, powiedz mi, co się stało – zagailem, kiedy Kest się nie odezwał. – Mam wystarczająco dużo problemów, żebyś jeszcze ty...

Kest odsunął się o kilka kroków i stanął twarzą do mnie.

– Wyciągaj broń – powiedział.

Zdałem sobie sprawę, że stoi dziesięć kroków ode mnie: to dystans, od którego zawsze zaczynamy pojedynki. Co gorsza, Kest od stóp do głów nie tylko emanował czerwoną poświatą, ale zaczął żywo nią pulsować.

– Co to wszystko ma znaczyć, do cholery? – spytałem, chociaż w moje serce wkradło się bardzo nieprzyjemne uczucie, że znam odpowiedź na to pytanie.

– Wyciągnij rapier – powiedział.

– Nie będę z tobą walczył, Kest. Przestań i dobrze się nad tym zastanów.

– Nie. Wystarczy myślenia, wystarczy gadania, wystarczy ciągnięcia mnie po całym kraju w poszukiwaniu odpowiedzi, które nie istnieją – jego głos był twardy niczym stal, zupełnie jakby pozbył się resztek człowieczeństwa. – Podążałem za tobą podczas wszystkich twoich przeklętych bezsensownych misji, ale dość tego dobrego. Wspiąłem się na szczyt tej góry, licząc na godnych przeciwników i nie zastaliśmy tam niczego.

– Licząc na... Kest, postradałeś zmysły? Sądziłeś, że to wszystko było wyłącznie po to, żebyś mógł się zabawić podczas walki?

– Wyciągaj rapier – powiedział. – Zrób to albo rozplątam cię na pół tam, gdzie stoisz.

– Nie będę z tobą walczył.

– Owszem, będziesz – rzucił się do przodu, wyciągając miecz z pochwy i jednym płynnym ruchem wyprowadzając zamaszyste cięcie w kierunku mojej głowy.

Zareagowałem oczywiście odruchowo. Wyciągnąłem rapiery i odepchnąłem ostrze Kesta na bok.

– Przestań! – zawołałem, ale on to zignorował i zaatakował znowu, zmuszając mnie do wycofania się, kiedy zasłoniłem się przed jego ciosem. Kest walczy mieczem, który jest dużo cięższy i uderza z większą siłą niż moje rapiery. Powinien być również dużo wolniejszy, ale w rękach Kesta ostrze poruszało się tak szybko, że ledwie zdołałem je dostrzec na czas, aby ustawić zasłonę.

– Dalej, Falcio – zawołał. – Pokonałeś mnie przedtem, sprawdźmy więc czy zdołasz to zrobić jeszcze raz.

Zdarzyło się to jednak dziesięć lat temu, a i wtedy wygrałem dzięki podstępowi, którego nie miałem szans powtórzyć – nie teraz, kiedy ledwie trzymałem się na nogach. Kest jednak zdawał się zupełnie o to nie dbać.

Jego ostrze przemknęło z furkotem obok mnie i tym razem poczułem, że kaleczy mi policzek.

– Atakuj mnie! – polecił.

– Proszę, Kest, przestań! Nie każ mi...

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – w nocnym powietrzu rozległ się kobiecy głos Darriany.

– Uciekaj – krzyknąłem. – Uciekaj stąd!

– Tak – Kest zaczął przerzucać miecz z ręki do ręki, jakby ten nic nie ważył. – Idź sobie i poćwicz. Musisz dużo ćwiczyć. Wróc za kilka lat, kiedy może będziesz w stanie zapewnić mi interesujący pojedynek.

Darriana wyglądała na niepewną, ale nie okazywała lęku, co mnie zdziwiło. Każdy stojący naprzeciwko Kesta z mieczem w dłoni powinien być równie przerażony jak ja.

„Nie może się powstrzymać”, pomyślałem poniewczasie. „Zatracił się w czerwonym szale”. Dokładnie przed tym przestrzegала mnie Birgid i oczywiście miała rację: zostać Świętym od Mieczy nie było błogosławieństwem bogów, lecz przekleństwem. Nawet Trin tak twierdziła. A teraz Kest cierpiał z powodu żądzy krwi, która pchała go do szukania przeciwników wystarczająco dobrych, aby mogli sprostać mu w walce.

– Co mam robić? – spytała Darriana. Zaczęła wyciągać miecz i znów zdziwiło mnie, że wcale się nie bała.

„Dlaczego, do licha, ona się nie bała?”

– Przestań – powiedziałem. – On cię zabije.

– Ale najpierw zabiję ciebie, Falcio. Dalej, przecież możesz mnie pokonać. Zawsze byłeś w stanie, a jednak paradujesz sobie, udając, że jestem lepszy od ciebie i naśmiewając się ze mnie za moimi plecami.

„Musi naprawdę wierzyć w to, że mogę go pokonać, żeby mógł ze mną walczyć. Potrzebuje wierzyć, że autentycznie mam z nim jakąś szansę...”, westchnąłem w duchu. „Do licha, lepiej niech to zadziała”. Zdjąłem płaszcz i rzuciłem go na ziemię.

– Jeżeli mnie trafisz, Kest, to zabijesz.

Uśmiechnął się i zdjął własny płaszcz.

– Czy na tym polega twoja obrona? Jeszcze jeden przykład „mistrzowskiej taktyki” Falcia val Monda?

Nie czekając na odpowiedź, runął na mnie, kreśląc mieczem ósemkę, która wyglądała tak przewidywalnie i regularnie, że sprawiała wrażenie wyjątkowo łatwej do sparowania, ale za każdym razem, kiedy próbowałem zbić jego ostrze, jakimś cudem mi nie wychodziło.

„Zdałem sobie sprawę, że zmienia prędkość ruchu. Niewiele, tylko tyle, żebym nie mógł przewidzieć, gdzie znajdzie się w danym momencie jego miecz”.

– Kest, jesteś lepszy ode mnie. Wiesz o tym. To nie jest uczciwa walka!

– Wystarczająco uczciwa – powiedział i znów wytrącił mój rapier z pozycji, zmuszając mnie do chwiejnego cofnięcia się.

– A niech to! – Darriana wyciągnęła ze swojego płaszcza nóż do rzucania. – Zupełnie oszalał. Zaraz go unieszkodliwię.

– Nie – zawołałem, ale było już za późno. Darriana rzuciła nożem w gardło Kesta, który lekko tylko poruszył mieczem, strącając go na ziemię.

– Może chcecie walczyć ze mną jednocześnie? – spytał.

Usiłowałem wykorzystać moment, w którym spojrzał na Darriane, i wykonałem pchnięcie skierowane w jego nogę, ale on znów bez wysiłku odbił moją klingę.

– Chodź, Darriano – zawołał szyderczo, parując mój cios. – Spróbuj jeszcze jednego noża. Kto wie, może tym razem ci się poszczęści?

Było to oczywiście niemożliwe. Kest jest najlepszym

szermierzem, jakiego znałem i było tak od czasu, gdy skończył trzynaście lat. Teraz zaś przestał być zwykłym człowiekiem i potrafił strącać rzucane w niego noże przez całą noc, jednocześnie siekając mnie na plasterki. Nie było sposobu, aby którekolwiek z nas przedostało się przez jego zasłony. Z kolei moje...

„To jest właśnie to!”

– Drugi nóż – krzyknąłem do Darriany. – Wyciągnij drugi nóż!

Kest uśmiechnął się i podszedł o krok bliżej, prześlizgując się mimo mojej zasłony i kalecząc lekko mój drugi policzek. Cięcie było prawdopodobnie dokładnie takiej samej długości, jak pierwsze.

Darriana wyjęła nóż i zamierzyła się na Kesta.

– Nie! – odbiegłem kilka kroków w tył, przeklinając samego siebie za to, co miało nastąpić. – We mnie! Musisz rzucić we mnie.

– Co takiego? Zwariowałeś?

– Zrób to – rozkazałem. – Teraz!

Kest wyglądał przez chwilę na zdezorientowanego, a potem zrozumiał, co zaplanowałem. Nawet on jednak nie był na tyle szybki, żeby pokonać dzielący nas dystans na czas. Kątem oka dostrzegłem, jak Darriana robi zamach i rzuca. Przyszło mi w tym momencie do głowy, że być może powinienem bardziej sprecyzować, w co konkretnie powinna mierzyć.

Nóż przeciął powietrze i wbił się w moje lewe ramię. Wrzasnąłem z bólu głośno i przeciągle. Okazuje się, że świadomość tego, co się ma zdarzyć, w żaden sposób nie służy jako środek znieczulający.

Kest spojrzał na mnie wielkimi oczami.

– Głupcze! Ty przeklęty głupcze! Teraz nie masz szans – jego głos był pełen desperacji, niemal błagalny.

Upadłem na kolana. „Niech to diabli, cios nożem w ramię naprawdę boli”. Miałem nadzieję, że nie uszkodził mi mięśni. Jeżeli jakimś cudem przeżyję kolejne kilka minut, prawdopodobnie będę niedługo potrzebował ramienia.

– Przykro mi – wyciągnąłem ostrze z rany, krzywiąc się z bólu. – Nie jestem jednak w odpowiedniej kondycji, żeby stoczyć z tobą uczciwą walkę – rzuciłem nóż na ziemię, tak na wszelki wypadek. – Może za kilka tygodni, kiedy rana się wyleczy, będę mógł ci sprawić lanie, na które tak bardzo sobie zasłużyłeś.

Kest ryknął coś niezrozumiale, spoglądając w niebo. Czerwona poświata wokół niego sprawiała wrażenie, jakby paliła go żywym ogniem, pożerając duszę. Cisnął mieczem, który przeleciał zaledwie cal od mojej twarzy, wbijając się w pień drzewa za moimi plecami. Patrzyłem, jak Kest osuwa się na kolana i zaczyna raz po raz walić pięściami w ziemię, aż zrobiły się czerwone, ale nie od poświaty, lecz od krwi płynącej z jego palców.

– Przestań – powiedziałem, z trudem podnosząc się na nogi. – Wystarczy.

Początkowo sądziłem, że mnie nie usłyszał, ale kiedy podszedłem do niego, Kest zatrzymał się i spuścił głowę, jakby uszła z niego cała siła. Nie krzyczał już, tylko płakał.

– Co się ze mną stało? – zawodził. – Jak mogę to powstrzymać? – zaczął dygotać.

– Nie wiem – przyklęknałem i objąłem go.

Zostaliśmy tak przez chwilę. Słyszałem, jak Darriana chodzi dookoła, prawdopodobnie zbierając swoje noże.

Wreszcie Kest odepchnął mnie.

– Muszę iść – powiedział.

– Co...? Gdzie?

– Święta... Birgid... prosiła mnie, żebym poszedł z nią, ale odmówiłem. Powiedziałem jej, że muszę zostać z tobą, żeby cię chronić – roześmiał się gorzko.

– Jak zamierzasz w ogóle ją znaleźć?

– Ja... powiedziała mi o tym miejscu, jakiejś świątyni. Nazywa się Deos Savath. Jest w Aramorze i mieliśmy tam pojechać, żeby dokończyć rytuał i odzyskać kontrolę nad sobą. Odmówiłem jednak i powiedziałem jej, że jestem w stanie się kontrolować. Bogowie, Falcio, jestem takim głupcem!

W głębi duszy chciałem się uśmiechnąć. Kest zawsze uważał, że ograniczenia właściwe normalnym ludzkim istotom nigdy się do niego nie odnosiły. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że mogę wkrótce stracić przyjaciela.

– Na jak długo będziesz musiał tam iść? – spytałem.

– Nie wiem. Nie wiem nic poza tym jednym. Myślałem... Myślałem, że pokonanie Caveila było wielkim zwycięstwem. Sądziłem, że dzięki temu stanę się lepszy, ale to nieprawda, Falcio. Nie jestem lepszym szermierzem niż przedtem. Kiedy po raz pierwszy poczułem... cokolwiek przeszło na mnie z Caveila po tym, jak go pokonałem, to było jak... nie wiem. Jakbym był jednocześnie całkiem pijany i przeraźliwie trzeźwy. Ale coś się we mnie wtedy złamało. Przedtem walczyłem, ponieważ chciałem albo to było konieczne. Teraz... muszę walczyć...

– Wiem – odparłem cicho. Sam spędziłem kilka lat własnego życia pogrążony w szaleństwie, które nie miało nic wspólnego z odwagą lub koniecznością. Ethalia pomogła mi je uleczyć, ale nie sądziłem, aby mogła zrobić to samo dla Kesta. Pomyślałem o tym,

co zrobiła Krawcowa, i o tym, czego będę musiał wkrótce dokonać. Pomyślałem o tym, jak bardzo będę potrzebował Kesta u boku, aby to się udało. Dlatego tym trudniej było mi powiedzieć:

– Musisz jechać. Musisz pojechać do tej świątyni i odnaleźć Birgid.

Kest spojrzał na mnie.

– Ale ja nie wiem, czy to w ogóle zda egzamin, Falcio. Nie wiem, czy będę w stanie wrócić. Jeżeli nie będę mógł kontrolować tego... cokolwiek to jest, wtedy...

– Wrócisz – powiedziałem z przekonaniem i podszedłem do naszych płaszczy, usiłując ignorować ranę w moim ramieniu, która z każdym krokiem odzywała się tysiącem igieł przeszywających całe ciało. – Opanujesz to wszystko i wrócisz, odnajdziesz mnie i razem zbawimy ten gówniany świat od niego samego.

– Jak możesz to wiedzieć? – spytał.

Rzuciłem mu jego wielki płaszcz.

– Jesteśmy Wielkimi Płaszczami – odparłem. – To jedyna rzecz, w której jesteśmy dobrzy.

Kest roześmiał się krótko.

– Co cię tak rozbawiło?

– Nic – wstał z ziemi. – Po prostu pomyślałem sobie, że gdyby Brasti tu był, powiedziałyby pewnie coś zabawnego, ale nie mogłem wymyślić, co by to było. A potem pomyślałem, że w tym momencie Brasti zaczęłyby się ze mnie naigrawać za to, że nie wiem. I wtedy się roześmiałem. Dziwne, nie? – założył płaszcz, a potem podszedł do drzewa, wyszarpnął swój miecz i odszedł samotnie w stronę lasu.

– Nieźle krwawisz – powiedziała Darriana.

Spojrzałem na ramię i zobaczyłem, że krew zaczyna się przesączać przez koszulę.

– Nie tak bardzo, jak mógłbym. Udało ci się mnie trafić, nie uszkadzając mięśnia. Niezły rzut.

– Nie mogłam przecież pozwolić, żebyś mi tu umarł, prawda?

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem rolkę cienkiej gazy. Zacząłem owijać ją wokół ramienia.

– Daj to – powiedziała. – Źle to robisz – zabrała mi bandaż i odłożyła na bok.

– Co ty?

Wyciągnęła małą buteleczkę balsamu z kieszeni płaszcza.

– Nie ma sensu owijać rany tylko po to, żebyś mógł się wykrwawić na śmierć trochę wolniej.

Miała rację: zapomniałem zabalsamować ranę. Przyglądałem się, jak ostrożnie wmasowała cienką warstwę czarnego balsamu w dziurę w moim ciele, a potem wprawnie owinęła ją bandażem. Jej ruchy były ostrożne i powolne.

Czekanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

– Możesz się pospieszyć?

– Nie chcę robić tego wszystkiego tylko po to, żebyś padł i umarł, zanim jeszcze zaczniemy.

– Zaczniemy co? – spytałem.

Darriana skończyła bandażować ranę i pomogła mi założyć płaszcz.

– Widzisz? Tak jest dużo lepiej.

Spojrzałem jej w oczy i Darriana uśmiechnęła się.

– A zatem nie jesteś martwy, ani też nie powróciłeś w towarzystwie dwunastu Wielkich Płaszcz. Czego się tam

dowiedziałeś?

– Najmroczniejszej prawdy – odpowiedziałem, powtarzając słowa starego człowieka.

– Co to ma znaczyć?

– Spotkaliśmy tam starca, który powiedział coś o tym, czego najbardziej się obawialiśmy, będąc sobą.

Jeżeli wszyscy dashini popełnili samobójstwo po tym, jak zabiłem dwóch z nich w Rijou, to asasyni rozdzierający Tristię od wewnątrz nie są dashinimi. Zatem kim mogliby być? Kiedy się nad tym zastanowiłem, odpowiedź stała się jasna. To było dość oczywiste. W rzeczywistości ludzie rozsiewali plotki i opowieści na ten temat od wielu lat. Poczułem nieprzyjemny skurcz w żołądku, a serce zabiło mi głucho w piersi. Kto inny poza dashinimi mógł zakraść się do pałaców, ominąć strażników i rycerzy, pokonać tych, którzy chronili książąt – do diabła, nie tylko książąt. Kto mógł zabić ich wszystkich, a potem zniknąć, nie dając się pochwycić? Tylko jedna grupa ludzi, którą znałem, miała takie zdolności i wyszkolenie.

– O co chodzi? – spytała Darriana.

„Prawda, która sprawia, że odwaga nas zawodzi, a nasze serca się poddają. To, czego obawiamy się najbardziej, to my sami”.

– Asasyni są Wielkimi Płaszczami – powiedziałem ze smutkiem w głosie. – Nasi bracia to robią.

– Co takiego? Jesteś... pewny?

Zignorowałem jej pytanie. Czy kiedykolwiek czułem się tak bardzo samotny, jak teraz? Kilka ostatnich tygodni przeżyłem w strachu przed bezwładem, przed uwięzieniem wewnątrz mojego własnego ciała – mimo to właśnie teraz, nawet bez paraliżu, czułem

się bardziej uwięziony i samotny.

Spojrzałem na Darrianę i poczułem, że smutek może skłonić mnie do wyjawienia tego, co wiedziałem.

– Dzięki za balsam – podszedłem do moich rapierów i wziąłem je do rąk, ale nie schowałem do pochew.

– Spodziewasz się kolejnych problemów? – spytała.

Spróbowałem unieść oba i ustawić je w zasłonie, ale ból w lewym ramieniu sprawił, że niemal straciłem przytomność. Pozwoliłem rapierowi upaść na ziemię.

– Nie byłaś wystraszona – powiedziałem.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie bałaś się Kesta. Powiedział, że jesteś następna, a mimo to się nie bałaś. W rzeczywistości zupełnie nie wyglądałaś na zaskoczoną tym, co się stało.

– Oszalałaś? Oczywiście, że się bałam! Ale co dobrego przysłoby z biegania w kółko i płaczu? Ocaliłam ci życie, pamiętasz?

Wyglądała na zdezorientowaną, a nawet rozgniewaną. Na jej twarzy nie dostrzegalem ani śladu kłamstwa. Ale ja już od chwili wiedziałem lepiej.

– Kłamiesz – powiedziałem. – Wiedziałaś, że Kest to zrobi – rozejrzałem się dookoła po czerwonych skałach otaczających polanę. Przedtem nie zwracałem na nie uwagi.

– Te skały... nie było ich tu, kiedy przybyliśmy po raz pierwszy. Ułożyłaś je tu w tym celu, żeby pogorszyć gorączkę świętych, prawda?

Jej mina nie zmieniła się ani na jotę, ale przysunęła kciuk do palca wskazującego może na cal.

– Tylko troszeczkę – powiedziała. – Zbierało mu się od dłuższego

czasu. Po prostu nie mogliśmy być pewni, czy zagotuje się wtedy, kiedy tego potrzebowaliśmy.

Chciałem zawołać Kesta, ale wiedziałem, że jest już zbyt daleko. Mógłbym spróbować tak czy owak, ale było jeszcze coś, co mnie niepokoiło. „Nie bała się”.

– Ilu ze sobą przyprowadziłaś? – spytałem, przyglądając się ścianie drzew otaczającej polanę. – Są naprawdę dobrzy w ukrywaniu się.

Darriana pokiwała głową, jakbyśmy właśnie doszli do porozumienia.

– Jest nas dziewięcioro – odparła. – A Kest odszedł już wystarczająco daleko.

Spomiędzy drzew wyłoniły się ludzkie kształty, wychodząc bezszelestnie na polanę i otaczając mnie. Ich miecze były obnażone. Mieli na sobie wielkie płaszcze.

– Tak jest lepiej – powiedziała Darriana. – Gdyby było nas mniej, mógłbyś próbować z nami walczyć, a to nie pomogłoby ani tobie, ani Krawcowej.

– Sądzisz, że pozwolę ci się tak po prostu zabić? – spytałem.

– Zabić? Nie, pierwszy kantorze, to nie rozwiązałoby żadnego problemu. Chcesz rzucić wyzwanie Krawcowej? Nakrzyczeć na nią? Zagrozić jej? W porządku: zabierzemy cię do niej.

Spojrzałem na otaczające mnie postaci.

– Wiesz, że Krawcowa zniszczy cały kraj, prawda? Zamordowanie książąt? Uzbrojenie chłopów i popchnięcie ich do buntu? Chaos i wojna domowa będą pewnie trwały przez dekadę.

Darriana spojrzała na mnie, jakby usiłowała ustalić, czy przypadkiem sobie nie żartuję.

- Widzisz, tego właśnie w tobie nie rozumiem, Falcio.
- Czego mianowicie?
- Tego, że naprawdę się tym wszystkim przejmujesz.

ROZDZIAŁ 37

WINA

– I znowu wszystko sknociłeś, Falcio – Krawcowa spojrzała mi w oczy.

– Owszem – patrzyłem prosto na nią. Jej tak zwane Wielki Płaszcz otaczały nas, ale nie zabrali mi rapierów, a to oznaczało, że w ogóle się mnie nie obawiali. Starąłem się udawać, że wcale mnie to nie irytuje.

– Miałeś tylko trzymać się od wszystkiego z daleka – powiedziała. – Mogłeś wyjechać ze swoją małą dziwką, mogłeś być szczęśliwy z tą swoją „Siostrą Miłosierdzia”. Zamiast tego jesteś tu i zmuszasz mnie do tego kroku – jej głos był pełny gniewu i bólu, a także czegoś zblizonego do urazy, zupełnie jakbym to ja ją zdradził. Wyciągnęła do mnie rękę i przez chwilę jej spojrzenie złagodniało.

Z całego serca pragnąłem, aby to wszystko okazało się jakąś koszmarną pomyłką, nieporozumieniem między przyjaciółmi, które mogło zostać rozwiązane za pomocą słów, a nie broni. Wystarczyło jednak krótkie spojrzenie na stojących z nią morderców, kompromitujących płaszcz trybuna, który przez wszystkie te lata

tak wiele dla mnie znaczył, abym przypomniał sobie, że pokój między nami nie jest możliwy. Już nie.

– Zdradziłaś mojego króla – powiedziałem. Mój głos i serce były tak zimne, jak neatha płynąca w moich żyłach. Wyciągnąłem rapiery.

Niemal jednocześnie fałszywe Wielkie Płaszczce dobyły swojej broni. Krawcowa spojrzała na mnie wzrokiem tak twardym, że przysięgłbym, iż jej źrenice stały się małymi czarnymi skałami okolonymi przez miedziane żyły.

– On był moim synem, przeklęty głupcze! Może był twoim królem, ale moim synem. Jeszcze raz usłyszę o nim takie słowa, pierwszy kantorze, jeszcze raz, a sama skręcę ci kark.

Jeden z Wielkich Płaszczy zaczął coś mówić, ale Krawcowa go powstrzymała.

– Trzymaj gębę na kłódkę. Znam warunki naszej umowy.

Nie potrzebowałem Kesta, aby określić moje szanse przetrwania tej walki. Były w zasadzie zerowe, ale przestało mnie to obchodzić. Zatrucie neathą osiągnęło końcowy etap. Moje palce były zdrętwiałe i z trudem trzymałem rapiery. Każde uderzenie mojego serca wydawało się ostatnim uderzeniem dobosza, zbyt wyczerpanego, by grać dalej. Kiedy jednak zamknąłem oczy, zobaczyłem ofiary z Carefal, leżące w dymiących stertach na ziemi, a kiedy je otworzyłem, ujrzałem ludzi, którzy zdradzili ostatnią, największą nadzieję mojego króla.

– Do piekła z wami wszystkimi – powiedziałem. Wyobrażałem sobie, że drażniłem Krawcową, aby popełniła wreszcie błąd, coś, co pozwoliłoby mi przyłożyć ostrze do jej gardła i wziąć do niewoli. W takim przypadku, mając dużo szczęścia, mógłbym następnie

ratować się ucieczką. W rzeczywistości jednak byłem po prostu zły i załamany. Może moja śmierć będzie tak pusta, jak moje życie, ale przynajmniej zobaczę krew tych fałszywych Wielkich Płaszczy tworzącą kałużę na zimnej ziemi obok mojej, zanim zakończę swoją ziemską podróż.

– Przestań! – rozległ się dziecinny głos i zza drzew wybiegła Aline. Wbiegła między mnie i Krawcową, potykając się i przewracając. Szybko podniosła się na nogi.

– Przestań! – krzyknęła znowu. – Nie rób tego, Falcio.

Jej włosy były splątane i niechlujne, jej ramiona i nogi zbyt chude, a skóra na twarzy niezdrowo napięta. Krawcowa wzięła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Przeprowadziłaś ją tu z sobą? – spytałem z niedowierzaniem. – Chcesz, żeby to wszystko widziała?

– Musi zostać ze mną – głos Krawcowej był smutny, ale nie słyszałem w nim żalu. – Tylko przy mnie będzie bezpieczna.

– Bezpieczna? Czy tak właśnie usiłujesz to wszystko usprawiedliwić? – odwróciłem się do pozostałych, otaczających mnie z mieczami gotowymi do ataku. – Czy którekolwiek z was zna prawdziwą przyczynę, dla której Krawcowa kazała wam zabić księcia Isaulta i księcia Roseta? Nie dlatego, że spiskowali przeciwko Aline, daję wam słowo. Isault zgodził się wesprzeć Aline.

– Głupcze. Zdradziłyby nas i sprzedał Trin w chwili, gdy zagroziłaby jego granicom.

– W takim razie po co mnie do niego wysłałaś? – spytałem. – Dlaczego zmusiłaś mnie...

– Dlatego że musiałam wysłać do nich osobę, po której się spodziewali, że będzie chciała zabić książąt. W całym kraju ludzie

opowiadają historię o Mężnym Falsiu. O Falsiu Zabójcy Książąt. O Falsiu Głupcu.

– Więc wysłałaś mnie tam na śmierć? Czy po to, żeby mnie wrobić w morderstwo?

– Nie, ty wielki ośle. Zaaranżowałam bunt mieszkańców Carefal, ponieważ wiedziałam, że Isault będzie chciał cię wykorzystać do jego stłumienia. A kiedy już by cię tam posłał...

– Twój asasyn zabiłby Isaulta.

– A ty byłbyś daleko z jego rycerzami i dzięki temu Wielkie Płaszcze byłyby wolne od podejrzeń. Nie przewidziałam, że będziesz tak głupi, żeby przekonać wieśniaków do złożenia broni.

– A potem wróciłaś, żeby dostarczyć im więcej broni – powiedziałam. – I doprowadziłaś do ich śmierci.

– Nie bądź takim przeklętym głupcem. Sądzisz, że miałam w zanadrzu zapasy broni, na wypadek gdyby wieśniacy postanowili odsprzedać tę, którą im dałam?

Wydawało się, że mówi szczerze, ale pamiętałem jeszcze smród spalonych ciał, zrzuconych na wielką stertę na środku placu. Zbyt wielu z nich miało wypalone kształty rękojeści mieczy w martwych dłoniach. A zatem kłamała, ale z drugiej strony po co, skoro i tak za chwilę miałem zginąć? Jeżeli jednak to nie ona ponownie uzbroiła mieszkańców Carefal, to kto?

– Żołnierze Isaulta by ich zabili – powiedziałam.

– A zamiast tego zrobiły to Czarne Tabardy. Przypuszczasz, że martwi mieszkańcy Carefal są usatysfakcjonowani tą różnicą?

– W takim razie zapewne musimy obarczyć winą osobę, która w ogóle postawiła ich w tej sytuacji.

Krawcowa roześmiała się rehotliwie.

– Chociaż raz się zgadzamy, Falcio. Naprawdę sądzisz, że mogłabym w ogóle podjudzić ich do buntu, gdyby nie wszystkie twoje bohaterskie czyny w Rijou? – zaczęła powoli klaskać w dłonie. – Gratulacje, Falcio. To ty jesteś powodem, dla którego wszystko to się wydarzyło. Wszystko. Ty sprawiłeś, że stało się to możliwe.

Zignorowałem ją i skupiłem się na Wielkich Płaszczach.

– Jesteście z siebie dumni? Ta wariatka zrobiła z was zabójców. Kilku z nich się roześmiało, ale Krawcowa uciszyła ich gestem.

– Chłopcze, uważasz, że jesteś taki mądry, ale naprawdę jeszcze tego nie zrozumiałeś, co?

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego to zrobiłaś? Przez ciebie kraj pogrąży się w wojnie domowej. W jaki sposób ma to pomóc Aline zasiąść...

Krawcowa spojrzała w dół i pogładziła zmierzwiłone włosy dziewczynki, która desperacko tuliła się do jej nogi, płacząc żałośnie.

– Aline nie może zasiąść na tronie, czy to nie oczywiste? Jest zbyt młoda, nie jest gotowa. Kraj nie jest gotowy! – spojrzała na mnie. – A przekłeta Trin jest gdzieś tam, zajęta gromadzeniem wszelkiego poparcia, jakie będzie jej potrzebne. A kiedy już obejmie tron, to koniec, Falcio. Dla nas wszystkich.

– A zatem wolisz pogrążyć kraj w chaosie?

– Owszem, tak. Pięć lat, tyle to będzie trwało. Pięć lat wojny między arystokracją walczącą ze sobą o władzę, podczas gdy miasta i wioski będą się buntować przeciwko nim.

– Pięć lat, podczas których umrze wielu niewinnych ludzi.

– Niewinni ludzie już umierają, Falcio. Zawsze tak było. Teraz

przynajmniej umrą, walcząc.

Mała część mnie – zbyt zmęczona, żeby dalej walczyć – chciała uwierzyć, że w jej słowach była mądrość, że możemy osiągnąć jakiś rodzaj porozumienia.

– A wtedy co się stanie?

– Wtedy kraj przypomni sobie, że dużo lepiej było z właściwym monarchą na tronie. Będą pragnęli kogoś, kto rządziłby z miłością i kto zjednoczyłby kraj. A za pięć lat Aline będzie już gotowa, aby przewodzić ludowi, który będzie marzył o niej, swojej królowej.

Był to prawdziwie logiczny argument, zbudowany na odwiecznych politycznych prawdach, które zawsze kierowały mieszkańcami Tristii. Rozsądna, pragmatyczna osoba natychmiast by się z nim zgodziła. Był tylko jeden problem.

– Król mógł sam to zrobić – powiedziałem, usiłując zignorować fakt, że mój wzrok był coraz bardziej nieostry. – Mógł zacząć siać śmierć i chaos, aby utrzymać się na tronie. Zamiast tego jednak poświęcił się dla większego pokoju.

– Dla większego pokoju? – głos Krawcowej był schrypnięty, pełny gniewu i nienawiści. – Czy to właśnie nadal sobie powtarzasz, Falcio? Król umierał, ty cholerny głupcze! – Pozwoliła, aby jej słowa zawisły w powietrzu na bardzo długą chwilę. – Był chory przez całe życie, a wtedy umierał, podobnie jak ty teraz. To dlatego zabronił Wielkim Płaszczom reagować; dlatego pozwolił księżętom się pojmać – stara kobieta podeszła, ignorując moje rapiery, i przysunęła swoją twarz do mojej. – Łatwo jest być dzielnym i poświęcać się bez reszty, kiedy śmierć i tak już trzyma cię w swoich szponach. Dlatego właśnie zawsze jesteś taki cholernie szlachetny, prawda? Umarłeś dawno temu, kiedy zabito

twoją żonę, i od tamtej pory przemierzałeś tę ziemię, modląc się, by ktoś wreszcie wbił ci ostrze w serce. Mój syn był taki sam – uderzyła mnie mocno w lewy policzek. – Przeklinam cię za to, że usiłowałeś zrobić z niego świętego, podczas gdy był tylko człowiekiem!

Usiłowałem sięgnąć do samego dna duszy, aby odnaleźć tam gniew, który dorównałby gniewowi Krawcowej, ale znalazłem jedynie gorzki chłód i samotność. Wszystko, co powiedziała, było prawdą. W moim sercu Paelis był dzielny, odważny, pełen życia, a jednak w każdym wspomnieniu kaszlał, rzeził, był blady, a jego głos przeraźliwie cichy. Oczywiście, Krawcowa miała rację: był bardzo chory, więc jego śmierć stanowiła akt odwagi w równym stopniu, co upadek na ziemię liścia z wysokiego drzewa. Zawsze wiedziałem, że król był człowiekiem, jak my wszyscy. Po prostu nie mogłem żyć z tą prawdą.

– Więc to wszystko na nic – powiedziałem wreszcie.

– Nie – Krawcowa chwyciła mnie pod brodę i spojrzała mi w oczy. – Nadal jest dziewczyna. Pewnego dnia Aline będzie rządziła tym królestwem. Niech to stanie się spuścizną króla. Pozwól jej...

– Popełniłaś morderstwo w jej imieniu – mój głos był pusty i zmęczony. – Jak będzie rządzić, kiedy ludzie się o tym dowiedzą? Jak ona... – popatrzyłem na Aline, pragnąc jeszcze raz zobaczyć jej twarz.

Nie chciała mi spojrzeć w oczy.

– Falcio... – powiedziała błagalnie.

– Wiedziałaś – szepnąłem. – Krawcowa cię nie oszukała. Nie skłamała. Ty o wszystkim wiedziałaś.

– Ja... co chciałeś, żebym zrobiła, Falcio? – zawołała. – Powiedziałam ci, że się boję. Powiedziałam ci, że nie wiem, jak mam to wszystko zrobić. Nie chcę umrzeć!

– Więc zamiast tego pozwoliłaś tej szalonej kobiecie spuścić ze smyczy psy, żeby wymordowały całe rodziny. Czy Krawcowa powiedziała ci, że zabiła synów i córki książąt? Czy powiedziała ci, że byli... – głos mi się załamał. – Byli tylko dziećmi, Aline. Młodszy niż ty. Oni...

– Nigdy nie wydałam rozkazu, żeby zabić te dzieci – powiedziała Krawcowa. – Nigdy!

– Dlaczego mam ci wierzyć? – w moim głosie było tyle gniewu, że Aline schowała się za Krawcową.

– A co dobrego przysłoby mi z ich śmierci? Gdyby żyły, Rada Książąt wybrałyby książęcych protektorów, słabych ludzi z niewielkimi ambicjami, którym nigdy nie przysłoby na myśl przejąć tronu dla siebie. Mój plan zadziałałby lepiej, gdyby dzieci przeżyły.

– A jednak twoje psy je zabiły. Ciała dzieci Isaulta widziałem na własne oczy.

– A ja powiadam ci, że to nie był mój rozkaz i nie zrobiły tego żadne Wielkie Płaszczki.

– Nie nazywaj ich Wielkimi Płaszczkami. Nie śmiej...

– W porządku – przerwała. – Są Ostrzami Królowej. Są tym, czym powinniście być ty, Kest i Brasti, i wszyscy pozostali.

– Są mordercami – powiedziałem, spoglądając na nich. – Zanim to wszystko się skończy, upewnię się, że nigdy więcej nie założą płaszcza trybuna i że znajdą się w łańcuchach.

Krawcowa roześmiała się chrapliwie. Naprawdę zaczynało mnie

męczyć jej poczucie humoru.

– Ile oburzenia. Naprawdę dziwne, ponieważ żaden z nich nie znalazłby się tutaj, gdyby nie ty.

Spojrzałem na otaczających mnie ludzi. Byli młodzi, młodszy niż my, gdy zostaliśmy Wielkimi Płaszczami, ale widziałem ich w akcji i wiedziałem, że są śmiertelnie niebezpiecznymi wojownikami. Krawcowa nie mogła znaleźć wystarczająco wielu zwykłych mężczyzn i kobiet, a potem tak ich wytrenować. Nie w ciągu zaledwie kilku lat. Oznaczało to zatem, że musieli ćwiczyć wcześniej, prawdopodobnie przez całe życie. Ale nie walczyli jak rycerze, a poza rycerzami i Wielkimi Płaszczami nikt jeszcze nie studiował szermierki na takim poziomie. Nikt poza...

– To dashini – powiedziałem, czując, jak strach wypełnia moje serce, a do gardła podchodzi mi gorączka.

– Owszem – odparła Krawcowa. – Swego rodzaju.

– Ale to niemożliwe. Byłem w klasztorze, widziałem ciała.

– Widziałeś Naznaczonych: tych, którzy złożyli ostateczne przysięgi i zabili swoje cele. Ci tutaj – potoczyła ramieniem wokoło – to Niesplamieni. Wciąż jeszcze trenują.

– Ale dlaczego nie są...

– Martwi? Ponieważ Niesplamionym nie wolno popełnić rytualnego samobójstwa, dopóki Naznaczeni nie zostaną w pełni konsekrowani w ziemi. Wyobrażasz sobie? Mieli siedzieć tam miesiącami, czekając, aż trupy ich mistrzów zgniją i przemienią się w proch, zanim mogliby sami się zabić.

– Ale ty przekonałaś ich do czegoś innego.

– Wiedziałaś, co się stanie, kiedy zabiłaś tych dwóch w Rijou. Przypuszczam, że powinnam ci pogratulować, tak przy okazji.

Jesteś jedynym człowiekiem, któremu udało się pokonać asasynów dashini. Czy teraz mi wierzysz? Bez ciebie wszystko to nie byłoby możliwe.

– Zatem to prawda: cały zakon popełnił rytualne samobójstwo tylko dlatego, że miałem szczęście i udało mi się zabić dwóch z nich?

– Dashini są sobą jedynie wtedy, gdy pozostają niepokonani – powiedziała. – Udałam się do klasztoru, wiedząc, że Niesplamieni tam będą, bez przywódców, bez celu. Dlatego z dobroci serca ofiarowałam im lepszą sposobność. Zaoferowałam im szansę posmakowania wielkości.

– A jaka była tego cena? – spytałem.

Znałem jednak odpowiedź: ja byłem ich ceną. Ja byłem złotem, za które Krawcowa kupiła usługi setki asasynów. „Rozpoczęte polowanie kończy się tylko krwawo”. Iluzja słusznego oburzenia zniknęła z twarzy Krawcowej, pozostawiając tam jedynie smutek i wstyd. Wtedy właśnie zrozumiałem, dlaczego czuła potrzebę opowiedzenia mi tego wszystkiego i dlaczego tak ważne było dla niej, abym zrozumiał jej plan. Pragnęła mojego wybaczenia.

Spoglądała na mnie przez chwilę, czekając, żebym się odezwał. Po raz pierwszy w życiu zabrakło mi jednak słów. Wreszcie zwróciła się do jednego z Wielkich Płaszczy.

– Darriana, zabierz Aline. Robi się ciemno i powinna zjeść kolację.

Aline podeszła do mnie i dotknęła mojej dłoni drżącą ręką.

– Przepraszam – szepnęła. – Przepraszam, że nie potrafiłam być dzielniejsza.

Przyklęknałem na chwilę i niezgrabnie objąłem ją, chociaż ani

na chwilę nie wypuściłem z rąk rapierów. Czułem chłodną, wilgotną skórę jej policzka na moim.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem. – Byłaś tak dzielna, jak można się było spodziewać. Idź już, kochanie. Nie płacz. Wszystko będzie dobrze, kiedy już wyjaśnimy sobie sprawy do końca.

Aline odsunęła się ode mnie i powoli wyciągnęła drobną dłoń. Dotknęła nią mojej twarzy i zaczęła płakać. Chwilę później odwróciła się i odbiegła w ponury cień drzew. Darriana poszła za nią.

– To bardzo wielkoduszne – powiedziała Krawcowa i po raz pierwszy w jej głosie nie dało się usłyszeć nawet krztyny cynizmu.

– Dziewczyna jest niewinna – powiedziałem. – I nie powinna wiedzieć, co się zaraz wydarzy.

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie moją żonę Aline – nie taką, jaką była w rzeczywistości, ale jak ją znalazłem, leżącą bez życia w karczmie na podłodze. Sięgnąłem po ostatni łyk upartej, krwawej wściekłości, ostatni wybuch furii z powodu zniszczenia wszystkich moich ideałów i ruiny, w jaką przekształciłem swoje własne życie. Przywołałem każdą mroczną i potworną część siebie i gdy rzuciłem się na potwory, które na zawsze zbrukały imię Wielkich Płaszczy, uśmiechałem się.

Gdyby udało mi się zabić chociaż dwóch z tych drani, wybaczyłbym bogom ich niesprawiedliwość. Gdybym dorwał Krawcową, wtedy może poczułbym nawet wdzięczność. Było ich jednak zbyt wielu, zbyt młodych, zbyt szybkich i zbyt wypoczętych, podczas gdy ja byłem ranny, otruty i zmęczony życiem w świecie, który obracał się

na łożysku kłamstwa i zdrady. Pokonali mnie, zanim moje ostrze zdołało dotknąć któregoś z nich.

– Przykro mi, Falcu – powiedziała Krawcowa, kiedy trzech Niesplamionych unieruchomiło mnie całkowicie. – Gdyby istniała inna droga, poszłabym nią bez namysłu. Mam nadzieję, że możesz w to uwierzyć. To, co stanie się teraz, cóż... nie mogę powiedzieć, że tak będzie lepiej, ale to jedyna szansa, jaką mamy wszyscy, nawet ty.

Miałem rozciętą wargę i zostałem uderzony w brzuch tyle razy, że z trudem mogłem oddychać. Straciłem czucie w ramionach i nogach, a jak się przekonałem, zaskakująco łatwo jest być śmiałym i odważnym, kiedy nie ma się nadziei na przeżycie.

– A ja mam nadzieję, że uwierzysz mi, kiedy powiem, że to się nie skończy, dopóki ja tak nie powiem.

Uśmiechnęła się. Był to łagodny, pełny współczucia uśmiech, który zupełnie nie pasował do jej oblicza.

– To właśnie zawsze w tobie kochałam, Falcu, od kiedy pojawiłeś się w mojej chacie, rozpalony, zagłodzony i bardziej niż na wpół martwy, niosąc odciętą głowę księcia Yereda w torbie. Nigdy nie wiesz, kiedy się poddać.

– Możesz na to liczyć.

Jeden z Niesplamionych spojrzał na Krawcową.

– Odejdź teraz. To, co ma nastąpić jest świętością nie dla twoich oczu.

– Ostrzegałam cię, Falcu. Powiedziałam, że zrobię wszystko, żeby osadzić tę dziewczynę na tronie, i zrobię to. Wszystko. – Z tymi słowami odeszła.

– Gdzie idziemy? – spytałem, kiedy moi porywacze zaczęli

mnie gdzieś ciągnąć. – Mam nadzieję, że będę mógł popatrzeć. Szkoda by było przegapić porządny święty rytuał.

Dwaj Niesplamieni, którzy mnie wlekli, przystanęli na chwilę, a trzeci chwycił mnie pod brodę.

– Nie musisz się o to obawiać, trattari. Zobaczysz, usłyszysz i poczujesz każdą chwilę tego, co zaraz nastąpi.

– Czyli szykuje się impreza – odparłem, chociaż pewność siebie w jego głosie i bijąca z niego czysta nienawiść sprawiły, że zmroziło mnie od wewnątrz.

– O tak – skinął na pozostałych, którzy znów pociągnęli mnie w stronę lasu. – Powiedz mi, pierwszy kantorze – ciągnął. – Słyszałeś kiedykolwiek o czymś, co zwie się Lamentem Wielkich Płaszczy?

ROZDZIAŁ 38

LAMENT

Niesplamieni najwyraźniej szykowali się do tego od jakiegoś czasu. Polana, na którą mnie zaciągnęli, znajdowała się jakieś sto jardów w głębi lasu i wyróżniała się okazałym cisem, stojącym samotnie na samym środku. Inne drzewo zostało poświęcone, aby dostarczyć dwie belki o długości trzech stóp, przyczepione do wysokiego na pięć stóp pionowego pala tak, że celowały w niebo. Całe urządzenie wyglądało niczym suplikant błagający bogów w niebie o miłosierdzie.

„A może to właśnie powinno wyglądać jak kaktus”, pomyślałem i roześmiałem się cicho z mojego własnego żartu.

Asasyni umieścili mnie plecami do pala. Miałem właśnie powiedzieć coś niezwykle kąśliwego i inteligentnego, kiedy jeden z nich wpakował mi kuksańca w żołądek. Kiedy zgiąłem się wpół, chwycili mnie za ramiona i przywiązali je do zamontowanych pod kątem belek.

Kiedy skończyli, siedmioro z nich ustawiło się przede mną. Większość z nich widziałem przynajmniej raz w ciągu tygodni, podczas których nekaliśmy siły Trin w Pulnamie. Z niektórymi

zamieniłem nawet kilka słów, chociaż nikt by się nie domyślił, że się znaliśmy ani że walczyliśmy po tej samej stronie, ponieważ żadne z nich nie okazywało najmniejszych emocji. Sam niejednokrotnie musiałem onieśmielić ludzi, kiedy alternatywą była walka, która mogła zakończyć się czyjąś śmiercią. Trenowałem nawet minę zimnokrwistego drania, ku rozbawieniu Kesta i Brastiego. Jednak twarze tych Niesplamionych były najczystszym lodem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Stało przede mną czterech mężczyzn i trzy kobiety. Jedną z nich była Darriana. „Zabójcza Darri”, jak nazywał ją Brasti. Zastanawiałem się, jak by ją nazwał teraz, gdyby mógł ją zobaczyć. Oczekiwałem, że coś powie albo zrobi – uderzy mnie, splunie mi w twarz, skomentuje moją głupotę albo... cóż, cokolwiek. Ona jednak tylko stała, a jej twarz była całkowicie pozbawiona ludzkich uczuć.

Poczułem ogarniający mnie powoli strach, prześlizgujący się pod skórą i wsączający się w żyły. Przysięgam, że czułem, jak skrada się do mojego serca.

Jeden z mężczyzn wystąpił naprzód. Był niski – miał najwyżej pięć i pół stopy wzrostu. Jego krótko ostrzyżone jasne włosy miały piaskowy odcień, który kojarzył mi się z pustynią. Był młody, miał może dwadzieścia lat i podobnie jak u innych, jego twarz nie wyrażała absolutnie żadnych emocji. Dopiero kiedy podszedł do mnie, jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, który mógłby się wydać przyjazny, gdyby nie fakt, że zamierzał mnie zamordować.

– Falcio val Mond, pierwszy kantor Wielkich Płaszczy, Serce Króla i mąż zaszlachtowanej chłopki zwanej Aline val Mond, kochanek Ethalii, dziwki z Rijou, samozwańczy ojciec kobiety

znanej jako Valiana.

– Tak – odparłem. – Jestem tym Falcim val Mondem. Obawiałeś się, że złapaliście niewłaściwego człowieka?

– Nazywam się Heryn. Jestem... cóż, nie ma znaczenia, kim jestem. Wystarczy powiedzieć, że ja wykonam Lament.

– Brzmi to trochę, jakbyś zamierzał zaraz wyciągnąć harfę i zagrać dla mnie. Czy to właśnie jest ten twój „Lament”? Bo jeśli tak, zaczyna się gorzej, niż przypuszczałem.

Heryn zignorował moje nonszalanckie uwagi. Wyciągnął czarną skórzaną tubę i położył ją na ziemi. Kiedy ją rozwinął, moim oczom ukazały się długie, sześciocalowe stalowe igły oraz butelki o różnych kształtach ze srebrnymi zakrętkami. Obok każdej z nich leżała mała granatowa ściereczka. Heryn wziął jedną z nich, wygładził materiał, a potem umieścił na niej jedną z igieł. Spoglądał na mnie przez chwilę, lustrując mnie od stóp do głów. Potem wyciągnął butelkę, otworzył ją i ostrożnie przechylił nad igłą. Spodziewałem się jakiegoś płynu, ale był to proszek: wysuszone płatki czegoś ciemnoczerwonego, kruszące się w zetknięciu z igłą. Heryn ostrożnie uniósł igłę i wstał. Siłą pochylił mi głowę tak, że brodą dotykałem piersi.

– Jesteś gotowy?

– Pozwól, że się nad tym zasta...

Bez wahania wbił igłę głęboko w punkt w pobliżu podstawy czaszki. Spodziewałem się bólu. Wiedziałem, co to ból. Byłem już wcześniej torturowany.

Ale to?

Wrzeszczałem i wrzeszczałem, i wrzeszczałem.

Kiedy obudziłem się następnego dnia, wszystko dookoła mnie miało czerwony kolor, jakby moje oczy były pełne krwi. Dopiero po chwili cienie wokół mnie zmaterializowały się. Heryn i Darriana stali przede mną.

– Zajęło ci to dość dużo czasu – zaczął Heryn tonem swobodnej konwersacji. – W ogóle się nie poruszyłeś. Nie zareagowałeś również, kiedy wyciągałem z ciebie igłę. Przez chwilę myślałem, że popełniłem potworny błąd, ale Darriana zapewniła mnie, że to z powodu twojej ostatniej dolegliwości.

Oddychałem powoli. Powietrze wydawało się ciężkie i dopiero po dobrych kilku minutach udało mi się odetchnąć głęboko.

– Dziękuję za troskliwość – odpowiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Ach, czyli jeszcze nie całkiem utemperowany, co? Wczoraj sporo krzyczałeś i jęczałeś. Dzisiaj, obawiam się, będzie jeszcze gorzej.

Król lubił jedno z powiedzeń ze starego podręcznika dla szpiegów z minionej epoki, który znalazł w królewskiej bibliotece: „Nie jest przestępstwem odczuwać strach, podobnie jak przyznać się do tego nie jest cnotą”.

– Wiesz, coś mnie cały czas kłopotczy – powiedziałem. – Nadal jesteś „niesplamiony”? Bo wydaje mi się to trochę niesprawiedliwe. W końcu zamordowaliście kobiety i dzieci, więc chyba nie powinniście nadal tak się nazywać, skoro spowodowaliście śmierć tylu niewinnych, co? To znaczy zdaję sobie sprawę, że nie mieliście jeszcze okazji sprawić sobie tatuaży na twarzach, ale czy nie powinniście już być pełnoprawnymi dashinimi?

Heryn uśmiechnął się krzywo.

– Dashini już nie istnieją. Możesz nas nazywać Wielkimi Płaszczami.

Szarpnąłem więzy bez namysłu, co wywołało falę bólu i mdłości.

– Ostrożnie – powiedział Heryn. – Nie chcę, żebyś wykończył się za wcześniej. Zróbmy wszystko jak należy, dobrze?

Machnął dłonią, co oczywiście było umówionym znakiem dla jego ludzi, którzy zniknęli z polany i po chwili powrócili, niosąc dwa ciała. Kiedy się zbliżyli, zobaczyłem, że są to ciała mężczyzny i kobiety, zaś siniaki wokół ich oczu oraz zaczerwienione policzki skłoniły mnie do przypuszczenia, że zostali pobici, chociaż niezbyt mocno – wystarczająco jednak, żeby zmusić ich do uległości. Dopiero po chwili rozpoznałem, że są to Nehra i Colwyn, podążający za nami trubadurzy.

– Jeżeli przyniosłeś ich tutaj, żeby poddać ich torturom, powinienem cię ostrzec, że ten człowiek śpiewa prawdopodobnie gorzej niż ja – zauważyłem uczynnie, ale moje słowa natychmiast wywołały wycie u samozwańczego bardattiego, który zaczął się rzucać.

Cowyn rozpoczął swoje błagania, natychmiast odcinając się ode mnie.

– Puście nas! – prosił. – Nie mamy nic wspólnego z tym człowiekiem ani z jego uczynkami. Nie wyrządziliśmy wam żadnej krzywdy...

Ostrożnie spojrzałem na Darrianę. Nadal bolało.

– Widzisz, co się dzieje? Zadajesz sobie cały ten trud, żeby kogoś zdradzić, i nadal musisz wysłuchiwać trubadura całkowicie pozbawionego słuchu.

Darriana nie odpowiedziała. Pomogła umieścić trubadura

w pozycji stojącej, plecami do drzewa. Wykręciła mu ramiona i związała je w nadgarstkach. Nehra zgrzytnęła zębami z bólu. Colwyn wrzasnął.

– Ostrożnie – powiedział Heryn. – Mają pozostać bez szwanku.

„Naprawdę?”, pomyślałem z niedowierzaniem. „Czy tutaj właśnie postanowiłeś nakreślić granicę okrucieństwa? Czy ktoś ogłosił tydzień dobroci dla trubadurów, kiedy ja nie zwracałem szczególnej uwagi?”

Mężczyźni poluźnili nieco sznury, wystarczająco, aby Nehra i Colwyn nie cierpieli, choć zapewne nie czuli się zbyt komfortowo.

– No i proszę, tak lepiej – Heryn zaklaskał w dłonie z aprobatą. – Przedstawienie nie może się odbyć bez publiczności, prawda?

– Przepraszam, ale czy dzisiejsze tortury polegają na tym, że chcecie mi zamącić w głowie na śmierć? – spytałem.

Heryn podszedł do trubadurów. Przez chwilę stał przed Nehrą, a potem wyciągnął rękę i pogładził palcem owal jej twarzy. Kobieta nie próbowała się odsuwać, po prostu patrzyła na niego z wrogością.

– Zastanów się nad tym, co tu robisz, Niesplamiony – powiedziała. – Zdradzasz swoich przodków, a to nie zostanie tak łatwo zapomniane. O tym, co widzą bardatti, dowiaduje się cały świat.

– Na to liczę – odparł Heryn i podszedł do mnie.

– Falcio, kazałem przyprowadzić tu tych dwoje, żeby stali się świadkami Lamentu – wyjaśnił uprzejmie. – Żeby zapamiętali to, co się tu wydarzy, i sprawili, że nigdy nie zostanie zapomniane.

Przyszła mi do głowy absurdalna myśl i nie mogłem się

powstrzymać od chichotu.

– Naprawdę? Obawiam się, że jeśli liczysz na zapamiętanie faktów, pochwyliłeś niewłaściwych trubadurów.

Heryn uśmiechnął się, słysząc mój żart.

– Dobrze powiedziane. Z brawurą ci do twarzy, Falcio val Mondzie – odwrócił głowę, spoglądając na trubadurów. – Zapamiętajcie go takiego jak teraz: jego odwagę i śmiałość. Kiedy będziecie opowiadać tę historię, upewnijcie się, że wszyscy dowiedzą się, iż Falcio val Mond był mężny w obliczu Lamentu.

– Wszystko to dlatego, że pokonałem dwóch waszych braci? Heryn, czy to możliwe, żeby najwięksi asasyni na świecie byli jednocześnie największymi przegranymi historii?

Heryn spojrzał na mnie.

– Powinieneś być wdzięczny, Falcio – w jego głosie nie było irytacji. Nie było w nim żadnej emocji. – Większość ludzi żyje, umiera, i nikt nie pamięta ich imion. Ale ty? Twoja historia będzie opowiadana przez stulecie, raz za razem. Będą ją szeptali w ciemności, a nawet gdy słońce będzie stało wysoko na niebie, będą ją opowiadać z bojaźnią. Idealiści rozejrzą się wokół i powiedzą: „świat powinien być lepszym miejscem. niesprawiedliwość powinna zostać ukarana”. Wrócą myślami do opowieści o Wielkich Płaszczach i zaczną się zastanawiać, jak mogliby uszyć taki płaszcz, wziąć do ręki miecz i nauczyć się pieśni, aby uczynić świat nieco bardziej sprawiedliwym – ujął moją twarz w dłoń. – A potem przypomną sobie opowieść o agonii Falcia val Monda i o piekle, przez jakie przeszedł, o tym, jak jego usta usiłowały krzyczeć, nawet gdy jego serce przestało już bić. A potem powrócą do swojego żalnego małego życia i ze wszystkich sił będą

się starali zapomnieć, że kiedykolwiek istniały jakieś Wielkie Płaszcze.

Heryn przyklęknął znowu i otworzył swoją skórzaną tubę. Wyciągnął granatową szmatkę, a potem butelkę z zielonego szkła, i wreszcie igłę, tym razem z małym haczykiem na końcu.

– Za sto lat, Falcio val Mondzie, twoim największym darem dla tego świata będzie to, że od tej chwili nikt nie będzie marzył o tym, aby zostać Wielkim Płaszczem – powiedział. – Nigdy więcej – przerwał na chwilę, a potem uśmiechnął się. – Możemy zaczynać znowu?

Ból trwający przez wiele dni prowadzi w końcu do utraty przytomności. Okazuje się, że dashini znaleźli rozwiązanie tego irytującego problemu.

– ...o nie, pierwszy kantorze, nie możesz przegapić ani chwili – powiedział Heryn, gdy Darriana podstawiała niebieską butelkę pod mój nos. Nagle całkowicie się ocknąłem, a cały ból i cierpienie, z którego składało się moje ciało, zwiększyły się milionkrotnie.

Zastanawiałem się, dlaczego przestałem krzyczeć, a potem jak przez mgłę zdałem sobie sprawę, że nadal wrzeszczę, tylko tak już ochrypłem, że z mojego gardła wydobywał się zaledwie charkotliwy szep, niczym szemranie martwych liści poruszanych przez wiatr.

„Nie jest przestępstwem odczuwać strach, podobnie jak przyznanie się do tego nie jest cnotą”.

– Zaczynam się nudzić – wyszeptałem. – Dlaczego mnie nie zabijecie?

– Lament składa się z dziewięciu śmierci, Falcio. Powinieneś już

wiedzieć, że nie chodzi o to, by cię zabić. Chodzi o całkowite zniszczenie twojej osoby.

– Ile razy już umarłem? – spytałem. Spojrzałem na trubadurów. Nehra przyglądała mi się, zaciskając zęby, jakby obserwowanie mnie wymagało ogromnego wysiłku woli. Płakała.

– Ciągłe jesteśmy w trakcie trzeciej śmierci – powiedział Heryn. – Zaczynamy?

Czwartego dnia chciałem się zmusić do wstrzymania oddechu. Kiedy to nie zadziało, próbowałem odgryźć sobie język. Kiedy byłem w stanie znów otworzyć oczy, zdałem sobie sprawę, że widzę bardzo niewyraźnie i trudno mi cokolwiek dostrzec. Świat stał się mgłą stworzoną z szarych chmur przetykanych czerwonymi mackami, które wyciągały się w moją stronę, wypełniając nozdrza, usta, a nawet uszy.

Pomyślałem o historiach o starych ludziach, którzy stracili swoje żony i z niewyjaśnionych przyczyn umarli tej samej nocy. Po prostu... zakończyli życie. Nie czekało ich nic poza samotnością, więc ich serca po prostu przestały bić. Niczym pijany głupiec, niczym szaleniec zacząłem błagać własne serce. „Zatrzymaj się”, powiedziałem mu. „Przestań bić! Twoja żona nie żyje. Powinieneś się zatrzymać już dawno temu, ale nie zrobiłeś tego, ty niepokorny dzieciaku. Twój król nie żyje. Twój kraj nie żyje. Świat skurczył się do tego małego więzienia.”

– Ach – usłyszałem głos. To Heryn. – Widzę, że odzyskujesz przytomność. To miło z twojej strony, że nie wykorzystałeś zbyt dużo czasu dziś rano. Może popełniliśmy błąd i w rzeczywistości

lubisz ból?

„Przestań. Bić. Przestań”.

– Zaczynamy?

Szaleństwo. Szaleństwo było odpowiedzią. Usiłowałem zmusić się do śmierci, ale to było głupie, nadzieja głupca. Nie można siłą woli zmusić się do śmierci.

Odpowiedzią było więc szaleństwo: wariaci nie czują bólu – to znaczy owszem, czują, ale go nie pojmują. Wrzeszczą i jęczą, śmieją się i chichoczą, plują i przełykają, i robią wszystko to, co zrobiłby normalny człowiek, ale nie rozumieją z tego absolutnie nic.

Jak się okazało, moim problemem było zrozumienie.

Wiedziałem, jaki to dzień – czwarty dzień. Wiedziałem, że nadal czeka mnie przed śmiercią jeszcze pięć. I to był problem.

Zatem potrzebowałem szaleństwa.

– Dzień dobry – powiedział Heryn.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że mi się przygląda. Na jego widok wywrócił mi się żołądek. Nic w jego twarzy, ciele i włosach się nie zmieniło, a jednak każda jego cząstka, wszystko w nim sprawiało, że zacząłem dygotać, a z moich oczu popłynęły łzy. Ta głupia część mnie, którą ludzie zwykli nazywać Falcie, usiłowała nie odwracać wzroku, jakby to mogło cokolwiek polepszyć.

„Głupiec”.

Zmusiłem się do odwrócenia głowy i dostrzegłem kobietę bardatti, nadal przywiązaną do drzewa. Powiedziała do mnie jedno słowo, bezgłośnie:

„Walcz”.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co miała na myśli.

„Walcz”.

„Z czym mam walczyć?”, pomyślałem.

– Zaczynamy?

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki i zacząłem się zastanawiać, dlaczego to proste słowo tak bardzo ją poruszyło. Heryn wymawiał je każdego dnia od chwili, gdy mnie pochwycili.

Potem zdałem sobie sprawę, dlaczego wyglądała na tak przerażoną.

To nie Heryn wypowiedział to słowo, tylko ja.

Miałem coś w ustach: metalowy aparat, który rozwierał mi szczęki. Małe igły wbijały się w moje dziąsła, język i podniebienie. Aparat robił się większy i większy, aż w końcu jego metalowa forma stała się całym światem, ja zaś jedynie krwawym łachmanem zwisającym wokół niego, chroniącym go przed rdzą od deszczu. Aparat był wszystkim, zaś jedynym odczuciem był tępy, pulsujący ból w każdym miejscu, w którym mnie dotykał. Czułem metaliczny smak w ustach, nic więcej. Słyszałem jedynie...

...coś było nie w porządku z dźwiękiem aparatu. Powinien brzmieć twardo, przesywająco, cienko, a jednak... dźwięk w moich uszach był ciepły, kojący, jak coś, co kiedyś musiało istnieć, może przed tym aparatem...

„Ludzie”.

Tak, na pewno. „To brzmi jak człowiek”. Ale nie jak mówiący człowiek, coś innego...

„To się nazywa śpiew, idioto”.

Zdałem sobie sprawę, że trubadurzy śpiewali. Piosenka była niczym trzask ognia i kojące ciepło dobrej wełny. Nie rozumiałem słów, a mimo to wiedziałem, że opowiadają o trąbach, o koniach i o sprawie, dla której warto walczyć. Opowiadali o czasie – czymkolwiek był czas – czasie po skończeniu walki, czasie ulgi, wytchnienia, odpoczynku. Czasie pokoju.

Przez krótką chwilę stałem się ponownie człowiekiem, a nie krwawym łachmanem owiniętym wokół aparatu, ponieważ oboje śpiewali pieśń śmierci.

„Chcą mi pomóc umrzeć”. Ból nie zelżał; nadal czułem każdą igłę, każde oparzenie, każde pęknięcie i każde przekłucie w mojej skórze, ciele i kościach. Ale ból był po prostu... bólem. Można odczuwać ból, ale ból nie jest zbrodnią. To reakcja ciała, umysłu, serca, ale jest też coś innego. Płomień buzujący w środku, którego ból nie jest w stanie dosięgnąć – ból nawet nie wie, że płomień tam jest. Nikt nie wie, ponieważ to sekret – słowo wypisane na dłoni chłopca, który dopiero je poznał; część historii o mężczyznach i kobietach w długich skórzanych płaszczach. Chłopiec nie rozumiał tych słów, więc poprosił gawędziarza, aby napisał mu je na dłoni.

– Potrafisz czytać? – spytał gawędziarz.

– Oczywiście, że nie – odparł chłopiec. – Ale muszę znać tylko to jedno słowo.

Sięgałem po nie, kiedy głos Heryna przebił się przez pieśń.

– Niesamowite – powiedział. – Wygląda na to, że w legendach o bardattich tkwi więcej prawdy, niż przypuszczałem – nasilenie jego głosu zmieniło się, jakby odwrócił głowę. – Zakneblujcie ich – poczułem dłoń na policzku. Aparat zadrżał lekko i ból znów się wzmógł. – To nie wystarczy – powiedział. – Będziemy musieli

zacząć od początku.

Siódmego dnia coś mi podali – jakiś płyn. Nie wiedziałem, jakiego był koloru ani jak smakował. Takie rzeczy były już poza mną.

Najpierw się zakrztusiłem, ale płyn przecisnął się w dół do mojego gardła i żołądka. Stamtąd rozlał się w moje ramiona i nogi oraz na całe ciało. Wypełniał najpierw ręce i stopy, a potem palce.

Otworzyłem oczy i dostrzegłem polanę, Heryna, Darriane i dwoje trubadurów. Dopiero po chwili zrozumiałem, że wrócił mi wzrok i że wiedziałem, czym on jest. Agonia nadal trwała, ale tym razem było gorzej, ponieważ nie tylko ją czułem, ale też rozumiałem. Przez kilka ostatnich dni byłem owinięty bólem i przez to zapominałem, że cokolwiek innego istniało.

– Próbowalesz uciec – wyjaśnił Heryn. – Ale nie możesz. Jeszcze nie.

Śmiech wydobył się z mojego gardła. Spojrzałem w dół, przyglądając się swojemu ciału. Wyglądałem koszmarnie. Byłem przywiązany do pala, z mojej twarzy i nagiego torsu wystawały igły, podobnie jak z genitaliów, okrytych podartymi i brudnymi od moczu i kału spodniami. Nie wyglądałem na kogoś, kto byłby w stanie poruszyć palcem, nie wspominając o ucieczce.

Ale nie o tym mówił Heryn, i ja o tym wiedziałem. W głębi duszy podobał mi się fakt, iż martwił się, że mógłbym pograć się w szaleństwo. Ja z miłą chęcią umarłbym w ten sposób: jako złamany, śliniący się wrak czegoś, co kiedyś było mężczyzną. Heryn prawdopodobnie wściekłby się, gdyby znalazł mnie pewnego razu oszalałego, rozbitego i niezdolnego do pełnego odczuwania cierpień,

które tak cierpliwie mi zadawał – w końcu jaki był sens w przedstawieniu bez odpowiedniej publiczności?

Być może po raz pierwszy naprawdę zaakceptowałem fakt, że umrę, a nie tylko stracę życie. Miałem umrzeć samotnie i w bólu, wypełniony po brzegi chorymi majakami niepowodzeń całego życia. „Dobrze”, pomyślałem. „Niech będzie tak, jak powiedział Heryn. Niech trubadurzy opowiadają historie o Falciu Głupcu; o Falciu, który niczym dziecko wierzył, że świat może się zmienić tylko dlatego, że ktoś tego pragnie”.

Mrugnąłem. „Róbcie ze mną, co chcecie. Dashini, Niesplamieni, Wielkie Płaszczce, czy jak tam chcecie się zwać. Ja bowiem mam tarczę, której nie możecie przebić swoimi igłami i szpilami”.

Akceptacja.

„Akceptuję”.

„I co teraz zrobisz, Herynie? Akceptuję wszystko: ból, cierpienie, żal. Pragnę tego. Czekam na to z utęsknieniem”.

Poczułem rozpalający się we mnie płomień radości. Niech się nade mną znęcają dalej. Siedem dni już minęło. Jeśli chcą, niech robią to przez kolejne siedem, siedemdziesiąt a nawet siedemset.

Byłby to dobry rodzaj śmierci – niekoniecznie męstwo, ale to nie musiało być męstwo. Wystarczyłoby to, co jest.

Byłem schwytyany i uwięziony, ale wierzyłem, że oto nadchodzi moja wolność.

Niestety, późnym wieczorem siódmego dnia coś pociągnęło mnie z powrotem w dół i przysporzyło mi więcej smutku niż jakiegokolwiek toksyny i wywary Heryna.

Valiana próbowała mnie oswobodzić.

Zrobiła, co w jej mocy, aby zachować ciszę, ale nie miała wystarczająco dobrego wyszkolenia i oczywiście usłyszeli, jak nadchodziła. Zrobiła, co w jej mocy, aby wykazać się szybkością, ale oni byli w tym lepsi. Zrobiła, co w jej mocy, żeby walczyć, ale nadal cierpiała od ran, które odniosła w Rijou.

W ostateczności jedyną rzeczą, którą zrobiła dobrze, było męstwo. Wytrzymała pięć złożeń, zanim Darriana zaszła ją od tyłu i chwyciła za szyję. Heryn podszedł i położył dłoń na twarzy Valiany. Zauważyłem, że robił to dość często.

– Miałaś rację, Darriano – spojrzał na mnie i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Powiedziałem, że musimy pojechać i odnaleźć tę dziewczynę, że nigdy nie będzie na tyle nierozsądna, aby próbować nas odszukać, a jednak proszę: oto jest. Sikorka przysiadła na naszej polanie – puścił ją, podszedł do mnie i sięgnął po igłę wbity między kości mojego nadgarstka.

Wrzasnąłem.

Heryn usunął igłę wbity w łokieć i nagle poczułem, jakby moje ramię przestało istnieć. Przesuwał się od jednej do drugiej igły, które umieścił tak pieczołowicie w zakończeniach nerwów moich kończyn, gawędząc, kiedy wykonywał swoją pracę.

– Gratuluję, Falcu val Mondzie. Wreszcie mamy to, czego potrzebujemy, aby zadać ci dziewiątą i ostateczną śmierć.

„Zamierzają ją zabić”, zrozumiałem. „Tak właśnie to zrobią. W taki sposób przebiją się przez tarczę mojej świadomości”.

Mimo to coś było nie w porządku.

– Chyba przeskoczyłeś jeden dzień – szepnąłem.

– Masz rację – odparł Heryn. – Dziewczyna jest niezbędnym uczestnikiem twojej ostatniej śmierci, ale zostaje nam jeszcze

jedno.

– Pewnie powinieneś już zaczynać – powiedziałem. Chciałem umrzeć bardziej, niż kiedykolwiek pragnąłem żyć.

– Ma rację – Darriana przyjrzała się mojej twarzy. – Nie pożyje już długo.

Heryn pokręcił głową.

– Nie. Zaczekamy. Zawarliśmy umowę, która musi zostać uhonorowana.

– Powinna już tu być – powiedziała Darriana, spoglądając na rozgwieżdżone niebo nad nami.

– Zaczekamy – powtórzył Heryn. Spojrzał na trubadurów. Nehra i Colwyn zwisali bezwładnie na linach przytrzymujących ich przy drzewie. Nagle zdałem sobie sprawę, że Colwyn umarł w którymś momencie, a oni tak po prostu go tam zostawili. To by było tyle w kwestii: „nie może się im stać żadna krzywda”.

– Pozostań czujna, mała bardatti. Niedługo ona się tu pojawi, a to, co wydarzy się wtedy, będzie czymś, czego nie widział nikt od stu lat.

Siódma noc dobiegała końca, już prawie rozświetlała ją jutrzienka, kiedy przysła do mnie. Czułem porę dnia dzięki chłodnemu powietrzu, które omywało płonące zaognione ciało pod linami i wokół poranionej skóry. Słyszałem bzyczenie owadów oraz szelest małych zwierząt w lesie, głośniejsze niż zazwyczaj, jakby usiłowały za pomocą normalnych, naturalnych zachowań zamaskować zbrodnie popełniane w ich siedlisku.

Miałem zamknięte oczy, ale widziałem ją.

– Już niemal przyszedł czas, Falcio – nocny wiatr igrał z jej włosami. Zapomniałem, jak bardzo się kręca. Nie sądzę, żeby można mnie było za to winić. W końcu nie żyła od ponad piętnastu lat.

– Czas na co, kochanie? – spytałem, chociaż dźwięk, który wydostał się z moich ust był zaledwie jękiem.

– Czas, aby okazać męstwo – powiedziała Aline.

Poczułem łagodne dotknięcie łez pod moimi rzęsami. Było to delikatne uczucie, a jednak równie silne, jak rozdzierający ból w moich kościach i przeszywający ból w mięśniach.

– Byłem dzielny – odparłem płaczliwie, niczym dziecko, które się o coś oskarża.

Aline uniosła dłoń blisko mojej twarzy. Tak bardzo pragnąłem poczuć dotyk jej skóry na mojej. Zapomniałem już rysów jej twarzy, ale pamiętałem każdy odcisk na tych dłoniach, kształt jej palców. Pamiętałem, że pierwszy staw trzeciego palca lewej ręki był lekko wykrzywiony, dlatego zawsze było jej trudno założyć obrączkę ślubną. Łatwiej było po prostu nigdy jej nie zdejmować, powiedziała mi pewnego dnia, a ja się z nią zgodziłem, na zawsze. Na całą wieczność. Ale chociaż pamiętałem każdy szczegół jej ciała, wszystko to było tylko wspomnieniem i nawet w moich halucynacjach nie byłem w stanie poczuć dotyku jej dłoni na mojej twarzy.

– Dlaczego nie chcesz mnie dotknąć, Aline? – spytałem. – Czy żona nie powinna dotknąć swojego męża po tak długiej rozłące?

– Nie mogę – odparła. – Odebrali nam to.

Wyobraziłem sobie jej ciemne oczy wypełnione smutkiem, chociaż suche. Aline nigdy nie była płaczliwa.

– To niesprawiedliwe – powiedziałem. – Mogę zrozumieć tortury. Morderstwo jest nieuniknione. Ale człowiek powinien przynajmniej móc wyobrazić sobie, jak jego żona gładzi go po twarzy, nie sądzisz?

Roześmiała się cicho. Zawsze potrafiłem ją rozśmieszyć, chociaż nie sądzę, żeby to, co mówiłem, zawsze było bardzo zabawne, dlatego zastanawiałem się, czy przypadkiem nie śmiała się tylko po to, żebym ja poczuł się lepiej.

– Musisz być teraz bardzo dzielny – powiedziała.

– Już to mówiłaś. Czy nie byłem wystarczająco dzielny na tym świecie? Czy nie walczyłem za każdym razem, nawet gdy rycerze, zbiry i asasyni mieli nade mną przewagę? Czy nie usiłowałem postępować godnie, nawet gdy byłem bez szans? Czy nie wbiłem noża w serce mojego króla, gdy mnie o to poprosił? Byłem dzielny, Aline. Nie boję się śmierci.

– Byłeś niezwykle dzielny, mój kochany. A teraz musisz być jeszcze dzielniejszy.

– Ale dlaczego? – tym razem usłyszałem lekko łamiący się głos własnych słów w uszach, nie tylko w umyśle.

– Ponieważ ona tu jest.

Zacząłem mrugać powiekami i chociaż spodziewałem się, że Aline zniknie, jej ciało zaczęło falować, zmieniając się w inną postać. Mijały sekundy, aż wreszcie moja żona zniknęła, a przede mną stanęła inna kobieta, która przewyższała Aline urodą, ale której czarne serce sprawiło, że moje własne zastygło w piersi. Dłoń Aline nie mogła mnie dosięgnąć, ale tę dłoń czułem doskonale – jej delikatną skórę i doskonale proste palce, gładzące mój policzek.

– Witaj, moja urocza obdarta peleryno – powiedziała Trin. – Cóż

za rozkoszne chwile przyjdzie nam dzielić.

ÓSMA ŚMIERĆ

Może wyda się to dziwne, ale kiedy zrozumiałem, że Trin tu jest, poczułem ulgę. Aline powiedziała mi, że muszę być dzielny, ale nie rozumiała, jak głęboko zapadłem się w rozpacz; sięgnąłem dna, nie mogłem upaść niżej.

„Już prawie po wszystkim”, obiecałem sobie. „Teraz podda mnie torturom, będzie mnie drażniła, a kiedy się wreszcie znudzi, co jest nieuniknione, wszystko się skończy”.

– Opowiedz mi, jak to działa – poprosiła Trin, ale nie zwracała się do mnie.

Heryn przygotowywał więcej igieł, tym razem zanurzając je w gęstym czarnym płynie, a następnie w granatowym proszku.

– Oczywiście trzeba użyć różnych składników – odparł. – Ale są one jedynie przekaźnikami magii. Przywołują starodawną rzecz, która naprawdę cudownie działa – spojrzał na nią. – Masz swoją część?

Trin wyciągnęła spod koszuli skórzany worek. Heryn wziął jedną z granatowych szmatek i podał jej. Trin otworzyła torebkę, z której wypadło coś małego, kruchego i żółtego. Ząb.

– Powiedziała ci, że mam drugi, Falcio – odwróciła się do mnie. – Zdobycie tego pierwszego wymagało ogromnego wysiłku i bólu, a ty tak po chamsku go wyrzuciłeś. Na szczęście nie był to jedyny ząb – spojrzała na Heryna. – Czy to wystarczy, żeby...

Skinął głową.

– Dla mnie też? – spytała.

– Tak, ale twoja skóra musi dotykać jego.

Trin zaczęła zdejmować ubranie. Najpierw ściągnęła długi brązowy płaszcz, potem szybko rozpięła górę nieskazitelnie białej koszuli. Mrugnęła do mnie i znacznie wolniej rozpięła kolejne guziki. Unosząc lekko brodę, ostrożnie rozsunęła materiał, ukazując piersi, przesuwając wierzchem palców wzdłuż ciała, dopóki nie dotknęły paska jej spodni, z których również szybko się wyślizgnęła. Na końcu pozbyła się bielizny i stanęła przede mną naga.

– Potrzeba kontaktu tylko małego fragmentu skóry – powiedziała Darriana.

Trin spojrzała na nią.

– A gdzie w tym byłaby zabawa?

– Powinniśmy wkrótce zacząć – powiedział Heryn. – Wszystko gotowe.

Trin podeszła do mnie i zsunęła podarte resztki koszuli z moich ramion, a potem zdjęła mi spodnie, na końcu rozcinając nożem to, co pozostało z bielizny – pewnie dobrze, zważywszy na to, jak były zabrudzone.

– I znów, to niekonieczne – powiedziała Darriana.

– Jesteś zazdrosna, że nie pomyślałaś o tym pierwsza? – spytała Trin. Jej dłoń zsunęła się w kierunku mojego krocza i poczułem, jak

jej palce przesuwają się w dół i w górę.

– Możesz sprawić, żeby stwardniał? – spytała. – Chcę, żeby był twardy.

Heryn pokręcił głową.

– Pani, on jest sparaliżowany. Zniszczyliśmy nerwy w jego ciele. Może odczuwać ból, nic więcej. Pozostał już tylko mały kawałek jego umysłu do unicestwienia.

– I jego serce – powiedziała. – Nie zapomnijmy o serduszku mojej uroczej obdartej peleryny.

Objęła mnie ramionami, kładąc jedną dłoń tuż nad moimi pośladkami, drugą zaś na karku. Potem owinęła nogę wokół mojej i przyłgnęła do mnie mocno, jakbym był masztem na statku w środku okrutnego sztormu.

– Jesteś ambitna – mruknąłem. Chciałem powiedzieć coś zabawniejszego, ale zabrakło mi na to siły.

– Już czas – Heryn chwycił dwie długie igły i stanął za moimi plecami. – Muszę umieścić instrumenty precyzyjnie, lady Trin – powiedział i poczułem, że odsuwa dłoń Trin znad moich pośladków.

Poczułem ukłucie stali przebijającej się przez skórę, mięśnie, prosto w kręgosłup. Oczywiście czułem ból, ale nie większy niż to, czego dotychczas doświadczyłem. Kiedy Heryn wbił drugą igłę w moją szyję, wciskając ją w głąb czaszki, poczułem ulgę. „Już niemal koniec”, powiedziałem sobie. Spojrzałem na bardatti. Martwe oczy Colwyna patrzyły na mnie z potępieniem, zaś Nehry z przerażeniem.

– Biedny Falcio – Trin pocałowała mnie w szyję. – Nie martw się, nie będziesz sam. Zostanę przy tobie przez całą twoją podróż. Będę widziała to, co ty, i czuła to, co ty. Każda chwila będzie cenna,

kiedy będziemy ją, ty i ja, dzielić. Och, no i oczywiście ona również.

Zanim zdążyłem zacząć się zastanawiać, co miała na myśli, oczy same mi się zamknęły, a oddech spowolnił. Widziałem światło, ale nie był to blask, który przychodzi do człowieka w momencie śmierci. Zamiast tego było to zwykłe światło olejowych lamp zwisających z drewnianego niskiego sufitu, oświetlających izbę dla gości w zwykłej oberży. Długie drewniane ławy ustawiono wokół centralnego paleniska. Na końcu izby znajdował się szynkwias. Mężczyzna pod czterdziestkę mył kubki, najwyraźniej szykując się na przybycie wieczornego tłumu gości. Miejsce wydało mi się znajome.

– Och, to wspaniałe – odezwał się gdzieś z głębi mnie głos Trin.

Usłyszałem trzask gwałtownie otwieranych drzwi i przed moimi oczami pojawili się czterej mężczyźni: książęcy strażnicy. Przysadziści i muskularni, nie różnili się wiele od opryszków. Jeden z nich był wyższy niż pozostali i miał przy sobie topór. I po tym toporze natychmiast go rozpoznałem. Nosił imię Fost. Potem zobaczyłem, że pozostali ciągną coś między sobą – coś wierzgającego, wywijającego się, drapiącego i usiłującego gryźć. Kobieta krzyczała i walczyła. W nikłym świetle kaganka zobaczyłem jej twarz.

I w tym momencie wreszcie zrozumiałem, co się działo i czego świadkiem miałem się za chwilę stać. Zrozumiałem też wreszcie słowa Aline: „Musisz być teraz bardzo dzielny, Falcio”.

Ale nie mogłem. Nie mogłem...

Przycisnęli Aline do chropowatego drewnianego stołu i zdarli z niej jasnoszarą sukienkę. I chociaż starałem się zmusić oczy do zamknięcia, nie mogłem, ponieważ już były zamknięte. Widziałem

wszystko z doskonałą ostrością, jakby nóż wycinał obrazy na powierzchni moich własnych oczu.

Aline usiłowała ich z siebie skopać, ale dwóch mężczyzn chwyciło ją za nogi, trzeci zaś za ramiona, wyciągając je nad jej głową. Błagałem moje serce, żeby przestało bić, ale zamiast tego czułem, że tylko przyspiesza, bijąc lekko, niczym koliber. Nagle zdałem sobie sprawę, że czuję serce Trin obok mojego.

Mężczyźni zaczęli się śmiać, a potem powiedzieli coś o krowie dającej mleko. Potem Fost ściągnął spodnie do kolan i powiedział coś jeszcze, chociaż nie słyszałem co, bo tamci śmiali się za głośno, a poza tym Trin chichotała w moich uszach.

Aline przeklęła ich. Powiedziała, że zna klątwę, która ich zniszczy – ich i wszystkich podobnych im ludzi. Powiedziała, że są mroczniejsze rzeczy, które można wyzwolić na świat, niż brudne pragnienia gwałcicieli i morderców. Powiedziała, że mąż ją pomści. A oni nadal się śmiali i kiedy Fost skończył pierwszą kolejkę, zamienił się z jednym ze swoich ludzi, trzymających Aline za nogi: tłuściochem z łysiną okoloną wianuszkiem rudych włosów. Zanim jednak Fost zdążył chwycić Aline, ona ugięła nogę i kopnęła grubasa w twarz. Krew połała się mu z nosa. Nachylił się nad nią i uderzył ją pięścią. Aline wykorzystwała chwilową nieuwagę pozostałych, aby wyswobodzić rękę i ściskając palce, jakby trzymała pióro, wbiła dłoń w oko mężczyzny.

Nawet kiedy walczyła, krzyczała. Błagała oberżystę, żeby jej pomógł; kłamała, że uzbrojeni ludzie zaraz się tu pojawią i że każdy, kto udzieli jej pomocy, zostanie oszczędzony. Gospodarz jednak nie wyciągnął pomocnej dłoni. Obserwowałem, jak odwrócił się i po cichu wyszedł na zaplecze.

Fost i jego ludzie znów unieruchomili Aline, ale ona wypluła coś zakrwawionego prosto w oko człowieka, który trzymał ją za rękę. Zdałem sobie sprawę, że to ząb: kiedy tłusciuch uderzył ją pięścią w twarz, wybił jej kilka zębów, a mojej dzielnej, cudownej kobiecie udało się ich nie połknąć, i teraz mogła ich użyć jako broni. Ale zęby to nie miecze, a nieuzbrojona kobieta, choćby najodważniejsza, nigdy nie wygra z czterema silnymi żołnierzami. Fost uderzył ją mocno w zębra, mówiąc coś o przygaszeniu jej nieco. Rozległ się głośny trzask, który wypełnił izbę, a potem wybuchy śmiechu pozostałych.

Tłusciuch wszedł w nią przemocą i zaczął ją wściekle posuwać. Przyglądałem się, jak Aline rozgląda się za jakąś bronią lub sposobem odwrócenia uwagi oprawców, choćby na chwilę. Przez moment miałem wrażenie, że jej wzrok padł na mnie, ale oczywiście to było niemożliwe.

Tłusciuch wyszedł z niej i powiedział coś, ale nie usłyszałem co, bo w tym momencie rozległ się okropny, rozdzierający dźwięk: Aline wyrwała własne ramię ze stawu. Wstrętny wilgotny dźwięk sprawił, że człowiek trzymający ofiarę za rękę puścił ją, zszokowany, tylko na chwilę. Moja dzielna dziewczynka przygryzła wargę do krwi i poprzez ból podniosła się, żeby uderzyć łokciem zdrowej ręki Fosta. Trafiła go w gardło. Fost zatoczył się, a potem wychrypiał rozkaz. Nie słyszałem odpowiedzi, ponieważ zagłuszył je szum mojej własnej krwi w uszach. Trzech pozostałych mężczyzn, pokrwawionych, posiniaczonych i podrapanych, ponownie unieruchomiło Aline.

Kiedy Fost uniósł topór nad głową, oczy Aline zrobiły się ogromne z przerażenia, bólu i cierpienia – jej bezgraniczna odwaga

opuściła ją wreszcie. Spoglądała na mnie w tej chwili, przysięgam, i słyszałem, jak wykrzykiwała moje imię: „Falcio! Falcio! Falcio!”.

Modliłem się, żebym, gdy topór opadnie, ja również mógł to poczuć, ale tak się nie stało. Aline była sama.

Rozległo się więcej śmiechu i światła karczmy zaczęły migotać i przygasać.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem twarz Trin, mokrą od potu – jej wzrok zamglony, usta częściowo rozwarte. Nadal była spleciona ze mną. Oddychała ciężko, aż wreszcie jęknęła cicho. Przeżywała orgazm.

– Skończone – powiedział Heryn i poczułem, jak powoli wyciąga igłę z podstawy mojej czaszki, a potem tę z pleców. Inne pozostały na miejscu.

Trin wreszcie zdjęła swoją nogę z mojej, a potem dłonie, po jednej.

– Czy cię to usatysfakcjonowało? – spytała Darriana. W jej głosie nie było ani krzty emocji.

Trin nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Chcę to zrobić jeszcze raz – powiedziała.

Heryn roześmiał się cicho.

– Obawiam się, że to niemożliwe, pani. Nie zwiększyłoby to również jego cierpienia, jeżeli tego szukasz. Jest złamany i prawie gotowy na dziewiątą śmierć.

– Szkoda – powiedziała Trin i zaczęła się ubierać.

Kiedy skończyła, Heryn stanął przed nią.

– Wedle umowy...

– Tak, tak, mój uroczy Niesplamiony. Nasza umowa została wypełniona.

– Doskonale. Zatem...

– Chcę jednak dokonać w niej pewnych poprawek – powiedziała, wyciągając sztylet z za pasa. – Dotyczy to bezimiennej dziwki, którą macie tam związaną – obeszła Heryna i ruszyła w kierunku Valiany, ale Darriana stanęła przed nią.

– Tego nie było w umowie.

– To prawda – powiedział Heryn, a kiedy Trin spojrzała na niego pociemniałymi oczami, pokręcił głową. – Nie byłoby mądrze zawieść nasze zaufanie.

Przez chwilę wszyscy troje trwali nieruchomo, a potem Trin schowała sztylet za pas i odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Będą musiały mi wystarczyć wspomnienia, moja urocza obdarta peleryno – pocałowała mnie w policzek. – Dziękuję ci, Falcio. Za to zawsze będę cię kochała.

Dziwne, niemal niemożliwe, ale zacząłem płakać. „Jakim cudem znalazło się jeszcze we mnie miejsce na żal?” Powiedziałem sobie, że to pewnie z powodu wszystkich tych igieł oraz olejków i płynów, którymi mnie faszerują. Falcio, ten głupi człowiek, umarł prawdopodobnie już dawno temu i teraz jedynie dziwaczne tajemne sztuczki dashinich trzymały przy życiu resztki jego ludzkiej powłoki. „To już koniec”, powiedziałem sobie. „Przestań oddychać”.

Ale powietrze wciąż wchodziło do moich ust i opuszczało płuca tą samą drogą. Ból pojawił się z zewnątrz i zapuścił we mnie korzenie. Nie byłem martwy. Stałem się ogrodem wstydu i żalu. Ale Aline powiedziała mi coś, nieprawdaz? To nie mogło być tak dawno temu. To było coś o męstwie. „Musisz być teraz dzielniejszy niż zwykle, Falcio”. Tak, to właśnie powiedziała. „Ale ja nie mogę być dzielny”, pomyślałem. Nie tak, jak ona była. „Jestem zbyt

zajęty hodowaniem niepowodzenia i upadku w moim sercu. Zapuściły korzenie i rozrastały się coraz bardziej”. A jednak jej słowa powracały raz po raz: „Musisz być teraz dzielny. Dzielniejszy niż kiedykolwiek”.

Chciałem wrzasnąć, zagrozić im wszystkim, wyliczyć każde cierpienie, którego zaznają pod wpływem mojej furii – tak jak to zrobiła Aline. Chciałem poprzysiąc im zemstę, która sprawiłaby, że bogowie i święci odwrócą wzrok od Tristii w obawie, co mogliby zobaczyć, kiedy Falcio wreszcie będzie wolny. Ale to nie była odwaga, lecz zwykła brawura. Na co się zdadzą groźby trupa, nawet takiego, który jeszcze nie do końca zdał sobie sprawę z własnej śmierci? Ale musiała być odpowiedź. Aline rozkazała mi być dzielnym. „Dzielniejszym niż kiedykolwiek”. Co takiego zwykł mawiać król? Naszą największą siłą jest nasz osąd; naszą najwspanialszą bronią jest znajomość praw. Brzmiało to banalnie, ale co jeszcze pozostało?

„Dobrze zatem”, pomyślałem.

Niech ostatnią rzeczą, którą ode mnie usłyszą, będzie ta, która zrani ich najbardziej. Niech ostatni nóż, którym rzucę, będzie ostrzem prawdy. Zacząłem więc recytować prawa, których nauczył mnie mój król, jedno po drugim, tak jak czyniłem w najdumniejszych momentach swojego życia, stojąc wraz z moimi braćmi, Wielkimi Płaszczami – i tak, jak uczyniłem to ostatnim razem, gdy uznałem, że jestem bliski kresu, w lochach Rijou. Zacząłem od pierwszego prawa. „Wypowiem je sto razy”, obiecałem sobie. „A potem zabiorę się za drugie prawo”.

– Pierwsze prawo mówi, że ludzie wolni są – zaśpiewałem cicho. – Bo bez wolności nie mogą służyć sercu, a bez serca nie

mogą służyć swoim bogom, swoim świętym ani swojemu królowi.

Mój głos był tak cichy, że ani Heryn, ani Darriana nie dosłyszeli mnie, stali bowiem za daleko. Trin spojrzała na mnie i nachyliła się, jakby usiłowała zrozumieć, co takiego mówię.

– Pierwsze prawo mówi, że ludzie wolni są – powtórzyłem, tym razem chyba nieco głośniej. Zaśpiewałem jeszcze raz, i jeszcze, a Trin nachyliła się nade mną tak blisko, że jej ucho dotykało niemal moich ust. A ja śpiewałem. Powtarzałem te same słowa raz po raz, wiedząc w głębi duszy, że to słowa magiczne – że jeśli będę je powtarzał, przebiją się przez całe zło we mnie i wokoło mnie.

Wreszcie Trin odsunęła się ode mnie.

– Myślę, że jest gotowy na dziewiątą śmierć – powiedziała, nie spuszczając ze mnie wzroku. Wydawała się szczerze zaskoczona.

– Dlaczego tak twierdzisz? – spytał Heryn.

– Ponieważ powtarza bez przerwy „zabijcie mnie, zabijcie mnie”.

CIERPLIWOŚĆ KRÓLA

– Powiesz mi, co tam jest napisane? – spytałem.

Król Paelis i ja spożywaliśmy posiłek w altanie, którą zbudował na jednym z wielkich trawników pod murami zamku Aramor. Rozmawialiśmy o problemach wynikających z pewnego sporu na temat własności. Pogoda była bardzo przyjemna, z nielicznymi chmurami na niebie, „dla dekoracji”, jak mawiała moja mama. Jeden z królewskich służących przyniósł list i gdy tylko król go otworzył, zbladł i przez następne kilka minut siedział nieruchomo, wpatrując się weń.

– Zrobiłem coś, Falcio – powiedział wreszcie. Podniósł do ust drżącymi dłońmi srebrny puchar z winem.

– Wasza Królewska Mość?

– To było... – upił łyk, a potem ostrożnie odstawił puchar, zupełnie jakby uznał, że nie ma prawa pić w tej chwili wina. Wstał z krzesła i podszedł do wysokich okien witrażowych obramowanych łukami, wychodzących na plac, na którym ćwiczyły Wielkie Płaszcze. – Królowie wykorzystują ludzi, Falcio.

Nie byłem pewny, co na to odpowiedzieć, więc spróbowałem

lekkob obrócić to w żart.

– Czy nie to jest zadaniem królów? Ci, którzy coś potrafią, robią to; ci, którzy nie potrafią nic, rządzą.

Ale on nie dał się sprowokować ani się nie roześmiał.

– To konieczność – powiedział, jakby próbował się usprawiedliwić. – Czasem wiesz, że trzeba wysłać ludzi na wojnę i że najprawdopodobniej zginą. Potrafię z tym żyć. Są jednak chwile, kiedy ryzykujesz czyjeś życie, nie mając pewności, że to konieczność, jedynie że to prawdopodobne... nie, nawet nie tyle. Dla hazardu. Nawet dla kaprysu.

Nie rozumiałem, o czym mówi. Król nienawidził przemocy i podejmowania ryzyka, zwłaszcza gdy wchodziło w grę nasze życie. Wszyscy to wiedzieliśmy.

– Zgłosiliśmy się na ochotnika – powiedziałem. – Nikt z nas, Wielkich Płaszczy, nie jest do niczego przymuszany. To nie tak, jak w książkach...

– Rycerze również nie są do niczego przymuszani – powiedział.

Niemal wyplułem to, co miałem w ustach. W tamtych czasach najmniejsza wzmianka o rycerzach wystarczyła, żebym się najeżył.

– Wybacz, Wasza Królewska Mość, ale rycerze walczą, aby usatysfakcjonować swoje ego, wierząc, że ich bogactwo, umiejętności, zbroja i bogowie tylko wiedzą, co jeszcze, czynią ich zbyt ważnymi, aby mieli zginąć. Kiedy rycerz zostaje zabity podczas bitwy, zawsze umiera z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– A Wielkie Płaszcze?

– My poświęcamy nasze życie w służbie sprawiedliwemu państwu i sprawiedliwemu światu.

Król roześmiał się gorzko.

– Jesteśmy bardzo małym krajem, Falcio. Pewnego dnia przekroczysz jego granice i odkryjesz, jak bardzo niewielkim.

– Cóż, zacznę od zaprowadzenia sprawiedliwości tutaj, a za inne państwa zabiorę się, kiedy będę miał trochę więcej czasu.

Odwrócił się i spojrzał na mnie z krzywym uśmiechem.

– Jesteś bardzo pewny siebie, pierwszy kantorze.

– Nie, jestem bardzo pewny ciebie.

Jego twarz zmieniła się w maskę smutku. Odwrócił się do mnie plecami.

– Są dni, Falcio, kiedy ciężar twojej wiary jest dla mnie niemal zbyt wielki do udźwignięcia.

– Ja...

Machnął ręką, więc się zamknąłem. Trwaliśmy tak przez chwilę: król wyglądając przez wielkie okno i ja – siedząc w milczeniu o kilka stóp od niego. Król nie odesłał mnie i po paru minutach uznałem, że powinienem polegać na naszej przyjaźni.

– Co takiego zrobiłeś?

– Hmm?

– Spytałem, co zrobiłeś – jeżeli jeden z Wielkich Płaszczy został wysłany z misją, z której najprawdopodobniej nie powróci, chciałem to wiedzieć. – Najwyraźniej zrobiłeś coś, co ciąży na twoim sumieniu. Kogo wysłałeś?

Pokręcił głową.

– Nikogo, kogo znasz.

Z jakiegoś powodu jego odpowiedź mnie zaskoczyła. Wielkie Płaszcze były mistrzami pojedynków, najlepszymi w całym kraju, a ja znałem ich wszystkich po imieniu. Wysyłanie z misją kogoś, kto nie był wystarczająco wytrenowany, wydawało się... bezduszne.

– Jeżeli ta misja była taka ważna, dlaczego nie posłałeś któregoś z nas?

– Ponieważ potrzebowałem kogoś, kto dałby się przekupić – odwrócił się do mnie. – A teraz muszę mieć nadzieję, że ten ktoś będzie potrafił oprzeć się deprawacji, która potrafiłaby zniszczyć ludzką duszę.

– Jak mógł...

– Wystarczy – powiedział Paelis. – Jestem zmęczony twoimi pytaniami, Falcio. Męczy mnie to, że siedzisz tu i patrzysz na mnie jak... – Zmiał list w dłoniach i rzucił go na ziemię. – Do diabła z twoją wiarą, Falcio. – Wyszedł przez otwarte drzwi i ruszył przez trawnik w kierunku zamku, zostawiając mnie z jedzeniem, winem i moimi notatkami na temat sprawy dotyczącej własności. Po kilku minutach podniosłem zmięty list, rozprostowałem go i odczytałem.

Było tam tylko jedno zdanie, zapisane kobiecą dłonią: „Jestem zgubiona”.

O poranku dziewiątego dnia przestałem już dbać o ból, o życie, a nawet o moją duszę. Dashini wreszcie stracili nade mną całą władzę.

Darriana, Heryn i dwóch innych pozostali ze mną. Po jednej stronie polany siedziała Valiana ze związanymi rękami i nogami. Po drugiej stronie, przywiązani do drzewa, tkwili bardatti, jeden żywy, drugi bardzo martwy – ciało Colwyna zaczęło już cuchnąć tak, że nawet ja go czułem. Nehra obserwowała mnie, jak zwykle. Nadal była zakneblowana. Pod jej spojrzeniem czułem się winny.

Dashini chcieli, aby trubadurzy stali się świadkami tego, co

mnie spotkało, i aby rozpowiedzieli historię mojej śmierci. Valianę zamierzali jednak zabić, ponieważ nie miała dla nich żadnej wartości. Była tylko małą, brzydką częścią mojej śmierci.

Mimo potwornego zmęczenia dostrzegałem ironię tej sytuacji. Najpierw winiłem uzdrowiciela. Dlaczego Firensi pozwolił jej odejść? Została raniona mieczem w pierś; z całą pewnością powinna zostać w łóżku jeszcze przynajmniej przez miesiąc? Usiłowałem więc go przekląć, ale jakoś nie mogłem się do tego zmusić.

Valiana próbowała się zabić, od kiedy założyła ten cholerny płaszcz, aby dowieść świata, że heroizm można znaleźć w każdym z nas. „Jestem Valiana val Mond, do cholery, i zamierzam sprawić, żeby to się liczyło”. I będzie się liczyło. Dashini wykorzystają ją, aby uczynić moją śmierć jeszcze trochę gorszą. I tak zamiast inspiracją dla innych, jej udział w historii będzie demonstracją dla wszystkich, raz na zawsze, że nie ma czegoś takiego, jak szlachetna śmierć.

Heryn był tego poranka w doskonałym nastroju.

– Czy wiesz, ile razy twój nieudolny król wysłał ludzi, aby przeniknęli do naszego zakonu, Falcio?

– O jeden za mało? – zasugerowałem. Tak naprawdę jednak wcale tego nie powiedziałem. To, co wyszło z moich ust było błagalnym: – Proszę...

– Dwanaście. Dwanaście razy posyłał Wielkie Płaszcze, które usiłowały się przyłączyć do naszego zakonu – wyciągnął z płaszcza małe zawiniątko. – Zachowałem sobie pamiątki – otworzył torbę i pokazał mi zestaw kości palców. – Dwunastu ludzi, dwanaście małych palców.

Przypuszczam, że chciał, abym poczuł w tej chwili przerażenie

lub gniew z powodu moich poległych braci, ale widok palców sprawił jedynie, że pomyślałem o rodzinach ich właścicieli. Każdy z tych Wielkich Płaszcy musiał mieć kogoś bliskiego, kto go kochał i zastanawiał się, co się z nimi stało. Ci ludzie nie mieli żadnej pamiątki po swoich ukochanych.

Zapominając o więzach, idiotycznie sięgnąłem ręką, żeby zabrać mu te kości. Zanim jednak zorientowałem się, że w ogóle się nie poruszyłem, zobaczyłem, że Heryn klęczy przy swoim pokrowcu z czarnej skóry, szykując igły i butelki.

Przyszło mi do głowy coś bardzo niemiłego i w miarę inteligentnego, ale znów słowa, które wydobyły się z moich ust, okazały się zdradą:

– Tak – powiedziałem. – Proszę. Proszę. Teraz – zastanawiałem się, czy pomogłoby, gdybym nazwał go moim panem.

Heryn spojrział na mnie i uśmiechnął się szeroko.

– O nie, ta igła nie jest dla ciebie. Nie byłoby zbyt elegancko, gdybyśmy pod koniec zabili cię małym kawałkiem stali wbitym w czaszkę, nie sądzisz? O nie. Nie zrozumiałeś jeszcze? Cała istota Lamentu polega na tym, że człowiek umiera z żalu, pierwszy kantorze. Stąd nazwa, rozumiesz?

Podszedł do mnie i pstryknął w jedną z igieł, którą zostawił wbity w moją pierś. Nagła eksplozja bólu sprawiła, że zeszywniałem, przez co pozostałe igły zabolowały, jakby nagle złamały się wewnątrz mnie.

– Wszystko to jest tylko po to, aby przygotować twoje ciało, Falcio. Czy wiesz, że nawet teraz, z całym tym bólem, którego doświadczyłeś, nadal mógłbyś przeżyć? Stoisz na progu śmierci, ale ty sam musisz przekroczyć drzwi do jej królestwa.

Podszedł do Valiany. Sama jego obecność ją zaniepokoiła. Zaczęła się szarpać. Darriana przyklękła i przytrzymała Valianę mocno, podczas gdy Heryn ostrożnie wbił jej igłę w policzek, tuż pod okiem. Valiana zaczerpnęła powietrza i usiłowała krzyknąć, ale nie mogła. Widziałem, jak jej oczy wypełniają się łzami, gdy jęczała – jej agonía była tak potworna, że sam zaczynałem ją odczuwać: nowy ból, taki, od którego nie mogło mnie ochronić ani moje złamane ciało, ani moje złamane serce.

A więc pragnęli, żebym w taki sposób umarł. To właśnie był Lament Wielkich Płaszczy. Mój umysł zwrócił się nie ku słowom gniewu, nie ku cierpieniu, które tak bardzo chciałem zadać Herynowi i Darrianie; zamiast tego potrafiłem myśleć jedynie o tym, jak bardzo pragnąłem śmierci. Chciałem tłuc głową o pal do nieprzytomności albo połknąć własny język, żeby się zadławić. Chciałem przekroczyć próg śmierci tu i teraz.

„Róbcie jej, co chcecie, ale pozwólcie mi umrzeć, żebym nie musiał na to patrzeć”, pomyślałem, ale nie takie słowa wyszły z moich ust.

– Przestań – zdradzieckie słowo wyrwało się spomiędzy moich zaciśniętych zębów. – Przestań natychmiast.

Heryn uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Widzę, że odnalazłeś znowu swój głos? Doskonale – pokręcił igłą i Valiana zaczęła się rzucać spazmatycznie.

– Przestań – powtórzyłem, usiłując wyrwać się z więzów. Czulem, jak pełne węzłów liny wbijają się we wrażliwe punkty na moim ciele.

Darriana spoglądała na mnie z niepokojem, ale Heryn nie zwracał na to uwagi.

– Nie umieraj jeszcze, Falcio – powiedział. – Nadal mam...

Darriana rozejrzała się.

– Ktoś nadchodzi – powiedziała.

– Nikogo nie słyszę – Heryn był wkurzony.

– Bez względu na to ktoś nadchodzi.

– Dobrze więc – Heryn spojrzał na pozostałych dwóch Niesplamionych. – Idźcie, znajdźcie go, kimkolwiek jest, i zabijcie. Darriana i ja dokończymy rytuał – spojrzał na mnie, nadal trzymając w palcach igłę wbity w policzek Valiany. – Wyobraź sobie, Falcio: wyobraź sobie, że ktoś nadchodzi, aby cię ocalić. Pozwól nadziei znów znaleźć miejsce w twoim sercu, tylko na chwilę. Dzięki temu ostatni upadek będzie o wiele słodszy.

Niesplamieni odeszli, ale pomimo nalegań Heryna nie czułem żadnej nadziei. Wiedziałem, że Kesta tu nie ma. Wiedziałem, że Brasti nie pojawi się tu żadnym dziwnym zrządzeniem losu. Byłem całkiem sam.

Spodziewałem się, że ta myśl wypełni mnie rozpaczą, ale jakimś cudem stało się inaczej: równanie było tak proste, że zastanawiałem się, dlaczego nie pojmowałem go każdego dnia w moim życiu.

Byłem sam.

Valiana umierała, zabijana.

Nie mogłem na to pozwolić.

„To takie proste”. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Mogę po prostu uwolnić się ze swoich więzów i zabić Niesplamionych, a wtedy będzie bezpieczna.

„Proste”.

Ośmioletni chłopiec grozi pięścią niebu i ziemi i przysięga:

„Nazywam się Falcio val Mond i będę kiedyś Wielkim Płaszczem”. Chłopiec nie ma nic. Jego ojciec odszedł, a jego matka powoli więdnie w samotności. Chłopiec nie wie, jak walczyć ani jak używać miecza. „A mimo to...”

A mimo to coś tkwi w jego duszy.

„W tobie też to jest”, mówi do mnie. „To jedno, czego nigdy nie straciliśmy. To jedyna rzecz, której nigdy nie mogą nam odebrać”.

„Co to takiego?”, pytam.

Mały Falcio spogląda na mnie, jakbym był idiotą. „Chcesz, żebym to nazwał? A co ci przyjdzie z nadania temu nazwy?”

„Nie wiem. Coś. Nazwy, imiona coś oznaczają”.

„W porządku”, odpowiada i spogląda na swoją dłoń. Jest na niej coś napisane. Po chwili unosi wzrok i uśmiecha się. „Jest na to słowo. Wyobraź sobie!”

„Jakie to słowo?”, pytam.

„Nie wiem. Nie nauczyłem się jeszcze czytać, głupcze!”

„Pokaż mi”, mówię, a on zastanawia się nad tym przez chwilę, jakby może chciał zatrzymać ten sekret dla siebie. Ostatecznie jednak unosi dłoń.

„Możesz mi to przeczytać?”, pyta.

Dłoń chłopca jest rozmazana, podobnie jak cały świat wokół niego, ale słowo jest ostre, wyraźne. „Tak”, mówię. „Tak. Mogę ci to przeczytać”.

„To jedyna rzecz, jaka nam została, prawda? Nie mogą nam jej odebrać”.

„To prawda”, potakuję. „To jedyna rzecz, jakiej nie mogą nam odebrać. Czy chcesz, żebym przeczytał ci to słowo?”

Kręci głową. „Nie. Nie trzeba tego wypowiadać na głos. To coś,

co trzeba »pokazać«. Musisz pokazać im znaczenie tego słowa”.

„W porządku”, mówię. „Ale chciałbym je wypowiedzieć, tak czy owak”.

„Czy to coś zmieni?”, pyta chłopiec.

„Dla mnie tak”, odpowiadam. „Słowa mają znaczenie. Bez nich nie można tworzyć opowieści, a bez opowieści nigdy nie usłyszelibyśmy o Wielkich Płaszczach”.

„W porządku”, odpowiada. „Powiedz mi, ale pospiesz się. Pora, żeby pokazać im, co w nas tkwi, w głębi duszy, pod całą tą głupią przykrywką”.

Waham się, zaledwie przez chwilę, dlatego że się boję i dlatego że chciałbym, aby zapytał jeszcze raz.

„Co to za słowo?”, pyta niecierpliwie.

– Męstwo. Tym słowem jest męstwo.

Chłopiec uśmiecha się. „To dobre słowo”, mówi. „Nie można zapomnieć takiego słowa, prawda?”

„Można”, odpowiadam. „Nie powinienem, ale myślę, że przez chwilę o nim nie pamiętałem”.

„Nie zapomnisz o nim znowu, prawda?”

„Nigdy. Nigdy więcej o nim nie zapomnę. Nigdy więcej nas nie złamią”.

„Więc pokaż im”, nalega. „Pokaż im, jak wygląda męstwo”.

Chłopiec chce, żebym zerwał więzy i stoczył pojedynek z Herynem. Nadal myśli jak chłopiec. „Ale to tak nie działa”, chcę mu powiedzieć, tylko nie mam ochoty go rozczarować, więc zachowuję to dla siebie.

– Niezwykłe – mówi Heryn, podchodząc bliżej z Darrianą. – Spójrz na niego. Powinien być całkowicie sparalizowany. Nie czuje

nóg ani rąk, nic poza bólem promieniującym z uszkodzonych nerwów, a mimo to spójrz, jak próbuje zerwać więzy. Myślę, że gdyby miał czas, mógłby nawet się uwolnić.

Darriana wygląda na zaniepokojoną.

– Czy to w ogóle możliwe?

„Oczywiście, że tak, ty głupia kobieto. Są rzeczy silniejsze od nienawiści i bardziej zabójcze od strachu – i to właśnie jedna z nich. Świat żąda odpowiedzi na deprawację i ruinę”.

Heryn milczy, przyglądając mi się zwięzonymi w szparki oczami. Potem nagle się uśmiecha.

– Ach... neatha. To neatha.

– Czy nie powinna pogorszyć sprawy? – pyta Darriana.

– Można by tak pomyśleć, ale wygląda na to, że nasze toksyny z większym trudem wnikają do nerwów. Przypuszczam, że dwie trucizny walczą ze sobą w jego ciele. Tak czy owak, sam ból i rozpacz powinny sprawić, że nie będzie się mógł poruszać, więc dlaczego próbuje? – zaczął się zastanawiać na głos.

Darriana spogląda na mnie długo, dziwnym, smutnym wzrokiem.

– Dla niej – mówi wreszcie.

Heryn spogląda na Valianę.

– Dla tej dziewczyny?

Darriana kiwa głową, a jej głos lekko się załamuje.

– Zniesie każdy ból, żeby powstrzymać nas od skrzywdzenia jej.

– Czyste szaleństwo. Nadal uważa się za jednego z bohaterów przedstawianych na starodawnych kobiercach – Heryn macha ręką lekceważąco. – Gdyby mógł siebie teraz zobaczyć, żałosnego i złamanego, nie myślałby nawet o tym, żeby się poruszyć.

Poczekaliby po prostu na nadejście dziewiątej śmierci z odrobiną godności, która jeszcze mu została.

Chłopiec wewnątrz mnie unosi dłoń, jakby potrafił ich zmusić do odczytania słowa na niej wypisanego.

– On nie ma godności – mówi Darriana. – Tylko męstwo. Tak właśnie wygląda męstwo – przerywa. – Zupełnie nie tak, jak w opowieściach.

– Czyżbyś była sentymentalna? – śmieje się Heryn, ale pod jego wzgardliwym uśmiechem widzę strach.

– Ja...

Dźwięk ich słów przepływa przez moje uszy, tak jak krew i ogień. Czuję, że więzy zaczynają ustępować, ale tylko odrobinę. „Jeszcze rok lub dwa”, obiecuję sobie, „a wyrwę się stąd i naprawdę im coś udowodnię”.

– Wystarczy – mówi wreszcie Heryn. – Rozczarowujesz mnie, Falciu val Mondzie. Masz złamane serce, twój duch ulatuje, a mimo to ta pusta skorupa nadal walczy. – Przywołuje Darrianę. – Jednak nie mamy już czasu i jesteśmy potrzebni gdzie indziej. Przynieś mi ostatnią igłę. Użyjemy prostszej metody, aby pchnąć pierwszego kantora ku jego ostatecznej śmierci – spogląda na mnie. – Jeżeli będzie to dla ciebie jakimkolwiek pocieszeniem, Falciu val Mondzie, popsułeś nam plan, choć może w najmniejszym możliwym stopniu, ale jednak.

Darriana waha się, a ja zastanawiam się dlaczego. Stała obok i przyglądała się, jak Heryn torturuje mnie w najpotworniejszy sposób, jaki widział świat. Ani razu się nie odezwała. Gdybym miał wolne ręce, prawdopodobnie zabiłbym ją najpierw. „Zemsta nie jest odwagą”, pomyślałem. A może to usłyszałem? Czy to coś, co

powiedziała Aline? Nie, ona nie wypowiadała się w ten sposób. Paelis – król – on to powiedział. Czy skierował to do mnie? Nie, teraz pamiętam. „Cierpliwości”, powiedział. „Zemsta nie jest odwagą. Potrzeba nam teraz cierpliwości. Nawet król potrzebuje cierpliwości. Król potrzebuje cierpliwości nade wszystko”. Kiedy to powiedział? Dziesięć... nie, nie dziesięć, dwanaście lat temu, wkrótce po tym, jak Shanilla została zabita przez dashinich. Była przy tym również dziewczynka. Widziałem, jak wybiegała z pokoju.

Spojrzałem w oczy Darrianie, głębiej, niżby chciała, i w tej chwili wreszcie zrozumiałem.

„Zrobiłem coś, Falcio”.

Dziewczynka wybiegająca z komnaty.

„Król potrzebuje cierpliwości nade wszystko”.

Zmięty list na podłodze. „Jestem zgubiona”.

Jak mogłeś, mój królu? Królowie wykorzystują ludzi. Plany w planach: mężczyźni i kobiety rozesłani na wszystkie strony świata, nikt nie rozumie ostatniego wydanego im przez ciebie rozkazu, ale wszyscy mają wyższy cel, jakąś głębszą strategię. „Król potrzebuje cierpliwości nade wszystko”.

– Już czas – powiedziałem do Darriany.

Przez chwilę nie działo się nic. Wygląda na zdezorientowaną, niepewną, jakby usłyszała głos, ale nie wiedziała, skąd pochodzi. Jak to zostało zrobione? Jakim cudem król zamknął w niej wiedzę o tym, kim naprawdę była? Jak głęboko w sobie pogrzebała prawdę?

– Jestem Falcio val Mond z Pertynii, pierwszy kantor królewskich Wielkich Płaszczy – powiedziałem do niej ochryłym szeptem. Wciągnąłem powietrze, bo następna część była

najważniejsza. – „I jestem Sercem Króla”.

Heryn wyglądał na zdenerwowanego.

– Myślisz, że nie wiemy, kim jesteś? Czy myślisz, że nie poznaliśmy imienia któregoś z ludzi, których twój słaby, mały król przysłał, by wpadli w nasze ręce? By zostali przez nas zabici? Oko Króla był pierwszy. Buława Króla cierpiał potwornie. Czy mam ci opowiedzieć, co zrobiliśmy ze Śmiechem Króla? Obcięliśmy mu...

Kieruję moją uwagę na Heryna, ledwie na chwilę.

– Ilu ludzi powiedziałaś, że król wysłał, aby przeniknęli do dashinich?

– Dwunastu. Czy chciałbyś jeszcze raz przeliczyć ich kości?

– Dwunastu mężczyzn – powtarza Darriana, a w jej głosie słychać nie tylko dojrzałą kobietę, ale również małą dziewczynkę.

Heryn odwraca się, żeby na nią spojrzeć, ale jest już za późno.

– A potem poszedł po rozum do głowy – ciągnie Darriana. – I wysłał kobietę.

Wbija igłę w sam środek czoła Heryna. Stał wchodzi tak idealnie i czysto w jego brew, że z rany wycieka ledwie kropla krwi. Heryn rozdziawia usta, ale jedynym dźwiękiem, jaki wydaje, jest cichy syk. Potem otwiera je jeszcze szerzej, jakby to, co chciał powiedzieć, było zbyt wielkie, żeby zmieścić się w tak małym otworze.

Unosi dłonie do twarzy i widzę, jak jego palce zaczynają drgać. Dotyka policzków i przesuwają je wyżej, szukając igły w czole. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że Heryn nic nie widzi. W jakiś sposób nogi ciągle trzymają go w pionie, chociaż umiera. Po kilku chwilach dłonie opadają wzdłuż ciała i Heryn wzdycha głęboko.

Ale nim upadnie, Darriana łapie go za poły płaszcza

i przytrzymuje w górze.

– Jestem Darriana, córka Shanilli, trzynasty kantor Wielkich Płaszczy – mówi. – I jestem Cierpliwością Króla.

FRAGMENTY

Najpierw świat złożony jest tylko z pyłu, małych drobin światła i dźwięku. Ledwie widocznego odbłasku słońca w ostrzu małego noża. Trzeszczenia opierających się sznurów, które w końcu puszczają. Wrażenia upadania.

„Głosy”.

– ...potrzebuje...

– ...nie ma czasu...

– ...umrze...

– ...tak czy siak...

Pył zaczyna znikać, zastąpiony gładką szarością, która ciągnie się w nieskończoność. Brak widoków, dźwięków i wrażeń ma nazwę. „Sen”. Myślę, że lubię sen. Chcę pozostać w tym stanie, ale nie mogę.

Świat zmienia się w odpryski, ostre, okropne chwile, przecinające spokojną szarość.

– Odsuń się od niego! Nie dotykaj go ani mnie. Nigdy więcej.

– Jestem... maleńka ptaszyno, przysięgam, tak mi przy... – słowa rozplývają się w bolesnym szlochu. I to również znika,

zastąpione stałą. – Nie mamy wyboru, do diabła! Nie możemy walczyć z nimi wszystkimi naraz. Jeżeli go złapią...

Zimno i mokro. Czuję coś na mojej szyi i plecach. Brud. Nieczystość. Nacisk na ramiona i ręce. Zapadam się, ale niezbyt głęboko, tylko kilka cali. „Wiem, czym są »cale«”. Coś opada na moją pierś, twarz, wpada mi do ust. Kurz.

„O bogowie, nie zakopujcie mnie w ziemi”.

„Nie. Właśnie. Nie”.

Szarość. Sen.

Świat składa się z odłamków, rozbitych kawałków zapachu i smaku, kaszlu i krztuszenia się, wody, płaczu i czegoś miękkiego niczym jedwab. Nie, nie jedwab, włosy. Włosy na mojej twarzy. Chyba Valiany. Jej głowa spoczywa na mojej piersi. Czy słucha bicia mojego serca? A może śpi?

„Sen. Szarość”.

Świat jest pojedynczym, zimnym i bezdusznym głosem.

– Twoje ciało zdrowieje – powiedziała Darriana. – Niestety, niewystarczająco szybko, żeby pokonać twoją gorączkę.

Faktycznie, czułem ogromne ciepło, ale kogo to obchodzi? Smakowałem coś mokrego i słonego wokół ust. Pot. Cały się pocilem. Wszystko dookoła było miękkie, więc nic mnie to nie obchodziło. Pod plecami miałem koc, pod głową poduszkę.

– Muszę sprowadzić uzdrowiciela – powiedziała Darriana.

„Nie łatwiej byłoby po prostu nie torturować mnie na śmierć?”, pomyślałem. Nie, usłyszałem jak ktoś wypowiada te słowa. Głos wydał mi się znajomy. To był mój głos.

– Lepiej, żebyś odpoczywał. Jesteśmy w lesie niedaleko granicy Aramoru. Jesteśmy bezpieczni. Valiana i Nehra zostaną tu na straży, a ja sprowadzę uzdrowiciela. Wypoczywaj.

„Dobra rada. Doskonała rada. Dokładnie to zrobię. Odpocząć. Żadnych słów. Żadnych pytań”.

– Dlaczego? – odezwał się mój głos. – On... przez osiem dni on...
Dlaczego czekałaś do ostatniej chwili?

Usiłowałem otworzyć oczy, ale światło było zbyt jasne. „Śpij, po prostu śpij”, powiedziałem sobie. „Wróć do szarości”.

Prawdopodobnie do tej pory zdołaliście już zrozumieć, że nigdy nie byłem dobry w słuchaniu rad, zwłaszcza moich własnych.

Przed oczami pojawił mi się pokój – tyle że nie był pokojem. Ściany miał drewniane – drewniane bale, które ktoś powbijał w ziemię pod lekko dziwnymi kątami. „To drzewa, idioto”. Sufit był kopułą listowia. Oczywiście, byłem w lesie. A obok mnie płonął ogień.

„Mam nadzieję, że nie spali reszty pokoju”.

Darriana pochylała się nade mną po prawej stronie.

– Nie teraz, nie ma czasu – powiedziała i zaczęła się odwracać.

Chwyciłem ją za nadgarstek, zaskoczony, że mogę w ogóle ruszyć ręką.

– Nie – powiedziałem. – Teraz.

Strząsnęła moją dłoń.

– Neatha zniknęła z twojego ciała. Dlatego nie obudziłeś się sparaliżowany. Gdybym powstrzymała Heryna wcześniej, już byś nie żył.

Dopiero po kilku sekundach zacząłem rozumieć sens słów, ponieważ było ich tak wiele. Oddzieliłem każde z nich od siebie,

przyjrzałem się mu uważnie, a potem połączyłem je na powrót z innymi, tak że w końcu to, co powiedziała, nabrało sensu. A mimo to...

– Kłamiesz... nie wiedziałaś... nie mogłaś wiedzieć...

– Może masz rację. Może to dlatego, że nie pamiętałam, kim jestem. Znałam moje imię, moją historię, ale nic z tego nie było prawdziwe, nie do chwili, gdy...

– Znów kłamiesz – odpowiedziałem. „Czy ta kobieta nie wie, że jestem Wielkim Płaszczem? Przesłuchujemy ludzi zawodowo, droga pani. Myślisz, że nie wiem, iż to też kolejne kłamstwo? To znaczy oczywiście jest to prawda, ale to wcale nie jest rzeczywisty powód, czyż nie?”

Darriana spojrzała na mnie twardo.

– A więc dobrze. Chcesz wiedzieć dlaczego? Miałam czternaście lat, kiedy król Paelis wysłał mnie, abym przeniknęła do dashinich. Spędziłam niemal dwanaście lat w tym klasztorze. Byłam bita... nie, nie bita. Torturowana. Byłam trenowana, a raczej tresowana. Jestem mieczem wykonanym ze smutku, rozpacz i głupiego, bezużytecznego gniewu czternastolatki zbyt niewinnej, żeby wiedzieć, w co się pakuje. A mimo to twój pieprzony król Paelis wysłał mnie do tego miejsca, do tych ludzi. Chcesz wiedzieć, dlaczego zwlekałam tak długo z ocaleniem ciebie, Falcio? Dlatego że aż do tamtej chwili nie mogłam się zdecydować, po której stronie jestem.

Odeszła.

Świat jest złożony z fragmentów.

W moim życiu były trzy momenty, w których doznałem prawdziwej radości: uczucia tak intensywne, że przewyższa każdy ból i żal.

Dzień, w którym ojciec Kesta nazwał mnie synem, był jednym z nich. Dzień, w którym poślubiłem Aline, był drugim. Dzień, w którym założyłem mój Wielki Płaszcz, był trzecim. Radość i szczęście to garść piasku rozrzuconego na pustyni przemocy i przerażenia.

Kiedy obudziłem się następnego dnia w lesie, przy dogasającym ognisku, którego ostatnie płomyki niknęły w pierwszych promieniach słońca, przenikających przez dach listowia nade mną, przeżyłem czwartą chwilę prawdziwej radości.

– Ethalia – powiedziałem.

Kłęczała obok mnie, spoglądając mi w oczy, i płakała, co, jak zakładałem, oznaczało, że nie wyglądałem zbyt dobrze. Ale była tu i poczułem się cały. Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie, tak długo, jak będę w stanie oddychać. Po kilku chwilach jednak Ethalia otarła łzy i odwróciła się do kogoś, kogo nie byłem w stanie dojrzeć.

– Przynieś moją torbę. Musimy się zabrać do pracy – powiedziała.

Z wysiłkiem przekręciłem głowę, żeby zobaczyć, z kim rozmawiała. Dopiero po chwili byłem w stanie rozpoznać jego twarz, oświetloną promieniami jutrzeńki. Zdałem sobie sprawę, że to Kest.

I to była moja piąta chwila radości.

Przez moment leżałem, po prostu mu się przyglądając. Zapaścił brodę, co w jego przypadku było niezwykle. Nieświadomie wyciągnąłem rękę i dotknąłem własnej twarzy. Poczułem pod

palcami grubą kłującą szczecinę i zastanawiałem się, jak teraz wyglądam. Pomyślałem, że pewnie mógłbym na ten temat zazartować, ale Kest pokręcił głową, zanim się odezwałem.

Stał nade mną przez kilka dłuższych chwil, a potem rozejrzał się za czymś, na czym mógłby usiąść. Jego wzrok spoczął na płaskim kamieniu. Przyciągnął go bliżej i umieścił obok mojego legowiska. Usiadł i wpatrzył się w żar ogniska.

Ethalia wzięła do ręki mały słoik, zanurzyła w nim palec i delikatnie przesunęła nim po moich ustach.

– Postaraj się nie przełykać – powiedziała, a potem spojrzała na Kesta. – Muszę się przygotować. Możesz z nim porozmawiać przez kilka minut, nie dłużej.

– Wydaje się zaniepokojona – powiedziałem. – Muszę wyglądać naprawdę źle.

Kest uśmiechnął się, ale nadal spoglądał w żar.

– Ach, Falcio – powiedział wreszcie głębokim, dźwięcznym głosem, w którym zdawało mi się, że dosłyszałem nutkę niepewności. To wtedy dostrzegłem, że Kest ma łzy w oczach.

– Hej, wszystko jest w porządku – powiedziałem. – To tylko małe nieporozumienie z...

– Całym światem?

– Martwi ludzie dość mnie lubią, wiesz? Mówią o mnie miłe rzeczy.

– To dlatego, że myślą o tobie jako jednym z nich – odparł. – Jak tam gorączka?

Sięgnąłem niezgrabnie do czoła. Moja dłoń zrobiła się mokra od potu.

– Chyba miewa się bardzo dobrze, dziękuję. A twoja? Bo jeżeli

planujesz zacząć świecić na czerwono i próbować mnie zabić, to powinieneś wiedzieć, że mają mnie za dość sprawnego szermierza.

– Będę o tym pamiętał – odpowiedział.

Odczekałem chwilę, zanim zadałem pytanie, które musiałem zadać.

– Rozumiem, że znalazłeś sanktuarium?

– Owszem.

– I jak było?

– Spokojnie – odparł. – Upokarzająco. Po kilku dniach niesłychanie nudno.

– Nudno brzmi teraz znacznie lepiej niż kiedyś. Podziałało?

Pokiwał głową.

– Kiedy świętość przeszła z Caveila na mnie pod koniec pojedynku, było to jak... jakbym nagle widział wszystko z niesłychaną ostrością. Czułem wyważenie mojego miecza w sposób, w jaki nigdy przedtem tego nie pojmowałem. To było... przytłaczające – zachichotał. – Jednocześnie uczyniło mnie kompletnie bezbronnym, tak przy okazji.

– Co masz na myśli?

– To, że w tamtej chwili byłem tak zauroczony, że gdyby sześciolatek zaatakował mnie zardzewiałym kuchennym nożem, mógłby mi wyciąć wątrobę, zanim zorientowałbym się, co się dzieje.

– Pomyśl, jak bardzo zaskoczony byłby ów sześciolatek, gdyby nagle zaczął świecić na czerwono, ponieważ został Świętym od Mieczy.

– Teraz rozumiem to lepiej, Falcio. To nie to, czego oczekiwałem. To jak... pytanie, na które musisz odpowiedzieć, ale nie masz wszystkich informacji, chociaż to pytanie jest w tobie

przez cały czas i wypala cię od środka.

– Więc jak na nie odpowiesz? – spytałem autentycznie zaintrygowany.

– Nie jestem pewny, jednak wszyscy, których spotykam, mają część odpowiedzi. Niektórzy tylko okruczeństwo, inni... – spojrzał na mnie. – Inni mają znacznie więcej.

– To niezbyt uspokajające spojrzenie. Co mi przypomina... jak znalazła cię Darriana?

– Nie znalazła mnie.

– W takim razie jak?

– Nie uwierzysz, ale powiedział mi o tym trubadur – uniósł dłoń. – To zbyt długa historia. Wystarczy teraz, że powiem, iż bardatti są dokładnie tak dziwni i tajemniczy, jak o nich mówią – znów na mnie spojrzał. – I najwyraźniej tak jak ty.

– Ja? Ja jestem tylko zwyczajnym, przeciętnym wędrownym trybunem.

– Który przeżył Lament Wielkich Płaszcz. Falcio... – w jego oczach pojawił się bezdenny smutek. – Przepraszam, że mnie tu nie było, kiedy...

– Przestań – wiedziałem, co chce powiedzieć, ale nie miałem siły tego słuchać. Jeszcze nie. – Gdyby był tutaj Brasti, powiedziałby: „Przestań rozpląwać się nad wszystkim, co robi Falcio! Jasne, to były tortury, ale wiesz, co jeszcze jest torturą? To, że muszę tego wysłuchiwać. Oto prawdziwa tortura!”.

Kest zaśmiał się, a potem dotknął lekko mojego ramienia, dając mi znać, że rozumie. O niektórych rzeczach się nie rozmawia.

– Nie przypuszczam, żebyś miał jakieś wiadomości na temat Brastiego? – spytałem.

Uśmiechnął się, i tym razem z radością.

– Jeśli o tym mowa, w drodze tutaj słyszałem dwie różne historie o kimś, kogo ludzie zwą „Łuczniem” i kto podobno pobił kilka band Czarnych Tabardów. Wybiera pięciu do dziesięciu przyzwoitych łuczników z wioski, zabiera ich z sobą i zasadzają się na oddziały czarnych rycerzy, zanim ci zdołają narobić poważnych szkód.

Uśmiechnąłem się szeroko na myśl o Brastim i jego łucznikach.

– Pięciu do dziesięciu łuczników? To takie typowe dla Brastiego: myśleć w kategoriach kropli wody, kiedy przeciwnik ma jej cały ocean.

– Nie wiem – odparł Kest. – Pewnie gdyby Brasti tu był, powiedziałby: „Pięć kropli tu, pięć kropli tam i wkrótce zbierze się cały kubek”.

Zacząłem się śmiać, ignorując ból.

– Kest, to chyba najgorsza parodia Brastiego, jaką kiedykolwiek słyszałem – poczułem zmęczenie. – Nie odmówiłbym w tej chwili odrobiny szarości – powiedziałem.

– Nie rozumiem – Kest rozejrzył się po pokoju.

– Snu. Powiedziałem: snu.

– Powiedziałeś: szarości.

– Naprawdę? To...

Świat zaczął się znów kurczyć, z fragmentów do kawałków, z kawałków do okruchów, z okruchów do pojedynczego ziarenka pyłu. Usłyszałem kobiecy głos:

– Szybko... woda... podgrzać... Falcio, słuchaj... musisz...

„Szarość”.

POCIESZENIE

Minęło kilka dni, zanim spadła gorączka. Ethalia podawała mi różne mikstury i smarowała balsamami, ale najczęściej robiła proste rzeczy: wycierała pot mokrymi szmatkami, schładzając moją skórę, i gładziła mnie delikatnie po twarzy. Szeptala mi do ucha: nie mówiła do mnie, lecz starała się skłonić moje serce do bicia i moje płuca do oddychania, niczym generał wydający dobrze przemyślane rozkazy swojej armii. Czasem mnie też całowała. Myślę, że to akurat było tylko dla mnie.

Podróżowaliśmy przez większość czasu, a przynajmniej tak myślę. Nad ranem wkładali mnie do wąskiego wózka i jechaliśmy bocznymi ścieżkami Aramoru. Wieczorem ukrywali wózek, mnie zaś wraz z końmi zabierali w głąb lasu. Kest niósł mnie w ramionach i układał na ziemi, żeby Ethalia mogła mnie zbadać, podczas gdy ktoś inny zajmował się rozpalaniem ogniska.

Przez większość czasu spałem, chociaż w nocy często budziłem się, słysząc kłótnie. Kest i Darriana spierali się z Ethalią i Valianą. Nehra nigdy się nie odzywała, ale czasem grała na gitarze. Wydawało mi się czasem, że rozumiem, o czym opowiadają nuty.

Była to pieśń miłosna o kimś, kto umarł. Nie mogłem jednak odgadnąć imienia i kiedy myślałem, że jestem już bliski zrozumienia piosenki, albo gdy kłótnia zaczynała się robić zbyt gwałtowna, Nehra zmieniała melodię, tylko troszeczkę, i znów zasypiałem.

Gdy spadła mi gorączka, zacząłem odczuwać ból – i cieszyłem się każdą jego chwilą. Chociaż byłem słaby, kiedykolwiek budziłem się rano, czułem, widziałem i słyszałem od razu. Otwierałem oczy i przysuwałem dłoń do twarzy, poruszając palcami. Palce są bardzo zabawną rzeczą. Rozśmieszały mnie.

– Czy on oszalał? – usłyszałem pewnego poranka pytanie Darriany. – Ciągle to robi i chichocze przy tym, jak głupawe dziecko.

– Cicho – powiedziała Ethalia. – Przyniesź lepiej wody na herbatę. Ktoś nas tu odwiedzi i sugeruję, żebyś nie próbowała jej zabić. Święty od Mieczy nie przyjąłby tego zbyt dobrze.

Nasłuchiwałem, jak Darriana wstaje, chowa miecz do pochwy i otwiera drzwi. Znajdowaliśmy się w chatce, chociaż nie miałem pojęcia, kiedy tu przybyliśmy ani gdzie ta chatka była.

– Jeżeli postanowię ją zabić, umrze – odparła Darriana. – I przestań mnie uciszać, ty głupia krowo.

Odwróciłem wzrok od moich ruszających się palców, ponieważ wiedziałem, że słowa Darriany wywołają uśmiech na twarzy Ethalii, a ja chciałem zobaczyć zmarszczki wokół jej oczu.

– Wkrótce wydobrejesz – powiedziała.

– Naprawdę? Jakże niezwykle optymistycznie patrzysz na

świat.

Przesunęła palcami po moim policzku i po włosach.

– Neatha zniknęła z twojego ciała.

– Trucizny, których użył Heryn... czy one...

– Częściowo – odparła. – Trucizny dashinich miały na celu rozbudzić twoje zakończenia nerwowe ponad wszelką miarę i przez to zniszczyć twój umysł. Ale neatha jest inna: wiąże się z twoimi nerwami, hamując odczuwanie i ruch ciała. Zablokowała więc toksyny, mimo że te powoli ją niszczyły. W pewnym sensie neatha uratowała cię przed truciznami dashinich, a te z kolei uratowały cię przed śmiercią od neathy.

Przyszło mi coś do głowy i zacząłem się śmiać tak bardzo, że nie mogłem wykrztusić ani słowa. Po jakimś czasie zorientowałem się, że płacę.

– Zatem powinienem być wdzięczny zarówno księżnej Patrianie, jak i dashinim za ocalenie mi życia.

Ethalia pocałowała mnie i to mnie uspokoiło.

– W pewnym sensie, i dobrze ci to zrobi, jeżeli zaczniesz myśleć w ten sposób. Jednak płonie w tobie coś jeszcze, co nie może zostać ugaszone za pomocą żadnej trucizny.

– Moje poczucie humoru? – spytałem.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie znowu – nie dlatego, że powiedziałem coś zabawnego, ale ponieważ wiedziała, iż chciałem, aby mnie pocałowała. Poczułem, że coś się we mnie rozbudza i wyciągnąłem rękę, żeby wciągnąć Ethalię pod koce. „Święci, może rzeczywiście zaczynam zdrowieć”, pomyślałem.

– Proszę, nie deprawuj mojej uczennicy bardziej, niż to konieczne – rozległ się czyjś głos z progu. – Już i tak jest bardzo

rozwiązła.

Ethalia uśmiechnęła się i wstała z koców, obciągając sukienkę, jak nastolatka przyłapana z synem miejscowego gospodarza na sianie.

– O rany, bardzo przepraszam, psze pani – powiedziała. – My nic tu złego nie robili, my ino...

– Naigrawasz się ze mnie? – spytała Birgid Co Wypłakuje Rzeki, Święta od Miłosierdzia.

– Może tylko troszeczkę – odparła Ethalia i podbiegła do niej, aby ją wyściskać.

– Wystarczy, dziecko. Przecież widziałyśmy się całkiem niedawno, prawda? – sposób, w jaki przemawiała Birgid, wydał mi się dziwny, zwłaszcza że wyglądała młodziej niż Ethalia z jej białymi włosami okalającymi bladą, promienną twarz.

Ethalia odsunęła się.

– To już trzy lata!

– Ach, no cóż, byłam zajęta – odparła nieśmiało święta i znów uściskała Ethalię, a potem podeszła do mnie i usiadła. – A zatem...

– A zatem? – powiedziałem, nie wiedząc, co innego mógłbym odpowiedzieć.

Zbadała mnie i jak na kobietę wyglądającą o piętnaście lat młodziej ode mnie, nad wyraz dobrze odgrywała surową babkę.

– Widzę, że moje wysiłki, aby sprowadzić cię ze ścieżki przemocy nie odniosły żadnego skutku.

– W swojej obronie powiem, że ludzie usiłowali mnie zabić.

– To tylko wymówka – odpowiedziała. – A teraz? Co teraz zrobisz?

Wiedziałem, o co mnie pyta, a raczej co mi oferuje: kolejną

szansę, moją trzecią i być może ostatnią. Ethalia i ja mogliśmy odjechać do Baernu, a stamtąd popłynąć łodzią na Wyspy Południowe, gdzie żylibyśmy wolni od przemocy i zobowiązań. Bylibyśmy tam szczęśliwi. Mógłbym pozwolić dla odmiany komuś innemu próbować naprawić ten świat. W ostateczności jestem tylko człowiekiem, bez armii, bez wpływów, bez władzy...

„Nie potrzebujesz żadnej z tych rzeczy”, powiedział głos w moich myślach. Był to głos chłopca, który nadal wierzył w swoje dziecięce ideały. „Jesteś Wielkimi Płaszczem”.

Birgid westchnęła.

– Beznadziejne – powiedziała.

– Nie takie beznadziejne – wtrąciła Ethalia. – I wcale niegłupie. To coś innego, coś dobrego.

Birgid odwróciła się do niej z uśmiechem.

– Jesteś taka sama – powiedziała. – Idź. Zaczekaj na mnie na zewnątrz. Nie pozwól tej gniewnej dziewczynie tu wejść... och, i postaraj się nie uprawiać płatnego seksu z mężczyznami, kiedy będziesz na mnie czekać.

Ethalia uśmiechnęła się szeroko i wyszła.

– Głupiutkie dziecko – powiedziała Birgid.

Chwyciłem świętą za ramię.

– Nie rób tego – powiedziałem. – Nie wolno ci jej tak nazywać.

Birgid wpatrzyła się w moje oczy i poczułem coś starego, potężnego i dużo, dużo silniejszego niż ja.

– Czy chciałbyś wyzwąć świętego, Falciu val Mondzie?

W jej spojrzeniu było coś przerażającego, ale ostatnio widziałem wiele przerażających rzeczy.

– Pani, jeżeli próbujesz mi grozić, prawdopodobnie powinnaś to

uczynić, zanim przeżyłem dziewięć dni tortur zadawanych przez dashinich.

– Są gorsze rzeczy niż...

– Nie – odpowiedziałem, wracając myślami do ósmej śmierci. – Nie ma.

Birgid westchnęła.

– Nie, przypuszczam, że nie ma – milczała przez chwilę. – Kłóci się o ciebie, w nocy, kiedy ona i pozostali sądzą, że śpisz.

Słyszałem gniewne szepty podczas wielu nocy, ale nigdy nie mogłem zrozumieć, o co się kłóca.

– Księżę Rijou zwołał Radę Książąt w zamku Aramor. Zamierza porozumieć się z pozostałymi książętami i położyć kres morderstwom i walkom, które wyniszczają kraj.

Roześmiałem się z goryczą. Ostatnim razem, kiedy księżęta zwołali swoją radę, postanowili, że jedynym sposobem na ocalenie kraju będzie pozbycie się króla Paelisa. Do licha.

– Krawcowa...

Święta Birgid uśmiechnęła się ponuro.

– Owszem. Prowadzi swoje siły do zamku Aramor. Wie, że księżęta stracili wiarę w większość swoich rycerzy i zabiorą ze sobą tylko nielicznych, najbardziej zaufanych.

– Zabije wszystkich, co do jednego – powiedziałem. – Ona myśli...

– Wiem, co ona myśli, Falcio.

Poczułem, jak ciężar całego świata przygniata mi pierś, tak że nagle trudno mi było oddychać. Chciałem tylko wrócić do mojej głębokiej szarości i obudzić się gdzie indziej, w jakimś spokojnym miejscu. To o to się sprzecząją w nocy.

– O to chodzi, prawda? Gdzie mnie teraz zabrać? Darriana i Kest chcą jechać do Aramoru. Ethalia i Valiana chcą mnie zabrać w bezpieczne miejsce.

Święta od Miłosierdzia roześmiała się.

– Czy tak właśnie myślisz? Że Ethalia cię kocha, a zatem pragnie cię wykraść wbrew twojej woli, żeby móc z tobą być?

– Ale w takim...

– To Kest i Darriana usiłują cię zabrać z dala od tego wszystkiego, Falcio. Nie wierzą, że możesz znieść jeszcze więcej. Nikt by nie dał rady. Valiana jest głupią idealistką. Nie sądzi, że można cię powstrzymać. Ethalia jest mądrzejsza, chociaż nikt by się tego nie domyślił, sądząc po zajadłości, z jaką się o ciebie wyklóca. Zdaje sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie uda ci się i zginiesz.

– W takim razie dlaczego chce, żebym jechał do Aramoru?

– Ponieważ miłość nie jest klatką – Birgid wyciągnęła dłoń i pogładziła mnie po policzku delikatnym gestem, który skrywał coś innego.

– Jesteś na mnie zła – powiedziałem. – Dlaczego?

Birgid odwróciła głowę i wpatrzyła się w drzwi chatki.

– Powinna zająć moje miejsce, wiesz? Taką miałam wobec niej nadzieję.

Zaskoczyło mnie to przez chwilę, chociaż wiedziałem, że Ethalia naprawdę mogłaby zostać Świętą od Miłosierdzia. Potem pomyślałem o tym, przez co przechodził Kest.

– To nie jest chyba dobry zawód.

– Podobnie jak większość rzeczy w życiu, jest taki, jakim go uczynimy – spojrzała na mnie znowu. – Zrujnowałeś ją, Falcio.

Kocha cię i ta miłość zawsze będzie ją powstrzymywała.

Poczułem ostry ból w żołądku. Co, jeśli Birgid miała rację i celem Ethalii było zostanie Świętą od Miłosierdzia? Co mogłem jej zaoferować w zamian? Szansę spędzenia całych dni i nocy samotnie zastanawiając się czy żyję, czy też nie? Albo gorzej – prawdopodobieństwo, że ktoś ją skrzywdzi, żeby się na mnie zemścić? Nie, nie mógłbym z tym żyć – nie po raz drugi...

Nagle zapiekł mnie prawy policzek i zdałem sobie sprawę, że Birgid właśnie mocno uderzyła mnie w twarz.

– To nie było zbyt miłosierne – powiedziałem, przykładając dłoń do bolącego policzka.

– Wystarczająco miłosierne w porównaniu z tym, co chciałam zrobić. Nie jesteś jej właścicielem, Falcio val Mondzie.

– Nie jestem...

– Nie ty powinienes mówić Ethalii, kim się stanie lub nie stanie, ani jakim niebezpieczeństwom będzie lub nie będzie stawiać czoła.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć, ale potem pomyślałem o Aline, mojej żonie, i nagle wiedziałem dokładnie, jak odpowiedzieć.

– Mylisz się. Jeżeli nie mogę jej uchronić przed krzywdą, to co nam przychodzi z miłości?

Birgid roześmiała się cicho.

– Myliłam się co do ciebie, Falcio. Co do Ethalii również, jak sądzę. Myślałam, że jesteś tylko człowiekiem przemocy, zaś ona Siostrą Miłosierdzia. Widziałam jednak tylko jedną stronę monety. Oczywiście, że Ethalia cię kocha, ponieważ jest wcieleniem współczucia, a ty jesteś wcieleniem męstwa, zaś męstwo zawsze przyciąga współczucie.

Położyła dłoń na mojej piersi i poklepała mnie dwukrotnie, jakbym był chorym dzieckiem. Potem wstała i podeszła do drzwi.

– Jeżeli chcesz uczynić ją szczęśliwą, Falcio, zejdz ze swojej ścieżki i pozwól światu samemu rozwiązać swoje problemy.

Powoli stanąłem na trzęsących się nogach.

– A jeśli nie mogę tego zrobić?

– W takim wypadku pamiętaj, że jesteś nadal słaby, nie masz armii, a Rada Książąt zaczyna się za trzy dni.

OSTATNIA PODRÓŻ

– Musisz odpocząć – Valiana chwyciła mnie za ramię, usiłując powstrzymać od wgramolenia się na konia. – Jechaliśmy bez przerwy przez dwa dni. Zabijesz się.

– Czuję się dobrze – odpowiedziałem, próbując po raz trzeci włożyć stopę w strzemień.

Konie nie wytrzymują zbyt długiej szybkiej jazdy, więc sprzedaliśmy nasze po pierwszym dniu, kiedy dotarliśmy do wystarczająco dużej miejsciny, żeby zakupić nowe. Powtórzyliśmy to również drugiego dnia. Ale konie nie były problemem. Ja nim byłem.

– Proszę – Kest wyciągnął ku mnie małą kwadratową paczuszkę wielkości kciuka dorosłego mężczyzny. – Pewnie już zużyłeś całą swoją twardą lukrecję.

Odepchnąłem jego dłoń i sięgnąłem do kieszeni.

– Dzięki – wyciągnąłem własne zawiniątko i włożyłem do ust ostatni okruch lukrecji. Niemal natychmiast poczułem to dziwne orzeźwienie, zacząłem widzieć wszystko wyraźniej, a moje serce zabiło zwawiej. – Powinieneś zachować swoją porcję na później. Nie

chcę, żebyś był zmęczony, kiedy będziesz walczył z tymi ludźmi.

– A co ty będziesz robił? – spytał Kest.

Oparłem czoło o siodło, czekając, aż miną mi zawroty głowy.

– Głównie będę się przyglądał. Mogę od czasu do czasu zachęcać cię okrzykami, jeżeli sądzisz, że to coś pomoże.

Nehra, siedząca już na koniu, zbliżyła się do nas.

– A co dokładnie zamierzasz zrobić, kiedy tam dotrzesz?

– Pisziesz nową historię?

– Jestem bardatti. To moje powołanie.

– Cóż, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dotrzemy tam, zanim zbiorą się książęta – odparłem gwoli wyjaśnień. – Kiedy więc już przybędą ze swoimi rycerzami i zbrojnymi, którym nadal ufają, będę ich mógł ostrzec, że właśnie ma nadejść grupa Wielkich Płaszczy z jednym jedynym celem – zamordowania ich wszystkich.

– Ale czy książęta nie wyślą swoich rycerzy i zbrojnych, żeby was aresztować? Zwłaszcza że nosicie wielkie płaszcze.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby wyjaśnić im różnicę.

Nehra zmarszczyła brwi.

– Czy zawsze biegniesz na oślep ku pewnej śmierci?

– Czasem maszeruje – powiedziała Darriana. – A co jakiś czas truchta. Jestem pewna, że jednego razu widziałam go zmierzającego powolnym spacerowym krokiem ku pewnej śmierci.

Nehra wywróciła oczami.

– Ryzykujecie życie dla niepewnego wyniku.

– Ryzykujemy życie, żeby się liczyło – odparła Valiana. – To nasze powołanie.

Uniosłem głowę i uśmiechnąłem się do niej. Święci, jakże ja kochałem jej odwagę. Co się stało z księżniczką, która postrzegała

wszystkich dookoła jako służbę? Gdzie podziała się szalona sierota, rozpaczliwie próbująca umrzeć, nim powiedziano jej, że nie ma prawa żyć? Widziałem przed sobą Wielki Płaszcz. „Król Paelis by ją pokochał”, pomyślałem.

Darriana dosiadła konia i odjechała, a za nią Valiana, Nehra i Kest. Położyłem dłoń na ramieniu Ethalii, zanim i ona się oddaliła.

– Zaczekaj – poprosiłem.

Odwróciła się i zobaczyłem w jej oczach smutek i rezygnację. „Wie, co zamierzam zrobić”. Wskazałem na leżące przed nami rozstaje drogi.

– Ten szlak wiedzie przez południową część Aramoru do Baernu.

– Tak? A ty postanowiłeś zostawić za sobą to całe szaleństwo i pojechać ze mną?

– Nie mogę, Ethalio. Nie potrafię siedzieć bezczynnie i pozwolić, aby kraj został zniszczony. Nie mogę dopuścić, aby ostatnią rzeczą, którą ludzie zapamiętają o Wielkich Płaszczach, było to, że przybyli, aby popełnić morderstwo i tym samym pograć cały kraj w wojnie domowej.

Odwróciła się ode mnie.

– Zatem zamierzasz rzucić się w wir niebezpieczeństwa, ale mnie prosisz, żebym trzymała się od tego z daleka, niczym jakaś biedna żonka rybaka, mająca nadzieję, że sztorm nie zatopi twojej łodzi?

– Będę musiał walczyć – odpowiedziałem. – Muszę... I nie mogę tego zrobić, jeżeli będziesz przy mnie, Ethalio. Muszę...

– Musisz lekkomyślnie ryzykować życie – powiedziała. – I boisz

się, że moja obecność ci to utrudni.

– Nie, do licha! – przyciągnąłem ją do siebie, chociaż spodziewałem się, że mnie odepchnie. Na jej miejscu tak właśnie bym zrobił, ale Ethalia zawsze była dużo mądrzejsza niż ja; wiedziała od samego początku, że nasz czas był darem, zaś gniew złodziejem, który chciał nam skraść najcenniejsze chwile. – Nie chcę umrzeć – powiedziałem. – Już nie.

– Jedna droga wiedzie do życia i radości, druga zaś do cierpienia i śmierci. Masz fatalne wyczucie kierunku, Falcio.

Roześmiałem się.

Znaliśmy się bardzo krótko i nie zdawałem sobie chyba sprawy, jak zabawna potrafi być.

– Tego możesz być pewna, ale nie zapominajmy, że to samo fatalne wyczucie kierunku doprowadziło mnie do ciebie.

Odchyliła głowę i pocałowała mnie.

– Nonsens – uśmiechnęła się cierpko. – Niektóre miłości są zapisane w gwiazdach i konieczne dla świata. Nawet bogowie nie odważą się stanąć na ich drodze.

– Nie o bogów się martwię, chociaż sądząc po tym, jak toczyły się ostatnie wydarzenia, nie powinienem się spieszyć z opinią – odsunąłem się na odległość ramion, usiłując zapamiętać na zawsze jej twarz. – Wiesz, że muszę to zrobić. Nie mogę siedzieć bezczynnie i pozwolić, aby wszystko, o co walczył król, szeszło, podobnie jak wszystko inne na tym przeklętym świecie.

– Nie proszę cię, żebyś przestał być sobą, Falcio. Nigdy bym tego nie zrobiła.

– W takim razie jedź na południe i bądź szczęśliwa, choćby z tego jednego powodu, że będę walczył lepiej, wiedząc, że jesteś tu,

na tym świecie.

– A jaki świat mnie czeka, jeśli ciebie na nim nie będzie? – spytała.

– Ten, w którym cię kochałem.

Pocałowała mnie w policzek.

– Zatem jedź. Ale miłość nie jest klatką, Falcio. Musisz o tym pamiętać, kiedy nadejdzie czas.

Wróciłem do mojego konia i ruszyłem za innymi, zostawiając za sobą Ethalię i wszystko, co sobą reprezentowała, co obiecywała. Myliła się, podobnie jak Birgid. Miłość była klatką, a ja nie mogłem zrobić tego, co musiałem, podczas gdy tkwiłem w niej uwięziony. „Jeszcze kilka godzin”, pomyślałem, a potem Krawcowa i ja odbędziemy bardzo długą konwersację o tym, dokąd zmierza nasz kraj. Chyba że najpierw mnie zabije.

Cała nasza piątka galopowała bocznymi drogami prowadzącymi przez centralny Aramor, wykorzystując każdy skrót, który pamiętaliśmy z Kestem jeszcze z tych dni, kiedy przemierzaliśmy kraj wraz z królem. Wreszcie, tuż przed zapadnięciem zmroku, dotarliśmy na małe wzgórze znajdujące się kilkaset jardów od zamku Aramor. Zsiadliśmy z koni i podeszliśmy do punktu obserwacyjnego w młodniaku nad zamkiem.

– Odpoczniemy tylko kilka chwil – powiedziałem, starając się ze wszystkich sił nie upaść. – Potem zejdziemy tam i zrobimy to, po co tu przyjechaliśmy.

Kest wszedł na sam szczyt wzgórza, Darriana i Valiana udały się za nim, zaś Nehra została ze mną. Miała przynajmniej na tyle

przyzwoitości, żeby udać, że też jest zmęczona.

– Nie będę z tobą walczyć – powiedziała.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na nią. Nie narzekała ani razu, od kiedy pochwycili ją ludzie Heryna. Colwyn umarł, a jednak Nehra nie próbowała się zemścić na Darrianie.

– Przykro mi z powodu Colwyna – powiedziałem. – Nie znałem go, ale...

– Proszę, nie mów głupot, Falcio. To nie jest powód.

– Nie zgadzasz się z tym, co usiłujemy zrobić? Sądzisz, że wojna domowa i chaos są dobrym sposobem na...

– Po raz drugi pokazujesz swoją ignorancję, pierwszy kantorze Wielkich Płaszczy – odparła. – Proszę, zrób to po raz trzeci, ponieważ bogowie kochają wszystko, co przychodzi po trzykroć.

Spojrzałem na tę dziwną kobietę, tak bardzo przeciętną, a jednak tworzącą muzykę, która zmieniała wszystkich wokół niej. Kobietę, która nie mówiła wiele, lecz znała każdą historię, jaka miała miejsce...

– Chodzi o historię, prawda? – spytałem. – Musisz być świadkiem tego, co się tu dzisiaj stanie.

Klepnęła mnie w plecak.

– Widzisz? Najwyraźniej masz odrobinę rozumu. Będę tam, gdy stanie się, cokolwiek ma się stać, ale nie mogę być częścią tej historii. Nie teraz. Nie, kiedy opowieść musi zostać usłyszana, ponieważ ktoś musi ją opowiedzieć.

Wstałem i rozciągnąłem się, a potem machnąłem kilka razy ramionami. „Sztwywny”, pomyślałem. „Nadal jestem strasznie sztywny”.

– W takim razie zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby dać ci

piękną historię. – Postaraj się tym razem dobrze zapamiętać moje nazwisko, w porządku?

Spojrzała na mnie wtedy bez śladu irytacji lub sarkazmu, a potem nachyliła się i pocałowała mnie delikatnie w policzek.

– Zrobię to, Falciu val Mondzie, trattari – powiedziała, a potem ruszyła w dół wzgórza.

Skrzywiłem się.

– Proszę, przestań nas nazywać trattari.

Usłyszałem dźwięk stali wyciąganej z pochwy i spojrzałem w górę wzgórza, gdzie udali się inni. Wszyscy troje trzymali w dłoniach miecze, a ja popędziłem ku nim, dobywając moich rapierów.

– Co się stało? – spytałem. – Są tutaj?

– Przybyliśmy za późno – Valiana spojrzała na mnie. Wyglądała, jakby zmogła ją choroba.

Przeszedłem obok niej i spojrzałem w dół wzgórza. Trawiasty plac przed zamkiem Aramor zaprojektowano tak, aby mogły się na nim odbywać wielkie parady i zgromadzenia. Został stworzony ponad sto lat temu po usunięciu drzew z kilku akrów lasu, który dotykał murów zamku Aramor. Król nazywał go „zieloną rękawicą”, ponieważ z góry wyglądało to, jakby jakiś olbrzym porzucił tu długą na osiemset jardów rękawicę. Na jednym końcu był zamek, na drugim ciemny las. A między nimi, rozrzucone na soczystej zielonej trawie, leżały dziesiątki trupów, wyglądających tak, jakby ten sam olbrzym upuścił je wszystkie z dużej wysokości.

Wszystkie ubrane były w wielkie płaszcze.

ZAMEK ARAMOR

Spoglądaliśmy wstrząśnięci na krajobraz po jatce, brukający zieloną trawę wokół zamku Aramor. Martwi leżeli rozrzuconi na ziemi, częściowo przykryci swoimi długimi skórzanymi płaszczami, sprawiając wrażenie wraków statków wpływających do portu po wielkim sztormie. Zerwał się wiatr i poły płaszczy łopotały niczym żagle. Dobiegł nas zapach krwi, śmierci i ogromnego strachu.

Nieco dalej na zielonej rękawicy zobaczyłem szeregi konnych rycerzy. Było ich zbyt wielu, aby ich zliczyć, ale prawdopodobnie liczba sięgała tysiąca. Siedzieli na koniach, jakby szykowali się na paradę. Niektórzy byli uzbrojeni w miecze, inni w kopie, ale wszyscy nosili czarne tabardy.

Valiana spojrzała na mnie.

– Nie rozumiem... wszyscy nie żyją. Jak mogli...

– Dashini są zabójcami – powiedziała Darriana. – Walczymy w cieniach, w ciemnych zaułkach i wąskich alejkach. Walczymy ukradkiem, szybko, nie zaś z brutalną siłą kawalerii szarżującej w otwartym polu.

– W takim razie, dlaczego... Dlaczego Krawcowa próbowała

walczyć tutaj?

– Ponieważ nie mieliśmy wyboru – odezwał się kobiecy głos.

Z młodniaka wytoczyła się Krawcowa w zakrwawionym płaszczu. W jednej dłoni trzymała złamany miecz, drugą zaś przyciskała do boku czerwoną od krwi szmatkę. Jej siwe włosy rozwiewały się dziko na wietrze, twarz nosiła ślady zadrapań i siniaków, których nabawiła się podczas bitwy. Uczyniła dwa kroki w moim kierunku i straciła równowagę, ale Kest dotarł do niej na czas i przytrzymał ją pod ramię.

– Pomóż mi usiąść – powiedziała, odrzucając miecz.

Kest przytrzymał ją, kiedy siadła ciężko na trawie, a potem przyklęknął obok, żeby obejrzeć jej ranę.

– To nic wielkiego – odepchnęła go. – Jakiś rycerz drasnął mnie grotem kopii, kiedy koń mi padł. Większość z tej krwi nie jest moja – spojrzała na mnie. – Widzę, że przeżyłeś Lament. Musisz być niezmiernie z siebie zadowolony.

Na chwilę wróciłem do tamtych chwil, kiedy stałem przywiązany do pala, a Heryn trzymał w dłoni igłę, pytając: „Zaczynamy?”. Z największym wysiłkiem powstrzymałem się od przedziurawienia gardła Krawcowej jednym z moich rapierów.

Starucha roześmiała się.

– Ach, Falcio, powinieneś widzieć teraz swoją minę. Tyle świętego oburzenia. No więc? Na co czekasz? Zawiodłam. Moje Wielkie Płaszcze leżą tam w dole, wszyscy martwi. Jeżeli planujesz mnie zabić, teraz jest odpowiedni moment.

– Jak?

– A co mnie to obchodzi? Cios w serce byłby dość humanitarnym gestem, ale w tej chwili byłabym wdzięczna, nawet gdybyś pokrajał

mnie na kawałki i przerobił na gulasz.

– Nie. Jak to się stało?

– Przybyliśmy, aby walczyć z księżętami i ich służbą oraz kilkoma strażnikami. Spodziewaliśmy się setki ludzi, a zamiast tego natknęliśmy się na tysiąc rycerzy – machnęła dłonią za siebie, w kierunku otwartej przestrzeni pod nami. – I dostaliśmy to.

– Gdzie jest Aline? – spytała Valiana. – Czy ona...

– Schwytała – odparła Krawcowa.

– Musimy...

– Trzymaj swój miecz w pochwie, dziewczynko. Nic nie możesz zrobić. Nie zabiją jej, nie teraz, gdy zebrała się Rada Książąt. Po prostu zmuszą ją do zrzeczenia się tronu. Wtedy przestanie być dla nich jakimkolwiek zagrożeniem – Krawcowa spojrzała na mnie. – Życie Aline jest wszystkim, za co można jeszcze walczyć. Pójdiesz tam, pierwszy kantorze, i wybłagasz u Jillarda, żeby pozwolił ci ją stąd zabrać. Obiecuj, że wywieziesz ją z kraju, jeśli ma to pomóc. Ocaliłeś mu życie. Może coś dobrego wyniknie z twojej zdrady.

Valiana chciała dobyć miecza, tym razem w mojej obronie, ale powstrzymałem ją, kładąc dłoń na jej dłoni.

– Przestań. To nie ma znaczenia.

– Nie pozwolę jej oskarżać cię o zdradę. Nie po tym, co zrobiła nam wszystkim!

Spojrzałem na starą kobietę z jej szpakowatymi włosami i oczami twardymi jak stal, skórą wygarbowaną deszczem i wiatrem niczym materiał naszych płaszczy oraz językiem ostrym jak szpila. Kiedyś ją kochałem, w tych czasach, kiedy żył król Paelis. Była jak jeden z tych mędrców w opowieściach, wprowadzający bohatera w arkana magii, która kiedyś go ocali –

tyle że z większą dozą przekleństw i inwektyw. Tak bardzo pragnąłem, żeby była mądrą starą kobietą, za jaką kiedyś ją miałem – a jeśli nie, to żeby przynajmniej nie była całkowitym przeciwieństwem mędrca z opowieści: nikczemnym zdrajcą, który ukrywa się w ciemności, aby zniszczyć bohatera. Sporo czasu zabrało mi zrozumienie, że Krawcowa nie była ani jednym, ani drugim. Była po prostu matką, która straciła syna i babką, która miała właśnie stracić wnuczkę. Była genialna, potężna, chytra i zimna, ale przy tym była również w każdym calu człowiekiem, tak samo rozbitym i pełnym wad, jak kraj, który ją zrodził.

– Krawcowa ma rację – powiedziałem. – Wszystko, co nam zostało, to ocalić życie Aline, jeśli to możliwe.

– Jaki mamy plan? – spytał Kest.

– Żadnego – odparłem. – Zabierzesz pozostałych i odjedziecie stąd. Ja pojedę tam i sprawdzę, czy uda mi się coś ugrać.

– Oni mają Aline. Co możesz im zaoferować w zamian?

Przyklęknąłem i wziąłem miecz, który Krawcowa rzuciła na ziemię.

– Wszystko, co mam, a czego mogliby pragnąć.

Wpatrzyłem się w szerokie ostrze miecza, złamane w odległości stopy od rękojeści. Taka prosta rzecz, a jednak jest zdolna zadać tak wiele zniszczeń. Walcowana stal, hartowana w ogniu i kuta młotem dopóki nie wchłonie całego okrucieństwa swoich narodzin, które czeka, by wyzwolić się w kontakcie z ludzkim ciałem. Zastanawiałem się, czy płatnerze kiedykolwiek odczuwali żal po skończeniu pracy, kiedy wybijali swój znak na mieczu. Uniosłem ten, który trzymałem w dłoni, do światła. Znak jego twórcy był zwykłym okręgiem z krzyżem wewnątrz i trzema punktami ponad

nim, ułożonymi niczym korona. Czy człowiek, który stworzył ów miecz, miał pojęcie, jak dużo chaosu wniósł do tego świata?

Spojrzałem jeszcze raz na znak. Wydał mi się znajomy.

„Niech to lichy...”

Cofnąłem się tak szybko, że niemal wpadłem na Kesta.

– Co się dzieje? – spytał.

– Miecze – powiedziałem. – Stalowa broń z Carefal – podszedłem do Krawcowej. – Dałaś wieśniakom tę broń.

– Oczywiście, ale przecież to już wiesz, więc nie...

– Nie, mam na myśli: po tym jak je skonfiskowaliśmy. Po tym, jak ludzie księcia Isaulta zabrali je do zamku. Czy wróciłaś tam i dałaś wieśniakom więcej broni?

– Już ci powiedziałam, że nie. Jak mogłabym, głupcze? Nie jestem ze złota. Musiałam rozłożyć moje zasoby na wszystkie dziewięć księstw.

Spojrzałem na Valianę.

– Daj mi swój miecz, ten, który zabrałaś z Carefal po masakrze.

– Dlaczego...

– Daj mi go.

Wyciągnęła miecz i mi go podała. Porównałem go ze złamanym ostrzem Krawcowej.

– O co chodzi? – spytał Kest.

Obróciłem ostrza i pokazałem mu. Kest pochylił się i przyjrzał uważnie miejscu, gdzie głownia stykała się z rękojeścią. Oba nosiły ten sam znak rzemieślnika: krzyż w okręgu z trzema małymi punktami nad nim.

– To ten sam znak... ale to oznacza, że miecze, które mieli wieśniacy za drugim razem...

– Były tymi samymi, które skonfiskowaliśmy – zgodziłem się z nim.

– Ale czy to nie oznacza...

– Shuran – potaknąłem. – Dowódca rycerzy Aramoru kazał komuś oddać tę broń mieszkańcom Carefal.

– Ale dlaczego?

– Żeby wywołać strach wśród arystokracji. Pomyśl. Co łączy w tej chwili wszystkich książąt, chłopów, wszystkich...?

– Boją się – powiedziała Darriana.

– Nie tyle się boją, co są przerażeni: rodziny szlacheckie są mordowane w ich własnych łóżkach, wieśniacy się buntują, rycerze w czarnych tabardach jeżdżą po całym kraju, masakrując ludzi. A czego pragnie każdy człowiek, który się boi?

– Obrońcy. Kogoś, kto zapewni bezpieczeństwo.

– A jakież mógłby się znaleźć lepszy protektor niż lojalny tristiancki rycerz? – odezwał się głos za naszymi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem sir Shurana, dowódcę rycerzy Aramoru, zbliżającego się do nas od strony, gdzie zostawiliśmy konie. – Powiedziałem moim ludziom, że wśród asasynów jest stara kobieta, ale nie uwierzyli mi. A mimo to znajduję cię tutaj, pani, siedzącą na tym małym pagórku, jakbyś szykowała się do pikniku.

Krawcowa wstała i wyciągnęła rękę, chwytając ramię Darriany.

– Zabij go – powiedziała. – Zabij go natychmiast!

– To naprawdę fatalny pomysł – powiedział Shuran. – Przede wszystkim, jeżeli spojrzysz w tamtą stronę... o tak, właśnie, u podnóża tego wzgórka, zobaczysz, że przyprowadziłem ze sobą przyjaciół, żebyśmy wszyscy mogli urządzić piknik.

Spojrzałem w dół posłusznie i zobaczyłem dwudziestu konnych

rycerzy zbliżających się ścieżką.

– Mamy również w zamku małą dziewczynkę, która w tej chwili jest przerażona i podejrzewam, że chciałaby zobaczyć jakieś przyjazne twarze. Może więc wszyscy zjedziemy ze wzgórza i poznamy się bliżej, co wy na to?

– Ja z tobą pojedę – odpowiedziałem. – Reszta odejdzie stąd wolna.

Oczywiście nie spodziewałem się zgody, ale chciałem wciągnąć go w rozmowę, zyskując czas na znalezienie sposobu, by poradzić sobie z nim i z jego ludźmi.

– Nie sądzę, żeby książętom spodobało się, gdybym puścił ich wolno, Falcio – uśmiechnął się Shuran. – Z drugiej strony, co mnie obchodzą książęta i ich wola?

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Pozwoliłbyś reszcie odejść bez uszczerbku na zdrowiu?

Shuran położył rękę na moim ramieniu.

– Nie życzę ci źle, Falcio – spojrzał na resztę. – Ani żadnemu z was. Nie mogę jednak wypuścić staruszki. Proszę o wybaczenie, pani, ale mordowanie rodzin książęcych jest zasadniczo źle postrzegane. Znajdziemy ci, pani, miłą, wygodną celę, dopóki nie zastanowimy się, co dalej.

– Zgódź się – powiedziała Krawcowa, spoglądając na mnie.

– Jedźcie – kazałem pozostałym. – Zabierzcie konie i odjedźcie stąd.

– Nie możemy zostawić... – zaczęła protestować Valiana.

– Czy chociaż raz możesz zrobić to, co mówię? Zabieraj się stąd.

Poczułem, że Shuran ściska moje ramię.

– W zamian chciałbym prosić o jedną przysługę.

– Jaką mianowicie?

– Och, nie ciebie miałem na myśli, Falcio – puścił moje ramię i spojrzał na Kesta. – Chciałbym, żeby Święty od Mieczy wreszcie zaszczyił mnie pojedynkiem.

Shuran i jego ludzie sprowadzili Kesta, Krawcową i mnie na dół, a potem kazali nam przejść między martwymi Niesplamionymi w ich podartych płaszczach, rozrzuconymi po zrytym placu. Po śmierci króla zamek Aramor został decyzją Rady Książąt zamknięty. Stał pusty przez ponad pięć lat. Trawa w tym czasie rosła i chwasty zaczęły stopniowo zagłuszać wszystko, ale teraz ktoś najwyraźniej zadał sobie trud, żeby przyciąć trawę przed zamkiem, a na niej ustawić krzesła i duży biały stół. Książęta mieli wprawdzie do rozwiązania problem najgorszego od stu lat kryzysu w Tristii, ale najwyraźniej bardzo ważne było, aby ich narady odbywały się w przyjemnym otoczeniu. Kilku z nich siedziało przy stole, popijając wino z delikatnych kielichów ozdabianych złotymi łabędziami: rozpoznałem je, pochodziły z prywatnej kolekcji króla Paelisa.

Na nasz widok trzech z nich wstało, bez wątpienia czując się nieswojo na widok Wielkich Płaszcz.

Książę Jillard jako pierwszy wystąpił o krok.

– Wyglądasz nieco gorzej niż wtedy, gdy widziałem cię po raz ostatni, Falcio.

– Wynik niefortunnego nieporozumienia, Wasza Łaskawość. Ty z kolei wyglądasz znacznie lepiej niż w trakcie mojej ostatniej wizyty w Rijou.

– To prawda. Ten proszek dashinich naprawdę jest potworny – spojrzał na mnie, a potem na rycerzy Shurana za naszymi plecami. – Mam nadzieję, że nie przybyłeś tutaj, żeby mnie zabić, Falcio? Byłoby to nader niestosowne, zważywszy, jak bardzo się starałeś, aby utrzymać mnie przy życiu.

– Miałem nadzieję, Wasza Łaskawość, że zechcesz mi się odwdzięczyć.

Jillard uśmiechnął się.

– Tak właśnie myślałem. Cóż, oczywiście. Shuran? Pozwól odejść wolno obu mężczyznom. Kobieta oczywiście zostaje – odwrócił się, jakby konwersacja została zakończona.

– Chcę Aline – powiedziałem. – Żywą i zdrową. Chcę również, abyś z pozostałymi książętami przysiągł, że zostawicie ją w spokoju.

Książę wyciągnął puchar, jakby spodziewał się, że wino spadnie mu z nieba. Co dziwniejsze, tak się stało – no dobrze, może i jeden z dworzan natychmiast popędził, żeby napełnić czarę, ale efekt był w zasadzie ten sam.

– Naprawdę, Falcio? Darowałem ci życie, a zatem mój dług jest spłacony. Dlaczego miałbym ci oddać dziewczynę?

– Przekonam ją do zrzeczenia się tronu.

– I tak to robi. Daj mi coś innego.

Pozostali książęta przyglądali się nam, jakbyśmy byli paskudnymi chwastami, które nagle wyrosły w ich ogrodzie. Ostatnią rzeczą, której pragnąłem, było uratowanie im życia: skierowali Tristię na tę drogę, kiedy zabili króla pięć lat temu, a teraz chcieli, żebym targował się o życie jego córki. Ethalia się myliła: miłość jest klatką.

– Podaruję wam wasze życie – powiedziałem wreszcie. – A przynajmniej zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyście mogli je zachować.

Jillard uniósł brwi.

– Grozisz nam śmiercią, Falcio? Bo ja jestem pewny, że sir Shuran i jego rycerze będą w stanie nas ochronić. Czuję się dość bezpieczny w ich obecności.

– W takim razie jesteś ślepy, Wasza Łaskawość. Sir Shuran jest tym, który planuje was zabić.

Zgromadzeni przy stole książęta i ich służący roześmiali się serdecznie na te słowa. Jillard odstawił puchar na stół.

– Zdajesz sobie sprawę, że oskarżasz komandora Aramoru i człowieka, którego wojska ocaliły nas od śmierci z rąk skrytobójców zaledwie kilka godzin temu?

– A przy okazji, jak zgaduję, również człowieka, którego zamierzacie właśnie awansować do pozycji Protektora Królestwa?

Jillard spojrzał na mnie wielkimi oczami i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ja ciągnąłem dalej.

– Zamierzacie oddać resztę książęcych armii pod jego dowództwo i wysłać go na północ, aby zniszczył siły Trin. To świetny dowódca i najbardziej szanowany rycerz w całym kraju. Rozedrze armię Trin na strzępy, oczywiście pod warunkiem że widząc go nadchodzącego z rycerzami, ludzie Trin nie zdezerterują.

– A kiedy to zrobi, pomoże nam przywrócić ład w kraju – powiedział Jillard, spoglądając na Shurana. – A potem ustąpi ze swojego stanowiska.

– Szczerze w to wątpię – odpowiedziałem. – To Shuran stał za uzbrojeniem chłopów i buntem, jak również za wysłaniem

Czarnych Tabardów, żeby ich zmasakrować. Zaplanował wywołanie strachu przed powstaniem, tak żebyście musieli zwrócić się do swoich rycerzy, z których wielu zdążył już przekupić za pomocą dość okazałych sum, a których reszta... cóż, wybaczone mi, Wasze Łaskawości. Chciałbym powiedzieć, że z przykrością wypowiadam te słowa, ale... reszta z nich szanuje go bardziej niż was. To Shuran rozkazał zabić dzieci księcia Isaulta i upewnił się, że rodziny pozostałych książąt również zginą.

– Dlaczego? – spytał Jillard. – Jaki powód mógłby mieć, aby zrobić coś takiego?

– Rycerz nigdy nie mógłby objąć książęcego tronu. Nawet gdy jest komandorem – powiedziała Krawcowa, spoglądając na mnie. Wreszcie zdała sobie sprawę, że ją również wystrychnięto na dudka. – To niemożliwe. Ale co, jeśli książęcy ród zostaje wymazany, cała rodzina zlikwidowana? Co, jeśli ludzie zaczęliby się wystarczająco mocno bać? Co, jeśli każdy szlachetnie urodzony zacząłby się obawiać, że zostanie zamordowany we śnie? Wtedy wszyscy byliby znacznie bardziej skłonni do przekazania władzy rycerzowi, przynajmniej na jakiś czas.

Jillard pokręcił głową.

– To, co sugerujesz: uzbrojenie chłopów, przekupienie rycerzy, zlecenie morderstw wymagałoby ogromnych sum pieniędzy. Skąd zwykły rycerz, nawet jeśli jest komandorem, wziąłby takie fundusze?

Spojrzałem na Shurana.

– Chcesz im powiedzieć czy ja mam to zrobić?

– Proszę – odpowiedział z uśmiechem. – Jak sobie życzysz. Wszak to twoja historia.

– Czy usłyszymy wkrótce ślubne zapowiedzi? – spytałem. – Nie, nie odpowiadaj – spojrzałem na Jillarda. – Miałeś rację od samego początku, Wasza Łaskawość. Trin nigdy nie byłaby w stanie utrzymać się na tronie. O tak, mogłaby zabić Aline i nie sądzę, żeby którykolwiek z was miał coś przeciwko temu. Mogłaby przegalopować po całym kraju ze swoją armią, może nawet wygrać wojnę z południem, gdybyście nie zdołali się zjednoczyć. Jednak znaleźlibyście w końcu sposób, żeby ją zabić, i Trin doskonale o tym wiedziała. Jej matka, księżna Patriana, również, i dlatego właśnie obie spędziły tak wiele lat, snując swoją nieprawdopodobnie imponującą sieć w sercu waszych księstw. Wy uczynicie Shurana Protektorem Królestwa, on was zabije, zawrze pakt z Trin, może nawet ją poślubi, dzięki czemu stworzą zupełnie nową arystokrację, która przejmie władanie nad Tristią. Po prawdzie, może nie byłoby to wcale gorsze od tego, co mamy teraz.

– To... bogowie... – Jillard spojrzał na Shurana z chorobliwą ciekawością. – Cóż, to ma teraz sens... zabijanie dzieci, sposób, w jaki mogłeś... ale jak rycerz może być tak niehonorowy? I to nie zwykły rycerz, ale komandor? Jak mogłeś uczynić coś takiego swojemu księciu?

Łagodna mina Shurana nie uległa zmianie, kiedy wymierzył Jillardowi policzek dłonią odzianą w stalową rękawicę, przewracając księcia Rijou na ziemię.

– Powiedziała mi, że jesteś sprytny, Falcio – odezwał się. – Ale ja też mam swój rozum. Rozum oraz tysiąc ludzi i jeszcze więcej w drodze, kiedy Jillard umrze, a były dowódca jego rycerzy powróci do Rijou, aby przejąć kontrolę nad armią – spojrzał na swoich ludzi, czekających cierpliwie na polu. – Wspaniali, nie sądzisz? Większość

żołnierzy w dzisiejszych czasach jest niezdyscyplinowana i niesforna, ale ci tutaj mężczyźni są oddani. To prawdziwi rycerze – spojrzał na mnie. – Wydałem im bezwzględny nakaz ataku, kiedy ostatnie promienie słońca znikną za horyzontem, Falcio. Do tej chwili będą czekali na swoich koniach, ustawieni w doskonałym szyku. Będą tam stali, choćby góry zaczęły się na nich walić. To właśnie jest to, czego potrzebuje Tristia: dyscypliny. Porządku. I to zamierzamy jej zapewnić wraz z Trin.

– Zamordowałeś dzieci, które przysięgałeś chronić – odpowiedziałem. – Przyniosłeś temu krajowi chaos i rozlew krwi. Jedna rzecz, która mnie zdecydowanie pociesza, to świadomość, że każdy człowiek, który zwiąże swój los z Trin, jest już martwy, tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Czy tak się należy wyrażać o królowej?

Rozpoznałem ten głos jako Trin, ale kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Aline, zmierzającą ku nam chwiejnie. Jej twarz była ujęta w drewnianą owalną ramę, przytwierdzoną do czaszki grubymi śrubami. W ramie ujrzałem twarz Trin.

– Widzisz, jakie wspaniałe rozwiązanie znalazłam, Falcio? Chciałeś, żeby Aline została królową, ale ja też chciałam nią być. Więc teraz obie możemy nią być. Cóż, w pewnym sensie...

– Nie! – krzyknęła Krawcowa, sięgając po dziewczynę, ale ja złapałem ją i odciągnąłem.

– Przestań! Ona może zabić Aline, jeśli zechce, a my nie możemy zrobić absolutnie nic, żeby temu zapobiec.

– Nie planowałem skrzywdzić dziewczyny – powiedział Shuran.

– Dziewczyna umrze dziś w nocy – zakomunikowała zimno Trin, wpatrując się w komandora.

Zapadła cisza, a potem Shuran uśmiechnął się do mnie ze smutkiem.

– No cóż, jak widzisz, nie mam na to wpływu. Z chęcią jednak oddam ci ją, gdy tylko skończymy.

– Nie rób tego, Shuranie – powiedziałem błagalnie. – Nie...

– Nie martw się, Falcio – powiedział Kest. – On nie robi tego z powodu Aline. I nie sądzę też, żeby robił to nawet dlatego, że pragnie rządzić Tristią, a przynajmniej to tylko jeden z powodów.

– W takim razie co...

– Shuran pragnie czegoś, co tylko ja mogę mu dać – powiedział i spojrzał na komandora. – Co powiesz na pojedynek? Zaczynamy?

CZARNY TABARD

Święty od Mieczy i dowódca rycerzy Aramoru wpatrywali się w siebie poprzez kępę ubłoconej trawy. Dzielili ich odległość nie większa, niż gdyby stali na przeciwległych brzegach lordowskiej wanny. Gdyby jeden z nich wyciągnął miecz i zaatakował, drugi zaś zawahał się na mgnienie oka, jego głowa potoczyłaby się po ziemi.

– Przypominam sobie – zaczął Shuran tonem swobodnej konwersacji – że podczas naszego pierwszego spotkania określiłeś liczbę złożzeń, których wymagałbyś, aby mnie pokonać.

– Dziesięć – odparł Kest.

– I nadal obstajesz przy swojej ocenie?

Żaden nie poruszył się nawet o cal, ale wzrok Kesta prześlizgnął się szybko po ramionach Shurana, a potem po błotnistej ścieżce, którą wydeptał, podchodząc tutaj.

– Twoje kroki są wyrównane. Poprzednio przenosiłeś ciężar bardziej na lewą stronę, oszczędzając prawą. To było od rany, czy udawałeś?

Shuran uśmiechnął się.

– Gdybym powiedział ci, że od rany, którą odniosłem, kiedy mój

koń został zabity strzałą, jak ocenilibyś teraz nasze starcie?

– Siedemnaście złożeń – odparł Kest bez wahania.

– Doprawdy? A zatem zyskałem siedem, aby nacieszyć się życiem. Ile byś dał, gdybym powiedział ci, że nawet w tej chwili udaję, ukrywając moje zdolności?

Kest ani drgnął, ale wiedziałem, że jego umysł pracuje intensywnie.

– Dwadzieścia dwa – odpowiedział wreszcie.

– Fantastycznie – ucieszył się Shuran. – Skoro zaś byłeś tak uprzejmy, spełniając moje zachcianki, chciałbym cię prosić o trochę cierpliwości.

Shuran zaczął poruszać lewą ręką w powietrzu lekko, łagodnie, nie usiłując zaskoczyć ani grozić. Wyglądał jak człowiek, który wsłuchuje się w cudowną muzykę, zaś ruchy jego dłoni pasują do rytmu nadawanego przez instrumenty, a palce udają, że wygrywają melodię. Przez chwilę sądziłem, że to jakiś podstęp lub czar, ale potem zobaczyłem, jak Kest podąża wzrokiem za ruchami dłoni Shurana, i domyśliłem się, że rycerz właśnie się odsłania.

– Trzydzieści jeden – powiedział Kest. – Nie, trzydzieści dziewięć.

Shuran nadal delikatnie poruszał dłonią w powietrzu, zmieniając kierunek i tempo. Wyglądało to jak zmiana pozycji szermierczych – tylko że wiedziałem, iż ja nigdy nie potrafiłbym poruszać się tak lekko, tak dokładnie i z tak doskonałą kontrolą.

– Pięćdziesiąt cztery – odparł Kest.

– Naprawdę? To wszystko? – spytał Shuran.

Kest wpatrywał się w jego uśmiech, który w żaden sposób nie wpłynął na precyzję ruchów.

– Siedemdziesiąt.

Shuran roześmiał się i był to zadziwiająco piękny, doskonale kontrolowany dźwięk. Oczywiście nie wpłynął on na zachowanie reszty jego ciała.

– Dziewięćdziesiąt cztery – powiedział Kest.

– Ostrożnie – odpowiedział Shuran. – Jeżeli tak dalej pójdzie, wkrótce zakomunikujesz mi, że nie jesteś w stanie w ogóle mnie pokonać.

– Dziewięćdziesiąt cztery – powtórzył Kest.

– Kto cię uczył szermierki? – spytał Shuran.

– Mój ojciec, moi przyjaciele, moi wrogowie – odpowiedział Kest.

– Zgrabna odpowiedź. Myślę, że to ważne: uczyć się od najlepszych, nie sądzisz?

Niepokoilo mnie coś w lekkim skrzywieniu uśmiechu Shurana: nie był groźny ani szalony, ale coś mi przypominał – nie chodziło o to, że kiedyś już go widziałem, ale miałem wrażenie, że widziałem jego odbicie. Zupełnie jakby człowiek zobaczył piękną kobietę i był absolutnie przekonany, że już ją kiedyś spotkał, a potem okazuje się, że to nieprawda, ale zamiast niej spotkał mężczyznę, który opisał miłość swego życia w niezwyklej opowieści w karczmie przy winie i teraz człowiek zdaje sobie sprawę, że oto właśnie ma ją przed oczami.

– Kest, coś jest nie tak – powiedziałem.

– Dalej, Kest – powiedział Shuran. – Nadal obstajesz przy dziewięćdziesięciu czterech? Nie dasz mi więcej?

– Kto ciebie uczył? – spytał Kest.

– Hmm?

– Pytałeś o moich nauczycieli. Kim byli twoi?

– Ach, cóż, tak naprawdę miałem tylko jednego, który się liczył. Mój ojciec. Był naprawdę dobry, a przynajmniej tak powiadają. Szczerze mówiąc, byłem zdziwiony, że w ogóle zgodził się mnie szkolić. Nie interesowały go dzieci. Wprawiały go w zakłopotanie, a przynajmniej on tak to odczuwał. Pierwsze siedem razy, gdy błagałem go o naukę, obił mnie płazem swojego miecza, dość boleśnie, dodam.

– Rozumiem, że ostatecznie się nad tobą zlitował?

– Zlitował? Cóż, być może. Myślę, że na początku go to bawiło. Był bardzo nieczułym człowiekiem. Lubił się przyglądać, jak krwawię. Moja matka bardzo się tym przejmowała.

Ruchy dłoni Shurana, ton jego głosu, jego uśmiech... Elementy łamigłówek wskoczyły na swoje miejsce.

– Bogowie, Kest! Wiem, kto go uczył... wiem, kto jest jego ojcem...

– Święci – poprawił mnie Shuran. Uśmiechnął się szerzej i w końcu przestał poruszać dłonią. – Poprawnym zawołaniem w tym momencie byłoby „święci”.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, kiedy spotkałem ojca Shurana, że mógłby mieć rodzinę. Byłem wtedy tak bardzo pewny, że nasze żywoty wkrótce dobiegną końca, iż liczyło się dla mnie tylko to, że mój najlepszy przyjaciel na świecie za chwilę zginie, aby dać Aline, Valianie, Brastiemu i mnie dodatkowe kilka minut na próbę ucieczki. Kto by pomyślał, że taka kreatura, skoncentrowana na jednym celu – doskonaleniu sztuki fechtunku – zeszlaby do tak niskiego poziomu, jak uprawianie miłości z kobietą, a nawet posiadanie syna?

– Caveil – powiedziałem. Czułem, że muszę wypowiedzieć to

imię na głos, aby udowodnić samemu sobie, iż nie napawa mnie ono strachem. – Twoim ojcem był Caveil Co Przecina Wodę.

Shuran spojrział na mnie.

– Zawsze wolałem myśleć o nim jako o nauczycielu. Nigdy nie sprawdzał się jako ojciec.

– Ale jak...? – mój głos wydał mi się niezwykle słaby i pełen napięcia.

– Nawet święty, choć powiedzmy, że bardzo ograniczony w swoich zainteresowaniach, nawet ktoś taki jak Caveil od czasu do czasu kładzie się z kobietą.

– Ale myślałem, że święci nie mogą mieć dzieci...

Shuran się roześmiał.

– Doprawdy? Falcio, musisz nauczyć się wybierać, w które opowieści powinieneś wierzyć. Chociaż podejrzewam, że byłaby to prawda, gdyby święci kładli się z normalnymi kobietami. Na szczęście dla mnie ten problem nie istniał. Okazuje się, że dwoje świętych doskonale potrafi sobie poradzić ze spłodzeniem potomstwa.

Birgid. Jego matką była Święta Birgid Co Wypłakuje Rzeki. „Dzieckiem narodzonym ze związku przemocy z miłosierdziem jest jeszcze większa przemoc”. Próbowła poskromić gwałtowność Caveila poprzez swoje własne miłosierdzie, lecz zamiast tego ich dzieckiem był Shuran, człowiek z sercem stworzonym z przemocy. Całe życie ćwiczył, aby zostać Świętym od Mieczy, i tak by się zapewne stało, gdyby Kest, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, nie pokonał Caveila, aby ocalić nam życie.

Shuran urodził się, aby zostać Świętym od Mieczy.

– A zatem – Shuran spojrział na Kesta. – Jak teraz sądzisz,

w ilu złożeniach mnie pokonasz?

Byłem szermierzem od dziecka. Trenowałem codziennie od chwili, gdy po raz pierwszy wziąłem do ręki rapier. Przeczytałem każdą książkę o fechtunku, nieważne jak starą, mało znaną lub osobliwą. Walczyłem mieczami, bywałem obity przez miecze, kaleczony przez nie i wiele razy również niemal przez nie zabity. Kiedy człowiek spędza całe życie w ten sposób, zaczyna przyzwyczajać się do faktu, że nie można dostrzec ruchu ostrza doświadczonego szermierza: jest zwyczajnie zbyt szybki, żeby nasz wzrok potrafił go zarejestrować. Obserwuje się więc inne rzeczy: ugięcie łokci, postawę, napięcie ramion. To te właśnie szczegóły zdradzają następny ruch przeciwnika. A jeśli człowiek jest prawdziwym ekspertem, może po prostu obserwować oczy przeciwnika. I to właśnie robili w tej chwili Kest i Shuran.

Ich miecze rozbłysły na chwilę w powietrzu, wracając do pozycji w zasłonie, zanim do moich uszu dotarł dźwięk stali uderzającej o stal. Kiedy atakowali, wyglądało to jak lot kolibra skubiącego czerwoną jagodę: nic wielkiego, małe cięcie tutaj, kilka kropli krwi tam, wystarczy, żeby spowolnić przeciwnika, choćby na ułamek sekundy.

– Sądysz, że dzięki temu zyskałeś na szybkości? – spytał Shuran, wracając do zasłony po, jak naliczyłem, pięciu złożeniach, chociaż równie dobrze mogło ich być pięćdziesiąt.

– Dzięki czemu? – spytał Kest.

– Dzięki świętości: zacząłeś świecić na czerwono. Czy daje ci to większą szybkość?

– Nic o tym nie wiem.

Shuran przechylił głowę – naturalny gest, ale niezbyt rozsądny,

ponieważ ostrze Kesta zawirowało i jego sztych dotknął gardła masywnego komandora. Shuran zakręcił mieczem, aby odbić stal Kesta, ale jej już tam nie było.

– Czy dodaje ci siły? – spytał Shuran, jakby nic się nie stało.

– Nie zauważyłem, aby moje ramię stało się silniejsze.

– W takim razie co...

– Szczerze mówiąc, nie zauważyłem, żeby świętość czyniła jakąkolwiek różnicę. Być może to dlatego, że nadal jestem w tym niedoświadczony... nie odniosłem jednak wrażenia, aby świętość zbyt pomagała Caveilowi.

Przez twarz Shurana przemknął cień gniewu i wyprowadził atak, zasypując Kesta serią ciosów, które, mimo włożonej w nie siły, wyglądały niezwykle zgrabnie. Przechodził bez wysiłku z ataku cięciem po przekątnej, które prawie pozbawiło Kesta całej dolnej szczęki, do silnego pchnięcia w rzepkę. Jego ostrze poruszało się wysoko i nisko, w jednym momencie sięgając po jedynie małe zacięcie, w drugim spadając z góry z wystarczającą siłą, aby rozpołować przeciwnika. Kest unikał każdego ataku, czasem stawiając zasłony, czasem robiąc eleganckie uniki i pozwalając mieczowi Shurana przejść o włos od jego twarzy.

– To nie zadziała, wiesz? – powiedział Kest.

– Co takiego nie zadziała? – Shuran nie zdradzał najmniejszego napięcia, nie wspominając o zmęczeniu, jakie większość ludzi odczuwałaby po takim wysiłku.

– Nie skłonisz mnie podstępem do oddania ci tych kilku cali gruntu, których pragniesz.

Chociaż obaj walczyli szerokimi mieczami, ten Shurana był dłuższy o dobre trzy cale. Gdyby zdołał nieznacznie zwiększyć

dystans między sobą a Kestem, zyskałby przewagę.

Shuran uśmiechnął się.

– W takim razie musimy spróbować czegoś innego, czyż nie? – wykonał fintę w kierunku odsłoniętej lewej strony Kesta. Wiedziałem, że to markowany ruch, ponieważ było to zbyt oczywiste. Kest sparował atak, ponieważ wprawny szermierz potrafi zmienić fintę w prawdziwe pchnięcie, jeśli w ostatniej chwili wyczuje, że jego przeciwnik nie zamierza go zablokować. W tym przypadku Kest pchnął mieczem w kierunku prawego biodra Shurana, zmuszając go do cofnięcia się. Następnie Shuran ustawił swój miecz w zasłonie odrobinę zbyt sztywno: zwiększając siłę uchwytu, odsłonił nieco swoją lewą stronę. Kest musiałby tylko zrobić wypad o pół kroku i uderzyć...

– To również nie zda egzaminu – powiedział Kest, nie ruszając się z miejsca.

– A co ja takiego teraz zrobiłem? – spytał Shuran niewinnie.

– Otoczak balansujący na wierzchu drugiego kamienia. Sądzisz, że jeśli zmusisz mnie, abym postawił tam nogę, stracę równowagę.

– Najwyraźniej mam dzisiaj głowę pełną podstępów.

Teraz Kest rozpoczął serię ataków, każdy z nich różnił się nie tylko celem, szybkością, ale również stylem walki. Kest przechodził płynnie z klasycznego fechtowania w bardziej brutalny styl używany na polu walki. Od czasu do czasu dorzucał kilka ciosów w stylu awanturniczo-łobuzerskim, które działają nie ze względu na efektywność, lecz na ich nagłą i nieoczekiwaną drapieżność. Shuran jednak unikał i parował, przewidywał i kontratakował. Cała wymiana trwała zaledwie dwadzieścia sekund i pod jej koniec obaj przesunęli się po błocie mniej niż dwie stopy.

Kiedy obaj wrócili do zasłony, zauważyłem nad brwią Shurana malutką kropelkę krwi.

– Brawo – powiedział.

Bardzo, bardzo powoli kropelka krwi zaczęła się powiększać, a potem spłynęła w dół, grożąc wpadnięciem do oka Shurana, który musiałby wtedy mrugnąć. I w tym momencie straciłby życie.

– Byłem wtedy blisko – powiedział Shuran tonem swobodnej konwersacji. – Podczas czwartego złożenia? Prawie cię dostałem. Przesunąłeś ciężar ciała, na ułamek sekundy.

– Natknąłem się na kawałek luźnej ziemi. Spodziewam się, że o nim wiedziałeś.

– A jednak zauważyłeś go i dostosowałeś się – powiedział Shuran. – Jesteś niezwykły.

– Ty również jesteś nie najgorszy – przyznał Kest. – Ale nie jesteś świętym.

Komandor uśmiechnął się.

– To oczywiste. Nigdy nie mógłbym pokonać cię w uczciwej walce. Teraz to wiem.

Słowo „uczciwa” zaniepokoiło mnie. Rozejrzałem się w poszukiwaniu pułapki – może któryś z ludzi Shurana czaił się w ukryciu, szykując kuszę – ale nie dostrzegłem niczego. Być może było to jedynie ostateczne, wspaniałomyślne wyznanie człowieka, który rzeczywiście spotkał przeciwnika lepszego od siebie.

Kropla krwi zawisała na brwi Shurana. Za chwilę będzie już po wszystkim.

Ich rozmowa o kamieniach sprawiła, że spojrzałem na ziemię, sprawdzając, czy nie ma tam czegoś, co przeszkodziłoby Kestowi w pokonaniu Shurana, ale niczego nie dostrzegłem. Pomimo

manipulacji rycerza Kest poruszał się zawsze ostrożnie, upewniając się, że stoi na pewnym gruncie. Za każdym razem, gdy usiłował sprowokować go do ustawienia stóp w niepewnej pozycji, Kest omijał wszelkie niebezpieczeństwa. Mózg zaczął mnie świerzbic. Dlaczego Shuran w takim razie nadal stosował swoją zawodną strategię? I skoro już jesteśmy przy tym, skąd wiedział, gdzie znajduje się każdy kamień? Zupełnie jakby...

„Oczywiście, sam je tu ułożył”, zdałem sobie sprawę. Szczwany lis sprawdził przed pojedynkiem dokładnie każdy fragment gruntu, każdy kamyk, każde ziarenko piasku i teraz doskonale wiedział, gdzie się poruszać. Kest jednak był zbyt sprytny i zbyt spostrzegawczy dla Shurana. Poruszał się pomiędzy i ponad wszelkimi przeszkodami, jakie rycerz postawił na jego ścieżce, i teraz stał na...

Och, do licha...

– Kest, cofnij się... – zacząłem.

– Za późno – Shuran potrząsnął lekko głową i krople krwi spadły z jego czoła. Kest uniósł miecz, żeby uwolnić ciało Shurana od jego głowy. Krople krwi spadły na ziemię i ostrze Kesta zatrzymało się w miejscu.

Kest usiłował się poruszyć, ale nie mógł. Nogi drżały mu, jakby jakaś ogromna dłoń usiłowała go wepchnąć w ziemię.

– Kazałem kapłanowi poświęcić grunt – komandor odgarnął butem ziemię, ujawniając starannie nakreślony krąg. Kest stał w samym jego środku. – Potrzeba było zaledwie kropli krwi, aby dopełnić magii. Oczywiście wolałbym, aby była to twoja krew, ale moja jest równie dobra. Prawdopodobnie powinieneś się pokłonić. To coś, czego bogowie oczekują od świętego stojącego na

poświęconej ziemi.

Pobiegłem w ich kierunku, chcąc wypchnąć Kesta z kręgu, ale Shuran uniósł miecz i ledwie wyhamowałem przed samym jego końcem.

– Nie sędzę – uwaga Shurana nadal była zwrócona na Kesta. – Jeżeli masz się poczuć lepiej z tego powodu, nie mogę cię zabić w świętym kręgu, Kest. – Zamachnął się, mierząc w głowę Kesta, i jego miecz odbił się, jakby trafił na kamienną ścianę. – Cała ta religia jest denerwująca, nie sądzisz?

Kest opadł na kolana i wbrew sobie skłonił głowę.

– Nie mogłeś mnie pokonać przedtem, Shuranie. Cokolwiek teraz zrobisz, zabiję cię, kiedy będzie po wszystkim. Nigdy nie zostaniesz Świętym od Mieczy.

– Oczywiście, że zostanę – Shuran pchnął mieczem w moim kierunku. Odskokczyłem, ale niewystarczająco szybko: poczułem lekkie ukąszenie stali na policzku, a kiedy przyłożyłem w tym miejscu palce, zobaczyłem na nich smugę krwi.

Z ogromnym trudem Kestowi udało się odwrócić głowę w moim kierunku i dostrzegłem niepokój w jego oczach.

– Jesteś taki opanowany, Kest – powiedział Shuran. – Taki logiczny. Wszystko zawsze analizujesz, każdy ruch. Nie sędzę, aby ktokolwiek mógł cię pokonać, kiedy twój umysł jest w pełni sprawny – spojrzał wreszcie na mnie. – Dlatego zamierzam zabić twojego przyjaciela, Falcia, na twoich oczach i dość okrutnie.

– Jeżeli naprawdę chciałeś wstrząsnąć Kestem, powinieneś chyba wypróbować ten plan, zanim dashini torturowali mnie przez dziewięć dni.

Shuran zignorował moje słowa. Ostatnio ludzie robili to nader

często.

– A potem, kiedy już z nim skończę, każę moim ludziom przyprowadzić pozostałych. Najpierw zabiję Valianę. Uważam, że to bardzo miła dziewczyna, więc będzie mi jej szkoda. Nie dbam za bardzo o Darrianę, jeśli w ogóle. Trudno ją polubić, nie sądzisz? Ale cokolwiek o niej myślisz, potraktuję ją dokładnie tak samo.

Uczył krok i spojrzał wzdłuż klingi miecza, nadal wymierzonego we mnie.

– Potem zamierzam przyprowadzić tu małą Aline i razem z Trin... cóż, szczerze mówiąc to jeszcze dziecko i wolałbym nie robić takich rzeczy, ale jak trzeba, to trzeba.

– Jesteś gotów popełnić wszystkie te akty bezsensownego okrucieństwa – powiedział Kest, zmagając się z niewidzialnym ciężarem przygniatającym go do ziemi. – A mimo to nic z tego nie uczyni cię świętym.

Shuran uśmiechnął się.

– I tutaj się mylisz, ponieważ po unicestwieniu twoich przyjaciół i pozwoleniu Trin na zbrukanie niewinnej małej Aline na twoich oczach zamierzam nakazać kapłanowi, aby zdesakralizował krąg, i wiesz, co się wtedy stanie, Kest? Rzucisz się na mnie z czarną wściekłością wypełniającą twoje serce. Nie przywykłeś do walki w gniewie, prawda? I właśnie w ten sposób zamierzam cię pokonać; w ten sposób cię zabiję i w ten sposób zostanę Świętym od Mieczy.

POJEDYNEK

Jest takie stare powiedzenie, bardzo poręcznie zapisane na wewnętrznej stronie okładki jednej z wielu książek o fechtunku, które król Paelis trzymał w swojej osobistej biblioteczce. Mówi ono: „Najważniejszych walk nigdy nie wygrywa się umiejętnościami”. Większość mistrzów szermierki uważa to za niefortunny błąd w tłumaczeniu, zważywszy, że cały sens wieloletniego studiowania fechtunku polega właśnie na tym: na szkoleniu umiejętności, dopóki człowiek nie stanie się niepokonany.

Niektórzy argumentują, że cytatorowi brakuje jednego słowa, takiego jak „samymi”. Czyli cytat powinien brzmieć: „Najważniejszych walk nigdy nie wygrywa się samymi umiejętnościami”. Jestem pewny, że byłoby to niezwykle krzepiące dla wszystkich mistrzów miecza na całym świecie, ale obawiam się, że to zwykła bujda.

Kest i ja zwykliśmy siadywać i wpatrywać się całymi godzinami w ów cytat, usiłując odgadnąć, co naprawdę znaczył. Czy jego autor rzeczywiście wierzył, że połączenie większej siły i większego zasięgu, które oczywiście są ogromnie ważne w fechtunku, mogłoby

przewyższyc umiejętności? Jeżeli tak, to w tej chwili działało to na moją niekorzyść, ponieważ Shuran był nie tylko silniejszy i szybszy niż ja, ale miał również nade mną przewagę kilku dodatkowych cali zasięgu.

Nie mogłem się powstrzymać od powtarzania tego cytatu w myślach, kiedy Shuran stał przede mną z mieczem uniesionym w wysokiej zasłonie, czekając na okazję, aby obciąć mi głowę. Spojrzał na Kesta, który nadal klęczał na ziemi.

– Cóż, Święty od Mieczy, ile złożań twoim zdaniem zajmie mi pozbawienie twojego przyjaciela głowy?

Kest usiłował wstać, ale z powrotem padł na kolana. Dla postronnego świadka wyglądał niczym połamany starzec, który wypił za wiele. Spojrzał na Shurana i na mnie.

– Siedem – powiedział.

– Siedem – powtórzył Shuran. – Jaka szkoda, że twoja Krawcowa sprzedała cię tym dashinim. Musieli naprawdę wyrządzić ci dużą krzywdę. Chodź, Falcio, mój przyjacielu. Jak wielką wagę przywiązujesz do tej liczby? Nie byłoby lepiej ułatwić sobie sprawę, chociaż raz? Może usiadłbyś i pogodził się z bogami. Albo jeżeli wolisz, każę tu przyprowadzić Krawcową i będziesz mógł ją zabić za jej zdradę. Tak czy owak, czy nie lepiej jest nacieszyć się ostatnimi chwilami i pozwolić śmierci cię zabrać?

– Nie – odpowiedziałem.

Shuran wyglądał na autentycznie zdziwionego.

– Dlaczego nie?

Po raz pierwszy w życiu nie miałem gotowej odpowiedzi. Nawet gdyby jakimś niesłychanym cudem z nieba spadło ogromne drzewo, zabijając Shurana na miejscu, nadal bym przegrał, ponieważ

zaledwie kilkaset jardów stąd czekało na nas tysiąc rycerzy. Walka już została rozstrzygnięta.

„Walk, które liczą się najbardziej, nie wygrywa się umiejętnościami”.

W takim razie jak, do licha?

Usłyszałem kroki za plecami.

– Zostań z tyłu – ostrzegłem, zakładając, że to Valiana lub Darriana.

– Proszę, proszę, a kogo my tu mamy? – spytał Shuran, a kiedy odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, na kogo spogląda, poczułem jak moje serce pęka. Wyglądała dokładnie tak, jak podczas naszego pierwszego spotkania: jej długie ciemne włosy okalały jasną twarz, a nieziemską urodę podkreślała długa szata z delikatnego materiału, który odbijał ostatnie promienie słońca niczym tysiąc gwiazd.

„Ethalia”.

Wyciągnąłem do niej dłoń, ale uniknęła mojego dotyku. Zignorowała również miecz Shurana, przechodząc obok i zatrzymując się zaledwie kilka stóp od niego. Złożyła dłonie przed sobą.

– Kim jesteś? – spytał Shuran.

– Jestem przyjaciółką, co przychodzi w czarną godzinę – powiedziała Ethalia. – Jestem bryzą, gdy pali słońce. Jestem wodą, którą rozdaje się za darmo, i winem, które dzieli się z miłością. Jestem odpoczynkiem po bitwie i uzdrowieniem ran. Jestem przyjaciółką, co przychodzi w czarną godzinę – powtórzyła. – I jestem tu dla ciebie, Shuranie, synu Caveila.

Trin, nadal schowana ze swoim czarnym sercem głęboko

w duszy Aline, podprowadziła jej ciało bliżej i przechyliła jej głowę. Okropna drewniana rama okalająca twarz Aline przechyliła się niebezpiecznie.

– To jego dziwka – wyjaśniła usłużnie. – Jedna z tych Sióstr Miłosierdzia Pieprzona, tak, zdaje się, je nazywają.

Shuran uśmiechnął się.

– Przyszłaś mi się ofiarować? Chcesz błagać o życie Falcia?

„Oczywiście, że tak, ty draniu. Jest miłością, współczuciem i ofiarnością. Nie ma pojęcia, co robi!”

– Ethalio, podejdź z powrotem do mnie, bardzo powoli – powiedziałem łagodnie.

Zignorowała mnie, skupiając się na Shuranie.

– Zaiste przyszłam tu, aby się tobie ofiarować, lecz nie po to, aby błagać o życie Falcia.

Shuran spojrział na nią przez chwilę ze zdumieniem, a potem odchylił głowę i ryknął głośnym śmiechem, który rozniósł się po całej trawiastej „rękawicy”.

– Och, moja słodka pani. Jestem niemal wzruszony twoją ofertą. Niestety, nawet ja nie mogę tego zrobić Falciovi. Czyż nie wycierpiał wystarczająco?

– Nie – odparła Ethalia tak spokojnie i cicho, jak szeptał strumienia. – Żałuję, że tak jest, ale musi wycierpieć jeszcze więcej.

– Ty głupia dziwko! – krzyknęła Darriana i ruszyła do przodu, żeby ją pochwycić, ale Shuran, szybki niczym błyskawica, machnął mieczem i uderzył Darrianę płazem najpierw w jeden, a potem w drugi policzek.

Darriana zatoczyła się do tyłu, tyle pod wpływem szoku, co bólu.

– Nie wolno się w ten sposób zwracać do damy – powiedział

Shuran.

Trin nadal spoglądała na Ethalię.

– Chcę wiedzieć, czego ta dziwka chce.

– Moja oferta jest prosta – Ethalia zwróciła się do Trin. – Wykonałaś rytuał z dashinim, który kazał mu przeżyć śmierć żony. Byłaś tam z nim w tym momencie, prawda?

– Owszem – Trin uśmiechnęła się. Wyglądała obrzydliwie. – To było... ożywcze. Pamiętam każdą sekundę: nadal czuję jej ból, gdy była bita, widzę pękające kości, rozdierane ciało, zęby wypadające z jej ust... pamiętam dotyk każdego z tych mężczyzn...

– Nie musisz się wdawać w szczegóły – przerwała Ethalia. – Potwierdziłaś to, co chciałam.

– Och? A co konkretnie? – spytał Shuran. – Twierdziłaś, że masz propozycję.

– Owszem – Ethalia spojrzała na mnie, mimo że nadal mówiła do Shurana. – Jeżeli pokonasz Falcia w walce, możesz mi zrobić wszystkie te okropności, które czuła księżna Trin: połamać kości, rozedrzeć mnie na strzępy.

– Oszalałaś? – krzyknąłem. – Uciekaj stąd. Biegnij!

Ale Trin była szybsza.

– Przyjmujemy! – wrzasnęła głosem pełnym podniecenia i śmiechu, jakby właśnie ktoś obiecał jej wspaniały prezent. – Cóż za rozkosz!

– Dobrze zatem – powiedział Shuran. – Przypieczętowałaś swój los własną głupotą, moja pani.

– Owszem – odparła Ethalia głosem pełnym wyzywającego smutku. Spojrzała na ogromnego rycerza. – Moja ścieżka aż do dziś była ścieżką miłosierdzia; moim przeznaczeniem było... ale

przypuszczam, że nie ma to teraz znaczenia.

– Nie obawiaj się, moja pani – odpowiedział z uśmiechem. – Obiecuję ci...

– Nic nie możesz dla mnie zrobić, Shuranie, synu Caveila. Jesteś już martwy. Zabiłam cię.

Zostawiła go tam, z otwartymi ustami.

– Bądź litościwy, jeśli potrafisz, a kiedy przyjdzie czas, zrób to szybko – powiedziała, przechodząc koło mnie.

Silny ból w piersi sprawiał, że nie mogłem oddychać. Czułem powracającą ósmą śmierć. Każdy widok, każdy odgłos, smak krwi w moich ustach, uczucie...

Nie... nie, proszę...

Otworzyłem oczy i spojrzałem na Kesta. „Ocal mnie”, poprosiłem. „Wstań, wyjdź z tego cholernego kręgu i ocal mnie od tego wszystkiego. Nie potrafię tego zrobić, Kest. Nie mogę tego zrobić bez ciebie”. Patrzyłem, jak napina się, próbując dźwignąć niewidzialny ciężar, większy niż targające nim poczucie winy. Napierał, napierał i napierał, ale nieważne jak mocno walczył, nadal przegrywał.

„Czas być dzielnym, Falcio”.

Zamknąłem oczy i ujrzałem moją Aline. Nadal jednak nie mogłem zrozumieć, dlaczego chciała mi to znów zrobić. „Nie każ mi na to patrzeć jeszcze raz”, błagałem. „Dlaczego?”

„Dlatego że przyszedł czas, abyś przestał uciekać”.

„Kiedy? Kiedy uciekałem? Od twojej śmierci wciąż tylko walczyłem i walczyłem, i wcale nie robi się lepiej. Nie uciekam, Aline”.

„Uciekasz od mojej śmierci, a ja potrzebuję, żebyś się z nią

pogodził. Musisz to zobaczyć jeszcze raz. Musisz pozwolić, żeby przepłynęła przez ciebie. Ponieważ walk, które się liczą, nie wygrywa się umiejętnościami”.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na Ethalię. I nagle zrozumiałem wszystko. Spojrzałem na Kesta, który najwyraźniej również wiedział, co się stanie. Shuran był lepszy ode mnie. Był drugim w kolejności najlepszym szermierzem na świecie i niezależnie od tego, co bym zrobił, wygrałby ze mną.

– Naprawdę szczerze mi ciebie żal, Falcio – powiedział Shuran, wolno krążąc wokół mnie. – Nigdy nie zrobiłeś nic złego. Po prostu podążałeś za nie swoim marzeniem, za ideałami, których nie rozumiałeś i które koniec końców nie mogły być spełnione.

Pchnąłem obydwojoma rapierami jednocześnie; prawym ostrzem markując cios w prawe oko Shurana z nadzieją, że instynktownie go odparuje, a ja będę mógł uniknąć jego riposty i wbić mu klingę w szyję. Lewy rapier tymczasem przygotowałem do cięcia po jego zakutej w zbroję lewej nodze. Wiedziałem, że ogromny rycerz nie nabierze się na cios w oko i że cięcie wywoła wyłącznie kilka iskier. Czasem jednak potrafią one przyciągnąć na chwilę wzrok przeciwnika, otwierając kierunek ataku na twarz.

Shuran jednak nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego przesunął się tak szybko, że za pomocą miecza najpierw wytrącił mi lewy rapier z dłoni, a potem prawy, zanim zorientowałem się, co się dzieje. Oba upadły kilka stóp ode mnie.

Był to mistrzowski trik – taki, którego nikt nigdy by nie zaryzykował, gdyby miał choćby cień obawy co do umiejętności przeciwnika. Czy naprawdę stanowiłem tak żaloszny widok?

– To pierwsze złożenie – powiedział Shuran do Kesta. Stał

obok mnie i skinął, przepuszczając mnie. – Pewnie powinieneś je podnieść.

Nie miałem lepszego wyjścia. Ruszyłem przed siebie i zatrzymałem się przy moich rapierach, czekając na sposobną chwilę, aby przekonać się, czy rzeczywiście pozwoli mi je podnieść.

Dowódca rycerzy zatrzymał się na chwilę.

– Święci, Falcio! Rozumiesz chyba, prawda? Musisz wiedzieć.

– Co wiedzieć? – spytałem.

– Że nawet w najlepszej kondycji, w najlepszym dniu nigdy nie mógłbyś mnie pokonać.

– Tak, wiem – odpowiedziałem. – Dzięki za przypomnienie.

– W takim razie po co całe to udawanie? Po co się fatygować? – wydawał się autentycznie zaciekawiony.

– Ponieważ, ty... – sięgnąłem w myślach po najgorszą zniewagę, jaką mógłbym wymyślić – głupi bękarcie świętego, byłem bity i torturowany, umarłem osiem razy. Jestem słaby i zmęczony, mój najlepszy przyjaciel tkwi uwięziony w tym głupim kręgu, nienawidząc siebie. Córka mojego króla została opętana przez Trin za pomocą magii, której, tak przy okazji, nie cierpię, a kobieta, którą kocham, właśnie oddała się na dobrowolną śmierć w okropny sposób, którego nie jestem w stanie pozbyć się ze wspomnień i który przeżywam raz po raz, bez końca.

– Nie rozumiem, co z tego wynika.

– A to, ty nieudolny zbirze, że to nie jest mój najlepszy dzień, tylko najgorszy, i zamierzam to wykorzystać, żeby cię zabić.

Wziąłem jeden z rapierów i sięgnąłem po drugi. W momencie, gdy ten znalazł się w mojej dłoni, rzuciłem nim w Shurana tak, by został zmuszony albo się uchylić, albo odtrącić go swoim mieczem,

odslaniając się i tym samym dając mi sposobność do pchnięcia go w pachwinę. Shuran przesunął się ledwie o pół kroku i chwycił mój rapier odzianą w rękawicę lewą dłonią, jednocześnie uderzając płazem swojego miecza w moją drugą gardę i wytrącając mi broń z ręki. Spojrzał na ostrze trzymane w lewej dłoni, a potem podrzucił je w powietrzu i złapał, zwracając rękojeścią w moją stronę.

– Proszę – powiedział, wręczając mi go. – Jestem absolutnie przekonany, że będziesz tego potrzebował.

Cofnąłem się i na chwilę zamknąłem oczy.

„Już czas”, powiedziała Aline.

Wiem.

„Nie możesz się przed tym ukryć”.

„Nie zrobię tego. Jestem tu”. Oczami wyobraźni znów zobaczyłem światło lampy zwieszającej się z sufitu; zobaczyłem proste drewniane stoły rozstawione na klepisku pokrytym śmieciami. Zobaczyłem mężczyzn o twardych dłoniach i czarnych sercach; ludzi w zbrojach, uśmiechających się.

Rzuciłem się na Shurana, z trudem ustawiając rapiery w linii. Odbił je bez wysiłku, a potem uderzył mnie w głowę płazem. Zobaczyłem gwiazdy i kłąłem niczym szalenciec. Shuran usiłował zmusić mnie do przyjęcia właściwej postawy szermierczej, ale ja tylko rzucałem się na niego raz po raz. Kiedy mnie odepchnął, kopnąłem go na oślep i uświadomiłem sobie, jak moja stopa wbija się w coś miękkiego. Shuran wrzasnął, machnął mieczem i poczułem rozcięcie na policzku.

– Co się z nim dzieje? – spytała Trin. – Dlaczego się tak zachowuje?

– Nie wiem – odparł Shuran, odpychając mnie. – Może oszalał.

Rzuciłem w niego prawym rapierem, który odbił mieczem, a gdy to zrobił, znów na niego napałem. Wyprowadził płynne cięcie łukiem i uderzył mnie w brzuch. Kościane płytki mojego płaszcza wytrzymały, ale zabrakło mi tchu.

– Bogowie Miłości i Śmierci – powiedziała nagle Trin. – Wiem, co on robi.

– Co? Czy to jakiś rodzaj magii? – spytał Shuran, przyginając ostrze mojego rapiera do ziemi. Uderzyłem go łokciem drugiej ręki w twarz i jeszcze raz, i jeszcze. Dwa razy trafiłem.

Odplacił mi się, uderzając mnie w policzek głowicą miecza. Poczułem, że wybił mi ząb.

– Nie, to nie jest żadna magia – w głosie Trin słychać było mieszaninę zaskoczenia i fascynacji. – On... walczy jak ona. Jak jego żona. Przeżywa jej śmierć.

„Punkt dla ciebie, ty pierdolona wariatko”. Wyplułem ząb tak mocno, jak mogłem, prosto w twarz Shurana. Uderzył go w oko. Rycerz wrzasnął, bardziej z gniewu niż z bólu. Teraz stałem zbyt blisko niego, aby mógł użyć ostrza. Uderzał mnie w bok głowicą miecza, raz za razem. Usłyszałem chrzęst łamanych żeber. W zamian ja przyładowałem mu z czoła w twarz i chyba uderzyłem go w dolny garnitur zębów, ponieważ poczułem, że coś ostrego przecina mi skórę.

Rzuciłem drugi rapier na ziemię i zacząłem się mocować z Shuranem, napierając na niego całym sobą: kopałem, biłem pięściami, gryzłem i chociaż Shuran walczył z ogromnym znowstwem, ja walczyłem jak zwierzę. Różnica polegała na tym, że on usiłował wygrać, a ja nie. Nie potrzebowałem. Musiałem tylko

przyciągnąć uwagę wszystkich na nieco dłużej.

Wrzasnąłem, i jeszcze raz, i jeszcze. Nie miałem pojęcia, jakie słowa wydobywają się z moich ust, ale to nie miało znaczenia. Byłem tam, razem z nią, w tej przeklętej karczmie, z tymi przeklętymi ludźmi, i tak, wiedziałem, że mnie zabiją, ale zamierzałem wyrządzić im jak najwięcej krzywd.

„Czas, aby okazać męstwo, kochanie. Walk, które liczą się najbardziej, nie wygrywa się umiejętnościami”.

Shuran też zaczął krzyczeć, orientując się nagle, że walczy teraz o życie, pomimo swej przeważającej siły, niezrównanej szybkości i doskonałego wyszkolenia.

„Przywiedliście Aline z powrotem, dranie, i przyszedł czas, żebyście stosownie ją poznali”.

Komandor górował nade mną, z twarzą czerwoną od wysiłku, wściekłości i krwi. Sięgnął w dół, chwycił jeden z moich rapierów i rzucił go w moim kierunku.

– Bierz go! – warknął. – Chcę, żebyś zginął z mieczem w dłoni!

Już wcześniej usiłował wygrać elegancko i to był jego błąd. Ale teraz skończył z tym. Teraz wszystko miało się oprzeć na jego sile i szybkości. Shuran miał mnie zabić.

Ale walk, które liczą się najbardziej, nie wygrywa się umiejętnościami, a ja przyciągnąłem uwagę wszystkich na wystarczająco długo.

– Kest – powiedziałem. – Teraz.

Shuran spojrzał nade mną na Kesta, który klęczał w kręgu, usiłując wypchnąć prawą rękę przez niewidzialną ścianę, która go od nas oddzielała. Robił to, od kiedy zacząłem walczyć z Shuranem. Rycerz roześmiał się.

– O to chodziło w tym całym kopaniu i wrzaskach? Sądziłeś, że w jakiś sposób ma to uwolnić Kesta? Obawiam się, że to nie działa w ten sposób.

Kest, na kolanach, nadal wyciągał rękę, starając się nas dosięgnąć.

– Jesteś mistrzowskim szermierzem, Shuranie.

Komandor uniósł brew.

– Naprawdę, Kest? To wszystko, co masz do powiedzenia? „Jesteś dobry”?

– Lepszy, niż dobry. Lepszy niż Falcio.

– To chyba dość oczywiste dla wszystkich zainteresowanych.

Moim zdaniem nie musiał być aż tak ironiczny.

Koniuszki palców Kesta drżały i był cały mokry od potu. Wyglądało, jakby jego dłoń nie posuwała się w ogóle, ale wiedziałem, że tak nie jest.

– Wiesz – powiedział Kest. – W momencie, gdy zabiłem Caveila, jego świętość przeszła na drugiego w kolejności najlepszego szermierza na świecie. Mnie.

– Tak, wiem o tym – odparł Shuran.

Oczy Kesta były zamglone, nieprzytomne. Usłyszałem trzask i zacząłem się zastanawiać, czy to przypadkiem nie kości jego prawej dłoni.

– To było jak... jakby cała moc pędzącej rzeki nagle zaczęła mieć we mnie źródło. Wrażenie było... odurzające... obezwładniające – jego dłoń była coraz bliżej, prawie poza kręgiem.

Zesztywniałem. Shuran dostrzegł to i uśmiechnął się ciepło do mnie.

– Ach, jesteś gotowy na siódmą wymianę? Mniemam, że będzie

to ostatnia.

Kest potrząsnął głową, nadal napierając z całej mocy. Z jego prawej dłoni kapiała krew.

– Dwa. Zostały dwa złożenia.

Shuran spojrział na niego ze zdziwieniem.

Z ostatnim potwornym wysiłkiem Kest wyciągnął prawe ramię przed siebie, wysuwając dłoń do nadgarstka poza ograniczający go okrąg. Na chwilę spojrziałem w jego oczy i zobaczyłem w nich łyzy smutku i strachu.

– Teraz – jego usta ledwo się poruszały.

Uniosłem broń i uderzyłem w dół, w kierunku obnażonego nadgarstka Kesta. Ostrze przecięło skórę, mięśnie i kość. Prawa dłoń Kesta upadła na ziemię.

– Dlaczego... dlaczego to zrobiłeś? Jak... – oczy Shurana zrobiły się czerwone.

– Pierwsze – jęknął Kest, ściskając nadgarstek drugą dłonią.

Shuran spojrział na siebie. Zaczął promieniować na czerwono.

– Gratulacje, sir Shuranie – powiedziałem. – Jesteś nowym Świętym od Mieczy.

– Ja... to wrażenie... bogowie, jestem Świętym od Mieczy. Widzę... widzę... – Shuran uśmiechał się promiennie. Jego twarz była cała rozświetlona. – Poczułem to... nawet zanim się poruszyłeś, poczułem to. Widzę każde poruszenie powietrza...! Kest, miałeś rację. To wrażenie jest nieporównywalne z niczym. Ja...

Dopiero wtedy sir Shuran, dowódca rycerzy Aramoru, zadał sobie trud, aby zauważyć, że mój rapier tkwił głęboko w jego brzuchu.

– A to drugie – powiedział Kest i upadł na ziemię.

Shuran spojrzał na mnie, a potem na Kesta.

– On... czy on oddał swoją świętość? Dla ciebie? Dlaczego?

– Ponieważ walk, które liczą się najbardziej, nie wygrywa się umiejętnościami – odparłem.

Wygrywa się je poświęceniem.

ROZDZIAŁ 47

WOJNA

Zanim na świecie rozpętało się szaleństwo, wszystko ucichło.

Zaczyna się od Shurana wpatrującego się we mnie wielkimi oczami, błagającego bezgłośnie. W powietrzu unosi się nieprzyjemny zapach i zdaję sobie sprawę, że kiedy przebiłem go mieczem, przedziurawiłem jelita. Jego ciało osuwa się bardzo powoli na ziemię, pociągając za sobą mój rapier.

Moje puste już teraz dłonie zaczynają się trząść. Najpierw myślę, że to ze zmęczenia i ze strachu, ale potem moja skóra stopniowo zaczyna świecić na czerwono. Unoszę wzrok i spoglądam na świat przed sobą, pełen kolorów i szczegółów: skarbnica nieskończonej liczby przeciwników, których będę musiał pokonać. Spoglądam na rycerzy, stojących dwieście jardów ode mnie, i widzę słabości ich wszystkich. Czuję za sobą moich przyjaciół z ich słabymi i mocnymi stronami. Nagle ogarnia mnie podniecenie na myśl, że będę mógł ich wszystkich przetestować, pokonać, przyglądać się, jak ich krew spływa wzdłuż ostrza na moje

czerwone dłonie...

On nie należy do ciebie, odzywa się we mnie głos. To Aline, moja żona. Stoi przede mną, powstrzymując czerwień.

Został wezwany, mówi czerwony głos.

Aline nie odpowiada; zamiast tego bierze mnie za rękę i unosi ją do góry. Jest na niej wypisane słowo. Nie mogę go odczytać, ale mimo to między liniami i łukami liter widzę cząstkę siebie i tych, których kocham.

Pomyśl, co mógłbyś osiągnąć ze mną, mówi czerwony głos.

Wierzę w to – widzę to. O ile lepszy byłby świat, gdybym mógł tak po prostu podejść do moich wrogów i ich zabić? O ile szybciej i łatwiej toczyłoby się życie bez żadnych głupich względów na sprawiedliwość i na prawa, które są niczym więcej, jak tylko wymówkami słabych ludzi, którzy ukrywają za nimi swój strach przed tym, co musi zostać zrobione.

Chcę pójść za czerwonym głosem. Chcę, żeby jego szept wypełnił mnie od wewnątrz.

Na twarzy Aline nie ma nawet cienia niepokoju. Pokazuje mi to cholerne złośliwe słowo raz po raz i wiem z absolutną pewnością, dlaczego nigdy, przenigdy nie zostanę Świętym od Mieczy, chociaż kiedyś byłem trzecim w kolejności najlepszym szermierzem w Tristii. Odejdź, mówię do czerwonego głosu. Odejdź i znajdź sobie innego głupca. Ja już jestem zajęty.

Spoglądam w dół na moje dłonie. Znów należą do mnie, są blade i roztrzęsione, ale tym razem drżą nie z oczekiwania, lecz ze zmęczenia.

Głuche uderzenie ciała Shurana o ziemię dosięga moich uszu, mieszanka rozpacz i konieczności, która sprawiała, że trzymałem

się jeszcze na nogach, teraz znika. Padam na kolana. Słyszę tylko własny oddech i bicie serca, szybsze niż zwykle. Po chwili nawet to zaczyna cichnąć, kiedy Shuran zastyga na dobre na ziemi i czas zaczyna się domagać ponownie powrotu do swego zwykłego biegu.

Przez chwilę panowała absolutna cisza.

Potem Trin wrzasnęła.

Podbiegła – a raczej Aline podbiegła – do martwego Shurana. Zaczęła walić pięściami Aline w jego pierś i płakać łzami Aline, ale wściekłość i nienawiść w jej oczach należały do niej. Potem kąciki jej ust powoli uniosły się w uśmiechu.

– Twoje za moje – szepnęła.

„Przeklęta”, pomyślałem bezsilnie, sięgając ku niej. Wiedziałem, że nigdy nie zdążę na czas. Trin zabije Aline, a ja nie mogłem na to nic poradzić.

– Teraz! – usłyszałem wrzask za moimi plecami i dostrzegłem kątem oka, że ktoś przebiega obok mnie. Zanim zdążyłem się zorientować, kto to, Valiana i Darri chwyciły Aline za ramiona, powstrzymując Trin od zmuszenia dziewczyny do wkręcenia sobie stalowych śrub ramy głęboko w czaszkę. Powaliły Aline na ziemię, a Ethalia uklękła przy niej. Trin splunęła jej w twarz, krzycząc coś nieskładnie i nadal usiłując wyrwać ręce, ale Darri i Valiana siedziały teraz na niej, więc nie mogła się ruszyć.

Ethalia wyciągnęła ręce i bardzo ostrożnie odkręciła śruby mocujące ramę wokół głowy Aline, zdejmując ją. Potem gniewnym ruchem rozbiła drewniane urządzenie o kolano. Natychmiast Aline stała się znowu sobą.

Wszystko zdarzyło się bardzo szybko. Obmyśliły ten plan, kiedy ja walczyłem z Shuranem... zanim jeszcze którekolwiek z nas mogło wiedzieć, że jest nadzieja na to, abyśmy przeżyli.

A niech to! Muszę powiedzieć, że poznałem w moim życiu kilka mądrych kobiet...

Aline zamruwała powiekami i otworzyła oczy, które niemal natychmiast wypełniły się łzami. Valiana przytuliła ją, zaś Ethalia wstała i pobiegła do Kesta, z Darrianą za plecami.

– Szybko – powiedziała niesamowicie spokojnym głosem, zważywszy na okoliczności. – Musimy zatamować krwawienie – wyciągnęła z kieszeni sukni mały słoiczek balsamu. Darriana tymczasem zdjęła Kestowi koszulę i zaczęła ją drzeć na bandaż.

Chciałem im pomóc, ale okazało się, że uszła ze mnie cała siła. Klęczałem na ziemi, całkowicie bezużyteczny, desperacko starając się nie przewrócić. Nigdy przedtem nie czułem się tak wykończony – nawet wtedy, kiedy neatha była we mnie najsilniejsza. Zamknąłem oczy, tylko na chwilę.

Moja żona wpatrywała się we mnie.

„Chyba lubię tą twoją Ethalię, Falcio. Wydaje się kompetentna i rozsądna”.

„Powie jej, że tak sądzisz”, rzekłem.

Roześmiała się.

„Widzę, że naprawdę nie znasz kobiet lepiej niż wtedy, gdy jeszcze żyłam”.

„Może mogłabyś mnie nauczyć”. Sięgnąłem dłonią ku jej twarzy.

Pokręciła głową. „Nie. Wystarczy już: dość tego życia ze wspomnieniami i dosyć poczucia winy. Przyszedł czas, żebyś pozwolił mi odejść, Falcio. I temu twojemu głupiemu królowi także.

Przestań wykorzystywać martwych do usprawiedliwiania żywych”.

Jej słowa zabolaly, lecz Aline zawsze mówiła to, co należało powiedzieć, a nie to, co chciałem usłyszeć. Świat wokół mnie rozpadał się na kawałki, ale ja ciągle chciałem spędzić jeszcze kilka chwil z moją rozsądną, piękną, dzielną...

„Nie, Aline miała rację. Wystarczy tego”.

„Więc powiedz to, Falcio”.

Spojrzałem po raz ostatni na Aline – moją żonę, moją pierwszą miłość, kobietę, która uczyniła ze mnie mężczyznę, jakim teraz byłem. Naprawdę miała rację. Przyszedł czas, abym stał się człowiekiem, jakim powinienem być.

– Żegnaj – powiedziałem.

Otworzyłem oczy i spojrzałem w dół na Kesta, ale coś było nie tak, ponieważ ziemia wyglądała podejrzanie podobnie jak niebo.

– Niech mi ktoś wyjaśni, dlaczego człowiek, który właśnie stracił dłoń, stoi na nogach, a ten, który mu ją obciął, leży jak długi na ziemi? – spytała Darriana.

– Powinieneś już wstać – powiedział Kest. Miał bladą twarz, ale jego oczy były czyste. Zastanawiałem się, jak dużo twardej lukrecji zjadł, żeby nie zemdleć.

– Kest, musisz...

Bandaż owijający kikut, tam gdzie kiedyś była jego prawa dłoń, był już nieco przesiąknięty krwią.

– Falcio, za chwilę stratuje nas ława tysiąca konnych rycerzy.

Darriana pomogła mi wstać. Spojrzałem na pole przed nami. Jakaś mała, naiwna część mnie miała nadzieję, że śmierć Shurana

sprawi, iż Czarne Tabardy przemyślą swoją sytuację.

„Za chwilę któryś z nich podejdzie tu i zaoferuje bezwarunkowe poddanie się”.

A przynajmniej tak właśnie stałoby się w jednej ze starodawnych opowieści.

Ku mojemu rozczarowaniu – naprawdę nie miałem ochoty się do tego przyznawać, ale wciąż mi się to zdarzało – życie znów nie spełniło moich oczekiwań.

Zamiast paść na kolana i błagać o oszczędzenie im życia rycerze zaczęli stawać w równym szyku bojowym. Spojrzałem na słońce, które wisiało już nisko nad horyzontem, i zacząłem zastanawiać się beczynnienie, ile mamy czasu, zanim Czarne Tabardy nas zabiją. Godzinę? Kilka minut? W głębi duszy nie miałem pojęcia, dlaczego w ogóle zawracam sobie głowę tym, czy naprawdę tysiąc rycerzy przypuści szarżę, żeby nas stratować? Wydawało się to niewarte zachodu.

Spojrzałem w stronę zamku Aramor, gdzie za progiem głównego wejścia stali książęta z gwardzistami otaczającymi ich w zwartym szyku. Kiedy rozpocznie się walka, zamkną bramę – w końcu została zbudowana z myślą o oblężeniu, więc miło byłoby się przekonać, czy rzeczywiście się sprawdzi – i będą się chowali w środku, oczekując odroczonej śmierci. Zauważyłem, że wszyscy – książęta, gwardziści i rodziny, które lekkomyślnie tu ze sobą przywlekli – wpatrywali się nie w Czarne Tabardy, ale w nas.

– Co oni robią? – spytała Darriana.

– Mają nadzieję – odpowiedziałem.

– Nadzieję na co?

Spojrzałem na nią. W jej wyglądzie, w ostrych drapieżnych

rysach i dumnej postawie było coś piekielnie frapującego. Stała ze skrzyżowanymi ramionami i uniesioną brwią: wyglądała, jakby za chwilę zamierzała poczęstować mnie zwyczajową litanią powodów, wyjaśniającą, dlaczego wszyscy poza nią są głupcami. Uśmiechnąłem się na tę myśl.

– Mają nadzieję, że stare opowieści są prawdziwe – wróciłem do odpowiedzi na jej pytanie.

– Które konkretnie opowieści?

– Te, w których wszystkich ratujemy.

– W takim razie może powinniśmy to zrobić – powiedziała Valiana. Mój wzrok przyciągnęła mała czerwona blizna na jej policzku: to ślad po igle wbitej przez Heryna. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak wiele ran odniosła Valiana podczas kilku ostatnich miesięcy. Nadal była piękna, ale teraz jej uroda była oszpecona – nie, to złe określenie; jej uroda była podkreślona dowodami odwagi i determinacji.

Nie chodziło tylko o nią, ale o wszystkich. Kest poświęcił swoją dłoń. Ethalia zrezygnowała z szansy na spokój i szczęście. Aline przyczołgała się do nas i przyłgnęła do Ethalii. Jej włosy były potargane, zmierzwione przez obmierzłą ramę, na jej twarzy widniały ślady łez. Zdrada, przerażenie i przemoc zniszczyły ją oraz jej niewinność. Bardziej niż którekolwiek z nas Aline zasługiwała na coś lepszego. Tak wiele czasu poświęciłem, przejmując się nieżyjącymi i umierającymi, że nigdy tak naprawdę nie rozumiałem, jak bardzo kocham ludzi, którzy stali przede mną. Wszyscy oni zasługiwali na coś lepszego niż śmierć pod kopytami koni dosiadanych przez tchórzy w hełmach i czarnych tabardach.

A teraz wszyscy oni spoglądali na mnie: moi przyjaciele, moi

wrogowie, nawet tchórzliwi książęta, ukrywający się za bramą zamku – i przez chwilę ciężar ich spojrzeń niemal powalił mnie z powrotem na kolana.

„Nie mogę udźwignąć tego ciężaru, mój królu. Powiedz mi, co mam robić?” Mimo obietnicy złożonej mojej żonie zamknąłem oczy z nadzieją, że ujrzę jego zadziorny uśmiezek i mrugające do mnie oczy. Chciałem, aby wydał mi ostatni rozkaz, a przynajmniej opowiedział mi jeszcze jedną z tych historii, które tak kochałem – tych o odwadze i honorze, i cnotach, a które jakimś cudem zawsze kończyły się sprośnym żartem.

Ale Paelisa nie było i wiedziałem, że przyszedł czas, abym to ja opowiedział historię.

Myślę, że wreszcie zaczynałem rozumieć, dlaczego stworzył Wielkie Płaszcze – a przynajmniej pojmowałem małą część jego zamiarów. Nie chodziło o wymuszanie jego praw na niegodziwych książętach ani o utrzymywanie łobuzów pod kontrolą przez zabicie ich na kwaśne jabłko podczas pojedynków. Nie chodziło nawet o osadzenie jego córki na tronie. Mój król chciał, abyśmy stali się przykładem. Dlatego każdemu z Wielkich Płaszczy została powierzona misja. Winnow, Nile i Parrick mieli chronić książąt, którzy zabili króla, aby pokazać im, że reprezentujemy coś więcej niż tylko urząd królewski. Dlatego właśnie Trin i cała reszta tak bardzo chcieli doprowadzić do naszego upadku, nawet gdy zostało nas już niewielu. To właśnie dlatego dashini stworzyli Lament – aby mogli zmienić opowieść o Wielkich Płaszczach w historię rozpaczy.

„Nie. Możecie nam odebrać wszystko, tylko nie to”.

Zmusiłem się do podejścia w miarę normalnym krokiem do

rycerzy czekających po drugiej stronie pola. Odetchnąłem głęboko, starając się nie pokazać, jak bardzo mnie to zabolalo z powodu połamanych żeber. Przemówiłem głośno, z nadzieją, że mój schrypnięty głos dotrze do wszystkich:

– Spójrzcie na siebie: tysiąc konnych, odzianych w zbroje, kryjących się za kłamstwami, które sobie wmówiliście. Sądzicie, że przybyliście tutaj, aby zmienić świat, ale tak naprawdę jesteście tu po to, aby popełnić morderstwo.

Widziałem, że niektórzy z nich najeżyli się, słysząc to słowo. Ich nerwowość udzieliła się koniom, ale dowódcy szybko przywrócili porządek.

Nie dałem im czasu się tym nasycić.

– Powiedziałem: „spójrzcie na siebie”. Nosicie czarne tabardy, aby ukryć swoje pochodzenie. Nosicie hełmy, aby ukryć twarze. Nie podajecie swoich imion, aby, kiedy skończycie tę czarną, krwawą robotę, nikt nie pamiętał, kim byliście i co tu zrobiliście.

Przerwałem dla zaczerpnięcia oddechu. Cholera, zapomniałem, jak potwornie potrafią boleć połamane żebra.

– Chcecie się chować za swoimi przyłbicami? – krzyknąłem. – Chcecie, aby wasze imiona zostały zapomniane? Zatem powiadam: „Bądźcie zapomniani”.

Odwróciłem się i skierowałem mój głos w stronę bram zamkowych, gdzie chowali się książęta i ich rodziny oraz gwardziści... cóż, chwilowo byli bezpieczni.

– Ludzie będą opowiadać historie o tym dniu: historie o anonimowych mężczyznach w czarnych strojach, którzy przybyli tu, aby popełnić morderstwo. Będą również inne opowieści: o tych, którzy oddali życie, walcząc z nimi, którzy stawili im czoła. Przez

setki lat ludzie będą opowiadać o tym, co wydarzyło się w Aramorze.

Znów spojrzałem na rycerzy.

– Wasze własne dzieci będą dorastać, słuchając owych historii. Zatem niech stanie się wasza wola: pozwólcie światu zapomnieć wasze imiona – uczyniłem krok. – Ale wasze dzieci będą pamiętały nasze imiona. Każde z waszych pociech, wnuków i prawnuków usłyszy o dniu, w którym mężczyźni w zbrojach i czarnych tabardach, w sile tysiąca, stanęli do walki z czterema Wielkimi Płaszczami, nieuzbrojoną kobietą i małą dziewczynką. Nasze imiona będą powtarzane bez końca, aż do dnia, w którym legniecie na łożu śmierci, czekając, aż ostatni cień opadnie na wasze twarze. A jakie będą wasze ostatnie słowa? „Będą naszymi imionami!”

Pomyślałem o tym, co zamierzałem powiedzieć za chwilę, i roześmiałem się w głębi duszy. „Niech cię diabli, ty chorowity nieszczęśniku. Gdybyś powiedział mi chociaż część z tego, nigdy w życiu nie zgłosiłbym się na ochotnika!”

Uniosłem rapier tak wysoko, jak tylko mogłem.

– Nazywam się Falcio val Mond, pierwszy kantor Wielkich Płaszczy – ogłosiłem. – I jestem Sercem Króla. Walczyłem za Aramor.

Kest stanął obok mnie, z mieczem w lewej ręce.

– Nazywam się Kest, syn Murrowa. Jestem Ostrzem Króla i byłem w Aramorze.

Darriana zaskoczyła mnie, pojawiając się obok z mieczem wzniesionym w górę. Jeszcze bardziej wstrząsnął mną widok łez w jej oczach.

– Nazywam się Darriana, córka Shanilli. Jestem Cierpliwością

Króla i niech was piekło pochłonie, walczyłam tu, w Aramorze.

Valiana, która najbardziej z nas wszystkich reprezentowała to, czym powinny być Wielkie Płaszczce, zajęła prawowite miejsce obok nas.

– Nazywam się Valiana val Mond – zawołała. – I jestem Odpowiedzią Serca. Byłam w Aramorze.

– Jestem przyjaciółką w czarnej godzinie – powiedziała Ethalia głosem podobnym do szeptu, który jednak wydawał się nieść przez całe pole. – I stałam u boku mojej miłości w Aramorze.

Poczułem, jak drobna dłoń sięga po moją, i spojrzałem w dół, na twarz Aline. Była przerażona.

– Przepraszam, Falcio... tak mi przykro z powodu Wielkich Płaszczy Krawcowej, dashinich i w ogóle tego wszystkiego. Byłam taka...

– Nic nie szkodzi – uściśnąłem jej prawą dłoń moją lewą.

Valiana wzięła ją za drugą rękę.

– Po prostu powiedz im, kim jesteś.

Aline pokręciła głową.

– Nie mogę. Ja po prostu... ja już nie mogę. Nie potrafię patrzeć, jak umierasz, żeby mnie chronić, Falcio. Jeżeli muszę umrzeć, to... – odsunęła się ode mnie i puściła się biegiem w kierunku rycerzy.

– Aline, nie! – ruszyłem za nią, chcąc ją powstrzymać przed tym samobójstwem, ale moje nogi były tak zmęczone, że zdołałem podbiec zaledwie kilka kroków. Dzięki bogom, chociaż słabe, były jednak dłuższe i udało mi się złapać Aline, zanim zdołała przebiec dziesięć jardów.

– Puść mnie, Falcio! – krzyknęła. – Pozwól mi...

W polu widzenia pojawiła się kolejna sylwetka, biegnąca ku nam od strony zamku. Był to Tommer, jedenastoletni syn księcia Jillarda. Zatrzymał się przed Aline i ukłonił się sztywno, zgodnie z etykietą.

– Najlepiej będzie, jeżeli staniesz za mną, moja pani.

– Tommer! Tommer, wracaj! – krzyczał Jillard z bramy zamku, ale chłopiec zignorował wołania swojego ojca. Zamiast tego odwrócił się i spojrzał na stojących w szyku bojowym rycerzy.

– Nazywam się Tommer – zawołał, a jego wysoki tenor poniósł się po polu niczym mała łódeczka po ogromnym oceanie. – Jestem dziedzicem Rijou i ostatnim uczniem Bala Armidora. Jestem Głosem Minstrela w Aramorze i nie tkniecie jej, póki żyję!

Spojrzałem z powrotem na rycerzy, przekonany, że rozpoczęli już szarżę, ale oni nadal stali bez ruchu.

– Co oni robią? – spytał Kest, stając obok mnie.

– Czekają. Czekają na wyznaczoną porę, tak jak to powiedział Shuran.

Z zamku wybiegł kolejny człowiek: wielkolud z czarnymi włosami przetykanymi siwizną. Niósł długą włócznię i był przyodziany w czerwono-złote szaty Rijou.

– Twój ojciec rozkazał mi przyprowadzić cię z powrotem – powiedział do Tommera.

– A ja rozkazuję ci zostawić mnie tutaj – odparł Tommer.

Gwardzista się uśmiechnął.

– Tak myślałem. Cóż, do diabła z wami obydwoma – odwrócił się do rycerzy. – Nazywam się Voras z Chantille – krzyknął. – Jestem... – przerwał i rozejrzał się, jakby coś zgubił. Potem uśmiechnął się i dokończył: – Jestem pieprzoną włócznią, która

wbije się w wasze tyłki, wy odziani na czarno skurwiele. Jak wam się podoba moje imię, co?

Z zamku wyszła kobieta w stroju służącej. W dłoni trzymała kamień. Podeszła do nas.

– Nazywam się Kemma – krzyknęła do rycerzy. – Mój ojciec był kowalem w małej wiosce, której już nie ma. Możecie mnie nazywać Młotem Carefalu. Nie było mnie tam, kiedy zniszczyliście mój dom, ale byłam w Aramorze, kiedy dopadło was przeznaczenie.

Z zamku wychodzili kolejni. Każdy wypowiadał swoje imię i nazwę wioski, z której pochodził. Każdy był gotów umrzeć, gdy już rozpocznie się jatka.

Po kilku minutach do naszego szeregu dołączył jeden z książąt. Rozpoznałem w nim Meillarda, księcia Pertynii. Spojrzał na mnie ze smutnym uśmiechem.

– No cóż, chłopcze, przynajmniej rozsławiłeś nasze księstwo – odwrócił się i krzyknął tak głośno, że miałem wrażenie, iż ziemia się pod nami zatrzęsała. – Nazywam się Meillard i jestem pieprzonym księciem Pertynii. Nie potrzebuję lepszego imienia i przysięgam na Świętą Shiullę Co Kąpie Się ze Zwierzyną, że urwę głowę każdemu rycerzowi w czarnym tabardzie, który postawi stopę w moim księstwie!

Staliśmy tam, niemal pięćdziesięcioro, naprzeciwko tysiąca rycerzy, którzy nie poruszyli się ani nie przemówili. Jeżeli zaimponowało im nasze wyzwanie, nie okazali tego. Spojrzałem na niebo. Zachód słońca zbliżał się wielkimi krokami.

– Więc to jest twój wielki plan? – krzyknął ktoś. – Będziecie tak stali i wykrzykiwali swoje imiona w kierunku bandy zakutych w zbroje gnojków o czarnych sercach z nadzieją, że padną ze

śmiechu na wasz widok?

Usiłowałem zobaczyć, kto był autorem tych słów, ale dopiero kiedy poczułem rękę Kesta na ramieniu, zdałem sobie sprawę, że głos dochodził mnie z za pleców. Odwróciłem się i ujrzałem podjeżdżającego ku nam mężczyznę na szarym koniu. Człowiek ten miał na sobie brązowy wielki płaszcz, któremu brakowało rękawa.

– Co za żalosna kolekcja mało entuzjastycznych bohaterów – powiedział Brasti, zsiadając z konia. – I co, do stu diabłów, zrobiłeś z ręką Kesta?

Poczułem dziwną radość na jego widok: jeżeli musiałem umrzeć, pragnąłem, aby stało się to tu i teraz, gdy byłem otoczony ludźmi, których kochałem najbardziej na świecie.

– Myślałem, że z nami skończyłeś – powiedziałem. – „Ty jedź i ocal świat, a ja ocalę zamieszkujących go ludzi”, czy nie to mi powiedziałeś?

– Zmieniłem zdanie – uśmiechnął się szeroko.

– Był po temu jakiś konkretny powód?

Brasti rozejrzał się dookoła.

– Uwielbiam jesień w Aramorze. A ty?

Chwyciłem go i uściskałem.

– Daj spokój, Brasti. Przyznaj się, bo i tak za chwilę umrzemy. W głębi duszy wierzyłeś w marzenie króla tak samo jak ja.

Brasti odsunął się ode mnie, nagle spoważniał.

– Tego właśnie nigdy nie rozumiałeś, Falcio: ja nigdy nie podążałem za królem. Do diabła, nie podążałem nawet za Wielkimi Płaszczami. Jestem prostym człowiekiem. Nie mieszam się do spraw książąt, bogów czy świętych. Kest też nie, ani nikt inny, jeśli już o tym rozmawiamy.

– W takim razie dlaczego...

– Dla ciebie, Falcio, ty idioto! Podążałem za tobą. Wszyscy to robiliśmy.

Rozejrzałem się, spoglądając na Kesta, Darrianę, Valianę i Ethalię. Każde z nich po kolei potaknęło. Chciałem zapytać dlaczego? Wszyscy przybyli tu ze mną, aby umrzeć jeszcze tego samego dnia, ale ja sam nie wiedziałem, kim jestem, że zrobiliby coś takiego ze względu na mnie. Nigdy nie uczyniłem niczego specjalnego. Starłem się tylko realizować marzenie jednego człowieka na tym świecie, którego znałem, a który wierzył, że świat może się zmienić na lepsze. Ale... „może to ja podążam za tobą”, powiedział król tamtego dnia.

– Czy to już cały twój plan? – spytał Brasti. – Stać tutaj i czekać, aż te psy w czarnych tabardach podjadą i nas zaszlachtują? Bo muszę powiedzieć, że cholernie mi to przypomina wszystkie twoje poprzednie plany.

– Musisz przyznać, że będzie z tego niesamowita opowieść – odpowiedziałem. – Mamy tu gdzieś nawet prawdziwego bardatti, aby upewnić się, że zostanie usłyszana.

Brasti uśmiechnął się promiennie.

– No cóż, możemy to zrobić po twojemu. No wiesz, brzmi to naprawdę szlachetnie i jestem pewny, że opowieść O Falsiu i bitwie o Aramor będzie bardzo romantyczna i jednocześnie tragiczna. Z drugiej strony jednak ja mam inny plan.

– Naprawdę? – spytała Darriana. – Brasti Goodbow ma plan? Lada chwila niebo zacznie się nam walić na głowę.

Brasti zignorował ją i wyszedł na błotnisty teren oddzielający nas od rycerzy.

– Nigdy ci nie powiedziałem, co król polecił mi zrobić pięć lat temu, prawda, Falcio?

Spojrzałem na długą na dwieście stóp przestrzeń między nami i szeregami rycerzy w zbrojach. Słońce chyliło się ku zachodowi i sądząc po tupaniu kopyt i szczęku rymsztunku, Czarne Tabardy szykowały się do szarży.

– Oczywiście bardzo bym chciał to wiedzieć, ale nie sądzę, żeby to był odpowiedni moment, Brasti.

On również spojrzał na rycerzy.

– Naprawdę? A ja myślę, że to najlepszy moment, jaki będzie nam dany.

– Wiesz co, masz rację. Dobra, co powiedział ci król?

Brasti uśmiechnął się.

– Byłem jednym z ostatnich, których wezwał do siebie, pamiętasz? Był już wtedy bardzo zmęczony i powoli zaczął się irytować. Wiesz, jaki czasem potrafił być, co nie? Od razu to wyczułem, ponieważ kiedy wszedłem do sali tronowej, zażartowałem sobie, a on na to: „Wiesz co, Brasti? Z ciebie jest kawał łajdaka. Uważasz, że ten twój łuk czyni cię kimś niezwykłym, ale ja wiem, że to po prostu twój sposób na wetknięcie środkowego palca świata w tyłek”.

Brasti roześmiał się, a Kest mu zawtórował. Król rzadko przeklinał i nikt nie potrafił go tak sprowokować, jak Brasti.

Coś mnie jednak niepokoiło.

– I? – spytałem

– Co „i”?

– I jaki był jego ostatni rozkaz dla ciebie?

– Ach, no tak. W każdym razie król był wyraźnie w złym

humorze, co zapewne nie było aż tak dziwne, zważywszy, że książęta zamierzali go wkrótce zabić. Najpierw odwróciłem się z zamiarem wyjścia, ale wiesz, zdenerwowało mnie to, że nie dał mi ostatniego rozkazu. Zawsze zachowywał się, jakbym liczył się mniej niż reszta z was, ponieważ nie spoglądałem na niego rozmarzonymi oczami, jakby był słońcem i księżycem tego świata.

– Chyba kończy się nam czas – przerwał Kest, wskazując na rycerzy. Pierwsze szeregi spinały właśnie konie do ataku.

– Dobra, w porządku. Więc odwróciłem się i spytałem króla: „I co? Nie masz dla mnie żadnego rozkazu, Wasza Królewska Mość? Żadnej doniosłej misji?”. Na co on uśmiecha się do mnie paskudnie i mówi: „Ty? Ty zawsze byłeś łajdakiem, a teraz – właśnie dziś – przekonałeś mnie, że nim zostaniesz aż do śmierci, Brasti. Ty i ten twój głupi łuk. Ale wiesz co? Świat potrzebuje większej liczby łajdaków. I proszę bardzo, oto mój rozkaz. A teraz wynoś się stąd”.

– To wszystko? – spytałem. – „Świat potrzebuje większej liczby łajdaków”?

Brasti pokiwał głową.

– Czyli co, te ostatnie pięć lat, kiedy byłeś upierdliwy i męczący, było czym dokładnie?

Uśmiechnął się.

– Wypełniałem rozkaz króla.

Nie można było odmówić Paelisowi poczucia humoru, chociaż nigdy nie manifestowało się ono w odpowiednim momencie.

Ale Brasti jeszcze nie skończył.

– Muszę ci coś wyznać: okazało się, że myliłem się co do mojej interpretacji jego słów.

– W jaki sposób? – spytał Kest.

Brasti chwycił w dłoń Nieumiarkowanie i nałożył czarną strzałę na cięciwę. Odwrócił się do nas na chwilę i oznajmił:

– Szarżuje na nas właśnie tysiąc opancerzonych rycerzy. – Wycelował wysoko w górę, naciągnął cięciwę i wystrzelił.

Przyglądaliśmy się, jak strzała wspinała się pod niebo, jakby usiłowała dosięgnąć słońca, a potem powoli zaczęła opadać ciasnym łukiem ku ziemi.

Rycerze zbyt późno zorientowali się, co się dzieje. Kilku z nich zmieniło kierunek jazdy, próbując usunąć się z drogi spadającej na nich dwustopowej czarnej śmierci, ale byli w zbyt ciasnym szyku i kiedy strzała wreszcie ich dosięgła, przebiła się przez metalowy hełm, natychmiast zabijając noszącego go człowieka.

Brasti spojrział na nas.

– Jeden z głowy. Zostało jeszcze dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu.

Jeden z dowódców rzucił rozkaz i rycerze opuścili kopie. Mieli nas dosięgnąć za kilka chwil.

– Cóż, skoro mamy umrzeć, miło by było uczynić to z odpowiednim akcentem – Kest uniósł miecz lewą ręką.

Brasti prychnął.

– Dalej bawisz się mieczami? Czy nie zademonstrowałem ci wyższości łuku nad bronią sieczną?

– Nie sądzę, żeby miało to w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie, chyba że uda ci się w ciągu najbliższych minut ustrzelić dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu rycerzy.

Brasti uśmiechnął się. Był zdecydowanie zbyt pewny siebie jak na człowieka, którego wkrótce czekała śmierć.

– Patrz i podziwiaj.

Rycerze pokonali już połowę dystansu, szarżując między szpalerem gęstych krzewów, otaczającym pole przed zamkiem. Nagle z krzaków posypał się deszcz strzał, wzbijających się łukiem w niebo i spadających na pierwsze szeregi rycerzy. Pierwsza grupa musiała wypuścić jakąś setkę strzał, a kilka chwil później kolejną.

Nie miałem pojęcia, że w krzakach ktoś się ukrywa, nie mówiąc już o tym, że ludzie ci mieliby zasypać naszych wrogów gradem zakończonych stalowymi grotami strzał.

– Jak... – zabrakło mi słów.

Brasti zawsze był zbyt przystojny, zbyt zakochany w dobrym wyglądzie i byciu potrzebnym. Przez wszystkie te lata naszej znajomości nigdy nie patrzył dalej niż dzień dzisiejszy, a raczej noc – dobrą do hulanki lub zabawiania się z najnowszą ładną panienką. Teraz spoglądał na mnie z zupełnie innym rodzajem uśmiechu na twarzy – uśmiechu, którego nigdy wcześniej nie widziałem, a w jego oczach połyskiwało również coś nowego.

– Nazywam ich „łajdakami Brastiego” – powiedział dumnie.

– „Świat potrzebuje większej liczby łajdaków” – powiedział Kest z podziwem.

Brasti wskoczył na konia.

– Co ty robisz? – spytałem.

Wsadził Nieumiarkowanie do futerału przymocowanego pod siodłem i wyciągnął Zniewagę, krótki łuk refleksyjny.

– Jak to co? Dolewam oliwy do ognia! – z tymi słowy spiął konia i zaczął szyc do tych nielicznych rycerzy, którym udało się przedrzeć przez krzyżowy ostrzał jego ludzi. Valiana i Darriana popędziły za nim, wydając bojowe okrzyki.

Ethalia odciągnęła Aline i zaczęła wyciągać z torby lekarstwa.

Kest i ja oparliśmy się o siebie, osłabieni.

– Bogowie, co on zrobił? – spytałem.

– Złamał ich – odparł Kest. – Złamał ducha stanu rycerskiego.

Już nigdy nie będą tacy sami.

„Nigdy więcej rycerzy”.

ROZDZIAŁ 48

RADA

– Wiesz, co jest zabawne? – spytał Brasti.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem wyłącznie otaczającą mnie ciemność. Spanikowałem. „Jestem sparaliżowany – bogowie, nie! Nie teraz! Nie możecie mi tego zrobić znowu, nie po tym wszystkim, przez co przeszedłem...”

– Wszystko jest dobrze – usłyszałem cichy głos Ethalii. – Po prostu jest ciemno.

Zasnąłem na jednej z drewnianych ław w szerokim holu przed salą tronową zamku Aramor, z głową wspartą na kolanach Ethalii. Poczułem ciepło jej dłoni na policzku i odetchnąłem głęboko. Dopiero wtedy usłyszałem ciche brzdąkanie gitary. Dźwięki muzyki odbijały się od ścian korytarza.

– Nehra? – spytałem.

– Tutaj jestem, trattari – odpowiedziała. – Dałeś mi początek wspaniałej historii do wyśpiewania, ale muszę znaleźć odpowiednią melodię, która mogłaby jej towarzyszyć.

– Która godzina? – spytałem.

– Późna – odparła Darriana. Siedziała na podłodze, przesuając

mokrą osełką po ostrzu swojego miecza. – Zgaduję, że zostały jakieś dwie godziny do wschodu słońca. Nikomu nie chciało się zapalić dla nas pochodni. Obawiam się, że ty i twoje Wielkie Płaszczce jesteście cenieni dokładnie tak samo teraz, jak przed całą tą awanturą.

Spojrzałem w głąb ciemności, szukając Kesta, i wreszcie dojrzałem niewyraźny zarys jego sylwetki po przeciwnej stronie korytarza. Przez moment mógłbym przysiąc, że rozbłysnął czerwoną poświatą, jakby stał tuż przy ogniu, ale chwilę później wszystko pochłonęła ciemność.

– Czy możesz w końcu przestać? – spytał Brasti siedzący niedaleko po mojej prawej stronie. – Albo bądź Świętym od Mieczy, albo nie, ale zdecyduj się w końcu.

– To nie jest coś, nad czym mam kontrolę – odparł Kest płacząco.

– Twoja dłoń – uniosłem głowę z ud Ethalii i natychmiast pożałowałem tej decyzji. – Czy jest...

Cień Kesta pokiwał głową.

– Uzdrowiciel przemył ranę jakimś kwasem, aby zapobiec infekcji, i zabandażował ją, żebym nie wykrwawił się na śmierć. Ból jest... znaczny.

Znów mrugnął na czerwono, oświetlając korytarz na ułamek sekundy.

Brasti zakaszłał.

– Jak już mówiłem, czy wiesz, co mnie bawi?

– Zaraz, chwilkę – przerwałem mu. – Jak długo tutaj czekamy?

– Kilka godzin – odpowiedział Kest. – Książęta nie przerwali narady od zakończenia bitwy. Jeden z ich służących wyszedł jakąś godzinę temu, aby „przypomnieć nam”, że mamy tu pozostać.

– Rady Książąt mają bardzo surowy protokół – z głębi cieni spowijających przeciwległą część przedsionka sali tronowej dobiegł nas głos Valiany.

– Gdzie jest Aline?

– W środku, razem z nimi.

Zacząłem się podnosić, ale Kest wynurzył się z cienia i powstrzymał mnie.

– Zapewnili mnie, że niezależnie od wyniku obrad nie skrzywdzą Aline. Uczyniłem co w mojej mocy, aby wyjaśnić im, co się stanie, jeśli tego spróbują.

– Powinniśmy być tam razem z nią – powiedziałem.

Usłyszałem miękkie kroki Valiany.

– Nie skrzywdzą jej, Falcio. Znam protokół Rady i mogę ci obiecać, że reguły są bardzo przejrzyste, zaś bezpieczeństwo jej uczestników nienaruszalne. Jednak cały proces jest skomplikowany i nawet gdybyś tam był, wątpię, żebyś zrozumiał, co się dzieje.

Zignorowałem fakt, iż właśnie w pośredni sposób powiedziała mi, że jestem za głupi, aby zrozumieć sprawy państwowe.

– W takim razie ty powinnaś tam być – odpowiedziałem. – Wiesz, jak to wszystko działa. Mogłabyś przypilnować jej interesów.

– Nie jestem księżną, Falcio. Nie jestem nawet arystokratką. Moja osoba nie ma żadnego znaczenia.

– Jesteś równie ważna, jak każdy książę i każda księżna, maleńka ptaszyno – powiedziała Darriana. – Nawet lepsza niż oni, z tego, co widziałam do tej pory.

Bodaj po raz pierwszy zgodziłem się z nią w całej rozciągłości.

– Nie masz żadnego znaczenia? Jesteś bodaj jedyną szlachetną osobą w tym całym koszmarnym kotle.

– Heeej! – zawołał Brasti. – Czy ktoś zamierza zapytać, co takiego mnie bawi?

Odwróciłem się mniej więcej w jego kierunku.

– W porządku, Brasti. Co cię tak straszliwie bawi?

– Zamek.

– Uważasz zamek za zabawny? – spytał Kest.

– Cóż, może nie sam zamek, ale fakt, że pełno tu pajęczyn.

– Nie rozumiem – powiedziałem i wcale nie udawałem. Naprawdę nie pojmowałem.

Brasti wstał i rozłożył ręce.

– Spójrz na to miejsce: to przecież zamek Aramor, na wszystkich świętych! Siedziba władz Tristii. A mimo to stał opuszczony przez ponad pięć lat. Książęta odebrali go królowi, a potem tak po prostu zostawili. Nikogo tu nie było, aż do teraz.

– Musiał pozostać pusty – odparła Valiana, jakby powód był oczywisty. – Gdyby zamieszkał tu któryś książę, natychmiast zostałoby to odczytane jako akt agresji przeciwko pozostałym.

– Wiem, ale widzisz, jest jedna sprawa. Zamek Aramor jest jedną z najlepiej przystosowanych do obrony twierdz w Tristii. Można by się tu zamknąć z... iloma ludźmi, Kest?

– Pięćdziesięcioma żołnierzami – odparł szybko.

– Pięćdziesięcioma żołnierzami. Zatem mając pięćdziesięciu ludzi do obrony i odpowiednie zapasy, można tu przeżyć roczne oblężenie.

– I co z tego? – spytałem.

– Tak tylko mówię, że po co wszystkie te intrygi, skoro

najlepszym sposobem dla Trin byłoby po prostu przyjechać tutaj z rycerzami i ogłosić się królową. Dziwię się, że nie wprowadził się tu jakiś zaganiacz kóz ze swoimi czterdziestoma dziewięcioma koleżkami i nie ogłosił się imperatorem!

Wbrew sobie zacząłem zastanawiać się nad klientami gospody Na Końcu Świata, którzy rozważali zostanie władcami kraju. Król Jost. Wybuchnąłem niepowstrzymanym śmiechem.

– Nie wiem, co w tym takiego śmiesznego – powiedział Kest.

– Nic, nic – odparłem, trzymając się za żebra i próbując się uspokoić, bo cholernie mnie bolało. – Myślę po prostu, że następnym razem, kiedy będziemy mieć problem z brakiem władcy, zamierzam udać się do najbliższej wioski, złapać pierwszego lepszego mężczyznę lub kobietę, którzy potrafią zapisać swoje imię, przywieźć ich tutaj i koronować.

Pozostali też się roześmiali i kolejną godzinę spędziliśmy na rozważaniu zalet wyboru króla metodą losowej selekcji, aż wreszcie otworzyły się wielkie wierzeje prowadzące do sali tronowej i wyszedł do nas jeden z dworzan. Wskazał na Kesta, Brastiego i wreszcie na mnie.

– Książęta są gotowi, aby was zobaczyć – powiedział uroczyście. – Reszta musi poczekać tu.

Ścisnąłem rękę Ethalii i wstałem.

– Chodźmy zatem.

Valiana się nie ruszyła, więc chwyciłem ją mocno za rękę i zacząłem prowadzić za sobą.

– Obecność dziewczyny nie jest wymagana – zaczął dworzanin.

– Jest wymagana przeze mnie – uciałem i wszyscy minęliśmy go, wchodząc do środka.

Książęta siedzieli wokół dużego stołu jadalnego, który ktoś umieścił w dyskretnej odległości od tronu. Minęło ponad pięć lat, od kiedy byłem w sali tronowej zamku Aramor i, co dziwne, wydała mi się teraz mniejsza, niż pamiętałem, zaś sam tristiański tron królewski dużo mniej zdobny niż trony używane przez książąt w ich własnych pałacach.

Podano jedzenie i większość ludzi przy stole miała przed sobą talerze. Wokół uwijały się dziesiątki dworzan w liberiach reprezentujących poszczególne księstwa, dolewając wina obradującym.

„Przywieźli ze sobą więcej dworzan niż gwardzistów”. Nie powinienem się tak dziwić, ale jednak mnie to zaszokowało.

Aline siedziała na krześle w pewnej odległości od stołu, z dłońmi na kolanach i małym talerzem pełnym nietkniętego jedzenia na podółku. Książęta, zajęci jedzeniem i piciem, nie zwracali uwagi na naszą czwórkę.

– Zostało coś dla nas? – spytał swobodnym tonem Brasti.

Poczułem, że Valiana zastyga, zapewne spodziewając się – podobnie jak ja – zjadliwej riposty ze strony jednego z książąt lub ich dworzan stojących w pobliżu. Wszak książęta nie jadają z plebsem. Ku mojemu zaskoczeniu książę Meillard z Pertynii chrząknął.

– Jest jeszcze trochę kurczaka. Mięso jest suche i nie jestem pewny jego proveniencji, ale skoro macie tam stać jak idioci, równie dobrze możecie coś przekąsić.

Niektórzy biesiadnicy wyglądali na wstrząśniętych, co w jakiś sposób mnie uspokoiło, ale po chwili książę Jillard przywołał jednego ze swoich dworzan, który przyniósł talerze i postawił je

przed pustymi krzesłami na końcu stołu. Nie wiedząc, co innego zrobić, usiadłem, a inni przyłączyli się do mnie.

Kiedy służący położył na moim talerzu udko kurczęcia, niemal zemdlałem od samego zapachu. Zapomniałem, jak dawno już nie jadłem, nie wspominając o porządnym posiłku przy stole. Kurczak, jakkolwiek Meillardowi wydał się przeciętnie przyrządzony, był najbardziej soczystym kawałkiem mięsa, jaki kiedykolwiek miałem w ustach. Po mojej prawicy został umieszczony srebrny puchar, do którego dworzanin wlał wino.

– Czy mógłbym cię prosić o trochę wody? – spytałem. Nie powinienem teraz pić alkoholu, kiedy byłem tak zmęczony, obolały i miałem uczestniczyć w nader niebezpiecznych pertraktacjach politycznych.

Brasti nie miał takich problemów.

– No i proszę, jak miło – odstawił opróżniony puchar na stół i skinął na dworzanina z dzbanem, aby ten wrócił. – Powinniśmy robić to częściej. No wiecie: zbierać się przy obiedzie i rozwiązywać problemy jak gentlemani.

– Brasti, zamknij się – powiedział Kest.

Książę Maillard wstał.

– No dobrze, powróćmy do naszej sesji Rady Książąt. Niech zostanie zapisane, że zgodziliśmy się kontynuować pomimo braku reprezentacji ze strony księstw Orisonu, Luth i Aramoru, jak również nieobecności księżnej Hervoru.

„Księżnej Hervoru?”

– Em... przepraszam uprzejmie, ale... – zacząłem.

Meillard uniósł rękę.

– Po pierwsze, trattari, będziesz się odzywał dopiero po

uzyskaniu zgody od przewodniczącego Rady, czyli ode mnie. Po drugie, odpowiadając na twoje niewypowiedziane pytanie, pomimo niedawnych sporów Trin jest nadal prawowitą księżną Hervoru.

– Czy mogę prosić o pozwolenie na wypowiedzenie się? – poprosiłem.

– Cholera, niech będzie. Co chcesz nam powiedzieć?

Wstałem.

– Cóż, po pierwsze, chciałem powiedzieć, że to był znakomity kurczak.

– Zrozumiano. Idąc dalej...

– Po drugie, mój przyjaciel, Brasti, znów nie ma wina.

Hadiermo, księżę Domarisu, walnął pięścią w stół.

– To jest Rada Książąt, a nie jakieś wiejskie wesele. Uważasz, że to żarty, trattari?

– Tak mi się zdaje. Kilka godzin temu większość z was chowała się przy wrotach zamku, czekając na śmierć z rąk własnych ludzi, podczas gdy Shuran przygotowywał się do objęcia władzy nad całym królestwem. Ty osobiście, księżę Hadiermo, poddałeś się w walce przeciw siłom Trin po... co? Tygodniu walk?

– Były...

– Milczeć! – krzyknął Brasti z udawaną wyniosłością. – Nie masz pozwolenia na wypowiedzenie się!

– Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy ranni i wobec przeważającego przeciwnika, prawda? – spytał Kest.

Koncentrowałem się nadal na arystokratkach zgromadzonych przy stole.

– Nasz kraj jest na skraju wojny domowej, ponieważ wy wszyscy nie dość, że przywieźliście ludzi do buntu, to pozwoliliście własnym

rycerzom stać się renegatami.

– A ty uważasz, że jesteś najodpowiedniejszą osobą do wytykania nam naszych grzechów? – warknął Meillard.

– A kto ma to zrobić? Cała nasza czwórka, wraz z wieloma innymi ludźmi, którzy stracili życie, a skoro jesteśmy przy tym, to powinienem powiedzieć, że wszystko to mimo waszych usilnych starań w ciągu ostatnich pięciu lat, żeby nas zabić... gdzie to ja byłem? Ach, no tak. Zatem my wszyscy pokonaliśmy waszych wrogów i ocaliliśmy wam życie: a teraz siedzicie sobie tu i uważacie, że możecie popchnąć kraj w kierunku, który wam odpowiada, podczas gdy dziedziczka króla tkwi w kątce jak skarcona uczennica? Tak, Wasze Łaskawości, zdecydowanie uważam, że to musi być jakiś żart.

W pokoju zapadła na chwilę cisza, a potem ktoś zaczął klaskać. Niestety, był to Jillard, ksiązę Rijou.

– To brzmi jak zapowiedź ogromnych zmian.

– Bo nią jest – Brasti położył nogi na stole. – A ponieważ ocaliliśmy wasze nic nie warte żywoty, oczekujemy skruchy, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Czy woda wylana z dzbanka nadal spływa w dół? – spytał Jillard.

– Czy co? – zapytał Brasti.

– Woda. Jeśli się ją wyleje z dzbanka, czy nadal spływa w dół?

– Jak do tej pory wylewałem głównie wino, Wasza Łaskawość, i to, bądźmy szczerzy, zdecydowanie nie za kołnierz. Spodziewam się jednak, że woda zachowuje się w podobny sposób.

Książę uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Doskonale. A zatem świat nadal funkcjonuje wedle praw

natury i zrządeń bogów. Rozumiesz?

– Niezbyt – odparł Brasti. – Ale też wypilem całkiem sporo w bardzo krótkim czasie.

– Księżę ma na myśli, że mimo tego, co się wydarzyło, uważają, że porządek rzeczy pozostaje taki sam – wyjaśnił Kest. – Czyli, że są władcami tego kraju, a my ich sługami lub wrogami.

– Jak na trattari, wykazujesz znakomitą przejrzyistość myśli – powiedział Jillard.

– Dziękuję, Wasza Łaskawość – powiedziałem. – A teraz myślę, że cała nasza czwórka powinna się pożegnać. Zabierzemy też ze sobą Aline – sięgnąłem po nią ręką.

– Co to ma znaczyć? – spytał ostro Meillard.

– Ja też chciałbym to wiedzieć – powiedział cicho Kest.

Nie spuszczałem wzroku z książąt.

– Wychodzimy stąd. Przyprawdzimy armię Brastiego...

– Łajdaków Brastiego! – wrzasnął Brasti i zaczął chichotać.

– I rozpoczniemy wojnę! – wykrzyknąłem, a mój głos odbił się echem od ścian sali tronowej. – To jedyna rzecz, którą rozumieją – dodałem już normalnym głosem na użytek Brastiego.

– Nie mówisz chyba poważnie! – zaoponował Hadiermo. – Masz... co, setkę kmiotów z długimi łukami?

– Mam setkę kmiotów, którzy właśnie rozbili tysiąc rycerzy – przypomniałem. – Waszych rycerzy. Wyobraźcie sobie, co się stanie, kiedy ta historia rozniesie się po całym kraju.

Ossia, księżna Baernu, kobieta pod sześćdziesiątkę, która zawsze zachowywała się w miarę przyzwoicie wobec króla i jego Wielkich Płaszczy, delikatnie zakaszłała.

– Wierzę, że wszyscy żyjemy w skomplikowanych czasach. Być

może przyszedł moment, abyśmy wszyscy wycofali się z obrad? Z całą pewnością możemy powrócić do sprawy za kilka miesięcy. Jestem również pewna, że będziemy wszyscy skłonni poniechać wszelkiej agresji na czas, gdy każde z nas będzie się starało doprowadzić swój dom do porządku.

Pomyślałem, co miałyby to oznaczać: więcej strachu, więcej niepewności, więcej spiskowania przez książąt.

– Nie – odpowiedziałem. – To nie są odpowiednie warunki ugody.

– Warunki ugody? – spytał książę Hadiermo. – Sądzisz, że jesteś tu, aby negocjować z nami warunki ugody?

– Nie, Wasza Łaskawość – odpowiedziałem. – Przepraszam najmocniej, ale czy nie jest to oczywiste? Jestem tu, aby podyktować warunki ugody.

Kilku zgromadzonych zaczęło się podnosić, ale teraz to ja walnąłem pięścią w stół. Zawsze chciałem to zrobić. Szkoda, że nie zdawałem sobie sprawy, jak cholernie to boli. No cóż.

– Zbyt długo kierowaliście tym krajem na swój sposób. Od śmierci króla opodatkowaliście zwykłych ludzi ponad wszelką miarę. Pozwoliliście, aby szlaki handlowe niszczały i podupadały, do czasu aż bandyci stali się bogatsi niż kupcy. Spiskowaliście, intrygowaliście i zatruliście wszystko, co usiłował stworzyć król.

– To twój punkt widzenia – powiedział Jillard.

– Nie. To wasz punkt widzenia. Was wszystkich. Wiecie, że to, co mówię, jest prawdą. Król może i obraził was swoimi prawami, ale jednocześnie zagwarantował wam pewność. Dał wam wolny handel i bezpieczne granice.

– Dał nam również Wielkie Płaszczce, które pojawiały się na

naszych własnych ziemiach i wtrącały się w nieswoje sprawy – powiedział Meillard.

– Owszem, tak: i przez niemal dziesięciolecie podróżowaliśmy po całym kraju, wysłuchując wszelkich spraw, w każdym mieście i wiosce. I powiedzcie mi – rozejrzałem się po zgromadzonych przy stole. – Z iloma buntami mieliście do czynienia w ciągu tych wszystkich lat? Ile razy zwykły lud usiłował was zabić?

– Więc o to chodzi? – spytał Jillard. – Chcesz, żebyśmy przywrócili urząd Wielkich Płaszczy?

– Daj nam rok – odparłem. – Jeden rok, aby przywrócić prawo w tym kraju. Jeden rok, aby pokazać ludziom, że na świecie nadal istnieje jakaś sprawiedliwość.

– A potem? – spytał Jillard.

– A potem możecie wrócić do spiskowania i knucia planów własnych śmierci, jeśli tego chcecie. Możecie odmówić nam wstępu na wasze ziemie. Możecie wrócić do prób pozbawienia nas życia. Ale myślę, że tego nie zrobicie. Myślę, że wy, wasze rodziny, a przede wszystkim wasi poddani mają już po dziurki w nosie przyglądania się, jak Tristią rządzi korupcja i zepsucie.

– Dajcie mi rok. Ja dam wam państwo.

Zapadła cisza na dłuższą chwilę, ale potem Meillard pokręcił głową.

– Nie widzę, jak miałoby to wszystko zadziałać bez monarchy na tronie. Nie podaję w wątpliwość waszych umiejętności i odwagi, ale nie zostało już zbyt wielu trattari. Nie możemy kontynuować w tym stanie.. Potrzebujemy króla.

Jillard spojrzał na Meillarda.

– Oszalałeś? Chcesz to dziecko osadzić na tronie?

Meillard wzruszył ramionami.

– Jest córką króla. Nie widzę sposobu na pominięcie tego faktu.

– Ona się na niczym nie zna! – krzyknął Jillard. – To małe dziecko bez wykształcenia i doświadczenia, a ty chcesz z niej zrobić królową? Podczas gdy my będziemy usiłowali odbudować kraj? Co się stanie, jeśli obowiązki ją przerosną? Kto będzie jej doradzał? Co się stanie, kiedy ktoś zasugeruje, żeby kazała nas wszystkich zamordować? W końcu już raz zaaprobowała plan zabicia nas wszystkich! Rijou woli już nie mieć żadnego monarchy na tronie.

– A ty zabiłeś jej rodzinę – zauważył Brasti.

– A poza tym bardzo się starałeś ją zamordować – dodał Kest.

Meillard wyglądał na zmęczonego.

– Ja... księżę Rijou ma rację. Nie widzę, w jaki sposób to niedoświadczone i nieprzygotowane dziecko miałoby utrzymać tron przez tydzień, nie wspominając o roku. Władanie królestwem wymaga determinacji, doświadczenia i odpowiedniego pochodzenia.

Jego słowa brzmiały zdecydowanie i ostatecznie, ale w jego oczach zobaczyłem coś innego – a kiedy rozejrzałem się, dostrzegłem to również w spojrzeniu pozostałych książąt: strach i przymus.

„Oni potrzebują Wielkich Płaszczy”, zdałem sobie sprawę. Jeżeli powiem im, że Aline ma zasiąść na tronie, zgodzą się. Będą mi grozić, będą narzekać, ale nawet Jillard ostatecznie powie tak, ponieważ książęta nas potrzebują i dlatego że, pomijając wszystko inne, Aline ma pochodzenie, na którym im tak bardzo zależy.

„Pochodzenie”, to słowo zaciążyło mi na żołądku. To wszystko, o co ludzie dbają w całym kraju: w jakiej rodzinie się urodziłeś. Nienawidziłem wszystkich zgromadzonych tu ludzi, ponieważ bez

względu na przyjaźnie czy wrogość, uważali, że życie powinno być podyktowane linią krwi. A czy mój król był inny? Ostatecznie oczekiwał ode mnie, że wprowadzę na tron jego córkę.

Aline przyglądała mi się, chociaż nadal siedziała nieruchomo, wyprostowana na swoim krześle. Jej wzrok był pełen przerażenia, jak zwykle od kiedy zaczęła się cała ta historia. Meillard miał rację: nie wytrzymałaby na tronie przez tydzień. Próbowала być dzielna, ale to nie wystarczyło – nie dla Tristii.

– A więc? – Meillard przerwał moje rozważania. – Nadal żądasz, abyśmy wynieśli to dziecko na tron?

Wróciłem myślami do wszystkich tych chwil, gdy sparalizowany przez neathę widziałem stojącego przede mną mojego króla. Zdradzisz ją. Dopiero teraz zrozumiałem, że nigdy nie mówił tego z gniewem – wyłącznie z pewnością.

– Nie – powiedziałem. – Aline nie może teraz zasiąść na tronie.

Rozpętał się chaos, ponieważ wielu książąt automatycznie uznało, że sam będę chciał na nim zasiąść. Nawet Valiana, która stała obok mnie, położyła dłoń na rękojeści miecza, gotowa walczyć na śmierć w obronie Aline. Uśmiechnąłem się, ponieważ dowiodła, że mam rację. Spojrzałem na Aline i dostrzegłem łyzy niezrozumienia w jej oczach.

„Przykro mi, kochanie. Może kiedyś mi za to podziękujesz, a może mnie przeklniesz”.

Uniosłem dłoń, żeby ich uciszyć.

– Powiadacie, że aby rządzić krajem potrzeba, pochodzenia. Ja twierdzę, że potrzeba odwagi: odwagi i współczucia oraz woli do poświęcenia się. Wasze Łaskawości, zamierzaliście wyznaczyć Protektora Królestwa: kogoś, kto rządziłby krajem, dając wam

czas, aby wybrać nowego monarchę. Zatem zróbcie to. Powołajcie Protektora Królestwa na czas, gdy Aline będzie się uczyła rządzenia, zaś wy będziecie mogli się upewnić, że nie żywi w stosunku do was żadnych morderczych zamiarów.

To ich uciszyło na kilka chwil. Meillard odezwał się jako pierwszy.

– Nie jest to najgorszy pomysł, jaki słyszałem. Postępujemy tak samo w księstwach, kiedy spadkobierca jest zbyt młody, aby objąć rządy.

– A kto niby miałby zostać owym Protektorem, co? – spytał Jillard. – Ty, Falcu val Mondzie? Wyjawisz nam wreszcie swój rzeczywisty zamiar? Czy widzisz się...

– Nie ja.

– Dzięki świętym – powiedział Brasti.

Wskazałem na Valianę.

– Ona.

Rozległy się protesty.

O dziwo, Jillard milczał.

Meillard gestem poprosił o ciszę.

– Prostaczka? Chcesz powierzyć zarządzanie krajem osobie z ludu?

– Nie tak dawno wielu z was widziało w niej królową – odpowiedziałem.

– Myśleliśmy, że płynie w niej szlachetna krew – odparł Meillard głosem pełnym słusznego gniewu. – Ta suka Patriana nas okłamała.

– Oczywiście, że was okłamała – powiedziałem. – Cóż za zaskoczenie! Nie zmienia to faktu, że przez osiemnaście lat Valiana

była przysposabiana do rządzenia. Uczyła się praw, zarówno królewskich, jak i książęcych. Uczyła się protokołu i dworskiego zachowania. Uczyła się tego od was wszystkich.

Teraz nie tylko książęta, ale też ich szlachetnie urodzeni dworzanie zaczęli wykrzykiwać protesty, obrzucając Valianę i mnie, wieloma niesympatycznymi przezwiskami. Hadiermo posunął się nawet do oświadczenia, że doprowadzi do odłączenia północnych księstw od Tristii – chociaż jego oburzenie skończyło się dość szybko, gdy Ossia zauważyła z przekąsem, iż Trin zapewne miałyby coś do powiedzenia na ten temat.

Wreszcie Jillard uniósł rękę, prosząc o ciszę. Spojrzał w oczy Valianie.

– Jeżeli zrobimy tak, jak żąda trattari, jeśli mianujemy cię Protektorem Królestwa na następny rok, czy dotrzymasz umów zawartych tu dzisiaj i przysięgniesz, że Rada Książąt nie spotka się z twojej strony z żadnym odwetem? Czy będziesz w stanie odsunąć na bok wszystkie nasze zeszłe... nieporozumienia?

Kilku książąt ponowiło protesty.

– Milczeć! – ryknął Jillard tak głośno, że aż zadzwoniły talerze i puchary. – Koniec gry – powiedział, kiedy gwar przycichł. – Wszyscy wiemy, że potrzebujemy kogoś na tronie i nie może to być żadne z nas. Kto będzie lepszy niż ona? Kiedy życie mojego syna było zagrożone, Valiana...

Przerwał i przez chwilę zobaczyłem w nim człowieka, który krzyczał z przerażenia, że straci Tommera, w ciemnej czeluści lochów Rijou.

– Ta dziewczyna walczyła za mojego syna. Czy którekolwiek z was zrobiłoby dla mnie coś takiego? Zrobilibyście?

– Więc nagle zmiękłeś, ponieważ ktoś groził twojemu chłopcu? Rijou nie rządzi Radą! – krzyknął Hadiermo.

Meillard wstał.

– Ale ja tak – powiedział, kręcąc głową z odrazą. – Nigdy nie podobał mi się ten wasz pomysł, aby osadzić na tronie marionetkę, ale i tak to zrobiliście. A teraz potrzebujemy kogoś, kto wie, jak działa nasz kraj, i rozumie to wszystko: dobre i złe rzeczy – spojrzał na Valianę. – Podejź tu, dziewczyno. Powiedz mi, czy chcesz być Protektorem Królestwa, czy nie?

Valiana wstała niepewnie.

– Ja... nie, Wasza Łaskawość. Nie chcę rządzić ani nie chcę zasiadać na tronie w żadnej innej roli.

– Świetnie – odparł Meillard. – Zatem doskonale się nadajesz.

Wrzaskom i protestom nie było końca i zdziwiłem się, jak szybko wszyscy zapomnieli o protokole. W ostateczności jednak Meillard i Jillard zwyciężyli.

Valiana odeszła od stołu i przyklękła przed Aline.

– Przysięgałam ci – powiedziała. – Przysięgałam, że będę cię chroniła bez względu na wszystko.

Aline pokiwała głową. Przestała już płakać i wyglądała po prostu na zmęczoną – zbyt zmęczoną jak na kogoś tak młodego.

– Ja... wszystko się zmieni, jeśli to zrobię – ciągnęła Valiana. – Nie podejmę się tej roli, jeżeli się nie zgodzisz, ale jeśli na to przystaniesz, wszystko między nami się zmieni. Będę musiała mieć na względzie najpierw potrzeby państwa, a nie twoje własne.

Aline milczała.

Valiana ujęła ją za rękę.

– Musisz to powiedzieć. Musisz mnie zwolnić z mojej przysięgi,

inaczej nie zrobię tego.

– To głupota – zaczął marudzić Hadiermo.

– Są gorsze rzeczy niż władca, który dotrzymuje swoich przyrzeczeń – skomentował Meillard.

Aline wstała i położyła dłoń na głowie Valiany.

– Jestem Aline, córka Paelisa. Jestem dziedziczką tronu Tristii i zwalniam cię z twojej przysięgi, Valiano val Mond z Wielkich Płaszczy.

I w ten sposób sprzeniewierzyłem się ostatniemu rozkazowi króla, którego kochałem ponad wszystko.

EPILOG

Stałem, wpatrując się przez stalowe kraty w Krawcową, która siedziała na stołku w swojej celi.

– Chciałaś się ze mną zobaczyć, więc jestem.

Król nigdy nie lubił więzień, jako że sam spędził dość dużo czasu zamknięty w jednym z nich. Dopilnował więc, aby cele w zamku Aramor znajdowały się tylko częściowo pod ziemią i wszystkie posiadały małe okienka, umieszczone zbyt wysoko nad podłogą, żeby ich dosięgnąć, ale pod takim kątem, aby nadal więźniowie widzieli niebo.

– Widzę, że znaleźli dla ciebie odpowiednią kwaterę – dodałem.

– Całkiem mi odpowiada – odpowiedziała, a potem uśmiechnęła się. – Poza tym to jedynie tymczasowe.

– Wątpię, żebyś zdołała się z tego wszystkiego wykręcić. Przez ciebie zginęło bardzo wielu ludzi.

– Wielu ludzi zginęłoby tak czy siak. Myślę, że wszystko skończyło się tak dobrze, jak moglibyśmy sobie życzyć. Książęta nigdy nie zaakceptowałyby na tronie nowej królowej, chyba że naprawdę nie mieliby wyjścia. Nigdy nie pozwoliliby Wielkim Płaszczom przejąć kontroli, chyba że pojawiłoby się coś dużo bardziej groźnego, a ja im to dałam, Falcio. Pokazałam im, jak będą wyglądały wojna domowa i chaos. Pokazałam im armię asasynów, przy których Wielkie Płaszcze nagle wydały się im nie bardziej niebezpieczne niż lekki deszczyk w ciepłą letnią noc.

– Stałaś się potworem równie złym, a może gorszym niż Patriana.

– Nie. Stałam się dokładnie tym, czego potrzebował ode mnie świat. Niczym mniej i niczym więcej – wyciągnęła rękę i dotknęła mojej twarzy. – Podobnie jak ty, Falcio.

Odepchnąłem jej dłoń.

– Pozostałem wierny moim przysięgom.

– Przysięgi! – wypluła to słowo. – A skąd się wzięły te twoje wielkie przysięgi? Ze śmierci twojej żony, z długiej mrocznej podróży, która rozpoczęła się we krwi, a zakończyła stałą. Twoja przysięga, Falcio val Mondzie, pierwszy kantorze Wielkich Płaszczy, wyrosła z każdego zła, które zostało ci wyrządzone. Świat potrzebował człowieka o mężnym sercu, tak więc dał ci ból i cierpienie, aby zmienić cię w to, czego było mu brak – uśmiechnęła się i sięgnęła ku mnie jeszcze raz, ale odsunąłem się w porę. – Świat potrzebował odwagi i przyzwoitości. Świat potrzebował bohatera, a ty byłeś gliną, z której taki człowiek mógł zostać ulepiony.

– Szkoda, że nie ma tu Nehry – powiedziałem. – Ona pewnie znałaby odpowiednie określenie na to, czym się stałaś. Między nami wszystko skończone – ruszyłem do wyjścia.

– Umierałeś.

Zatrzymałem się. Wiedziałem, że może powiedzieć to, co właśnie powiedziała, i obiecałem sobie, że wyjdę, zanim wykorzysta szansę. A jednak zostałem – choćby dlatego, że głęboka ironia zasługuje na publiczność.

– Neatha cię zabijała – ciągnęła Krawcowa. – Nic, co ja lub jakikolwiek uzdrowiciel moglibyśmy zrobić, nie powstrzymałoby jej

od osiągnięcia twojego serca. To, co zrobili ci dashini, wypaliło z ciebie truciznę. Ocaliło ci życie.

Odwróciłem się i udałem zaskoczenie.

– A ty o tym wiedziałaś?

Nie wiem, czy dała się nabrać na to przedstawienie, czy też postanowiła je ciągnąć ze względu na swój własny akt samookłamywania się.

– Podejrzewałam. Powiedziałam ci to już przedtem, chłopcze. Życie jest bólem. To, co zrobili ci Niesplamieni... nie potrafię sobie tego wyobrazić. Wiem jednak, że bez tego dziś byłbyś już trupem.

Uśmiechnąłem się ponuro, niezdolny dłużej udawać.

– Czyli tak naprawdę sprzedałaś mnie dashinim, żeby ocalić mi życie.

Jej mina pozostała surowa i obojętna, jak zawsze.

– W takim razie, Krawcowo, byłbym zaszczycony, gdybyś po prostu pozwoliła mi umrzeć.

Prychnęła.

– Naprawdę? Nadal sądzisz, że obchodzi mnie twoja duma? Albo twój ból? Powiedziałam ci, powtarzałam ci to bez końca, że zrobię wszystko, aby ochronić Aline. Wszystko. I wszystko, co robiłam, miało prowadzić do osadzenia jej na tronie.

– Wniosłaś w nasze życia śmierć i chaos.

– Owszem, zrobiłam to i zrobiłabym to znowu, gdyby zaistniała taka potrzeba. Sprawię, że cały kraj spłynie krwią, jeśli okaże się to konieczne. Aline zostanie królową.

Wiedziałem, co chcę powiedzieć, ale zawahałem się. Wyobraziłem sobie świętą Birgid szepczącą mi do ucha: „W samym środku walki wołałam do ciebie, zawsze wtedy, gdy już odniosłeś

zwycięstwo, lecz zanim zadałeś ostateczny cios”. Wierzyłem w miłosierdzie i we współczucie – teraz nawet bardziej niż kiedyś. Uważałem, że jest niezbędne.

„Ale istnieje również coś takiego jak »sprawiedliwość«, droga Birgid. A poza tym nie jestem żadnym świętym”.

– Twój syn znienawidziłby cię za to, czym się stałaś – powiedziałem.

Na początku sądziłem, że Krawcowa się rozgniewa i wyładuje na mnie swoją wściekłość; może nawet załamie się i rozpłacze. Ale ona, rzecz jasna, nie zrobiła niczego takiego.

– Oczywiście, że znienawidziłby mnie za to, co zrobiłam, Falcio – odpowiedziała tylko. – Nawet jeśli zrobiłam to w imię tego, by osadzić jego córkę na tronie, nie wybaczyłby mi przez tysiąc lat. Dlatego oboje tak go kochaliśmy, nie sądzisz?

Później, tego samego wieczora, cała nasza szóstka stanęła na blankach zamku Aramor, pod gwiazdami tak jasnymi, że niemal mógłbym uwierzyć, iż jestem na jednej z Wysp Południowych. Co dziwne, dwóch osób, które najlepiej zrozumiałyby, co teraz czuję, nie było tu z nami: Aline spała we własnym pokoju w zamku, bezpieczna, choć nadal groziły jej własne lęki. „Jeszcze nie, ale wkrótce”, obiecałem jej. Ethalia miała zostać z nią, dopóki Aline nie zaśnie. Mała miała problem ze spoglądaniem mi w oczy, chociaż nie byłem pewny, czy to z poczucia winy, że zgodziła się na plan Krawcowej, czy z głębokiego poczucia zdrady, kiedy nie uczyniłem jej królową.

– Mógłbym być królem, wiecie? – powiedział Brasti, opierając

nogę na kamiennym parapecie i spoglądając na roztaczający się pod nami krajobraz, jakby był jego własnością.

– Byłbyś koszmarnym królem – powiedział Kest. Jego ramię pokryte było świeżymi bandażami tam, gdzie odciąłem mu dłoń. Nie widziałem już nawet cienia czerwonej poświaty.

– Czy to cię boli? – spytał Brasti.

– Potwornie – odparł Kest. – Zupełnie jakby ktoś mi ją odcinał piłą. Bardzo, bardzo powoli.

– W takim razie, dlaczego nie... no wiesz...

– Co?

– Nie krzyczysz! – wrzasnął Brasti. – Albo nie płaczesz, nie jęczysz, czy co tam robią ludzie, kiedy obcina się im rękę!

Kest przyjrzał się mu z lekkim uśmiechem na twarzy. Wyglądał na lekko rozbawionego, a jednocześnie szczerze zaintrygowanego.

– A czy to by pomogło?

Brasti uniósł w górę rękę.

– Jesteś beznadziejny.

Valiana zaczęła się śmiać, a wraz z nią Nehra, która przyniosła ze sobą gitarę i zaczęła delikatnie grać melodię, która dobrze pasowała do rozgwieżdżonego nieba. Odwróciłem się do Darriany, która stała w pewnej odległości od nas wszystkich.

– Co ty tu robisz? – spytałem.

– A co? – spojrzała na mnie. – Nehra powiedziała, że mam przyjść, no to przyszłam.

– Jeżeli staniesz nieco dalej, spadniesz z murów.

– Nie jestem jedną z was – odpowiedziała. – Nigdy nie byłam.

– I jak ci to pasuje? – spytał Brasti.

Darriana spojrzała na niego i przez chwilę jej oczy zwęziły się

w gniewne szparki, ale zaraz potem na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiezek.

– Zdajesz sobie sprawę, że przespałam się z tobą tylko dlatego, iż po wszystkim planowałam obciąć ci jaja i zatrzymać je sobie jako trofeum, prawda?

– Darriana, jeżeli naprawdę chcesz mnie skrzywdzić, musisz tylko znów pójść ze mną do łóżka. Szczerze mówiąc, kastracja byłaby przy tym wręcz ulgą.

– Wystarczy – przerwałem. – Niektórzy z nas byli ostatnio boleśnie blisko takich spraw.

Brasti wyglądał na przerażonego.

– Cholera, Falcio! Przepraszam, nie chciałem...

– Już czas – oświadczyła nagle Nehra.

– Na co? – spytałem. – Powiesz nam wreszcie, dlaczego tu jesteśmy? Cholernie mi zimno.

– Może powinieneś założyć swój płaszcz – powiedział Kest i chociaż nikt inny tego nie dostrzegł, w jego głosie zabrzmiała nuta smutku zmieszanego z rezygnacją.

Nie miałem na sobie płaszcza, ponieważ wcześniej tego wieczoru znalazłem stary drewniany kufer, z którego król wyciągnął nasze płaszcze w dniu, w którym je nam wręczył. Mój leżał teraz w środku, a wieko kufra było zamknięte. Ja swoje skończyłem. Służyłem królowi tak dobrze, jak tylko ja, prostak z Pertynii, potrafiłem, a kiedy zakończy się nasze spotkanie na blankach, zamierzałem zejść na dół do mojego pokoju, do Ethalii, która będzie tam na mnie czekać. Stanie przede mną, uśmiechnie się tym swoim uśmiechem i poprosi mnie raz jeszcze, żebym zostawił za sobą to miejsce. Powie mi jeszcze raz o pewnej małej wyspie u wybrzeży

Baernu, na której nie było książąt ani rycerzy, ani Wielkich Płaszczy. Poprosi mnie, żebym tam z nią pojechał.

A ja się zgodzę.

Głos Nehry wyrwał mnie z zamyślenia.

– Jest historia, którą będzie się opowiadać przez najbliższe dni i lata. Nie chcę żadnych przekłamań.

Brasti uśmiechnął się promiennie.

– Cóż, wszystko zaczęło się od młodego kłusownika: dzielnej, odważnej duszy, urodzonej w biedzie, lecz przeznaczonej do...

– Nie mówię o tym, co się wydarzyło – powiedziała Nehra. – A zwłaszcza o twojej wersji. Chodzi mi o to, co przyjdzie potem.

– Nie...

– Chyba rozumiem – przerwała Valiana.

Nehra uśmiechnęła się i spojrzała na mnie.

– Widzisz, Falcio. Jest przynajmniej jedna rzecz na tym świecie, którą zrobiłeś dobrze.

– Nie sądzę, aby mój udział w tym akurat był zbyt duży.

– Ach, nadal jesteś głupcem, tak? – spojrzała na Valianę. – Mów, Protektorze Królestwa. Możesz zaczynać.

Valiana wyprostowała się.

„Święci”, pomyślałem. „Kiedyś uważałem, że wygląda jak jedna z tych księżniczek na kobiercach, ratowanych przez bohaterów. Teraz już wcale tak nie wygląda. To ona jest bohaterką”.

– Książęta nie skończyli ze spiskowaniem – powiedziała. – Mają rok, w ciągu którego uknują jakąś nową zdradę, która pozwoli im przejąć władzę. Jillard, Hadiermo, wszyscy: nadal mają pieniądze i wpływy. Poza tym jest jeszcze Trin: ona nigdy nie ustanie. Nigdy. Przyczai się na jakiś czas, wyliże rany, a potem powoli, lecz

skutecznie zacznie znów działać. Uważa, że mnie zna. Oni wszyscy tak sądzą. Myślą, że nadal jestem tą samą próżną, głupią dziewczynką, która ślicznie się uśmiecha i wie, kiedy się kłaniać i dygać. Wierzą, że będą w stanie zniszczyć Aline, ponieważ sądzą, że są dużo sprytniejsi niż ja – spojrzała na nas wszystkich. – Wcale mnie nie znają.

Pomyślałem, że powinienem coś powiedzieć w następnej kolejności, ale nagle Brasti wskoczył na blanki.

– Nadal widzę tam rycerzy – powiedział. – Ludzie w zbrojach, których spaczona idea honoru oznacza, że bogowie i święci są po ich stronie, a zatem stoją ponad prawem. Zamierzam udowodnić im, że są w błędzie.

– Bogowie są po ich stronie – powiedział Kest. – A przynajmniej tak się wydaje.

– Uśmiechnąłem się.

– Planujesz pojedynki z kolejnymi świętymi? Nie pamiętasz, jak się to skończyło ostatnim razem?

– Nie planuję – powiedział Kest. – Pomyślałem, że tym razem spróbuję się z bogiem.

A potem zobaczyłem, że on też się uśmiecha.

– Nie! – powiedział Brasti. – Absolutnie, kurwa, nie!

– Co się stało? – spytał niewinnie Kest.

Brasti zeskoczył z blanki i wycelował w Kesta oskarżycielsko palcem.

– Nie zostaniesz żadnym bogiem, zanim ja nie stanę się świętym! Dość mam odwalania brudnej roboty, podczas gdy wy dwaj stajecie się legendami! Czy ktokolwiek raczył zauważyć, że to ja zabiłem tysiąc szarżujących rycerzy? Święty Zaghevie Co

Śpiewasz o Łzy! Nie ma na tym pieprzonym świecie żadnej sprawiedliwości.

Kest, Valiana i ja zaczęliśmy się śmiać, a po chwili nawet Brasti porzucił swoje słuszne oburzenie i przyłączył się do nas. Kochałem to uczucie bycia otoczonym przez tych dziwnych, dzielnych ludzi, ale wiedziałem, że muszę im powiedzieć.

– Ja też mam coś do powiedzenia – odezwała się Darriana. – Oczywiście jeśli mogę.

Czekaliśmy, aż zacznie mówić, ale ona milczała. Po chwili Nehra spojrzała na mnie i powiedziała bezgłośnie „idiota”.

„W porządku”, pomyślałem.

– Miałaś tu być – powiedziałem z naciskiem. – Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek zrozumie jak albo dlaczego, ale wiem, że przynależysz tutaj. Do nas.

Valiana podeszła do niej i objęła ją.

– Powiedz to, co musisz powiedzieć.

Darri zaczerpnęła powietrza, a potem delikatnie odepchnęła Valianę.

– Nienawidziłam dashinich. Byli przerażającymi sadystycznymi potworami i... Cóż, nienawidziłam ich tak bardzo, że stałam się taka jak oni.

– Teraz jesteś wolna.

– Wiem o tym, ale... Było coś. Nie wiem... Ten stary człowiek, którego spotkałeś przy klasztorze? Opowiadał o czasach, kiedy dashini byli może nie tyle dobrzy, co potrzebni. Były czasy, kiedy ktoś, kto popełnił zbrodnię, okazywał się zbyt potężny, aby można go było powstrzymać w inny sposób. Coś w idei dashinich kiedyś było właściwe. Coś, co zostało zniekształcone – spojrzała na nas. –

Chodzi mi o to, że co się stanie, jeżeli lord albo księżę, albo, niech mnie licho, nawet sam król stanie się tak potężny, że nikt nie będzie go mógł powstrzymać? Trin ma przecież magię, której żadne z nas przedtem nie widziało.

– Czy naprawdę chcesz powiedzieć...

– Tak, myślę, że tak. Ktoś musi się dowiedzieć, czym kiedyś byli dashini... Czym mieli być. I może... Może jakoś to przywrócić. Przykro mi... Wiem, że wolelibyście, abym założyła ładną sukienkę i zaczęła się zachowywać jak cnotliwa panienska...

Brasti zarżał.

– Na litość bogów – rzucił błagalnie. – Proszę, nie zakładaj ładnej sukienki i nie zaczynaj się zachowywać jak cnotliwa panienska! Świat naoglądał się wystarczająco wielu okropieństw.

Darriana uśmiechnęła się i po raz pierwszy zobaczyłem jej uśmiech bez cienia drwiny.

– O to naprawdę nie musisz się martwić, Brasti Goodbowie.

Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie, ale melodia wygrywana przez Nehrę na gitarze, na okrągło ta sama, podpowiedziała mi, że bardatti nadal czeka na moje słowa.

Dopiero zaczynałem rozumieć, jak bardzo ich wszystkich kocham, i wiedziałem, że to, co powiem, złamie te dzikie idealistyczne serca. Zamierzałem odciąć ostatnią łączącą nas nić. „Nie zrezygnuję z Ethalii... nie mogę jej znów odmówić”.

– Nie jestem... muszę... Do licha! Mam wam coś do powiedzenia, cholera, chociaż nie sądzę, żeby się to wam...

– Obiecaj mi, że opowiesz tę historię inaczej niż Falcio – poprosił płacząco Brasti Nehrę.

– Zamknij się. To dopiero początek.

Poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Byłem tak zatopiony we własnych myślach, że nie słyszałem nadejścia nowej osoby. Odwróciłem się i stanąłem przed Ethalią. „Jest stworzona dla światła księżycowego”, pomyślałem. Niestety, to, co powiedziałem, brzmiało mniej więcej tak:

– Ładnie wyglądasz w ciemności.

Brasti i Darriana zgodnie parsknęli śmiechem, ale Ethalia jedynie uśmiechnęła się łagodnie i zignorowała moją głupotę. Robiła to już od dłuższego czasu, prawdopodobnie od dnia, w którym się poznaliśmy, jeśli mam być całkowicie szczery.

– Przyniosłam ci to – wręczyła mi zawiniątko.

Spojrzałem na gruby skórzany materiał, sprzączki i pasy, zacieki, plamy i rozdarcia, które znałem tak dobrze, jak własną skórę.

– Nie rozumiem.

Ethalia stała w milczeniu, czekając, aż założę płaszcz. Kiedy skończyłem, chwyciła mnie za poły i przyciągnęła do siebie. Pocałowała mnie głęboko, a kiedy skończyła, strzepnęła niewidoczny pyłek z mojego ramienia.

– Tak lepiej – powiedziała wreszcie. – Noc jest chłodna i czuję się lepiej, wiedząc, że nosisz się ciepło – puściła mnie i ruszyła z powrotem w kierunku schodów. Zanim jednak zaczęła schodzić, odwróciła się i powiedziała:

– Nie siedź tu za długo. W pokoju też jest zimno, a ja także zasługuję na trochę ciepła.

Wysłuchałem się w odgłos jej kroków.

– Czy ktoś może mi powiedzieć o co tu chodzi? – spytał Brasti.

„O to, że miłość nie jest klatką”, pomyślałem. Odwróciłem się do

pozostałych i po raz pierwszy wiedziałem dokładnie, co powiedzieć.

– Co się stało z jego twarzą? – spytała Darriana.

– Uśmiecha się – odpowiedział Brasti. – To rzadkie i bardzo przerażające zja...

– Zamknij się – przerwał Kest.

Odwróciłem się do Nehry i chociaż nie grała wcale głośniej, jej melodia wypełniła moje uszy. Miałem wrażenie, że muszę ją przekrzyczeć, żeby zostać usłyszanym. „Nie, nie muszę krzyczeć. Ja chcę, żeby wszyscy to usłyszeli. Żeby cały świat się dowiedział”.

– Kiedy będziesz opowiadała historię o tym, co się tu wydarzyło, Nehro, możesz ją przedstawić tak, jak chcesz. Jeśli pragniesz, możesz umieścić mnie na szczycie góry wyrastającej ponad chmury. Ale kiedy dotrzesz do zakończenia, chcę żebyś powiedziała wszystkim słuchaczom jedno.

Nehra przestała grać i pozwoliła, aby ostatnie noty uleciały ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Co chcesz, żebym im powiedziała?

– Powiedz im, że nadchodzą Wielkie Płaszcze.

KONIEC

Kolejne przygody Falcia, Kesta, Brastiego
i Wielkich Płaszczy
znajdziecie w Krwi świętego.

PODZIĘKOWANIA

WIELKIE PŁASZCZE Z CIENIA RYCERZA

W 2012 roku siedziałem w barze w Toronto z Je Fletcher, moim nowym wydawcą, z którą właśnie podpisałem umowę na czterotomową serię przygód Wielkich Płaszcz. Wyznałem jej, jak jestem przerażony perspektywą napisania kontynuacji Ostrza zdrajcy. Jo wykazała się ogromną wyrozumiałością i powiedziała mi wiele pokrzepiających rzeczy, z których żadnej nie pamiętam, ponieważ byłem zbyt zajęty powtarzaniem sobie, że mam przerąbane.

Kiedy człowiek znajdzie się w tego typu sytuacji, bardzo pomaga wsparcie armii Wielkich Płaszcz...

TRIO

Falcio, Kest i Brasti są gwiazdami serii o Wielkich Płaszczach, ale kiedy piszę swoje powieści, zwracam się do zupełnie innego zestawu bohaterów.

Christina de Castell – oprócz bycia stałym źródłem inspiracji moja ukochana żona pomogła mi pokonać kilka poważnych ataków niemocy twórczej, kiedy pisałem Cień rycerza.

Eric Torin – mój partner pisarski i prawdziwy przyjaciel, który zawsze pobudza mnie do sięgania głębiej w moją twórczość. Nie mogę się doczekać dnia, w którym przeczytacie jedną z książek, którą napisaliśmy razem z Erickiem.

Heather Adams – znajdźcie książkę o agentach, przeczytajcie wszystkie rozdziały o tym, że nie powinniście zawracać głowy swojemu agentowi, nie powinniście oczekiwać, że pomoże wam rozwiązać problemy z pisaniem, a już na pewno nie będzie wysłuchiwał waszych narzekań. Heather jest jego całkowitym przeciwieństwem.

ŚWIĘCI

Falcio nader często wzywa imiona świętych, kiedy wpada w tarapaty (i czasem, kiedy przeklina cały świat). W przeciwieństwie do jego świętych, moi zawsze odpowiadają na e-maile:

Jo Fletcher Co Unicestwia Banały, Święta od Redagowania;

Adrienne Kerr Co Stawia Czoła Oceanom, Święta od Wspierania Autorów;

Nathaniel Marunas Który Rozumie Wszystkie Rynki, Święty od Żeglowania po Obcych Wodach;

Andrew Turner co Działa Na Tweeterze, Święty od Publicystyki;

Nicola Budd co Rozprawia Się Ze Szczegółami, Święta od Załatwiania Spraw.

TAJNE WIELKIE PŁASZCZE

Oczywiście są też ludzie, których niemal nigdy nie widuję, lecz którzy niezmordowanie pracują nad tym, aby ta i inne książki ujrzały światło dzienne.

Dziękuję Patrickowi Carpenterowi, Keithowi Bambury'emu, Melanie Thompson i działowi sprzedaży, marketingu oraz prawnemu, a także buerosued.de za projekt okładki i ilustracje.

WSPÓŁTOWARZYSZE BRONI

Moi krytycy są kimś więcej niż tylko kolegami po fachu – są znamienitymi partnerami szermierzami, którzy (na szczęście) nie wahają się nadziać mnie na ostrze swojej krytyki za każdym razem, gdy moje pisanie nie trzyma poziomu: Wil Arndt, Brad Dehnert (@BradDehnert), Sarah Figueroa, Claire Ryan (www.raynfall.com) i Kim Tough.

Kat Zeller, Mike Church i Sam Chandola byli na tyle uprzejmi, aby przeczytać tę książkę na różnych etapach jej tworzenia i wskazać mi sposoby, żeby ją ulepszyć.

BARDATTI

Książki i opowiadania potrzebują orędowników, którzy pomagają ludziom je znaleźć. Bohaterami dwudziestopierwszowiecznego świata publicystyki są bloggerzy, sprzedawcy książek, bibliotekarze i czytelnicy, którzy bardzo starają się dzielić ze światem powieściami, jakie odkryli. Nie mógłbym wyliczyć tu wszystkich tych wspaniałych ludzi, którzy pomogli Wielkim Płaszczom ,by zostały zauważone, ale dziękuję wam wszystkim i chciałem podzielić się kilkoma historiami:

Bloggerzy piszący o książkach – jeżeli nie znacie jeszcze żadnego z nich – to naprawdę cudowni ludzie, którzy poświęcają własny wolny czas nie tylko na odnajdywanie książek, które kochają, ale również na elokwentne, napisane z pasją recenzje, dzięki którym inni mogą odkryć nowe historie i przygody:

Marc Aplin z Fantasy-Faction.com;

Stefan Fergus z Civilian-Reader.blogspot.co.uk;

Tabitha Jensen z NotYetRead.com.

To tylko kilkoro z tych wspaniałych ludzi, z którymi ostatnio nawiązałem kontakt. Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych lat poznam was jeszcze wielu.

Goldsboro Books podjęły ryzyko z Ostrzem zdrajcy, publikując specjalne pierwsze wydanie, które pomogło mojej książce zostać zauważoną jeszcze przed wprowadzeniem jej na rynek. Miałem przyjemność poznać Harry'ego Illingwortha, który prawdopodobnie osobiście sprzedał połowę z nich. Dzięki, Harry!

Jednymi z najbardziej pomocnych ludzi okazali się pracownicy księgarni, tacy jak Nazia Khatun z Waterstones w Londynie, którą miałem przyjemność poznać osobiście.

Walter i Jill z White Dwarf Books w Vancouver również okazali

mi ogromne wsparcie, podobnie jak wielu pisarzom fantasy i sci-fi na przestrzeni wielu lat. Jeżeli kiedykolwiek będziecie w Vancouver, musicie zajrzeć do ich księgarni i poznać ich osobiście.

Wreszcie składam ogromne podziękowania wszystkim tym, którzy czytają serię o Wielkich Płaszczach i sprawiają, że tworzenie jej jest taką przyjemnością. Dziękuję za wasze e-maile, tweety i inne dobre wibracje, które sprawiają, że zawód autora przestaje być samotną profesją.

Z wdzięcznością

Sebastien de Castell

@decastell

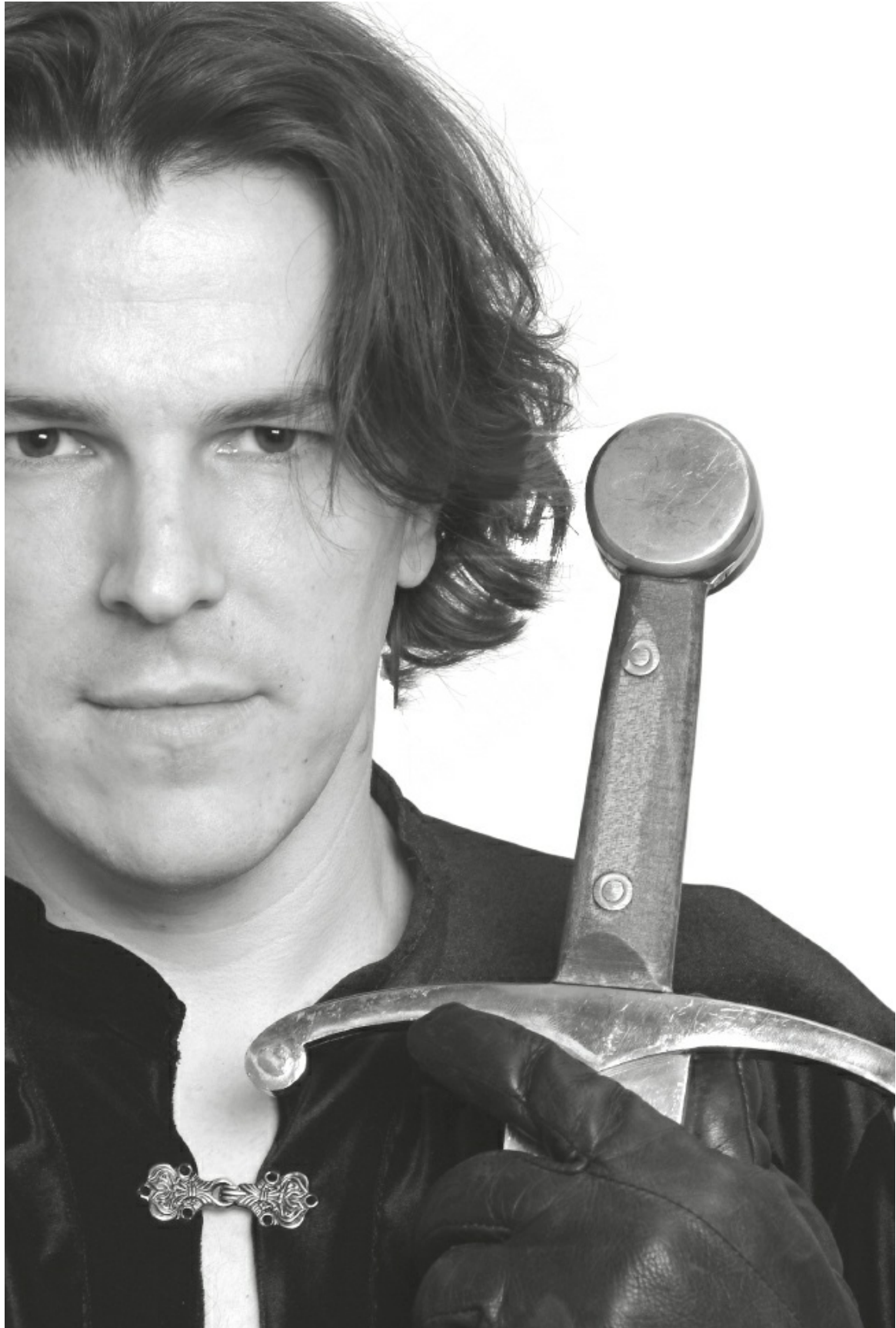
www.decastell.pl

Vancouver, Kanada

Listopad 2014

PS. Jeżeli doszliście do tego momentu, jesteście prawdziwymi wielbicielami książek i tych, którzy je tworzą. Dlatego tylko wam zamierzam zdradzić następujący sekret Wielkich Płaszcz: Prawdziwe nazwisko Aucia, nieujawnione nigdzie indziej w całej serii, brzmi Vadren Graff. Jako młody człowiek pragnął studiować filozofię, ale jego rozmiary i siła wkrótce sprawiły, że znalazł się wśród książęcych gwardzistów. Jego kapitan nazywał go psem i uważał go za zbyt głupiego (i przerażającego), aby trzymać go z resztą jego ludzi. Tak więc Vadren został wysłany do pracy w lochach Rijou, w końcu zmuszono go do wykonywania pracy

kata. Nikt nigdy nie pytał, jak ma na imię. Wszyscy nazywali go psem, co nawet odpowiadało Vadrenowi. Przed spotkaniem Falcia przekonał samego siebie, że może żyć w zgodzie ze swoim zawodem, ponieważ nawet najgorszy kat nie będzie w stanie zabić tylu ludzi, co żołnierz. Vadren byłby przyzwoitym, jeśli nie kontrowersyjnym, filozofem.



SEBASTIEN DE CASTELL

decastell.pl

Wejdź na stronę Sebastiena de Castella
i zanurz się w stworzonym przez niego
fantastycznym świecie!

